

KRZYSZTOF  
DOMARADZKI

# DETOKS

NA TROPIE ZABÓJCY KOBIEŃ W MIEJSKIM PIEKLE



KRZYSZTOF  
DOMARADZKI

# DETOKS

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2018

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[Przypisy końcowe](#)

Opracowanie redakcyjne: Mirosław Grabowski  
Projekt okładki: Magda Kuc  
Zdjęcie na okładce: © James Wragg / Trevillion Images  
Korekta: Piotr Królak  
Redaktor prowadzący: Anna Brzezińska

Text copyright © by Krzysztof Domaradzki, 2018 Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-892-4

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Anety, mojego niewyczerpanego źródła szczęścia*

# Prolog

**W** imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.  
– Amen!  
– Pan z wami.

– I z duchem twoim.

Powędrował wzrokiem nad ołtarz. Zatrzymał się na półkolistej wnęcie, w której znajdował się świetnie zachowany fresk. A na nim przybity do krzyża Chrystus. Miał przechyloną na prawo głowę, włosy starannie schowane za uszami. Korona cierniowa oplatała jego czoło, a z krwawiących dłoni i stóp sterczały kolce. Genitalia zasłaniała szmata, brudna od ściekającej z ciała krwi. Za Jezusem wyrastał demoniczny krajobraz, w którym oprócz ciężkich ciemnych chmur można było dojrzeć upadłe miasto, tonące w czymś, co przypominało duszną zbieraninę gazów.

Był pod ogromnym wrażeniem tego fresku. Właśnie tak wyobrażał sobie śmierć Syna Bożego. Jako wielkie, spektakularne cierpienie, które zatrwazało nie tylko jego świadków, ale też biernie asystującą mu naturę. Odkąd sięgał pamięcią, marzył o identycznym końcu.

Kiedy ksiądz odmówił kolektę i wierni usiedli w kościelnych ławach, zaczął dyskretnie masować nadgarstek. Bolał go od wczoraj. Gdyby wcześniej odpowiednio go rozgrzał, zapewne uniknąłby bólu. Ale rozgrzewka nie wchodziła w grę. Tak jak i wszystkie inne poboczne rytuały, które mogłyby go rozproszyć, zdekcentrować, spowodować rozluźnienie i odebrać przyjemność płynącą z ceremonii. Wiedział, że byłoby to niewyobrażalnie ryzykowne. Podobnie jak założenie na nadgarstek usztywniacza, którym mógłby niepotrzebnie ściągnąć na siebie czyjąś uwagę. Wystarczyło, że zwracał ją swoim wyglądem.

– Panie, który zostałeś posłany, aby uzdrowić skruszonych w sercu, zmiłuj się nad nami.

– Zmiłuj się nad nami!

– Chryste, który przyszedłeś wzywać grzeszników, zmiłuj się nad nami.

– Zmiłuj się nad nami!

– Panie, który siedzisz po prawicy Ojca, aby się wstawiać za swoim ludem, zmiłuj się nad nami.

– Zmiłuj się nad nami!

Rozejrzał się wokół. Po jego prawej stronie siedział starzec z przymrużonymi oczami i zrosniętymi siwymi brwiami. Niedowidzący, przysypiający i głuchy jak pień. Celebrował każde wstawanie, choć raczej z konieczności wymuszonej przez wiek niż z oddania liturgii. Brał głęboki oddech, a następnie drżącymi rękoma odpychał się od ławki. Jak emerytowany skoczek narciarski, który nie jest w stanie wyzbyć się nawyków.

Obok niego stała czterdziestoletnia kobieta z sępiim nosem i czarnymi włosami, spod których wyłaniały się jasne odrosty. Hipnotycznie wpatrywała się w księdza. Była pobudzona i nieprawdopodobnie skoncentrowana. Dobra owieczka. Zrobiłaby wszystko, co by jej Bóg rozkazał. A być może nawet wszystko, do czego próbowałby ją nakłonić ksiądz.

Po lewej stronie, kilka metrów od jego ławy, stała dziewczynka w puchowej żółtej kurtce. Mogła mieć najwyżej dziesięć lat. Była znudzona, obracała się jak na twisterze. Szukała wzrokiem atrakcji, podróżując między sklepieniami kościoła,



ławami, dziwnie wyglądającymi starcami a różowymi rzepami swoich nowych butów. W końcu napotkała jego wzrok. Zawstydził ją swoim uśmiechem, pokazując jej zbyt długie dziąsła, do których przymocowane były krótkie żółte zęby. Ale zawstydzenie nie powstrzymało jej dziecięcej ciekawości. Przestała bujać się na boki i zaczęła się w niego bezceremonialnie wgapiać.

Miała dobre niebieskie oczy. I niewinną buzię, białą jak kartka papieru. Tak mogła wyglądać Maryjka, kiedy była mała.

– Oto wielka tajemnica wiary.

– Głosimy śmierć twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale.

Odwrócił się w stronę dziewczynki, żeby dobrze widziała jego dłonie, wielkie i zadbane. Schował lewy kciuk i dostawił w jego miejsce prawy, który oplótł palcem wskazującym. Kiedy rozsunął dłonie, udając, że właśnie wyrwał sobie kciuk, dziewczynka ze zdziwienia rozdziawiła usta. Uśmiechnęła się. Kiedy pokazał jej sztuczkę z kciukiem ponownie, wiedziała już, że nie ma w tym żadnej magii, ale nadal nie miała pojęcia, jak on to robi. Spuściła wzrok na swoje dłonie i bezskutecznie próbowała odtworzyć trik.

Fresk z konającym Chrystusem nie był jedyną rzeczą, która podobała mu się w tym kościele. Znacznie bardziej urzekąco go to, że nawet w niedzielę świątynię odwiedzało niewielu wiernych. Tylko ci, którzy faktycznie zasługiwali na wysłuchanie przez Boga. Nie pchali się do niej żądni sensacji emerycy, bardziej od modlitwy zainteresowani tym, którzy z ich nielicznych znajomych doczłapali do kościoła, a którym się to z jakichś powodów nie udało. Nie widział tu zniszczonych przez alkohol mężczyzn, piniaczy i damskich bokserów, którzy chcieliby za pomocą mszy wyzerować swoje konto, wymazać z niego obrzydlistwa, jakich regularnie dopuszczali się w domu. Nie przychodziły nastolatki, które w tygodniu hańbiły swoje ciała grzesznym nasieniem, a w niedzielę próbowały zmasać je godziną modlitwą.

Nie widywał tu pseudokatolików, którzy nie zasługiwali na rozgrzeszenie. Którzy samą swoją obecnością wypalali mu źrenice w oczach. Gardził nimi.

Szczerze ich nienawidził. Gdyby tylko mógł, odebrałby im prawo do życia.

– Panie Jezu Chryste, ty powiedziałaś swoim apostołom: pokój wam zostawiam, pokój mój wam daję. Prosimy cię, nie zważaj na grzechy nasze, lecz na wiarę swojego Kościoła, i zgodnie z twoją wolą napełniaj go pokojem i doprowadź do pełnej jedności. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków.

– Amen!

Dziewczynka wciąż przeszywała go wzrokiem. Czekwała na kolejny pokaz. Ale on nie miał ochoty nic jej pokazywać. Zaczęła go irytować. Nie widział już w niej małej Maryjki, tylko wścibskiego bachora, którego matka wysłała pod przymusem na mszę. Nie była niewinną małą katoliczką. Te słodkie oczy, którymi się w niego wgapiała, dał jej szatan. Żeby mamiała nimi i rozpraszała innych, łgała i oszukiwała, niszczyła jedność, którą stworzył Bóg.

Miał ochotę rozłupać jej głowę o ścianę.

– Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Błogosławieni, którzy zostali wezwani na jego ucztę.

– Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Kiedy zaczął gmerać w kieszeni kurtki, zauważył poruszenie dziewczynki. Wyczuwał jej dziecięce podniecenie, łaknienie rozrywki, jaką mógł jej zaoferować. Słabość, która prędzej czy później obróci się przeciwko niej. Wyciągnął z kieszeni zaciśniętą pięść, niewiele mniejszą od jej głowy. Dziewczynka przewiercała wzrokiem jego dłoń, martwiąc się, że może przeoczyć sztuczkę. Postanowił, że jej nie zawiedzie. Że pokaże jej coś, co ją dogłębnie poruszy.

Rozejrzał się wokół, po czym rozwarł dłoń. Dziewczynka długo wpatrywała się w jej zawartość. Próbowwała zrozumieć, na czym polega ten trik. W końcu podniosła na niego wzrok. Dopiero gdy zobaczyła jego wstrętny dziąsłowy uśmiech, zrozumiała, że to nie jest sztuczka.

Wyszła z kościoła zdjeta strachem, z oczami szklącymi się od łez. Rzuciła się pędem przed siebie. Do domu. Byle szybciej, byle dalej od niego. Byle zapomnieć o tym, co zobaczyła.

Nie miała wówczas pojęcia, że ten widok będzie ją prześladował przez wiele lat.

– Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty.

– Amen!

– Idźcie w pokoju Chrystusa.

– Bogu niech będą dzięki!

**M**inął tydzień od ostatniego mrozu. Zima pozostawiła po sobie jedynie odstręczające pozółkłe zwały śniegu, które piętrzyły się na chodnikach, oraz tysiące nowych dziur wyzierających z jezdni. Nadkomisarz Witold Ptak przyglądał się kołom tonącym w asfaltowych wyłobieniach i przy każdym wstrząsie zaciskał zęby. Zastanawiał się, dlaczego zawsze po zimie łódzkie drogi wyglądają tak, jakby przez Polskę przeszła wielomiesięczna nawałnica. I dlaczego, choć od ponad dekady jesteśmy w Unii Europejskiej, podpięci do niewyczerpanego cycka unijnych funduszy, nic się nie zmienia. Gdzie podziały się miliony, które miały zostać zainwestowane w modernizację dróg? Ile z nich utknęło w kabzach polityków? I dlaczego ta cholerna Unia na to wszystko pozwala?

– Jak na polu minowym – syknął Witold. – Gapisz się, a mimo to i tak nie masz pojęcia, kiedy urwie ci nogę.

Młodsza aspirant Magda Giętka, która w skupieniu prowadziła samochód, posłała mu kwaśny uśmiech. Z jego miny próbowała wyczytać, czy jest na nią zły. Czy ma do niej żal o to, że wplątała go w nieprzyjemną sytuację. Czy będzie chciał to wykorzystać. Ale z jego pomarszczonej twarzy, z charakterystycznym garbatym

nosem i czerwonymi przebarwieniami, ciężko było cokolwiek wyczytać. Prędzej by odgadła nazwę jego ulubionego trunku, niżby się dowiedziała, w jakim jest nastroju.

Choć dzieliło ich ponad dziesięć lat, pod wieloma względami byli do siebie podobni. Wysportowani i szczupli. Raczej poważni niż groteskowi. Surowi. A przede wszystkim nieszczególnie urodziwi. Witolda gubiła sfatygowana gęba i nienaturalnie długi nos. Magda traciła przez szparę między zębami, wyłupiaste oczy i zaniedbane włosy w kolorze siana, które opadając na kościste policzki, dodatkowo wyszczuplały twarz. Gdyby nie widoczna różnica wieku, każdy mógłby ich uznać za parę. Stanowiliby niezauważalny duet: niewzbudzający zdziwienia, nierodzący pytań, nieodznaczający się niczym szczególnym. Niewidzialny. Porażający nijakością.

Wykorzystując kilkumetrowy odstęp, Magda wcisnęła się przed czerwoną toyotę. Dzięki temu zyskali jedną pozycję w wyścigu kulawych żółwi toczonym w sercu miasta. Chwilę później dotarli na wysokość skrzyżowania i zobaczyli niebieskie światła policyjne odbijające się od kamienic. Byli już prawie na miejscu.

– Uratowałeś mi dzisiaj dupę – wypaliła Magda, kiedy zatrzymali się przed przejściem dla pieszych.

– Raz ja ratuję twoją dupę, innym razem ty ratujesz moją, tak to już bywa – odparł beznamyślnie Witold. Jedną dłonią wodził po twarzy, jak gdyby szukał na niej resztek zgolonej rano brody. W drugiej trzymał smartfona, którym nerwowo stukał o kolano.

– Co nie zmienia faktu, że jestem twoją dłużniczką. Sama bym sobie z nim nie poradziła.

– W tej robocie nie ma dłużników – powiedział Witold po dłuższym milczeniu.  
– Są tylko fajni goście i chuje. Fajnym gościom się pomaga, a chujom nie. Ty wydajesz się fajnym gościem.

Wydajesz się, zanotowała w myślach Magda. Co nie znaczy, że nim jesteś.

– Raczej gościową.

– Może być gościową.

– A on? Jemu w końcu też pomogłeś.

Spojrzeni za siebie. Oboje westchnęli. Z tylnego siedzenia dobiegało ciężkie, nieregularne chrapanie.

– Co do niego mam coraz więcej wątpliwości.

Magda przypomniła sobie historie, które opowiadali starsi koledzy z jej poprzedniej pracy. O dziwaku z kryminalnego. Nielubianym, kontrowersyjnym i upierdliwym. A przy tym wyjątkowo inteligentnym i chorobliwie zaangażowanym. O świetnym śledczym, który był wrzodem na dupie zarówno dla przestępców, jak i dla swoich kolegów. O śledczym, który dwa lata temu, po rozstaniu z żoną, rozsypał się na drobne kawałki i w lawinowym tempie zaczął osuwać się na dno.

A teraz ona miała być jego partnerką.

– Czy to prawda, że cierpi na zespół Aspergera?

Witold spojrzał na nią jak na kosmitkę.

– Słyszałaś kiedyś o Trumanie Capote?

– Tak – odparła szybko, mając nadzieję, że Witold nie zechce tego sprawdzić.

– Ja nie słyszałem. Dopiero od niego dowiedziałem się, że to amerykański pisarz, który słynął ze znakomitej pamięci. Podobno zapamiętywał wszystkie przeprowadzane rozmowy. Nie musiał robić notatek. Z nim jest podobnie. Nie wiem, czy zapamiętuje wszystko, co mu ludzie mówią, ale z całą pewnością zapamiętuje sporo. Tak przynajmniej było kiedyś. Przed metamorfozą. – Witold zrobił pauzę, żeby rzucić okiem na czarny ekran milczącego telefonu. – Nie wiem, czy ma zespół Aspergera, czy to tylko jedna z wielu wydziałowych legend, ale podejrzewam, że większość historii, które o nim słyszałaś, została zmyślona.

– A co jest prawdą?

– To, że swoim podejściem do życia potrafi wysysać z innych energię. Jest toksyczny.

– To dlatego zdecydowałeś się na zmianę partnera?

– Ja? – Witold zaśmiał się chrapliwie. – To, że jestem szefem grupy dochodzeniowej, nie znaczy, że odpowiadam za dobór zespołu. Jako prosty

policjant mam łapać przestępców, najlepiej jak potrafię. Decyzje kadrowe podejmują nasi specjaliści od zarządzania. Ale gdyby zależało to ode mnie, już dawno nie bylibyśmy partnerami. – Zmierzył Magdę wzrokiem. – To pomysł Szczebiota. Wie, że Kawęcki może dać wydziałowi wiele dobrego. Dlatego próbuje do niego jakoś dotrzeć.

– I liczy na to, że ja w tym pomogę? – zdziwiła się Magda.

– Może.

– Że gdy będzie pracować ze mną, przestanie chlać?

– Tak uważa Szczebiot. Ale moim zdaniem jemu już nikt nie jest w stanie pomóc.

Witold odebrał telefon w chwili, gdy znaleźli się na wysokości kamienicy, do której za kilka minut mieli wejść. Wychyleni do przodu, wpatrywali się przez przednią szybę samochodu w wysokie okna mieszkania na czwartym piętrze. Wraz z nimi robił to tłum gapiów ściśniętych po obu stronach chodnika.

– Wiesz, że Stare Polesie i Centrum to najbardziej niebezpieczne osiedla w Łodzi? – zapytał Witold.

– Specjalnie mnie to nie dziwi – odparła Magda.

– A mimo to ludzie, którzy tu mieszkają, czują się bezpiecznie. Przez to są potencjalnie łatwiejszymi ofiarami niż mieszkańcy miejskich peryferii, ciągle spłoszeni i przekonani, że za chwilę ktoś ich napadnie albo zgwałci. Nie są świadomi, że to w ich getcie czai się największe zło.

– Może to i dobrze. – Poczowała na sobie ciężki wzrok Witolda, ale pozostała skupiona na drodze. – Dzięki temu mniej się stresują.

– Ale żyją krócej.

W ślamazarnym tempie, przedzierając się przez ulicę zastawioną radiowozami, pokonali kilkaset metrów i zjechali na niewielki betonowy parking. Witold wysiadł i przegonił dwóch meneli, którzy próbowali wydebić od niego pieniądze. Przywitał się z przyszczatym, potarganym chłopakiem, który siedział na murku. Zaprowadził go do samochodu.

– Do której masz czas? – zapytał.

– Do dziewiętnastej – odparł chłopak.

Witold spojrzął na zegarek.

– Powinno wystarczyć. Jedyne, co musisz robić, to siedzieć w samochodzie i czekać, aż się obudzi. Wtedy zadzwonisz do mnie i przypilnujesz, żeby nigdzie nie poszedł. Jasne?

Chłopak pochylił się i spojrzął na mężczyznę śpiącego na tylnym siedzeniu. Pokiwał głową.

– Nie da się tego spierdolić – stwierdził Witold, wręczając chłopakowi pięćdziesięciozłotowy banknot. – Chodźmy – zwrócił się do Magdy.

We dwoje ruszyli w stronę kamienicy, a speszony małolat wszedł do samochodu.

Pierwsi na miejscu zbrodni zjawili się gapie, głównie okoliczne męty, bliźsi i dalsi sąsiedzi, pracownicy pobliskich sklepów. Po nich przybyli przedstawiciele służb, policjanci i ratownicy medyczni. Niedługo później zaczęli pojawiać się dziennikarze.

Redakcja „Expressu Łódzkiego” mieściła się w ścisłym centrum miasta, w jednej z odrestaurowanych kamienic na Piotrkowskiej, dzięki czemu Alicja Mioduszevska była pierwszą reporterką, która dotarła na miejsce. A przynajmniej tak jej się wydawało. Zdążyła zebrać kilka informacji, zanim policjanci zapanowali nad chaosem wokół budynku i na wszystkie pytania zaczęli odpowiadać: „Bez komentarza”. Kiedy kilkanaście minut później funkcjonariuszy oblepili pozostali przedstawiciele mediów, licząc na zdobycie choćby strzępów wypowiedzi, nie byli w stanie uzyskać od nich nic, co dałoby się zacytować.

Alicja przeciskała się wówczas przez tłum gapiów.

Mężczyzna z ogorzałą twarzą i oddechem cuchnącym alkoholem:

– Widywałem ją, pewnie. Nie za często, ale widywałem. Młoda, wysportowana. Jak to mówią, dobrze wyposażona przez naturę. Chyba w miarę normalna, zwyczajna, porządna. Studentka, zdaje się. Co więcej można powiedzieć o człowieku?

Kobieta z fioletowymi włosami tworzącymi parodię irokeza:

– To ta studentka z czwartego piętra? Wydawała się taka spokojna, tajemnicza.



Jakby smutna. Albo zamyślona, sama nie wiem. Szkoda wielka. To znaczy szkoda, że to ona. Choć oczywiście byłoby też szkoda każdej innej osoby, którą by to spotkało. Tragedia. Po prostu tragedia.

Mężczyzna z sadłem wylewającym się spomiędzy niezapiętej kurtki:

– To zwykle kurwisko było. Bo to raz ją widziałem z jakimiś fagasami? Co rusz sprowadzała kogoś do mieszkania. Ta jej koleżanka też. Takie same były. Jeden czort. Może niezbyt poprawne będzie to, co powiem, ale chyba dobrze się stało, wie pani? Dobrze się stało, bo coś takiego nie mogło się ciągnąć w nieskończoność. Tak może uda się jakoś powstrzymać tę zarazę. A pani jak myśli? Coś to pomoże?

Kobieta ze łzami w oczach i makijażem spływającym z twarzy:

– Raz czy drugi widziałam ją w sklepie. To straszne. Taka młoda, grzeczna, uprzejma. Tyle życia miała przed sobą. Gdyby to był ktoś w moim wieku, jakaś pijaczka albo zła matka, toby nie było tak źal. Ale ona? Dwudziestoletnia dziewczyna? Boże kochany! Ja się teraz będę bać swoje dzieci na dwór wypuszczać, bo jeszcze ktoś je pozabija. W łeb da i będzie po wszystkim. I będzie koniec.

Alicja nie po raz pierwszy się przekonała, że ludzie to w zdecydowanej większości wariaci chorobliwie żądni sławy, choćby minimalnego zainteresowania ze strony jakiejś obcej osoby, albo panicznie bojący się wszystkiego, czego nie znajdują w swojej szarej codzienności. Tylko przez chwilę się łudziła, że znajdzie kogoś, kto powie jej coś, co będzie nadawało się do publikacji. Cokolwiek. Ale ludzie, którzy upierali się, że znali ofiarę, nie potrafili określić jej wieku ani opisać wyglądu. Jedni nie wierzyli, że ktoś mógł ją zamordować, inni bez zająknięcia wymieniali całą listę sprawców. Niektórzy traktowali język polski jako narzędzie służące wyłącznie do oddzielania rzucanych wściekle kurew. Z gburowatego bełkotu polskiej tłuszczy wyłaniał się dołujący obraz nizin społecznych, stworzonych z konfabulantów, pieniaczy i wypłoszów. Jedni nienawidzili drugich. Wszyscy nienawidzili wszystkich.

Muszę się stamtąd wydostać, pomyślała Alicja, zanim ten rozemocjonowany motłoch odbierze mi chęć do życia.

Szybkim krokiem pokonała kilkaset metrów i weszła do pierwszej kawiarni, na jaką trafiła po drodze. Zanim zamówiła kawę, poprosiła barmana o hasło do Wi-Fi. Zajęła miejsce przy najbliższym wolnym stoliku i wyciągnęła laptopa z torby. Pospiesznie spisała kilka informacji i zadzwoniła do Piotrka Wochońskiego, który pełnił w niedzielę dyżur w internetowej redakcji „Expressu”.

– Właśnie wysyłam ci dwa maile. W pierwszym znajdziesz krótkie wprowadzenie do sprawy, kilka faktów, które udało mi się ustalić, i wypowiedź policjanta, który zdążył cokolwiek powiedzieć, zanim starsi koledzy zatkali mu usta. Dasz radę to dodać do newsa?

– Jasne – odparł lapidarnie Piotrek.

– W drugim mailu znajdziesz kilka zdjęć budynku, w którym doszło do zabójstwa. Robiłam je w pośpiechu i przy słabym oświetleniu, więc na jedynek żadne z nich się nie nadaje. Warto je jednak wstawić do materiału.

– Pewnie. Poczekaj chwilę – powiedział Piotrek i zamilkł, żeby porozumieć się z kimś z redakcji. Po chwili oznajmił: – Zaraz do ciebie oddzwonię.

Dwie minuty później telefon Alicji zawibrował. Podniosła go ze stołu i zaklęła. Na wyświetlaczu pojawił się numer Kornelii Lemiesz, szefowej działu miejskiego i zastępczyni redaktora naczelnego. A przy okazji jedynej osoby w redakcji, której Alicja szczerze nie znosiła.

– Musimy popracować nad twoim tytułem – powiedziała na powitanie Kornelia.

– Dlaczego?

– Jest słaby.

Alicja zacisnęła dłoń na gorącej filiżance.

– Nudny. Nijaki. Lead zresztą też. Potrzebujemy kilku mocnych określeń, które wciągną czytelnika do gry.

– „Zabójstwo” jest według ciebie słabym określeniem, nie wciąga do gry? – zapytała, starając się zatuszować frustrację.

– Musimy to zmienić, w takiej formie tego nie puszczę. Zredaguję twój tekst, a ty postaraj się dowiedzieć czegoś więcej o sprawie.

Rozłączyła się.

Alicja wiedziała, w jaki sposób pracuje Kornelia i czym skończy się jej ingerencja w tekst. Zadzwoiła do Piotrka.

– Przepraszam – wymamrotał szeptem. – Doskoczyła do mnie, gdy tylko się zorientowała, że rozmawiam z tobą.

– Nie ma sprawy, znam ją nie od dzisiaj. Mam tylko jedną prośbę – powiedziała.

– Usuniesz moje nazwisko z tekstu?

– A co, wstydzisz się swojej pracy?

– Nie swojej. Jej.

Zapłaciła za niewypitą kawę, spakowała komputer do torby i wyszła z kawiarni.

Potworny ból głowy przywrócił Tomka Kawęckiego do życia. Suchość w ustach ledwo pozwalała mu przełknąć ślinę. Gdy ją przeciskał przez ciasny, uzbrojony w kolce przełyk, czuł się tak, jakby mu ktoś rozcinał nożem gardło. Musiało upłynąć kilkadziesiąt sekund, zanim na spuchniętej wardze wyczuł skrzepniętą krew i rozpoznał znajomy smak wymiocin.

Otwierał oczy i ponownie je zamykał, silnie zwierając przy tym powieki. Miał nadzieję, że zdoła dzięki temu przenieść rozrywający czaszkę ból na inne części ciała, na ramiona lub ręce, a przy odrobinie wysiłku nawet na nogi. Kiedy przyzwyczał się do cierpienia, począł rejestrować niewyraźne obrazy wyłaniające się z migawek. Próbował wędrować wzrokiem po klaustrofobicznym pomieszczeniu, w którym go umieszczono. Zaczynał reagować na bodźce słuchowe. Radio. Serwis informacyjny. Łódź. Zabójstwo. Strzępy informacji wpadały do jego świadomości, ale po chwili się ulatniały, a on tracił przytomność i zapadał w sen.

Po jednym z przebudzeń poczuł niespodziewany przypływ energii. Wspierając się na rękach, podniósł się z kanapy. Dopiero wtedy się zorientował, że nie leży w pomieszczeniu, tylko w samochodzie. I że na przednim siedzeniu pojazdu jest jakiś człowiek. Widział go jednak jak przez mgłę. Opuścił więc głowę, skupiając wzrok na umazanych wymiocinami spodniach.

– Obudził się.

Kawęcki ponownie uniósł swój ołowiany łeb. Długowłosa, potargana istota

z pryszczami na twarzy przyglądała mu się z lękiem, przyciskając do ucha telefon. Rozmawiając, a właściwie słuchając rozmówcy, usilnie próbowała wyciągnąć coś z kieszeni. W końcu wyjęła kluczyki i włożyła je do stacyjki. Czekwała na kogoś, nerwowo wyglądając przez uchylone okno samochodu. Kawęcki nie potrafił rozpoznać po głosie, czy to kobieta, czy zniewieściały mężczyzna.

Ale zrozumiał, co się stało. A w zasadzie – co się nie wydarzyło. Nie umarł. I nie zanosilo się na to, żeby miał umrzeć niebawem.

A to martwiło go najbardziej.

Kiedy ktoś pytał Witolda Ptaka o najstraszniejszą rzecz, z jaką spotkał się w pracy, on za każdym razem relacjonował tę samą historię.

Opowiadał o tym, jak jednego ze swoich pierwszych dni w policji, na początku lat dziewięćdziesiątych, wraz z partnerem Władysławem Górą, dobijającym pięćdziesiątki grubasem z esbecką przeszłością, wylądował w niedawno wybudowanym bloku na Teofilowie. Wszystko było w nim nowe: począwszy od domofonu przez śnieżnobiałą klatkę schodową, w której nadal pachniało farbą, na drzwiach antywłamaniowych skończywszy. Nawet mieszkańcy bloku wydawali się zupełnie nieużywani. Idealny obraz psuł jedynie zamek w drzwiach do mieszkania pod trójką, który wyglądał jak po interwencji domorosłego MacGyvera.

Opowiadając tę historię, Witold zawsze podkreślał, że gdy weszli do środka, omal nie podeptali zwłok. Mężczyzna, którego ciało blokowało wejście do mieszkania, miał na sobie białą koszulę, zaprasowane w kant spodnie i nienaganną fryzurę. W zasadzie od razu można było go kłaść do trumny. Podobnie jak jego żonę. Leżała kilka metrów dalej, ubrana w elegancką garsonkę, czarne rajstopy i buty na obcasie. Z jedną ręką wyciągniętą wzdłuż tułowia, a drugą uniesioną nad głową, przypominała kraulistkę. Natomiast w pokoju, do którego wstępu broniła drewniana kotara, znajdowało się ich dziecko. Maleńkie, najwyżej kilkutygodniowe. Do tego stopnia jeszcze nieukształtowane, że Witold i Góra nie potrafili określić jego płci. Wiedzieli tylko, że nie oddycha. Najprawdopodobniej od dawna.

Ale to nie ciała, na które natrafili w mieszkaniu, były w tym wszystkim

najgorsze. Nie to, że po przepracowaniu zaledwie kilku tygodni w policji natknął się na martwego noworodka, największy koszmar każdego policjanta. Najgorsze było to, że mieszkanie wydawało się sterylne. Nie unosił się w nim fetor rozkładających się zwłok, fekaliiów i Bóg wie czego jeszcze, tylko owocowy zapach środków czyszczących. Meble i podłogi pachniały cytrynowym płynem do mycia drewna, a łazienkę wypełniała intensywna woń kostek zapachowych. Stożące na szafce buty były nawoskowane czarną pastą. Wszystkie ubrania leżały na dnie szafy w identycznych kupkach, jak gdyby miały zaświadczyć o czyjejs pedantycznej dewiacji. Ale najgorszy był salon. To tam, w jego centralnym punkcie, znajdowało się kilkanaście fotografii noworodka, oprawionych w jednakowe białe ramki i w równych odstępach zawieszonych na ścianie.

Kiedy jednak Witold stał w przedpokoju mieszkania na Próchnika i ścisnął w zębach niezapalony papierosa, nie był pewien, czy nadal będzie opowiadał tę historię.

Bo właśnie zdobył lepszą.

– Telefon.

– Co?

Magda Giętka wycelowała w Witolda palcem.

– Telefon ci dzwoni. Odbierz.

Jej słowa dotarły do niego z dużym opóźnieniem. W końcu zdjął lateksowe rękawiczki, rozsunął suwak papierowego kombinezonu ochronnego, który musiał na siebie założyć, żeby móc obejrzeć miejsce zbrodni, i zanurkował do kieszeni. Przez dobre kilka sekund wpatrywał się w wyświetlacz telefonu. Przez kilka kolejnych obracał trzymany w ustach papierosa, bezmyślnie wpatrując się w Magdę. Był błądy. Bardziej niż ściany mieszkania na Teofilowie, do którego przed laty wparował z tłustym esbekiem, aby podziwiać efekty rozszerzonego samobójstwa.

– Aż tak źle? – zapytała Magda, która w pośpiechu wciskała się w kombinezon.

– Gorzej.

Witold wyciągnął w końcu papierosa z ust. Ścisnął go w dłoni.

– Nie wchodź tam – powiedział.

– Muszę. Taka praca. Poza tym nieźle się nakombinowałam, żeby ubrać się w to cholerstwo.

Witold wyciągnął rękę. Zagroził Magdzie drogę.

– Kiedyś mi za to podziękujesz – powiedział.

Magda zatrzymała się i spojrzała na niego. Nie żartował. Ale ona też nie. Chwyła jego rękę i powoli ją opuściła.

– Nie będę musiała. A przynajmniej nie za to.

Tomek Kawęcki długo gmerał w kieszeniach spodni. W końcu wyciągnął z jednej garść papierków, parę monet, banderolę po wódce i kilka połamanych, sypiących tytoniem papierosów. W drugiej znalazł jedynie puste pudełko po zapalkach i dziurę, przez którą musiała się ulotnić większość zawartości.

– Masz ogień? – wycharczał, po raz pierwszy od wielu godzin wydobywając głos z gardła.

– Tu nie wolno palić.

Policjant popatrzył na pryszczatą twarz nastolatka przypiętą do zbyt dużej głowy, którą z trudem utrzymywało wątłe ciało.

– Przecież to nie twój samochód.

– Skąd wiesz?

– Widziałeś kiedyś faceta, który we własnym samochodzie siedziałby na miejscu pasażera?

Kawęcki obnażył udawaną pewność siebie chłopaka. Małolat niemal zapadł się w sobie.

– Tym samochodem jeździ kobieta. Mężczyźni nie wieszają misiów pod lusterkami i nie przypinają futrzanych breloków do kluczyków. Chyba że są pedałami. – Kawęcki uchwycił w lusterku wzrok chłopaka. – Jesteś pedałem?

– Nie jestem.

– A mówisz i wyglądasz jak pedał.

Małolat milczał, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Miał pilnować cywilizowanego człowieka z problemem alkoholowym. Niegroźnego

i małomównego. Tymczasem wpatrywał się w niego agresywny brudas przypominający narkomana na głodzie. Można było się po nim spodziewać okropnych rzeczy. Również tego, że za chwilę się na niego rzuci i rozłupie mu głowę o kierownicę. Zastanawiał się, czy Witold nie zrobił go w pilnowanie jakiegoś przestępcy.

– Ile masz lat? – zapytał Kawęcki.

– Dziewiętnaście.

– Niewykluczone, że jeszcze nie jesteś świadomy swojej orientacji. Chłopaki w twoim wieku, zamiast rozmawiać, obrzucają się gównem. Wyzywają się od ciot i wyliczają, kogo i ile razy dymali Murzyni. Nakręcają się wzajemnie, tworząc środowisko, w którym posuwający się faceci uchodzą za największych zwyrodnialców. Może się okazać, że odrzucasz swój homoseksualizm podświadomie, byle nie być zgnojonym przez otoczenie.

– Nie jestem pedałem!

Podnosząc głos, chłopak odzyskał pewność siebie. Witold by mi tego nie zrobił, pomyślał. Nie zostawiłby mnie z jakimś pieprzonym zbirem.

– Nieważne. Mówisz, że nie palisz?

– Nie.

– A potrafisz uruchomić zapalniczkę samochodową?

– Tu nie ma zapalniczki.

– A co jest?

– Transmitter.

– Co?

– Transmitter. Można do niego podłączyć pendrive'a lub kartę SD. To CQ-118, jeden z najtańszych transmitterów na rynku. Obniża jakość dźwięku, generuje szumy i trudno go wyregulować. Dokąd idziesz?

Tomek Kawęcki uchylił drzwi i zaczął przesuwając zbolące ciało w stronę wyjścia. W głębokim poważaniu miał parametry urządzenia, które bezprawnie zajęło miejsce zapalniczki samochodowej. Interesowało go jedynie, jak zdobyć ogień.

Kiedy wydostał się z pojazdu, nie żałował trudu, jaki go to kosztowało. Późne promienie słoneczne przebijały się przez chmury, rozświetlały betonowy parking i tłumili typową późnozimową ponurość. Przypomnił sobie studenckie czasy, kiedy we wczesnych godzinach porannych przedzierał się przez centrum miasta. Zamroczony alkoholem, chłonał pierwsze symptomy wiosny. Lubił nietrzeźwość. Stan beztroski, pogardy dla lęków i przeciwności losu, spychania w odmęty świadomości obaw o terażniejszość i przyszłość. Dlatego żałował, że od kilku lat tak rzadko bywał wstawiony. Że od niezachwianej trzeźwości przechodził od razu do stanu podłego i posępnego upojenia. Że tak gwałtownie zatapiał się w rynsztokową rzeczywistość.

– Masz ogień? – zaczął jednego z dwóch siedzących na chodniku meneli.

Obdartus pokręcił głową, co nie musiało oznaczać, że nie ma ognia. Mógł po prostu nie zrozumieć pytania.

– A ty? – zapytał Kawęcki drugiego męta.

– Może mam, a co? – wychrypiął tamten głosem zwiastującym raka krtani.

– Chciałem ci zaproponować układ. Dasz mi ogień, a ja dam wam po papierosie.

Kawęcki pochylił się, z trudem utrzymując równowagę, i pokazał parze bezdomnych zawartość swojej dłoni. Menele zerknęli zachłannie na wymięte kawałki papierosów i szybko porozumieli się spojrzeniami. Jeden z nich zanurkował do kieszeni i wyjął pudełko zapalek.

– Dawaj – powiedział.

Obaj bezdomni i policjant rozsiedli się na murku i w milczeniu palili coś, co kiedyś musiało być papierosami. Na pierwszy rzut oka wyglądali na ludzi tego samego sortu, fabrycznie uszkodzonych i skazanych na błyskawiczną eksploatację. Różnili się tylko sposobem palenia. Bezdomni zaciągali się zachłannie, co rusz pokaszując i spluwając wpadającymi im do ust drobinami tytoniu. Kawęcki palił wolniej, z namaszczeniem wciągając dym w płuca i powoli go wypuszczając. Przypominał arystokratę, który przypadkiem trafił na ulicę.

W pewnym momencie na ramieniu Kawęckiego wylądowała ciężka ręka i pociągnęła go za sobą. Zanim się zorientował, co się stało, ponownie znalazł się



na tylnym siedzeniu auta, z nowym guzem na głowie. Tyle że tym razem w towarzystwie rozwścieczonego Witolda Ptaka.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz! – pieklił się Witold.

Zacisnął pięść i złożył się do uderzenia, ale nie wyprowadził ciosu. Rozprostował palce, a po chwili zacisnął je ponownie na zagłówek fotela. Jeszcze długo po tym, jak go puścił, widniały na nim deformacje spowodowane przez jego stalowy uścisk.

– Masz w ogóle pojęcie, co się stało?

– Zgubiłem papierosa. Podejrzewam, że jesteś za to przynajmniej częściowo odpowiedzialny.

– Nie zgrywaj się. Pamiętasz cokolwiek?

Kawęcki skrzywił się w głupkowskim uśmiechu.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

– „Kiedy wypijam ostatni kieliszek, wtedy piję tym bardziej, ponieważ ostatniego kieliszka nie wypilem nigdy”<sup>1</sup> – wybełkotał w afektowany sposób Kawęcki.

Witold opuścił szybę i zapalił papierosa.

– Tu nie wolno palić. – Małolat wciąż zasiadał na przednim siedzeniu, przysłuchując się mężczyznom, którzy zapomnieli o jego obecności.

– Wyjdz, proszę, zanim dam ci w łeb za to, że pozwoliłeś mu wysiąść – powiedział Witold, rzucając chłopakowi ukradkowe spojrzenie spod pomarszczonego czoła.

Małolat błyskawicznie ulotnił się z auta.

– Nie chcesz być poważny? Nie szkodzi. Ja będę. Opowiem ci, co się stało. Nie będzie to jednak historia o tobie. Opowiem ci o dziewczynie, której poćwiartowane ciało właśnie widziałem.

Witold osiągnął swój cel. Z twarzy Kawęckiego zaczął się zsuwać irytujący uśmiech.

– Kilkaset metrów stąd, w kamienicy na Próchnika, znaleźliśmy martwą kobietę. Ktoś ją zaszlachtował. Choć nie wiem, czy „zaszlachtował” to odpowiednie słowo

– powiedział Witold. – Jej ciało było w kawałkach. Kilkunastu. Ktoś porąbał ją siekierą.

Kawęcki milczał. Jego obolała głowa wolno przetwarzała przyswojone przed chwilą informacje.

– Daj mi papierosa – poprosił po chwili.

– Nie, nie będziesz teraz palić. Za półtorej godziny ma się odbyć konferencja prasowa. Po niej mamy zebranie, na którym Szczebiot uformuje grupę śledczą. Spróbuję je przesunąć, a ty doprowadzisz się do porządku. W bagażniku masz czyste ubrania i przybory kosmetyczne. Odśwież się i przebierz. Kup sobie coś do jedzenia. W drodze na komendę opowiem ci, co wiadomo o zabójstwie.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Martyna Bułeczka.

Tomek Kawęcki skinął powoli głową i wyciągnął rękę po banknot, który Witold wydobyl z portfela.

– Jesteś mi winny pięćdziesiąt złotych, które zapłaciłem temu gówniarzowi, żeby cię pilnował. I dwadzieścia złotych, które daję ci teraz. Oraz flaszkę, za fatygę. Ale jeśli kupisz za te pieniądze wódkę zamiast jedzenia, nie będziesz musiał mi nic oddawać, ponieważ urwę ci łeb. Rozumiesz?

– Kupię papierosy i wodę.

– Nie kupuj szlugów – powiedział Witold, wyrzucając przez okno wypalonego do połowy papierosa. – Nie słyszałeś młodego? Tu się nie pali.

– A czyj to samochód?

– Magdy. Zaczniij się do niego przyzwyczajając.

Menedżer powinien delegować zadania i efektywnie rozdzielać pracę.

Menedżer powinien umiejętnie zarządzać czasem, zarówno swoim, jak i pracowników, którzy mu podlegają.

Menedżer powinien ufać podwładnym.

Mariusz Szczebiot wściekał się, przypominając sobie teorie, które zapamiętał z jednej z wielu książek dotyczących zarządzania i przywództwa. Zaczytywał się w nich od kilku miesięcy, choć właściwie nie wiedział, czy ma to jakikolwiek sens.

Z każdą książką nabierał przekonania, że piszą je niekompetentni cwaniacy nastawieni na łatwy zarobek. Wypisują rady coachów i ekspertów od zarządzania, które ich zdaniem mają uniwersalne zastosowanie. Tymczasem, jak uważał Szczebiot, żadna rada nie może go mieć, ponieważ wszędzie tam, gdzie czynnik ludzki odgrywa choćby minimalną rolę, teorie biorą w łeb. A rzeczywistość zawsze przynosi rezultat gorszy od spodziewanego.

Dlatego w życiu Mariusz Szczebiot uznawał tylko dwie teorie, których nie znalazłby w żadnym menedżerskim podręczniku: Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione dobrze, zrób to sam. I nigdy nie ufaj ludziom.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji dreptał po korytarzu, nerwowo zerkając w kierunku schodzących się do budynku dziennikarzy. Co kilkanaście sekund przyciskał do ucha telefon, a następnie, zdenerwowany, wpychał go z powrotem do kieszeni. Konwulsyjnie poprawiał swoją nienaganną fryzurę – krótko ostrzyżone czarne włosy z niewielką, lekko podniesioną grzywką – i strzepywał niewidzialne okruchy z munduru. Nie miał pojęcia, co zrobić z rękoma, które zdawały się służyć mu wyłącznie do ściągania spojrzeń zdeorientowanych kolegów. Już nawet nie łudził się, że podczas konferencji prasowej zdoła zapanować nad stresem. Miał jedynie nadzieję, że przed tą bandą żądnych sensacji pajaców nie skompromituje się do reszty.

Kiedy zobaczył na korytarzu Witolda Ptaka, momentalnie ruszył w jego stronę. Wskazał mu palcem puste pomieszczenie, w końcu znajdując jakieś zastosowanie dla swoich rąk. Będąc już poza zasięgiem wzroku pozostałych policjantów, wręczył Witoldowi zadrukowaną do połowy i złożoną we czworo kartkę.

– To jest treść komunikatu, który przedstawimy mediom – oznajmił.

Witold rozłożył kartkę i szybko przebiegł ją wzrokiem.

– Poważnie?

– Tak.

– Ale przecież tu nie ma żadnych informacji. Niczego się nie dowiedzą.

– A czy zależy nam, żeby dużo wiedzieli? Jeśli ludzie się dowiedzą, że jakiś psychopata zaszlachtował atrakcyjną dziewczynę, zlecą się sępy i zaczną dziobać.

Przez kilka dni będą nas zamęczać wszystkie ogólnokrajowe telewizje. A to sprawi, że góra zacznie jeszcze mocniej naciskać, żebyśmy szybko rozwiązali sprawę. Tego nie chcemy. To znaczy chcemy szybko rozwiązać sprawę, ale nie chcemy, by wywierano na nas nacisk.

Szczebiot zrobił kilka kroków w miejscu, po czym poluzował krawat. Pocił się, jakby był na bieżni.

– Jesteś pewien, że to dobra strategia?

– Gdybyśmy wszystko dali im od razu, toby nas rozszarpali. Dlatego musimy dozować wiedzę. Codziennie będziemy podrzucać strzępy informacji, powoli oswajając ich z tym, co się wydarzyło. Rozumiesz?

Witold wsparł się pod boki i głośno sapnął, okazując w ten sposób dezaprobatę wobec władczego tonu szefa. Niektórzy w wydziale mówili, że Szczebiotowi nie służy władza, którą dostał wraz z objęciem funkcji naczelnika. Sprawiała, że stał się arogancki, nieuprzejmy, nieufny i z jakiegoś powodu przekonany o swojej wyższości nad niedawnymi kolegami, często starszymi od niego. Inni twierdzili, że zawsze taki był. Tyle że ukrywał to pod fasadą nieszczerego uśmiechu i poufałego klepania po plecach. Witold zaliczał się do tych drugich.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – zapytał Szczebiot, próbując zmienić temat. – To nieludzkie. Ten pokój wyglądał jak ubojnia.

– Wiem, jak wyglądał – odburknął Witold. – Właśnie próbuję wyrzucić ten widok z pamięci.

– Czy mamy DNA sprawcy?

– Prawdopodobnie tak.

– Prawdopodobnie?

– Musimy poczekać na analizę nasienia znalezionej w pochwie ofiary. Nie zdziwiłbym się, gdyby w tym chaosie zostało zanieczyszczone czymś, co nie pozwoli dokonać odczytu.

Naczelnik ze zrozumieniem pokiwał głową, po czym zerknął na zegarek. Do rozpoczęcia konferencji zostało piętnaście minut. Czuł, że coraz mocniej pocą mu się dłonie.

– Gdzie jest Kawęcki? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – odparł Witold. – Ostatni raz widziałem go godzinę temu.

– Dlaczego nie było go na miejscu zbrodni?

– Był, ale ulotnił się, zanim przyjechałeś. Już ci to mówiłem.

– Mówiłeś też, że pojechał coś sprawdzić. Coś, co nie może czekać. I nie powiedział, co to takiego?

– Nie.

– A ty nie byłeś na tyle ciekawy, żeby go o to zapytać?

– Wiem, kiedy nie warto zadawać mu pytań.

Witold włożył ręce do kieszeni i wymacał palcami wygniecioną paczkę papierosów. Miał ochotę zapalić. Najlepiej dwa naraz. Tak, by każde zaciągnięcie raniło jego płuca i wyżerało wszystko, co znajduje się na drodze łączącej je z ustami. Wiedział, że Szczebiot przejrzał jego kłamstwa i że z trudem się powstrzymuje, by mu tego nie wygarnąć.

– Znowu zaczął chlać? – zapytał naczelnik.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Witold przypomniał sobie, jak kilka godzin wcześniej trzymał głowę Kawęckiego, żeby nie zakrztusił się rzygami. Jak wpychał jego bezwładne ciało na tylne siedzenie samochodu.

– Dzisiaj wydawał się trzeźwy – dodał.

Szczebiot ponownie zerknął na zegarek. Dwanaście minut. Nie miał czasu martwić się ewentualną kompromitacją podwładnego, kiedy wielkimi krokami zbliżała się jego własna.

– Dopilnuj, żeby przyszedł na jutrzejszą odprawę. Trzeźwy. W przeciwnym razie wykluczę go ze śledztwa.

Może tak byłoby lepiej, pomyślał Witold, kierując się do wyjścia.

Tomek Kawęcki patrzył, jak pod jego stopy spływa mocz ściekający z tylnej ściany nieczynnego kiosku. Zapiął rozporek, mocując się z guzikami. Schylił się po stojącą obok powstałej właśnie kałuży puszkę piwa i opróżnił ją kilkoma haustami. Beknął, uwalniając smród strawionego alkoholu i taniej zapiekanki, którą zjadł

kilka minut wcześniej. Po raz pierwszy tego dnia mógł powiedzieć, że czuje się przyzwoicie. A przynajmniej nie tak, jakby pod wpływem najdrobniejszego ruchu miał się rozpaść na kawałki.

Zapalił papierosa. Z kieszeni lekkiej wiosennej kurtki, której nie widział od przynajmniej kilku lat i nie pamiętał, w jaki sposób znalazła się na jego grzbiecie, wyciągnął telefon z popękanyim wyświetlaczem. Miał siedemnaście nieodebranych połączeń, większość od Magdy i Szczebiota. Otrzymał też jednego esemesa. Od Witolda.

*Próbowałem przekonać Szczebiota, że pojechałeś sprawdzić coś, co ma związek ze sprawą. Nie uwierzył mi. Odprawa rozpoczyna się o ósmej. Przeczytaj raport, który Ci wysłałem, i przyjdź na nią przygotowany. A przede wszystkim zacznij odbierać ten jebany telefon.*

Kawęcki rzucił niedopałek pod nogi. Włożył do ust gumę do żucia i zaczął ją energicznie przeżuwać. Obmacał kieszenie, upewniając się, że ma odznakę i dokumenty, po czym ruszył w kierunku ulicy Próchnika.

Kamienica niczym się nie wyróżniała. Przed laty wraz z sąsiadującymi z nią budynkami musiała stanowić bardzo atrakcyjną lokalizację w tętniącej rytmem robotniczego życia Łodzi. Usytuowana była zaledwie kilkaset metrów od Piotrkowskiej, towarzyskiego i kulturalnego centrum miasta, nieopodal zakładów włókienniczych i wystawnych domów wielkich fabrykantów. Ale ślady świetności tego miejsca zostały skutecznie zatarte. Zmył je kryzys i upadek przemysłu włókienniczego. Resztę zdeptali dawni robotnicy, biedujący, głodni, częściej wybierający się do monopolowego niż do pracy. Gustowne elewacje niszczały, a jedyne zabiegi renowacyjne prowadzili młodzi gniewni, szalikowcy albo zwykli dresiarze, zostawiając na ścianach bezmyślne bazgroły lub odciski butów. Na niegdyś urokliwych balkonikach dziś wisiały sprane prześcieradła, postrzępione obrusy i podarte portki.

Policjanci znali takie miejsca zbyt dobrze. To tu byli wzywani przez mieszkańców zaniepokojonych odgłosami dochodzącymi zza ścian. Zazwyczaj

przyjeżdżali do awantur domowych, mężów tłukących żony, konkubentów gwałcących konkubiny albo pozwalających na to innym w zamian za pieniądze. Przyjeżdżali do mężczyzn i kobiet trzymających papierosy w dziurach pomiędzy połamanymi zębami, spluwających i smarkających na podłogę. Do humanoidalnych stworów, którym ewolucja wyrządziła psikusa, w równym stopniu upodabniających się do ludzi, jak do wstrętnych elewacji budynków, w których przyszło im dogorywać.

Ale oprócz nich w tego typu budynkach mieszkali młodzi łodzianie i przyjezdni z pobliskich wsi. Zazwyczaj bardziej zagubieni od lokalnych mętów. A przy tym piekielnie zdolni. Zawieszeni między Akademią Muzyczną, filmówką i Akademią Sztuk Pięknych. Podróżujący po świecie, znający języki obce, rozsmakowani w kulturze. Z premedytacją przedkładający złożoność nad prostotę. Celowo wynajmowali jamy w takich kamienicach, ponieważ chcieli żyć blisko centrum, miejscowego elementu i miejskiego folkloru. W gnijącym sercu miasta odnajdywali piękno, które kryło się głęboko pod powłoką kurzu, brudu i marazmu.

Być może dwudziestoczteroletnia Martyna Bułęcka była jedną ze zbłąkanych dusz, które w łódzkim piekle szukały sensu życia, a znalazły niewyobrażalne cierpienie. Tego Tomek Kawęcki zamierzał się dowiedzieć. Na razie znał tylko jej imię, nazwisko i adres.

Budynek, w którym mieszkała ofiara, opustoszał dopiero kilkanaście minut po północy. Wtedy pracę zakończyli lekarz medycyny sądowej, policyjni technicy i funkcjonariusze, którzy przez kilka godzin przesłuchiwali sąsiadów i potencjalnych świadków. Przed kamienicą kręcił się jeden policjant. Maszerował w tę i z powrotem, robiąc, co tylko się da, żeby zbyt nie zmarznąć. Kawęcki machnął mu przed nosem legitymacją policyjną i pewnym krokiem wszedł do budynku.

Martyna Bułęcka wynajmowała mieszkanie na ostatnim, czwartym piętrze kamienicy. Prowadziły do niego betonowe schody i szerokie korytarze, w których dobrze niósł się dźwięk. Sąsiedzi musieli wyraźnie słyszeć wszystkie stąpania, kasznięcia i krzyki, zwłaszcza że drewniane drzwi broniące dostępu do większości

mieszkań nie wyglądały na dźwiękoszczelne. To samo tyczyło się wejścia do lokum Martyny Bułeckiej, przed którym rozpościerała się biało-niebieska taśma odgradzająca z napisem POLICJA, który niemal zlewał się z bliźniaczym nadrukiem na kamizelce siedzącego obok policjanta.

– Komisarz Tomasz Kawęcki.

Młody policjant rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, a potem przyjrzał się jego legitymacji policyjnej. Szukał podobieństw między człowiekiem ze zdjęcia a wrakiem mężczyzny, który się przed nim zameldował.

– To zdjęcie sprzed kilku lat. Tutaj bardziej przypominam siebie. – Kawęcki podał policjantowi dowód osobisty. – Czas nie jest dla mnie łaskawy – powiedział.

Policjant przeniósł wzrok na listę osób uprawnionych do wejścia do mieszkania. W końcu oddał Kawęckiemu legitymację i dowód, a z obszernej torby wydobył kombinezon ochronny.

– Proszę to założyć, komisarzu. Technicy nie zdążyli zająć się dzisiaj wszystkim. Dokończą jutro.

– A co już zrobili?

– Na pewno zabrali zwłoki.

Kawęcki wciskał się w papierowy strój, starając się wykonywać jak najmniej ruchów, aby nie rozpylać fetoru swojego ciała. Młody policjant przyglądał mu się uważnie, zastanawiając się, czy wpuściwszy pijanego komisarza na miejsce zbrodni, zasłużył na większy gniew przełożonych, niż gdyby zabronił mu tam wstępu.

– Będzie mi to potrzebne? – zapytał Kawęcki, wskazując na opakowanie maści mentolowej, które leżało w torbie.

– Jeżeli przeszkadza panu zapach krwi, to tak.

– Uwielbiam go. Zwłaszcza o poranku.

Młody odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem, podając listę do podpisania. Potem zszedł na półpiętro.

Kawęcki wszedł do mieszkania, schylając się pod policyjną taśmą, i zapalił światło. Kiedy tylko znalazł się w środku, w nozdrza uderzyła go charakterystyczna



metaliczna woń. Rozejrzał się po przedpokoju, starając się nie zaglądać do pomieszczenia, w którym, jak wywnioskował z rozstawu policyjnych oznaczeń, jeszcze niedawno znajdowały się zwłoki. Najpierw jego uwagę przykuła okrągła plama na zniszczonej brązowej wykładzinie, prawdopodobnie po wymiocinach, a potem stojąca przy drzwiach wejściowych szafka na buty, na której równo ustawiono cztery pary damskich pantofli. Podniósł pierwszą z nich i przyjrzał się podeszwom. Były czyste. Czyste letnie buty pod koniec mroźnej zimy. A nad nimi pusty wieszak na kurtki i opróżniona z ubrań szafa.

Patrząc przed siebie, Kawęcki ruszył w głąb wąskiego przedpokoju. Mieszkanie nie było duże, najwyżej trzydziestokilmetrowe, za to wysokie, jak w większości łódzkich kamienic. Wyremontowane i odświeżone mogłoby wyglądać ładnie, ale najwyraźniej nikt w nie od lat nie inwestował. Mimo to wydawało się wyjątkowo zadbane. Nic nie wskazywało na to, że parę godzin wcześniej przewinęło się przez nie kilkanaście osób w kombinezonach ochronnych. To znak, że technicy i policjanci dobrze wykonali swoją pracę.

Na końcu mieszkania znajdowało się małe kwadratowe pomieszczenie, zapewne należące do współlokatorki zamordowanej dziewczyny. Zdecydowanie różniło się od przedpokoju. Pełno w nim było drobiazgów i szpargałów, gęsto poupychanych w szafkach i zajmujących większość jednego biurka. Drugie, dostawione obok, było puste. Na niedokładnie zasłanym łóżku leżała sterta ubrań oraz pościel. Obok niego stała niedomknięta szafa. Gdy Kawęcki rozsunął drzwi, wysypało się z niej kilka par czarnych kozaków i parę kurtek. Pewnie zawartość wieszaków i szafki z przedpokoju. Na parapecie ledwo mieściły się doniczki z różnokolorowymi kwiatami.

Wrócił na korytarz i zajrzał do łazienki. Gdy włączył światło, zobaczył idealnie wysprzątane pomieszczenie. Pochylił się, żeby podnieść klapę toalety. Poczował silny chemiczny zapach cytrynowego detergentu. Następnie przyjrzał się uważnie odpływom w zlewie i w wannie. Nie dostrzegł ani jednego włosa. Podobne oględziny przeprowadził w kuchni. Potwierdziły jego przypuszczenia: mieszkanie było idealnie wysprzątane. Nienaturalnie czyste. Żaden, nawet najbardziej

pedantyczny domownik nie byłby w stanie utrzymać w nim takiego porządku. Wyjątek stanowił jedynie mały kwadratowy pokój.

Oraz pomieszczenie, które Kawęcki zostawił sobie na koniec.

Zabójca najwidoczniej chciał dać wszystkim do zrozumienia, gdzie dokonał zbrodni. A właściwie – gdzie stworzył swoje dzieło. Widząc zalane krwią ściany, pokryte niezliczonymi czerwonymi plamami o najróżniejszych kształtach, Kawęcki miał wrażenie, że ogląda obraz abstrakcjonisty, który wewnątrz niewielkiej podłużnej izdebki potraktował jak płótno. Na rozłożonej kanapie, jedynym meblu w pomieszczeniu, nie licząc przymocowanej do sufitu lampy, artysta zostawił ślady swojego pędzla. Stara wersalka była połamana w kilku miejscach, w innych przecinały ją głębokie nacięcia. Na Kawęckiego spoglądało jej puste wnętrze, które roiło się od krwawych plam przypominających niepożądane, choć nieszkodzące dziełu zacieki. Brakowało tylko bohaterki portretu. Wymknęła się z obrazu w kilkunastu plastikowych torbach.

Powiniennem być pieprzonym krytykiem sztuki, a nie śledczym, pomyślał Kawęcki.

Odruchowo sięgnął do kieszeni, ale strój ochronny zagroził mu dostęp do papierosów.

Zaklął pod nosem i pospiesznie wyszedł z mieszkania.

– I jak, dowiedział się pan czegoś? – zagadnął go młody policjant.

– Tylko tego, że nie lubię malarstwa.

Kawęcki ściągnął kombinezon, rzucił go w kąt i bez pożegnania opuścił budynek. Zapalił papierosa i mocno się nim zaciągnął. Wszedł do pierwszej napotkanej bramy, oparł się o mur i sięgnął po telefon. Uruchomił transfer danych i otworzył skrzynkę pocztową. Spośród kilku otrzymanych tego dnia wiadomości tylko jedna miała dla niego jakąkolwiek wartość – ta od Witolda, zatytułowana „Martyna.Bułęcka\_raport”. Kawęcki otworzył plik i zjechał na dół dokumentu, pomijając notatkę policyjną. Skoncentrował się na zdjęciach ofiary.

Rozdygotane palce sunęły po ekranie, co chwila ujawniając przerażające szczegóły zbrodni. Policyjny fotograf wyodrębnił każdą część ciała, która została

oderwana od tułowia denatki: począwszy od pojedynczych fragmentów palców, a skończywszy na głowie, z piękną twarzą młodej kobiety. Ofiara miała duże piwne oczy, wypielęgnowane brwi i wyraziste usta. Krew lepiła się do jej długich jasnych włosów.

Kawęcki wrócił do notatki. Dowiedział się z niej, że Martyna Bułecka została przywiązana do rozłożonej wersalki, zgwałcona, o czym miały świadczyć zaschnięte ślady spermy na jej udach, a następnie poćwiartowana. Sprawca prawdopodobnie najpierw okaleczył jej narządy płciowe, potem zaś rozkawałkował ciało, rozrzucając jego części po pokoju niczym niepasujące do siebie puzzle. Pierwszą osobą, która ujrzała tę makabrę, była Weronika Tarnawska, współlokatorka Bułeckiej. Gdy tylko to zobaczyła, zwymiotowała. Kawęcki przypomniał sobie okrągłą plamę na wykładzinie. Zastanowił się, czy to dzieło Tarnawskiej, czy któregoś z policjantów.

Zgasił papierosa pod butem i wybrał numer Witolda.

– Czy wiesz, która jest godzina?

Witold był zły, ale nie zaspany. Po tym, co zobaczył, zapewne nie mógł usnąć.

– Mniej więcej.

– Czego chcesz?

– Byłem na miejscu zbrodni.

– I co w związku z tym?

– Nic. Po prostu uznałem, że powinienes wiedzieć.

– To twój zasrany obowiązek. Nie mogę się z tego powodu cieszyć.

– Nie dzwonię, żeby cię uszczęśliwić. Chcę, żebyś po mnie jutro przyjechał. Nie dotrę na komendę o własnych siłach.

Kawęcki rozłączył się, zanim Witold zdążył zaprotestować.

Schował telefon do kieszeni i wyciągnął kolejnego papierosa. Zapalił go, po czym sięgnął do górnej kieszeni kurtki, w której schował dwustumililitrową butelkę czystej wódki. Opróżnił ją w dwóch krótkich podejściach i roztrzaskał flaszkę o beton. Ruszył przed siebie.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu Próchnika z Zachodnią. Spojrzał na rozświetlony

szyl d sklepu monopolowego. Ciężko westchnął. Po długim namyśle ruszył w przeciwną stronę. W stronę Radogoszcza. W stronę domu.

**J**akuba Możejke przeszył smutek. Ten rodzaj smutku, którego źródło trudno zlokalizować. Na moment rzucający cień na wszystko, co znajduje się wokół. Wysysający z życia cały sens, podający w wątpliwość prawdy, które uznawało się za obiektywne i niepodważalne. Sprawiający, że każda wizja kolejnych minut, dni, tygodni czy lat, które dopiero mają nadejść, wydaje się nieprzyjemna.

Tego typu uczucie nękało go od czasu do czasu. Zazwyczaj tuż po orgazmie.

Przez dłuższą chwilę siedział na skraju łóżka, głośno dysząc. Ze splecionymi rękoma opartymi na kolanach, lekko zgarbiony. Zdawało mu się, że słyszy jedynie bicie swojego serca, mocne i przyspieszone. Jakby wokół niego nic się nie działo. Jakby jego świat kończył się tam, gdzie zaczyna się powłoka okalająca rozgrzane, spocone ciało.

Z odrętwienia wyrwał go damski głos, który próbował przebić się przez tę powłokę.

- Co mówisz? – zapytał Możejko.
- Ty pieprzony dupku!

Kobieta chciała powiedzieć, a właściwie wykrzyczeć, coś jeszcze, ale powstrzymał ją kaszel. Zakryła usta dłońmi i zaczęła wściekle się miotać, jakby za chwilę miała wypluć płuca. Na jej zaczerwienionej twarzy pojawił się ból.

– Ty cholerny gnoju! – warknęła i wytarła chusteczką obślinione usta. – Co to miało być?

Możejko zostawił swój smutek za sobą i wrócił do rzeczywistości. Nie rozumiał, skąd wzięła się wściekłość dziewczyny. Zrobili to, na co się umawiali, bez jakichkolwiek odstępstw od planu, bez udziwnień. A jednocześnie było inaczej niż zazwyczaj. Nie tak, jak to sobie wyobrażał. Nie chodziło jednak o samą fizyczność, ale o to, co tkwiło w jego głowie. A było to coś, co nie miało żadnego związku z kaszlącą dziewczyną.

– O co ci chodzi? – zapytał, spodziewając się ataku.

– O co mi chodzi? O gówno! Pieprzony zboczeniec. Nie potrafisz nad sobą panować, co?

Zaczęła ubierać się w pośpiechu. Drżącymi rękoma zapięła stanik i rzuciła Mozejce pełne nienawiści spojrzenie, jedno z wielu, które dla niego szykowała.

– Mam pomysł. Zadzwoń do swoich znajomych, powiem im, jak się zachowałeś, a oni odpowiednio ci się za to odpłacą. Wiesz jak? Jeden zerznie cię w dupę, a drugi wsadzi ci go do gęby tak głęboko, że się porzygasz.

„Tak głęboko, że się porzygasz”. Możejko w końcu zrozumiał, co wydarzyło się kilka chwil wcześniej. Pojął, że się zagalopował. Nie wiedział tylko, dlaczego tak się stało.

– Przepraszam – powiedział. – Nie miałem pojęcia, że do tego doszło. Nie chciałem cię upokorzyć ani tym bardziej zrobić ci krzywdy.

– Ale zrobiłeś. I gówno mnie obchodzi, co sobie myślałeś!

Podniósł się z łóżka i włożył majtki. Spojrzał na podłogę, na której walały się chusteczki. Dziewczyny zwykle po sobie sprzątały, jakby nakazywał to obowiązujący w ich fachu savoir-vivre, ale w tym wypadku nie mógł na to liczyć. Wiedział, że jak tylko ona się ubierze i poprawi makijaż, gniewnie chwyci swoją tandetną różową torebkę i wyjdzie, a cały ten syf, z jego i jej wydzielinami,

zostanie na podłodze.

– Jestem całkowicie winien tego, co się stało. Pozwól, że ci to wynagrodzę – powiedział, wyciągając portfel ze spodni przewieszonych przez oparcie krzesła. – Twoja wściekłość jest zupełnie uzasadniona, a ja nie mam nic na swoją obronę. Już cię przeprosiłem. Teraz mogę ci tylko za to zapłacić jak za dodatkową usługę.

– W dupę sobie wsadź te... – Ugryzła się w język. – Takich jak ty powinni leczyć albo trzymać w klatkach. Jesteście gorsi niż zwierzęta.

– Po tym, co zrobiłem, nie zamierzam z tobą polemizować.

– Pierdol się! – Sięgnęła po wyciągnięty w jej stronę banknot, wściekle wpatrując się w twarz Możejki, na której mimowolnie pojawił się szyderczy uśmiech.

Kiedy rzucając ostatnie wyzwiska, trzaskała drzwiami, on był już w salonie, gdzie łapczywie pił wodę i drapał się po podbrzuszu. Dopiero gdy jego mieszkanie wypełniła cisza, zaczął sobie przypominać, co się wydarzyło przed paroma minutami. Bo choć kobieta słusznie miała mu za złe jego zachowanie, a jej brak wiary w jego dobre intencje był całkowicie uzasadniony, on naprawdę tego nie planował. Umawiali się, że gdy będzie zbliżał się koniec, ona uklęknie i włoży go sobie do ust. Nie było mowy o tym, że złapie ją za włosy. Ani że przyciągnie do siebie. Ani że zacznie energicznie poruszać biodrami.

Skłamał natomiast w innej kwestii. Nie uważał, żeby był w całości winien tego, co się stało. Zdecydowanie nie.

Włożył koszulę, tę samą co wczoraj, i zamknął drzwi, które prostytutka niemal wyrwała z futryny. Wrócił do salonu i włączył komputer. Zastanawiał się, czy powinien odpisać na zaległe maile, wziąć się za sprawdzanie grafomańskich wyczynów swoich studentów, czy może przejrzeć serwisy internetowe, aby uporządkować wiedzę na temat wydarzeń minionego weekendu. Wybrał opcję czwartą. Wszedł na stronę pornhub.com i w wyszukiwarce serwisu wpisał: *facefuck cum in mouth blowjob pov*.

Spojrzał na zegarek. Była siódma dziesiąta. Miał zatem piętnaście minut. Potem będzie musiał wyjść do pracy.

Dwie tabletki przeciwbólowe. Prysznic. Golenie. Kawa. Dużo kawy. O śniadaniu pomyśli później. Zresztą i tak nie miał go z czego zrobić.

Tomek Kawęcki dawno temu pogodził się z tym, że nie będzie się zdrowo odżywiać. Przestał na zjadane w pośpiechu kanapki, hamburgery, zapiekanki, kebaby. Czasem sajgonki lub panierowane piersi kurczaka, jeśli starczyło mu czasu na wizytę w azjatyckim barze. Nie gotował, bo nie potrafił. I nie miał ochoty się nauczyć. Warzyw i owoców unikał, ponieważ prowadziły jedynie do krótkotrwałego zaspokojenia głodu, stwarzały iluzję nasycenia. Jego organizm, przez który przetoczyły się już najdziwniejsze i najbardziej szkodliwe substancje tego świata, znosił niemal wszystko, ale nie lubił być oszukiwany.

Zła dieta nie była zresztą jego jedynym problemem. W zasadzie w natłoku różnorodnych zmartwień pozostawała praktycznie niezauważona. Nie umywała się do najgorszych z nich. Tych, które go obłaziły, przylegały do ciała niczym larwy, a następnie wpełzały do środka przez najszczelniej chronione otwory, za każdym razem wyrządzając mu niewyobrażalną krzywdę.

Ból głowy zelżał na tyle, że Kawęcki był w stanie zaprowadzić w pokoju prowizoryczny porządek. Porozrzucane na podłodze ubrania zbił w jedną masę i cisnął do sąsiedniego pomieszczenia, opróżnione butelki wrzucił do worka na śmieci, a brudne szklanki wstawił do zlewu. Otworzył okno i wpuścił do zatęchłego lokum orzeźwiający chłodny powietrze. W mieszkaniu, które od dwóch lat było niemym obserwatorem jego upadku, pojawiły się dawno niewidziane ślady normalności.

Mimo że nie golił się od mniej więcej tygodnia, jego twarzy nie pokrywała gęsta szczecina, tylko sterczące tu i tam kępki włosów. Szybko się ich pozbył. Pod przerzedzonym zarostem ukrywały się popękane naczynia, plamy, pozostałości po trądziku i rozmaite przebarwienia, do których dołożył w weekend kilka powierzchownych ran. Zabiedzony, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, wyglądał niezdrowo. Choć i tak zdecydowanie lepiej niż dzień wcześniej. I tydzień wcześniej. I miesiąc temu.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Witolda. Wiszący na ścianie zegar – jedno



z nielicznych sprawnych urządzeń w mieszkaniu – wskazywał siódmą trzydzieści. Tomek wiedział, że Witold się wścieknie, ale było mu to zupełnie obojętne. Nigdy nie przejmował się tym, jaki ludzie mają do niego stosunek. I nie zamierzał nagle tego zmienić.

– Czego chcesz? – warknął Witold.

– Żebyś po mnie przyjechał. Nie mogę jeszcze prowadzić auta.

– Zamów taksówkę.

– Taksówkarz nie może być pierwszą osobą, jaką dzisiaj zobaczę.

– A może nią być kierowca autobusu?

– Muszę z tobą o czymś pogadać. To ma związek ze sprawą.

– Gównu wiesz o sprawie – odburknął Witold, najgrzeczniej jak potrafił. – Wczoraj była okazja, by o tym porozmawiać. Teraz już nie ma czasu na gadanie, musimy działać. Jak chcesz się wycofać ze śledztwa, zadzwoń do Szczebiota.

– Nie zamierzam się wycofywać. Wręcz przeciwnie. Myślę, że wiem coś, na co nikt nie zwrócił do tej pory uwagi.

– Przecież nawet nie wiesz, co do tej pory udało nam się ustalić.

– Wiem, że nic nie ustaliliście. Przeczytałem raport, który mi wysłałeś. Jeśli analiza laboratoryjna nie poda nam sprawcy na tacy, będziemy w dupie. Możemy czekać, aż to się stanie, albo spróbować działać.

Witold głośno westchnął. Z jednej strony był ciekaw, co Kawęcki ma do powiedzenia. Z drugiej zaś wiedział, że szuka on szofera, naiwniaka, który zawiezie jego zapijaczone dupsko na komendę. Witold bywał ciekawski. Ale starał się nie bywać frajerem.

– Zadzwoń do Magdy. Może ona po ciebie przyjedzie.

Rozłączył się.

Kawęcki rzucił telefon na niezaścielone łóżko, ledwo się powstrzymując, by nie rąbnąć nim o ścianę. Wiedział jednak, że nie ma prawa wściekać się na Witolda. Gdyby zamienili się rolami, zapewne nawet nie odebrałyby telefonu. Nie miałyby ochoty rozmawiać z kimś, kto regularnie wpędzał go w kłopoty. Unikałyby jak ognia spotkań z człowiekiem, który wielokrotnie wymuszał na nim okłamywanie

przełożonych i nieustannie oczekiwał wyciągnięcia z tarapatów. Pozwoliłby mu na swobodny lot zakończony twardym lądowaniem. I w najlepszym wypadku by mu życzył, aby upadek zakończył się śmiercią, a nie trwałym kalectwem.

Pochylił się nad łóżkiem i sięgnął po telefon. Przejrzał wykaz ostatnich połączeń i wybrał jeden z numerów.

Dziś wydawało jej się to infantylne i zupełnie niepoważne, ale dawniej jej największym zmartwieniem było nazwisko. Giętka. Pracując w Komendzie Miejskiej, przywykła do seksistowskich żartów, celowo albo przypadkiem wypowiedzianych na tyle mało dyskretnie, aby za każdym razem mogła je usłyszeć. Banda niewyżytych, ograniczonych umysłowo samców używała sobie na niej do woli. Magda myślała, że będzie twarda i to zniesie, tak jak znosiła na studiach kryminologicznych, ale okazało się to znacznie trudniejsze, niż sądziła. Minęło kilka lat, zanim nauczyła się lekceważyć takie prymitywne zaczepki.

Dziś dałaby jednak wiele, żeby niefortunne nazwisko było jej głównym zmartwieniem.

Nowy kłopot numer jeden Magdy Giętkiej mierzył niespełna sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył jakieś sześćdziesiąt pięć kilogramów, miał zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Śmierdział tanimi perfumami i wodą po goleniu, wymieszanymi z fetorem strawionego alkoholu i kawy, którą popijał z gargantuicznego srebrnego termosu. Wydawał się trzeźwy, ale wiedziała, że to tylko złudzenie. Alkomat wskazałby na coś innego.

Nie знаła go zbyt dobrze. Właściwie nie znała go wcale. Pracowali razem od zaledwie dwóch tygodni. W tym czasie zamienili ze sobą jedynie kilkanaście lapidarnych zdań. Prawie się nie widywali, a Kawęcki kontaktował się z nią wyłącznie za pomocą maili lub esemesów. Był dla niej obcym, zagadkowym człowiekiem, o którym dowiedziała się więcej od jego dawnych partnerów i z plotek niż od niego samego.

Żałowała, że zgodziła się przyjechać i zabrać go na komendę. Wydało jej się to całkiem racjonalne, wręcz naturalne, kiedy Kawęcki wyznał, że nie nadaje się jeszcze do prowadzenia samochodu. Pomagając mu, chciała uczynić pierwszy krok

na drodze do nawiązania z nim partnerskiej relacji, a przynajmniej pierwszy, o którym będzie pamiętał. W końcu to, co robili, polegało na współpracy. Nauczyła się tego na studiach. Wykładowcy, często byli śledczy, profilerzy czy psychologowie kryminalni, na każdym kroku podkreślali, że to właśnie współpraca odgrywa podczas dochodzenia kluczową rolę. Powinna zaś opierać się na zrozumieniu, szacunku i zaufaniu, jakim wzajemnie darzą się partnerzy, a najlepiej wszyscy członkowie zespołu śledczego.

Kawęcki preferował jednak inny sposób działania. Którego podstawą było milczenie.

Magda zrozumiała, dlaczego to jej, najmłodszej osobie w wydziale, przypadła wątpliwa przyjemność pracy z Kawęckim.

– Byłeś na miejscu zbrodni? – zapytała nieśmiało, próbując odkleić Kawęckiego od szyby, w którą uporczywie się wpatrywał.

Komisarz westchnął tak, by Magda nie miała wątpliwości, że nie powinna się do niego odzywać.

– Rozmawiałaś z Witoldem? – zapytał po dłuższym namyśle, nie odrywając wzroku od szyby.

– Dzwonił do mnie rano. Chwilę po tym, jak rozmawiał z tobą. Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Zatrzymali się na światłach przed skrzyżowaniem Zgierskiej z Pojezierską. Znajdowali się w samym sercu Bałut, najludniejszej dzielnicy Łodzi. Miasto budziło się do życia, a jego centrum powoli wsysało mieszkańców z obrzeży milionowej aglomeracji. Na ulicach zaczynało robić się tłoczno. W samochodzie Magdy panował natomiast zaduch. Nie miała czasu na pozbycie się zatykającego żulerskiego smrodu, jaki Kawęcki zostawił w aucie dzień wcześniej.

– Dowiedziałaś się czegoś? – zapytała ponownie.

– Nie – odburknął, jakby odpowiadał upierdliwemu dziecku.

Ruszyli. Wolno pokonali skrzyżowanie, przejechali kilkaset metrów i zatrzymali się na kolejnych światłach.

– Nie jesteś zbyt rozmowny – zauważyła.

- Rano nie bywam rozmowny.
- A po południu bywasz?
- Raczej nie.

Magda spojrzała na profil człowieka, który z każdą chwilą irytował ją coraz bardziej. Jego oblicze pozostawało niewzruszone. Jeśli odburkiwał jej, ponieważ sprawiało mu to przyjemność, to w żaden sposób nie dawał tego po sobie poznać. Rzeczywiście, pomyślała Magda, wygląda na gościa z zespołem Aspergera.

Minęli Rynek Bałucki, na którym rozstawiali się pierwsi handlarze, przecięli ulicę Limanowskiego i skręcili w Lutomierską. Udało im się nie utknąć w żadnym większym korku, dzięki czemu byli już prawie na miejscu.

– Ja również nie jestem zachwycona tym, że muszę z tobą pracować – powiedziała, długo ważąc słowa. – To nie był mój pomysł.

Kawęcki odwrócił się i spojrzał w jej kierunku.

– W takim razie zamknij się i prowadź ten pieprzony samochód.

Przejechała kilkadziesiąt metrów, jakby nie zarejestrowała słów, które przed chwilą padły. Nagle gwałtownie zahamowała. Wjechała na wysoki krawężnik, szorując zderzakiem o beton, i zatrzymała samochód.

– Wsiądź – powiedziała stanowczo.

Kawęcki jednak nawet nie drgnął.

– Wynoś się!

– Zgodziłaś się podwieźć mnie do pracy, więc zrób to.

– Nie zgodziłam się na słuchanie wyzwisk.

Czekała na jakąkolwiek reakcję z jego strony. Bezskutecznie.

– Nie do wiary – powiedziała, kręcąc głową.

– Zostało nam kilka minut jazdy. Jakoś to zniesiesz.

Kawęcki wydobył spod nóg termos. Napełnił nakrętkę do połowy i opróżnił jej zawartość. Magda przyglądała mu się najpierw z wściekłością, a następnie ze zdumieniem. Zastanawiała się, jak udało mu się dożyć tylu lat. Jakim cudem nikt go jeszcze nie zastrzelił, nie pobił śmiertelnie, nie zadźgał nożem? Przez niezdecydowanie co najmniej kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset osób, które

niewątpliwie miały na to ochotę, teraz musiała znosić jego obecność.

Obiecała sobie, że nie będzie z nim rozmawiać, jeżeli nie okaże się to konieczne. Może dzięki temu stłumi chęć, żeby go udusić. Albo nie znienawidzi siebie za to, że nie spróbowała.

– Mieszkałaś kiedyś na Śródmieściu albo Polesiu? – odezwał się Kawęcki.

Magda spojrzała na niego, zaskoczona pytaniem. Wciąż tkwił przyklejony do szyby i gapił się na szarzyzną wylewającą się na łódzkie ulice, kamienice i podwórka.

– Tak – odparła po chwili. – Wychowałam się na Pomorskiej.

Poklepał się po kieszeniach spodni i wydobył paczkę papierosów. Wyjął jednego i zaczął go obracać w palcach.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego ludzie dorastający w tego typu miejscach mają tak silną potrzebę życia? – Powoli wymawiał słowa. – Równie silną jak osoby wychowane w bogatych domach, posiadające wszystkiego w bród?

Odpowiedź wydawała się Magdzie oczywista: ponieważ mają do tego takie samo prawo jak wszyscy inni, jak ty i ja, choć akurat tobie chętnie bym je odebrała. Mimo to nie odezwała się słowem.

– Jim Morrison powiedział kiedyś, że rozmyślanie o śmierci jest rozmyślaniem o wolności. Myślę, że gdyby nie był naćpany, ująłby to dokładniej. Powiedziałby, że rozmyślanie o śmierci jest rozmyślaniem o wolności, o ile nie jest ona koniecznością, warunkiem bycia przyzwoitym człowiekiem.

Magda przyspieszyła, kiedy wyrósł przed nimi budynek Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Włączyła kierunkowskaz i zbliżyła się do osi jezdni. Chciała jak najszybciej zakończyć tę podróż.

– Trzeba być masochistą – kontynuował Kawęcki – by wychowując się na zaszczanym podwórku, mając ojca pijaka i matkę analfabetkę, z rodzeństwem kształcącym się na złodziei i dziwki, wykazywać chęć do życia. Trzeba być ślepym lub nieczułym, pozbawionym receptorów do odbioru jakichkolwiek bodźców zewnętrznych. Albo po prostu bezdennie głupim.

– Myślę, że dzieci w Afryce mają gorzej – wtrąciła Magda, zanim skręciła na

policyjny parking. – Ale one pewnie gównem cię obchodzą.

Kawęcki kilkakrotnie chrząknął, a następnie pociągnął nosem.

– Zawsze ktoś ma gorzej. To zależy od tego, co widzimy na co dzień. Punktem odniesienia dla dzieci w Afryce są inni mali Murzyni z brzuchami nadętymi od głodu. Dla meneli z Polesia punktem odniesienia są wypacykowani celebryci albo lalusie w garniturach wartych trzy średnie krajowe. Ludzie, którzy żyją obok nich, a mimo to znajdują się kilka poziomów nad nimi. Jakby ci menele byli ich niewolnikami, tylko że ktoś zapomniał im o tym powiedzieć. – Włożył papierosa do ust. – Godzenie się na życie w takich warunkach, bez jakichkolwiek szans na zmianę, jest jak samobójstwo. W wersji skrojonej pod idiotów.

Magda zaparkowała na jednym z niewielu wolnych miejsc. Zanim zdążyła wyłączyć silnik i rozpiąć pasy, Kawęcki zapalił papierosa i wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą swój absurdalnie duży termos. Zanim zatrzasnął drzwi, wpuścił do środka potężną chmurę dymu, która rozlała się na przedniej szybie.

– Autystyczny skurwiel – warknęła Magda, odprowadzając go wzrokiem.

– Zanim zaczniemy, chciałbym was prosić o dyskrecję – zagaił Mariusz Szczebiot, patrząc po twarzach osób zasiadających w sali konferencyjnej. – Do mediów nie może wydostać się nic poza tym, co powiedziałem na wczorajszej konferencji prasowej. Nie rozmawiajcie z dziennikarzami, a jeżeli nie jesteście w stanie tego uniknąć, odsyłajcie ich do mnie. Nie chcę, aby jakiekolwiek informacje dotyczące tej sprawy wyszły na zewnątrz bez mojej wiedzy. Radzę wam również nie rozmawiać o szczegółach z członkami rodziny i przyjaciółmi, dla waszego i ich dobra.

W pomieszczeniu wyposażonym w podłużny stół, plastikową tablicę i niewystarczającą dla ponad dwudziestu osób liczbę krzeseł upchnęli się policjanci pracujący łącznie w dwóch komendach i trzech wydziałach. Witold Ptak pojawił się na odprawie w towarzystwie Artura Waliszewskiego, swojego nowego partnera. Trzymał przed sobą zbiór notatek, wydruków i zdjęć. Bezrefleksyjnie je wertował, zastanawiając się nad tym, co kilka minut wcześniej usłyszał od Magdy Giętkiej.

– Czy Kawęcki miewa myśli samobójcze? – zapytała.

Udawał, że nie jest jej słowami zaskoczony.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę w drodze do pracy. Choć właściwie nie była to rozmowa, tylko jego monolog.

Opowiedziała mu o wywodzie Kawęckiego. O tym, jak ją lekceważył i obrażał, a potem bredził niczym człowiek pogrążony w głębokiej depresji.

– Skąd on w ogóle pochodzi? – zapytała na koniec.

– Ze Starego Polesia – odparł Witold z uśmiechem.

Początkowo wydawało mu się, że to nic takiego. Przywykł do grubiaństwa i dziwacznych wywodów Kawęckiego, kiedy pojawiał się kac, a wraz z nim rozeźlenie, przygnębienie i niechęć do każdego przedstawiciela gatunku ludzkiego. Nie wyłączając jego samego. Mimo to Witold się zafrasował. Zastanawiał się, czy Kawęcki byłby w stanie odebrać sobie życie. W końcu każdego roku w Polsce kilkunastu policjantów popełnia samobójstwo. Najczęściej strzelają sobie w głowę albo wieszają się w swoim mieszkaniu. Czasem zabierają ze sobą innych – najbardziej znienawidzonych ludzi z jednostki albo przypadkowych pechowców, którzy natrafili na nich w nieodpowiednim czasie. Najczęściej giną policjanci w wieku od trzydziestu jeden do czterdziestu lat, mający za sobą od trzech do piętnastu lat służby, przeżywający problemy w życiu osobistym lub zawodowym.

Kawęcki spełniał wszystkie kryteria.

Mariusz Szczebiot pospiesznie wprowadzał w śledztwo ludzi, którzy dopiero dzisiaj zostali do niego przydzieleni, i przypominał, co do tej pory udało się ustalić. Witold co jakiś czas unosił wzrok znad notatek i zerkał na siedzącego kilka krzeseł dalej Kawęckiego. Próbował wyczytać cokolwiek z jego pustego wyrazu twarzy. Tomek wydawał się nieobecny. I z całą pewnością miał gdzieś to, o czym Szczebiot mówił z wystudiowanym przejęciem.

– Jak zapewne wiecie, ofiara była studentką polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim. W materiałach, które macie przed sobą, znajduje się garść informacji o Martynie Bułeckiej. Są tam też imiona i nazwiska jej sąsiadów oraz osób, które mogą ją znać. – Szczebiot zerknął do notatek. – Wiemy, że ofiara wynajmowała

mieszkanie na Próchnika razem z Weroniką Tarnawską, swoją rówieśniczką, studentką kulturoznawstwa. To ona znalazła ciało.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, naczelnik rozejrzał się po sali. Przebiegł wzrokiem po posępnych obliczach słuchaczy. Zatrzymał się na chwilę na Kawęckim, jedynej osobie, która nie odwzajemniła jego spojrzenia.

– Próbowaliśmy porozmawiać z Tarnawską wczoraj, była jednak w zbyt dużym szoku. Psycholog zalecił, żeby poczekać z tym kilka dni, ale nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Dlatego porozmawiamy z nią jeszcze dzisiaj. Magdo, chciałbym, żebyś mi przy tym towarzyszyła.

Magda kiwnęła głową, choć nie wyglądała na zachwyconą pomysłem.

– Rozmawialiśmy z sąsiadami Martyny Bułeckiej – kontynuował Szczebiot – ale niewiele nam to dało. Nic nie widzieli, niczego nie słyszeli, o niczym nie wiedzą. Dzisiaj trzeba porozmawiać z mieszkańcami sąsiednich budynków. Do przesłuchania jest około osiemdziesięciu osób.

Szczebiot przerwał swój wywód, kiedy do sali wszedł potężny mężczyzna w płaszczu i kaszkiecie. Nie zapukał, nie przywitał się z nikim. Wcisnął do tłoczego pomieszczenia swoje dwumetrowe cielsko i zaczął zdejmować płaszcz.

– Czy macie pytania do tej części? – zapytał naczelnik. – Z mojej strony to wszystko. Śledztwo prowadzi nadkomisarz Witold Ptak. Odpowiadacie przed nim, a on odpowiada przede mną. W kwestiach prawnych możemy liczyć na pomoc prokuratora Adama Wargi, który powierzył nam śledztwo i który ostatecznie wsadzi sprawcę za kratki. Powodzenia!

Skinął Witoldowi głowę i zajął jedyne wolne miejsce w pomieszczeniu, nieopodal drzwi. Jak tylko usiadł, wyciągnął telefon i zaczął odpisywać na maile.

– Zanim podzielimy się obowiązkami, chciałbym oddać głos doktorowi Janowi Ronertowi, naszemu specjalście od medycyny sądowej – powiedział Witold, nie wstając od stołu. – Czy jesteś gotowy?

– Na to nie da się być gotowym – odparł wielkolud, grzebiąc w torbie. Ściągnął kaszkiet, pokazując siwe kępki włosów porastające jego niekształtną czaszkę. – Ale spróbuję.



Stanął przed plastikową tablicą. Po chwili namysłu odsunął ją w kąt. Położył na stole tablet i podłączył go do projektora. Na ścianie ukazała się pierwsza strona jego makabrycznej prezentacji. Spojrzał na policjantów i pogładził się po zmęczonej końskiej twarzy, w której uwagę przykuwały zaczerwienione ze zmęczenia oczy. Prawdopodobnie pracował całą noc.

– Zdążyliśmy dokonać jedynie pobieżnych badań, dlatego informacje, które za chwilę usłyszycie, mogą nie być dokładne. Miejcie to na uwadze.

Ronert mówił flegmatycznie. Patrzył ponad głowami zgromadzonych, jakby kierował swoje słowa do kogoś, kto dopiero miał przyjść.

– Udało nam się ustalić, że ofiara zmarła w sobotę, prawdopodobnie w okolicach południa, oczywiście na skutek obrażeń, jakie jej zadano. Otrzymała ponad siedemdziesiąt ciosów ostrym narzędziem. Na przykład dobrze naostrzoną siekierą. – Przeskoczył na drugi slajd, na którym znajdowało się zdjęcie Martynty Bułeckiej. Jeszcze żywej. – Zabójca atakował z dużą siłą, ale niezbyt precyzyjnie, wiele uderzeń jedynie drasnęło ciało ofiary. Efektem jego niedokładnych ciosów są widoczne w niektórych miejscach krwiaki.

Ronert zaprezentował policjantom kilka zdjęć, na których utrwalono poranione kończyny Martynty Bułeckiej.

– Dużo cięć skoncentrowanych jest w okolicy szyi, karku i ramion. Sprawca wyraźnie próbował odrąbać ofierze głowę. Ostatecznie mu się to udało.

Pokazał zgromadzonym fragment zdekapitowanego tułowia i odciętą głowę, rozłożone na stole sekcyjnym. Policjanci wydali chóralny jęk zniesmaczenia.

– Na kolejnych fotografiach są oderwane fragmenty ciała denatki, ale przypuszczam, że nie ma potrzeby tego oglądać.

– Darujmy to sobie – stwierdził Witold. – Czy znalazłeś coś, co może doprowadzić nas do zabójcy?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie śledczego, Ronert przerzucił kilka slajdów i zatrzymał się na spisanych w punktach ustaleniach.

– Jak pewnie wiecie, ofiara została zgwałcona. Być może kilkakrotnie. Świadczą o tym ślady ingerencji w jej pochwie oraz odbycie. Niestety, wiele

wskazuje na to, że sprawca gwałcił ją nie tylko za pomocą swojego przyrodzenia. Narządy płciowe ofiary zostały poważnie uszkodzone, prawdopodobnie jakimś narzędziem.

– Chory zwyrol – warknął Artur Waliszewski, głośno wypowiadając to, co każdemu chodziło po głowie.

– Albo zwyrole – odparł Jan Ronert. – Nie wiemy jeszcze, czy mamy do czynienia z jednym, czy z wieloma sprawcami. Wiemy tylko, że obrażenia zadawał jej wysoki praworęczny mężczyzna dysponujący sporą siłą. Ale o tym, kto ją gwałcił, na razie wiele powiedzieć nie możemy. Najpierw musimy zbadać znalezione nasienie. I jeszcze jedno. – Zrobił długą pauzę. – Zwłoki są niekompletne. Brakuje lewego kciuka ofiary. Niewykluczone, że został na miejscu zbrodni, które było dość... zabałaganione. Będę wdzięczny, jeżeli ekipa, która tam wróci, rozejrzy się za nim.

Zgarnął tablet i podszedł do Szczebiota siedzącego w ostatnim rzędzie i nieustannie grzebiącego w smartfonie. Szepnął mu kilka słów do ucha, a chwilę później razem opuścili pomieszczenie.

Witold wyszedł na środek sali i przyciągnął stojącą w kącie tablicę. Przypiął do niej zdjęcie Martyny Bułeckiej i podpisał je flamastrem. Odwrócił się i zobaczył, że po występie Ronerta niewielu policjantów jest zainteresowanych tym, co on chce powiedzieć. Dał im kilkadziesiąt sekund wytchnienia, udając, że przegląda zabrane ze sobą notatki.

– Beato, co udało się wam ustalić? – zapytał.

Zniszczona cera, zaniedbane włosy i niechlujny ubiór sprawiały, że samotność niemal wyzierała z małomówniej Beaty Tarki. Szefowa techników przerzuciła w roztargnieniu kilka kartek, po czym schowała je do starej, znoszonej torby. Nie zamierzała podchodzić do tablicy ani nawet wstawać z krzesła.

– Sprawdzamy odciski palców, kosmyki włosów, plamy krwi i strzępy ubrań. Podejrzewamy, że wszystkie ślady, które do tej pory zbadaliśmy, pozostawiły Martyna Bułeczka i Weronika Tarnawska, ale dopiero w laboratorium się okaże, czy nasze przypuszczenia są słuszne.

– Wiecie, w jaki sposób zabójca dostał się do mieszkania?

– Zamek w drzwiach jest nienaruszony. Wygląda więc na to, że albo sprawca miał klucz, albo ofiara wpuściła go do środka. W mieszkaniu nie znalazłam śladów walki. Ofiara mogła więc znać zabójcę.

Witold uważał Beatę Tarkę za sumiennego, skrupulatnego i zimnego technika kryminalistycznego, ożywiającego się jedynie w trakcie palenia papierosów. Wydawało się mało prawdopodobne, aby mogła popełnić błąd i coś przeoczyć.

– Musimy sprawdzić, czy spodziewała się wizyty kuriera, listonosza albo inkasenta z gazowni. Jakiegokolwiek osoby, która bez wzbudzania podejrzeń mogłaby się dostać do mieszkania Bułeckiej. Musimy zbadać wszystkie możliwości. – Witold ponownie spojrzał na Beatę. – Co zdążyliście do tej pory sprawdzić?

– Pokój, w którym doszło do zabójstwa, oraz wejście do mieszkania. Dzisiaj zajmiemy się resztą pomieszczeń. Najtrudniej będzie z pokojem współlokatorki Martynty Bułeckiej. Jest cały zagracony. Sprawca pewnie przeniósł do niego większość mebli z pokoju ofiary.

Witold pokiwał głową.

– Dla mnie jest to wystarczający dowód na to, że nie mogło się obyć bez sporego hałasu. Skoro przesłuchani wczoraj ludzie upierają się, że nic nie słyszeli, musimy znaleźć takich, którzy coś wiedzą.

Odwrócił się do tablicy i wielkimi niezgrabnymi literami rozpiisał obowiązki poszczególnych członków zespołu. Przydzielonych do tej sprawy funkcjonariuszy z Komendy Miejskiej Policji w Łodzi i sąsiedniego Wydziału Wywiadu Kryminalnego oddelegował do rozmów z sąsiadami oraz dalszymi krewnymi i kolegami ofiary, a także do przeglądania nagrań z monitoringu. Obecnie na sali informatyka poprosił, aby przetrząsnął komputer Martynty Bułeckiej i wyciągnął z niego wszystko, co może w jakikolwiek sposób pomóc w sprawie. Kawęckiego, pod nieobecność Magdy, która będzie asystować Szczebiotowi podczas rozmowy z Weroniką Tarnawską, przydzielił do siebie oraz Artura Waliszewskiego. Zdecydował, że najpierw spróbują porozmawiać z matką Bułeckiej, a następnie

udadzą się do uczelni, w której studiowała ofiara.

– Czy wszystko jest jasne? – Rozejrzał się po sali, bezskutecznie szukając optymizmu na twarzach kolegów. – Dwudziestoczteroletnia Martyna Bułeczka została zamordowana w sobotę około południa w mieszkaniu przy ulicy Próchnika, które wynajmowała wraz z Weroniką Tarnawską. Mamy kilkadziesiąt godzin, żeby się dowiedzieć, kto to zrobił. Potem będzie znacznie trudniej. Do roboty.

Jakub Możejko odsunął się od okna i rozejrzał po sali, jednej z kilkuset w nowoczesnym gmachu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Zobaczył strapione, ale też zdeterminowane oblicza studentów. Schlebiało mu to, że potrafi obudzić w nich zaangażowanie. Oderwać ich od telefonów i przykleić do zapelnionych bazgrołami zeszytów.

Wiedział, że go lubią, ponieważ różnił się od innych wykładowców. Nie karmił ich serwowaną w podręcznikach papką i nie zanudzał językoznawczymi wywodami. Wolał, żeby to oni karmili jego. Swoją niestrawną pisaniną, wzorowaną na twórczości bohaterów literatury współczesnej, o których mieli się uczyć na jego zajęciach. I zmuszał ich, żeby czytali. O każdej porze dnia, w każdym miejscu, przy użyciu dowolnego nośnika. Nawet literaturę najniższych lotów, bezdennie głupie romansidła, opowieści o zakochanych wampirach i niewyżytych studentkach podkochujących się w wyuzdanych biznesmenach. A nawet grafomańskie wypociny kolegów z uczelnianych ławek.

– Zostało wam piętnaście minut – powiedział, nie zerkając nawet na zegarek.

Praca na uczelni nigdy nie była jego pasją, a krzewienia miłości do literatury nie traktował jako misji. Ale uwielbiał mówić o książkach. O słowach, które je tworzą. O różnicach, powiązaniach, znaczeniach, symbolach. Z krasomówczych pobudek chętnie cytował ulubione fragmenty wybranych dzieł, za każdym razem napawając się barwą swojego głosu. Wiedział, że studentom to imponuje. Lubił robić na nich wrażenie. W szczególności na studentkach.

– Dziesięć minut – oznajmił, wyglądając przez potężne okno wychodzące na Pomorską.

Wyławiał z pamięci twarze kobiet, z którymi będzie miał następne zajęcia. Na

konwersatoria uczęszczali również mężczyźni, ale stanowili zdecydowaną mniejszość. Było mu to na rękę, ponieważ nie musiał okazywać im nieszczerego zainteresowania. I nie odciągali od niego uwagi studentek, które wprawdzie gardzą wykładowcami, ale wprost uwielbiają pisarzy. Szczególnie gdy są dobrze wyglądającymi mężczyznami po czterdziestce. Facetami takimi jak on.

Nagle zadzwonił jego telefon. Jakub Możejko przeprosił podopiecznych, wyszedł z sali i odebrał.

Kiedy wrócił, zdecydował się zakończyć zajęcia przed czasem.

Witold Ptak schował telefon do kieszeni i wymownie westchnął. Wiedział, że będzie tak wzdychać jeszcze wielokrotnie, za każdym razem gdy będzie oznajmiać ludziom, że dzwoni do nich w sprawie zabójstwa.

– Dlaczego tak się uparłeś, żeby z nami jechać? – zapytał, zerkając w lusterko wsteczne. – Widziałem twoje spojrzenie. Wręcz błagałeś, żebym przygarnął cię do samochodu.

Tomek Kawęcki wypuścił dym przez nieznacznie uchylone okno. Spoglądał chwilę przed siebie, po czym wbił wzrok w szybę, by uniknąć głupkowatego spojrzenia Artura Waliszewskiego, który gapił się na niego jak na rzadki okaz zwierzęcia. Wyswobodzonego, uprowadzonego i nieobliczalnego. Niebezpiecznego, ale przez to dostarczającego dodatkowej frajdy.

– Nie miałem wyboru. Sam mi go odebrałeś.

– Nie ja, tylko Szczebiot. Miałem pozwolić, żebyś czekał, aż skończą z Magdą rozmawiać z tą dziewczyną? – Witold prychnął. – Aż strach pomyśleć, co mógłbyś sobie zrobić w tym czasie.

– A przez moment myślałem, że to ty będziesz prowadzić to śledztwo.

Witold spojrzał na Kawęckiego, spodziewając się, że dostrzeże na jego chudej gębie głupkowaty uśmiech. Nie mylił się. A co gorsza, ten uśmiech był w pełni uzasadniony.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Może później – odparł Kawęcki, pokładając się na fotelu. – Czy mógłbyś ściszyć to gówno?

– Nie – powiedział Artur. – To, że jedziesz z nami, nie znaczy, że możesz o czymkolwiek decydować.

Kawęcki gardził Arturem Waliszewskim i ludźmi takimi jak on. Spędzającymi mnóstwo czasu na siłowni i słuchającymi gównianej muzyki. Przesadnie dbającymi o swój wygląd, mimo że nigdy by się do tego nie przyznali. Opowiadającymi o ambicjach zawodowych i długofalowych planach, choć tak naprawdę zależało im na dwóch rzeczach: adrenalinie i ruchaniu.

– Jeśli badanie nasienia wskaże sprawcę, wyjdzie na to, że niepotrzebnie nękamy tę kobietę – powiedział Witold.

– Nie wskaże – odparł Kawęcki, odrywając wzrok od rzucającego mu gniewne spojrzenia Artura.

– Skąd wiesz?

– Sprawca prawdopodobnie nie zostawił w mieszkaniu żadnych śladów. Miałby więc zostawić swoje DNA na ofierze? Ktoś, kto to zrobił, nie jest głupi. W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy będą próbowali go złapać.

Witold westchnął znacząco i postanowił, że nie będzie drążyć tematu. Najchętniej nie podejmowałby żadnego, który ma jakikolwiek związek ze sprawą. Przynajmniej nie z Kawęckim.

– Po co ci taki wielki termos? – zapytał Artur, nieprzerwanie taksując komisarza wzrokiem.

Kawęcki wyrzucił niedopałek przez okno. Podniósł z sąsiedniego siedzenia potężną srebrną tubę i zaczął ją obracać w dłoniach.

– Słyszałeś kiedyś o grzybicy jelit?

Artur pokręcił głową.

– Ja też nie, dopóki się jej nie nabawiłem.

– Co to takiego?

– Każdy ma w swoim organizmie drożdże. Nawet taki twardziel jak ty – powiedział Kawęcki, rzucając młodemu policjantowi wyzywające spojrzenie. –

Problem zaczyna się wtedy, kiedy jest ich za dużo. A dzieje się tak, gdy spożywasz zbyt wiele cukru, niedokładnie przeżuwasz pokarm albo w jakiś sposób utrudniasz

swojemu organizmowi prawidłowe trawienie. Objawów grzybicy możesz się domyślić: silne wzdęcia, naprzemienne biegunki i zatwardzenia, nieustanne uczucie parcia na stolec.

– I kawa pomaga przy tej grzybicy?

– Nie, w zasadzie nawet przeszkadza, ponieważ pijam bardzo słodką kawę. Zresztą gdyby miała mi pomagać, nie musiałbym taszczyć ze sobą termosu. –

Kawęcki pochylił się do przodu. – Ta tuba potrzebna jest mi dopiero wtedy, gdy jest pusta. Domyślasz się już, do czego mi służy?

– Jesteś popierdolony – syknął Artur i odwrócił się w kierunku jazdy.

Resztę drogi trzech mężczyźni pokonali w ciszy. Dwaj z nich z dyskretnymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy.

Jeżeli rozpacz może mieć zapach, to pachniało nią mieszkanie Heleny Bułeckiej. Zapuszczona klitka w starym dziesięciopiętrowym bloku na Retkini śmierdziała dymem papierosowym, kurzem, niemytym ciałem i psią sierścią. Wszystkie te zapachy wgryzały się w drewnianą boazerię, którą pokryte były ściany wąskiego, ciemnego przedpokoju, z podłogą zdeptaną ciężkimi policyjnymi buciorami.

– Klaustrofobik by tu nie wytrzymał – zauważył Witold Ptak.

– Mieszka sama, więc rozmiar mieszkania raczej jej nie przeszkadza – odparła Marta Przybylska.

Wysoka brunetka z krótko ostrzyżonymi włosami zaczesanymi do góry i usztywnionymi sprejem wyszła z pokoju, wypuszczając z niego chmurę dymu. Włożyła kurtkę i wskazała drzwi wejściowe trzem policjantom, którzy zatarasowali przedpokój. Kiedy znaleźli się na korytarzu, głęboko odetchnęła.

– Jak ona się trzyma? – zapytał Witold.

– Kilkanaście minut temu przestała płakać i popadła w otepienie. Trudno będzie coś z niej wydobyć, ale przynajmniej nie zacznij przy was histeryzować. To, co od niej usłyszycie, o ile cokolwiek wam powie, powinniście zweryfikować za kilka, może kilkanaście dni. Może mylić daty i mieć błędne poczucie czasu. Namawiała mnie, żebym zjadła obiad, który ugotowała wczoraj. Sprawdziłam jej kuchnię. W zlewie stoi brudny gar po zupie.

Marta Przybylska odpowiadała w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Łodzi za kontakty z rodziną. Przyjmowała na siebie całą falę cierpienia, które wylewało się z bliskich ofiar najcięższych przestępstw. Była pocieszycielką, koleżanką, a kiedy trzeba – także tarczą. Robiła to od kilkunastu lat i osiągnęła najwyższy poziom zobojętnienia. Mogła przesiedzieć z Heleną Bułecką kilkanaście godzin, a potem wrócić do domu, zjeść kolację i bawić się ze swoim kilkuletnim synem w gwiazdne wojny.

– Uprzedzę twoje pytanie: nie próbowałam wyciągnąć od niej żadnych informacji. Zanotowałam tylko to, co sama powiedziała. – Podała Witoldowi niewielki kołnotatnik, w którym zapisała kilkanaście stron. – Uprzedziłam ją, że zaraz przyjdziecie, więc lepiej już idźcie. Postarajcie się jej nie zmasakrować.

– A można jeszcze bardziej?

– Wy na pewno możecie. Zwłaszcza gdy jesteście w takim składzie – powiedziała, spoglądając na Kawęckiego. – Idę coś zjeść. Za pół godziny będę z powrotem.

Policjanci wrócili do klaustrofobicznego mieszkania i weszli do pokoju stanowiącego epicentrum cierpienia.

Helena Bułeczka wyglądała na osobę, która śmierć ma już za sobą. Znoszone ubrania zwisały z jej wątego ciała, choć dopiero miała zacząć zmagać się z jadłowstrętem i gubić kilogramy. Jej blade ręce składały się głównie z żył, a dłonie – niemal wyłącznie ze zmarszczek. Twarz, napuchnięta i pełna popękanych naczyń, zdawała się należeć do staruszki. Podobnie jak czarno-biała głowa: w połowie pokryta ciemną czupryną, a w połowie siwymi odrostami.

Czarno-biały wydawał się też pokój. Z przestarzałych mebli coś wyssało życie na długo przed zmianą ustrojową, od której upłynęło już ponad ćwierć wieku. Ciężka ciemnobrązowa meblościanka wydawała się wrosnięta w ścianę, łączącą się z sufitem rozległą plamą pleśni. Masywny stół wsparty na czterech grubych nogach stał przy dawno nieotwieranym oknie, zasłoniętym poszarzałymi od dymu firankami.

Kobieta tępo wpatrywała się w oszklony czarny kredens z porcelanową zastawą



stołową, zapewne nigdy nieużywaną albo wyciąganą jedynie na specjalne okazje. Z papierosa zalegającego między jej nieruchomymi palcami został kilkucentymetrowy słupek popiołu. Obok Heleny Bułeckiej, w oblepionym sierścią kojcu, leżał zmęczony kundel, który przywitał gości leniwym uniesieniem kudłatej głowy.

Policjanci dziarsko weszli do pokoju, ale tylko Witold odważył się usiąść obok Bułeckiej na zniszczonej kanapie obłożonej grubym kocem. Tomek Kawęcki i Artur Waliszewski stanęli w narożnikach pokoju, jakby się bali, że od matki zamordowanej kobiety mogą zarazić się smutkiem.

– Możemy się tylko domyślać, co pani czuje – zaczął Witold, odgrzebując z pamięci zdania, które ułożył w drodze do domu Bułeckiej. – Mamy świadomość, że jest pani niewyobrażalnie ciężko. Wiemy też, że rozmowa z nami jest ostatnią rzeczą, na jaką ma pani ochotę. Ale to dzięki niej mogą znacznie wzrosnąć szanse na szybkie schwytanie człowieka, który zabił pani córkę.

Kobieta pokiwała głową i wytarła zaczerwieniony nos w chusteczkę.

– Kiedy będę mogła ją zobaczyć? – zapytała prawie szeptem, z trudem wydobywając głos z gardła.

– Jak tylko lekarz sądowy skończy badać zwłoki. Być może stanie się to już jutro, ale nie chciałbym pani niczego obiecywać. – Witold zastanawiał się przez chwilę, czy ze strzępów ciała Martyny Bułeckiej da się uformować coś, co sprawi, że jej matka do reszty nie odejdzie od zmysłów. Szybko odpędził te myśli. – Czy spróbuje pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Helena Bułeczka wzięła głęboki oddech, wprawiając w drganie całe swoje ciało.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani córkę?

– Muszę ją pochować – powiedziała, gniotąc w dłoniach zużyta chusteczkę. – Muszę powiadomić rodzinę. Przygotować dom na stypę. Coś ugotować.

– Pani Heleno... – Witold pochylił się w stronę kobiety. – Proszę mi uwierzyć, w tym momencie to nie jest najważniejsze. Wkrótce zobaczy pani córkę, a potem zaplanuje pogrzeb. Ale teraz musi nam pani pomóc.

– Dlaczego nie mogę jej zobaczyć? – Spojrzała na Witolda z wyrzutem. – Jako

matka chyba mam do tego prawo.

– Oczywiście. Tak jak mówiłem, być może już jutro będzie pani mogła zobaczyć córkę.

– Ale...

– Woli pani zobaczyć ją już dzisiaj czy żebyśmy złapali tego skurwysyna? – wtrącił się Kawęcki.

Komisarz stał w drugim końcu pokoju i przyglądał się oprawionemu w ramkę zdjęciu, na którym Helena Bułęcka przytulała się do swojej nastoletniej córki. Fotografia została zrobiona jakieś dziesięć lat temu, nad jeziorem, w któryś z letnich miesięcy. Naburmuszona mina zdradzała, że Martyna nie była zachwycona wakacyjnym wyjazdem z matką.

– Spróbuję – wychrypiła Helena Bułęcka. – Ale nie obiecuję, że powiem coś, co wam pomoże. Nie śpię, odkąd się o tym dowiedziałam. Nie wiem, czy sobie cokolwiek przypomnę.

Witold zmierzył Kawęckiego wzrokiem, niepewny, czy powinien go zganić za brak elementarnej empatii, czy pochwalić za skuteczność. Otworzył notatnik i krótkim ołówkiem wyrył w nim imię i nazwisko przesłuchiwanej.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani córkę? – zapytał ponownie.

Zastanawiała się, nerwowo przygryzając wysuszone wargi.

– Jakieś dwa miesiące temu. Przyszła na obiad, ale prawie nic nie zjadła, trochę w talerzu podłubała. Powtarzała, że się spieszy, bo umówiła się z koleżanką.

– Z którą?

– Pewnie z Weroniką. Widziałam ją ze dwa razy, miła dziewczyna.

– Czy to normalne, że przez dwa miesiące nie widziała się pani z córką?

Pokręciła głową.

– A czy to normalne, że matka widuje dziecko raz na dwa miesiące, zwłaszcza gdy mieszkają pół godziny od siebie? Oczywiście, że nie. Ale Martynka rzadko mnie odwiedzała. Pewnie wszystkie dziewczyny w jej wieku tak mają.

– O czym wtedy rozmawiała pani z córką?

– Nie pamiętam – stwierdziła po chwili namysłu. – Chyba o niczym ważnym.

Pewnie o studiach. O tym, jak jej się mieszka. Pytałam ją, czy ma chłopaka, bo była mocno umalowana.

– I co powiedziała?

– Że nie.

– Czy rozmawiała pani później z córką przez telefon?

– Raz czy dwa. Często nie odbierała, kiedy do niej dzwoniłam, ale potem wysyłała mi esemesy. Wydawało mi się, że wszystko u niej w porządku.

– Czy możemy zobaczyć te esemesy?

– Tam, na półce, jest telefon. – Wskazała palcem na meblościankę. – Proszę go sobie wziąć. Mam jeszcze stacjonarny.

Artur podniósł starą nokię i zdmuchnął kurz, który pokrywał ekran.

– Nie wspominała pani o żadnych problemach?

– Nie, na nic się nie skarżyła. Nawet nie chciała ode mnie pieniędzy. Sama przelałam jej na konto pięćset złotych, bo się o nią martwiłam.

Nie na tyle, żeby ją odwiedzić, zauważył Witold.

– Czy zna pani znajomych córki?

– Tylko Weronikę. Kiedyś byłam u nich w mieszkaniu. Całkiem przytulnie tam. Brakuje tylko telewizora. Może Martynka dopiero zamierzała go kupić.

Helena Bułeczka pochyliła się i zaczęła płakać, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Miała problem ze złapaniem tchu, jakby z przyływem każdej kolejnej fali rozpacz ulatniało się z niej życie. Uspokoila się dopiero po kilku minutach. Wytarła nos i oczy strzępami chusteczki, które zostały jej w dłoni. Witold pomógł jej zapalić papierosa, ponieważ za bardzo się trzęsła, żeby zrobić to samodzielnie.

– Co jeszcze chce pan wiedzieć? – zapytała, spoglądając na Witolda jak na oprawcę.

– Jak długo pani tutaj mieszka?

– Ze dwadzieścia lat. Przeprowadziliśmy się tutaj, gdy Martynka miała cztery lata.

– Gdzie jest ojciec Martyny?

– Kiedy była niemowlęciem, wyjechał do Niemiec. Dostał dobrze płatną robotę

w Hamburgu, brat mu ją załatwił. Przez pierwszych parę lat co kilka miesięcy przyjeżdżał do Polski. Potem mu się znudziło. Znalazł sobie tam jakąś babę i założył rodzinę. Nie widziałam go już z dziesięć lat.

– Wie pani, gdzie mieszka?

– Zapisałam gdzieś jego adres.

– Czy kontaktował się jakoś z Martyną?

– Nigdy mi o tym nie wspominała.

Witold spojrzął na psa, który wyszedł z kojca tylko po to, by położyć się pod stołem. Wydawało się, że dzieli smutek swojej właścicielki.

– Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć o pani córce albo o pani rodzinie?

Zamyśliła się. Przez moment Witold sądził, że popadła w odrętwienie. W pewnym momencie zaczęła jednak wyginać usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zapomniała, jak to się robi.

– Bardzo się kochaliśmy – powiedziała w końcu łamiącym się głosem. – Ja i Martynka. Bardzo. Nie wiem, co ludzie sobie o tym pomyślą i co będą gadać, ale to prawda.

Po uzyskaniu zgody Heleny Bułeckiej, która w tym stanie dałaby się nawet pokroić, policjanci splądrowali pokój przez kilkanaście lat należący do jej córki. Nie znaleźli w nim nic ciekawego. Większość rzeczy Martyna zabrała do wynajmowanego mieszkania. To, co zostało, jej matka wymieszała ze swoimi rzeczami: starymi ubraniami poupychanymi w szafkach, prześcieradłami i kołdrami, bezużytecznymi szpargałami i stertami dokumentów. Zainteresowały ich jedynie dwa grube rodzinne albumy, które Bułecka dopiero po długich namowach zgodziła się im pożyczyć. Podziękowali jej za rozmowę, obiecali, że wkrótce zobaczy swoją córkę, i wyszli z mieszkania.

Zanim wsiedli do samochodu, niemal równocześnie sięgnęli po papierosy.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się cackasz z ludźmi – powiedział Kawęcki, który oparł się o auto i przyglądał topornej bryle bloku, z którego wyszli.

– Bo mam sumienie – odparł Witold. – I empatię. Coś, czego ty nie masz i nie rozumiesz.

– Raczej nie potrzebuję.

– Tak ci się tylko wydaje. Jeszcze będziesz potrzebować ludzi. I wtedy pożałujesz swojej oziębłości.

Kawęcki spojrział w okno mieszkania Heleny Bułeckiej. Wiedział, że nikogo by w nim nie zobaczył, nawet gdyby gapił się w nie przez kolejne kilka godzin. Bułeczka oderwie się od swojego fotela tylko wtedy, kiedy będzie już bliska zsikania się w majtki. O ile zrobi jej to jakąkolwiek różnicę.

– Tej kobiecie niepotrzebne są twoje słodkie słówka, tylko córka. Najlepiej w jednym kawałku. Żywa. Jeżeli nie możesz jej tego dać, to nie sil się na wymuszoną troskę. – Kawęcki otworzył tylne drzwi samochodu i czubkiem buta zgasił papierosa. – A teraz jedźmy już stąd. Zwłoki stygną.

Garstka wykładowców w osłupieniu słuchała profesor Zofii Grajewskiej, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Nie codziennie się dowiadawali, że jedna z ich studentek została brutalnie zamordowana. Wypowiadane przez kręłą kobietę słowa docierały do nich powoli, ale potem błyskawicznie przedzierały się do świadomości, wyżłabiając w ich psychice leje, jak bomby. Dla większości z nich była to najbardziej makabryczna rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszeli, mimo że poznali ledwie zarys okoliczności śmierci Martynty.

– Czy jej rodzice już wiedzą? – zapytała nauczycielka, która jako pierwsza ośmieliła się zabrać głos.

– Jej matka dowiedziała się wczoraj wieczorem. Ojciec mieszka za granicą – wyjaśniła dziekan.

– Mój Boże – westchnęła inna wykładowczyni. – Przecież ona zwariuje.

– Jest z nią policyjna psycholożka. Robi, co w jej mocy, aby pomóc matce uporać się z tą stratą.

– To przecież niemożliwe – oponował jeden z nauczycieli. – Niemożliwe.

W sali zapadła cisza. Zgromadzeni – w większości rodzice, lepsi lub gorsi, ale niewątpliwie kochający swoje dzieci – wyobrażali sobie, jak nieprawdopodobne spustoszenie w ich życiu spowodowałaby taka strata. Zastanawiali się, czy byłiby

w stanie nie postradać zmysłów. Czy odnaleźliby motywację, aby dalej żyć? Czy potrafiliby odczuwać coś poza smutkiem?

– Czy możemy jakoś pomóc? – zapytała jedna z kobiet.

– Po to was tutaj zgromadziliśmy – powiedziała Zofia Grajewska. – Martyna Bułeczka uczęszczała na prowadzone przez niektórych z was zajęcia. Policja chce się dowiedzieć, co o niej wiecie: jaką była studentką, z kim się zadawała, jakie sprawiała wrażenie. Wszystko, co może im jakoś pomóc. Co może pomóc rodzinie Martyny.

Zerknęła na filigranowy zegarek, który oplatał jej trzęsącą się ze zdenerwowania rękę.

– Za jakieś pół godziny powinni tutaj być. Chcę, żeby do tego czasu wszyscy, którzy znali Martynę Bułeczką, przyszli do mojego gabinetu.

Do Jakuba Możejki ledwo docierały jej słowa. Zamiast nich słyszał Martynę Bułeczką, która wypłowiałym, znużonym głosem ciągnęła narrację, nieudolnie, choć na swój sposób uroczo, naśladującą styl José Saramago. Widział jej krągłą twarz z delikatnie zarumienionymi policzkami i biust wybijający się spod opinającej ciało bluzki. Czuł kokosowy zapach olejku, który wcierała we włosy i w skórę.

I wspominał dzień, w którym widział ją po raz ostatni.

**T**omek Kawęcki uważał, że mężczyźni nie są zdolni do zazdrości. Nie zazdroszczą – jak kobiety, które frustruje, kiedy ich partner gwałci wzrokiem młodsze i atrakcyjniejsze konkurentki albo gdy jedna z koleżanek wspina się po szczeblach kariery zawodowej – lecz podziwiają. A że często ten podziw podlany jest nienawiścią – do podziwianych obiektów albo samych siebie – to już zupełnie inna historia.

Dlatego gdy Kawęcki przyglądał się Jakubowi Możejce, buzowała w nim nienawiść, a jednocześnie darzył wykładowcę największym możliwym szacunkiem. Dałby wiele, a może nawet wszystko, co miał, by znaleźć się w jego skórze. Aby być dobrze zbudowanym i zadbanym mężczyzną po czterdziestce, z twarzą równo porośniętą delikatnym zarostem i z majestatyczną siwizną na głowie. Chciałby być na tyle zamożny, aby do pracy wkładać eleganckie garnitury któregoś ze znanych projektantów, nosić na nadgarstku efektowny zegarek i roztaczać wokół siebie woń perfum z górnej półki. Przede wszystkim jednak chciałby kleić zgrabne zdania, sprzedawać nieprawdopodobne historie i wciskać naiwnym małodatom głodne kawałki, zamiast uganiać się za psychopatami.

Wieczorny mrok wlewał się do środka jednej z przestronnych sal Wydziału Filologicznego, zdecydowanie zbyt obszernej jak na potrzeby spotkania czterech mężczyzn, a pośólkłe światło jarzeniówek wprowadzało do pomieszczenia peerelowskie tchnienie, którego efektowny i nowoczesny budynek do końca nie zdołał się wyzbyć. Kawęcki spoglądał przez wysokie okno na obszerny betonowy plac, który oddzielał budynek od parkingu. Po jego prawej stronie stał kilkunastometrowy stojak na rowery, w połowie zajęty przez fikuśne jednoślady. Kawęckiemu trudno było pojąć, dlaczego młodzi ludzie nimi jeżdżą. Zwłaszcza zimą.

Jakub Możejko nie spodziewał się, że kiedykolwiek znajdzie się w sytuacji, o jakiej czytywał w książkach: naprzeciw twardogłowych stróżów prawa, chętniej stosujących siłę pięści niż argumenty słowne, uznających dedukcję za najwyższą formę wysublimowania. Nie oczekiwał, że najbliższy kwadrans – policzył, że tyle mniej więcej trwały wcześniejsze przesłuchania – przyniesie mu jakiegokolwiek doznania intelektualne. Wiedział natomiast, że będzie niezwykle stresujący. Z wielu powodów.

– Jak już zapewne pan wie, chcemy zdobyć jak najwięcej informacji na temat Martynty Bułeckiej – powiedział Witold i zerknął na listę nazwisk, którą przygotowała dla niego profesor Zofia Grajewska. – Był pan jej promotorem, zgadza się?

Jakub Możejko nieznacznie skinął głową.

– Jak by ją pan opisał?

– Ma pan na myśli jej wygląd zewnętrzny?

– Nie, chcemy się dowiedzieć, jaką była osobą.

Możejko pogładził się po szerokiej szczęce. Długo się zastanawiał, co powiedzieć.

– Dojrzała i zaskakująco mądra.

– Może pan to rozwinąć?

– Wyróżniała się na tle rówieśników inteligencją i zdolnościami pisarskimi.

Wydaje mi się, że zwracam na to większą uwagę niż inni wykładowcy, którzy



bardziej cenią studentów za ich wiedzę z zakresu językoznawstwa czy historii literatury. Zapewne usłyszeli państwo, że była zwyczajną studentką, jakich mamy tu na pęczki.

– Niestety, nie możemy powiedzieć, co o niej mówili pana koledzy.

– Rozumiem.

– Czy w ostatnich tygodniach regularnie uczęszczała na pana zajęcia?

– Tak – odparł po krótkim namyśle. – Nie zauważyłem żadnego odstępstwa od normy.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– W czwartek rano.

Witold zrobił pauzę, aby przeanalizować grafiki, które otrzymał od dziekan wydziału. Miał tam rozpisane siatki zajęć zarówno Martyny Bułeckiej, jak i nauczycieli, którzy mieli z nią cokolwiek wspólnego.

– Zdaje się, że nie ma pan w czwartek żadnych zajęć.

– To prawda, ale prowadzę tego dnia konsultacje. Wszyscy studenci, którzy mają do mnie jakąś sprawę, którzy chcą napisać zaległą pracę, odrobić nieobecności albo po prostu zamienić ze mną słowo, mogą mnie wtedy zastać na uczelni. Widzę, że panowie zapomnieli, jak to jest na studiach – powiedział, rzucając każdemu z trzech policjantów prowokacyjne spojrzenie.

– Czego chciała wtedy od pana? – zapytał Artur Waliszewski, który poczuł się wywołany do tablicy.

– Jestem jej promotorem. Rozmawialiśmy na temat pracy magisterskiej i jej przyszłości na uczelni. Martyna zamierzała zrobić doktorat.

– Czy często rozmawiał pan z nią o przyszłości? – wtrącił się Witold.

– Co pan rozumie przez „często”?

– Zapytam inaczej: jak często rozmawiał pan z Martyną Bułecką o jej przyszłości?

Możejko zawahał się.

– Regularnie. Martyna miała problem, ponieważ jej oceny i dotychczasowe zaangażowanie w naukę stawiały ją w trudnym położeniu.

– Co ma pan na myśli?

– Martyna Bułeczka nie była osobą idealnie skrojoną do polskiego systemu edukacji. Cechy, którymi się odznaczała, predysponowały ją do pracy twórczej, koncepcyjnej, ale niekoniecznie do pokonywania kolejnych szczebli na... nie ukrywajmy... spróchniałej drabinie akademickiej. System nie uznałby jej za swój najlepszy wytwór.

– Ale pana zdaniem powinna robić karierę naukową?

Jakub Możejko głośno westchnął i nerwowo pokręcił zegarkiem, który oplatał jego nadgarstek.

– Wierzę w mądrość i nieskrępowane wybory. Jeśli taka była jej wola, moją moralną koniecznością było udzielenie jej wsparcia i pomoc w realizacji celu.

Witold zanotował coś w notesie, a następnie splótł ręce na klatce piersiowej.

– Czy Martyna miała jakichś wrogów?

Możejko powoli pokiwał głową.

– Aż tak dobrze jej nie znałem, żeby móc to stwierdzić. Ale podejrzewam, że tak. Każdy ma jakichś wrogów.

– Pan również?

– Oczywiście. – Możejko spojrział Witoldowi głęboko w oczy, po czym przeniósł wzrok na Kawęckiego, który przez całą rozmowę intensywnie mu się przyglądał, a teraz drżącą ręką włożył papierosa do ust. – Czy mógłby pan tutaj nie palić? W tym budynku obowiązuje zakaz.

Kawęcki wyciągnął zapalniczkę z kieszeni spodni, kilkakrotnie obrócił ją w palcach i ponownie schował.

– Mogę nie palić w pana towarzystwie – powiedział.

Nie spuszczając wzroku z Możejki, zsunął się z parapetu i ruszył do wyjścia.

Magda Giętka siedziała przy biurku, z niezbyt wygodnymi słuchawkami na uszach i dwoma monitorami przed nosem. Na pierwszym oglądała nagranie z przesłuchania Weroniki Tarnawskiej. Na drugim wypełniała dokument tekstowy, który za kilkanaście minut miał się zamienić w protokół przesłuchania świadka.

Rozmowa ze studentką okazała się zupełnym niewypałem. Dziewczyna była

rozdygotana i rozbita. Wciąż łkając, z trudem składała zdania. Nie potrafiła wyjaśnić, co robiła, zanim znalazła ciało. Z największym wysiłkiem przypominała sobie wydarzenia minionego tygodnia. Szczegółowo potrafiła opisać tylko okoliczności, w jakich poznała Martynę Bułęcką. Zresztą cały czas o tym opowiadała, praktycznie ignorując pytania, które zadawali jej policjanci. W końcu zupełnie przestała przejmować się ich obecnością, a przerywane łkanie przeszło w skowyt, którego ani Magda, ani jej szef nie potrafili przerwać.

Udało im się dowiedzieć, że Weronika Tarnawska i Martyna Bułęcka poznały się prawie pięć lat temu, tuż przed rozpoczęciem studiów. Weronika wprowadziła się do mieszkania kilka dni po tym, jak wynajęła je Martyna. Od razu się polubiły. Dwa tygodnie poprzedzające początek roku akademickiego spędziły na imprezowaniu, uzupełnianiu wyposażenia mieszkania i poznawaniu uroków samodzielnego życia.

Weronika Tarnawska wymieniła też wszystkich znajomych Martyny Bułęckiej, których była w stanie sobie przypomnieć. Jak na kogoś, kto mieszkał z nią niemal pięć lat, lista była zaskakująco krótka.

Magda skończyła spisywać rozmowę i weszła do policyjnej bazy danych. Miała stworzyć wstępną listę osób, które mogą być zamieszane w zabójstwo. Wypatrywała gwałcicieli, pedofilów, sadystów i wszelkiej maści zwyrodnialców przebywających na wolności. Policjanci nie mieli pojęcia, wedle jakich kryteriów powinni szukać sprawcy. I czy w ogóle powinni, skoro badanie nasienia mogło załatwić sprawę. Po dziesięciu minutach na liście Magdy znalazło się kilkudziesięciu osobników, których żadna kobieta nie chciałaby spotkać na swojej drodze. Po godzinie wykaz zawierał już kilkaset nazwisk.

Otworzyła notatnik i wykreśliła jeden punkt ze swojej długiej listy zadań. Dochodziła piętnasta, a ona była dopiero w połowie pracy. Czeką ją jeszcze wiele godzin szukania informacji, weryfikowania ich i raportowania. Nie było najmniejszych szans, żeby wyrobiła się ze wszystkim do dwudziestej. Sięgnęła po telefon. Musiała poinformować Filipa, że kolację zje w samotności.

– No trudno – odparł.

- Obawiam się, że kilka najbliższych dni może tak wyglądać.
- Dobrze.
- Mamy mnóstwo roboty przy tym śledztwie.
- Rozumiem.

Jego głos był obojętny. Nie znosiła, gdy odpowiadał tak, jakby jej nie słuchał. Odnosiła wtedy wrażenie, że mu na niej nie zależy, choć doskonale wiedziała, że nie do końca tak jest. Po prostu bardziej zależało mu na sobie samym niż na kimkolwiek innym. Jak każdemu facetowi.

– A co u ciebie słysząc? Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku – odparł po chwili namysłu, którą zdominował odgłos stukania w klawiaturę. – Czy możemy porozmawiać później? Jestem trochę zajęty.

Później? Przecież przed chwilą ci powiedziałam, że mam zawalony cały dzień, denerwowała się w duchu Magda.

– Jasne. Zadzwoń, jak będziesz mieć chwilę.

– Pa.

I tyle. Żadnego „okej, tak zrobię”, „miłego dnia”, „wracaj szybko”, „kocham cię”. Obojętność w czystej, nieskalanej formie. Rozmowa, której nie było. Dwojga ludzi, których związek nie miał żadnego sensu.

Mieszkali ze sobą zaledwie od kilku miesięcy. Niedługo, a jednak wystarczająco, aby zepsuło się wszystko, co przez dwa lata budowali. Nie pasowali do siebie i nie dogadywali się na wielu płaszczyznach. W dodatku zamiast się kłócić, rozgrywali cichą, zdradziecką wojnę: on zostawał dłużej w pracy, mówiąc, że trafił mu się upierdliwy klient, który nie ma bladego pojęcia o informatyce i programowaniu, albo zasłaniał się obowiązkami uczelnianymi; ona częściej niż zazwyczaj chodziła na siłownię, więcej biegła i chętniej odwiedzała rodziców. Od ponad miesiąca nie uprawiali seksu. Ostatnia próba zakończyła się bolesną porażką. Nie dogadali się co do długości gry wstępnej i zakończyli zabawę, zanim ktokolwiek ściągnął bieliznę.

Ich związek umierał śmiercią naturalną. Przypominał wykupioną na pół roku

usługę, która z każdym miesiącem stawała się coraz mniej satysfakcjonująca. Przedłużenie umowy nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia.

Magda porzuciła prywatne rozmyślania i wróciła do pracy. Do ponurego biurka, komputera i kilkuset zwyrodnialców, których twarze przewijały się na ekranie. Oderwała od nich wzrok i przypomniała sobie Weronikę Tarnawską. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła wymiętą, złożoną na czworo kartkę i ponownie przeczytała kilka niechlujnie zapisanych zdań.

Dlaczego miałam ją o to zapytać? – zastanawiała się. Dlaczego odpowiedzi na te pytania miałyby coś wniesć do sprawy? A przede wszystkim: dlaczego, do cholery, miałabym słuchać Kawęckiego?

Witold Ptak schował telefon do kieszeni. Wyciągnął papierosa.

– Technicy przekopali pokój Weroniki Tarnawskiej i znaleźli torebkę Bułeckiej. Było w niej wszystko z wyjątkiem telefonu. Jej aparat jest wyłączony. Spróbujemy ustalić jego położenie na podstawie ostatniego logowania do stacji bazowej. Poproszę też prokuratora, żeby załatwił nam dostęp do jej billingów. – Witold zrobił pauzę, by wziąć głęboki oddech. – Nie znaleźli fragmentu palca. Nasz nowy przyjaciel zachował go sobie na pamiątkę.

Tomek Kawęcki opierał się o ścianę, wydmuchując przed siebie dym. Przyglądał się wychodzącym z budynku studentom. Wychwytywał tych, od których emanował smutek. Nie było ich wielu.

– Dziwny typ z tego Możejki – powiedział Witold. – Najdziwniejszy z całej tej zgrai dziwolągów.

– A moim zdaniem najnormalniejszy z nich – sprzeciwił się Kawęcki. – Jako jedyny nie marnował naszego czasu i nie zasypywał nas bezwartościowymi komunałami. Dzięki niemu wiemy, że Bułecka nie była nudnym mołem książkowym, lecz osobą inteligentną i specyficzną. A takie częściej niż nudziarze ściągają na siebie nieszczęścia.

Powietrze przeszył donośny głos Waliszewskiego. Witold spojrzał w jego kierunku. Artur snuł się wśród studentów, rozmawiając z kolegą na temat samochodów, i raz po raz oglądał się za mijającymi go dziewczynami. Śmiał się

i żartował. Zachowywał się jak sutener robiący casting do burdelu.

– Wiesz, że Możejko jest pisarzem? – zapytał Witold.

– Wiem.

– Podobno niezłym. Tak przynajmniej piszą na Wikipedii.

– Nie kłamią.

– Skąd wiesz?

– Czytałem jego dwie pierwsze książki.

Witold odwrócił się w stronę Kawęckiego i rzucił mu pełne zdziwienia spojrzenie.

– Picie wódki jest absorbujące, ale nie na tyle, żebym nie znalazł czasu na czytanie – wyjaśnił Kawęcki.

– Mimo wszystko jestem zaskoczony.

– Píše mroczne thrillery psychologiczne. Takie fabularyzowane psychoanalizy. Zdaje się, że z wykształcenia jest psychologiem.

– Zabija w nich ludzi?

– Nie zawsze. Ale pisze o mroku, który kryje się w człowieku. W zakamarkach każdej duszy. Czasem się ujawnia, czasem pozostaje w ukryciu. Píše też o instynktach, nad którymi człowiek nie jest w stanie zapanować.

Stali przez chwilę w milczeniu, powoli dopalając papierosy.

– W takim razie pewnie cię ucieszy, że nie chciał nam powiedzieć, co robił w miniony weekend. Stwierdził, że uważa się za osobę publiczną i dopóki go nie zmusimy, nie zamierza się dzielić tymi informacjami.

– Ciekawe, ale to o niczym nie świadczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby zrobił to tylko dlatego, że uważa nas za debili. Sam słyszałeś, jak się do nas odzywał.

Witold pokiwał głową.

– Jak do psów.

– Gorzej. Ma nas za półgłówków. Nieudaczników wytresowanych do łapania przypadkowych głabów z ulicy.

Zamilkli, kiedy podszedł do nich Artur z ubawioną gębą, otoczony irytująco wesołą aurą. Ale po chwili się oddalił, żeby odebrać telefon, a Kawęcki i Witold

podążyli za nim wzrokiem.

*Remain Strong*, krzyczał do niego tytuł z okładki, na której bepalczasta dłoń, schowana w coś, co przypominało rękawiczkę, sięgała po szklankę whisky.

Z książki, do której Tomek Kawęcki zajrzał po raz pierwszy kilka miesięcy temu, nie zostało wiele. Miała zmurszałą, pożółkłą okładkę, a jej kartki były wygniecione i podziurawione papierosowym żarem. Wielu stron brakowało. Pamiętał, że ciskał nią po mieszkaniu. Śmiał się z niej. Przeklinał ją, jakby to ona była wszystkiemu winna. Nigdy nie przebrnął przez pierwszy rozdział. Teraz, nie mając trzeciej i czwartej strony, uznał, że nie warto nawet próbować.

Położył książkę na stercie śmieci, które wypełniały jeden z kilku worków stojących pod drzwiami jego mieszkania. Pierwszy raz w życiu wyrzucił książkę. Na dodatek taką, którą inni uznaliby za najbardziej mu potrzebną, niezależnie od tego, czy znajdowały się w niej przydatne rady, czy denne slogany wymyślone przez jakiegoś domorosłego specja od zwalczania nałogów.

Wiedział, że i tak by mu nie pomogła.

Wsadził do pralki prześmierdłe ubrania, nawet nie próbując segregować ich kolorystycznie. Wsypał więcej proszku niż zazwyczaj i wlał trzy zakrętki taniego płynu do płukania. Wątpił, czy to przywróci jego koszule i spodnie do stanu używalności, ale musiał spróbować. W przeciwnym wypadku musiałby kupić sobie nowe, a na to nie było go stać. Przekonał się o tym, kiedy uruchomił nieużywanego od kilku dni laptopa i zajrzał na swoje konto bankowe. Policzył, że stać go jedynie na opłacenie rachunków. I to pod warunkiem, że przestanie pić i palić. Długo się zastanawiał, z czego powinien zrezygnować. W końcu sięgnął po papierosa.

Kiedy skończył robić porządki, zegar wskazywał dwudziestą drugą.

Nie znał dobrej recepty na walkę z nałogiem. Wiedział tylko, że te powszechnie uznawane za skuteczne, polecane w książkach i na forach internetowych, opisywane w pracach psychologów, wymyślane przez alkoholików, którzy po latach picia wyszli na prostą, w jego przypadku się nie sprawdzą. Nie sprawdzi się żadne rozwiązanie skoncentrowane na akcie. Na picciu. Na bezmyślnym, niemożliwym do wyjaśnienia działaniu sprowadzającym się do bezwolnego

dewastowania organizmu. W pokonaniu nałogu nie pomoże ciągle podkreślanie tego, co w alkoholizmie najgorsze: kłótni, upokorzeń i zdrad, słów niewypowiedzianych i wypowiedzianych niepotrzebnie, zachowań, których się nie pamięta albo których nie chce się pamiętać, wstydu, który wsiąka w każdy, nawet najmniejszy ruch alkoholika.

Pomóc może tylko całkowite rozliczenie się z przeszłością. Zaakceptowanie jej. Ale w jego przypadku wydawało się to niemożliwe.

Wszedł do minimalistycznie urządzonego salonu, w którym znajdowały się jedynie dwa drewniane krzesła, biurko, dwuosobowa kanapa i szafka na ubrania. W oknie wisiały szare firanki. Były zbyt brudne, by ktokolwiek ośmielił się przypuszczać, że kiedyś mogły być białe. Kawęcki nigdy ich nie prał i wątpił, czy zrobił to kiedyś jego dziadek, który zostawił mu mieszkanie w spadku. Staruszek długo się nim nie nacieszył. Wprowadził się tu na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy na Radogoszczu Wschodzie, najbardziej oddalonym na północ łódzkim osiedlu, deweloperzy stawiali ostatnie bloki. Wkrótce potem zmarła mu żona. Wszystkie jego wspomnienia, które wiązały się z tym miejscem, były przygnębiające. Nie omieszkał napomknąć o tym wnukowi, kiedy przepisywał na niego mieszkanie. A ten najwyraźniej poczuł się zobowiązany podtrzymać emocjonalną tradycję miejsca.

Kawęcki położył na biurku laptopa, a chwilę później podłączył do niego zakurzoną drukarkę. Obok niej postawił popielniczkę. Otworzył pocztę i przejrzał maile. Ściągnął pliki, które były związane ze śledztwem: wstępną analizę kryminalistyczną, meldunek Witolda Ptaka z miejsca zbrodni i pobieżny raport lekarza medycyny sądowej. Utworzył trzy nowe dokumenty tekstowe. W pierwszym umieścił wszystkie informacje na temat ofiary i miejsca zbrodni. W drugim zgromadził zeznania, które jego kolegom udało się zebrać w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. W trzecim umieścił zdjęcia.

Fotografie były najbardziej wymowne. Pokazywały brutalną siłę, z jaką zabójca wyprowadzał ciosy. Zdradzały intencję sprawcy, który nie chciał zwyczajnie odebrać ofierze życia. Pragnął widzieć, jak jej ciało się rozczłonkowuje, skóra



oddziela od kości, a kończyny od tułowia, jak odcięta od korpusu głowa toczy się po podłodze. Jak coś pięknego, wzbudzającego zachwyt i pożądanie, po brutalnym rozkawałkowaniu traci cały swój urok, stając się bezwartościową zbieraniną mięśni, ścięgien i kości. Chciał zrealizować wielokrotnie oglądaną projekcję swojej chorej wyobraźni.

Kawęcki wydrukował wszystkie materiały, które zamieścił w plikach. Pozszywał kartki z informacjami o sprawie. Podpisał zdjęcia i rozłożył je na podłodze. Wpatrywał się w nie przez kilka minut, próbując dostrzec w nich coś więcej, niż widział do tej pory. Przestał, gdy się zorientował, że utracił zdolność koncentracji, a jego myśli znalazły się gdzie indziej.

Choć w mieszkaniu panował chłód, Kawęcki obficie się pocił. Kiedy więc skończył porządkować materiały, usiadł na krześle i głęboko westchnął. Grzbietem dłoni otarł pot z czoła i odkleił od niego mokre włosy. Wypalił dwa papierosy, jednego po drugim. Potem wstał i podszedł do okna. Otworzył je na oścież.

Z trzeciego piętra bloku dobrze widział starą krańcówkę autobusową, stojące za nią szeregowe domy zamieszkałe przez zamożniejszych lokatorów osiedla, betonowy parking i gęste chaszczce, które ciągnęły się do ogródków działkowych. Nad majaczącym w oddali Lasem Łagiewnickim stało bezgwiazdne granatowe niebo. Kawęcki wsłuchiwał się w krótkie salwy młodzieńczego chichotu, wybuchające w różnych rejonach osiedla, i spoglądał na ludzi, którzy wyprowadzali psy na spacer. Nerwowo szarpali smycze, jakby dzięki temu ich zwierzęta mogły się szybciej wysrać. Szerokimi chodnikami, wzdłuż rzędów smukłych lub niskich drzew, snuły się małolaty w dresach. Nie widział ich twarzy, ale domyślał się, że gniewne miny przyklepione do dziecięcych buziek muszą wyglądać komicznie.

Na myśl o tych wszystkich ludziach zrobiło mu się niedobrze. Splunął przed siebie i zamknął okno.

Gdy wybiła dwudziesta trzecia, wyłączył komputer i poszedł do sypialni. Z niepokojem zgasił światło. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni kładł się do łóżka trzeźwy. Zapomniał, że jego materac zapada się na środku, tworząc na wysokości

łędźwi nieprzyjemną dziurę, a kołdra jest za krótka, żeby przykryć ciało. Szybko zaczął żałować, że będzie o tym wszystkim pamiętać.

Zapalił kolejnego papierosa.

Żeby zająć czymś myśli, próbował w najdrobniejszych szczegółach zaplanować kolejny dzień. Znaleźć w nim coś, co sprawi mu przyjemność. Coś, na co warto czekać. Nie potrafił. Wpatrywał się więc w okopcony sufit, na którym rozbijały się wydmuchiwane kłęby dymu. Słuchał miarowych uderzeń sekundnika, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że zegar próbuje wymierzyć mu pokutę. Wiedział, że czeka go długa bezsenna noc. Nie pierwsza. I nie ostatnia.

**P**o krótkiej odprawie, tym razem w całości poprowadzonej przez Witolda Ptaka, Mariusz Szczebiot wrócił do swojego gabinetu. Skrzywił się na widok kubka z niedopitą kawą, który zostawił na biurku, obok komputera stacjonarnego. W schludnym gabinecie stały jeszcze tylko dwa krzesła obrotowe, szafa i obszerny regał na dokumenty. Niczego więcej nie potrzebował. Zresztą nie tolerował miejsc pracy urządzonych tak, by w jak największym stopniu kojarzyły się z domem. Nie znosił obrazów, malowideł ściennych czy oblepionych zdjęciami tablic korkowych. Nie akceptował biurków zastawionych jedzeniem i napojami. Nie cierpiał kubków na długopisy, książkowych kalendarzy, maskotek mających przynosić szczęście i wszelkich innych bezwartościowych rupieci.

Nie przeszkadzało mu to, że choć zajmował ten pokój od ponad pół roku, nikt by się nie domyślił, że to jego gabinet.

– Czy możemy porozmawiać?

Szczebiot drgnął. Miał nadzieję, że dojdzie do tego spotkania, i to raczej wcześniej niż później, ale nie spodziewał się, że nastąpi to akurat teraz. Był zupełnie nieprzygotowany na trudną rozmowę kilkanaście minut po ósmej. Mimo

to odrzekł:

– Myślę, że nawet musimy.

Przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł na krześle, uważając, by nie pognieść garnituru. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w brudny kubek. W końcu zdjął go z blatu i włożył do szuflady.

Kawęcki, który usiadł naprzeciwko niego, posłał mu kwaśny uśmiech.

– A więc nie poradziłeś sobie z natręctwami – zauważył. – W ogóle próbowałeś się ich pozbyć?

Szczebiot, siedząc sztywno na krześle, z nienaturalnym prze prostem kręgosłupa, przyglądał się człowiekowi, z którym przez kilka lat spędzał po kilkanaście godzin dziennie. Razem jeździli do przestępstw, odwalali żmudną papierkową robotę, przesłuchiwali podejrzanych. Przygotowywali zasadzki i godzinami czyhali na zbójów. Jeśli nie mogli opuścić miejsca, z którego prowadzili obserwację, sikali do tej samej butelki. Razem jedli, pili, spali. Wiedzieli o sobie wszystko. Prawie wszystko.

Z tamtego Kawęckiego niewiele zostało. W zasadzie tylko emocjonalna oziębłość, niedostępność i nieskrywane przekonanie o własnej wyższości. Determinacja, chorobliwe wręcz zaangażowanie i gniew, który napędzał go w pracy, wyparowały razem z wodą. Przed Szczebiotem siedział wrak znakomitego niegdyś policjanta. Wepchnięty w nieuprasowaną koszulę, która zwisała z jego patykowatego ciała, znoszone spodnie i brudne adidasy.

– Nie, nie próbowałem. Wierzę, że kiedyś uratują mi życie – powiedział naczelnik. – Myślę, że moje natręctwa są znacznie mniej szkodliwe od różnych nałogów i uzależnień, z którymi zmagają się ludzie. Nie sądzisz?

Kawęcki położył na stole paczkę papierosów. Odchylił się na krześle tak, jakby siedział na leżaku, i otworzył okno. Założył nogę na nogę. Zapalił papierosa i wydmuchnął dym nad głowę.

– Próbowałem rzucić. Nie wyszło. Wyciągniesz ten kubek?

Szczebiot wpatrywał się w Kawęckiego, szukając na jego twarzy śladów intelektu, którym kiedyś imponował i którego niejednokrotnie mu zazdrościł. Jeżeli

nadal w nim tkwił, to ukrywał się pod grubą warstwą prymitywnego dziadostwa.

Wyjął z szuflady kubek. Kawęcki z wdzięcznością skinął głową i strzepnął do niego popiół.

– Widziałem cię wczoraj w telewizji. Nie wypadłeś najlepiej – oznajmił. – Przypomniałem sobie, jak kilka lat temu na jednej z imprez opowiedziałeś mi o swoim panicznym lęku przed kamerą. Mówiłeś, że nienawidzisz dziennikarzy. Że gdybyś tylko mógł, tobyś każdego z nich rozszarpał. Miło jest się czasem dowiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

– À propos imprez – powiedział Szczebiot. – Kiedy ostatni raz piłeś?

Kawęcki odchylił się na krześle i zaczął liczyć na palcach.

– Trzydzieści godzin temu.

– Odnoszę wrażenie, że jak na ciebie to niezły wynik.

– Całkiem niezły.

– Udało ci się wczoraj zasnąć?

Kawęcki pokręcił głową, wydmuchując dym we wszystkie strony. Odgarnął do tyłu włosy, które opadły mu na czoło.

– Ile to już trwa? Dwa lata?

– Z okładem.

– Zamierzasz coś z tym zrobić?

– Miałem nadzieję, że porozmawiamy o śledztwie.

– W pewnym sensie to właśnie robimy. Pytam nie jako twój przyjaciel, lecz jako szef.

– Nie jesteś moim przyjacielem – odparł Kawęcki. – Nigdy nim nie byłeś.

Szczebiot zaczął rytmicznie stukać palcami w blat biurka. Długo zastanawiał się nad tym, co powinien powiedzieć.

– To prawda. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. I chyba już nimi nie zostaniemy.

– Przysunął się do biurka i splótł dłonie na blacie. – Po co przyszedłeś?

– Chciałem porozmawiać o śledztwie – odparł Kawęcki, gasząc papierosa w kubku.

– No to rozmawiajmy.

– Chodzi mi o śledztwo w sprawie haraczy. Chciałbym do niego wrócić, gdy już uporamy się ze sprawą tego zabójstwa.

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Nie widzę przeszkód. Pod warunkiem, że utrzymasz dotychczasową skuteczność. Nie wiem, jak ci się to udaje, zważywszy na twój tryb życia, ale masz świetną wykrywalność.

– To nie będzie takie proste – powiedział Kawęcki. – Chciałbym, żeby przez te kilka miesięcy, kiedy będziemy zajmować się zabójstwem Bułeckiej, nikt się do śledztwa nie mieszał.

– Przez kilka miesięcy?

– Może nawet dłużej. Nie mamy śladów ani podejrzanych. Koledzy i rodzina zamordowanej nie są w stanie wskazać nikogo, kto mógłby to zrobić, a mieszkańcy kamienicy zachowują się tak, jakby łączyła ich zмова milczenia. Wszystko wskazuje na to, że mamy problem.

Szczebiot zastanawiał się nad słowami Kawęckiego, wpatrując się w jego wymizerowaną twarz. Racja, na razie nic nie mieli. Ale dopiero zaczęli swoją mrówczą pracę. W każdej chwili mogło się okazać, że ktoś jednak widział sprawcę albo że zabójca zostawił na miejscu zbrodni ślady, dzięki którym będzie można rozpoznać jego tożsamość. Wykorzystując zaawansowaną kryminalistykę i medycynę sądową, nie pozostawią przestępcy żadnych szans. Wystarczy, że nie popełnią kardynalnych błędów podczas śledztwa.

– Nie stać nas na to, żeby ta sprawa ciągnęła się miesiącami. Tylko przez kilka dni będziemy dysponować tak licznym zespołem, potem zostanie on okrojony, a w końcu wszystko spadnie na barki Witolda, Artura, Magdy oraz twoje. Mam nadzieję, że kiedy to się stanie, będziemy już wiedzieli, kogo powinniśmy szukać. – Szczebiot odsunął się od biurka i położył dłonie na poręczach. – Kto wie, może faceta przyciśnie sumienie i sam się do nas zgłosi.

Kawęcki wymownie westchnął. Wrzucił niedopałek do kubka i sięgnął po następnego papierosa.

– Coś jeszcze? – zapytał Szczebiot.

Kawęcki podrapał się po policzku.

– Chyba nie polubiliśmy się z tą dziewczynką, którą mi przydzieliliś. Lepiej będzie, jeśli ją gdzieś przeniesiesz. Do pracy ze mną się nie nadaje.

– Poradzi sobie. Coś jeszcze?

Naczelnik próbował uchwycić wzrok Kawęckiego, ale ten błyskawicznie wyślizgnął się z jego gabinetu. Szczebiot wstał i zamknął za nim drzwi. Potem uchylił szerzej okno. Wolał zmarznąć niż wdychać smród tanich papierosów.

Stanął przed biurkiem i spojrzał na nie z góry. Wpatrywał się w obrzydliwą brązową breję na dnie kubka. Zastanawiał się, czy warto go jeszcze myć, czy od razu powinien się go pozbyć.

Zresztą nie tylko co do kubka miał takie wątpliwości.

Wyciągnął z kieszeni wibrujący telefon. Dzwonił doktor Jan Ronert. Nie miał dla niego dobrych wieści. W kilku suchych zdaniach wyjaśnił, że nie znalazł na ciele ofiary żadnych śladów, które umożliwiłyby identyfikację sprawcy. Żadnych włosów, śliny, fragmentów naskórka. Nic, z czego dałoby się wydzielić DNA.

Odkrył natomiast coś, co sprawiło, że Szczebiotowi żołądek podszedł do gardła.

Nasienie, które lekarz medycyny sądowej znalazł w pochwie Martyny Bułeckiej, nie należało do człowieka. Doktor Jan Ronert domyślił się tego, kiedy na rozkawałkowanym ciele zauważył ślady zadrapań. Większość ran – płytkich, prawdopodobnie zadanych niecelowo – znajdowała się na lędźwiach. Analiza próbki nasienia wykazała, że zanim sprawca, używając zapewne pałki, zdewastował narządy płciowe ofiary, pozwolił, aby zgwałcił ją pies.

Witold Ptak i Artur Waliszewski przeciskali się samochodem przez zatłoczone miasto. Kierowali się w stronę Lumumbowa, położonego we wschodniej części Łodzi osiedla akademickiego. W jednym z dziewięciu domów studenckich wybudowanych na terenie kompleksu, który oprócz akademików tworzyły między innymi hala sportowa, boiska piłkarskie, biblioteka miejska i stołówka, zamierzali spotkać się z Borysem Zarzecznym, byłym chłopakiem Martyny.

– Pamiętasz „Księcia”? – zapytał Artur, przerywając milczenie, które towarzyszyło im, odkąd usłyszeli od Szczebiota o odkryciu lekarza.

– Kim jest „Książę”?

– Kimś, kogo nie chciałbyś poznać. – Artur zaśmiał się krótko, po czym z dezaprobatą pokręcił głową. – Widać, że nie pracowałeś w obyczajówce.

Zatrzymali się kilkadziesiąt metrów przed rondem Solidarności. Stali za żółto-czerwonym tramwajem, w sznurze pojazdów, który ciągnął się wzdłuż wysłużonych beżowych bloków. Za chwilę mieli wjechać w pełną sprzeczności płataninę skrzyżowań – zmoreę początkujących kierowców. Jeden z najbardziej skomplikowanych węzłów komunikacyjnych w mieście otaczały trzy monumentalne budowle: szklany biurowiec Infosys Green Horizon, toporny kościół Świętej Teresy, zwieńczony masywną kopułą o średnicy ponad dwudziestu metrów, i charakterystyczny, przypominający paragraf gmach Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego.

– „Książę” był legendą półświatka. Człowiekiem, o którym wszyscy policjanci z łódzkiej obyczajówki mówili i którego wszyscy chcieli posadzić, ale jednocześnie nikt nie miał ochoty go spotkać. Był koszmarem wszystkich dziwek. Wcielonym diabłem. Dziwię się, że o nim nie słyszałeś. Drugą młodość przeżywał w czasach, kiedy już byłeś na służbie. Ja się wówczas jeszcze uganiałem za spódniczkami i kombinowałem, jak poruchać, żeby nie wpakować się w alimenty.

– Od zawsze było mi bliżej do zabójców i narkomanów – odparł Witold, zastanawiając się, czy życie Artura tak bardzo się od tego czasu zmieniło. Jego na pewno.

– „Książę” był szefem grupy, która trzęsła łódzkim rynkiem prostytucji. Jego ekipa przez kilka lat rozstawiała dziewczyny po ulicach i decydowała, z kim i za ile mają się pieprzyć. „Książę” czerpał korzyści z większości odpłatnych numerków w mieście. Jeżeli więc zdarzało ci się kiedyś zamoczyć w którejś z ulicznych kurewek, to jest całkiem prawdopodobne, że zasilieś jego konto. – Artur próbował sztubackim uśmiechem zachęcić Witolda do interakcji, ale ten wpatrywał się w ludzi wypełzających z tramwaju. – Miał dwa pseudonimy, oba uzasadnione: „Książę” oraz „Buhaj”. „Książę”, bo przez kilka lat był w tym środowisku nietykalny, policja nie potrafiła mu nic zrobić, a inni gangsterzy panicznie się go



bali. A „Buhaj”? Pewnie się domyślasz.

Silnik wiekowego passata zarzęził i ruszyli. Ponownie zatrzymali się tuż przed światłami. Widzieli ludzi smaganych wiatrem, w pośpiechu przechodzących przez ulicę. Gwałtowne podmuchy rozniecały w powietrzu drobiny sypiącego od kilkunastu minut śniegu, który stopniowo zabielał asfalt.

– Złą sławę zawdzięcza temu, w jaki sposób doglądał swojego biznesu. Był, delikatnie mówiąc, brutalny. Zwłaszcza gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Najbardziej nie lubił, kiedy któraś z dziewczyn próbowała działać na własną rękę i nie płaciła haraczu. Zaczynało się od gróźb i pobicia, ale rzadko się na tym kończyło. Wiesz, czym jest pociąg?

Witold pokręcił głową, jakby chciał sprzeciwić się temu, co miał za chwilę usłyszeć.

– To forma gwałtu zbiorowego, którym ekipa „Księcia” wymuszała posłuszeństwo prostytutek. Pierwszy dziwkę ruchał „Książę”, jak przystało na szefa grupy. Potem robili to jego żołnierze, jeden po drugim. A na koniec wkraczał pies „Księcia”, wytresowany w tym celu pitbull. – Witold i Artur wymienili spojrzenia. – Gangsterzy wszystko nagrywali, na wypadek gdyby któraś z dziewczyn nie zrozumiała przekazu. Wówczas jej dzieci, mąż albo rodzice mogliby obejrzeć, jak gwałci ją gromada nafaszerowanych narkotykami chamów i ich psisko.

Witold poczuł gorycz w ustach. Opuścił nieznacznie szybę, żeby zaciągnąć się zimnym miejskim powietrzem.

– „Książę” stosował też inne metody. Niektóre dziewczyny bił tak, że już nie mogły wrócić do zawodu, bo miały zbyt pokancerowane gęby, żeby ktokolwiek chciał się z nimi ruchać. Stawały się bezużyteczne. Podobnie jak laski, którym oblewał twarz kwasem. Sterroryzował prostytutki do tego stopnia, że później trudno było je nakłonić do złożenia zeznań. Za bardzo się bały. Nawet nie o siebie, lecz o swoich bliskich.

– Co się z nim stało?

– Po raz pierwszy trafił za kratki na początku lat dziewięćdziesiątych. Sprawą

zajął się twardy prokurator, który postawił sobie za punkt honoru wsadzić go do pierdła. Dopiął swego, choć zważywszy na to, co „Księżę” nawywijał, wyrok wydawał się śmieszny. Kilka lat później gość wyszedł na wolność. Próbował wrócić do branży, ale na szczęście ponownie wylądował w pace. Co się z nim dzieje teraz, nie mam pojęcia. Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym?

Witold początkowo chciał odpowiedzieć, że nie, ale kiedy cofnął się pamięcią do śledztw sprzed lat, zaczęły na niego zerkać twarze ludzi, którzy zabijali dla pieniędzy, władzy, z nienawiści albo głupoty. Narkomani na głodzie, gotowi na wszystko, byle zdobyć towar; zdesperowani małżonkowie, wpędzeni przez hazard w tarapaty finansowe i zdecydowani wyjść z nich za wszelką cenę, nawet śmierci najbliższych; frustraci, którzy nie potrafili odnaleźć się w życiu, więc wybierali drogę na skróty – przez rozboje, gwałty, kradzieże czy zabójstwa.

– Świat pełen jest potworów – skostatował Witold. – Tyle że większość ludzi ma szczęście, bo nigdy ich nie widuje, nie spotyka albo nie zauważa. My natomiast żyjemy w tym samym zaszranym ekosystemie co oni.

Ostre elektroniczne szarpnięcia niespodziewanie wypełniły samochód. Witold spojrzał na Artura, który próbował wyciągnąć telefon z ciasnej kieszeni spodni. Miał prawie czterdzieści lat, żonę, córkę w wieku szkolnym, chorego na nowotwór ojca i dwudziestopięcioletni kredyt hipoteczny na karku, a mimo to wciąż regularnie imprezował, zwykle z dziewczynami prawie dwukrotnie młodszymi od niego. Spędzał upojne noce w wynajętych ruderach studentek spoza miasta, a potem faszerował je pigułkami „dzień po”, jakby prowadził hurtownię leków. Na dodatek zachwycał się głupawą muzyką, której słuchają nastolatki. Witold nie był pewien, czy powinien mu zazdrościć takiego życia, czy współczuć.

Po zakończeniu krótkiej rozmowy Artur włożył do ust dwie miętowe pastylki i zaczął je młócić zębami. Przyjrzał się swojemu odbiciu w lusterku i poprawił miniaturowego irokeza z krótkich, lśniących od żelu włosów.

– Pamiętasz pigalak z tamtych czasów? – zapytał Artur.

– Od ponad dwudziestu lat jestem żonaty.

– Łódzki pigalak widział już niejednego żonatego. Zresztą nie oszukujmy się,

też jestem żonaty, a do świętoszków nie należę.

– Pewnie zdążyłeś zauważyć, że nasze systemy wartości trochę się różnią.

– Wiem, wiem. Zarzuciłeś sobie kaganiec monogamii, a ja staram się korzystać z życia na tyle, na ile to możliwe. Dla mnie to jedyny sposób, żeby z tą samą kobietą wytrzymać tyle lat pod jednym dachem. Ale na pigalaku nie bywam, odkąd zgarnęliśmy stamtąd jedną dziewczynę. – Artur odwrócił się w stronę Witolda. – Chcesz o tym posłuchać?

Witold uniósł rękę w geście zaprzeczenia.

– Może innym razem.

Kiedy rozglądając się za właściwym akademikiem, skręcali w ulicę Patrice’a Lumumby, miał nadzieję, że ów „inny raz” nigdy nie nastąpi.

– Niezła robota. Jakbyś układał puzzle.

Doktor Jan Ronert uniósł na Kawęckiego zmęczone oczy.

– To tymczasowe rozwiązanie – powiedział powolnym głosem, który złowrogo rozszedł się po surowym pomieszczeniu. – Uparliście się, że jej matka musi zobaczyć ciało, więc musiałem coś wymyślić.

Na masywnym stole sekcyjnym ze stali nierdzewnej leżały zwłoki Martyny Bułeckiej. Kilkanaście mniejszych i większych kawałków tworzących jej ciało Ronert skleił ze sobą za pomocą bezbarwnej taśmy pakowej. Najwięcej materiału potrzebował do połączenia głowy z pozbawionym kończyn tułowiem. Głęboką bruzdę, przecinającą na ukos twarz ofiary, wypełnił kwasem hialuronowym, którego zużył kilkadziesiąt razy więcej niż przy rutynowym zabiegu tuszowania zmarszczek. Wcześniej zmył krew z jej głowy i osuszył włosy. Próbował ją jeszcze uczesać, ale porzucił to zajęcie, kiedy uświadomił sobie jego absurdalność.

– Przyszliście pożartować czy chcecie się czegoś dowiedzieć? – zapytał, spoglądając z wyrzutem na Magdę, jakby miał jej za złe, że przyprowadziła ze sobą Kawęckiego.

– Jedno drugiego nie wyklucza – odparł komisarz.

Jan Ronert przykrył ciało białą płachtą, ruchem ręki wyprosił policjantów z sali sekcyjnej i zgasił światło. Następnie poprowadził ich do klaustrofobicznego

gabinetu, na który składało się krótkie biurko, stojący na nim laptop, trzy krzesła i kilka regałów wypchanych preparatami chemicznymi, książkami i dokumentami. Przygarbiony dwumetrowiec o pociągłej twarzy, w okularach nasuniętych na niekończące się czoło, w swoim pokoiku prezentował się śmiesznie – niczym komediant wciśnięty na potrzeby gagu w przyciasny kombinezon. Kiedy usiadł po swojej stronie biurka, zavalonego papierami i ozdobionego okrągłymi plamami po kubku, zdjął z czoła okulary, położył je na blacie i poklepał się po twarzy, żeby oprzytomnieć. Wydawał się skrajnie zmęczony.

– Jeśli chodzi o spermę, to dopiero wyniki badania laboratoryjnego dadzą stuprocentową pewność, z czym mamy do czynienia. Sądząc jednak po ilości ejakulatu i ranach znalezionych na ciele ofiary, Martynę Bułęcką zgwałcił pies. I tylko pies.

– To mnie akurat w ogóle nie interesuje – powiedział Kawęcki, ciężko opadając na krzesło.

– A co?

– Wzrost sprawcy. Jesteś przekonany, że był to duży facet?

Ronert zaczął wodzić palcem po oprawkach okularów.

– Raczej tak.

– Raczej?

– Sądzę, że nie mógł tego zrobić niski mężczyzna ani kobieta. Wskazują na to obrażenia oraz ślady, które zostały na kanapie. Beata Tarka może to potwierdzić.

Wielkolud czekał na jakąkolwiek reakcję Kawęckiego, ale się nie doczekał. Komisarz przyglądał mu się beznamiętnym wzrokiem człowieka, który wszystko w życiu widział i którego nic nie jest w stanie zaskoczyć.

– Jakiego wzrostu jest sprawca? – zapytał Kawęcki. – Takiego jak ty?

– Możliwe. Ale równie dobrze może być o pięć centymetrów niższy lub wyższy ode mnie.

– Stwierdziłeś, że jest ponadprzeciętnie silny. Na jakiej podstawie?

Ronert zawahał się. Rzucił chłodne spojrzenie siedzącej obok Magdzie, która w małym notatniku skrzętnie zapisywała przebieg rozmowy.

– Rąbałeś kiedyś drewno? – zapytał.

– Na szczęście nie.

– Więc pewnie nie wiesz, że czasem o wyjątkowo twardych odmianach drewna mówi się, że są twarde jak kość. Jest w tym oczywiście sporo przesady, ale złamanie kończyny to wbrew pozorom nie taka prosta sprawa. A żeby zadać ciału takie obrażenia, jakie zaobserwowałem u Martynty Bułeckiej, trzeba dysponować niezłą krzepą. Nawet jeśli zabójca miał świetnie przygotowany sprzęt, to musiał uderzać z góry, ze sporej wysokości i z potężną siłą.

Kawęcki powiódł wzrokiem za rękoma medyka, który plastycznie zademonstrował, w jaki sposób sprawca wyprowadzał uderzenia: oburącz, z prawą dłonią bliżej ostrza, biorąc bardzo obszerne zamachy.

– Czy wszystkie ciosy wskazują na to, że zadawała je jedna osoba? – zapytała Magda.

– Niektóre ledwie drasnęły ciało ofiary, ale kąt cięć wskazuje na jednego praworęcznego sprawcę, który po prostu parokrotnie chybił. Nie doszukiwałbym się tu niczego nietypowego.

Lekarz wydobył z biurkowego rozgardiaszu fotografie, które obrazowały to, o czym mówił.

– Wykluczasz możliwość, że zabójstwa dokonało dwóch praworęcznych mężczyzn o podobnym wzroście? – odezwał się Kawęcki. – Albo jeden, ale z dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości?

Ronert uśmiechnął się. Rozbawiło go pokrętne rozumowanie Kawęckiego.

– Wykluczyć tego nie mogę, ale jest to bardzo mało prawdopodobne. Wiem, że skala obrażeń jest porażająca i trudno sobie wyobrazić, aby mógł to zrobić jeden człowiek w trakcie kilkuminutowej furii, jednak to zdecydowanie najbardziej realistyczne rozwiązanie. Poza tym – Ronert uniósł dłonie, a następnie oparł je o brzeg biurka – dwie osoby prędzej by się wzajemnie zarżnęły, niż tak dokładnie rozczłonkowały ciało.

– Trochę nawet zbyt dokładnie – stwierdził cicho Kawęcki.

– Co masz na myśli?

Komisarz odgarnął do tyłu opadające na czoło włosy. Uniósł głowę i zawiesił wzrok na jednym z regałów.

– Czy sposób zadawania ciosów może świadczyć o tym, że sprawca dysponował wiedzą medyczną? – Zobaczywszy pytające spojrzenie Ronerta, wyjaśnił: – Czy gdyby chciał podzielić jej ciało na części, a nie tylko zabić ją w bezmyślny i wyjątkowo brutalny sposób, to uderzałby właśnie tak, wiedząc, że w ten sposób zdoła ją rozkawałkować?

Ronert pokręcił głową.

– Jak już mówiłem, powierzchowność niektórych ran wskazuje na to, że ciosy wyprawdane były w sposób niekontrolowany.

– Mógł ją najpierw zabić, dając upust swojej złości, a potem ze znawstwem pokroić na kawałki. I wtedy odciąć jej kciuk – powiedziała Magda.

Kawęcki na chwilę przeniósł na nią wzrok.

– Mogę wam znów powiedzieć to samo: to możliwe, choć bardzo mało prawdopodobne. – Ronert potarł dłońmi skronie, a następnie założył okulary i nasunął je na czoło. Odchylił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu. – W dziwnym kierunku brniecie. Jakiś świr zarznął Bogu ducha winną kobietę, a wy zamiast próbować go znaleźć, zastanawiacie się, czy mógł to zrobić lekarz. Jeśli pociął ją właśnie tak, bo akurat miał taki kaprys, to mógł się tego nauczyć w piętnaście minut. Wystarczyło, że wpisał odpowiednie hasło w Google.

Kawęcki energicznie wciągnął w nozdrza powietrze, jak człowiek nieoczekiwanie wybudzony ze snu. Flegmatycznie, jakby parodiował Ronerta, podniósł się z krzesła.

– Musiał wpisać nieco więcej haseł niż jedno.

– Z pewnością. Trochę to uprościłem.

– I dlatego ty grzebiesz w trupach, a ja próbuję ustalić, dlaczego musisz to robić.

Ronert, nie mogąc znaleźć dobrej riposty na słowa Kawęckiego, odprowadził policjantów pustym śmiechem.

Jedna z brytyjskich agencji matrymonialnych przeprowadziła kiedyś badania, z których wynikało, że dziennikarki uchodzą za znacznie atrakcyjniejsze od

dziennikarzy. Alicja Mioduszevska nie miała pojęcia, dlaczego tak jest. Sama reprezentantów tego zawodu uważała za bezbarwnych, nudnych i wyzutych z uroku osobistego, bez względu na płeć. Miała ich za przeciętniaków, za wbite w garsonki i garnitury przerośnięte gady, które nerwowo wymachują mikrofonem lub paplają coś do kamery. Niżej oceniała chyba tylko mężczyzn bezmyślnie śliniących się na widok plastikowych prezenterek. Była przekonana, że to oni, swoją bezdenną głupotą i bezguściem, wypaczyli wyniki tych badań.

Nie wiedzieć czemu, Alicja przypomniała sobie o nich, gdy zanurkowała do wnętrza torebki. Miała wrażenie, że pod jej palcami przewinęło się wszystko z wyjątkiem notatnika i długopisu. Kiedy się w końcu na nie natknęła, rzuciła swojemu rozmówcy krótki, nerwowy uśmiech, a on, o nic jeszcze niezapytany, bezradnie rozłożył ręce.

– Obawiam się, że nie będę w stanie powiedzieć pani nic ponad to, co zapewne już pani wie. Zakładam, że dysponuje pani największą wiedzą spośród osób, którym ta straszliwa tragedia nie jest obojętna. Oczywiście nie licząc policji – stwierdził Jakub Możejko, roztaczając tajemniczy urok.

Alicja ponownie uśmiechnęła się nieznacznie, mimo że ani słowa, ani sposób, w jaki wypowiedział je Możejko, nie rozśmieszyły jej w najmniejszym stopniu. Nie miała zresztą żadnych powodów do radości, a jednak ten minimalny, ukradkowy uśmiech pojawił się na jej twarzy. Oznaka zawstydzenia i skrepowania, uczuć niemal zupełnie jej obcych. Ujawniających się tylko wtedy, kiedy ma do czynienia z ludźmi wybitnie inteligentnymi, intrygującymi, a przede wszystkim świadomymi swojej wartości. Możejko z całą pewnością był taką osobą. Zdradzał to sposób, w jaki podjął ją w jednej z sal wykładowych. Nie przypominała sobie, kiedy po raz ostatni ktoś odsunął jej krzesło, aby mogła na nim usiąść. Do tego jego strój: niebieska koszulka polo pasująca do szytej na miarę marynarki, świetnie leżące dżinsy, nieznoszone, ale też niekłujące w oczy nowością skórzane brązowe buty. Nie musiał podkreślać swojej pewności siebie, żeby uczynić ją odczuwalną.

– Zanim się z panem spotkałam, zamieniłam kilka słów z kolegami Martyny – powiedziała Alicja. – Usłyszałam od kogoś, że na piątym roku jej stosunek do

nauki się zmienił. Nagle zapragnęła zostać na uczelni na kolejne lata. Podobno chciała napisać doktorat.

– Myśli pani, że chodzi o jedno zdarzenie, które spowodowało u niej zmianę postawy?

– Nie mam pojęcia. A co pan o tym sądzi?

Możejkę zamyślił się, patrząc w okno i lekko przygryzając wargi.

– Pojedyncze zdarzenie mogłoby przyczynić się do zmiany podejścia w przypadku osoby, która się waha i rozważa różne możliwości. Martyna nie jest... nie była osobą niezdecydowaną. Stanowczo i wyraźnie wyrażała niechęć do edukacji. Zresztą nie tylko do niej.

– Co pan ma na myśli?

– Była nonkonformistką. Czasem odnosiłem wrażenie, że żyje głównie po to, by iść pod prąd. Nie żeby na siłę wytyczać własne ścieżki, ale by czerpać jak największą przyjemność z życia. A to udawało jej się wtedy, kiedy udawiała, że drogi powszechnie uznawane za właściwe, te, którymi podążali inni, prowadzą donikąd. A na pewno nie do szczęścia.

– Dobrze ją pan znał.

Alicja spojrzała głęboko w błękitne oczy wykładowcy i przypomniała sobie, co o nim wie. Autor kilku niezłych powieści, kryminałów i thrillerów psychologicznych, wykładowca, najpierw na prywatnej uczelni, następnie na Uniwersytecie Łódzkim, człowiek mający opinię kobieciarza albo uznawany za geja z uwagi na dbałość o urodę i brak obrączki na palcu serdecznym. Obiekt kobiecych westchnień i męskiej zawiści.

– Nie lepiej niż inne studentki, którym pomagam w pisaniu prac magisterskich.

– Opiekuje się pan wyłącznie studentkami?

– Przede wszystkim. Zważywszy na strukturę płciową wydziału, nie jest to zaskakujące.

– Siedemdziesiąt pięć do dwudziestu pięciu procent?

Możejkę uśmiechnął się – elegancko, skromnie, nie wyszczerzając zębów, tylko nieznacznie unosząc kąciki ust. Przekrzywił głowę i rzucił Alicji pytające



spojrzenie.

– Wygląda na to, że nic się nie zmieniło, odkąd pani opuściła mury uczelni.

Kiedy to się stało?

– Kilka lat temu. Niedługo po tym, jak zaczął pan wykładać.

– Czy to jest jedyny powód, dla którego się nie spotkaliśmy?

– Główny jest taki, że nie prowadził pan zajęć, które by mnie interesowały.

Możejko ponownie się uśmiechnął, tym razem ukazując równy biały zgrzyz.

– Jest pani dziennikarką. Woli pani fakty niż konfabulacje. Rozumiem to i szanuję. Zdziwiłaby się jednak pani, gdyby się dowiedziała, że wszystkie przedstawiane w literaturze opowieści, choć zmyślane, wywodzą się z życia. Są wizualizacjami zdarzeń, historii, traum i radości autorów. Każde literackie zmyślenie jest odpryskiem rzeczywistości, mniej lub bardziej zmodyfikowanym na potrzeby prozy czy poezji. A czasami niezmienionym w ogóle.

Alicja zarejestrowała wyraźną zmianę w głosie Możejki. Stał się niższy, wytłumiony, bardziej chrapliwy. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo napawa się mówieniem o pisarstwie, albo w ten subtelny sposób wyraża zainteresowanie jej osobą. Prawdopodobnie jedno i drugie.

– Wróćmy do Martyny Bułeckiej – powiedziała. – Czy często rozmawiał pan z nią na tematy niezwiązane z nauką?

– Myślę, że zdecydowana większość naszych rozmów dotyczyła kwestii nieedukacyjnych. Martyna nie miała problemów z nauką, interpretowaniem tekstów literackich, wyciąganiem wniosków czy pisaniem. Trudność sprawiało jej utrzymywanie pozytywnego kierunku swoich rozważań i koncentrowanie się na długofalowych celach.

– Jak jej pan w tym pomagał?

Możejko znów się uśmiechnął. I znów inaczej: szeroko, nie ukazując zębów, przeciągle i na swój sposób ponuro.

– Nie mam doświadczenia pedagogicznego, więc musiałem zdać się na intuicję. Bardzo żałuję, że nie będzie nam dane sprawdzić, czy moja pomoc na coś się zdała.

Zgiął rękę w łokciu, zsunął rękaw marynarki i spojrział na zegarek. Kolejny

przejaw pewności siebie, zanotowała Alicja. Osoba nieśmiała dyskretnie próbowałaby zasugerować – chrząkając, wzdychając czy mimochodem wspominając o czekających ją zobowiązaniach – że czas rozmowy dobiega końca. Możejko nawet się nie odezwał, a jego komunikat rozbrzmiał niczym gong oznajmiający koniec rundy. Alicja schowała więc notatnik i zaczęła szykować się do wyjścia.

– Czy jest coś, co pana zdaniem powinnam wiedzieć o Martynie, a o co nie zapytałam?

Mozejko pogładził palcami delikatny zarost.

– Nie wydaje mi się. Ale jeśli przypomnę sobie coś godnego odnotowania, zadzwonię do pani. Możemy się tak umówić?

Alicja zawahała się, ale jej wątpliwości rozwiął Mozejko, który podniósł leżący na biurku telefon. Podyktowała mu swój numer, a następnie zarzuciła torebkę na ramię. Przez kilka chwil stała beczynn timer, przyglądając się, jak zadbanymi palcami wpisuje jej nazwisko do książki adresowej.

– Czy chce pan zobaczyć swoje wypowiedzi przed publikacją? – zapytała.

– Nie ma takiej potrzeby. Wiem, jacy są pisarze. Chcą zmieniać wszystko, co nie pochodzi spod ich pióra, nawet jeżeli są to ich własne słowa. Będę natomiast wdzięczny, jeżeli poinformuje mnie pani, kiedy tekst trafi do druku.

– Oczywiście.

– Chętnie przeczytam.

Uśmiech numer cztery, bez zębów, wąski, enigmatyczny. Zdecydowanie uwodzicielski.

– Na co tak patrzysz?

Tomek Kawęcki stał na środku okrągłego podwórka, które ze wszystkich stron otaczały czteropiętrowe szare kamienice. Przez betonowy plac, połyskujący od rozbitego szkła i powoli przykrywany białym puchem, ciągnęły się dwa wydzielone pasma ziemi z niskimi bezlistnymi drzewami połączonymi cienkim sznurem, na którym wisały kolorowe dziecięce ubranka. Kawęcki stał obok nich, w ciężkim grafitowym płaszczu silnie kontrastującym z barwnymi spodenkami,

koszulkami, kombinezonami i sweterkami, i hipnotycznie wpatrywał się w okno mieszkania Martynty Bułeckiej.

– Odstępy pomiędzy budynkami są niewielkie – powiedział. – Poszczególne mieszkania dzieli zaledwie kilka metrów. Niemożliwe, żeby nikt nic nie słyszał.

Magda Giętka rozejrzała się po placu, czując, że spoczywają na nich wścibskie spojrzenia. Żadnego jednak nie napotkała. Kiedy Kawęcki zapalił papierosa i powoli zaczął iść w kierunku bramy, ruszyła za nim. Naprzeciw nich pojawił się młody funkcjonariusz. To właśnie on pilnował wejścia do mieszkania ofiary w dniu, w którym znaleziono zwłoki. Teraz towarzyszyło mu dwóch mężczyzn.

Kawęcki skinął policjantowi głową i dokładnie otaksował cywilów. Odziani byli w jednakowe czapki z daszkiem, wytarte szare dresy i białe adidasy z ponadprogramowym czwartym paskiem. Choć obaj mieli zacięty wyraz twarzy, wyglądali na speszonych i nieufnych.

– Który z panów to Ryszard Szalpak?

– To ja – powiedział niższy.

– W takim razie pan nazywa się Tadeusz Szalpak. – Kawęcki spojrzał na wyższego i kurtuazyjnie się do niego uśmiechnął. – Komisarz Tomasz Kawęcki. Próbuję wyjaśnić, co się tutaj stało kilka dni temu. Panowie mieszkają na czwartym piętrze, zgadza się?

Wskazał palcem brudną elewację z oderwanym tynkiem, a bracia zgodnie pokiwali głowami. Wyciągnął w ich kierunku paczkę papierosów. Po chwili wahania wzięli po sztuce. Schował paczkę do kieszeni i oparł się o ścianę budynku.

– Możemy przejść na ty?

Ponownie pokiwali głowami.

– Dowiedziałem się od kolegów, że nie pamiętacie, co robiliście w weekend, kiedy wasza sąsiadka została zamordowana. Czy to prawda?

Bracia równocześnie zaczęli się rozglądać na boki, jakby liczyli, że z którejś strony nadejdzie wsparcie.

– Tak – powiedział Ryszard Szalpak.

– Czy macie problem z pamięcią? – zapytał Kawęcki. – Zmagacie się z jakąś

chorobą, która powoduje zaniki świadomości? Z alzheimerem? Miażdżycą? Guzy wam wyrosły na mózgu?

Ryszard głośno westchnął i podrapał się po pomarszczonym czole.

– Mamy problem z policją – odparł. – Nie lubimy was. Nie lubimy z wami rozmawiać.

– Czy to dlatego, że kilka lat temu mieliście z nami sporo do czynienia?

– Między innymi dlatego. Dlatego, że potraktowaliście nas jak ścierwo.

– Przyłapaliśmy was, jak w środku nocy wybiegaliście ze sklepu z dwoma telewizorami. Były większe od was, a przynajmniej od ciebie – powiedział Kawęcki, mierząc wzrokiem niższego z braci. – Trudno mi uwierzyć, że ktoś był na tyle głupi, by w ogóle podjąć próbę takiej kradzieży.

– Jeśli coś na nas macie, to powiedzcie. Nie musimy się z niczego tłumaczyć.

Kawęcki uśmiechnął się szeroko.

– Tu się mylisz. Nie musicie z nami rozmawiać w tej chwili, ale prędzej czy później będziecie musieli to zrobić. Próbuję ułatwić wam zadanie. Możemy pogadać teraz, u was w mieszkaniu, albo za kilka godzin na komendzie, na którą pojedziecie w charakterze głównych podejrzanych. – Rzucił papierosa na beton i przydepnął niedopałek. – To co, zaprosicie nas na górę?

Dwupokojowe mieszkanie Ryszarda i Tadeusza Szalpoków wypełniały głównie rupiecie, które bracia musieli gromadzić od lat. Gości wchodzących do przedpokoju witały dwa składane rowery, dwie drewniane półki zbite własnoręcznie z niekoniecznie pasujących do siebie elementów, dwie miniaturowe szafki na buty, dwie kurtki wiszące na przyczepionych do ściany hakach i dwie wąskie, niedomykające się, wypchane łachmanami szafy. W pokoju leżał materac, stał stary telewizor, a przed nim fotel. Żeby Kawęcki i Magda mieli na czym usiąść, bracia musieli przynieść z kuchni dwa krzesła ogrodowe.

– Za cztery miesiące skończą się wam zawiasy. Czy ma to jakiś związek z tym, że nie chcecie z nami rozmawiać? – zapytał Kawęcki, wiercąc się na niewygodnym plastikowym krześle. – Czy może raczej chodzi o to, że większość rzeczy w tym mieszkaniu pochodzi z kradzieży?

Młodszy z braci Szalpoków, Tadeusz, który nerwowo kręcił się przy wejściu na balkon służący za dodatkową graciarnię, głośno parsknął.

– Bzdura! Wszystko, co mamy, kupiliśmy. Albo znaleźliśmy – powiedział, sepleniąc tak, że trudno było go zrozumieć.

– W cudzych mieszkaniach – dodała Magda, biorąc do ręki starą miedzianą cukiernicę, efektowną, ale bezwartościową. – Potraficie kraść, ale nie umiecie sprzedawać skradzionych rzeczy.

– Gdybym miał trzydzieści parę lat na karku, wyrok za kradzież i kilkadziesiąt cudzych rzeczy w mieszkaniu, prawdopodobnie też nie chciałbym rozmawiać z policją – podsumował Kawęcki.

– Nic nie ukradliśmy – zapewnił starszy Szalpok z uspokajającym gestem. – Po prostu nie chcemy mieć kłopotów.

– Unikanie policji to kiepski sposób na unikanie kłopotów – odparł Kawęcki. – Gdybyście w minioną niedzielę wpuścili do mieszkania jednego z naszych chłopaków, którzy wtedy szwendali się po klatce i rozpytywali o Bułęcką, dzisiaj nie mielibyście na głowie dwojga policjantów. A my od razu się połapaliśmy, że jesteście złodziejami. I to aktywnymi. Nie porzuciliście swojego fachu, bo nic innego nie potraficie robić. Jesteście ofermami. Życiowymi nieudacznikami.

Kawęcki podniósł się, podszedł do okna i spojrział w głąb podwórka. Od mieszkania Bułęckiej dzieliło go najwyżej siedem metrów.

– Oglądaliśmy telewizję – powiedział Ryszard. – Przez całą sobotę oglądaliśmy telewizję. I popijaliśmy piwo. Niedużo, najwyżej po trzy, cztery browary na głowę.

– W którym pokoju?

– W tym.

– Od rana do wieczora oglądaliście telewizję?

– Tak. Około południa, może trochę później przenieśliśmy się do kuchni, żeby przygotować obiad. A wcześniej Tadek poszedł do sklepu.

– Co jedliście?

– Ziemniaki z jajkiem sadzonym.

Kawęcki odwrócił się w stronę młodszego z braci i podał mu pilota, który leżał

na parapecie.

– Włącz telewizor – powiedział.

Tadeusz wykonał jego polecenie.

– Zawsze macie telewizor ustawiony na taką głośność?

– Przeważnie – powiedział Ryszard.

– I jest tak włączony przez cały dzień, bez przerwy?

– Zazwyczaj tak.

– Nie słyszeliście żadnych dźwięków dobiegających z sąsiedniego bloku?

– Ja nie, Tadek też nie.

Młodszy z braci pokręcił głową.

– Ani w sobotę, ani w niedzielę? Niczego, co wzbudziłoby waszą czujność?

– Nie – odparł starszy, a po chwili zastanowienia dodał: – Jedynie w sobotę w nocy. W bloku na końcu podwórka mieszka kilku studentów. Każdego tygodnia robią imprezy. Zwykle zachowują się jak bydło, drą mordy, głośno słuchają muzyki, łażą po podwórku i palą fajki. Ale oni pewnie nie mają z tym nic wspólnego.

– Pamiętacie, w jakich godzinach odbywała się ta impreza? – zapytała Magda, unosząc wzrok znad notatnika.

– Zaczęli koło dwudziestej, a skończyli jakoś w środku nocy. Nie potrafię powiedzieć dokładnie, bo już spałem.

– A ty? – Kawęcki zwrócił się do młodszego z braci. – Zarejestrowałeś coś nietypowego, słyszałeś jakieś odgłosy albo widziałeś jakichś dziwnych ludzi kręcących się po okolicy?

Tadeusz Szalpak bezradnie wzruszył ramionami.

– Pamiętam tylko, o której skończyli imprezę – wyseplenił. – Było koło trzeciej, gdy muzyka przestała grać. Wiem, bo obudziłem się, kiedy jakichś dwóch gówniarzy zaczęło rechotać w bramie. Zatrzymali się tam, żeby się odlać.

Kawęcki westchnął i odgarnął do tyłu włosy.

– Czy w ciągu ostatnich kilku tygodni naprawdę nie wydarzyło się nic, co wzbudziłoby waszą ciekawość?

Bracia przez kilka sekund zastanawiali się nad odpowiedzią, po czym równocześnie pokręcili głowami.

Kilka minut później Kawęcki wszedł do mieszkania Marty Bułeckiej. Otworzył okno i wyjrzał na wyrastające u podnóża bloku podwórko. Na środku, obok jednego z nagich drzew, leżały dziecięce niebieskie ogrodniczki, które spadły ze sznurka.

– Rozmawiałam z Beatą Tarką – powiedziała Magda, chwilę później dołączywszy do Kawęckiego. – Wśród śladów zabezpieczonych w mieszkaniu Bułeckiej nie ma ani jednego pozostawionego przez but w rozmiarze większym niż czterdzieści cztery. Młodszy z braci Szalpaków nosi gigantyczne kajaki.

– A poza tym jest leworęczny – dodał Kawęcki, odwracając się do niej plecami. – Jego starszy brat jest natomiast za niski. Mimo to czegoś tu nie rozumiem.

– Czego?

– Parę osób się poskarżyło, że słyszało tych imprezujących studentów. Kilka innych zeznało, że regularnie docierają do nich odgłosy ubijania kotletów. Ktoś inny stwierdził, że dostaje szału, gdy mieszkający pod nim sąsiad wierci dziury w ścianie, a jakąś babę wkurzał pies, który wariuje pod nieobecność właścicieli. Jak to możliwe, że nikt nie słyszał, co się tutaj działo?

– Może ktoś kłamie.

– Albo kłamią wszyscy.

Kawęcki rozejrzał się po pomieszczeniu. W niczym nie przypominało miejsca, gdzie dokonała się rzeź. Raczej pokój porzucony przez lokatora na czas remontu. Świadectwem niedawnej tragedii były jedynie pozostawione na ścianach zacieki po zmywaniu, zadrapania na drewnianych panelach i metaliczny zapach krwi, bardziej niż w nozdrza wgrzyzający się w wyobraźnię.

– Skoro jeszcze o tym nie wspomniałaś, zakładam, że nie zadałaś Tarnawskiej pytań, o które prosiłem – powiedział niespodziewanie Kawęcki.

– Nie – odparła Magda. – Po kilku minutach przesłuchania doszłam do wniosku, że nie ma sensu ją o to pytać. Była zbyt zszokowana śmiercią koleżanki i tym, co tutaj zobaczyła, żeby opowiadać o rodzinie i jakichś zdarzeniach z przeszłości,

które rozegrały się w sąsiedniej wsi.

Kawęcki przeszedł się po pokoju, po czym odwrócił się w stronę Magdy i przeszył ją surowym wzrokiem.

– Masz świadomość, że w ten sposób prawdopodobnie spierdoliłaś nam jeden dzień śledztwa?

– Niby jak?

– Srak. Będziesz musiała zatankować samochód, ponieważ czeka nas jutro podróż za miasto. Tylko kiedy będziesz na stacji, poproś kogoś o pomoc. Taka durna pizda jak ty może sobie nie poradzić z dystrybutorem.

Kawęcki ze złością odgarnął włosy z czoła i zrobił krok w kierunku Magdy. Nagle się zatrzymał i uważnie przyjrzał policjantce. Zauważył, że jej dłoń spoczęła na kaburze.

– Panuj nad sobą – powiedział i zatrasnął okno.

Jeszcze chwila, a Magda rozryczałaby się ze złości. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się przed chwilą wydarzyło, wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach i omal nie staranowała funkcjonariusza, który kręcił się przed klatką schodową. Kiedy znalazła się na zewnątrz i zaczerpnęła chłodnego powietrza, trochę się uspokoiła i po raz pierwszy zastanowiła się nad tym, co w kolejnych dniach będzie wielokrotnie zaprzętać jej głowę: jak niewiele brakowało, aby tam na górze, w mieszkaniu Martyny Bułeckiej, rzeczywiście sięgnęła po broń.



**K**iedy się przedzierałi przez zakorkowane miasto, Magda uważnie przyglądała się Kawęckiemu. Jak leniwie wyciąga nogi, siedząc w maksymalnie odsuniętym do tyłu fotelu; jak flegmatycznie odgarnia z czoła włosy, cienkie i bezbarwne, przypominające papier; jak powoli odkręca termos i z pietyzmem nalewa kawę do nakrętki; jak nurkuje dłonią do kieszeni spodni, wydobywa zapalniczkę, a następnie obraca ją w palcach. Zerkała na jego wymizerowaną, zblazowaną twarz – twarz człowieka, któremu na niczym nie zależy. Obojętnego na zdarzenia pozytywne i negatywne, niewrażliwego na radości i smutki, martwiącego się jedynie tym, że musi przeżyć kolejny dzień. Beznadziejnie strapionego swoją codziennością.

Przypomniała sobie słowa Kawęckiego na temat samobójstwa. Być może właśnie to robi, pomyślała. Popęlnia samobójstwo idealnie skrojone pod siebie. Samobójstwo przez zaniechanie.

– Tu się nie pali – powiedziała.

Energicznym ruchem wyciągnęła mu papierosa z ust i wyrzuciła przez uchyloną szybę.

Nawet na nią nie spojrzął. Rozparł się w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi.

– Nie musiałaś tego robić – powiedział.

– Zmusiłeś mnie do tego.

– Najpierw daje się ostrzeżenie. Siły używa się wtedy, gdy ono nie zadziała.

– Posłuchaj – powiedziała, po czym głośno wypuściła powietrze. – To nie musi tak wyglądać. Nie musimy się obrażać i zachowywać tak, jakbyśmy się nienawidzili. Nie znamy się. Nie mieliśmy okazji się poznać. Nie wiesz jeszcze, czy masz powód, żeby mnie nie lubić. Ja także nie wiem, jakim jesteś człowiekiem.

– Oderwała wzrok od drogi i spojrzała na obojętne oblicze Kawęckiego. – Może zaczniemy jeszcze raz, w nieco innych okolicznościach? – zaproponowała. – Na przykład w pubie, przy piwie?

Kawęcki zamknął oczy.

– Kilkanaście minut temu chciałaś mnie zastrzelić – zauważył.

– Nie chciałam. To był tylko odruch. Gdybym strzelała do każdego, kto wywołuje u mnie taką reakcję, miałabym na koncie przynajmniej kilkadziesiąt trupów.

– I tak nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Ponieważ są przynajmniej dwa powody, dla których cię nie polubię.

– Zżera mnie ciekawość. Wal.

– Po pierwsze, do wydziału sprowadził cię Szczebiot i to on wpadł na pomysł, żebyśmy zostali partnerami. A wszystko, co ma jakikolwiek związek ze Szczebiotem, źle mi się kojarzy. Wywołuje u mnie odruch wymiotny.

Odkleił się od fotela, odmierzył sobie kolejną porcję kawy i kilkoma siorbnięciami opróżnił nakrętkę.

– A po drugie?

Kawęcki rzucił Magdzie pogardliwe, a zarazem pełne politowania spojrzenie, jakby właśnie zadała najdurniejsze pytanie na świecie.

– Jesteś kobietą. – Poczekał, aż Magda uświadomi sobie, że się nie przesłyszała, a następnie dodał: – Nie ma żadnych szans, żebyśmy się dogadali. Będziemy

pielegnować naszą toksyczną relację, aż zmięknie i zaczniesz błagać Szczebiota o przeniesienie.

– Albo aż ty wylecisz z pracy.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na to.

Magda zwolniła, kiedy się zorientowała, że po raz drugi w trakcie kilkuminutowej jazdy przejechała skrzyżowanie na żółtym świetle. Mimo licznych prób nie potrafiła zapanować nad nerwami.

– Dlaczego nienawidzisz kobiet? – zapytała. – Przez żonę? Wściekasz się na kobiety, bo cię zostawiła?

Kawęcki długo milczał, po czym z niewzruszonej twarzy wycisnął skąpy uśmiech.

– Byłbym skończonym kretynem, gdybym niechęć do jednej osoby przekuł w niechęć do całej płci – powiedział flegmatycznie, uważnie dobierając słowa. – Ale swoją cegiełkę niewątpliwie dołożyła.

– Kto jeszcze się do tego przyczynił?

Kawęcki sięgnął do znajdującego się pod fotelem pokrętła i odchylił siedzenie do poziomu, który pozwalał mu się niemal położyć.

– Twoja matka? Siostra? Kobieta, z którą zdradzałeś żonę? Jakaś dziwka, która odgryzła ci kawałek fiuta?

– Skup się na drodze – odparł. – Chciałbym się trochę zrelaksować, a nie wylądować w szpitalu.

Wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Zapalił go i wydmuchnął dym nad głowę, prosto w sufit. Magda odwróciła się do niego, ale odchylony na fotelu Kawęcki znajdował się za daleko, żeby wyrwać mu papierosa. Mogła jedynie opuścić szybę i liczyć na to, że dym nie wsiąknie w tapicerkę.

*Alicja Mioduszevska*

*Dziennikarka i reporterka, specjalizuje się w tematyce miejskiej, kulturalnej i sensacyjnej. Rodowita łodzianka, pasjonująca się historią miasta, literaturą fantastycznonaukową i skandynawskim punk rockiem. Absolwentka polonistyki*

*i kulturoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim. Wychowanka „Expressu Łódzkiego”, z którym związana jest od 2009 roku.*

Jakub Możejko przyglądał się fotografii, która znajdowała się na stronie internetowej „Expressu”. Alicja miała na niej chudą, dziewczęcą twarz, smutne spojrzenie i spięte w kucyk włosy. Biały sweter z kołnierzem zasłaniał niemal całą szyję. Na podstawie zrobionego kilka lat temu zdjęcia trudno było przypuszczać, że wkrótce stanie się efektowną i pobudzającą zmysły kobietą. Wydawała się bezbarwną i zahukaną dziewczyną. Niedziwne, że nie zwrócił na nią uwagi, kiedy przemierzała korytarze Wydziału Filologicznego.

W przeciwieństwie do większości rówieśników Alicja Mioduszevska nie zamieszczała w internecie relacji ze swojego życia. Możejko dowiedział się o niej tylko tego, co napisała o sobie na stronie gazety. Poznał ledwie zarys jej zainteresowań. Przede wszystkim jednak nie znalazł zdjęć, na które liczył. To nadzieja na ich ujrzanie kazała mu przedwcześnie opuścić uczelnię, wsiąść do pierwszej lepszej taksówki i w pośpiechu wrócić do domu.

Na szczęście miał plan awaryjny.

Otworzył plik tekstowy o nazwie „Iris”. Miał w nim zapisane numery telefonów, nazwiska, krótkie charakterystyki osób i całe linijki dziwnych skrótów myślowych. Chaotyczny dokument przypominał fragment wyrwany z niechłujnie prowadzonego notatnika. Nawet rozmiary i kolory czcionki były w nim różne.

Po dłuższym namyśle wybrał jeden z numerów i przyłożył telefon do ucha.

– Dzień dobry, z tej strony Marek Krawczyk. Czy mam przyjemność z Iwoną? Świetnie, nie byłem pewien, czy dobrze zapisałem twoje imię. Podczas naszego zesłotygodniowego spotkania wspominałaś o swojej koleżance. Tak, zgadza się. Możesz powiedzieć mi o niej kilka słów? – Pospiesznie zanotował to, co usłyszał, używając do tego tylko sobie znanych skrótów. – Ile ma lat? A na ile wygląda? Najlepiej na trzydzieści. A czy jest teraz wolna? Dobrze, poczekam.

Rozłączył się i położył telefon na blacie. Przyjrzał się swojemu odbiciu w ekranie smartfona. Zobaczył zmęczonego człowieka, który wszystkie trudy życia tuszował ponadprzeciętnie zadbaną twarzą. Ludzie błędnie sądzili, że wyglą-

zawdzięcza treningowi, diecie albo niezwyklej dbałości o siebie, i Możejko nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Wręcz przeciwnie – parokrotnie pytany w wywiadach o sekret swojego wyglądu, opowiadał dziennikarzom o rzeczach, o których nie miał pojęcia: wegańskich dietach, jodze czy triathlonie. Dobre geny pozwalały mu kreować fikcyjną postać, którą z istniejącym pierwowzorem łączyły jedynie zawód i nazwisko.

Telefon zawibrował na stole. Na wyświetlaczu pojawił się numer, który Możejko wybrał przed chwilą.

– I jak? Co to znaczy „niedługo”? – Spojrzał na zegarek. – Dobrze. Pamiętasz mój adres? Przekaż jej, że z niecierpliwością na nią czekam.

Dwie minuty później wylądował pod prysznicem. Dokładnie rozprowadził na ciele mydło, a następnie pozwolił, aby spływająca woda sama spłukała pianę. Po kąpieli włożył czystą bieliznę, luźne dżinsowe spodnie i koszulę, której nigdy nie zapinał. Wrócił do salonu i na szklanym stole, obok laptopa, położył chudy czarny portfel. Przyciągnął komputer na skraj stołu i otworzył pocztę. Nie musiał długo zastanawiać się nad treścią maila. Nie wysyłał go po raz pierwszy.

*Szanowni Państwo,*

*z przyczyn niezależnych ode mnie muszę odwołać jutrzejsze konwersatoria. Odwołanie zajęć nie oznacza jednak zwolnienia Państwa z obowiązku przygotowania zadanych przed tygodniem prac. Proszę o przesłanie tekstów drogą mailową. W przyszłym tygodniu przedstawię Państwu propozycje trzech terminów, w których będziemy mogli odrobić zajęcia.*

*Z poważaniem*

*dr Jakub Możejko*

Wiadomość wysłał do trzech grup studentów, z którymi następnego dnia powinien mieć zajęcia. Kiedy to zrobił, wszedł na YouTube i wpisał do wyszukiwarki hasło *scandinavian punk rock*. Wybrał losowo utwór jakiejś szwedzkiej grupy o zupełnie nieznanym mu nazwie. Przy ostrych gitarowych riffach, przerywanych niezrozumiałymi okrzykami, zaczął rozsypywać na stole zawartość tytki, którą do

połowy wypełniał biały proszek. Potem wyjął z portfela srebrną kartę płatniczą i z niewielkiej góry proszku kilkoma wprawnymi ruchami uformował dwie równe, kilkucentymetrowe kreski. Przechylił się na kanapie, z tylnej kieszeni spodni wydobyl wymięty stużłotowy banknot, który niemal samodzielnie zwinął się w rulon, i przyciskając palce do nosa, delikatnie przedmuchał obie dziurki. Wziąwszy głęboki oddech, poruszał głową w obie strony, niczym bokser sposobiący się do walki, w której spodziewa się otrzymać kilka potężnych ciosów. Pochylił się nad stołem. Za jednym podejściem pozbył się pierwszej kreski. Uniósł głowę i kilkakrotnie pociągnął nosem. Chwilę później uporał się z drugą. Pozostawione na stole resztki białego proszku zebrał na obślınıony palec i pieczołowicie wtarł w dziąsła. Po wszystkim przejechał dłonią po stole, prowizorycznie go czyszcząc, i podniósł się z kanapy.

Przeszedł do kuchni, gdzie napełnił szklankę wodą i szybko ją opróżnił, wypłukując z gardła gorzki posmak narkotyku. Następnie przeciągnął się, wznosząc ręce aż pod sufit, i skierował do sypialni. Rozsunął drzwi jasnobrązowej lakierowanej szafy, w której wisiały w szeregu jego garnitury oraz stało kilka jednakowych szarych pudełek. Zajrzał do tego, które schowane było najgłębiej. Uważnie obejrzał znajdującą się w nim odzież. W końcu wybrał kilka rzeczy, wrócił do salonu i położył je na stole.

Kiedy chwilę później rozległ się dźwięk domofonu, uśmiechnął się. Nie spodziewał się tak idealnego timingu. Ściszył skandynawski łomot, który ani trochę mu się nie podobał, i ruszył do przedpokoju. Zanim odebrał domofon, spojrział na swoje odbicie w lustrze. Przyklepał siwe, równo obcięte włosy, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, po czym nieznacznie podciągnął spodnie. Ponownie poczuł gorzki smak narkotyku, który zaczął spływać mu do gardła.

– Słucham? – powiedział, podnosząc słuchawkę. – Tak, to ja. Zapraszam na górę.

Mówiąc to, spoglądał na rozświetlony salon i leżące na stole części garderoby: czarne pończochy, krótką spódnicę, obcisłą bluzkę z dużym dekoltem i kilkunastocentymetrowe szpilki.

Miał nadzieję, że będą na nią pasować.

Mariusz Szczebiot zastanawiał się, co by zostało z grubego pliku dokumentów i służbowego laptopa, gdyby upuścił je na zalewającą podłogę breję, która wypełzała spod ciężkich butów policjantów. Odstępująca maź szpeciła nie tylko podłogę na korytarzach budynku Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, ale też jedną z niewielkich sal konferencyjnych. Szczebiot czuł się w niej jak w ponurej klatce, do której został zesłany za karę. Ale jeszcze bardziej mierziła go świadomość, że sam wyznaczył to pomieszczenie na miejsce spotkania z zespołem.

Jego negatywne odczucie spotęgowały posępne oblicza siedzących w pokoju policjantów – Witolda Ptaka i Magdy Giętkiej, zatopionych w walających się na stole notatkach, grzebiącego w telefonie Artura Waliszewskiego i znudzonego Tomka Kawęckiego, bezmyślnie wpatzonego w ścianę. Szczebiot zajął jedyne wolne krzesło. Miał do dyspozycji niewielką przestrzeń, ale zdołał zmieścić przed sobą trzy pliki raportów, pogrupowane według dat, oraz komputer, którego właściwie nie potrzebował, ale na wszelki wypadek zawsze zabierał ze sobą. Dopiero gdy z położonych na stole rzeczy uformował prostokąt, oderwał wzrok od swojej kompozycji i krótkim skinieniem głowy przywitał policjantów, którzy uważnie śledzili jego poczynania, choć udawali, że są im obojętne. Wszyscy z wyjątkiem Kawęckiego. On jeden uraczył naczelnika drwiącym uśmiechem.

– Co wam się udało ustalić? – zapytał Szczebiot.

– To, że Borys Zarzeczny nie jest osobą, której szukamy – odpowiedział Witold. Pociągnął duży łyk kawy, chrząknął i odstawił kubek na stół. – Ostatnie dni spędził w akademiku. Potwierdzają to jego współlokatorzy oraz portier pełniący w miniony weekend dyżur w budynku. Zarzeczny nie sprawia zresztą wrażenia osoby, która mogłaby skrzywdzić kogokolwiek poza sobą. A właściwie swoimi płucami.

– Przyłapaliśmy go na paleniu skrętów – wyjaśnił Artur.

– Dowiedzieliśmy się natomiast kilku interesujących rzeczy na temat Martynty Bułeckiej – kontynuował Witold. – Zarzeczny spotykał się z nią przez kilka miesięcy, choć bardzo wzbraniał się przed nazywaniem jej swoją dziewczyną. Byli raczej niezbyt bliskimi znajomymi, którzy pociągali się fizycznie i dlatego od czasu

do czasu uprawiali ze sobą seks. Według Zarzecznego była modelową kobietą wyzwoloną.

– Jak Frytka z *Big Brothera* – stwierdził Artur, bezskutecznie próbując wzbudzić entuzjazm Magdy.

– Zarzeczny twierdzi, że uprawiała seks przynajmniej z dwoma innymi osobami z akademika. A kilka tygodni temu widział ją w klubie w towarzystwie jakiegoś faceta, znacznie starszego od niej.

– Czy to mógł być jej sponsor? – zapytał Szczebiot.

Witold pokręcił głową.

– Według Zarzecznego – nie. Chłopak twierdzi, że nie była prostytutką, lecz hedonistką. Traktowała mężczyzn przedmiotowo. Służyli jej do zabawy i zaspokajania żądz. Tak przynajmniej było w jego przypadku. Kiedy miała ochotę na seks, dzwoniła do niego, umawiali się w akademiku, wypijali trochę wina, a następnie się bzykali. I do widzenia. Po kilku lub kilkunastu dniach dzwoniła i robili to ponownie.

– Kiedy widział ją po raz ostatni?

– Przed paroma tygodniami w Hermesie, w towarzystwie tamtego starszego faceta.

– W Hermesie? – zdziwił się Szczebiot. – Czy to nie jest przypadkiem gejowski klub?

– Jest. Nas też to zdziwiło. Okazuje się, że teraz studenci chodzą do takich lokali, ponieważ do tych teoretycznie normalnych przyłazą, jak to określił Zarzeczny, „zakamufłowani dresiarze, którzy chcą wszystkim wpierdolić”. W gejowskich klubach jest po prostu bezpieczniej.

Szczebiot westchnął głęboko i osunął się na oparcie krzesła.

– Miejmy nadzieję, że mają jeszcze nagranie z tego dnia.

– Sprawdzamy to – powiedział Artur.

– Sprawdźcie też przeszłość Zarzecznego oraz tych dwóch pozostałych chłopaków, którzy rzekomo spali z Bułecką.

– Właśnie to robimy – powiedział Witold z naciskiem. – Gdyby nie to zebranie,



prawdopodobnie właśnie byśmy z nimi rozmawiali.

Szczebiot wytrzymał gniewne spojrzenie podwładnego, a następnie rozprostował zaciśnięte w pięść palce i wstał od stołu. Podeszedł do okna, z którego rozciągał się widok na wynędzniałą polanę. Latem, gdy służyła do czegoś więcej niż tylko do wyprowadzania psów, zdarzało mu się organizować na niej pikniki z żoną. Nie pamiętał jednak, kiedy byli tam po raz ostatni. Musiało to być na długo przedtem, zanim został naczelnikiem. Przyjmując awans, nie wiedział, że zapłaci za niego niemal całkowitą rezygnacją z przyjemności życia rodzinnego, których i tak mu brakowało. Po spędzeniu kilku miesięcy na nowym stanowisku nie potrafił jeszcze rozstrzygnąć, czy powinien żałować swojej decyzji, czy nie. Jego żona nie miała takich wątpliwości.

– Będziesz go używać?

Mariusz Szczebiot odwrócił się i ujrzał palec Tomka Kawęckiego wycelowany w swój komputer.

– Na razie nie.

– Mogę go pożyczyć?

– Jasne – odparł po chwili wahania i usiadł z powrotem na krześle.

Kawęcki pochylił się nad stołem i przyciągnął do siebie laptopa. Szczebiot nie liczył, że się dowie, do czego jest mu potrzebny. Dzięki temu się nie przeliczył.

– Z tą Bułęcką jest coś nie tak – odezwał się Witold, który po zakończonej rozmowie splótł ręce na klatce piersiowej i utkwiał wzrok w stos papierów piętrzących się na stole. – Każdy inaczej ją charakteryzuje. Według Weroniki Tarnawskiej była oazą spokoju: wieczorami zamykała się u siebie, żeby się pouczyć albo poczytać książkę. Jej były chłopak mówi, że była puszczalska, a jego koledzy mają to potwierdzić. Z kolei promotor Bułęckiej uważa, że była zbuntowaną intelektualistką, która dość nieoczekiwanie postanowiła wziąć się za naukę i zrobić doktorat. Z tych opisów nie da się ulepić jednej spójnej osoby.

– Co sugerujesz? – zapytał Szczebiot.

– Na razie tylko to, że musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej, bo nie jesteśmy w stanie stworzyć jej charakterystyki. Zgromadziliśmy garść informacji,

które praktycznie się wykluczają.

– Niekoniecznie – powiedział Kawęcki, leniwie wpatrując się w ekran komputera. – Oczytana intelektualistka, która ma problem z wyborem drogi życiowej, może być jednocześnie dziwką.

– To, że uprawiała seks z kilkoma osobami, nie oznacza, że można ją tak nazywać – zaprotestowała Magda.

– Można nazwać ją także lambadziarą, szmatą albo kurwą. Nie przywiązuję się do słów, więc jeśli chcesz, możesz wybrać odpowiednie określenie.

Magda przewiercała Kawęckiego wzrokiem, zastanawiając się, jakie cierpienia by mu zadała, gdyby zostali w pokoju sam na sam. W ciągu ostatnich dni zdążyła przerobić różne scenariusze, a rozdrażniona wyobraźnia wciąż podrzucała jej nowe.

– Nie ma w tej chwili znaczenia, jak ją będziemy nazywać – wtrącił się Szczebiot. – Czy udało wam się porozmawiać z ludźmi, którzy w niedzielę odmówili składania zeznań?

Magda pospiesznie przewertowała swoje notatki.

– Tak, ale nie powiedzieli nam nic ciekawego o Buleckiej – odparła. – W zasadzie powtórzyli to, co słyszeliśmy od innych: że czasami widywali ją ze współlokatorką, ale nic szczególnego nie rzucało im się w oczy. Wygląda jednak na to, że możemy ich wykluczyć z grona podejrzanych. Bracia Szalpakowie nie chcieli z nami rozmawiać, ponieważ nie wygasły im jeszcze zawiasy, a ich mieszkanie roi się od kradzionych rzeczy. Bali się, że ich za to przymkniemy. Z kolei Marianna Żurawska, kobieta, która w niedzielę poszczuła naszych chłopaków psem i kazała im spieprzać, od kilku lat opiekuje się ciężko chorą matką. Znajduje się na skraju załamania nerwowego. Prędzej zrobiłaby krzywdę sobie niż komuś innemu.

Szczebiot z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Czyli w ciągu ostatnich kilkunastu godzin dowiedzieliśmy się tylko tego, że mamy do czynienia z większym świrem, niż sądziliśmy na początku. Psychopata, który wparował do mieszkania ofiary z psem i jakimś cudem nie zostawił żadnych śladów. I zrobił to niezwykle cicho, skoro nikt w okolicy się nie zorientował, że

w sąsiedztwie ktoś szlachtuje kobietę.

– Sporo o tym myślałem – powiedział Witold. – O tym, jak to możliwe, że nikt nic nie słyszał. Wydaje mi się, że potrafię to wyjaśnić. Kiedyś pracowałem przy sprawie porwania córki jednego z łódzkich przedsiębiorców. Uprawdzili ją dwaj mocno zadłużeni faceci, którzy pracowali w jego firmie. Zrobili to jednak wyjątkowo nieudolnie, ponieważ dziewczyna uwolniła się i zgłosiła na policję. Nie miała żadnych problemów z rozpoznaniem tych dwóch głabów.

– Jaki to ma związek z Bułecką? – przerwał mu Szczebiot.

– Trzymali dziewczynę w mieszkaniu jednego z nich. Związali ją i założyli jej opaskę na oczy, ale zapomnieli, że przydałoby się ją również zakneblować. Kiedy wyszli z mieszkania, zaczęła się wydzierać jak najęta. Darła się przez kilka godzin, licząc na to, że ktoś ją usłyszy i zadzwoni na policję. Nikt nie zareagował. Faceci byli bezdennie głupi, ale jako tako znali się na majsterkowaniu. Wiedzieli, że mogą wygłuszyć pokój za pomocą mat bitumicznych.

– Czego?

– Takich mat wygłuszających, które stosuje się między innymi w samochodach, ale można również w budynkach. Sądzę, że zabójca Bułeckiej także z nich korzystał.

– Musiałyby te maty jakoś przytargać do jej mieszkania – zauważył Szczebiot. – Chyba nie zmieściłyby się w zwykłym plecaku.

– Nie potrzebował ich aż tak dużo. Zapewne wygłuszył jedynie drzwi i okno w pokoju Bułeckiej. Zresztą tylko one nie były ubrudzone krwią. Potrzebował więc zaledwie kilku mat, które można zmieścić w obszernej torbie sportowej.

– A jak wyjaśnić to, że ludzie mieszkający pod nią nic nie słyszeli? – zapytał naczelnik.

– To osiemdziesięciolatkowie, którzy od rana do wieczora słuchają kazań w radiu – wyjaśnił Artur. – Nie słyszą nawet własnych pierdów.

Szczebiot zasepił się i spuścił wzrok. Nerwowo przerzucał zabrane ze sobą kartki, bardziej próbując zająć czymś ręce, niż rzeczywiście starając się coś znaleźć.

– Załóżmy, że był to człowiek, którego nie znała – powiedział, nie podnosząc głowy. – Dlaczego wpuściła go do mieszkania?

– Na pewno nie dlatego, że spodziewała się montera, kuriera lub listonosza. Sprawdziliśmy to – odparł Artur. – Jeśli facet był wystarczająco sprawny, to mógł ją obezwładnić, zanim zdążyła się wydrzeć i zamknąć mu drzwi przed nosem.

– A dlaczego nikt go nie widział? – zapytał Szczebiot. – Dlaczego w okolicy, po której pałęta się cała masa meneli, pełnej ganiających się po podwórku dzieciaków oraz wścibskich bab przesiadujących w oknach, nikt nie widział wielkiego gościa z torbą sportową i psem?

Ciszę, która zapadła w pomieszczeniu, mącił jedynie stukot palców Witolda miarowo bębniących w stół, szelest kartki w dłoniach Magdy i szuranie wyglancowanych butów Artura po ubłoconej podłodze. Nikt nie miał ochoty się odezwać.

– On nie kręcił się tam w ciągu dnia – powiedział w końcu Kawęcki.

Szczebiot wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym zerknął do notatek.

– Patolog ustalił, że Bułecka zginęła w sobotnie popołudnie. Sprawca skrupulatnie zatarł ślady, ale zapewne nie zajęło mu to więcej niż dwie godziny. Kiedy więc twoim zdaniem wyszedł z mieszkania?

– Nocą. Wiedział, co należy zrobić, aby nie zostać zauważonym. I wiedział, że jeśli ktoś w środku nocy zobaczy faceta z psem, to nie będzie dzwonić na policję, tylko uzna, że gość nie chciał, żeby mu się psisko zesrało w mieszkaniu.

– Ale to by oznaczało, że po zabójstwie Bułeckiej sprawca spędził w jej mieszkaniu jeszcze wiele godzin.

– A najpierw wiele godzin przygotowywał je do rytuału.

Kawęcki oderwał na chwilę wzrok od komputera i napotkał spojrzenia czworga policjantów.

– Tak was to dziwi? – zapytał. – Ten człowiek wiedział, kiedy współlokatorka Bułeckiej wyjeżdża do domu i ile zamierza spędzić w nim czasu. W najdrobniejszych szczegółach zaplanował zarówno zabójstwo, jak i sposób,

w jaki będzie się nim napawał. Do tego nie potrzeba genialnego umysłu, tylko opanowania.

Szczebiot z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie spotkałem się z tak opanowanym zabójcą.

– To znaczy, że niewielu ich spotkałeś.

Kawęcki przymknął ekran laptopa i odsunął komputer na bok. Oparłszy łokcie na krawędzi stołu, pochylił się i skierował wzrok najpierw na Szczebiota, a potem na Witolda.

– Gdyby Martyna Bułęcka żyła, pewnie opowiedziałyby nam, jak w ostatnich tygodniach kilka razy natknęła się na faceta, którego nigdy wcześniej nie widziała. I który przyglądał jej się nieco zbyt natarczywie, sprawiając, że ciarki przechodziły jej po plecach. Ale że mężczyźni często jej się przyglądali, uznała, że to nic takiego. Kolejny napalony samiec, któremu marzy się, żeby ją zerznąć. Dlatego zlekceważyła niepokój towarzyszący jej za każdym razem, kiedy napotykała świdrujące spojrzenie. Pewnie bardzo tego żałowała, gdy gwałcił ją pies. – Kawęcki odkleił się od stołu, osunął na oparcie krzesła i wygrzebał z kieszeni wymiętą paczkę papierosów. – Jeśli ustalimy, dlaczego zabójca wybrał akurat ją, dowiemy się, kto to zrobił.

Wstał, szurając krzesłem po pokrytej breją podłodze.

– Idę zajarać. Ktoś chce się przyłączyć?

Witold i Artur podnieśli się niemal równocześnie i wraz z Kawęckim wyszli z pomieszczenia. Szczebiot przyciągnął do siebie laptopa i podniósł jego ekran.

– Nie do wiary – parsknął oburzony i również wyszedł z sali.

Magda została sama. Odwróciła laptopa w swoją stronę, by zobaczyć, co tak bardzo zirytowało Szczebiota. Kiedy ujrzała na ekranie ułożony pasjans, mimowolnie się uśmiechnęła.

Brunet w czarnym garniturze, ciemnoniebieskim krawacie i wykrochmalonej białej koszuli uśmiechnął się nienaturalnie, ukazując rząd niezbyt równych, spiczastych zębów. Spojrzał porozumiewawczo na kolegę, ubranego podobnie i jednakowo uczesanego: na bok, z wyraźnie zaznaczonym przedziałkiem. Splótł dłonie na

brzuchu i przeciągle cmoknął, jakby język przykleił mu się do podniebienia.

– Obawiam się, że nie mamy dla pana dobrych wieści – powiedział.

Roman pociągnął niewielki łyk wystygłej kawy i odstawił filiżankę. Przejechał dłonią po ostrzyżonej na jeża głowie, jak gdyby próbował coś z niej zrzucić, i spojrzął przez okno na stojący po drugiej stronie ulicy szklany budynek jakiejś korporacji finansowej, w którym jak na wtorkowy wieczór paliło się niepokojąco dużo świateł. Następnie swobodnie założył nogę na nogę i zsunął po nadgarstku zegarek. Chciał, żeby dobrze widzieli jego efektowną omegę, która wraz z szarym garniturem marki Brioni mogła być warta więcej, niż wynoszą ich miesięczne pensje.

– To widzę – odparł.

Mężczyźni ponownie porozumieli się wzrokiem. Niemal w tym samym momencie przybliżyli się do stołu.

– Podejmując decyzje inwestycyjne, kierujemy się trzema podstawowymi kryteriami – powiedział brunet. – Najpierw oceniamy innowacyjność projektu. Określamy, czy wnosi on na rynek coś nowego. Na tym etapie nie interesuje nas, czy to coś wartościowego, czy nie. Interesuje nas wyłącznie jego wyjątkowość.

– Na drugim etapie – ciągnął blondyn nieprzyjemnym nosowym głosem – oceniamy, czy firma jest przygotowana do realizacji danego przedsięwzięcia. Przyglądamy się jej zasobom kadrowym i finansowym, zerkamy do historii, szukamy zalet i wad. Sprawdzamy też właściciela przedsiębiorstwa, dokonując ewaluacji jego kompetencji menedżerskich.

– A na trzecim etapie oceniamy sytuację rynkową. Sprawdzamy podstawowe wskaźniki ekonomiczne i analizujemy kondycję danej branży. W przypadku pana projektu dostrzegamy trudności we wszystkich wymienionych obszarach.

– Tutaj wypisaliśmy nasze wątpliwości. – Blondyn podał Romanowi zadrukowaną po obu stronach kartkę. – Podstawowym problemem jest to, że cały pana projekt opiera się na współpracy ze wschodnimi rynkami: ukraińskim, białoruskim i rosyjskim. A mając na uwadze, że na Ukrainie toczy się wojna, byłoby nieodpowiedzialnością z naszej strony, gdybyśmy w to weszli.

– Doceniamy pana znajomość specyfiki tych rynków oraz to, że większość pana pracowników pochodzi ze Wschodu, ale nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Poza tym pana projekt nie jest innowacyjny. Świadczenie transgranicznych usług transportowych to wprawdzie dość nietypowe zajęcie, ale nie ma w nim nic odkrywczego.

Roman palcem wskazującym delikatnie obracał stojącą na podstawce filiżankę i uważnie przyglądał się obu mężczyznom. Wpatrywał się w ich powiększone od kawy źrenice, chude, pozbawione wyrazu twarze, papierową cerę. Zwracał uwagę na wszystkie niedoskonałości ich wyglądu: podziurawione przez trądzik policzki bruneta i jego spiczaste zęby oraz nienaturalnie wysunięte kości policzkowe blondyna. Chciał, aby mieli świadomość, że nie są w stanie niczego przed nim ukryć. Chciał, żeby się go bali.

– Sądziłem, że jesteście funduszem wysokiego ryzyka – powiedział, odsuwając na środek stołu kartkę, na którą nie raczył nawet zerknąć.

– Bo jesteśmy. Gdybyśmy nim nie byli, nie siedzielibyśmy teraz przy stole i nie rozmawiali na temat pana przedsięwzięcia transportowego – wyjaśnił brunet, wolno i wyraźnie wypowiadając każde słowo. – Musimy jednak bardzo ostrożnie dobrać firmy, którym oferujemy finansowanie.

Roman uśmiechnął się chytrze i spojrzał na zegarek.

– Myślę, że właśnie na tym polega wasz problem. Błędnie postrzegacie firmy, które się do was zgłaszają. Nie widzicie w nich inwestycji, tylko skarbonkę, do której trzeba coś wrzucić. Traktujecie je jak żebraków.

Brunet odchylił się na krześle i nerwowo poprawił krawat.

– Myli się pan – powiedział. – Mamy na koncie inwestycje w firmy, które stały się większe od nas. Śmiem twierdzić, że nie znajdzie pan w Łodzi funduszu, który jest równie otwarty na oryginalne pomysły, a przy tym tak skuteczny w swoich decyzjach inwestycyjnych.

Roman wyciągnął spod stołu lewą rękę i położył ją na blacie. Odwrócił się w stronę okna, ponieważ wiedział, że tylko wtedy odważą się przyjrzeć jego dłoni. A w zasadzie temu, co z niej zostało. Poznał w życiu zaledwie trzy osoby, które

bezceremonialnie gapiły się na jego dłoń, a następnie miały wystarczająco dużo odwagi, aby z lekceważeniem patrzeć mu w oczy. Jedną z nich był jego starszy brat, drugą – policjant, który przez kilka lat go prześladował, a trzecią największy wróg. Żadna z tych osób już nie żyje.

– Pewnie zastanawiacie się, co mi się stało w rękę.

Odwrócił się w kierunku mężczyzn, którzy udawali, że nie są zainteresowani jego dłonią. Ale kiedy uniósł ją nad stołem, podążyli za nią wzrokiem jak zahipnotyzowani.

– Dawno temu zaufałem komuś, komu nie powinienem był ufać. Popełniłem błąd, który kosztował mnie utratę czterech palców i części śródrečza. Dzisiaj wy popełniacie błąd. Ciekawe, ile będzie was kosztować.

– Czy pan nam grozi? – zapytał brunet.

– W żadnym wypadku. – Roman opuścił rękę i zaczął masować nierówną powierzchnię kikuta. – Potraktujcie moje słowa jako koleżeńskie ostrzeżenie.

Kiedy kilka minut później znalazł się przed budynkiem, wyciągnął z kieszeni telefon i spojrzał na długą listę nieodebranych połączeń. Pospiesznie ją przewertował, po czym ruszył do zaparkowanego na chodniku samochodu. Otworzył tylne drzwi i wsiadł.

– Jak poszło? – zapytał kierowca, włączając silnik.

Roman zastanawiał się nad odpowiedzią, przyglądając się łysemu mężczyźnie o okrągłej głowie, z zadziwiająco czerwonymi i jędrnymi ustami. Przypominał mu wyrośniętego niemowlaka.

– Podaj mi aspirynę. I wodę.

Kierowca pospiesznie spełnił jego polecenie. Roman włożył do ust dwie tabletki, a potem popił je wodą. Rozparł się na kanapie i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Przysłali do mnie dwóch chujków z mlekiem pod nosem. Nie sprawdzili nawet, kim jestem. Ale może to i lepiej. – Wyjrzał przez boczną szybę na portiera, który właśnie zaczynał robić obchód wokół budynku. Zanotował w pamięci jego wiek, ubiór i zachowanie. Potem popatrzył na zegarek. – Na pewno lepiej dla mnie.



Zresztą jebał ich pies. Zawieź mnie do domu.

– Pamiętaj – powiedział nieznajomy, którego Janusz poznał kilkanaście minut wcześniej przy barze. – W każdej kobiecie jest kurwy dwie trzecie.

Janusz stuknął się z nim kuflem na znak solidarności i nadał twarzy wyraz zrozumienia, mimo że miał ochotę dać mu w mordę. Ten zgorzkniały gbur z posiwiałą brodą i zadziwiająco pomarszczonym czołem, które przykrywała zmierzwiona kępka przetłuszczonych włosów, w telegraficznym skrócie przedstawił mu historię swojego nieudanego małżeństwa. Była to opowieść o uczciwym, ciężko pracującym i rzadko zagląającym do kieliszka facecie, któremu niewdzięczna żona przyprawiła rogi i uciekła, zabierając ze sobą ich nastoletnią córkę.

– Po Euro 2012 nastał kryzys w budowlance. Straciłem robotę, a ona wciąż pracowała w salonie fryzjerskim. Wtedy poczuła, że może robić, co jej się podoba. Miała wobec mnie coraz większe wymagania i coraz więcej pretensji. Kurwa! Nie mogłem nawet w spokoju napić się piwa i obejrzeć meczu. – Jakby próbując dowieść swojej traumy, pociągnął potężny łyk, po czym wytarł usta dłonią. – Kiedy odeszła, pomyślałem, że nawet dobrze się stało. Miałem jej serdecznie dość. Ale jak się dowiedziałem, że uciekła z tą ciotką z salonu, to nie wytrzymałem. Myślałem, że gość jest pedałem, a okazało się, że od kilku miesięcy regularnie rypie moją żonę.

– Co zrobiłeś? – zapytał Janusz bardziej z kurtuazji niż z ciekawości.

– Odszukałem ich i urządziłem piekło. Temu cwaniakowi złamałem nos, a dziwce po prostu dałem po pysku. Co miałem zrobić? – Nieznajomy rozdziawił usta, jakby tą wymowną pauzą chciał podkreślić wagę swoich słów. – Przez tyle lat byłem dla niej dobry. Nie piłem, nie awanturowałem się. Aż do tamtego momentu ani razu jej nie uderzyłem. Kto na moim miejscu postąpiłby inaczej? No kto? Nikt! Nikt nie zachowałby się inaczej wobec takiego kurwiska.

Kiwając z pobłażaniem głową, Janusz spoglądał ponad ramieniem nieznajomego wystającym z przepoconej koszulki bez rękawów. Patrzył na drugi koniec lady barowej, przy którym siedział niewysoki mężczyzna w płaszczu, pogrążony

w rozmyślaniach. Nieuprasowana koszula wisiała na jego chudym ciele, a lewy policzek pokrywało kilka drobnych zadrapań. Siedział mocno przygarbiony na barowym krześle i przez większość czasu nie robił nic, tylko hipnotycznie wpatrywał się w stojący przed nim kieliszek wódki.

Tak się w popkulturze maluje depresję, pomyślał Janusz. Wkłada się ją w wychudłe ciało faceta w średnim wieku, zabiera mu się żonę, dzieci, pracę, pieniądze, perspektywy i godność. Obdarowuje się go nieporadnością, wymiętymi ubraniami, pooraną bliznami twarzą. A jego życie umieszcza się w obskurnym lokalu: taniej postkomunistycznej spelunie, w której uszy gości męczy nędzna mieszanka popu i disco polo, a smakujące jak szczyzny piwo podaje znudzona barmanka z obwisłym biustem, odstrasającym makijażem i w obcisłej bluzce, z której wylewa się sadło.

– Idę się odlać – oznajmił nieznajomy.

Była to pierwsza dobra informacja, jaką Janusz usłyszał z jego ust.

Kiedy został przy barze sam, zorientował się, że nie tylko on obserwuje przygnębionego mężczyznę przy drugim końcu lady. Ukradkowo zerkali na niego także dwaj wytatuowani faceci, w milczeniu popijający piwo i skręcający papierosy, podstarzała kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym, która zjawiała się w lokalu z uroczym kundelkiem, oraz barmanka, leniwie wycierająca niedomyty kufel. Słowem wszyscy, którzy tego ponurego wieczoru przyszli do Soboty, ponurego lokalu w ponurej części Bałut. Domyślił się, że choć nie znają faceta, to już nieraz go tu widzieli. Robiącego dokładnie to samo. I że wszystkim na usta ciśnie się to samo pytanie: ile jeszcze wytrzyma?

– Długo pan już tak siedzi?

Tomek Kawęcki nie zareagował ani na słowa Janusza, ani na to, że ten nagle pojawił się obok niego.

– Jeszcze trochę posiedzę – odparł ze sporym opóźnieniem.

Janusz opróżnił swój kufel i odstawił go na ladę.

– Mam nadzieję. Wiem, przez co pan przechodzi. Mam to za sobą. Muszę przyznać, że niechętnie wspominam tamte czasy.

Kawęcki, nie odrywając wzroku od kieliszka, wycelował palcem w pozostawiony przez nieznanego kufel.

– Bezalkoholowe – wyjaśnił Janusz. – Można powiedzieć, że jestem od niego uzależniony. Gdy mam gorszy dzień, potrafię wypić nawet sześć czy siedem kufli. Ale prawdziwego alkoholu nie miałem w ustach od ośmiu lat czterech miesięcy i dwunastu dni. Wie pan, że nie spotkałem jeszcze alkoholika, który nie liczyłby, jak długo już nie pije?

Kawęcki odwrócił się do Janusza i nerwowo przygryzł wargę.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego musiałem się tego dowiedzieć? – zapytał.

Janusz uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Tak jak wspominałem, nie lubię wracać do tamtego okresu. Wolę mówić o tym, co robiłem, zanim stałem się alkoholikiem. Zajmowałem się wówczas terapią uzależnień. I nadal to robię.

Kawęcki zaśmiał się pod nosem.

– Sam pan sobie pomagał, kiedy walczył z nałogiem?

– Niestety, to tak nie działa. Sam bym sobie nie poradził.

– A więc jest pan swoją największą porażką terapeutyczną.

Janusz oparł łokcie o blat i po raz pierwszy spojrzął Kawęckiemu w oczy.

– Nie znam pana, ale przypuszczam, że pan również sam sobie z tym nie poradzi. Zdecydowana większość ludzi tego nie potrafi, ponieważ wymaga to nadzwyczajnego samozaparcia, które nie leży w naszej naturze. – Spojrzął nerwowo w kierunku toalety, a następnie położył na blacie swoją wizytówkę. – Potrafię pomagać ludziom w walce z uzależnieniem, ale nie znoszę rozmawiać z prymitywnymi natrętami. Jeden z nich za chwilę wróci z kibla i będzie próbował mnie przekonać, że jego żona jest niewdzięczną dziwką. Wolałbym tego uniknąć. Proszę do mnie zadzwonić, gdy już dojrzeje pan do tego, żeby poprosić o pomoc.

W pośpiechu zarzucił kurtkę na grzbiet i wyszedł z lokalu. Chwilę po tym, jak się ulotnił, przy barze pojawił się zdezorientowany facet w koszulce bez rękawów. Nie mogąc znaleźć niedawnego kompana, przez dłuższą chwilę wyglądał przez

okno, za którym szalała śnieżna zawierucha. Prawdopodobnie ostatnia tej zimy. W końcu zamówił następną kolejkę i w poszukiwaniu papierosów zaczął przekopywać kieszenie leżące na sąsiednim stołku kurtki.

– Lubi pan ciepłą wódkę? – zapytał go Kawęcki, nie ruszając się ze swojego miejsca.

– Wolę zimną. Ale ciepłą też da się wypić. W końcu liczy się efekt, a nie smak – wyjaśnił tamten, uśmiechając się kwaśno. – A dlaczego pan pyta?

Kawęcki zsunął się ze stołka i sięgnął po stojący przed nim kieliszek. Przeszedł kilka kroków i podstawił go nieznajomemu pod nos.

– Na zdrowie – wyszeptał i poklepał go po plecach.

Mężczyzna tak się ucieszył z darmowej kolejki od przypadkowego faceta, że nawet nie poczuł, gdy ten włożył mu wizytówkę do kieszeni.

Pociągnięciem za sznurek uwolnił słabe światło zwisającej z sufitu żarówki. Przesunawszy zardzewiały rygiel, zamknął masywne drewniane drzwi. Zaciągnął się zapachem, który panował w wąskim garażu. Uwielbiał go. Mieszanka gotowanego mięsa, stęchlizny, smarów i potu. Zapach sprawiał, że to miejsce – ze ścianami zastawionymi półkami pełnymi słoików, kanistrów, narzędzi oraz różnego rodzaju lin, stertą czasopism tworzących w kącie pomieszczenia niezgrabną różnokolorową wieżę, pełne dziwnych, nieużywanych od dziesięcioleci urządzeń, takich jak wyżymaczka czy maszyna do szycia – przypominało mu jaskinię. Wydrążoną w kruchej skale nieopodal jakiegoś zbiornika wodnego, kilka metrów pod powierzchnią ziemi. Z dala od ludzi. Wolną od rozmów, wybuchów śmiechu, stukotu obcasów i obłęśnie obłudnych twarzy. Idealnie odczłowieczoną.

Ściągnął plecak i wydobyl z niego gruby plik lokalnych gazet. Położył go na betonowej posadzce, przeciął scyzorykiem obwiązujący gazety sznurek i usiadł na plastikowym krześle, z trudem utrzymującym ciężar jego ciała. Spojrzał na swój cień: ciągnął się aż pod drzwi wejściowe, zasłaniając wyryte na posadzce napisy, które wypełniały przestrzeń pomiędzy czarnymi smugami pokrywającymi beton. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Nikt poza nim nie byłby w stanie ich rozszyfrować.

Zabrał się do pracy.

Każdą z leżących przed nim gazet dokładnie powąchał, jakby był w stanie wywęszyć ich zawartość. Zatrzymał tę, która jego zdaniem pachniała najintensywniej. Rozłożył ją na podłodze, pomiędzy szeroko rozstawionymi nogami, i zaczął kartkować. Żadnej ze stron nie poświęcił więcej niż kilka sekund, tylko omiatał je wzrokiem. Gdy doznał do końca, wrócił do jedyne go fragmentu, który wzbudził jego zainteresowanie. Wydarł go i odsunął na bok. Gazetę zaś złożył na pół i rzucił na szczyt papierowej wieży.

W taki sam sposób postąpił z pozostałymi. Niektóre okazały się dla niego zupełnie bezwartościowe.

Kiedy skończył, policzył to, co mu zostało. To, co uznał za naprawdę ważne. Przypomniawszy sobie, ile każda gazeta ma stron, i wykonał w myślach szybkie obliczenia. Pięć do czterdziestu siedmiu. Pięć z pięćdziesięciu dwóch. Niecałe dziesięć procent.

Niewiele. Mniej, niż się spodziewał.

Wziął do ręki jeden z fragmentów, które wyrwał z gazety. Zerknął na zegarek, po czym zatopił się w lekturze. Czytał teksty dokładnie i analitycznie, odnotowując w pamięci wszystkie istotne informacje oraz przymiotniki, jakimi je opatrzone, a mimo to przebrnięcie przez nie zajęło mu niecałe pięć minut.

Mało. Mniej, niż się spodziewał.

Nawet nie dziesięć procent, niespełna sześćdziesiąt sekund na tekst. Tyle w skali medialnej warte było dzieło, nad którym pracował przez kilka ostatnich miesięcy. Niewiele osób się pofatygowało, żeby je dostrzec. Jeszcze mniej dostrzegło to, co było w nim ważne. Nikt nie spróbował go zinterpretować. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby się zastanowić, kim może być autor: po co to zrobił, dlaczego w taki sposób, czym się inspirował.

A jednak nie poczuł gniewu ani frustracji. Nie czuł się upokorzony, pominięty, zlekceważony czy niezrozumiany. Nie miał ochoty wyzywać się na świecie, który po raz kolejny okazał się bezdennie głupi. Był co najwyżej niepokieszony. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy robił to po raz pierwszy.

Przez wiele lat pracował nad tym, by nauczyć się poskramiać swoje pokusy. Udało mu się osiągnąć nawet wyższy poziom samokontroli, niż tego oczekiwał. Taki, który umożliwiał mu organizowanie perwersyjnych zabaw z własnymi emocjami. Pozwalał swojej ekscytacji swobodnie narastać, aby następnie powolnie ją tłamsić. Czuł się wtedy tak, jakby koczował za grubym murem usypanym z przezroczystych kamieni, wyjątkowo śliskich i ostrych. Wiedział, że gdyby chciał, zdołałby się na niego wspiąć i przedostać na drugą stronę. Kosztowałoby go to jednak sporo wysiłku. I bólu. A to nie on miał cierpieć.

Odsunął na bok krzesło, na którym ledwo się mieścił, i uklęknął na podłodze. Rozsunął suwak kurtki i spod znajdującej się pod nią białej koszulki wyciągnął złoty krzyżyk. Pocałował go, a następnie się przeżegnał. Wyciągnął z kieszeni zapalki i podpalił bezwartościowe fragmenty gazet, z których uformował skromną pochodnię. Uniósł ją nad pochyloną głowę.

– „Przeto bądźcie cierpliwi, bracia, aż do przyjścia Pana. Oto rolnik cierpliwie oczekuje cennego owocu ziemi, aż spadnie wczesny i późniejszy deszcz. Bądźcie i wy cierpliwi, umocnijcie serca swoje, bo przyjście Pana jest bliskie. Nie narzekajcie, bracia, jedni na drugich, abyście nie byli sądzeni; oto sędzia już u drzwi stoi”<sup>2</sup>.

Ponownie się przeżegnał i rzucił na posadzkę niedopalone resztki papieru. Wstał i wtarł je butem w podłogę, wzbogacając ją o kolejną czarną plamę. Ponownie uklęknął i długim kluczem wyrył w betonie kilka liter, na pozór niemających ze sobą nic wspólnego. Wstał i otrzepał dłonie. Zaciągnął się ulubioną mieszanką zapachów, którą urozmaicił swąd palonej prasy. Uśmiechnął się. Choćby dla tego zapachu powinienem tu częściej zaglądać, pomyślał.

Kłódka nieprzyjemnie szcęknęła, kiedy włożył do niej klucz. Załomotał nią, aby się upewnić, że zamknął drzwi. Odwrócił się i rozejrzał wokół, szukając na ulicy, chodnikach i w oknach otaczających go bloków pytających spojrzeń sąsiadów. Grzeszników, od których roило się to miasto. Na żadne jednak się nie natknął. Jak zawsze. Schował klucz do kieszeni kurtki i ruszył przed siebie, w głąb betonowego lasu rozświetlanego żółtym światłem latarni.

**M**agda Giętka zacisnęła ciężkie powieki, jakby chciała zrobić sobie krzywdę. Głośno wypuściła powietrze z płuc. Była wycieńczona i wściekła. Poprzedniego wieczoru rozpętała w domu wojnę, która, jak sądziła, stanowiła preludium końca jej związku z Filipem. W zbyt krótkim czasie powiedzieli sobie zbyt wiele przykrych słów, które mogłyby wstrząsnąć nawet najtrwalszym związkiem. Natomiast taki jak ich – zawieszony na cienkich sznurkach, które w każdej chwili mogą pęknąć – musiały doszczętnie rozbić.

Nie pamiętała dokładnie, jak do tego doszło. Po powrocie do domu zamierzała wykapać się i pójść spać. Zetrzeć z siebie trudy dnia, usunąć makijaż, który tworzył skorupę ochronną dla jej zatroskanej twarzy, i pozwolić znokautować się zmęczeniu. Nie była w stanie przypomnieć sobie powodu, dla którego wyszła z łazienki, ubrana jedynie w majtki i biustonosz, z przetłuszczonymi zwisającymi włosami, i niczym harpia doskoczyła do Filipa, wygarniając mu wszystko, co jej w nim przeszkadzało: egocentryzm, samolubność, brak empatii i oziębłość. A on odwdzieczył się jej tym samym.

Nie przypuszczała, że może to ją aż tak zboleć. Że cokolwiek, co od niego

usłyszy, może wywołać w niej takie spustoszenie.

– Zielone – powiedział Tomek Kawęcki, wyrywając ją z letargu. – To znaczy, że możesz jechać.

Magda spojrzała na niego, a następnie poprawiła okulary przeciwsłoneczne, które zsunęły jej się z nosa. Wrzuciła pierwszy bieg. Ruszyli.

– Jeśli chcesz, mogę poprowadzić – zaoferował Kawęcki, przyglądając jej się uważnie.

– Nie, nie trzeba – odparła. – Kiepsko spałam. To wszystko.

Sunęli rozświetloną porannym słońcem aleją Włókniarzy, mijając zlewające się ze sobą blokowiska, stacje benzynowe i sklepy wielkopowierzchniowe, które tworzyły smętną mozaikę niepasujących do siebie elementów. Magda uporała się ze zmęczeniem i rozpędziła samochód do niemal stu kilometrów na godzinę. W kilkanaście minut wydostali się z zaspanego miasta, które przed siódmą rano nie zdążyło się jeszcze zakorkować, i dostali się na drogę krajową. Kierując się podpowiedziami przyklejonego do szyby GPS-u, pędzili na południe.

– Przyjrzałam się sprawie, o której mówiłeś – powiedziała Magda, przerywając tak miłe dla nich obojga milczenie. – Tej, o którą miałam zapytać Tarnawską podczas przesłuchania.

– No i? – burknął Kawęcki.

– Na początku myślałam, że to kolejna twoja fanaberia. Że szukasz dziury w całym, próbując połączyć nasze zabójstwo z zabójstwem jakiejś dziewczyny ze wsi. Zresztą nadal tak uważam. Ale rzeczywiście – pokiwała głową – jest w tej sprawie coś dziwnego.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki notatnik. Była przygotowana do tej rozmowy. Po kłótni z Filipem musiała zająć się czymś, co odciągnęłoby jej uwagę od możliwych konsekwencji awantury – od rozstania i całego syfu, jaki mu zawsze towarzyszy. Rozgrzebywanie zabójstw sprzed lat nie było szczególnie wysublimowanym zajęciem, ale na żaden inny pomysł nie wpadła.

– Na pierwszy rzut oka trudno o bardziej oczywisty przypadek. Dwudziestoczteroletni Bernard Lubera zabił osiemnastoletnią Justynę Kepler.



Obezwładnił ją, związał i zgwałcił, a następnie poćwiartował siekierą. Po wszystkim wrócił do swojego mieszkania, cały zakrwawiony i ze śladami zaschniętej spermy w majtkach, i zamknął się w swoim pokoju. Policjanci nie mogli mieć łatwiej: miejscowy głupek, parokrotnie przyłapany na podglądactwie i publicznej masturbacji, na którego wszyscy mieszkańcy wioski, gdy tylko dowiedzieli się o zabójstwie, skierowali podejrzenia, nie zrobił nic, żeby nie dać się złapać. – Magda pokręciła głową. – Tyle że to wszystko jest zbyt proste. Zbyt oczywiste.

– Czasami proste wyjaśnienie jest najlepsze. Brzytwa Ockhama.

– Tak, ale pod warunkiem, że prawidłowo prowadzi się śledztwo. A to nie zostało prawidłowo poprowadzone.

Kawęcki zerknął na Magdę, a następnie głośno siorbnął kawę z nakrętki termosu.

– Kontynuuj – powiedział.

– Wygląda to tak, jakby wszyscy poszli po linii najmniejszego oporu. Błyskawicznie schwymano podejrzanego, ustalono, że to on jest sprawcą, i zdecydowano, co z nim zrobić. Śledczy, prokurator oraz sędzia, a nawet obrońca, nie mieli co do tego żadnych wątpliwości.

– A ty masz?

Magda wzruszyła ramionami.

– Wszystko wskazuje, że ten chłopak to zrobił. Ale dziwi mnie, że w szopie, w której do tego doszło, nie znaleziono odcisków palców matki dziewczyny. Że nie sprawdzono, skąd pochodzi lina, którą ofiara była związana. Technicy nie pofatygowali się, żeby porządnie przyjrzeć się miejscu zbrodni. Analiza tego, jak Lubera wyprowadzał ciosy, też jest bardzo powierzchowna. Ślady wskazują na to, że uderzał z ogromną siłą, o którą nikt go nie podejrzewał.

– Ludzie z defektami psychicznymi często są znacznie silniejsi, niż się wszystkim wydaje.

– Ale on wcześniej nie wykazywał się ani siłą, ani agresją. Z relacji świadków wynika, że ci dwoje, Kepler i Lubera, dobrze się dogadywali. Niewiele osób w wiosce chciało się zadawać z przygłupim Bernim, ale Kepler stanowiła wyjątek.

Wydaje mi się mało prawdopodobne, by człowiek niespełna rozumu mógł dopuścić się tak brutalnej zbrodni na jedynej osobie, która była dla niego dobra. Mogę założyć, że jej pożądał i nie potrafił się powstrzymać, gdy zobaczył jej nagie ciało, ale nie sądzę, żeby był w stanie ją zabić. – Magda podniosła notatnik na wysokość twarzy, próbując rozszyfrować swoje bazgroły. – Wątpliwości co do tego mieli także lekarze, którzy badali Berniego. Nie byli zgodni, czy jest niepełnosprawny intelektualnie w stopniu znacznym, czy tylko umiarkowanym. Różnili się także w ocenie, czy ma skłonność do przemocy. Dwaj psychologowie twierdzili, że najprawdopodobniej tak. Jeden był przekonany, że Berni nie skrzywdziłby muchy.

– A ty co o nim sądzisz?

– Nie mam pojęcia. Nigdy z nim nie rozmawiałam. Poza tym nie jestem psycholożką.

Kawęcki wbił wzrok w pobocze, mając już ochotę uciąć tę rozmowę. Magda jednak nie zamierzała odpuścić.

– Najbardziej zastanawia mnie to – powiedziała – że nikt nie próbował wydobyć od Lubery zeznań. W aktach sprawy...

– Próbowali – wtrącił Kawęcki.

– Skąd wiesz?

– Próbowali, ale chłopak zamilkł na dobre. W dniu, w którym zginęła Justyna Kepler, przestał z kimkolwiek rozmawiać. Armia psychologów i psychiatrów przez kilka lat próbowała do niego dotrzeć. Bezskutecznie.

Pokonawszy kilkadziesiąt kilometrów, zamienili drogę krajową na autostradę i niedługo później z niej zjechali. Minęli dwoje ludzi na składanych rowerach, którzy opatuleni od stóp do głów długimi płaszczami przeciwdeszczowymi, z pustymi torbami, kierowali się w stronę lasu. Za zniszczoną wiatą autobusową, z której pozostał jedynie szkielet i kawałek blachy falistej, policjanci skręcili w prawo i znaleźli się na mocno ubitej drodze gruntowej.

– Dlaczego zapamiętałeś akurat tę sprawę? – zapytała Magda.

Kawęcki opuścił klapkę przeciwsłoneczną i obejrzał swoją twarz w niewielkim brudnym lusterku. Wyciągnął z kieszeni płaszcz gumkę, ściągnął do tyłu włosy

i związał je w krótki kucyk. Zbyt krótki, żeby mógł z nim wyglądać dobrze, ale nie odstraszący tak, jak bezładna płatanina piór, którą miał na głowie przedtem.

– Pamiętam wszystkie brutalne zabójstwa popełnione w województwie łódzkim w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A na pewno większość.

– Słyszałam, że masz niezłą pamięć.

– To nie kwestia pamięci, lecz zainteresowań – odparł Kawęcki. – Kiedyś w wolnym czasie przeglądałem akta spraw, które z różnych powodów wydawały mi się dziwne.

– Czy wszystkie dotyczyły zabójstw?

Wodząc dłonią po ogolonej twarzy, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Większość – odparł.

– Nie dziwię się, że żona cię zostawiła.

Kawęcki spojrzał na nią i nieznacznie się uśmiechnął.

– Nie dlatego mnie zostawiła. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Kiedy wyrosły przed nimi pierwsze zabudowania, Magda zwolniła niemal do zera. Wkrótce zjechała z drogi i zaparkowała samochód na piaszczystym zakolu porośniętym nielicznymi kępami zieleni. Kilkanaście metrów dalej znajdował się stary drewniany dom, do którego szło się przez opustoszałe podwórko.

– Według GPS-u to tutaj – powiedziała.

– Zgadza się.

– Skąd wiesz? Byłeś tu już?

Odpowiedział jej tylko wymownym spojrzeniem.

Wyłączyła silnik. Zanim wysiadła, otaksowała Kawęckiego rozbawionym wzrokiem.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz brać tego ze sobą – powiedziała, celując palcem w termos. – Jeszcze dostanie zawału, gdy cię z tym zobaczy.

Kawęcki zamyślił się, wpatrzony w swoją srebrną tubę z kawą. W końcu – nie znalazłszy powodu, dla którego miałby się z Magdą nie zgodzić – odłożył termos.

Herbata była czarna jak heban. Od kawy odróżniała ją jedynie gęsta siatka fusów

unosząca się na powierzchni. Tomek Kawęcki nieufnie przyglądał się wbitej w cynowy koszyczek szklance, która wylądowała tuż przed jego nosem. Wiedział, jak taka herbata smakuje. Jak ból brzucha, nudności i repulsja. To był smak wakacji spędzanych pod opieką dziadków, którzy nie mogli pojąć, że dziesięcioletek nie chce każdego posiłku popijać herbatą.

Jadwiga Kepler przyglądała się policjantom tak samo nieufnie, jak oni przygotowanemu przez nią napojowi. Była niepokojąco otyła, z siwymi odrostami wystającymi spod gęstej czapy kasztanowych włosów, o pomarszczonej twarzy i zatroskanych oczach. Nie powiedziała tego wprost, ale mową ciała dała do zrozumienia, że jeśli nie spróbują jej herbaty, nie mają czego u niej szukać. Dopiero gdy Kawęcki kilka razy głośno siorbnął gorący napój, starając się przy tym nie krzywić, gospodyni usiadła na taborecie i zgodziła się z nimi porozmawiać.

– Wiem, po co tu przyjechaliście – powiedziała, ugniatając w dłoniach fałdę domowej sukienki, na której widniały ślady co najmniej kilkunastu lat użytkowania.

– Próbowałem wczoraj dodzwonić się do pani, ale nikt nie odbierał.

– A kto miał odebrać, skoro tylko ja tu mieszkam? Pewnie nie słyszałam, jak pan dzwonił.

– Żałuję, że nie udało mi się uprzedzić pani o naszej wizycie. Być może wtedy mogłaby się pani do niej jakoś przygotować.

– A do czego tu się przygotowywać? – uniosła się staruszka. – Co jak co, ale pamięć mam jeszcze dobrą. Pamiętam wszystko dokładnie. Zresztą która matka mogłaby coś takiego zapomnieć?

– Właściwie nie chcemy z panią rozmawiać o tamtym zdarzeniu – powiedział Kawęcki. – Czytaliśmy akta sprawy i wiemy, co się wtedy wydarzyło. Chcieliśmy porozmawiać o czymś innym. Obawiam się, że to może być dla pani jeszcze trudniejsze.

Jadwiga Kepler odchyliła się na stołku i wybałuszyła oczy. Chwilę później wstała i wyszła na moment do kuchni, aby zmniejszyć ogień, na którym gotował się rosół. W dawno niewietrzonemu mieszkaniu zapach dochodzący z garnka

mieszał się z kwaśnym odorem niedopranych ubrań staruszki. Magda próbowała uchylić okno, ale okazało się zabite gwoździami.

– Nie jesteście głodni? – zapytała Jadwiga Kepler po powrocie do pokoju. – Jak poczekacie godzinę, to rosół będzie gotowy. Wrzuciłam cały mostek wołowy, zupa musi przejść jego smakiem.

– Bardzo dziękujemy, ale nie chcemy pani zabierać dużo czasu – odparł Kawęcki.

– Może pani?

– Dziękuję, niedawno jedliśmy śniadanie – odmówiła Magda, najuprzejmiej jak potrafiła.

Staruszka ponownie usiadła na stołku. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, jakby była w znakomitym humorze. Zupełnie innym niż jeszcze kilka minut wcześniej.

– Chcieliśmy z panią porozmawiać o Bernardzie Luberze – powiedziała Magda.

– O kim?

Policjanci zamilkli i wymienili się spojrzeniami. Magda chciała coś powiedzieć, ale Kawęcki ją uprzedził.

– O Bernim, chłopaku z sąsiedztwa. Pani najmłodsza córka ponoć dobrze go znała.

Jadwiga Kepler na chwilę się zachmurzyła, próbując coś sobie przypomnieć, po czym zapięła wesoło, mącąc wypełniającą dom ciszę.

– Berni, mały Berni! Pewnie, że go pamiętam. Tyle lat go nie widziałam.

– Berni był dobrym znajomym pani córki Justyny. Zgadza się?

– Ano był. Przychodził tu prawie codziennie. Zresztą co innego mógłby robić? Tylko Justysia chciała się bawić z Bernim.

– Dlaczego inni się z nim nie bawili?

– Bo Berni był inny. Głupawy. Niezdarny. Dzieciaki mu dokuczały. Tylko Justysia była dla niego dobra.

– Berni nie miał żadnych kolegów? – dopytywał się Kawęcki.

– Miał, ale co to byli za koledzy. Tacy, co chwilę się z nim pobawili, a potem

zaczynali mu dokuczać. I nie potrafili przestać. Czy takich to można nazwać kolegami?

– Raczej nie. Pamięta pani ich imiona?

– A skąd! – Jadwiga Kepler wzruszyła ramionami. – Dobrze, że ten Berni miał Justysię. Jak tylko coś złego mu się działo, od razu do niej leciał. Jak do matki. Raz tak dali mu wciroy, że cały poobijany przyszedł. Przyłapali go na tym, że bawił się fiutkiem. Pokopali go. Stłukli. Chryste, jak on wtedy wyglądał!

– Czy często to robił? – zapytał Kawęcki. – Często bawił się fiutkiem?

– No wie pan! – Twarz kobiety oblał rumieniec. – Przecież nie chodziłam za nim i go nie pilnowałam, w końcu on nie był mój. Czasem mu się zdarzało. Ale przecież wszyscy chłopcy się bawią, nie? Berni tylko nie wiedział, że nie można tego robić gdzie popadnie, że trzeba się schować. Ale to przecież nie jego wina. Taki się urodził. Takim stworzył go Bóg.

Magda hipnotycznie wpatrywała się w kobietę, słuchając, jak ta, z uśmiechem na ustach, opowiada o człowieku, który najprawdopodobniej zabił jej córkę.

– A czy była pani zdziwiona, kiedy dowiedziała się, co zrobił? – zapytała.

– Berni? A co on mógł takiego zrobić?

– Kilka lat temu...

– Został oskarżony o zabójstwo kobiety – wtrącił się Kawęcki, posyłając Magdzie karcące spojrzenie.

– Gdzie tam! – zachnęła się staruszka. – Berni nikomu by krzywdy nie zrobił. Kiedyś przyszedł do nas, gdy odcinałam kurczakom łby. Jak to zobaczył, to czmychnął do siebie, jakby go piorun trafił. Justysia musiała pójść do niego i go uspokajać, bo chłopak w histerię wpadł. Zresztą Justysia dzisiaj przyjedzie, to sama wam o tym opowie.

Jadwiga Kepler zamilkła, pochyliła się do przodu i spuściła wzrok. W zamyśleniu zaczęła ponownie ugniatać sukienkę.

– Powinniście już iść – burknęła. – Nie chcę z wami rozmawiać.

Policjanci odczekali kilkanaście sekund, a następnie podziękowali kobiecie za spotkanie i ruszyli do drzwi. Magda wyszła z budynku i skierowała się w stronę

samochodu. Kawęcki zatrzymał się w proggu. Odwrócił się i spojrział na staruszkę, która nadal siedziała na stołku, zajadle gniotąc w palcach pomarszczony materiał. Wpatrywała się w niego pustym, nieodgadnionym wzrokiem, zatopiona w mrocznym świetle, do którego tylko ona miała dostęp.

– Prawie o tym zapomniałem – powiedział Kawęcki, teatralnie unosząc ręce.

Wrócił do pokoju, spojrział na Jadwigę Kepler z góry i widząc gniewny wzrok, którym przez cały czas go obrzucała, westchnął znacząco. Uniósł ze stołu niemal pełną szklanę, wstrzymał oddech i duszkiem ją opróżnił. Staruszka wstała i popatrzyła na stół. Omal nie uniosła się z radości, kiedy zobaczyła pustą szklanę z pozostawioną na dnie grubą warstwą fusów.

Kawęcki wyszedł z budynku. Zatrzymał się na środku zaniedbanego, porośniętego chwastami podwórka. Zapalił papierosa i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął plik fotografii. Na zdjęciach znajdowało się to samo podwórko, tyle że sprzed czterech lat. Wiele się od tego czasu nie zmieniło. Stodoła, z pokrytym strzechą spadzistym dachem, w dalszym ciągu wyglądała tak, jakby za moment miała się zawalić. Płatanina sznurków łączyła dom z ogołoconym z liści bukiem. Nadal wisiały tam prześcieradła, obrusy i ubrania, tyle że od dawna nieużywane, wystawione na dewastujące działanie temperatury i wilgoci. Na środku podwórza znajdowała się studnia, wokół której walały się dziurawe wiadra. Chaszcze zarastały rzadko uczęszczaną drogę prowadzącą do gospodarstwa.

Brakowało jedynie szopy, którą cztery lata temu obfotografowano najdokładniej.

Kawęcki wiedział, że Jadwiga Kepler postanowiła rozebrać ją zaraz po tym, jak technicy skończyli swoją pracę. W miejscu, w którym niegdyś stała, znajdował się łysy, szerniały plac. Staruszka musiała więc nie tylko rozebrać budynek, ale też wypalić pod nim ziemię. Jakby chciała ją odkazić.

Ogień nie strawił jednak ani wspomnień Jadwigi Kepler, ani cierpienia, które zdeformowało jej życie. Zniszczył natomiast ślady, a właśnie za nie Kawęcki wiele by dziś oddał.

– Jedziemy?! – zawołała Magda, wyrywając go z zadumy.

Przydeptał papierosa, zaklął w myślach i ruszył do samochodu.

Mieszkańcy Majdan nie mieli ochoty rozmawiać z policjantami o dawnych sąsiadach: Bernardzie Luberze i Justynie Kepler. Jedni upierali się, że ich nie znali, kłamiąc niczym nędzni aktorzy filmów klasy B. Inni okazali się złodziejami czasu. Udzielali wymijających odpowiedzi, uciekali w bezwartościowe historie na temat wsi i za wszelką cenę próbowali zwrócić na siebie uwagę. Najczęściej jednak ludzie łypali na policjantów spode łba i milczeli, po czym, jakby nigdy nic, wracali do swoich codziennych obowiązków. Od nich policjanci dowiedzieli się najwięcej. Tego, że raz zasiana w ludziach nieufność zostaje w nich bardzo długo. Być może na zawsze.

Do Zaborowa, miejscowości, w której mieszkała Weronika Tarnawska, dotarli dopiero po południu. Główna ulica we wsi – ozdobiona równym, niedawno położonym asfaltem – sprawiała wrażenie nieużywanej, jak gdyby miejscowi celowo ją omijali, żeby nie zniszczyć swojej nowej wizytówki. Nie krępowały się jedynie psy, które rozstawiły się po obu stronach, wściekle ujadając na przybyszów z miasta.

Znalezienie domu Weroniki Tarnawskiej nie było trudne. Rzucił się i w oczy, i w nozdrza – za sprawą stojącego na tyłach gospodarstwa potężnego chlewu, z którego wydobywał się uciążliwy odór. Aldona Tarnawska, matka Weroniki, musiała stać w oknie i obserwować drogę, ponieważ wyszła z budynku, gdy tylko policjanci podjechali pod bramę wjazdową. Przywitała się z nimi szorstko, dając jasno do zrozumienia, że nie jest zadowolona z tej wizyty. Szybko jednak wypogodniała, zaprosiła ich do środka i okazała im gościnność. Nie pytając, czy mają na cokolwiek ochotę, postawiła przed nimi dwa talerze, a następnie wyciągnęła z garnka gotowaną kielbasę. Ukroiła kilka pajd chleba i zostawiła ich samych w domu. Magda, która od rana nie miała nic w ustach poza kawą i napojem energetycznym, z animuszem zabrała się do jedzenia. Tomek omijał kielbasę nie tylko ustami, ale również wzrokiem. Na samą myśl o tym, że mogłaby wylądować w jego przelyku, robiło mu się niedobrze.

Kilka minut później Aldona Tarnawska wróciła do domu, a wraz z nią przyszło



jej troje dzieci: dwie trzydziestokilkuletnie brunetki, które wzburzonymi spojrzeniami próbowały strzec prywatności swojej siostry, i młodszy od nich blondyn, z pozostałościami młodzieńczych wykwitów na twarzy, wycofany i zawstydzony. To jemu, Rafałowi, matka kazała zaprowadzić policjantów nad rzekę.

Weronika Tarnawska siedziała na ściętym pniu, który leżał równolegle do strumyka przedzierającego się przez przerzedzony, zimowy las. W jednej dłoni trzymała telefon, a w drugiej papierosa. Poruszała się w przód i w tył, pulsując w rytm muzyki, która zagłuszała trzask gałęzi łamiących się pod butami brata i policjantów. Kiedy troje ludzi bezszelestnie wyszło zza jej pleców, aż podskoczyła z wrażenia.

– Boże, ale mnie przestraszyliście! – powiedziała, po czym schyliła się po upuszczonego na ściółkę papierosa i drżącymi rękoma wyciągnęła słuchawki z uszu. – Myślałam, że to moja mama.

– To tylko ja – odparł Rafał niewyraźnie i szybko, jakby nie mógł słuchać brzmienia własnego głosu. – Oni chcą z tobą porozmawiać.

Weronika uścisnęła dłoń Magdy Giętkiej, która wyrzuciła z siebie kilka troskliwych formułek powitalnych, a następnie przedstawiła swojego antypatycznego, dziwnie wyglądającego partnera. Kawęcki nawet nie raczył się z dziewczyną przywitać, tylko stanął nieco z boku, na szeroko rozstawionych nogach i z rękoma splecionymi na klatce piersiowej, i wbił w nią jaszczurzy wzrok. Przypomniało jej się spojrzenie, jakim Joseph Goebbels obrzucił robiącego mu zdjęcie Alfreda Eisenstaedta, kiedy się dowiedział, że fotograf jest Żydem.

– Zostawisz nas samych? – zapytała Magda, zwracając się do brata Weroniki. Kiedy byli już tylko we troje, powiedziała: – Chcemy z tobą porozmawiać o życiu erotycznym Martyny.

Z paczki schowanej na dnie torebki Weronika wyciągnęła kolejnego papierosa.

– Dlaczego was to interesuje?

– Powiedziałaś nam, że była spokojna i nieszczególnie towarzyska. Że rzadko wychodziła i nie spotykała się z wieloma mężczyznami. Mamy powody, żeby w to

wątpić.

Dziewczyna nachmurzyła się i spuściła głowę.

– Wiemy, że miała wielu adoratorów – kontynuowała Magda. – I że raczej nie była osobą, którą próbowałeś nam sprzedać w trakcie zeznań.

Weronika parsknęła śmiechem. Patrząc na czubki swoich butów, pokręciła głową.

– Dziwicie się? Widzieliście jej zdjęcia. Widzieliście też ją. Wszyscy się do niej łąsili, do jej cycków. Gdyby mogli, toby ustawiali się w kolejce, żeby ją zerznąć.

– Ale nie mogli, bo nie wszystkim na to pozwalała.

– Nie, nie wszystkim. Ale kilku facetom się poszczęściło.

– Kilku?

– Może kilkunastu.

– Dlaczego wcześniej twierdziłaś, że przesiadywała w domu i czytała książki?

– Bo to prawda. – Weronika spojrzała na Magdę z wyrzutem. – Nie można wieść bujnego życia erotycznego, będąc jednocześnie spokojnym i odczytanym?

Magda skarciła się w myślach za słowa, które mogły zostać odebrane jako seksistowskie. Spojrzała na Kawęckiego, spodziewając się, że ujrzy jego rozbawioną gębę. Ten jednak nadal wgapiał się w Tarnawską. Milczał, jakby ktoś zasznurował mu usta.

– Oczywiście, że można. Nie to miałam na myśli – usprawiedliwiła się Magda. – A więc wiodła bujne życie erotyczne.

– Można tak powiedzieć. Bujne, choć tajemnicze.

– Co masz na myśli?

– Byłyśmy przyjaciółkami, ale bardzo się od siebie różniłyśmy. Bardzo. – Weronika pociągnęła nosem i wytarła łzy, które zaczęły napływać jej do oczu. – Opowiadałam jej o wszystkim. O chłopakach, nocnych przygodach, problemach osobistych. Ona natomiast nie mówiła mi prawie nic. Tak naprawdę nie wiem, jaką była osobą. Nie pozwoliła mi się poznać. Wiem, że spotykała się z kilkoma chłopakami, którzy mieszkali w akademiku, ale to chyba nic poważnego. Najciekawsze zapewne było to, o czym mi nie mówiła.

– Spotykała się z jakimś starszym mężczyzną?

Weronika wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak. To znaczy pewnie mogła się spotykać z niejednym. Mogła przebierać w facetach. Jeżeli któryś ją pociągał, to nie sądzę, żeby zaglądała mu do dowodu i skreślała z powodu wieku.

– Pewien jej kolega z akademika twierdzi, że widział ją niedawno w klubie w towarzystwie starszego mężczyzny. Wiesz, kto to mógł być?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie wiem – odparła. – Ale jeśli się nie obmacywali, to mógł to być po prostu przypadkowy facet, którego naciągnęła na drinka albo który pomagał jej się opędzić od jakiegoś natręta. Uwierzcie mi. Faceci ślinili się na jej widok. Ciągłe się odwracali, kiedy ich mijala, i gapili na jej tyłek. Pan też by tak zrobił.

Zerknęła na Kawęckiego, ale ten wolał uniknąć jej spojrzenia. Włożył papierosa do ust i powiódł wzrokiem wzdłuż rzeki.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcieliśmy się z tobą zobaczyć – powiedziała Magda. – Chodzi o coś, co wydarzyło się w tej okolicy cztery lata temu.

Uważnie przyglądała się Weronice, wypatrując zmian w jej zachowaniu.

– Czy mówi ci coś nazwisko Justyna Kepler?

– Nic a nic.

– Na pewno?

– Tak, na pewno – odparła po krótkim namyśle. – A powinno?

– To zależy.

Kawęcki niespodziewanie wyrzucił papierosa do rzeki i wycelował palcem przed siebie.

– To twoja siostra? – zapytał, wskazując dziewczynę, która kilkanaście metrów dalej rozmawiała z bratem Weroniki.

– Jeśli jakaś dziewczyna z własnej woli rozmawia z Rafałem, można założyć, że to jedna z moich sióstr – wyjaśniła Weronika i zaśmiała się nerwowo. – Moja mama tak bardzo przejęła się tym wszystkim, że poprosiła ją, aby chodziła za mną

wszędzie. Na wypadek gdybym zasłabła albo dostała ataku paniki.

– Jak ma na imię?

– Malwina.

Kawęcki ruszył w jej stronę.

– Kontynuujcie, za chwilę do was dołączę – powiedział, odwracając się do kobiet plecami, i z nietypową dla siebie werwą ruszył brzegiem rzeki.

Gdy zbliżał się do dziewczyny, coraz wyraźniej dostrzegał jej włosy o ognistocie rudej barwie i malujące się na twarzy piegi. Migawki z przeszłości, mgliście majaczące w jego głowie, w końcu zlały się w jeden kompletny obraz, który przed nim wyrósł. Serce zaczęło mu łomotać jak oszalałe. Musiał wziąć kilka głębokich oddechów, żeby opanować podniecenie.

– Nazywasz się Malwina Tarnawska?

Niepewnie zerknęła na brata.

– Nie – odparła, a widząc na twarzy Kawęckiego zdziwienie, dodała: – Cis. Malwina Cis. Jestem młodszą siostrą Weroniki – wyjaśniła, spoglądając w jej kierunku. – Mamy różnych ojców.

Kawęcki przez chwilę stał skonsternowany, pustym wzrokiem wpatrując się w dziewczynę.

– Komisarz Tomasz Kawęcki – przedstawił się w końcu i zerknął na chłopaka. – Zostawisz nas samych?

Rafał doświadczył *déjà vu*. Wzruszył ramionami, włożył ręce do kieszeni i pokornie się oddalił.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

Czyli cztery lata temu miała piętnaście, pomyślał Kawęcki, uważnie jej się przyglądając.

– Muszę cię zapytać o pewne zdarzenie. Chcę, żebyś spróbowała je sobie przypomnieć.

– Chodzi panu o morderstwo Justyny Kepler – oznajmiła Malwina. – Byłam wtedy młoda, ale nie głupia. Wiem, co się stało. Nie musi mnie pan traktować jak

dziecko.

– Przepraszam, nie zamierzałem – odparł Kawęcki, uświadamiając sobie, że nie ma pojęcia, jak należy postępować z nastolatkami. – Tak, chodzi o Justynę Kepler.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Przyglądam się kilku sprawom z przeszłości. Sprawdzam, czy poprowadzono je prawidłowo.

– Jaki to ma związek z moją siostrą i Martyną?

– Nie ma żadnego – stwierdził Kawęcki, ale dziewczyna nie wyglądała na przekonaną. – Widziałem cię na jednym ze zdjęć, które wtedy zrobiono. A teraz już wiem, że czytałem też twoje zeznania.

Malwina Cis nieznacznie przekrzywiła głowę.

– A czy my przypadkiem wtedy nie rozmawialiśmy? Wygląda pan znajomo.

Kawęcki odwrócił się i zobaczył, że Magda z Weroniką przerwały rozmowę i zmierzają w ich stronę. Zanurkował do kieszeni płaszcza. Nie mogąc znaleźć w niej żadnej czystej kartki, wyciągnął jakiś stary paragon i na jego odwrocie zapisał swój numer.

– Przypomnij sobie tamtą zimę i ludzi, z którym się wówczas zadawałaś. Jak to zrobisz, zadzwoń do mnie. To bardzo ważne. – Podał dziewczynie paragon. – I nie wspominaj o tym siostrze.

Wykrzywił twarz w grymasie, który miał chyba przypominać uśmiech.

– O czym rozmawiacie? – zapytała Weronika.

– O niczym – odparła Malwina, wciąż wpatrując się w Kawęckiego. – Pan policjant mówi, żebym się o ciebie nie martwiła, ponieważ nic ci nie grozi.

– Wiem o tym – westchnęła Weronika ze smętnym uśmiechem. – Gdyby jeszcze tylko mama to wiedziała!

Objęła młodszą siostrę, zatapiając nos w jej rudych włosach.

Kiedy wracali do Łodzi, Magdę rozsadzało napięcie. Wiedziała, że siostra Tarnawskiej skłamała. I że Kawęcki też by skłamał, gdyby zapytała go o tę rozmowę. O ile w ogóle cokolwiek by jej powiedział. Odkąd wsiadł do samochodu, tkwił na odchyłonym do tyłu fotelu i wpatrywał się w ekran telefonu. W szybie

odbijała się niebieska poświata facebookowego interfejsu.

Przynajmniej już nie próbuje tu palić, pomyślała Magda, szukając jakiegokolwiek pocieszenia.

Zanim wjechali do miasta, zatrzymała się na stacji benzynowej. Kupiła hot doga i kolejny napój energetyczny, już trzeci tego dnia. Wróciła do samochodu i pośpiesznie pochłonęła zanurzoną w sosie bułkę z parówką. Nie zdążyła jeszcze przeżuć jedzenia, gdy otworzyła napój.

– Kiedyś to lubiłem – powiedział Kawęcki, który przywrócił fotel do pionu i spojrzał na Magdę.

– Energetyki?

– Zabójstwa. Rozgrzebywanie starych spraw. Szukanie winnych i ustanawianie sprawiedliwości społecznej.

Przełknęła ostatni kęs i wytarła usta wierzchem dłoni.

– Nie wystarczy ci to na co dzień?

Pokręcił wolno głową.

– Na co dzień robimy to, bo to nasza praca. Dla pieniędzy. Żeby mieć co włożyć do garnka, pójść z dziewczyną do kina albo napić się piwa. Pracujemy dla zabicia czasu. Żeby jakoś popchnąć życie do przodu. Mamieni nadzieją, że kiedyś coś w nim osiągniemy. Zazwyczaj nie jesteśmy w stanie czerpać z tego satysfakcji.

– To zależy, jakiej satysfakcji oczekujesz.

Magda włożyła palec do ust, próbując wygrzebać resztki jedzenia z zębów. Kawęcki przyjrzał się jej, po czym odwrócił się w stronę bocznej szyby.

– To, co robimy, nie różni się od pracy listonosza, sprzedawcy ubezpieczeń czy panny tańczącej w nocnym klubie – kontynuował, przyglądając się wyrastającej przed nimi betonowej dżungli. – Stanowimy mało ważną część złożonej struktury, na której kształt nie mamy żadnego wpływu. Od tego, czy będziemy dobrze wykonywać naszą pracę, czy nie, niewiele zależy. Nie wnosimy nic pozytywnego. Jesteśmy jak larwy. Żerujemy na świecie, nie dając mu nic w zamian. A mamy wobec niego niewyobrażalne oczekiwania. To smutne. Samolubne. I przerażające.

Magda przyjrzała się Kawęckiemu, próbując zrozumieć, skąd bierze się to jego

dziwne gadanie, po czym głośno wypuściła powietrze z płuc.

– A gdy robimy to samo, tyle że za darmo, coś na tym zyskujemy? Dajemy z siebie więcej?

– Może – odparł, obgryzając kciuk. – Myślę, że kilka lat temu byłem bliski osiągnięcia krótkotrwałej satysfakcji. Sprawilem, że kilku naprawdę złych facetów zostało wykluczonych ze społeczeństwa. Odebrałem im jedyną rzecz, na której im zależało. Wolność. – Odkręcił termos i jednym haustem opróżnił resztę jego zawartości. – Byłem w tym dobry. Cholernie dobry. Myślę, że to najlepsza rzecz, jaką mogłem dać od siebie światu.

– Powinieneś dostać awans – powiedziała Magda. – Dlaczego nie jesteś teraz tam, gdzie Szczebiot?

– Bo nikt się o tym nie dowiedział. Gdyby ktoś się dowiedział, nie miałbym z tego żadnej przyjemności.

– Więc dlaczego mnie o tym mówisz?

Kawęcki odwrócił się, podążając wzrokiem za stojącym przy drodze autostopowiczem, który nie miał ze sobą nic oprócz wielkiej kartki z napisem Gdańsk.

– Bo teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Sprawdził godzinę w telefonie.

– Wysadź mnie na rogu Włókniarzy i Zielonej.

– Nie wracasz na komendę?

– Nie. Mam coś do załatwienia.

Pół godziny później Tomek Kawęcki siedział na ławce i przyglądał się grupie nastolatków grających w piłkę na sąsiadującym ze szkołą boisku. Nie przeszkadzały im ani ciemności, przez które ledwo widzieli pomarańczową futbolówkę, ani betonowe boisko, gdzie zdierali skórę z kolan przy każdym upadku. Kawęcki palił papierosa i liczył wydobywające się z ust dzieciaków przekleństwa. Przestał, kiedy „kurwy” i „chuje” zaczęły się ze sobą zlewać, zastępując nie tylko wszelkie możliwe znaki interpunkcyjne, ale również imiona i pseudonimy grających.

Nastolatki, zdyszani i rozbawieni, w końcu zeszli z boiska. Przyłgnęli do jednej ze ścian budynku, żeby ukryć się przed okiem kamery i czujnym wzrokiem szwendającego się po szkolnych korytarzach ochroniarza. Puścili w obieg kilka papierosów. Palili szybko, niemal się nie zaciągając i raczej nie czerpiąc z tego większej przyjemności. Poza tą, którą daje robienie czegoś nielegalnego, dozwolonego jedynie w świecie dorosłych.

Zastygli w bezruchu, gdy zza rogu budynku wyłonił się potężny zakapturzony mężczyzna w dresie. Minał ich szybkim krokiem, nie zwracając na nich uwagi. Kierował się w stronę Kawęckiego, który leniwym wzrokiem obserwował wyłaniającą się spod kaptura twarz.

Kiedy mężczyzna podszedł do ławki, Kawęcki wstał. Zanurkował do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnął z niej kopertę i wręczył ją przybyszowi.

– Nawet się ze mną nie przywitasz? – zapytał tamten rozbawionym głosem.

– Nie drzyj się – odparł ostro Kawęcki. – Przekaż Mariuszowi, że przez kilka najbliższych tygodni będę niedostępny.

– Wyjeżdżasz na miesiąc miodowy?

Kawęcki zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

– Wiesz, że to tak nie działa. – Zakapturzony wyciągnął telefon i latarką oświetlił zawartość koperty. – Nie możesz wziąć sobie wolnego. Nie tak się umawialiśmy.

– Nie umawiałem się z tobą, tylko z nim – odparł Kawęcki. – Przekaż mu, że będę niedostępny. Tylko tyle.

Mężczyzna ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając krótko ostrzyżoną głowę, wytatuowany kark oraz odstające, spiczaste uszy. Przypominał wyjątkowo szpetnego elfa, który za dużo czasu spędza na siłowni.

– Chyba nie próbujesz nas wydymać, co? – zapytał, unosząc głowę i spoglądając na Kawęckiego z góry. – Wiesz, czym mogłoby się to skończyć?

Komisarz rzucił na beton niedopalonego papierosa.

– Wiem. I coraz częściej się zastanawiam, czy tego nie zrobić.

– Co ty pierdolisz? – warknął elf. – Jeśli się rozprujesz, znajdę cię i połamię.



Obiecuję.

Kawęcki uśmiechnął się kwaśno i rozłożył szeroko ręce.

– Mam coraz mniej do stracenia – powiedział. – Przekaż to Mariuszowi. I powiedz, że następnym razem sam się do niego zgłoszę.

Przejechał dłonią po twarzy. Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Przemaszerował wzdłuż betonowego boiska, gniotąc pod stopami drobiny potłuczonych butelek, paczki papierosów i opakowania po czipsach. Przy warkocie przejeżdżającego ulicą tramwaju opuścił teren szkoły.

**T**łuste palce prokuratora Adama Wargi z zaskakującą zwinnością manewrowały nad talerzem. Mariusz Szczebiot łykał na nie okiem z niewielką dozą podziwu i potężną porcją odrazy. Był pod wrażeniem tego, że jedząc w takim tempie, praktycznie nie przeżuwając i niemal żonglując kolejnymi porcjami jedzenia, można za każdym razem bezbłędnie trafiać do ust. I dostrzegał coś wyjątkowo obrzydliwego w przypominających serdelki paluchach, które nadziewały na widelec, a następnie wpychały do gęby ociekające żółtkiem plastry jajka sadzonego.

Adam Warga nie wyglądał jak prawnik. Źle dobrany garnitur opinał pulchne ciało, sprawiając, że tylko duża blada głowa, zwieńczona krótkimi rudawymi włosami, nie wydawała się należeć do uniformu. I nie stołował się w miejscu, w którym zwykle jadają prawnicy. Rolety skromnie urządzonego baru mlecznego były jeszcze zasłonięte. Ale on mógł tu przyjść nawet godzinę przed otwarciem, wypić kawę, zjeść śniadanie i zapłacić za wszystko tyle co nic. Warga twierdził, że właściciel lokalu sporo mu zawdzięcza. Patrząc, jak prokurator się opycha, Szczebiot był gotów mu uwierzyć.

– Narobiło się, co? – powiedział Warga, przeżuwając z otwartymi ustami.

Szczebiot w nerwowym odruchu napił się kawy i pokiwał głową. Nie jadł. Już sama perspektywa spotkania z prokuratorem odebrała mu apetyt.

– Opowiadaj – polecił Warga. – Udało wam się ruszyć z miejsca?

Szczebiot zrelacjonował pobieżnie, jakie kroki podjęli w sprawie Martyny Bułeckiej i co zdołali do tej pory ustalić. Obserwował prokuratora i próbował wyczuć, jak wiele wie na temat śledztwa. Wcześniej spotkali się tylko raz, w dniu zabójstwa, i odbyli jedynie kilka krótkich rozmów telefonicznych. Szczebiot doszedł jednak do wniosku, że prokurator musi mieć całkiem niezły przegląd sytuacji, skoro bardziej niż jego wyjaśnienia zajmuje go gmeranie tłustym paluchem w ustach.

– Kiepsko to wygląda – mruknął Warga, kiedy Szczebiot skończył, i ponownie wetknął palec między zęby.

– Wciąż czekamy na wyniki niektórych badań. Dopiero za parę dni będziemy mieli pełną wiedzę na temat wydarzeń, do jakich doszło w tamtym mieszkaniu.

– Ale nie sądzisz, że te wyniki coś zmienią – oznajmił prokurator, przyglądając się drobinie pokarmu, którą udało mu się nadziać na paznokiec. – Nic nie każe nam się spodziewać, by miały wskazać sprawcę, prawda?

– Raczej nie.

– Co o nim wiecie? – zapytał Warga, chowając dłonie pod stół.

– Wiemy, że to sadystyczny zbrojeniec. Choć niekoniecznie gwałciciel. Nie ma dowodów na to, że uprawiał seks z ofiarą. Kim może być? Rozważamy kilka wariantów.

– Który wydaje ci się najbardziej prawdopodobny?

Szczebiot głośno westchnął.

– Myślę, że to ktoś z jej otoczenia. Sfrustrowany psychopata, którego odrzuciła albo zlekceważyła. Zaczaił się, odczekał, aż wszyscy o nim zapomną, przygotował plan. I zrobił to, co podpowiedziała mu chora wyobraźnia.

Warga przyglądał mu się uważnie, wbijając w niego głęboko osadzone piwne oczy.

– Prawdę mówiąc, nie mamy na razie zbyt wiele. Cały czas szukamy jakiegoś punktu zaczepienia. Martyna Bułeczka była niejednoznaczną osobą. Jeszcze nie jesteśmy pewni, z kim mogła się zadawać. Nawet jej najbliższa przyjaciółka tego nie wie.

Warga w milczeniu przyglądał się Szczebiotowi. Potem przeniósł wzrok na umazany resztkami żółtka talerz. Dał ręką znak właścicielowi, który krzątał się w drugiej części lokalu.

– Co teraz zamierzacie robić?

– To, co do tej pory. Szukać. Grzebać. Dopytywać. Jestem przekonany, że prędzej czy później na coś natrafimy. Oczywiście wolałbym tę pierwszą opcję.

Warga wolno pokiwał głową.

– Czy jest coś, w czym mogę wam pomóc?

– Właściwie tak.

Naczelnik poprawił krawat i położył splecione dłonie na brzegu stołu.

– Wiem, że twoja praca na dobre rozpocznie się wtedy, kiedy nasza się zakończy, ale... – zawahał się – przydałoby się nam twoje wsparcie już teraz. Chciałbym, żeby moi ludzie wiedzieli, że mogą liczyć na pomoc prokuratury. Że nie zrzuciłeś tej sprawy na nas, żeby sobie nie ubrudzić rąk.

Warga odchylił się na krześle, wydymając potężny brzuch, i wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę w kratę. Wytarł nią usta, a następnie czoło, na którym wysiłek włożony w pospieszne pożarcie śniadania wycisnął krople potu.

– Myślałem, że o tym wiedzą. Że są świadomi, jakie wsparcie otrzymują od prokuratury.

Szczebiot podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Owszem, są. Ale widzieli cię tylko przez chwilę, w dniu znalezienia zwłok. Nie było cię, kiedy zaczęło się zamieszanie z mediami. Nie pojawiłeś się na pierwszej odprawie, na którą przyszło kilkadziesiąt osób. Wiem, że masz mnóstwo pracy, i absolutnie nie mam do ciebie pretensji.

– Więc czego ode mnie oczekujesz? – przerwał mu Warga.

– Chciałbym, żebyś przyszedł do nas na zebranie. Pokazał się. Powiedział, co

o tym wszystkim sądzisz.

Warga uniósł kubek, mimo że już od dłuższego czasu nie było w nim kawy. Obliznął usta szybkim ruchem języka, spojrzął ponad głowę Szczebiota i sztucznie się uśmiechnął.

– Smakowało?

Michał, właściciel lokalu, niepostrzeżenie podszedł do stołu i kilkoma wprawnymi ruchami zgarnął stojące na nim nakrycia. Na jego twarzy gościł nieprawdopodobnie szeroki uśmiech. Jakby od odległości dzielącej kąciki ust miała zależeć wysokość napiwku.

– Jak zawsze. Właśnie mówiłem koledze, ile traci, zamawiając tylko kawę.

– Nie jest jeszcze za późno – odparł Michał, przenosząc swój niekończący się uśmiech na Szczebiota.

– Niestety, jest – odparł Warga. – Przed nami długi dzień. Chcielibyśmy siedzieć u ciebie do wieczora, ale nie możemy. Przestępcy sami się nie złapią.

– Może następnym razem?

– Może – odparł sucho Szczebiot.

Kiedy właściciel odszedł od stołu, Wargą wstrząsnęło kilka gwałtownych spazmów. Suchy kaszel rozdarł powietrze, by za chwilę przekształcić się w nieprzyjemny, raniący uszy rechot.

– Wiesz, jak go poznałem? – zapytał, wskazując podbródkiem wchodzącego za kontuar Michała. – Kilka lat temu, kiedy jeszcze pracowałem w Prokuraturze Rejonowej Łódź-Polesie, byłem oskarżycielem publicznym w sprawie o napaść na niego. Paru gnojkom nie podobało się, że w ich okolicy mieszka pedał i jeszcze ośmiela się afiszować ze swoją orientacją. – Lekko przekrzywił głowę i spojrzął z ukosa na Szczebiota. – Michał prowadził wtedy sklep spożywczy. Weszli do środka, wyciągnęli go przez ladę, pobili i zdemolowali lokal. Nie wiedzieli, że przed wejściem znajdowała się kamera. A pech chciał, że sędzią była lesbijka. – Wyraźnie rozbawiony swoją opowieścią, ponownie zarechotał. – Musiałem się mocno nagimnastykować, by nie trafili do pierdła.

– Nie rozumiem – powiedział Szczebiot. – Dlaczego nie chciałeś ich posadzić?

– Chciałem. Ale Michał nie chciał – stwierdził Warga, uśmiechając się enigmatycznie. – Gnoje były i kopały go przez kilkadziesiąt sekund, ale całe zajście w sklepie trwało znacznie dłużej. Najwięcej czasu zajęło im wyrycie na dupie Michała napisu, który miał mu już towarzyszyć do końca życia. Chcieli, żeby każdy następny facet, który będzie się do niego dobierał, wiedział, że bycie pederastą w tym kraju wyjątkowo się nie opłaca.

Prokurator pochylił się nad stołem, zawieszając na jego kancie swój potężny bęben.

– Na szczęście facet Michała był lekarzem i pomógł mu uporać się ze szramą na tyłku. Teraz, jak twierdzi Michał, po napisie nie ma śladu, a blizna jest ledwo widoczna. – Odchylił się na oparcie krzesła, które zaskrzypiało pod ciężarem jego ciała. – Tego samego nie da się powiedzieć o śladzie, który jakiś czas później Michał zostawił na ciele jednego ze swoich oprawców. Nie mógłby tego zrobić, gdyby trafili za kratki.

Warga ponownie zarechotał. Kiedy się opanował, wytarł chusteczką mokre od śliny usta.

– A wracając do sprawy – powiedział, patrząc uważnie na Szczebiota – radzę wam skupić się na tym, co jest pod ręką. Nie grzebiecie w przeszłości, nie wymyślajcie spiskowych teorii, nie szukajcie na siłę więzi, które nie istnieją. Dobrze wiesz, że w większości przypadków zabójcą okazuje się ktoś, kogo ofiara dobrze znała. Założę się, że w tym jest tak samo. – Podniósł się z krzesła i zapiął górny guzik marynarki. – Jutro, najpóźniej pojutrze zajrzę na komendę. Porozmawiam z tobą i twoimi ludźmi. Wspólnie się zastanowimy, co możemy zrobić, żeby usprawnić nasze działania. I spróbujemy poprawić wasz *team spirit*. – Sięgnął po aktówkę i położył ją na krześle. – To, co spotkało tę dziewczynę, jest straszne. Zrobię co w mojej mocy, żeby pomóc wam złapać bydlaka.

Podał Szczebiotowi lepką dłoń i ruszył do wyjścia. Gruba, wypchana dokumentami aktówka zwisała mu na wysokości kolan i kołysała się w rytm chybotliwych kroków.

A więc nie tylko zwierzęta upodabniają się do swoich właścicieli, pomyślał

Szczebiot, odprowadzając Wargę wzrokiem.

Piotr Królak zdjął okulary i przetarłszy kłykciami oczy, jakby przed chwilą się obudził, założył je ponownie. Za sprawą grubych żółtych oprawek i niemal tak samo grubych szkieł oraz przedzielonych łysiną kępek włosów, które wyrastały z jego skroni niczym czułki, przypominał owada. Nikogo nie dziwiło, że koledzy mówią na niego „Robal”.

Czując na sobie zniecierpliwione spojrzenia policjantów, Królak odłożył smartfona i podniósł głowę. Zasłonił dłonią usta i ziewnął.

– Długo jeszcze będziemy czekać? – zapytał Artur Waliszewski.

– O to samo chciałem zapytać – odparł Piotr Królak. – To już wszyscy?

Rozejrzał się po niewielkiej sali konferencyjnej, która nasiąkała kwaśnym zapachem potu. Tomek Kawęcki wpatrywał się w nagą ścianę jak w abstrakcyjny obraz, którego nie jest w stanie zinterpretować. Artur Waliszewski, odchylony na krześle, nerwowo stukał palcami w stół i inhalował się wlatującym przez okno powietrzem. A Witold Ptak, obserwowany przez Magdę Giętką, wertował połączony zszywką plik kartek i dopiero ze sporym opóźnieniem się zorientował, że pytanie było skierowane do niego.

– Tak, Mariusz Szczebiot nie przyjdzie – powiedział. – Przysłał mi wiadomość, że zasiedział się na spotkaniu z prokuratorem Wargą. Może to i dobrze. Prokuratorские wsparcie też nam się przyda.

Piotr Królak przez dłuższą chwilę podejrzliwie wpatrywał się w Witolda, ale ostatecznie w żaden sposób nie skomentował jego słów. Zatopił wzrok w ekranie laptopa. Podłączył go do rzutnika i po chwili obraz pulpitu wyświetlił się na ścianie.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu. – Dobra jest taka, że dokładnie przestudiowałem zawartość komputera Martyny Bułeckiej. Przez kilka dni przekopywałem się przez jej twardy dysk i pocztę elektroniczną, a także analizowałem najświeższą aktywność w internecie i mediach społecznościowych. Myślę, że poznałem denatkę lepiej niż jej własna matka.

– A zła? – zapytał Artur.

– Zła jest taka, że nie znalazłem w tym komputerze nic szczególnie interesującego.

– Jak to możliwe? – zapytał Witold.

Królak westchnął, jakby zdecydowanie zbyt często słyszał to pytanie, i kilkoma kliknięciami myszy uruchomił przygotowaną w PowerPoincie prezentację.

– W ciągu ostatniego półrocza była bardzo mało aktywna mailowo. Wysyłała po kilkanaście wiadomości miesięcznie, zwykle do wykładowców lub koleżanek z roku, z którymi przygotowywała projekty na zajęcia. Przejrzałem prawdopodobnie wszystkie maile, które otrzymała i wysyłała przez ostatnie sześć miesięcy, i nie natknąłem się na nic, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość dla śledztwa. Na wszelki wypadek stworzyłem listę jej kontaktów.

Pokazał slajd z wykazem osób, które korespondowały z Martyną Bułecką.

– Jeśli chodzi o media społecznościowe – kontynuował, przeskakując między kolejnymi stronami prezentacji – sytuacja jest ciekawsza. Ale tylko trochę. – Rozejrzał się po sali, szukając na posępnych twarzach policjantów choćby zarysu uśmiechu, ale ci beznamiętnie wpatrywali się w wyświetlane na ścianie obrazki. – Nie korzystała ani z Instagrama, ani ze Snapchata, ani z Twittera, więc w całości mogłem skupić się na Facebooku. Za jego pośrednictwem komunikowała się głównie ze znajomymi ze studiów i z wcześniejszych lat. Nie uczestniczyła natomiast w żadnych publicznych dyskusjach i nie komentowała tego, co znajduje się na profilach innych użytkowników. Można więc powiedzieć, że Facebook służył jej przede wszystkim do komunikowania się ze znajomymi. – Wyświetlił listę dwudziestu osób, z którymi Bułeczka kontaktowała się najczęściej; znajdowały się na niej głównie kobiety. – Nie traktowała Facebooka jako ściany wystawowej. Czyli miejsca, w którym pokazuje się swoje wdzięki, żeby przyciągnąć wzrok internetowych onanistów.

– Tak, zrozumieliśmy to. Nie jesteśmy idiotami – odparł oschle Witold. – Czy rozmawiała z jakimiś starszymi mężczyznami?

– Nie natknąłem się na taką rozmowę. Natomiast sporo starszych facetów komentowało jej zdjęcia.



Królak pokazał slajd z twarzami mężczyzn, którzy polubili fotki Martyny Bułeckiej lub zostawili pod nimi komentarze. Przy każdym wizerunku znajdowały się personalia danego osobnika oraz treść wiadomości, jakie przesłał Bułeckiej.

– Jeśli dobrze liczę, sześciu z nich ma więcej niż trzydzieści pięć lat – powiedział Witold.

– To dla was ważne?

– Tak, musimy sprawdzić ich wszystkich.

Witold spojrzał na Magdę, która zanotowała w notatniku nazwiska widoczne na slajdzie.

– Jak uważacie – stwierdził Robal, wzruszając ramionami, i wrócił do prezentacji. – Choć Bułeczka nie angażowała się w życie znajomych na Facebooku, zaglądała na kanały rozmaitych firm, muzyków, polityków czy gazet. Polubiła łącznie ponad sto stron związanych głównie z modą, kinem, literaturą, rozrywką lub polityką. Zalajkowanie kanałów Roberta Biedronia, Tomasza Raczka czy „Gazety Wyborczej” wskazuje na to, że miała jasno sprecyzowane poglądy.

– Lewak – powiedział Artur, jakby chciał wypluć to słowo.

– Jeśli już, to lewaczka – odparła Magda, piorunując go wzrokiem.

Królak rozłożył ręce, sugerując, że nie jest w stanie rozstrzygnąć tego sporu. I że jest mu on kompletnie obojętny.

– A co z jej twardym dyskiem i historią wyszukiwania? – zapytał Witold.

Analityk uśmiechnął się kwaśno, a następnie pierdnął ustami.

– Nuda. *Null*. Odwiedzane przez nią strony z grubsza pokrywają się z tym, co znalazłem na Facebooku. W ciągu ostatniego miesiąca była mocno skoncentrowana na ściąganiu z sieci filmów, oglądaniu seriali na Netfliksie i słuchaniu muzyki ze Spotify. Robiła to, co robią wszyscy normalni ludzie w jej wieku.

Wyświetlił wykaz stron najczęściej oglądanych przez Martynę Bułecką w ciągu ostatniego miesiąca. Oprócz popularnych portali informacyjnych znajdowały się w nim polskie i anglojęzyczne serwisy poświęcone kulturze oraz kilka witryn sklepów odzieżowych.

– A co ze stronami pornograficznymi? – zapytał Kawęcki. – Nie ma ich na

liście? W ogóle tam nie zaglądała?

– Nie w ciągu ostatniego miesiąca. Przykro mi.

Piotr Królak przeskoczył kilka slajdów, aby przejść do omówienia zawartości dysku twardego, na którym znajdowała się potężna baza filmów, seriali i muzyki, kilkanaście e-booków, kilka gigabajtów rozmaitych materiałów dydaktycznych i rozgrzebana praca magisterska.

– Zastanawiające jest to – powiedział – że po raz ostatni aktualizowała swoją magisterkę półtora miesiąca temu. Z zeznań jej kolegów i nauczycieli wynika, że była raczej solidną studentką. Po takiej można by oczekiwać, że będzie zaglądać do pracy częściej.

Witold pokiwał głową i spojrzał na analityka.

– Masz dla nas coś jeszcze?

– Mam całkiem sporo, ale nie wiem, czy jest sens, żebym wam o tym opowiadał. Wszystko znajdziecie w prezentacji, którą ci wysłałem.

Analityk odłączył projektor od komputera i poprawił okulary, mimo że idealnie przylegały do jego twarzy. Ze znudzoną miną i zmrużonymi oczami oparł się na krześle i położył na brzuchu splecione dłonie. Przypominał rozleniwionego studenciaka, który wypalił o jednego skręta za dużo.

– Co teraz? – zapytał.

Kawęcki po raz pierwszy odwrócił się w jego stronę.

– Przeanalizowałeś jej aktywność na Facebooku tylko z ostatniego miesiąca?

Królak przytaknął, poruszając całym ciałem.

– To teraz wrócisz do swojego biura i sprawdzisz, co robiła wcześniej. Dwa miesiące temu. Trzy miesiące temu. Rok temu.

Robał podniósł brwi ze zdziwienia i zerknął na Witolda.

Ten odpowiedział mu niewyrażającym żadnych emocji spojrzeniem.

– Ostatni miesiąc nam nie wystarczy – powiedział. – Musimy się dowiedzieć więcej. Ile czasu potrzebujesz, żeby się przekopać przez ostatni rok?

Kiedy Królak wyszedł z sali, nerwowo pogwizdując pod nosem, Witold rzucił Kawęckiemu surowe spojrzenie. Potem zwrócił się do zespołu.

– Macie jakieś przemyślenia? – zapytał. – Obserwacje? Wnioski?

– Cokolwiek robimy, nie możemy ruszyć z miejsca – powiedziała Magda. – Bułeczka w każdym aspekcie jest zagadką. Nie daje nam żadnych odpowiedzi. Może powinniśmy skupiać się nie na niej, tylko na zabójstwie – zasugerowała.

Witold pokręcił głową.

– Nie rozwiążemy tej sprawy, nie dowiedziawszy się niczego o ofierze. Nawet jeśli... choć to mało prawdopodobne... nie jest ona w ogóle istotna. Coś poza tym?

Przez dłuższą chwilę policjanci milczeli. W końcu Artur, od jakiegoś czasu wierzący się na krześle, zdecydował się odezwać:

– Może powinniśmy podzielić się z prasą informacjami na temat zabójstwa i zobaczyć, kto się do nas zgłosi?

– Nie możemy tego zrobić – powiedział Witold. – Szczebiot i prokurator Warga są temu przeciwni.

– Warga? A to on w ogóle interesuje się tą sprawą? – zadrwił Artur.

– Nie on jest naszym problemem, tylko ta dziewczyna. I to, że albo jesteśmy ślepi, albo głupi. Albo jedno i drugie.

Na kilkadziesiąt sekund w pomieszczeniu zapanowała cisza. Witold odwrócił się na krześle i wyjrzał przez okno na niskie bloki wyrastające zza ogołconych drzew. Zamknął oczy. Próbował oczyścić umysł, w którym bezwartościowe informacje wymieszały się z negatywnymi emocjami, tworząc nieskładną płataninę impulsów. Miał ochotę wyjść z budynku. Zapalić papierosa. Pojechać do domu. Bezmyślnie wpatrywać się w telewizor. Pić zimne piwo i nie myśleć o niczym, co miałyby jakikolwiek związek z pracą.

– Czy nie zdziwiło was to, że wysyłała tak niewiele maili? – zapytała Magda.

– Ona jest studentką – odparł Artur.

– A co to ma do rzeczy?

– To, że nie musi produkować maili jak w jakiejś jebanej korporacji. Zastanów się, czy wysyłałaś po kilkadziesiąt wiadomości dziennie, kiedy byłaś na studiach.

Magda długo wpatrywała się w Artura, który napawał się tym, że w tej kwestii wykazał się większą logiką.

– Bardziej zastanawiające jest to, że nie korespondowała ze swoim promotorem – odezwał się Kawęcki. – Na liście osób, którą pokazał ten chłoptaş w swojej prezentacji, nie było Jakuba Możejki. Kiedy się z nim widzieliśmy, przekonywał nas, że utrzymywali ze sobą dobre relacje. Bułeczka rozważała nawet karierę naukową. Podobno często o tym rozmawiali. Jak to zatem możliwe, że ani razu nie wymienili się mailami? – Znowu zapatrzył się w ścianę.

Witold odwrócił się w jego stronę.

– Może to jest to – powiedział. – Może poznaliśmy człowieka, którego szukamy, zanim udało nam się dowiedzieć, dlaczego zabił Bułeczkę.

Palcem wskazującym wycelował w Kawęckiego.

– Pogadam o nim ze Szczebiotem. Wygląda na to, że rzeczywiście powinniśmy mu się przyjrzeć. Ale najpierw zajmiemy się tym.

Przesunął na środek stołu spięty plik kartek. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i włożył jednego do ust.

– To wykaz billingów i transakcji bankowych Bułeckiej. Jedne i drugie spłynęły do nas dzisiaj rano. Musimy się przez nie przekopać. Spotkajmy się za piętnaście minut w tej sali. – Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przed drzwiami. Wciągnął nosem powietrze i podejrzliwie rozejrzał się po pomieszczeniu. – Albo w sąsiedniej – powiedział. – W tej strasznie śmierdzi potem.

Alicja Mioduszevska przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż furka się otworzy i pozwoli jej wejść na teren posesji. Na ulicy panowała niezmacona wieczorna cisza, przerywana jedynie rzadkimi syknięciami zacinającego wiatru i pojedynczymi szczeknięciami psów. Kiedy chwilę wcześniej nacisnęła przycisk domofonu, miała wrażenie, że rozległ się obezwładniający hałas, który ściągnął na nią spojrzenia mieszkańców całego osiedla.

Zdenerwowana wpatrywała się w okna domu, czekając, aż w którymś z nich zapali się światło. Tak jak paliły się w sąsiednich piętrowych domach, zgrabnych i zadbanych, z niewielkimi kwadratowymi trawnikami i kafelkowymi wjazdami prowadzącymi do garaży, tworzących iluzję, że życie mieszkańców Rudy Pabianickiej jest ponadprzeciętnie uporządkowane. Zastanawiała się, jaki status

majątkowy trzeba osiągnąć, żeby pozwolić sobie na kupno jednego z takich domów. I czy da się to zrobić wyłącznie dzięki talentowi i pracowitości, czy też niezbędne jest wyzyskiwanie innych. Wywyższanie się i tłamszenie tych, którzy nie są wystarczająco drapieżni, zastygłych na styku miernoty i przeciętniactwa. Nie była pewna, czy potrafiłaby wieść życie zawodowe, które pozwoliłoby jej znaleźć się w takim miejscu.

W końcu domofon zaskrzeczał. Energicznie szarpnęła klamkę i weszła na teren posesji.

Marek Bachniarz, redaktor naczelny „Expressu Łódzkiego”, czekał na nią w progu, jedną ręką przytrzymując drzwi, a drugą opierając się o futrynę. Miał na sobie dzinsy i znoszony sweter. Choć z nosa zsuwały mu się okulary, spoglądał ponad nimi. Przywitał się z Alicją mocnym uściskiem dłoni i zaprosił ją do środka.

– Napijesz się czegoś? – zapytał tubalnym głosem, który zdradzał, że pracował kiedyś w radiu.

– Poproszę wodę.

Bachniarz zaprowadził dziennikarkę do obszernej kuchni, w której unosił się zapach smażonego mięsa. Ściągnął z suszarki dwie szklanki. Do jednej wlał wodę mineralną, do drugiej jacka daniel’sa. Alicja przypomniała sobie zapach, który przywitał ją w progu mieszkania, i domyśliła się, że nie będzie to jego pierwszy drink tego wieczoru.

– Skąd to masz? – zapytał Bachniarz, unosząc kartki, które leżały na środku drewnianego kuchennego stołu.

Alicja nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Kilka godzin wcześniej odebrała telefon od mężczyzny, który się nie przedstawił. Opowiedział jej o zabójstwie Martyny Bułeckiej, podając informacje, które do tej pory policja ukrywała przed społeczeństwem. Były na tyle szokujące, że dopiero po kilkudziesięciu sekundach Alicja się zreflektowała i zaczęła je zapisywać. Nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek ani czy to, co powiedział, jest prawdą. Ale według niej brzmiał wiarygodnie. Jak sterany życiem policjant, który miał dobry powód, żeby zostać kretem.

– Nie mogę panu powiedzieć. Zgodził się udzielić mi tych informacji, pod warunkiem że nikt nie pozna jego tożsamości – skłamała.

– To ktoś z policji? Z Wydziału Kryminalnego?

– Tego też nie mogę zdradzić.

Bachniarz przyglądał się Alicji wnikliwie, jakby był w stanie wyczytać z jej twarzy tożsamość informatora.

– Dobrze, nie będę naciskać. – Położył kartki na stole, a następnie przykrył je dłonią, którą pokrywały rozległe plamy wątrobowe. – To nam jednak nie wystarcza. Wystarczałoby w gadzinówce, ale nie u nas. Musimy mieć silne poparcie tych informacji. Wycinek policyjnego raportu albo potwierdzenie drugiej osoby.

– Próbuję uzyskać od informatora dowód na to, że nie jest to historia wyssana z palca – stwierdziła Alicja. – Na razie bezskutecznie.

Nieznajomy dzwonił do niej z zastrzeżonego numeru, nie była więc w stanie do niego oddzwonić ani niczego się o nim dowiedzieć. Przez dwie godziny przetrząsała fora internetowe w poszukiwaniu instrukcji, jak można zadzwonić pod zastrzeżony numer, ale gubiła się w informatycznych zawłościach. Przez kolejną obdzwaniała znajomych z innych łódzkich redakcji, próbując wywęszyć, czy kogoś spotkało coś podobnego. W końcu zostawiła to i zabrała się do porządkowania informacji, które udało jej się wyłapać z długiego i monotonnego monologu anonimowego rozmówcy. Po kolejnych dwóch godzinach miała gotowy tekst.

– Próbuj dalej. Dopóki nie zdobędziesz potwierdzenia, ten artykuł nigdzie się nie pojawi. Zresztą trzeba jeszcze nad nim popracować. – Bachniarz pospiesznie przeleciał wzrokiem po tekście. – Na razie usunąłem trochę twoich wypocin i dodałem od siebie nieco mięsa. Napisałaś go zbyt ostrożnie, jakbyś miała pinezkę w dupie i bała się na niej usiąść. Ale ogólnie wyszło nieźle.

Podał jej wydruki. Spojrzała na naniesione czerwonym kolorem poprawki i komentarze naczelnego, a następnie złożyła kartki na pół i schowała do torebki. Szef w tym czasie opróżnił szklanekę, odchrząknął i oparł ręce na stole.

– Dlaczego nie poszłaś z tym do Kornelii?

Alicja spodziewała się tego pytania i przygotowała na nie odpowiedź. Ale gdy już miała ją wyartykułować, wydała jej się zaściankowa i niedojrzała. Jak skarga małolaty na koleżankę, która szybciej dojrzeła. Zawahała się i poczuła zżerający ją od wewnątrz stres.

– Zresztą nieważne. – Bachniarz machnął ręką. – Dobrze zrobiłaś. Kornelia i tak musiałyby porozumieć się ze mną w tej sprawie. Tylko ominęłaś łącznika. – Rzucił jej filuterne spojrzenie, zupełnie inne od tego podejrzliwego i gniewnego, którym gromił ją od początku rozmowy. – Jesteś głodna? Właśnie robię pieczeń z indyka.

– Nie, dziękuję. Muszę już iść.

– Dobrze. Nie będę naciskać. Zgłoś się do mnie w poniedziałek rano. Do tego czasu zdobądź potwierdzenie tych informacji.

Bachniarz odprowadził Alicję do drzwi. Kiedy szli korytarzem, dziennikarka mimowolnie zerkała w głąb przestronnego domu. Ciemne pokoje ziały niepokojącą pustką, jakby były od lat niezamieszkane. Przypominała sobie, że podczas kolegów redakcyjnych naczelny nie wspominał o żonie ani dzieciach. Widocznie nie było o kim.

– A czy ty nie miałaś być dzisiaj na urlopie? – zapytał, zanim wyszła na zewnątrz.

– Miałam.

Kiedy się z nią żegnał, ponownie mocno ścisnął jej dłoń i obdarzył serdecznym uśmiechem. Odrobinę zbyt serdecznym. Uśmiechem wyzyskiwacza zadowolonego z naiwności swojej ofiary.

Witold Ptak zaparkował samochód przed Sobotą. Spojrzał na wiszący nad wejściem do baru szyld, który wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał. Pstrokaty, brudny, podły dla wzroku. Zaciągnął się papierosem. Przez dłuższą chwilę się zastanawiał, czy nie powinien stąd odjechać i wrócić do domu. Zapomnieć o ostatnich kilkunastu godzinach. I o telefonie, który odebrał kwadrans wcześniej. Zamiast tego wyłączył silnik, przeklinając siebie w myślach. Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce, podniósł szybę i wysiadł.

W barze było prawie pusto, dzięki czemu od razu zlokalizował Tomka

Kawęckiego. Siedział przy barze, z kuflem piwa podsuniętym pod nos. Nietkniętym. Kawęcki odwrócił się w jego stronę i wbił w niego wzrok. Zmęczony i cierpiący, ale świadomy. Odsunął stółek barowy, sugerując Witoldowi, z której strony powinien usiąść.

– Jesteś trzeźwy – zauważył Witold.

– Nawet mnie to się zdarza – odparł Tomek.

– Szkoda, że tak rzadko.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Wydaje ci się. Po prostu mam problem wizerunkowy.

Witold dyskretnie rozejrzał się po barze, który w środku wyglądał jeszcze gorzej niż z zewnątrz. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz siedział w równie zapuszczonej spelunie. Pewnie jakieś dwadzieścia lat temu.

– Dlaczego ludzie tak dziwnie na ciebie patrzą?

– Nie pytaj.

Kawęcki podsunął Witoldowi oszroniony kufel piwa i czystą popielniczkę.

– Nie chcę piwa. Wyszedłem z domu tylko na chwilę. Pod kurtką, którą widzisz, mam jedynie koszulkę, w której sypiam. Swoją piżamę. Dlatego jak tylko mi powiesz, po jaką cholere mnie tu ściągnąłeś, wrócę do domu. Do żony i dzieci – podkreślił.

– Dobrze, nie musisz pić. Wystarczy, że mnie wysłuchasz.

Witold zmierzył Kawęckiego wzrokiem od stóp do głów. Dostrzegął w nim dziecięcą nieporadność. To ona w niezrozumiały sposób wysysała z niego gniew, a w zostawioną po nim lukę wlewała żal i specyficzny rodzaj troski – bardziej ojcowskiej niż koleżeńskiej. Rachityczne ciało Kawęckiego i beznadzieja wyzierająca z jego twarzy tworzyły coś na kształt powłoki ochronnej. Chroniła go jednak tylko przed Witoldem, przed nikim więcej. A przede wszystkim – nie przed nim samym.

– Cztery lata temu we wsi pod Łodzią została zamordowana osiemnastoletnia Justyna Kepler. O zabójstwo oskarżono Bernarda Lubere, niepełnosprawnego intelektualnie chłopaka, którego kilka razy przyłapano na publicznym waleniu



konia. Według śledczych zgwałcił ją, a następnie zabił siekierą. Sam natomiast omal nie został zlinczowany przez lokalną społeczność. Uratowała go szybka interwencja miejscowych policjantów. Słyszałeś o tej sprawie?

Witold pokręcił głową. Jeżeli nawet gdzieś w czeluściach jego pamięci majaczyła ta historia, to nie próbował jej wydobywać, żeby nie przedłużyć spotkania.

– Niewiele osób o tym słyszało – kontynuował Kawęcki. – Śledczy prowadzili sprawę szybko i dyskretnie, a media z jakiegoś powodu nie chciały o niej pisać. Sam dowiedziałem się o wszystkim przypadkiem.

– Do rzeczy – burknął Witold i przyłożył swoją wielką dłoń do ust, żeby ukryć ziewnięcie.

Kawęcki zapalił papierosa.

– Przypomniałem sobie o tej sprawie niedawno – powiedział, wpatrując się w znużone oczy Witolda. – I znalazłem osobę, która łączy zabójstwa Justyny Kepler i Martyny Bułeckiej.

Wypuścił dym, czekając na reakcję Witolda. Ten, nic nie powiedziawszy, sięgnął po papierosa.

– Nazywa się Malwina Cis. Była jedną z kilkudziesięciu osób, z którymi rozmawiano po zabójstwie Justyny Kepler. Jako dziecko często jeździła do ciotki, która mieszkała w tej samej wsi co Kepler i Lubera. Tam ich poznała. – Kawęcki strzepnął popiół do popielniczki i spojrzał Witoldowi głęboko w oczy, aby się upewnić, że słucha go z uwagą. – Malwina Cis to siostra Weroniki Tarnawskiej.

– I co z tego?

Kawęcki wyciągnął z kieszeni płaszcza koszulkę na dokumenty, zwiniętą w pomarszczony rulon, i położył ją na lepkiem blacie. Znajdowało się w niej kilkanaście kartek i plik zdjęć.

– Istnieje możliwość, że obie kobiety mógł zabić ten sam człowiek.

Witold uśmiechnął się z politowaniem.

– Posłuchaj, zanim mnie wyśmiejesz – powiedział stanowczo Kawęcki. – Nie ulega wątpliwości, że Bernard Lubera uprawiał seks z Justyną Kepler, kiedy ta

jeszcze żyła. Bułeczka także została zgwałcona za życia, tyle że przez psa i za pomocą jakiegoś narzędzia. Może się zatem okazać, że w obu przypadkach mamy do czynienia z tym samym rodzajem perwersji. – Widząc, że Witold skreca wzrokiem w stronę dokumentów, przykrył je ręką. Chciał, aby całą uwagę skupił na nim. – Gość lubi patrzeć, jak kobieta jest gwałcona – powiedział, wyraźnie artykułując każde słowo. – Dawniej wystarczył mu wioskowy głupek, teraz potrzebuje do tego psa i pałki. Jego wynaturzenie rozwinęło się w okrutny, odrażający sposób. Podobnie jak forma zabijania.

Kawęcki odchrząknął i pochylił się ku Witoldowi, który od dłuższego czasu zbierał się, żeby coś powiedzieć.

– Zabójstwa nie są identyczne – oznajmił. – Martynie Bułeckiej sprawca zadał zdecydowanie dotkliwsze rany. Może to jednak wynikać z tego, że miał wtedy więcej czasu niż cztery lata wcześniej. Kiedy szlachtował Justynę Kepler, jej matka znajdowała się w sąsiednim budynku. Możliwe też, że po prostu nabrał doświadczenia i zadawanie okrucieństwa przychodzi mu dzisiaj z większą swobodą. Stał się lepszym drapieżcą.

Kawęcki zamilkł, kiedy jeden z klientów stanął przy barze. Barmanka obsłużyła go bez zapału i wprawy, nalewając kufel piwa z grubą warstwą piany. Chwilę później policjanci znów zostali sami.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedział Witold, gdy w końcu doszedł do głosu. – Czy kiedy dzisiaj przesłuchiwałem niedawno wypuszczonych na wolność gwałcicieli, Magda i Artur przekopywali się przez billingi i transakcje Bułeckiej, a reszta naszego małego zespołu, który z każdym dniem będzie się kurczyć, wypytywała sprzedawców, sąsiadów i taksówkarzy, czy nie widzieli w okolicy zabójstwa nic podejrzanego, ty pracowałeś nad tym?

– I tak, i nie.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?

– Przyglądałem się temu, ale nie cały czas. Przez kilka godzin nie pracowałem w ogóle.

Witold zacisnął zęby. Wyglądał jak niedoszły zabójca, który właśnie

zlokalizował ofiarę.

– Staram się nie pić – wyjaśnił Kawęcki. – To trudne. I męczące. Zdarza się, że na parę godzin muszę zrezygnować z jakichkolwiek zajęć, uwolnić się od własnych myśli. – Drżały mu ręce, przez co strzepnął popiół obok popielniczki. – Nie wiem, czy ma to jakikolwiek sens. Mam na myśli rzucanie picia. Ale próbuję. Zobaczymy.

Witold podrapał się po czole, które przecinała jedna wielka zmarszczka.

– Czy jesteś pewien, że w momencie wymyślenia tej teorii byłeś trzeźwy? – zapytał znacznie spokojniej.

– To nie jest teoria, tylko zbiór faktów, które do siebie pasują. Uwierz mi, ja również bym wolał, żeby te sprawy nie miały ze sobą nic wspólnego. Żeby za śmierć tamtej dziewczyny odpowiedzialny był jakiś nedorozwinięty zboczeniec. Ale jest za dużo punktów styku. Znacznie więcej, niż ci przed chwilą wymieniłem.

Kawęcki przesunął w stronę Witolda koszulkę z dokumentami.

– Chciałbym tylko, żebyś się temu przyjrzał – powiedział. – Oceniał, czy to, co mówię, może być prawdą.

Witold przejechał dłonią po twarzy, czując, jak krótki zarost przyjemnie wrzyna mu się w śródrezcze. To, o co poprosił go Kawęcki, nie miało jednak nic wspólnego z przyjemnością.

– Dlaczego nie wspomniałeś o tym podczas zebrania?

– Ponieważ naszym przełożonym jest pieprzony biurokrata, który potrafi działać wyłącznie w zgodzie z zasadami. A jeśli to, co podejrzewam, się potwierdzi, to będziemy musieli wyjść poza schematy. Być może nagiąć kilka przepisów.

– My? – zdziwił się Witold. – Dlaczego uważasz, że ci w tym pomogę?

– Bo cię znam.

Witold wypuścił dym i uważnie przyjrzał się Kawęckiemu. W jego przekrwionych oczach dostrzegł podniecenie. Nie widział go w nich od dawna. W zasadzie od dawna nie widział w jego oczach nic poza upodleniem, żalem i tęsknotą za czymś, czego nie potrafił nazwać. Nie starczyło mu odwagi, żeby od razu zgasić ten entuzjazm.

Krótką salwą śmiechu wypełniła na moment lokal. Chwilę później rozległo się szuranie krzesel, kiedy grupa nawalonych facetów próbowała wytoczyć się z pubu. Kawęcki zgasił papierosa i zsunął się ze stołka.

– Te materiały są dla ciebie – powiedział. – Rzuć na nie okiem. O nic więcej cię nie proszę.

Zanim Witold podjął decyzję, żeby wrócić do domu, pojawiła się przed nim barmanka i zapytała, czy ma zabrać nietknięty kufel. Zastanawiał się nad jej pytaniem, próbując nie wlepić oczu w wylewający się z dekoltu biust. W końcu powiedział, żeby zostawiła. Nie miał pojęcia dlaczego. Może dlatego, że nigdy nie stawał przed podobnymi dylematami. Zapalił papierosa i mocno się nim zaciągnął. Wypuszczając dym, uświadomił sobie, że właśnie zapewnił sobie nocleg na kanapie. I prawdopodobnie kilka cichych dni.

Zgarnął piwo oraz pozostawione przez Kawęckiego dokumenty i usiadł przy jednym z wielu wolnych stolików w niemal opustoszałym lokalu. Słabe oświetlenie utrudniało mu czytanie, więc skoncentrował się na fotografiach. Na większości widać było dwie dziewczyny: Justynę Kepler i Martynę Bułęcką. Skupił się na pierwszej z nich. Młodszej, chętnie pozującej do zdjęć w towarzystwie rodziny i znajomych. Atrakcyjnej i zgrabnej, ale zarazem niewyróżniającej się niczym szczególnym.

Zastanawiał się, dlaczego Kawęcki zostawił mu także zdjęcia Martyny Bułęckiej. Nie było wśród nich ani jednego, którego by wcześniej nie widział. Przejrzał je wyłącznie dla formalności. Tak jak przypuszczał: nie znalazł w nich nic, co by wzbudziło jego ciekawość. Nic, czego nie dostrzegł wcześniej.

Szybko opróżnił piwo i zapalił kolejnego papierosa. Podeszedł do baru, żeby uregulować rachunek.

– Pana kolega zapłacił za piwo – oznajmiła barmanka. – Zamówić panu taksówkę?

– Nie, nie trzeba.

– Nalegam – powiedziała kobieta, łypiąc na kluczyki, które Witold trzymał w ręku.

Policjant głośno westchnął.

– Nie do wiary.

– Nie do wiary, że chciał pan wrócić samochodem – powiedziała oskarżycielskim tonem barmanka. – Przez takich jak pan ludzie giną na ulicach.

Przez takich jak ja ginie ich znacznie mniej, pomyślał Witold.

Kilka minut później rozsiadł się wygodnie w taksówce, zastanawiając się, o której powinien jutro wstać, żeby zdążyć przed pracą odebrać samochód. Podrapał się po zmęczonej twarzy. Próbował sobie uzmysłwić, co właściwie wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Dlaczego Kawęcki w taki sposób przedstawił mu swoje odkrycie. I nagle go olśniło. Stara policyjna sztuczka, pomyślał na tyle głośno, że później się zastanawiał, czy przypadkiem nie powiedział tego na głos. Wyciągnął z kurtki schowane do koszulki materiały. Zapalił światelko nad głową i obojętny na zgorzzone spojrzenie taksówkarza zaczął uważnie wpatrywać się w fotografie dwóch młodych kobiet.

Szukał na zdjęciach tego, co Kawęcki kazał mu zobaczyć.

**W**edług wielu biologów kac następuje wskutek odwodnienia mózgu. Uważają, że winę za ból głowy i suchość w ustach ponosi włączany do organizmu etanol, który powoduje, że wraz z moczem człowiek wydalą więcej wody niż zazwyczaj. Kac jest zatem efektem masochistycznych skłonności organizmu, który próbując ukarać mózg, karze swojego gospodarza.

Witold Ptak uważał jednak, że to głównie prawda. Po wypiciu jednego piwa i spędzeniu nocy na kanapie czuł się tak, jakby wrócił z całonocnej imprezy. Pulsowanie w skroniach sprawiało, że plątały mu się myśli, jakby nie mogły zrozumieć, w jaki sposób znalazły się w jego głowie, w tym dziwacznym gąszczu obrazów, symboli i dźwięków.

Wyszedł przed komendę na papierosa. Nie włożył kurtki, przez co szybko zaczął trząść się z zimna. Nie martwił go jednak chłód i ryzyko przeziębienia, lecz rozmowa, którą odwlekał od rana. W końcu zdeptał niedopałek i sięgnął po telefon.

– Podobieństwo jest uderzające – oznajmił.

Brak reakcji z drugiej strony spowodował, że odsunął telefon od ucha i spojrzał na wyświetlacz, żeby się upewnić, do kogo właściwie zadzwonił. Ból głowy

jeszcze się nasilił.

– Nie powiedziałbym, że uderzające – odparł Tomek Kawęcki. – Ale na pewno wyraźne.

– Zgrabna sylwetka, duży biust, wydatne usta, kruczoczarne włosy. Ubierały się zupełnie inaczej, dlatego na pierwszy rzut oka trudno było zauważyć analogie. Dostrzegłeś coś jeszcze?

– Szczupłe uda i długie nogi, raczej rzadko spotykane u tak niskich kobiet. Gdyby zdjęcia oglądał ktoś zajmujący się modelingiem, zapewne w pierwszej kolejności zwróciłby uwagę właśnie na te nogi.

– Co teraz?

– Sądziłem, że ty mi to powiesz.

Witold zawahał się. Choć podjął już decyzję i nie miał zamiaru jej zmienić, trudno było mu ją wyartykułować.

– Jeśli mam w to wejść, chcę, żebyś informował mnie o wszystkim, o każdym swoim posunięciu – powiedział w końcu. – Muszę wiedzieć, co planujesz zrobić. I oczekuję, że podejdziesz do tego rozsądnie. Na razie mamy tylko dwie podobne do siebie kobiety, które zostały w podobny sposób zamordowane. Nic więcej. Rozumiemy się?

– Jasne.

– Co teraz?

– Porozmawiaj z inspektorem Romualdem Kapssem. Prowadził tamtą sprawę.

– Okej. A ty co zamierzasz? – zapytał Witold, próbując zidentyfikować słyszane w tle odgłosy.

– Dowiedzieć się, jak zginęła Justyna Kepler.

Ogołoczone gałęzie drzew obrastających teren wokół budynku sięgały niemal do okien. Mimo grubych pni sosny i brzozy wyglądały na wynędzniałe, a pod warstwami zalegającego na nich śniegu nabrały garbatych i nienaturalnych kształtów. Spróchniałe konary się rozwarstwiały, wysuszone zimą przez lodowate poddmuchy. Drzewa pochylały się w stronę budynku, jakby jego grube mury miały im służyć za podparcie.

Tomek Kawęcki miał wrażenie, że silniejszym pociągnięciem byłby w stanie złamać każdą gałąź. O ile zdołałby precyzyjnie przycisnąć rękę przez kraty.

Budowa szpitala psychiatrycznego w Kochanówce, dziś liczącego ponad sto lat i noszącego imię Józefa Babińskiego, długo była nie w smak opieszałym rosyjskim władzom, które udawały, że nie dostrzegają problemu błąkających się po ulicach wariatów. Dopiero po wielu latach starań łódzkiej inteligencji i po namowach środowisk medycznych udało się otworzyć skromną placówkę, w której bardziej izolowano, niż leczono, kilkudziesięciu niezrównoważonych umysłowo ludzi. Choć szybko się okazało, że chętnych do kuracji jest więcej, dopiero kilka lat później, przy wydatnym wsparciu finansowym możliwych lokalnych przemysłowców i lekarzy, w oddalonej o kilka kilometrów od granic miasta wsi Kochanówka, w sercu spokojnego sosnowo-brzozowego lasu wybudowano szpital. Oficjalnie placówka rozpoczęła działalność siedemnastego września 1902 roku. Niewiele osób o tej dacie pamiętało, a jeszcze mniej ją celebrowało, ponieważ dokładnie trzydzieści siedem lat później Związek Radziecki napadł na Polskę, ostatecznie przesądzając o wojennych losach Polaków. A poza tym mało kto miał ochotę świętować otwarcie pierwszego domu wariatów w mieście.

– Komisarz Kawęcki? – Pulchna pielęgniarka obdarzyła go nienaturalnym uśmiechem. – Proszę za mną.

Poprowadziła go szerokim schludnym korytarzem, wolnym od typowego dla szpitali drażniącego zapachu środków antyseptycznych. Równie dobrze mógłby to być hol utrzymanej w socrealistycznym duchu szkoły. Pacjenci rzadko wychodzili ze swoich sal. Ci, którzy pojawiali się na korytarzu, snuli się w towarzystwie pielęgniarek i salowych, wpatrując się pod nogi lub mrucząc słowa zrozumiałe tylko dla nich i mające znaczenie wyłącznie w ich własnym świecie. Świat szpitalnego personelu zdominowany był przez ciszę i nieśmiałe szepty.

Doktor Olga Gawron siedziała naprzeciwko ogolonego na łyso mężczyzny, który kulił się w kącie łóżka. Długie blond włosy i szczupła sylwetka odejmowały jej lat, ale zmęczona twarz, z niedoskonałościami skrytymi pod grubą warstwą makijażu, zdradzała, że lekarka musiała już przekroczyć pięćdziesiątkę. Powagę,



którą emanowała, gdy zdecydowanym krokiem podchodziła do Kawęckiego, łatwo można było pomylić z melancholią.

– Co pana do nas sprowadza, panie komisarzu? – zapytała wysokim głosem, delikatnie ściskając dłoń policjanta. – Czyżby pojawiły się nowe fakty w sprawie morderstwa Justyny Kepler?

Kawęcki zmarszczył brwi, uważnie jej się przyglądając.

– Tak jakby – odparł. – Ale obawiam się, że nie mogę z panią na ten temat rozmawiać.

– Słyszał pan o regule wzajemności?

– Oczywiście. To chyba psychologia, a nie psychiatria – powiedział zaczepnie, mając nadzieję, że zdoła skruszyć betonowy spokój malujący się na twarzy lekarki. Nic z tego.

– Jedni twierdzą, że różnica między tymi dziedzinami jest bardzo cienka lub wręcz efemeryczna. Inni uważają, że jest umowna, stworzona wyłącznie na potrzeby lekarzy oraz ludzi, którzy czują się bezpieczniej, kiedy wspiera ich świadomość, że znajdują się po właściwej stronie lustra.

Stała przed Kawęckim z rękoma splecionymi na piersi. Taksowała go bystrym wzrokiem, zapewne takim samym, jakim zaszczyciała swoich pacjentów.

– Bernard Lubera chyba nie jest osobą, która wywołuje u lekarzy zakłopotanie.

– Zdziwiłby się pan – powiedziała i ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu.

Kawęcki nie dosłyszał zaproszenia, ale podążył za nią. Wszedł do jej pokoju i zamknął za sobą drzwi. Spodziewał się zastać ciepłe, odprężające pomieszczenie, wypełnione drewnianymi meblami w stonowanych barwach. Ujrzał nudne minimalistyczne biuro, przypominające gabinety lekarskie z archaicznych państwowych przychodni.

– Co dokładnie chce pan wiedzieć? – zapytała ostro.

Kawęcki oderwał wzrok od odrapanych mebli.

– Co się z nim działo, odkąd tu trafił?

– Żeby się tego dowiedzieć, nie musiał pan przyjeżdżać do szpitala. Informacje

na temat stanu zdrowia Bernarda Lubery regularnie przekazujemy prokuraturze. Wszystkiego może się pan dowiedzieć z raportów.

– Czytałem je – stwierdził Kawęcki.

– Więc wie pan, że od czasu zabójstwa Bernard milczy. Nigdy nie był wylewny, ale od czterech lat nie wydobył z siebie ani jednego słowa.

– Czy to normalne? – zapytał Kawęcki, a zobaczywszy karcącą minę lekarki, szybko się poprawił: – Czy zdarza się, żeby sprawca zabójstwa tak silnie je przeżywał?

Głośno westchnęła. Podobne pytania musiała słyszeć setki razy.

– Zdarza się, owszem. Psychiatria widziała już niemal wszystkie rodzaje reakcji, choć ledwie zaczęła dokopywać się do zakamarków ludzkiego umysłu. Jest to jednak zachowanie zdecydowanie częstsze u ofiar niż u sprawców. – Widząc zakłopotanie na twarzy Kawęckiego, dodała: – Bernard doznał bardzo silnej traumy. Popadł w katatonię, z której mimo usilnych prób nie jesteśmy w stanie go wyprowadzić.

– Czy wcześniej spotkała się pani z tym, by sprawca zachowywał się jak ofiara?

Doktor Gawron po raz pierwszy nieznacznie się uśmiechnęła.

– Niewłaściwie formułuje pan pytania. Każdy morderca czuje się ofiarą, choć nie zawsze to okazuje. Osobowości o cechach dyssocjalnych, dawniej nazywane po prostu psychopatami, zwykle są silnie egocentryczne i samo obcowanie z ludźmi jest dla nich tak nieprzyjemnym doświadczeniem, że odbierają je jako atak na siebie. Czują się zagrożone. Nawet wtedy, kiedy to one są inicjatorami kontaktu. Dlatego wyrażając głęboką niechęć, wrogość czy wręcz nienawiść do innych, często czują się ofiarami osób, które krzywdzą.

– W przypadku niepełnosprawnych intelektualnie nie ma jednak o tym mowy? – zapytał niepewnie Kawęcki.

– Podobno słyszał pan o regule wzajemności.

Zmusił się do uśmiechu, który spotkał się z zupełną obojętnością lekarki.

– Dlaczego interesuje się pan Bernardem Lubera?

– Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że nie jestem w stu procentach przekonany,

czy śledztwo w sprawie zabójstwa Justyny Kepler zostało poprowadzone prawidłowo.

– Piękny eufemizm. Czyli nie jest pan przekonany, że to Bernard ją zabił?

Kawęcki rozejrzał się po pokoju, jakby się obawiał, że mogą być podsłuchiwani.

– Uważam, że dowody, które przedstawiono, są niewystarczające, aby przypisać mu zabójstwo.

– Lekarze znaleźli w ciele ofiary jego nasienie, był cały we krwi. We krwi ofiary.

– Nie twierdzę, że jej nie zgwałcił. Twierdzę, że nie udowodniono, że to on ją zabił. – Poklepał się po kieszeniach, szukając papierosów. – Na nadgarstkach Justyny Kepler wykryto ślady po sznurze, a na policzku krwiak wywołany uderzeniem. To sugeruje, że sprawca musiał ją ogłuszyć i przywiązać. Potem została zgwałcona i zaszlachtowana. Nie wydaje mi się, żeby to wszystko mógł zrobić człowiek, u którego stwierdzono znaczny stopień niepełnosprawności intelektualnej.

– Lekarze nie byli co do tego zgodni – stwierdziła doktor Gawron. – Specjaliści, którzy się nim zajmowali, wahali się, czy jest upośledzony w stopniu umiarkowanym, czy w znacznym. Występuje u niego duża rozbieżność pomiędzy sprawnością fizyczną i intelektualną, a to utrudnia stanowcze przypisanie go do którejś z grup.

– Jeśli się nie mylę, dawniej ludzi niepełnosprawnych intelektualnie nazywano inaczej. Określano ich debilami, imbecylami lub idiotami. Dziś są to określenia synonimiczne.

– Jakie to ma znaczenie?

Kawęcki pokazał lekarce paczkę papierosów, ale ta z dezaprobatą pokręciła głową.

– Nie chcę skupiać się na stopniu upośledzenia Lubery. Myślę, że to w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia. Z całym szacunkiem dla pani pracy. – Schował papierosy, ale zatrzymał zapalniczkę i zaczął nerwowo obracać ją w palcach. – Po prostu trudno mi uwierzyć, że Lubera zabił jedyną osobę, która okazywała mu

sympatię. Nie wierzę, żeby jego chory umysł mógł go do tego nakłonić.

Doktor Olga Gawron zamyśliła się, wbijając piwne oczy w pusty blat biurka.

– Jest pan człowiekiem małej wiary – odparła. – Jaką ma pan teorię?

– Sądzę, że ktoś zmusił Lubereę do tego, aby zgwałcił Justynę Kepler. A potem kazał mu ją zabić. Albo zrobił to razem z nim.

Gęste milczenie, mącone jedynie wytłumionymi dźwiękami dobiegającymi z korytarza, rozlało się po pokoju. Twarz lekarki pozostała poważna i niewzruszona. Jej zdenerwowanie zdradzały jedynie falujące pod kitem piersi.

– Proszę pamiętać, że psychiatria nie jest matematyką. Nie wszystko możemy zmierzyć, a nawet jeśli, to wyniki tych samych równań często bywają różne. Jesteśmy zdani na wyczucie, interpretacje i porównywanie rozmaitych przypadków. A to wszystko przy naprawdę ograniczonej wiedzy na temat funkcjonowania ludzkiego...

– Z całym szacunkiem, pani doktor. – Kawęcki podniósł rękę, żeby nie słuchać formułki, którą przed nim musiał już słyszeć niejeden laik. – Nie oczekuję, że przyzna mi pani rację, ponieważ to, o czym mówię, jest w tej chwili nie do udowodnienia.

– Więc czego pan chce?

– Chciałem się dowiedzieć, czy pani także ma wątpliwości. Teraz już wiem.

– Proszę nie zapominać – podkreśliła doktor Olga Gawron – że niezależnie od tego, czy zrobił to Bernard, czy ktoś inny, on i tak powinien tu być.

– Wcześniej jakoś sobie radził.

– Wychowywał się bez ojca, a matka miała poważne problemy finansowe. W zasadzie był pozostawiony samopas. Prędzej czy później ktoś mógłby mu zrobić krzywdę. Albo sam by ją sobie wyrządził. Dobrze się stało, że się tu znalazł. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach. – Spojrzała na Kawęckiego. – Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli pan sam spróbuje nawiązać z nim kontakt.

Kawęcki chciał coś powiedzieć, ale lekarka już wyszła z biurka i szybkim krokiem skierowała się do drzwi, więc ruszył za nią. Długim korytarzem dotarli do gwarnej świetlicy, którą wypełniał zapach nieświeżych ciał. Grupa mężczyzn pod

opieką dwóch rosyjskich pielęgniarzy tłoczyła się przed telewizorem, z fascynacją oglądając odtwarzany z magnetowidu program przyrodniczy. Wśród jęków ekscytacji i fachowych komentarzy ginał ciepły głos Krystyny Czubówny. Po przeciwnej stronie pomieszczenia kilkoro ożywionych kobiet i mężczyzn dyskutowało z lekarzem, który cierpliwie im wyjaśniał, dlaczego nie mogą trzymać w szpitalu zwierząt. Najspokojniejsi pacjenci znajdowali się na końcu sali. W skamieniałych pozach, przyklejeni łokciami do parapetów, przyglądali się ponuremu światu, który rozciągał się za okratowanym oknem.

Bernarda Lubere znaleźli w kącie świetlicy. Choć siedział, wzrostem niemal dorównywał kobiecie, która stała obok niego i rytmicznie przestępowała z nogi na nogę, wykonując coś w rodzaju tańca. Jego nieproporcjonalnie długa twarz z delikatnie rozdziawionymi ustami była zupełnie blada, jakby nigdy nie widziała słońca. Przyszczyżone bez pomysłu włosy przydawały mu głupkowatego wyglądu. W jego piwnych oczach, skierowanych na łączenie podłogi ze ścianą, kryła się pustka i wyalienowanie.

Kiedy do niego podeszli, Kawęcki niepostrzeżenie złapał się za brzuch. Poczłw rwałcy ból żołądka.

– Bernardzie – odezwała się lekarka łagodnym tonem – to jest komisarz Tomasz Kawęcki. Chciałby z tobą porozmawiać.

Kawęcki czekał na odpływ bólu, jednocześnie zastanawiając się, jak powinien zainicjować rozmowę z Lubere. A właściwie monolog, który spodziewał się wygłosić. Dopiero gdy doktor Gawron zgromiła go wzrokiem, uświadomił sobie, że jego wewnętrzna narada trwa zdecydowanie zbyt długo.

– Witaj, Bernardzie.

Wyciągnął w jego kierunku dłoń, którą chwilę wcześniej przyciskał do brzucha. Równie dobrze mógł jednak wsadzić ją sobie w tyłek. Lubera nawet nie drgnął.

– Chcę pomówić z tobą o tym, co się zdarzyło cztery lata temu. Z pewnością dobrze to pamiętasz. Chodzi o Justynę Kepler, twoją dawną przyjaciółkę. – Kawęcki zamilkł, czekając na ruch oczu Lubery. Po upływie kilkunastu sekund postanowił kontynuować. – Wiem, że mnóstwo osób pytało cię o ten dzień. Wiem

też, że z nikim nie chcesz o nim rozmawiać. I wcale ci się nie dziwię. Na twoim miejscu też nie chciałbym do tego wracać. Dlatego nie oczekuję, że zdecydujesz się porozmawiać o tym ze mną. Nie znasz mnie i nie zrobiłem niczego, czym mógłbym wzbudzić twoje zaufanie.

Kawęcki zerknął na lekarzkę, która odsunęła się na odległość kilku kroków. Wpatrywała się w wyświetlacz swojego telefonu, energicznie przesuwając palec po ekranie. Pochylił się, aby jego wzrok mógł się spotkać z tępym spojrzeniem Lubery. Miał wrażenie, że wpatruje się w niego figura woskowa, z czarnymi guzikami zamiast gałek ocznych.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że jestem po twojej stronie. Wiem, że tego nie zrobiłeś. Że nie zabiłeś Justyny.

Doktor Olga Gawron minimalnie spóźniła się z interwencją. Najpierw wyrzuciła z siebie potok słów, żeby po prostu zagłuszyć Kawęckiego, a następnie pociągnęła go za ramię i zaczęła wyprowadzać ze świetlicy. Kawęcki co rusz się odwracał, próbując wychwycić na uciekającej twarzy Lubery choćby iskrę świadomości. Mikroznak, że nie męczył go na próżno. Za każdym razem natrafiał jednak na nieruchomą sylwetkę z martwym wzrokiem.

– Nie powinien był pan tego mówić – stwierdziła lekarka, kiedy znaleźli się na korytarzu. Z najwyższym trudem tłumiała pulsujący w niej gniew. – Nie jest pan psychiatrą. Nie ma pan żadnej wiedzy na ten temat. Nie ma pan bladego pojęcia, jakie spustoszenie mogą wyrządzić w jego głowie takie słowa.

– Poważnie? Nie wyglądał na kogoś, kto ma wiele do stracenia.

Doktor Gawron zakryła oczy dłońmi, a następnie opuściła ręce. Jej twarz przybrała gorączkowo czerwony odcień.

– Jest pan skończonym idiotą – powiedziała, przepuszczając słowa przez zaciśnięte zęby. – A ja popełniłam błąd, dopuszczając pana do niego. Złożę na pana donos.

– Reguła wzajemności – burknął Kawęcki, wydobywając z kieszeni paczkę papierosów.

– Słucham?

– Nie od dzisiaj ma pani wątpliwości co do tego, czy to Lubera zabił Kepler. Ma je pani, odkąd trafił na oddział. Od samego początku. A mimo to nie zrobiła pani nic, żeby mu pomóc.

– Cały czas mu pomagam – warknęła, skupiając na sobie spojrzenie stojącej w drugim końcu korytarza pielęgniarki. – Został osądzony i odesłany do nas na leczenie. Od czterech lat robię co w mojej mocy, aby pomóc mu wyjść z tego odrętwienia. A pan, nie wiedząc nic o mojej pracy, ośmiela się robić mi wyrzuty?

– Na pewno jest pani doskonałym fachowcem – powiedział Kawęcki, obracając w palcach papierosa. – A przy okazji karierowiczką. Nie podjęła pani walki o zdrowie swojego pacjenta, żeby nie przypłacić tego posadą. Jeżeli nie złożą pani na mnie skargi, obiecuję, że postaram się myśleć o pani wyłącznie jako o świetnym lekarzu i dobrym człowieku. – Włożył papierosa do ust. – Coś za coś.

Przez moment miał wrażenie, że doktor Olga Gawron go uderzy, żeby zetrzeć z jego gęby złośliwy uśmiech. Niewątpliwie miała na to ochotę. Zamiast tego odwróciła się i ruszyła w stronę swojego gabinetu.

– Zna pan drogę do wyjścia – powiedziała. – Do widzenia.

Stopy energicznie opadają na ziemię i z niewielkim opóźnieniem się unoszą. Kolana pracują niczym tryby starej, choć bezbłędnie działającej maszyny, zachowując między sobą bezpieczną i zawsze taką samą odległość. Podobnie jest z rękoma, które wyrywają się do przodu, jakby chciały pędzić przed ciałem, ale zaraz potem wracają. Przez cały czas są zgięte w łokciach, tak aby dłonie mogły swobodnie falować na wysokości bioder. Rytm i harmonia, podszyte nieufnością i gotowością do skoku. Do złapania za gardło.

Pies zawsze rozpozna psa, pomyślał Witold, przyspieszając kroku i zmniejszając dystans dzielący go od energicznie poruszającego się człowieka. Ubrany w dżinsową kurtkę mężczyzna notorycznie rozglądał się na boki, będąc święcie przekonany, że to on bacznie obserwuje otoczenie, a nie otoczenie jego. Zatrzymał się przed skrzyżowaniem, zerknął na zegarek, włożył ręce do umiejscowionych na wysokości podbrzusza kieszeni i wzruszył ramionami, nieprzyjemnie smaganymi wiatrem. Kiedy się odwrócił, od razu zauważył Witolda.

– Mam nadzieję, że nie musiał pan długo czekać. Pogoda jest paskudna – powiedział Witold, pospiesznie wyciągając dłoń w kierunku wyłysiałego mężczyzny.

– Nie jest najgorzej – przyznał inspektor Romuald Kaps, pociągając czerwonym, zakatarzonym nosem. – Dobrze, że nie pada.

– Mogłem przyjechać do pana. W końcu to mnie zależało na spotkaniu.

– A tam! – Kaps machnął ręką. – I tak byłem w pobliżu, więc co za różnica.

Ruszyli wzdłuż starej przychodni miejskiej, wzniesionej przed czterdziestu laty w typowym dla Peerelu nieporywającym architektonicznie stylu, zostawiając za sobą ruchliwe skrzyżowanie Dąbrowskiego i Tatrzańskiej. Przepisnęli się pomiędzy emerytami stłoczonymi w newralgicznym punkcie osiedla, zlokalizowanym pomiędzy państwową lecznicą a zabudowanym rynkiem, i po dwóch minutach dotarli na skwer Maksymiliana Kolbego. Usiedli na ławce, twarzą do wyłaniającego się zza drzew kościoła.

– Sporo myślałem o tym chłopaku – zaczął bez ogródek Romuald Kaps, silnie pociągając nosem. – Nie chce się wierzyć. Niby był niespełna rozumu, ale dopuścić się czegoś takiego? Jezu Chryste! Wie pan, że tylko ona na tej cholерnej wsi okazywała mu sympatię?

– Wiem, czytałem akta sprawy.

– Jako jedyna nie traktowała go jak debila. I co jej z tego przyszło? – Kaps spojrzał na Witolda pytającym wzrokiem, prezentując imponującą siatkę zmarszczek czołowych. – Mniejsza o to – powiedział, wrzucił do ust miętówkę i głośno cmoknął. – Dlaczego to pana interesuje?

– Chce pan poznać wersję oficjalną czy nieoficjalną?

– Z tego, co mi wiadomo, nie pracuje pan w wewnętrznym. Dlaczego więc miałby mi pan przedstawiać wersję oficjalną?

Witold zaśmiał się krótko i wyciągnął papierosa. Poczęstował Kapsa, który kategorycznie odmówił, choć chciwym wzrokiem byłego palacza powiódł za paczką.

– W takim razie będę z panem brutalnie szczery. Poznałem niedawno osobę,



która uważa, że zabójca Justyny Kepler może przebywać na wolności.

Kaps spojrział na Witolda, który miał równie zdziwioną minę jak on. Podrapał się po pomarszczonym czole i przeciągle cmoknął.

– Chłopak trafił do domu wariatów. Czyżby stamtąd uciekł?

Witold pokręcił głową.

– Ta osoba sądzi, że to nie on jest sprawcą.

– Mój Boże – westchnął inspektor. – Przecież to nonsens. Jak mógł to zrobić ktoś inny, skoro znaleźliśmy jego nasienie w pochwie denatki i odciski palców na siekierze? Cały był umazany krwią ofiary. W dodatku świadkowie widzieli, jak wielokrotnie onanizował się w miejscach publicznych. Podobnej bzdury dawno nie słyszałem.

– Ja też w to nie wierzę. Z zawodowego obowiązku muszę to jednak sprawdzić.

Kaps przez cały czas podejrzliwie spoglądał na Witolda. Pod pewnymi względami przypominał Bruce'a Willisa. Tyle że nie był przystojny. Jego twarz nie była podniszczona, tylko oszpecona nijakością, która wysssała z niego całą charyzmę. Ponadtrzydziestoletnia służba w policji zabiła jego urok.

– Tu nie ma co sprawdzać. Czyżbyście w kryminalnym nie mieli innych zajęć? Lepiej poszukajcie psychola, który zabił tę dziewczynę na Próchnika. Nie słyszałem, żebyście kogoś w związku z tą sprawą zatrzymali.

Kaps ze zdenerwowania rozgryzł miętówkę. Po chwili wrzucił do ust następną. Kilukrotnie cmoknął.

– Proszę mi uwierzyć – powiedział uspokajająco Witold – że na niczym nam tak nie zależy jak na schwytaniu tego bydlaka. Mimo to chciałbym panu zadać kilka pytań w związku z zabójstwem Justyny Kepler.

– Niech pan pyta, o co chce. Byle szybko – mruknął inspektor i ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– Jak już wspominałem, podobnie jak pan uważam, że nie ma sensu wracać do tej sprawy. W zasadzie tylko jedna rzecz mnie zastanawia: jak to możliwe, że udało wam się rozwiązać wszystko w tak ekspresowym tempie i zupełnie ukryć to zabójstwo przed mediami?

Kaps uśmiechnął się, ukazując krótkie pożółkłe zęby.

– Naprawdę to pana dziwi? Dogadanie się z dziennikarzami, aby nie robili z tego ogólnokrajowej sensacji, było pierwszą rzeczą, o którą się zatroszczyliśmy. Nawet pan nie wie, ile wyrzeczeń nas to kosztowało. Przez kilka następnych miesięcy pracowaliśmy tak, jakbyśmy byli na usługach cholernych pismaków. O wielu sprawach dowiadawali się szybciej od nas.

Inspektor zapowietrzył się i zamilkł. Witold czekał na dalszą część historii, ale Kaps najwyraźniej nie zamierzał jej przedstawić.

– A jak wam się udało tak szybko zamknąć sprawę? Od zabójstwa Justyny Kepler do wsadzenia Bernarda Lubery do wariatkowa minęło zaledwie kilkadziesiąt dni. Nie znam sądu, który działałby tak szybko.

Inspektor zamyślił się, choć nie wydawał się zaskoczony pytaniem Witolda. Widocznie sam musiał się nad tym kiedyś zastanawiać.

– Na pewno nie jest pan z wewnętrznego? – zapytał, siląc się na uśmiech.

– Sam pan to sprawdził.

Kaps pokiwał głową, pociągnął nosem i sięgnął po kolejną miętówkę. Najwyraźniej chciał pachnieć jak producent gumy Orbit.

– Prawdę mówiąc, trochę mnie to dziwiło. Oczywiście już po tym, jak sprawa została zamknięta. Na początku byłem zbyt rozgorączkowany, żeby o tym myśleć. Tak jak wszyscy chciałem, by Lubera jak najszybciej wylądował w pierdlu albo na oddziale zamkniętym. Dopiero gdy wszystko się skończyło i zrobiło się spokojniej, zdałem sobie sprawę, jak szybko udało im się to zrobić.

– Im?

– Prokuratorowi i jego przydupasom.

– Kogo ma pan na myśli?

– Andrzeja Pszoniaka i dwoje młodych prawników, którzy z nim wtedy byli. Nie pamiętam, jak się nazywali.

Witold nastroszył brwi i wyciągnął z kieszeni notes, w którym przed spotkaniem z Kapssem niechlujnie nabazgrał kilka informacji.

– Nie są wymienieni w aktach sprawy. Kim oni są?

– Nie pamiętam, jak się nazywała ta dziewczyna. Za to pamiętam, że była ładna. Pszoniak pod swoje skrzydła brał tylko ładne. No, wie pan... – Kaps uśmiechnął się porozumiewawczo. – Pewnie była jego studentką albo stażystką, w każdym razie kimś z niewielkim doświadczeniem. Można to było poznać po jej zachowaniu. Była wyjątkowo nieśmiała.

– A ta druga osoba?

Kaps westchnął głęboko i podrapał się po czole.

– Choćby mnie pan torturował, to panu nie powiem. Widziałem go może ze dwa razy, ale słyszałem, że przez cały czas kręcił się przy Pszoniaku. Prawdę mówiąc, nie mam bladego pojęcia, czym dokładnie się zajmował.

– Jak ten człowiek wyglądał?

Kaps wzruszył ramionami.

– Dość przeciętnie. Średniego wzrostu, krótko ostrzyżone włosy, lekka nadwaga. Świńskie ryło. Choć Pszoniak był od niego znacznie starszy, wyglądał przy nim jak top model.

– Domyśla się pan, dlaczego nie ma o asystentach prokuratora wzmianki w aktach sprawy?

Inspektor wygiął kąciki ust do dołu.

– Podejrzewam, że to zwykłe niechlujstwo. A może Pszoniak chciał wszystkie zasługi przypisać sobie. Trudno powiedzieć.

Zamilkli i podążyli wzrokiem za dziewczynami, które przebiegły obok. Solidarnie gapili się na dwa zgrabne, opięte legginsami tyłki, które szybko się od nich oddalały. Wszystko inne na chwilę przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– A dlaczego proces odbył się tak szybko? – zapytał Witold, gdy sylwetki biegaczek zamazały się w oddali.

– Sugeruje pan, że to w wyniku czyichś nacisków?

Witold wzruszył ramionami.

– Zwykle na przyspieszeniu procesu zależy temu, kto ma coś do ukrycia. W tym przypadku trudno kogoś takiego wskazać. Nie wiem, co panu naopowiadał ten człowiek, ale to Lubera zgwałcił i zabił tę dziewczynę. To jedna z nielicznych

rzeczy, których jestem w stu procentach pewien.

Witold rozparł się na ławce i poczuł pod plecami niewygodne deski. Silny podmuch wiatru przemknął przez jego przerzedzone włosy. Przeszył go lodowaty dreszcz.

– Ma pan kontakt do prokuratora Pszoniaka? – Witold wyciągnął z paczki następnego papierosa i podniósł kołnierz kurtki.

– Chce pan jego numer? – zapytał Kaps. – Mogę go panu dać, ale obawiam się, że do niczego się panu nie przyda.

– Dlaczego?

Kaps głośno westchnął. Wpatrywał się w dym, który unosił się z rozżarzonego czubka papierosa.

– Rak trzustki. Dowiedział się niedługo po zakończeniu procesu. Nie dalej jak dwa lata temu byłem na jego pogrzebie.

To, że jest się w Łodzi, można poznać po murach. Przecinają miasto w każdym punkcie, przypominając jego historię oraz to, jak wiele przykrych wspomnień, niewymienionych na nowe, po niej pozostało. Na odpychających prostokątnych klocach wymalowane są lokalne hasła i bon moty: śmierć żydzewskiej kurwie, jebać żydzew, łódzka kurwa sportowa, żydzi z alei chujni i tym podobne. Niemal wszystkie przyozdobione są sześcioramiennymi gwiazdami. Zażydowane. Wyodrębniony przez miejscowych troglodytów i spisany na murach podział jest bardziej zobowiązujący od administracyjnej segmentacji miasta. I praktycznie niezbywalny. Kluby piłkarskie spadły w sportową otchłań, ale zaproponowana przez ich ślepych wyznawców segregacja pozostała.

Alicja Mioduszevska stała pod potężnym herbem Widzewa – ozdobionym kilkoma niewielkimi gwiazdami Dawida – i podziwiała krajobraz Starych Bałut. Urodziła się i wychowała w tej części miasta, ale w żadnym stopniu się z nią nie utożsamiała. Prędzej widziała w niej dowód na degrengoladę Łodzi. Dostrzegała ją w spurpurowiałych twarzach pijaków włóczących się po okolicy i w nastoletnich matkach palących papierosy i wydzierających się na niemowlęta w zdezelowanych wózkach. Słyszała ją w rozmowach warkliwych od rzucanych bez opamiętania

kurew i w szeleście ortalionowych dresów, tak pstrokatych, że powinno się w nie stroić strachy na wróble. Czują ją w smrodzie wydobywającym się z kamienic i od ludzi – tych snujących się po ulicach, stale zachodzących w głowę, jak przetrwać kolejny dzień, i tych sterczących w oknie, drapiących się po twarzach zdeformowanych alkoholowym zespołem płodowym, obserwujących niezmiennie się od dekad otoczenie, uodpornionych na ewolucję.

Z własnej woli Alicja nigdy by się nie wybrała w sentymentalną, budzącą masę negatywnych wspomnień podróż na Stare Bałuty. Tym razem nie miała jednak wyboru. Musiała pojawić się w wyznaczonym miejscu o wyznaczonej porze i mieć nadzieję, że człowiek, który się z nią skontaktował, nie wystawi jej do wiatru.

Po kilkunastu minutach nerwowego przestępowania z nogi na nogę i bezowocnego wyczekiwania na telefon z zastrzeżonego numeru zobaczyła czterech młodych zakapturzonych mężczyzn idących drugą stroną ulicy. Jeden z nich, powiedziawszy coś dwóm pozostałym, oderwał się od grupy i przebiegł na przeciwną stronę jezdni. Zatrzymał się przed Alicją, podniósł głowę i otaksował jej sylwetkę. Był wyraźnie zniesmaczony. Przypominał handlarza niewolników, który właśnie się zorientował, że otrzymał trefny towar. Wpatrywał się w nią gniewnie, jakby zamierzał ją uderzyć, ale nie był pewien, na jaki cios postawić.

Odruchowo zacisnęła dłoń na gazie pieprzowym, który schowała w kieszeni.

– Chodź – powiedział w końcu i ruszył w dół ulicy.

Zaprowadził Alicję na niewielkie kwadratowe podwórko: z piaskownicą, w której kiedyś był piach, spróchniałą ławką stojącą obok i trzepakiem stanowiącym główne centrum rozrywki dla okolicznych dzieciaków. Rozejrzała się na boki. W oknach, z których rozciągał się widok na inne okna, nie dostrzegła nikogo. Niedziwne.

– Siadaj – powiedział dresiarz, wspinając się na oparcie ławki. – Siadaj, kurwa!

Alicja nie była przekonana, czy w swojej spódniczce jest w stanie usiąść tak jak on, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę, ale jakoś jej się to udało. Wtedy mężczyzna rozpiął kurtkę. Sięgnął za gumkę w spodniach i wyciągnął kopertę.

– Obejrzyj to – polecił. – Tylko nie panikuj, nie drzyj ryja, nie rzygaj.

Spojrzała na beznamiętne oblicze młodego mężczyzny, które ten próbował ukryć przed jej wzrokiem, jakby była bazyliiszkiem. Chciała je zapamiętać, żeby później, po powrocie do domu, zwizualizować na worku treningowym.

– Dawaj, kurwa!

Delikatnie otworzyła pulchną kopertę i wydobyła jej zawartość. Zdjęcia. Zaczęła niespiesznie je przeglądać. Dopiero po kilkunastu sekundach jej mózg się zorientował, co właściwie na nich jest, i wysłał sygnał do reszty organizmu. Serce Alicji zaczęło bić szybciej. Uniosła głowę, spojrzała na gniewną twarz dresiarza i zapytała:

– Mogę je zatrzymać?

– Nie. Przeglądaj szybciej, bo nie mam, kurwa, czasu.

Obejrzała wszystkie fotografie. Doszła do wniosku, że jednak nie ma ochoty ich zatrzymywać. Nie nadawały się do pokazania w gazecie. Wystarczyło, że odnotowała w myślach słowa, które najtrafniej je opisują. Włożyła zdjęcia z powrotem do koperty i możliwie szczelnie ją zamknęła. Podała dresiarzowi, który natychmiast wetknął ją w spodnie.

– To mi nie wystarczy – powiedziała.

– Musi – odburknął i zerwał się z ławki.

– Umowa była inna.

– Co ty, kurwa, nie powiesz?

Dresiarz rozejrzał się na boki, aby się upewnić, że nikt ich nie widzi. Wyciągnął z kieszeni kurtki papierosa i przypalił go zapalką. Zaciągnął się kilka razy, po czym podał go Alicji.

– Potrzymaj – powiedział, wstał i postawił nogę na ławce. – Kiedy wy się, kurwa, takie mądre zrobiłyście?

Alicja nie była pewna, czy facet ma na myśli dziennikarki, czy kobiety. I w ogóle jej to nie obchodziło. On tymczasem podwinął nogawkę dresów i wyciągnął ze skarpety złożoną kilkukrotnie kartkę.

– Przeczytaj to. Tylko szybko.

Alicja oddała dresiarzowi papierosa i rozłożyła kartkę. Był to skserowany

fragment policyjnego raportu. Zaczęła czytać.

– Daj to! – Wyrwał jej kartkę i przysunął do twarzy. Alicja była zaskoczona, że w ogóle potrafi czytać. – Tu! – Postukał palcem. – Czytaj.

Alicja przeczytała wskazany kawałek. Odczekała kilka sekund, aby utrwalić go w głowie, i spojrzała na dresiarza.

– Mogę to sfotografować? – zapytała.

– Nie – warknął, po czym wyrwał jej dokument z ręki. Niechlujnie złożył kartkę i wcisnął ją z powrotem do skarpetki.

– Ma to dla mnie wartość tylko wtedy, kiedy wiem, co dokładnie tam się znajduje.

– Trudno. Będziesz musiała odtworzyć to z pamięci. – Odebrał od niej papierosa, zaciągnął się mocno i wydmuchnął jej dym prosto w twarz. – A teraz spierdalaj stąd.

Kiedy gromiła dresiarza wzrokiem, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie powinna użyć gazu pieprzowego, on wyrzucił papierosa do piaskownicy, włożył ręce do kieszeni i ruszył przed siebie. Stawiał długie kroki, dzięki czemu szybko mógł dołączyć do swojego stadka. Kiedy się oddalił, Alicja usiadła na ławce i wyciągnęła z torebki notes.

Był piątek. Koniec paskudnego tygodnia. A kolejny zapowiadał się jeszcze paskudniej.

Zaczęła notować to, co udało jej się zapamiętać.

**S**tukot niskich obcasów Magdy Giętkiej ginął w gwarze przechodniów. Młodzi ludzie, rozemocjonowani weekendem i kilkoma wypitymi w pośpiechu piwami, rozpierzchli się po Piotrkowskiej. Odciskali swoje piętno na mieście. Rozmawiając, krzycząc, śmiejąc się i przeklinając, budowali fałszywy obraz Łodzi. Tuszowali to, że miasto pustoszeje w zastraszającym tempie. Że jest stolicą niedożywających sędziwego wieku starców. Że spośród największych polskich metropolii ma najniższy przyrost naturalny i najmniejszy odsetek dzieci. Że średnia zgonów jest w niej większa niż w Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy we Wrocławiu. Że jeśli będzie wyludniać się w obecnym tempie – pięciu tysięcy mieszkańców rocznie – to za sto czterdzieści lat umrze. Zostanie po niej trzysta kilometrów kwadratowych betonu, gruzu i smutku.

Magda pojawiła się w pubie jako pierwsza. Zamówiła piña coladę i usiadła przy stoliku, na którym umieszczono kartkę z napisem rezerwacja. Długo i dokładnie mieszała koktajl z rumu, śmietanki kokosowej i soku ananasowego, a następnie kilkoma pociągnięciami przez słomkę opróżniła wysoki kieliszek. Była podenerwowana. Co chwila podświetlała ekran telefonu, żeby się przekonać, że nie



otrzymała żadnej nowej wiadomości. Chciała zamówić jeszcze jednego drinka, ale gdy w drodze do baru wyciągnęła portfel, uznała, że zdecyduje się jednak na piwo. Jasne i słabe. Nie chciała się upić. A na pewno nie w samotności, zanim w pubie zjawią się jej koledzy, których dopiero zamierzała poznać. Byłby to niezdrowy przejaw desperacji i paniki. Nie chciała się przed nimi wstydzić. Ani przed samą sobą.

W połowie piwa zaczęli schodzić się ludzie. Niektórych znała jedynie z nazwiska albo z widzenia, z innymi odbyła wcześniej kilka krótkich i niewiele wnoszących rozmów. Z półgodzinnym opóźnieniem dotarł Artur Waliszewski, organizator spotkania. Przywitał się ze wszystkimi i usiadł obok Magdy. Prawdopodobnie dlatego, że tylko tam było wolne miejsce. Zachowywał się tak, jakby między nimi nigdy nie doszło do spięcia. Zamienili kilka zdań o niczym, pośmiali się z jego nieśmiesznych żartów. Pomilczeli, gapiąc się na etykiety swoich butelkowanych piw. Kiedy zapanował naturalny chaos, który rozwiązał początkowe skrępowanie, Artur przesiadł się na drugi koniec stołu. Ciekawszą partnerką do rozmowy wydała mu się starsza aspirantka z Wydziału Prewencji. Chuda i uśmiechnięta. Miseczka D. Cierpiąca na sklerozę. Zapomniała o tym, by zapiąć guziki bluzki.

Witold dotarł do pubu parę minut później. Pozdrowił wszystkich machnięciem ręki i przysiadł się do faceta, którego, sądząc po ich ciepłym powitaniu, dobrze znał, ale dawno nie widział. W ciągu kilkunastu minut siwiejący mężczyzna wielokrotnie mu proponował, żeby napił się ze wszystkimi wódki. Witold jednak za każdym razem odmawiał, wskazując na stojący przed nim nieopróżniony jeszcze kufel, aż w końcu, zniecierpliwiony namolnością kolegi, poszedł do baru i już postanowił tam zostać. Magda, znudzona rozmowami, w których nie uczestniczyła, prowadzonymi przez ludzi, których ledwo znała, na temat pracy, o której nie miała ochoty słuchać, wykorzystała okazję, aby się do niego dosiąść.

- Chcesz piwo? – zapytał, kiedy wgramoliła się na wysoki stołek barowy.
- Chętnie – odparła. – Małe.

Czuła się dobrze, ale wiedziała, że prędzej czy później szybko wypity drink

i dwa piwa dadzą o sobie znać. Wolała nie ryzykować.

– To twój pierwszy raz? – zapytał Witold, znając odpowiedź. – Jak ci się podoba?

– Szczerze? Nie znam tych ludzi. I chyba nie chcę ich poznawać.

Witold uśmiechnął się i wskazał ramieniem grupkę policjantów, którzy z każdą minutą dyskutowali głośniej i przemieszczali się częściej, wyraźnie przyciągając uwagę osób postronnych. Wraz z wesołością i swobodą nabierali bydlęcych cech i coraz trudniej było ich odróżnić od ludzi, na których na co dzień polują.

– Moim zdaniem to świetny pomysł – oznajmił Witold. – Artur nieźle to wykombinował. Ludzie rozmawiają o pracy, jednocześnie o niej zapominając. Jest w tym coś magicznego. A przynajmniej zadziwiającego. – Pociągnął duży łyk piwa i wytarł usta grzbietem dłoni. – Wpadałbym na te spotkania częściej, gdyby nie to, że odbywają się w sobotnie wieczory.

Uniósł dłoń, pokazując Magdzie obrączkę.

– Dlaczego dzisiaj przyszedłeś?

– Czasem nieobecność w domu jest jedynym sposobem na uniknięcie awantury – odparł i sposepniał. – A ty?

– W zasadzie mogłabym odpowiedzieć tak samo. Właśnie rozstaję się z chłopakiem. Chyba. – Czekala, aby powiedzieć Witoldowi, że nie ma jej czego współczuć, ale ten tylko ze zrozumieniem pokiwał głową. – Jak często Artur organizuje takie wyjścia?

– Co kilka tygodni. Wysyła wiadomości do wszystkich dziewczyn z firmy oraz kilku chłopaków, których lubi. Tak zbiera się kilkunastoosobowa grupa ludzi zmarnowanych po tygodniu harówki, na gwałt poszukujących chwili wytchnienia. Artur robi to oczywiście po to, by którąś z tych dziewczyn zaciągnąć do łóżka. Czasem mu się to udaje.

– Kawęckiego nie zaprosił?

Witold wyciągnął paczkę papierosów i wskazał Magdzie drzwi. Włożyli kurtki, zgarnęli z lady swoje piwa i wyszli na zewnątrz. Momentalnie uderzył w nich chłód, silnie kontrastujący z ciepłem lokalu rozgrzanego nieustanną krzątaniną

i alkoholowymi wydechami. Witold zapalił papierosa i oparł się o parapet.

– Nie sądzę, żeby Artur był wielkim fanem Tomka. A nawet jeśli nic do niego nie ma, to zapewne bał się, że mógłby popsuć imprezę albo – co gorsza – odstraszyć dziewczyny. W zasadzie jednak nie ma znaczenia, czyby go zaprosił, czy nie. Kawęcki i tak by nie przyszedł.

Nie było to dla Magdy zaskoczeniem.

Przez kolejne kilkadziesiąt sekund milczeli. Kiedy Witold skończył palić, wrócili do pubu. Miejsca przy barze, które zajmowali wcześniej, nadal były wolne. Powiesili kurtki i usiedli na stołkach.

– Dlaczego Kawęcki nienawidzi kobiet? – zapytała nieoczekiwanie Magda i pochyliła się w stronę Witolda. Wiedziała, że go zaskoczy tym pytaniem. I dlatego miała nadzieję usłyszeć odpowiedź.

– A tak jest? – Wyszczrzył żółte zęby. – Nie mam pojęcia. Jego powinnaś spytać.

– Pytałam. Zaraz po tym, jak zaczął się do mnie zwracać jak do służącej.

– I co ci powiedział?

– Kazał mi spierdalać. Nie dosłownie, ale z pewnością to miał na myśli.

Witold odwrócił się w stronę baru, nieco zwiększając dystans dzielący go od Magdy, i potężnym haustem opróżnił kufel. Zamówił kolejne piwo. Ciemne i mocne. Przez dłuższą chwilę milczał, wpatrując się w czarny płyn cyrkulujący w oszronionym kuflu. W ten nieco specyficzny, ale w gruncie rzeczy uprzejmy sposób dał Magdzie do zrozumienia, że wolałby zmienić temat.

– A o co chodzi ze Szczebiotem? Jego również nienawidzi.

– Nie dajesz za wygraną.

– To przez pracę. Nauczyłam się wiercić ludziom dziurę w brzuchu.

Witold zaśmiał się krótko. Zaczął obracać kufel w dłoniach. Przypominał wielkie autystyczne dziecko zafiksowane na bezsensownej czynności.

– Nie sądzę, żeby ich nienawidził. Mam na myśli kobiety i Szczebiota. I ciebie. A na pewno nie nienawidzi was bardziej niż samego siebie.

– Ale dlaczego?

Odwrócił się w stronę Magdy i spojrzał w jej zaciekawione, szklące się od alkoholu oczy. Chciwie wypatrywały odpowiedzi, gapiąc się na jego zaciśnięte usta.

– Wiesz, czym kończy się związek zdrowej kobiety z pracoholikiem?

Pokiwała głową. Zbyt energicznie jak na osobę, która nie zamierzała skończyć tego dnia nad muszlą.

– Katastrofą – odpowiedział Witold. – A wiesz, czym kończy się związek zdrowej kobiety z pracoholikiem, który w dodatku ma problem z alkoholem?

– Podwójną katastrofą?

– Tragedią. I mnóstwem smrodu. Ale to i tak nie jest najgorsze. Najgorzej kończy się związek zdrowej kobiety z pracoholikiem i pijakiem, który nie jest w stanie jej zaspokoić. Ani emocjonalnie, ani fizycznie.

– Czym kończy się taki związek?

Witold się zawahał. Uśmiechnął się nerwowo, a następnie spojrzał Magdzie głęboko w oczy.

– Ano tym, że żona przychodzi na komendę, żeby zerznąć kolegę męża. – Opróżnił piwo i odstawił pusty kufel, omal nie rozbijając go o ladę. – Na szczęście jej się to nie udało. Kolega nie był zainteresowany. Albo wiedział, czym mogłoby się to dla niego skończyć.

Skinął barmanowi i wskazał opróżniony kufel. Kilka sekund później wylądował przed nim kolejny. Z taką samą intensywnie czarną zawartością.

– Co się stało potem?

Witold przysunął kufel na skraj lady. Objął go obiema dłońmi, jakby chciał je na nim ogrzać. Czarny płyn niemal całkowicie schował się pod jego palcami.

– Potem cieszyłem się, że to nie mnie wybrała. Prawdopodobnie tak samo jak tamten śledczy nie byłbym w stanie trzymać gęby na kłódkę. I dziś to ja kojarzylibym się Kawęckiemu z rozbitym małżeństwem i ze zdradą.

– Tamten śledczy to Szczebiot? – spytała Magda. – Dlatego Kawęcki go nienawidzi?

Witold wolno pokręcił głową.

Nie była pewna, czy to oznaczało „nie”.

– Napijmy się – powiedział.

Czarna ciecz wypełniła jego gardło.

– *What do you mean I'm funny?* – zapytał Rafał, błyskawicznie opanowując śmiech i ścierając z twarzy wyraz rozbawienia. – *What do you mean, you mean the way I talk? What?*

Głos Rafała zrobił się odrobinę wyższy, skrzypiący, jakby od nadmiaru wypalonych papierosów, i nieco postarzały. Radość, którą wcześniej ostentacyjnie okazywał, przeobraziła się w podlaną irytacją powagę.

– *Funny how? What's funny about it? Oh, oh, Anthony.* – Zamilkł, wskazując palcem wyimaginowaną postać siedzącą po drugiej stronie stołu. – *He's a big boy, he knows what he said. What did ya say? Funny how? What?* – Rozłożył dłonie w domagającym się wyjaśnień geście. Potem ponownie skupił wzrok na Andrzeju. – *You mean, let me understand this cause, ya know, maybe it's me, I'm a little fucked up maybe, but I'm funny how, I mean funny like I'm a clown? I amuse you? I make you laugh? I'm here to fuckin' amuse you? What do you mean funny, funny how? How am I funny?* – Irytacja w głosie Rafała urosła do rozmiarów tira, twarz nasiąkła rozjuszeniem, a gestykulacja zgęstniała niczym wymiana ciosów między bokserami. – *No, no, I don't know, you said it. How do I know? You said I'm funny. How the fuck am I funny, what the fuck is so funny about me? Tell me, tell me what's funny!*

Wydając szorstkie, stłumione okrzyki, Rafał wbijał w Andrzeja rozszerzone spojrzenie. Pozostali zanosili się śmiechem, z rozdziawionymi ustami obserwując odgrywaną przez niego scenę. Byli zachwyceni.

– *Ya motherfucker! I almost had him, I almost had him!* – Rafał krzyczał, a jego twarz przybierała coraz weselszy wyraz. – *Ya stuttering prick ya. Frankie, was he shaking? I wonder about you sometimes, Henry. You may fold under questioning* – zakończył i eksplodował spazmatycznym śmiechem.

– Mistrzostwo świata – ocenił Andrzej, przytakując z uznaniem. Wstał i zaczął klaskać, a wkrótce potem dołączyli do niego pozostali.

Pomieszczenie wypełnił dźwięk uderzających o siebie dłoni. Klaskały wszystkie pary rąk. Z wyjątkiem jednej. Alicja Mioduszevska siedziała na parapecie i czując na grzbiecie chłód, który wpełzał przez nieszczelne okna, obiema dłońmi ścisnęła kieliszek wina. Z zamkniętymi oczami czekała, aż wściekły rwetes umilknie.

– Kiedyś pamiętałem całą scenę. Teraz potrafię ją odtworzyć tylko do tego momentu.

– Z jakiego to filmu? – zapytała któraś z dziewczyn.

– Z *Chłopców z ferajny*. Joe Pesci dostał za to Oscara.

Alicja otworzyła oczy i zerknęła na zegarek, który luźno oplatał jej nadgarstek. Dwudziesta trzecia. Potem zajrzała do kieliszka, wpatrując się w jego zaczerwienione dno. Skończyło jej się wino. Mogła zamówić taksówkę i pojechać do domu. Zostawić świat ludzi odreagowujących trudny pracę w korporacji albo bezowocnego poszukiwania pracy i zaszyć się w swoim własnym. Posępnym. Samotnym. Przytłoczonym ciężarem dokumentu, który ujrzała dzień wcześniej.

– Znasz coś jeszcze? – zapytał Andrzej.

– *Ojca chrzestnego*, tyle że po polsku – odparł Rafał. – Chcecie?

Przy ogłuszającym ryku entuzjazmu Alicja ponownie zamknęła oczy. Wiedziała, że będzie mieć kaca. Czowała to w skroniach, które zdawały się wgniatać w czaszkę, i w permanentnie napiętych mięśniach twarzy. Nie miało już żadnego znaczenia, czy uda się do kuchni po drugą butelkę wina, czy zostawi to wesołe towarzystwo i wyjdzie po angielsku, nikogo o tym nie informując. Mogła wrócić do domu, wziąć szybki prysznic, wypić mocną parzoną kawę, włożyć świeżą piżamę, siąść przy oświetlonym lampą kreślarską biurku i zacząć układać pierwsze zdania artykułu, wymyślać do niego tytuł i lead, zastanawiać się nad zakończeniem. Ale mogła też robić to tutaj, siedząc na parapecie, gapiąc się na roześmianą grupę znajomych i żonglując przeplatającymi się w głowie pomysłami.

Ponownie zerknęła do kieliszka. Nadal był pusty. Nadal czerwony.

– Co ja takiego zrobiłem, że mnie tak nie szanujesz? – zapytał Rafał, rozkładając ręce w geście zdziwienia i potrząsając dłońmi. Chwilę wcześniej wypchał sobie policzki chipsami. Przypominał raczej chomika niż Vita Corleone. – Gdybyś

przyszedł do mnie w przyjaźni, ci śmiecie, którzy skrzywdzili twoją córkę, cierpieliby już dzisiaj. I gdyby ktoś tak uczciwy jak ty miał wrogów, twoi wrogowie byłiby moimi wrogami. – Poruszając ręką w pionie, wskazał Andrzeja palcem. – I wtedy baliby się ciebie.

Oczy Alicji wbijały się w czerwone dno kieliszka. Zastanawiała się, czy byłaby w stanie odróżnić wino od krwi. Albo krew prawdziwą od krwi filmowej. Ludzką od zwierzęcej. Tę z palca od tej z tętnicy. Myślała o jej smaku. O metalicznym posmaku płynu, który transportuje życie. Albo śmierć, jeżeli wycieka z kobiety. Lub tego, co z niej zostało.

Jakub Możejko długo wpatrywał się w szklany stół i stojące pod nim czerwone szpilki. Liczył. Miały dwanaście lub czternaście centymetrów. Może piętnaście. Nie był pewien. Kobieta, która je zdjęła, siedziała obok niego i ukrytą w rajstopach stopą wodziła po jego łydce. Robiła to, ponieważ jej zapłacił. W walucie, której najbardziej pragnęła.

– Chcesz jeszcze? – zapytał.

Pokiwała głową. To pytanie było niepotrzebne. Farbowana blondynka z falującymi włosami nie potrafiła ukryć, że interesuje ją wyłącznie to, co znajduje się w jego spodniach.

Możejko wyciągnął z tylnej kieszeni tytkę i wysypał jej zawartość na stół. Za pomocą karty kredytowej zamienił białą górę w cztery równe kreski. Zrobił to szybko i sprawnie. Zwinął stuzłotowy banknot i podał go blondynce.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– Bo lubię – powiedziała, pochylając się nad stołem.

– Nie to mam na myśli.

Blondynka wciągnęła dwie kreski i odchyliła do tyłu głowę.

– Ja też nie.

Przez kilka sekund była zamroczona. Możejko uważnie przyjrzał się skąpej czerwonej bluzce, niemal wcale niezakrywającej piersi, i krótkiej czarnej spódnicy, spod której wyłoniłyby się majtki, gdyby je miała. Tak wyobrażał sobie podstarzałą Lolitę Nabokova, która zbyt mało czasu spędzała w bibliotece, a zbyt dużo

w męskiej toalecie. Wyciągnął banknot z jej dłoni, zakończonej długimi tipsami przypiętymi do paznokci, i pochylił się nad stołem. Z sąsiedniego pokoju dobiegały rozprasające odgłosy ruchania. Poczekał, aż na chwilę ustana, i wciągnął kreskę. Potem następną.

– Co w tym fajnego?

Rozparł się na kanapie i dotknął nosa. Bolał go. Pulsował. Spodziewał się, że wkrótce zacznie krwawić.

– Adrenalina. Przyjemność. Pieniądze. – Blondynka przyjrzała się dziurkom w swoim nieco zbyt długim i lekko zadartym nosie, po czym schowała małe lusterko do czarnej kopertówki, w której nosiła dowód osobisty, kilkaset złotych, kilka prezerwatyw i żel nawilżający. Wszystko, co było jej potrzebne. – Poza tym lubię fiuty. Tłuste. I duże.

Pochyliła się nad Możejka, jakby chciała mu coś szepnąć do ucha. Zamiast tego ugryzła go. Delikatnie, chwytając zębami niewielki fragment mażowiny. Jej prawa ręka powędrowała na jego klatkę piersiową. Potem zaczęła się zsuwać.

– Lubisz fiuty, o których nic nie wiesz?

Dłoń spoczęła na jego kroczu. Zaczęła je masować. Chwilę później majstrowała już przy sprzączce od paska.

– Lubię fiuty, które należą do facetów z hajssem.

– Skąd wiesz, że mam hajs? – Możejko czuł, jak narkotyk spływa mu do przelyku. Chciał pozbyć się smaku goryczy i przez moment się zastanawiał, czy byłoby wielkim nietaktem, gdyby teraz splunął na podłogę. – Skąd wiesz, że ci za to zapłacę? Albo że cię nie zgwałcę?

– Bo znam się na ludziach. Tych, których stać na koks, stać też na dziwkę. I na to, żeby ją zerznąć, a nie zgwałcić.

Możejko pociągnął mocno nosem. Pomyślał, że zaczyna krwawić.

– Włóż szpilki – oznajmił, kiedy dziewczyna uporała się ze sprzączką i zsunęła mu spodnie.

Uśmiechnęła się, pokazując rząd wybielonych zębów. Otworzyła usta i przejechała po języku palcem wskazującym. Potem chwyciła go wargami



i oblizwała. Wsunęła dłoń w majtki Możejki. Pochyliła się nad nim.

– Powiedziałem, żebyś włożyła szpilki – stwierdził stanowczo. Kiedy nie posłuchała, chwycił ją za włosy. – Włóż szpilki – powtórzył.

Na chwilę się zawahała, jakby instynkt nie dał jej żadnej wskazówki, jak w takiej sytuacji powinna się zachować. W końcu odsunęła się od Możejki i spełniła jego życzenie.

Piętnaście centymetrów, pomyślał. Zdecydowanie piętnaście.

– A teraz odwróć się i pochyl. Stań tyłem do mnie.

Blondynka spojrzała ponownie na Możejkę, uraczyła go uwodzicielskim, jej zdaniem, uśmiechem, i zrobiła to, co kazał. Pochyliła się. Spódniczka podciągnęła się ponad wysokość jej pośladków.

– Teraz włóż to sobie.

Wskazał przedmiot leżący na stole. Obok karty kredytowej, zrulowanego banknotu i tysięcy cząstek białego proszku, które zdobiły szklany blat. Blondynka spojrzała na Możejkę zdziwiona. Ale gdy zobaczyła, że ten nie żartuje, postanowiła być posłuszna.

– Dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze.

Najpierw wypiłby piwo. Jasne, najwyżej pięcioprocentowe. Potem drugie, również jasne, ale mocniejsze. Nie był w stanie wskazać swojej ulubionej marki. Odróżniał tylko jasne piwo od ciemnego. I to głównie na początku picia. Przede wszystkim po kolorze. Dlatego trzecie piwo mogłoby już być obojętnie jakie. Byleby nie było za słabe. Nie chciał nasycić się piwem na marne.

Przypomniawszy sobie, jak kilka lat temu obserwował kamienie toczące się po pienińskim zboczu. Nabierały rozpędu, zderzały się ze sobą i koziołkowały, a następnie swobodnie szybowały w przepaść. Pochylił się, żeby prześledzić ich spadek. Gdy wystawił głowę nad urwisko, położyła mu dłoń na piersi i coś powiedziała. Cofnął się bezwiednie i wyciągnął paczkę papierosów. Poczęstował ją, ale nie miała ochoty. Odwróciła się do niego bokiem, a potem niepostrzeżenie skręciła ciało o kolejne dziewięćdziesiąt stopni, przez co widział jedynie jej plecy. Milczała. Wierzył, że idzie mu w ten sposób na rękę. Nie zmuszała go, by udawał,

że jej słucha i że interesuje go, co ma mu do powiedzenia. Mógł skupić się na własnych myślach: na poplątanych skojarzeniach, niedających się powiązać faktach, dziwnych przypuszczeniach zapychających jego głowę. Na zmartwieniach, które go przytłaczały, zżerały od środka. Zaczął poruszać stopą, ugniatając żwir pod ciężkim górskim butem. Ponownie się wychylił. Kamieni już nie widział. Została tylko kilkusetmetrowa przepaść.

Pierwszy kieliszek popiłby kilkoma łykami soku porzeczkowego. Po nim zapaliłby papierosa. Zanim wypiłby kolejny, rozejrzałby się po sypialni. Jej sypialni, a kiedyś ich wspólnej. Przyjrzałby się tandetnemu rustykalnemu obrazowi zawieszonemu nad łóżkiem i funkcjonalnym meblom z Ikei. Uśmiechnąłby się na znajomy widok mieszanki archaicznego gustu i standardu klasy średniej. Wypiłby drugi kieliszek. Pociągnął łyk soku. Zapalił. Przed następną kolejką już by wiedział, że jest dobrze. Że skończy ten wieczór tak, jak go sobie w najdrobniejszych szczegółach zaplanował.

Ich wyjazd w góry trwał pięć dni. Na więcej nie pozwoliła jego praca. Zresztą na dłuższy pobyt nie miał najmniejszej ochoty. Szybko nudziły go rozciągające się z gór widoki na porośnięte drzewami zbocza i strumienie wijące się w dolinach, miał dość wypijanych w góralskich chatach sikaczy i bezgwiezdного nieba. Wiedział, że ją też to męczy. Słyszał to w jej głosie. Ilekroć się do niego odzywała, wyczuwał w nim narastającą irytację. Nie powiedziała wprost, że jest na niego zła. Ani wtedy, ani kiedykolwiek wcześniej. Dawała temu wyraz subtelniej, okazując swoje niezadowolenie drobnymi gestami, doborem słów i dyskretnymi spojrzeniami. Czasami go to denerwowało. Ale zdecydowanie częściej było mu obojętne. Idąc obok niej, czuł, że pomiędzy nimi kroczy ktoś obcy, ktoś, kto nie pozwala im się zbliżyć. Jej albo jego nieme lustrzane odbicie, zajmujące miejsce, w którym powinny splatać się ich dłonie. Drwiące z nich obojga. Pewne nadciągającej katastrofy.

Najpierw skończyłaby się wódka, potem pierwsza z dwóch paczek papierosów. Zdzierając folię z następnej, poczułby, że zaczynają mu się trząść ręce. To byłby znak, że musi się pospieszyć. Że alkohol lada moment zacznie go obezwładniać.

Podniósłby się z podłogi, zostawiając na niej odcisk swojej spoconej dupy. Byłby nagi, rozgrzany ciepłem letniej nocy i adrenaliną pulsującą w żyłach. Zostawiając na brązowych deskach czarne ślady stóp, wyznaczyłby trasę dla kogoś, kto z jakiegoś powodu chciałby nią podążyć. Po opuszczeniu sypialni, przemierzeniu krótkiego zimnego korytarza, który kojarzył mu się jedynie z wchodzeniem do mieszkania i wychodzeniem, znalazłby się w kuchni. To nie było jego ulubione pomieszczenie, ale tam miałby najlepszy widok z okna. I najszerszy parapet.

Kiedy byli w górach, tylko raz uprawiali seks. Głównie dla zaspokojenia chuci. Nie myśleli o sobie nawzajem. On miał przed oczami cycatą kelnerkę, która obsługiwała ich w jednej z górskich knajp. Ona – uprzejmego wysokiego studenta, który pomógł jej wspiąć się na śliską skałę pod jednym ze szczytów. Byli wstawieni, wypili wcześniej kilka piw. Przez to ich zbliżenie trwało dłużej niż zazwyczaj. Ale niewiele dłużej. I dało obojgu niewiele przyjemności. On satysfakcję czuł jedynie na kilka sekund przed wytryskiem. Ona – kiedy skończył i z niej zlął.

Płytki w kuchni byłyby wyslizgane. W ciągu dnia, przy dobrym świetle, mógłby zobaczyć na nich plamy oleju. Teraz widziałby jedynie dwukolorowe romby, które prowadzą prosto do okna. Przeczłapałby kilka kroków i oparł się o parapet. Otworzyłby okno. Następnie zepchnąłby stojącą na parapecie popielniczkę, rozrzucając pety i popiół. Delikatny wiatr rozniósłby je w powietrzu jak konfetti.

Zanim zaczęli się pakować, stanęła przed drzwiami, z rękoma splecionymi na klatce piersiowej. Pamiętał, że próbowała oprzeć się o futrynę, ale omal nie straciła równowagi. Zaciskała mięśnie twarzy, starając się powstrzymać ich nerwowe drżenie i pod żadnym pozorem się nie rozpłakać. Bała się, że okazując słabość, zniechęci go. Sprawdzi, że nie odpowie jej szczerze. Wywinie się kłamstwem, które ona zaakceptuje. Nawet jeśli w głębi serca wiedziała, że się nie zgodzi, musiała zadać to pytanie. Żeby po latach móc spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: próbowałam. Wydusiła z siebie kilka słów, nie będąc do końca przekonana, czy na pewno zapytała o to, o co zamierzała. On, niewzruszony i nie za bardzo zainteresowany tym, że się odezwała, nie przerwał pakowania plecaka. Kiedy na

chwile się odwrócił, myślała, że jej odpowie. Tak lub nie. Ale zamiast tego wycisnął z twarzy coś, czego nie rozumiała, co mimo kilkunastu lat wspólnego życia pozostawało dla niej zagadką. Na pewno nie było to „tak”. Raczej „nie” lub „nie wiem”. Tylko kto w wieku niemal czterdziestu lat nie wie, czy chce mieć dziecko?

Byłoby zimno. Zimniej niż w najzimniejsze zimowe dni. Czułby przenikliwy chłód wstrząsający jego ciałem. Stałby na parapecie. Spojrzyłby w dół, na ledwo widoczny z dziewiątego piętra chodnik. Potem w górę, na chmury przeciskające się przez nieprzejednaną ciemność nocy. Zamknąłby oczy. Wyobraziłby sobie coś wesołego. Dowcip. Anegdotę. Absurdalną scenkę. Przynajmniej coś, co nie byłoby jednoznacznie smutne. Zmusiłby się do uśmiechu, żeby na sam koniec wszystkich oszukać. Rozłożyłby ręce na szerokość okna. Jak ptak nietot. Potem pozwoliłby się zepchnąć resztkom woli.

Tomek Kawęcki otworzył oczy. Rozejrzał się po pokoju, którego w pierwszym momencie nie rozpoznał. Wnętrze pustego pomieszczenia wypełniała muzyka Johna Coltrane'a, niczym nadpobudliwy kot biegający od jednej ściany do drugiej. Spojrzał na zegarek. Za kwadrans północ. Wstał z krzesła, z trudem unosząc zeszywniałe ciało. Dłonią wytarł mokrą od potu twarz i wyjrzał przez okno. Na betonowym parkingu migotały światła sobotniej nocy. Rozrzucone wzdłuż latarni cienie falowały niczym rozdygotane ludzkie przeszkody. Gdzieś wybuchły zaszyfrowane okrzyki, które rozkodować mogli jedynie ich nadawcy. Zamknął okno, ocucony zimnym powietrzem, i wrócił na krzesło, na którym ledwo posadził swoje sfatygowane ciało. Napił się wody i poczuł skręt żołądka. Kiedy fala bólu minęła, zapalił papierosa. Poruszył pokrętłem głośnika. Coltrane dmuchnął w saksofon z podwójną mocą. Wściekle. I dobrze, pomyślał Kawęcki. Chciał zagłuszyć swoje myśli. Położył więc zeszywniały kark na oparciu krzesła, zaciągnął się papierosem i ponownie spróbował odpłynąć.

Uważał, że w życiu najważniejsze jest akumulowanie wspomnień. Bo to one, a nie charakter, decydują o tym, jakimi ludźmi jesteśmy. Określają nas i formują.

Zwykle w bezkształtny zlepek pozornie niepasujących do siebie elementów, breję złożoną z setek tysięcy drobnych gestów, drgnień i odruchów. Ale czasem jesteśmy idealnie określani. Spójni. W pełni świadomi tego, w co ewoluowaliśmy.

On wiedział doskonale, czym się stanie, na długo przedtem, zanim wszystko się zaczęło. Wszczepione pod skórę receptory przyswajały jego doświadczenia i interpretowały emocje, jakie mu przy nich towarzyszyły. Z tysięcy wychwyconych impresji tworzyły coś na kształt kuli śnieżnej, która z każdym wspomnieniem rosła i nabierała rozpędu. Nie było jasne, jaki osiągnie rozmiar ani prędkość. Pewne było tylko to, że nie da się jej zatrzymać. Że prędzej czy później uderzy w obiekt, który wyrośnie jej na drodze.

Sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Wsłuchany w dźwięki muzyki przebijające się przez ścianę, odchylił się na fotelu. Napił się wina. Miało cierpki smak, taki, który na długo pozostaje w ustach. Ale kiedy odstawił kieliszek na komodę, czuł wyłącznie gorycz. Płynęła prosto z jego trzewi. Wraz ze wspomnieniami, które magazynował. Tymi, które go zbudowały. To one sprawiły, że zrozumiał, czym jest. I jaki jest jego cel.

Przypomniał sobie dzień, w którym odwiedził pewnego starca. Porywczego, nadużywającego alkoholu, z piętnem samotności odcisniętym na ciele i umyśle. Człowieka, który przez całe życie kazał mu nazywać się ojcem, mimo że nie zrobił nic, aby go stworzyć. Za to całkiem sporo, żeby go zniszczyć.

– W końcu – usłyszał warknięcie starca, kiedy tylko wszedł do jego mieszkania obitego boazerią, w którą wsiąkł smród moczu, potu i strawionego alkoholu.

Żeby dotrzeć do pokoju, musiał precyzyjnie się pomieścić między zatęchłymi skrzyniami pełnymi pustych słoików i butelek, znoszonymi kurtkami zwisającymi z powbijanych w ściany kołków i drewnianymi szafkami uginającymi się pod ciężarem rzuconych byle jak narzędzi. Każdym swoim ruchem wzniewał tumany kurzu. Stał w progu pokoju i spojrzał na przyklejonego do wózka człowieka, który wpatrywał się w niego jednym okiem. Drugie przysłaniała bezwładna powieka.

– Co tak długo? – zapytał starzec i sięgnął po paczkę papierosów, która leżała na

lepkim stole.

– Byłem w pracy.

Starzec przyglądał mu się uważnie. Wetknął papierosa do ust i przypalił go zapalniczką. Jego ręka, jedyna, którą mógł sprawnie poruszać, trzęsła się jak osika.

– W pracy – powtórzył. – Nigdy nie sądziłem, że będziesz pracować. W zasadzie nie sądziłem, że dożyjesz dorosłości. – Wykrzywił usta, prawdopodobnie próbując się uśmiechnąć. – Mówiłem ci, że powinienem był cię zabić?

Owszem. Doskonale pamiętał, jak któregoś dnia ten człowiek wszedł do jego pokoju, trzymając w ręce nóż kuchenny. Wymachiwał nim nieudolnie, grożąc, że zabije. A właściwie nie grożąc. Mówiąc, co zamierza zrobić. I dlaczego. Twierdził, że to najlepsza rzecz, jaką może dla niego uczynić. Oraz dla wszystkich ludzi, z którymi on kiedykolwiek mógłby się spotkać. Gdy to mówił, ledwo stał na nogach. Był otumaniony denaturatem. Stać go było jedynie na to, by ze złością cisnąć nożem o podłogę, odwrócić się na pięcie i wyjść, a potem zalec na połamanej pryczy i tam w nieświadomości dożyć kolejnego dnia.

Zanim wyprowadził się z mieszkania, które dzielił z przybrany ojcem, podobną scenkę obejrzał jeszcze kilkukrotnie. Za każdym razem mężczyźni nie starczało odwagi, żeby go zabić. Za każdym też razem nie pozwalało mu na to alkoholowe upojenie. Ale kiedy kilka lat później pojawił się w jego mieszkaniu, zastał go zupełnie trzeźwym. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni go takim widział.

– Mówiłeś – odparł. – Dość często.

Starzec zaciągnął się papierosem. Słabo, jak gdyby dym nie mógł się przedostać do jego zdewastowanych płuc.

– Za dużo w życiu mówiłem, za mało robiłem. Bardzo tego żałuję. – Upuścił papierosa na spodnie. Schyliwszy się, zdołał go jakoś uchwycić palcami i wetknąć między zęby. – Ale najbardziej żałuję tego, że cię nie zabiłem.

Uniósł głowę. Ze zdeformowanej przez nałóg twarzy nie dało się odczytać, o czym myśli.

– Teraz jest już za późno. – Spojrzał na swoje nogi. – Za późno.

Przez wiele lat alkohol niczym sprawny chirurg wycinał z niego kolejne części człowieczeństwa. Najpierw zabrał mu pracę, środki do życia, ambicję, marzenia i godność. Następnie żonę, której żołądek nie wytrzymał eksperymentów z preparatami chemicznymi popijanymi z plastikowych butelek. Potem pozbawił go sprawności ruchowej, odejmując mu kolejno śledzionę, kawałek wątroby, a wreszcie władzę w nogach i prawej ręce. Na koniec zostawił sobie serce. Rzucił się na nie gwałtownie, odbierając starcowi dech i odcinając go od szans na samodzielny ratunek.

On większość etapów upadku śledził jako niemy świadek. Przyglądał się im z niemałą, niemal fizycznie odczuwaną satysfakcją. Kiedy uciekał z domu, nie sądził, że przyjdzie mu również obejrzeć ostatni etap. Ani że sprawi mu to aż taką przyjemność.

Starzec spojrział na niego i od razu wiedział, że nie doczeka się pomocy. Zdołał jedyną sprawną ręką sięgnąć po telefon. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer pogotowia. Chwilę później jego ciało wypadło z wózka i legło na podłodze. Słuchawka telefonu zawisała kilkanaście centymetrów nad dywanem. Poza jego zasięgiem.

Przyglądał się upadkowi starca, stojąc w rogu pokoju. Zareagował dopiero po kilku sekundach. Ominął go, robiąc duży krok nad jego głową, po czym podniósł zwisającą ze stołu słuchawkę, w której było już słychać głos dyspozytora, i włożył ją w wyciągniętą dłoń. W tym momencie starzec uśmiechnął się do niego. Pierwszy raz od bardzo dawna. Być może pierwszy raz w życiu. Przyłożył słuchawkę do ucha.

Wpatrując się w wysuszone usta starca, bezskutecznie próbujące sklecić słowa, wyłączył telefon z kontaktu.

Pamiętał, że zdumiało go, co w tamtym momencie uczynił jego umysł. To, że strumień wyobraźni przeniósł go kilkanaście minut w przód, do momentu, gdy sięga po telefon i wzywa pogotowie. Do chwili, w której do pokoju wbiegają ratownicy, a on, zatroskany, na granicy rozpacz, mówi im, że jego ojciec nie oddycha, że próbował go resuscytować, ale nic to nie dało, opowiada zupełnie

obojętnym mu ludziom o swojej desperackiej krzątaninie w mieszkaniu ojca, o próbach cucenia, o telefonie, który musiał podłączyć do prądu, aby zadzwonić na pogotowie, o przecuciu towarzyszącym mu przez całą jazdę i podczas parkowania w niedozwolonym miejscu. Myślał o rysach, które wryje kluczem wokół zamka, w zdenerwowaniu nie mogąc do niego trafić, o odciskach palców pozostawionych na brudnych meblach. O czasie, jaki mu zajęło pokonanie odległości do domu starca – wystarczającym, żeby człowiek, który doznał zawału, zmarł.

Wtedy pojął, dlaczego Bóg obdarzył go właśnie takim doświadczeniem. Jaką przewidział dla niego rolę. Ukląkł przed starcem i zrobił w powietrzu znak krzyża. Modląc się, czuł, że łzy cisną mu się do oczu. Łzy niewyobrażalnego szczęścia.

Pociągnął łyk wina, znacznie większy, niż nakazywała etykieta. Odzyskało swój cierpki smak. Wierzchem dłoni otarł mokre wargi. Odstawił kieliszek na komodę, z której spoglądał na niego uśmiechnięty mężczyzna z czarno-białej fotografii, odziany w postrzępioną koszulkę w paski. Człowiek, który niegdyś kazał mu nazywać się ojcem.

Spojrzał na zegarek. Kilka minut po północy.

Nastał Dzień Pański.



**M**agda Giętka wysiadła z samochodu i przebiegła na drugą stronę ulicy. Odstające od budynków balkony tylko częściowo chroniły jej głowę przed ulewą, kiedy przemykała wzdłuż śródmiejskich kamienic, szukając właściwego adresu. Żałowała, że nie wzięła ze sobą parasolki. Ale jeszcze bardziej żałowała, że w ogóle wyszła z domu. Kac rozsadzał jej głowę, kwaśny posmak w ustach przypominał o porannym rzyganiu, a myśli zaprzętała skomplikowana rekonstrukcja poprzedniego wieczoru, z którego zapamiętała jedynie kilka pierwszych godzin.

Wymarzony niedzielny poranek.

W końcu znalazła właściwą bramę. Już gdy przechodziła przez próg, uderzył ją smród moczu i papierosowego dymu. Tomek Kawęcki stał oparty o pomazaną sprejem ścianę pod łukowatym kamiennym dachem, z którego spływały strumienie wody. Wypuszczał gęste kłęby dymu i bacznie obserwował klatkę schodową najbliżej wejścia na kwadratowe podwórko.

– Co tu robimy? – spytała.

– Czekamy.

– Na co?

– Na kogo – poprawił ją Kawęcki. – Na faceta, któremu w jednym z tych mieszkań dogadza prostytutka. Dobrze się czujesz? – Zlustrował ją od stóp do głów.

– Świetnie – odburknęła i rzuciła ukradkowe spojrzenie na swoje buty, upewniając się, czy przypadkiem ich nie obrzygała. – Kim jest ten człowiek?

– Kiedyś był weterynarzem.

– Dlaczego już nim nie jest?

– Stracił uprawnienia do wykonywania zawodu. Przez chciwość i żądzę. – Kawęcki wrzucił niedopałek do kałuży, która powstała w zagłębieniu między popękkanymi płytami chodnikowymi. – Jako weterynarz nie zarabiał źle, ale i tak za mało, żeby w pełni korzystać z życia. A zwłaszcza z tego typu uciech. W burdelu poznał ludzi, którzy organizowali walki psów. Popełnił błąd, przyznając się, że jest weterynarzem, ponieważ akurat potrzebowali jednego. Zaproponowali mu, żeby doglądał ich psów – przed walkami, w trakcie i po walkach. Zaoferowali mu świetne pieniądze w zamian za robienie tego, co potrafi robić najlepiej. Jedyny minus, że było to nielegalne. Resztę możesz sobie dośpiewać.

– Jak go poznałeś?

Nie odpowiedział. Włożył ręce do kieszeni płaszcza, a jego twarz przybrała nieodgadniony wyraz.

Po kilkunastu minutach ulewa ustała, a deszcz przeszedł w delikatne siąpienie. Wtedy z budynku wyszedł mężczyzna. Zatrzymał się przed kamienicą, głęboko odetchnął orzeźwiającym powietrzem i schował portfel do tylnej kieszeni czerwonych spodni. Rozpiął czarną ramoneskę i owinął szyję cienkim szalem. Kilkoma sprawnymi ruchami ściągnął do tyłu długie ciemne włosy i związał je w kitkę. Ruszył przed siebie. Minął policjantów, gładząc się po krzaczastej brodzie i wpatrując w ekran telefonu.

– Jesteś bardzo rozkojarzony, Marcelu.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Kawęckiego. Poznał go od razu. Mimo to przez dłuższą chwilę stał jak wmurowany w ziemię, nie mogąc wydusić z siebie

słowa.

– Co komisarza sprowadza w tę okolicę?

– Coś innego niż ciebie – odparł Kawęcki. – Razem z sierżant Giętką chcieliśmy z tobą porozmawiać.

Marcel Rojek uśmiechnął się nerwowo, jakby ktoś właśnie wtykał mu nóż w plecy. Rozłożył bezradnie ręce.

– W takim razie zapraszam na kawę. Znam kilka niezłych kawiarni w okolicy.

Kawęcki zrobił krok w jego stronę.

– Nie przepadam za kawiarniami. Nie lubię płacić za coś, co nie jest warte swojej ceny. Nadal mieszkasz na Piramowicza?

Pewność siebie i rozpromienienie, które były od Marcela Rojka zaraz po wyjściu z burdelu, definitywnie wyparowały, gdy wylądował na tylnym siedzeniu samochodu prowadzonego przez Magdę Giętką. Towarzyszące mu od tamtej chwili napięcie rosło z każdą minutą jazdy śródmiejskimi uliczkami. Zenit osiągnęło wtedy, kiedy zatrzymali się przed jedną z niewysokich kamienic na ulicy Piramowicza, wdrapali się na górę i weszli do jego kawalerki.

– Ładnie się urządziłeś – powiedział Tomek Kawęcki. – Zapomniałem już, że masz niezły gust.

Obrócił się wokół własnej osi, rozglądając się po pokoju, a następnie usiadł na skórzanym pufie. Marcel Rojek ściągnął kurtkę i odwiesił ją do szafy. Przeszedł do kuchni i wlał wodę do czajnika. Chciał, żeby ta nieplanowana wizyta trwała jak najkrócej.

– Przypomnij mi: to twoje mieszkanie czy je wynajmujesz?

– Wynajmuję. Nie stać mnie na własne.

– Mógłbyś wziąć kredyt.

– To nie takie proste, panie komisarzu. Kryminalna przeszłość bardzo obniża zdolność kredytową. I komplikuje sytuację materialną.

Kawęcki, rozglądając się na boki, ze zrozumieniem pokiwał głową. Zapalił papierosa.

– Jeszcze bardziej może ją skomplikować terażniejszość kryminalna –

powiedział.

Magda przechadzała się po mieszkaniu, które w niczym nie przypominało lokum byłego przestępcy. W głównym punkcie pokoju znajdował się szeroki regał na książki zapełniony literaturą medyczną i beletrystyką. W smukłym drewnianym barku stały wina i butelki whisky o rozmaitych kształtach. W uchylonej szafie policjantka dostrzegła pokrowce na garnitury i gitarę basową, prawdopodobnie od dawna nieużywaną. Przybytku doglądało dwoje hipisów z dużego plakatu zawieszzonego na ścianie, klęczących i wpatrujących się w siebie narkotycznym wzrokiem. Cały pokój skąpany był w lekkim, ciepłym świetle, które generowały rozstawione w kątach lampy.

Marcel Rojek przyniósł dwa kubki z kawą i postawił je na niskim szklanym stoliku, przy którym usiedli policjanci. Rozparł się na kanapie okrytej beżowym kocem. Nerwowo wygładził jego idealnie gładką powierzchnię.

– O czym chciał pan porozmawiać?

– O twojej przeszłości. Jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu.

– Wolę rozmawiać o teraźniejszości i przyszłości.

Wzrok Marcela powędrował na szklany stolik. Kawęcki przesunął w stronę gospodarza paczkę papierosów. Widząc, jak waha się przed sięgnięciem, a następnie z namaszczaniem się zaciąga, zrozumiał, że właśnie pomógł mu przerwać detoks.

– Jeżeli nadal zajmujesz się tym, przez co straciłeś uprawnienia, możemy porozmawiać o teraźniejszości.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Ale, niestety, sporo z tamtego okresu pamiętam. Co chce pan wiedzieć?

Kawęcki pochylił się w jego stronę.

– Pohipotetyzujmy trochę – powiedział. – Załóżmy, że kręci mnie oglądanie, jak zwierzęta, a w szczególności psy, uprawiają seks z kobietami. Co w takim wspaniałym mieście jak Łódź musiałbym zrobić, żeby doświadczyć tej przyjemności?

Marcel Rojek uniósł brwi. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy Kawęcki żartuje, czy

pyta na serio.

– Nie znam się na zoofilii. Nie pomogę panu.

– Ale znasz się na psach. Gdybym chciał znaleźć takiego, który byłby w stanie kopulować z kobietą, to co musiałbym zrobić?

Marcel w osłupieniu wpatrywał się w surowe oblicze policjanta. Przejechał dłonią po głowie, jakby chciał poprawić spięte w kucyk włosy. Dopalonego do połowy papierosa położył w jednej z czterech wnęk wyżłobionych w ścianie popielniczki.

– Napiją się państwo czegoś mocniejszego? – zapytał.

Policjanci zgodnie pokręcili głowami. Marcel na chwilę zniknął w kuchni. Wrócił, trzymając w dłoni upitą do połowy butelkę czerwonego wina i kieliszek. Napełnił go i wypił duszkiem. Chwilę później odmierzył następną porcję. Dopiero wtedy usiadł na kanapie.

– Czy możemy nie hipotetyzować?

Kawęcki odpowiedział mu milczeniem. Rojek zinterpretował je jako zgodę.

– Prowadzi pan sprawę, w której kobieta została zgwałcona przez psa. I przypuszcza pan, że może za tym stać grupa przestępcza stosująca takie praktyki. Jakiej rasy był ten pies?

– W Łodzi jest aż tak dużo psów, które gwałcą ludzi, że musisz znać rasę?

– Nie, ale gdybym ją znał, prawdopodobnie mógłbym stwierdzić, czy stoi za tym grupa przestępcza, czy zwyczajny zboczeniec, który wytresował sobie psa gwałciciela.

– Nie znamy jego rasy.

– Przestępcy najczęściej wykorzystują w takim celu pitbulle, amstaffy lub dogi, agresywne i niebezpieczne psy. Nie sądzę jednak, żeby decydował o tym popęd tych zwierząt. Wybierają je dlatego, że takie psy mogą im posłużyć również w innych celach, choćby do ochrony.

– Jak się je trenuje?

– Nie wydaje mi się, żeby istniał jakiś specjalny trening. Takich „umiejętności” psy prawdopodobnie nabywają empirycznie.

– Czy możliwe jest, żeby pies, który nigdy czegoś takiego nie zrobił, zgwałcił kobietę na zawołanie, zachęcony przez swojego właściciela?

Marcel, zastanawiając się nad odpowiedzią, rzucił krótkie spojrzenie Magdzie. Spodziewał się dostrzec na jej twarzy obrzydzenie, ale zauważył jedynie wściekłość, skondensowaną gdzieś pod skórą i gotową w każdej chwili eksplodować. Spuścił wzrok i napił się wina. Miał wrażenie, że od ostatniego łyku upłynęła cała wieczność.

– Jest to możliwe – odparł w końcu. – Ale mało prawdopodobne. Badacze nie są co do tego zgodni, ale większość uważa, że psy całkiem nieźle wyczuwają ludzkie emocje. Gdyby kobieta go w jakiś sposób zachęciła, mógłby to zrobić, nawet jeśli nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Ale jeśli emanowała przykrymi emocjami, a tak zapewne było, to niewyszkolony pies prawdopodobnie by się przed tym wzbraniał. W przeciwnym wypadku musiałby się wykazać wyjątkowym jak na swój gatunek okrucieństwem, spotykanym raczej u ludzi niż u zwierząt.

Telefon Kawęckiego zawibrował. Komisarz wydobył go z kieszeni płaszcza, wyciszył i schował z powrotem. Nawet nie spojrzął na wyświetlacz.

– Co teraz? – zapytał Marcel.

– Teraz poprosimy cię o pomoc. Mogę? – Kawęcki wziął od Magdy długopis i cienki notatnik, w którym zamierzała zapisać przebieg rozmowy, ale przez uciążliwego kaca i zmęczenie wyskrobała zaledwie kilka linijek. Wyrwał jedną z niezapisanych kartek i położył ją na stoliku. – Zakładam, że człowiek, którego szukamy, nie posłużył się swoim psem. Jest na to zbyt ostrożny. Prawdopodobnie wykorzystał do tego zwierzę, za które zapłacił na czarnym rynku. Niefiguruje w żadnym rejestrze. Zastanów się, którzy z twoich dawnych znajomych mogliby mu pomóc w zdobyciu takiego psa. Liczę na to, że przypomnisz sobie kilka nazwisk.

Marcel ponownie przejechał dłonią po ściągniętych do tyłu włosach i sięgnął po kieliszek. Opróżnił go jednym haustem. Popatrzył na niewiele mówiące oblicza policjantów i wychylił się do przodu.

– Chce pan, żebym otworzył najciemniejszy rozdział w moim życiu, który

miałem nadzieję bezpowrotnie zamknąć. Oczekuje pan niemożliwego. – Mówił szybko i nieskładnie, odczuwając działanie pospiesznie wypitego alkoholu. – Ludzie, których znałem, nie zajmowali się takimi rzeczami. Poza tym nie kontaktowałem się z nimi od kilku lat. Nie wiem, czy jestem w stanie jakoś wam pomóc.

– Obawiam się, że nie masz wyboru.

Marcel sięgnął po zostawionego w popielniczce papierosa, który zdążył zgasnąć. Spojrzał wymownie na Kawęckiego, licząc, że ten raczy podać mu zapalniczkę. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co ma zrobić z rękoma. W końcu rozłożył je bezradnie i osunął się na oparcie kanapy.

– Co będę miał z tego, że wam pomogę?

– Nie zainteresuję się tym, co robisz w wolnym czasie. Ani tym, co znajduje się w tym kufrze, na który nieustannie zerkasz – powiedział Kawęcki i wskazał leżącą na jednej z półek zamykaną na klucz kasetkę. – Założę się, że gdybyśmy zbadali narzędzia, które się tam znajdują, tobyśmy się przekonali, że niedawno ich używałeś.

Nerwowość, wylewająca się z każdego pora na ciele Marcela Rojka, potwierdziła przypuszczenia Kawęckiego. Brak uprawnień nie musi oznaczać definitywnego rozbratu z zawodem. A głośna i regularnie powtarzana deklaracja kroczenia drogą prawa niekoniecznie wiąże się z odbudową moralną. Nie wszyscy są w stanie się zmienić. Większość nawet tego nie chce.

– Potrzebuję czasu.

Kawęcki pokręcił głową. Wycelował palcem w butelkę wina.

– Ode mnie go nie dostaniesz, więc lepiej przestań pić to gówno.

Wstał i zapiął płaszcz. Popatrzył z góry na Marcela. Sięgnął po paczkę papierosów, wyciągnął z niej dwa szlugi i poturlał w jego stronę.

– Żeby ci się lepiej myślało.

Marcel od razu sięgnął po papierosa. Włożył go do ust, ale nie zapalił. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki lub zapalek.

– To gówno ma dwanaście lat – powiedział. – Jest warte kilka policyjnych

pensji.

– Więc tym bardziej nie powinieneś go łąć w niedzielę przed południem.

Komisarz wyszedł z mieszkania. Magda, zanim podążyła jego śladem, po raz ostatni przyjrzała się gospodarzowi, który spuścił głowę i podparł ją dłońmi. Niezapalony papieros zwisał mu z ust. Pod szklanym stolikiem Marcel skrzyżował nogi, do których przylegały obcisłe czerwone spodnie. Przypominał jej człowieka, który pomylił epoki. Urodzonego kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset lat za późno dandysa, wepchniętego w mrocznych czasach do mrocznego miasta, w którym chore wizje prowadzą do paraliżu słabych ludzkich umysłów.

Alicja Mioduszevska odłożyła telefon na biurko. Spojrzała na to, co zapisała na kartce. Na kilka w pośpiechu wyskrobanych pytań. I na numer telefonu, który udało jej się zdobyć. Potem po raz kolejny przejrzała pierwsze zdania tekstu. Trzy czwarte artykułu znała już na pamięć, mimo że prawdopodobnie nie miał wiele wspólnego z materiałem, który ostatecznie zostanie opublikowany w gazecie. O ile rzeczywiście zostanie.

Zamknęła drzwi do swojego pokoju, żeby uciec od odgłosów telewizora dobiegających z mieszkania głuchawego sąsiada. Włączyła tryb głośnomówiący, a następnie uruchomiła dyktafon. Po siódmym sygnale usłyszała miękki męski głos.

– Mariusz Szczebiot, słucham?

– Dzień dobry, z tej strony Alicja Mioduszevska z „Expressu Łódzkiego”. Chciałabym...

– Jest niedziela – przerwał jej Szczebiot. – Właśnie jestem na zawodach córki. Myśli pani, że mam ochotę rozmawiać o pracy?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Alicja nasłuchiwała dźwięków w tle. Naczelnik Wydziału Kryminalnego powiedział prawdę. Słyszała muzykę i okrzyki. Nieskoordynowane oklaski. Ożywione kobiece głosy, zapewne należące do matek rozgorączkowanych występem swoich dzieci. Mariusz Szczebiot musiał tam pasować jak kwiatek do kożucha.



– Nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Proszę się nie rozłączać!

Szczebiot zamilkł. Alicja spojrzała na wyświetlacz, żeby się upewnić, czy naczelnik wciąż jest na linii. Potem zerknęła do swoich notatek.

– Z informacji, które zdobyłam, wynika, że Martyna Bułeczka nie została zamordowana w taki sposób, jak opisał to pan na konferencji prasowej. Powiedział pan, że Bułeczka została zabita siekierą.

– Bo to prawda – odparł Szczebiot.

– Ale nie powiedział pan, że zabójca zmasakrował jej ciało. I że zgwałcił ją pies.

Tym razem to Alicja zamilkła, czekając na reakcję naczelnika. Zamiast niej usłyszała wybuch radości. Siatkówka albo karate, pomyślała. Któraś z dziewczyn zdobyła punkt albo wybiła koleżance zęby.

– Jest pan tam?

– Jestem.

– Potwierdza pan to, co powiedziałam?

– Nie.

– Nie potwierdza pan czy utrzymuje, że to nieprawda?

– Nie potwierdzam.

– Z moich informacji wynika, że ofiara otrzymała kilkadziesiąt ciosów siekierą. Sprawca rozczłonkował jej ciało. Odciął głowę.

Naczelnik głośno westchnął, a następnie odsunął telefon od ucha. Alicja słyszała, jak krzyki matek cichną, ustępując miejsca spokojnym rozmowom. Koniec seta. Albo rundy.

– Chce pan powiedzieć, że nic takiego się nie wydarzyło?

– Chcę powiedzieć, że nie zamierzam z panią na ten temat rozmawiać.

– A jeśli widziałam zdjęcia, które to potwierdzają?

Znów milczenie. Przyspieszony oddech. I kroki. Policjant w pośpiechu wychodził z hali, przeciskając się przez tłum rodziców.

– Co pani powiedziała?

– Że widziałam zdjęcia Martyny Bułeczkiej.

– Gdzie? – zapytał. – Kto je pani pokazał?

– Tajemnica dziennikarska. Dlaczego zataił pan tę informację?

– Niczego nie zataiłem – skłamał Szczebiot. – Postępujemy tak, by jak najszybciej schwytać człowieka, który to zrobił.

– Czy potwierdza pan, że zatailiście informację o tym, w jaki sposób została zamordowana Martyna Bułeczka?

– Nie!

– Nie potwierdza pan czy nie zatailiście?

Naczelnik rozłączył się. Alicja wyobraziła sobie, jak roztrzaskuje telefon o podłogę. I jak skupia na sobie wzrok zaniepokojonych matek, które jak na zawołanie zamilkły.

Kwiatek do kozucha, pomyślała.

– O co ci chodzi? – zapytał Tomek Kawęcki.

Magda Giętka opuściła brwi i pociągnęła łyk kawy z papierowego kubka. W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie mimowolnie się uśmiechnęła, ale po chwili zdrapała wesołość z twarzy. Dla takich jak Kawęcki nie warto narażać się na zmarszczki. Ani teraz, ani kiedykolwiek później.

– To po prostu dziwne.

– Co?

– To, że ty jesz, a ja tylko patrzę. Po raz pierwszy widzę, jak jesz.

Kawęcki odłożył hamburgera na plastikową tacę, wytarł usta serwetką i wyjrzał przez okno. Przy zamontowanej obok wejścia do McDonalda kolorowej zjeżdżalni kręciła się dziewczynka. Ośmio-, najwyżej dziesięcioletnia, w grubej puchowej kurtce, z różowymi spinkami wczepionymi w jasne włosy i równie różowymi policzkami. Jej maleńkie, ledwo wyłaniające się spod rękawów dłonie dotykały mokrej zjeżdżalni, a oczy skierowane były wprost na ojca, który stał kilka metrów dalej i kręcił głową, zabijając marzenia córki. Kawęcki patrzył, jak w jej maślanych niebieskich oczach stają łzy. Jak przez jej dziecięcy świat przetacza się apokalipsa.

– Jaką masz teorię? – zapytała Magda.

– Masz na myśli zabójstwo Bułeczkiej? Nie mam żadnej.

– Nie wierzę ci.

Kawęcki podrapał się po twarzy, jakby próbował ściągnąć z niej skórę.

– Wymyśliłem kilka scenariuszy, mniej lub bardziej prawdopodobnych, które mogły się wydarzyć. Ale to tylko projekcje wyobraźni. Fikcja. Teoria z założenia powinna być prawdziwa. Scenariusz nie musi.

– A który scenariusz uważasz za najbardziej prawdopodobny?

Kawęcki ponownie wyjrzał przez okno. Dziewczynka wisiała na ramieniu ojca i tarła piąstkami zapłakane oczy. Im bardziej oddalali się od zjeżdżalni, tym głośniej krzyczała. Jakby chciała udowodnić ojcu, że kategorycznie odmawiając jej zachciankom, straci na tym więcej niż ona. Próbowwała zniszczyć jego dorosły świat. I przy odrobinie szczęścia uratować swój.

– Ten, który zakłada, że Bułęcka znała sprawcę, ale nie był on jej szczególnie bliski. Być może nawet nie wiedziała, kim jest. Poznała go w jakiejś formalnej sytuacji: w urzędzie, na poczcie albo w dziekanacie. Albo w klubie, kiedy zebrała o papierosa lub gdy przepuszczał ją w kolejce do baru. Nie zwróciła na niego uwagi, ponieważ poza wzrostem i posturą niczym się nie wyróżniał. Nie pociągał jej ani nie ciekawił. Ona natomiast go zafrapowała. I zechciał ją poznać. Dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Zaczął za nią chodzić i zbierać informacje. Przekonywać się, kim jest. Aż w końcu uznał, że nadszedł czas.

– Ale dlaczego to zrobił? I dlaczego w ten sposób?

– Ponieważ chciał ją ukarać. Chciał, żeby cierpiała. – Kawęcki podniósł hamburgera do ust, ale zamiast ugryźć, uważnie mu się przyjrzał. Odłożył go na tacę i przykrył serwetką. – W tym scenariuszu sprawca ma około czterdziestu lat, wykonuje na co dzień niespecjalnie wymagającą pracę, dzięki której ma wiele wolnego czasu. Zalicza się do niskiego pułapu klasy średniej. W dzieciństwie doświadczył krzywdy, która wypaczyła jego psychikę. Na jakimś etapie życia poznał ludzi ze środowiska przestępczego. Zdołał wzbudzić w nich szacunek. Lub strach. Jest ponadprzeciętnie inteligentny, choć niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę. Wiedzie spokojne, wręcz ascetyczne życie. Dzięki temu nikt nie może się domyślić, że jest psychopatą z zaburzeniami seksualnymi.

– Może podnieca go zoofilia?

Kawęcki pokręcił głową.

– W tym scenariuszu jest impotentem. Chciał maksymalnie upokorzyć Bułęcką, a dla wielu kobiet najwyższą formą upokorzenia jest gwałt. Nie był w stanie zrobić tego samodzielnie, więc posłużył się psem.

Napił się coli przez słomkę, a następnie zaczął mieszać nią w kubku, obijając o siebie kostki lodu.

– Ale to tylko jeden ze scenariuszy. Może się okazać, że ma niewiele wspólnego z prawdą.

Wytrzeł dłonie w serwetkę i przyjrzał się Magdzie, jakby szacował jej wartość.

– Masz przy sobie notatnik? – zapytał.

Skinęła głową.

– Podaj mi go – rzucił.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza słabo zatemperowany ołówek i zapisał w notatniku kilka nazwisk.

– To ludzie, z którymi musimy porozmawiać.

Magda pochyliła się nad notatnikiem. Potrzebowała paru sekund, żeby rozszyfrować bazgroły Kawęckiego.

– Kim oni są?

– Analityk zwrócił uwagę, że komentowali i lajkowali zdjęcia Bułęckiej, choć nic nie wskazuje na to, żeby byli sobie szczególnie bliscy. W dodatku obaj mają powyżej trzydziestu pięciu lat.

– Królak znalazł więcej takich osób.

– Ale ci dwaj mieli najmniej powodów, żeby interesować się Bułęcką. I najmniej o nich wiemy.

Magda spojrzała w głąb lokalu, który wypełniały głównie dzieci. Zamyśliła się.

– Jak to możliwe? – zapytała, wpatrując się w obgryzionego hamburgera. – Mam na myśli to, że praktycznie nie jesz. A przynajmniej nie w moim towarzystwie.

Kawęcki przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym zwiesił głowę.

Odniosła wrażenie, że się uśmiecha. Ale mogło jej się tylko wydawać.

- Najprostsze wytłumaczenia zwykle są najlepsze.
- Tutaj żadne nie wydaje się proste.
- Nie zastanawiaj się nad tym. Strzelaj.
- Anoreksja.

Uniósł głowę. Teraz naprawdę się uśmiechał.

- Żartujesz?
- Nie.

Popatrzyła na Kawęckiego. Był chudy, owszem, ale sądziła, że to rezultat jego trybu życia. Przepijania czasu, który mógłby poświęcić na jedzenie. Wyrzygiwania resztek zalegającego w żołądku pokarmu. Kaca, który odbierał ochotę do życia, a tym bardziej do konsumowania czegokolwiek. I samotności.

– Jedni nie tolerują tego, jak wyglądają. Inni mają problem z samooceną. Jeszcze inni mają zaburzenia psychiczne.

- A ty?

Kawęcki wzruszył ramionami i zapatrzył się w niedojedzonego hamburgera.

– A ja miałem pecha. – Podniósł wzrok na Magdę. – Naprawdę chcesz tego słuchać?

Nie była pewna. Na wszelki wypadek się nie odzywała.

– Kilka lat temu zadzwonił do mnie kolega z dzieciństwa. Chciał się spotkać. Odkurzyć znajomość, wspominać dawne czasy. Zgodziłem się. Spotkaliśmy się kilka dni później. Nie poznałem go. Zmienił się. Był chudy i ledwo się poruszał. Patrzył na mnie nieobecny wzrokiem. Jak narkoman na głodzie. Po kilku minutach spotkania powiedziałem, że muszę lecieć. I pewnie na tym skończyłaby się ta historia, gdyby nie moja cholerna ciekawość. Zacząłem się nim interesować. Co jakiś czas dzwoniłem po ośrodkach leczenia uzależnień, szpitalach, sprawdzałem w naszej bazie danych. Czytałem nekrologi. I w końcu kilka miesięcy później natknąłem się na niego. Wylądował w szpitalu. Z rakiem żołądka. Późno wykrytym. Zdecydowanie za późno.

Kawęcki zaczął potrząsać kubkiem. Przestał, kiedy zauważył, że ściągnął na

siebie uwagę klientów zirytowanych pobrzękiwaniem kostek lodu.

– Odwiedziłem go, gdy znalazł się na oddziale paliatywnym. Opowiedział mi swoją historię. Okazało się, że przez kilka lat znajdował się w heroinowym ciągu. Niewiele brakowało, by nawet się nie zorientował, że choruje. Do nudności i rzygania krwią zdążył się przyzwyczaić, a ból tłumiła heroina.

Magda popchnęła kubek z kawą na środek stołu. Miała wrażenie, że już nie będzie jej pić.

– Okazało się, że nie ma nikogo – kontynuował Kawęcki. – Jego rodzice umarli. Nie miał żony ani dzieci. Znajomi odsunęli się od niego, kiedy wpadł w nałóg. Mógł umrzeć w otoczeniu śmierdzących starców, znudzonych pielęgniarek, jeszcze bardziej znudzonych lekarzy oraz księdza, który od czasu do czasu próbował go namówić na zmianę wiary. Albo w towarzystwie starców, pielęgniarek, lekarzy i mnie. – Poklepał się po kieszeni, w której trzymał paczkę papierosów. – Kiedy widziałem, jak umiera z głodu, jak wije się z bólu, mimo że był nafaszerowany morfiną, jak nie jest w stanie przyjąć kilku kropli wody, choć od kilkunastu godzin nie miał nic w ustach, doszedłem do wniosku, że możliwość jedzenia to dar, na który nie każdy zasługuje.

Magda parsknęła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Czyli widok umierającego ćpuna sprawił, że postanowiłeś przestać jeść?

Kawęcki zgromił ją wzrokiem.

– Nie znałem go jako ćpuna. W dzieciństwie był najszlachetniejszą i najuczciwszą osobą, z jaką się zadawałem. Ale jego choroba była tylko impulsem. Już wcześniej uważałem, że wielu ludzi dostaje rzeczy, na które nie zasługuje. Rzeczy nawet ważniejsze od jedzenia. Umierający z głodu ćpun, który był kiedyś moim kumplem, tylko nieznacznie zmienił moją percepcję. Dzięki niemu uświadomiłem sobie, że myliłem się nie co do samego zjawiska, tylko jego skali. Bo problem posiadania rzeczy, na które się nie zasługuje, nie dotyczy wielu ludzi, lecz zdecydowanej większości przedstawicieli naszego gówno wartego gatunku. W tym kogoś takiego jak ja.

Magda uważnie przyglądała się Kawęckiemu, rozważając, czy nie wymyślił tej

historii na poczekaniu, żeby sprawdzić jej reakcję. Albo tak po prostu, dla draki, z nudów, żeby zająć czymś myśli. Z jego wysuszonej, pokrytej zmarszczkami twarzy trudno było jednak cokolwiek wyczytać.

– A wiesz, kiedy nie mam problemów z jedzeniem? – zapytał. – Kiedy jestem w ciągu. Wówczas zapominam się i żrę na potęgę. – Wstał, głośno szurając krzesłem. – Zresztą wtedy wszystko jest prostsze. Nie tylko jedzenie.

Ranne zwierzę zawsze wygląda tak samo. Niezależnie od tego, czy jest ssakiem, gadem czy płazem. Niezależnie od gatunku. Nie ma znaczenia, czy żyje w dziczy, w ogrodzie zoologicznym czy w domu. Czy jest lwem, sarną, psem czy szczurem. Zawsze gdy na horyzoncie dostrzega oprawcę, w jego oczach pojawia się strach. Wgryza się w skórę. Wsiąka w gruczoły łojowe. Ukrywa się w mikrodrganiach, z których tylko zranione zwierzę zdaje sobie sprawę. Zawisa w przestrzeni dzielącej ofiarę od prześladowcy. Szczęście od tragedii. Życie od śmierci.

To zranione zwierzę miało około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, ale na widok oprawcy skurczyło się o jakieś dziesięć. Jego źrenice rozszerzyły się do rozmiaru tęczówek. Splecione dłonie, trzymane na wysokości krocza, przypominały spalonego pajęczaka. Włosy zmatowiały i zszarzały jak skóra umierającego człowieka. Szyja – długa, chuda, z ponadprzeciętnie wypukłą grdyką – chowała się za wysoko postawionym kołnierzem. Ten ranny człowiek nie różnił się niczym od rannego żółwia. Wilka. Jastrzębia. Albo ważki.

– Czy chodzi o skręty?

– Słucham?

Borys Zarzeczny nie patrzył na swojego oprawcę, tylko na jego buty. Czarne, skórzane, rozmiar czterdzieści sześć lub czterdzieści siedem. Wyobrażał sobie, jak jego twarz znajduje się pod ich podeszwą. Wyobrażał sobie ich smak. I smak bólu.

– Przyłapał mnie pan na paleniu jointów. Wtedy, w akademiku.

Witold Ptak kiwnął ociężale głową. Miał problemy z koncentracją. Był zmęczony. Myślał wolniej niż zwykle. Toporniej, niż gdyby naszpikował się lekami przeciwbólowymi. Po tygodniu śledztwa czuł się wrakiem zdatnym wyłącznie do kasacji.

– Już o tym zapomniałem. Nie zamierzam cię nimi szantażować. Jeżeli tym się tak martwisz, to wyluzuj. Możesz na mnie spojrzeć.

Borys Zarzeczny podniósł wzrok.

– Gdybym się uparł, pewnie znalazłbym poważniejszy powód, żeby wsadzić cię za kratki – dokończył Witold.

Zranione zwierzę skrzywiło się i zrobiło krok wstecz. Mimowolnie i nieświadomie.

– Chciałem porozmawiać o Martynie. I o tobie. O was.

– O czym dokładnie?

Witold spojrział w górę. Ponad szarym betonowym płotem, który przylegał do budynku i oddzielał podwórko od ulicy, widniał pomarańczowy wojownik wklejony w fioletowe tło. Czarnymi, przypominającym gigantyczne guziki oczami, pod którymi znajdował się stożkowaty nos i wąskie usta, z niepokojem wpatrywał się w punkt umiejscowiony po drugiej stronie jezdni, wysoko ponad rzędem zaparkowanych wzdłuż chodnika samochodów.

– O waszym życiu intymnym.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Ale nie dość szczegółowo.

Pomarańczowy wojownik miał czapkę z pomponem, szal i egzotyczne szaty. Jego szyję oplatał naszyjnik z kamieni, które przypominały czaszki. Wystającą ponad prawym ramieniem włócznię wieńczyło coś, czego Witold nie potrafił zidentyfikować.

– Dowiedziałem się o tobie co nieco. Żeby poruchać, nie musiałeś spotykać się z Bułecką. Mogłeś mieć każdą atrakcyjną dziewczynę ze swojego roku. I podobno większość miałeś. – Witold włożył papierosa do ust, zapalił go i wypuścił dym nosem. – Dlaczego więc utrzymywałeś tę dziwną relację z Bułecką? I dlaczego opowiadałeś o tym, jakby kopnął cię nie wiadomo jaki zaszczyt, że wybrała akurat ciebie?

Borys Zarzeczny zamyślił się, uciekając wzrokiem w stronę przejeżdżających obok samochodów. Warkot zdezelowanych silników i pourywanego tłumików na



moment zabił względny spokój smętnego niedzielnego wieczoru.

– Bo była w tym cholernie dobra – powiedział Zarzeczny, a Witold podniósł brwi. – W ruchaniu. Świetnie się ruchała. Nie spotkałem przed nią takiej dziewczyny. Po niej zresztą też.

Dużo czasu nie miałeś, pomyślał Witold, zastanawiając się, co takiego studentki widzą w tym patykowatym chłopaku z garbatym nosem i pierwszymi oznakami łysienia.

– Możesz być bardziej precyzyjny?

Zarzeczny głośno westchnął.

– Była bardzo agresywna. Jakby na coś wściekła. Jakby ruchała się ze złości. – Pokręcił głową. – Czasem odnosiłem wrażenie, że chce mnie zgwałcić. Rozumie pan?

– Chyba tak.

– Uprawialiśmy seks w różnych pozycjach, ale nawet kiedy na niej leżałem albo stałem za nią, miałem wrażenie, że to ona kontroluje sytuację. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem.

Witold wyciągnął z kieszeni kurtki notes i zapisał słowa Zarzecznego.

– Jak myślisz – zapytał – skąd się to u niej wzięło?

Zarzeczny podrapał się w głowę: tam, gdzie niebawem pojawi się łysy placek, przydając mu urody mnicha.

– Kiedyś się nad tym zastanawiałem. Pomyślałem wówczas, że albo bardzo lubi dominację, albo bardzo nie lubi mężczyzn.

Witold podziękował Zarzecznemu za spotkanie i odprowadził go wzrokiem do klatki schodowej, z której chłopak kilkanaście minut wcześniej wyszedł, zostawiwszy w mieszkaniu jedną ze swoich napalonych koleżanek. Im dłużej mu się przyglądał, jego poczochranej i łysiej głowie, garbatej sylwetce, koślawym nogom wciśniętym w luźne spodnie, które zwisały z jego chudego tyłka, tym bardziej go dziwiło, że ma opinię lowelasa. Próbował sobie przypomnieć, jak sam wyglądał w jego wieku, ale trudno było mu cofnąć się do tego okresu. Był zbyt zmęczony. Zbyt przytłoczony codziennością, żeby zestawiać w głowie dwóch

chłystków: tego, który hurtowo posuwał napalone studentki, z tym, który postanowił zostać policjantem.

Zanim ruszył do samochodu, po raz ostatni podniósł głowę. Uświadomił sobie, że beżowe koło, które chowało się za głową pomarańczowego wojownika, to prawdopodobnie księżyc w pełni. Zanim przyjechał na spotkanie z Zarzecznym, dowiedział się, że autorem efektownego muralu, zajmującego całą boczną ścianę trzypiętrowego budynku na ulicy 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, jest chilijski artysta Inti. I że jego prace nasycone są symboliką zaczerpniętą z wierzeń rdzennych mieszkańców Ameryki Łacińskiej. A enigmatyczna pomarańczowa postać miała być tajemniczym podróżnikiem, który wraz z artystą przemieszczał się po świecie i wciskał na ściany kolejnych budynków.

Tylko od kiedy podróżnicy noszą naszyjniki z czaszek?

Witold wyszedł z podwórka i wszedł do zaparkowanego na chodniku samochodu. Wyciągnął z kieszeni telefon. Miał trzy nieodebrane połączenia. Wszystkie od doktora Jana Ronerta. Oddzwonił, a patolog niemal natychmiast odebrał telefon.

– I co? – zapytał Witold.

– Trudno powiedzieć, kiedy ma się do dyspozycji tylko kilka zdjęć. I kiedy przegląda się je w konspiracji, co chwila zerkając za siebie, żeby przypadkiem nie uraczyć nimi biegających po domu dzieci.

– Wybacz, nie chciałem ci psuć weekendu. Ale to jest tak odległy strzał, że wolałem nie puszczać tego oficjalną ścieżką.

– Być może nie aż tak odległy. – Witold usłyszał, jak Ronert szeleści zdjęciami.

– Z dużym prawdopodobieństwem mogę powiedzieć, że sprawca był wysoki, silny i oswojony ze śmiercią. Wszystkie rany zostały przypuszczalnie zadane w odstępie kilkunastu sekund, a w trakcie wyprowadzania ciosów sprawca zapewne przez cały czas stał w tym samym miejscu. To wymaga sporej wprawy i dużego opanowania.

Witold rytmicznie potakiwał głową. Przestał, gdy uświadomił sobie, że Ronert go nie widzi. Ale po chwili zaczął to robić ponownie.

– Czy sprawcą tych dwóch zabójstw mogła być ta sama osoba?

– Oczekujesz zbyt wiele – powiedział Ronert. – Tego nie wiem. Żeby nie mieć wątpliwości, musiałbym zbadać zwłoki tamtej dziewczyny. Bez tego trudno jest nawet gdybać.

– Zostały poddane kremacji.

– W takim razie niczego się nie dowiemy. Przynajmniej nie dzięki medycynie.

– Co masz na myśli?

Witold wychylił się i przez przednią szybę spojrział na pomarańczową postać namalowaną na bloku. To z całą pewnością nie jest podróżnik, pomyślał.

– Muszę kończyć – powiedział Ronert. – Pogadamy jutro.

Zanim patolog się rozłączył, Witold usłyszał w telefonie okrzyk dziecka. Kilkuletniej dziewczynki. Młodszej od jego córek. A także od Martyny Bułeckiej. I od Justyny Kepler.

Okrzyk rannego zwierzęcia.

**W**ycieraczki w samochodzie Witolda Ptaka pracowały rytmicznie, zgniając spływające z przedniej szyby strugi deszczu. Słońce niedawno wzeszło, ale skryło się za gęstymi szarymi chmurami, przez co drogę na komendę pokonywał w półmroku. Zaparkował na pustym parkingu. Uchylił okno i zapalił papierosa. Duszący dym, który otulił tapicerkę, zmieszał się z wilgotnym powietrzem. Witold spojrzął na zegarek i zaklął. Tomek Kawęcki nie tylko się spóźniał, ale i nie odbierał telefonu. W zasadzie nie było w tym nic zaskakującego. Zaskakujące byłoby raczej to, gdyby stawił się punktualnie, z telefonem w ręku. Mimo to ciśnienie skoczyło Witoldowi tak, jakby właśnie przyjął zastrzyk z kofeiny.

Z wiekiem robił się nerwowy.

Kawęcki zjawił się kilkanaście minut po czasie. Zapukał w boczną szybę, wyrywając zaskoczonego Witolda z półsnu, a następnie okrążył samochód i wsiadł. Pospiesznie uścisnął dłoń kolegi, postawił pod nogami termos z kawą i odgarnął do tyłu mokre włosy, które przykleiły mu się do czoła.

– Co ci się udało ustalić? – zapytał Kawęcki.

– Że mamy problem – oznajmił Witold. – Prokurator Pszoniak lubił, gdy w pracy otaczały go młode kobiety. Najpierw zostawały jego stażystkami, potem kochankami, a na koniec dostawały etat. Jedną z nich była Monika Dziewulska. To najprawdopodobniej ona pomagała mu podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Justyny Kepler. Kilka tygodni po jego zakończeniu zrezygnowała ze stażu i odeszła z prokuratury. Ukradła przyjaciółce trochę pieniędzy, zerwała wszystkie kontakty i wyjechała z kraju.

– Są jakieś szanse, żeby się dowiedzieć, gdzie aktualnie przebywa?

– Marne, ale popytam.

– A ten facet?

Witold pokręcił głową.

– Nikt nie wie, kto to był. Nazwisko Dziewulskiej pojawia się w niektórych aktach z tamtego okresu, ale jego, kimkolwiek on jest – nie. Oprócz Kapsa przepytalem jeszcze dwie inne osoby, które uczestniczyły w śledztwie, ale niczego się od nich nie dowiedziałem. Nawet nie udało mi się wyciągnąć precyzyjnego opisu tamtego faceta. Mógł to być albo krótko ostrzyżony przysadzisty blondyn, albo brunet średniego wzrostu. A tobie jak poszło?

– Potwierdziłem to, co już wiedzieliśmy. Lubera nie zabił Justyny Kepler.

– Skąd to wiesz?

– Od jego psychiatry.

Ciałem Witolda wstrząsnął nerwowy skurcz. Jego potężna, przypominająca bochen chleba dłoń zacisnęła się w pięść i uderzyła w kierownicę.

– Kurwa! – ryknął. – Po jaką cholere jechałeś do wariatkowa?

– Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.

– Kiedy tam byłeś?

– W piątek.

– Ktoś o tym wie?

– Na razie tylko ty. Ale doktor Gawron obiecała, że doniesie na mnie mojemu przełożonemu.

– W takim razie zastanów się, jak wyjaśnisz tę wizytę Szczebiotowi.

Witold głośno wypuścił powietrze. Jego oddech przypominał sapanie boksera szykującego się do następnej rundy.

– Jesteś jak suka w rui. Nie można cię spuścić ze smyczy.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Rozmawiałeś z Ronertem?

– Tak.

– I?

– Stwierdził, że aby nam cokolwiek powiedzieć na temat zbrodni, musiałyby zbadać zwłoki Kepler, a to...

– ...jest niemożliwe, bo ciało zostało spalone. Trudno. Sami się dowiemy, o co w tym wszystkim biega. Chodźmy na odprawę.

Kawęcki wysiadł i wbił się w ścianę deszczu.

– Co pana łączyło z Martyną Bulecką?

Piotr Waryński przesunął po blacie biurka smartfon, a następnie podniósł go i przeczytał wiadomość, która właśnie się wyświetliła. Skrzywił się. Nie wiadomo jednak, czy z uwagi na pytanie, czy z powodu tego, co zobaczył na ekranie.

– Łączyło?

– Łączyło – potwierdziła Magda Giętka. – Zginęła ponad tydzień temu. Ktoś ją zamordował. Nie słyszał pan o tym?

Waryński wyciszył telefon i schował go do kieszeni. Zasłonił dłonią twarz. Pomiędzy jego rozczapierzonymi palcami znalazła się wielka czerwono-brunatna krosta. Szatański wykwit. Gigantyczna franca, która mogła mu służyć jako osobna część ciała. Na przykład zamiast nosa.

Magda starała się nie patrzeć na tę narośl, choć trudno było jej się skupić na czymkolwiek innym. Tomek Kawęcki był mniej dyskretny. Siedząc w odległości najwyżej półtora metra od Waryńskiego, wgapiał się w nią tak intensywnie, jakby umówił się na spotkanie z gargantuicznym pimplakiem, a nie człowiekiem, do którego tamten się przyssał.

– Słyszałem – odparł niechętnie Waryński.

– Jak pan ją poznał?

– W klubie. Podczas jednej z imprez. Musiało to się stać przed moim setem albo po nim, dokładnie nie pamiętam.

– Jest pan didżejem?

– Nie na pełny etat. Ale tak, grywam w klubach regularnie. Najczęściej w Hermesie.

– Dlaczego akurat tam?

– Pyta pani, czy jestem gejem? – Waryński uśmiechnął się lubieżnie. Zaokrąglonymi, rozbawionymi policzkami jeszcze uwydatnił krostę, która sterczała mu z twarzy. – Nie, nie jestem. Ale w Hermesie jest popyt na moją muzykę. A poza tym lubię gejów. Lesbijki też. Nie mam żadnego problemu z tym, że dobrze się bawią przy muzyce, którą dla nich gram.

– Czyli przy jakiej?

– Electro house, synth pop, electroclash, czasem krautrock. Mówi to pani coś? A panu?

Kawęcki w przeciwieństwie do Magdy nie raczył pokręcić głową. Kiedy w końcu udało mu się oderwać wzrok od pimplaka, do którego przyczepił się człowiek, rozejrzał się po biurze. Ściany zdobiły fototapety z panoramą Nowego Jorku. Przed nimi stały metalowe regały z dokumentami i pucharami. Na wąskim podłużnym biurku, które przypominało poziomą kolumnę podtrzymującą napierające na siebie ściany, wały się porozrywane paczki kurierskie i zafoliowane przedmioty, których Waryński najwyraźniej nie miał jeszcze czasu otworzyć. Całe biuro przypominało klaustrofobiczną norę. Taką, do której w amerykańskich filmach zsyła się podrzędnych menedżerów, kiedy chce się ich upokorzyć i odepchnąć od koryta, tych, którzy sypiają z sekretarkami, oglądają pornosy w pracy albo pozwalają się podrywać napalonej żonie prezesa.

Do takiej nory tylko wariat mógłby się sam oddelegować. Albo skończony skąpiec.

– Co pana łączyło z Bułecką?

– Z Martyną? – zdziwił się Waryński. – Powiedziałbym, że dość płytkie koleżeństwo. Rozmawialiśmy najwyżej kilka razy. Wypiliśmy przy tym jedno piwo

czy dwa. Dziwię się, że chcą państwo ze mną rozmawiać. Nie mam na jej temat wiele do powiedzenia.

– Ale na temat zdjęć, które zamieszczała na Facebooku, miał pan całkiem sporo.

– Pyta pani, czy chciałem się z nią przespać?

– A chciał pan?

– Oczywiście. Martyna była piękną kobietą. Jedną z piękniejszych, jakie przychodziły do klubu. A ja jestem kawalerem. Myślę, że byłoby dziwne, gdybym nie chciał tego zrobić.

– Była od pana o piętnaście lat młodsza.

– I co z tego?

– To dla pana nie problem?

– Mam sześćdziesięcioletnich kolegów, którzy dmuchają nastoletnie laleczki. To ich należałoby zapytać, czy nie mają z tym problemu. – Waryński podrapał się wewnątrz ucha, jakby chciał z niego wyskrobać plaster miodu. – W średniowieczu trzydziestoletni właściciele ziemscy pukali dwunastolatki, córki swoich parobków. Dziewczynki rodziły im bachory, mając po trzynaście, czternaście lat. W ciągu kilku stuleci granica wieku wyraźnie się przesunęła, ludzkość nabrała trochę przyzwoitości i ogłady, ale natura człowieka pozostała taka sama. W podążaniu za głosem lędzwi nie ma nic zdrożnego, pod warunkiem że ich potrzeby mieszczą się w granicach prawa.

Kawęcki przyjrzał się tandetnym pucharom zajmującym regał. Większość z nich Waryński otrzymał w dzieciństwie, głównie za dokonania pływackie: pięćdziesiąt metrów stylem dowolnym, sto metrów stylem dowolnym, pięćdziesiąt metrów stylem motylkowym, sztafeta stylem zmiennym. Mistrz szkoły, wicemistrz województwa łódzkiego, brązowy medalista mistrzostw Polski w sztafecie. Pozostałe puchary – tandetniejsze, ulepione z plastiku – dostał za ukończone triathlony. Dystans sprinterski, olimpijski, długi. Ironman. Trzy i osiem dziesiątych kilometra pływania, sto osiemdziesiąt kilometrów na rowerze i maraton.

Człowiek z żelaza. Tuszujący swoją zbroję pod luźną marynarką i krawatem retro. I wielką naroślą, która odciąga uwagę od całej reszty.



– Co pan robił dwudziestego drugiego lutego?

– Jaki to był dzień tygodnia?

– Czwartek.

– Od rana do późnych godzin popołudniowych byłem w biurze. Potem wróciłem do domu.

– Co pan tam robił?

– Zapewne przygotowywałem set na piątkową imprezę w Hermesie.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Pyta pani, czy ktoś może potwierdzić, że nie zabiłem Martyny? – Waryński podrapał się po policzku, tuż poniżej krosty. – Tak. Mogą to zrobić moi pracownicy.

– Sprawdzimy to.

– Proszę bardzo. Pewnie powiedzą pani, że wyszedłem stąd około siedemnastej, a potem do każdego z nich jeszcze parokrotnie dzwoniłem. – Waryński wzruszył ramionami. – Może trochę naruszam ich życie prywatne, ale sownie im to wynagradzam. Dzięki temu nikt na mnie nie narzeka.

Magda zadała Waryńskiemu kilka kolejnych pytań i skrzętnie spisała jego odpowiedzi. Widząc, że Kawęcki nie kwapi się, żeby w jakikolwiek sposób włączyć się do rozmowy, podziękowała Waryńskiemu za spotkanie i ruszyła do wyjścia.

Kawęcki jednak nawet nie drgnął.

– Czym właściwie pan się zajmuje? – zapytał, sięgając po owinięty czarną folią podłużny przedmiot, który znajdował się na biurku Waryńskiego.

– Prowadzę sklep internetowy. Sprzedaję najróżniejsze gadzety: elektryczne, ogrodnicze, sportowe, erotyczne. Sprowadzam je z Azji dla polskich klientów.

– I ludzie nie boją się korzystać z chińskich gadżetów?

– Bangladeskich. Ściągam te gadzety z Bangladeszu. Chiny są za drogie.

– Nie boją się używać gadżetów z Bangladeszu?

– A skąd! Wręcz przeciwnie. Wystarczy zasygnalizować, że są to gadzety z zagranicy, zgrabnie ukrywając, skąd dokładnie pochodzą. Oczywiście nie

oszukuję klientów, broń Boże. Po prostu zmuszam ich do intelektualnego wysiłku. Zachęcam, żeby się dowiedzieli, na co wydają ciężko zarobione pieniądze. W pewnym sensie uczę ich życia.

Kawęcki obmacał podłużny przedmiot, zastanawiając się, jakie może być jego zastosowanie. Tylko jedno przyszło mu do głowy.

– A pan?

– Słucham?

– Czy pan nie boi się korzystać ze swoich gadżetów?

Waryński uśmiechnął się krzywo.

– Pyta pan, czy kiedyś się nimi zabawiałem? Kulkami analnymi? Sztucznymi pochwami? Strap-onami? – Spojrzał na przedmiot, który Kawęcki obracał w rękach. – Jestem tradycjonalistą. Lubię seks bez udziwnień. Ale zdziwiłby się pan, gdybym panu powiedział, co lubią niektórzy.

– Wątpię – odparł Kawęcki. – Naprawdę wątpię, żebym miał się zdziwić.

– Szukamy Eryka Dziwisza – oznajmiła Magda Giętka, wyciągając przed siebie legitymację policyjną.

W przypominającym akwarium biurze, wyposażonym w monitory, komputery i rząd blaszanych szaf, z blatem ciągnącym się niczym parapet wzdłuż trzech oszklonych ścian, przebywało trzech mężczyzn w średnim wieku. Dwóch z nich, odzianych w dzinsy i jednakowe koszule w biało-niebieską kratę, równocześnie oderwało wzrok od monitorów, które pokazywały ujęcia z kamer rozmieszczonych w kilkunastu miejscach hali magazynowej. Ich rozbawione twarze sugerowały, że przed chwilą zaliczyli seans głupich filmików na YouTube. Trzeci z mężczyzn, w gładkiej koszuli i czarnych spodniach, z zaczesanymi do tyłu rudymi włosami, gwałtownie poderwał się z krzesła i przywitał policjantów. Kiedy się odezwał, zrozumieli, że to z nim rozmawiali przez telefon. I że nie miał zbyt często do czynienia z policją. Stres wyciągnął z jego twarzy wszystkie kolory, pozostawiając go z białą maską przyspawaną do pomarańczowej głowy.

– Pracuje dzisiaj na rozładunku. Zaraz go państwu pokażę – powiedział i ponownie usiadł na obrotowym krześle, które zakwiczało pod jego ciężarem.

W drżącą ze zdenerwowania dłoń chwycił myszkę i zaczął przesuwac kursor po ekranie. Kilкома kliknięciami powiększył widok z kamery, znajdującej się tuż ponad kilkumetrową otwartą bramą, do której tyłem podstawiała się ciężarówka.

– Który to?

– Ten.

Na ziarnistym obrazie wskazał palcem mężczyznę w drelichowych spodniach, opiętej koszulce i czapce nasuniętej na czubek głowy, tak że odstające uszy pozostawały odkryte. Był niższy od trzech innych mężczyzn, którzy wraz z nim ścigali paczki z tira i układali je na zastopowanej taśmie produkcyjnej. Jednocześnie bardziej umięśniony i energiczny. Jego twarz chowała się za krzaczastą brodą. Przypominał krasnoluda wciśniętego pomiędzy nastoletnich Skandynawów.

– Pójdę po niego – oznajmił rudzielec i wyszedł z biura.

Wrócił po dwóch minutach w towarzystwie korpulentnego mężczyzny o kruczoczarnych włosach i wyłupiastych oczach. Eryk Dziwisz mierzył najwyżej metr sześćdziesiąt i nawet buty na potężnym obcasie nie dodawały mu powagi. Nieufnym wzrokiem zmierzył od stóp do głów Magdę. Potem tak samo otaksował Tomka Kawęckiego.

– Państwo są z policji – wyjaśnił rudzielec. – Chcieliby z tobą porozmawiać.

– O czym? – zapytał Eryk Dziwisz, zdejmując rękawice robocze i zatykając je za pasek w spodniach.

– O Martynie Bułeckiej.

Dziwisz ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowała policjantka, wyczuwając na sobie spojrzenia trzech pracowników biura, którzy z niecierpliwością czekali na rozwój wypadków. Widocznie rzadko kiedy spotykało ich w pracy coś ciekawszego, niż oferował YouTube.

Stanęli przed budynkiem, obok niskich metalowych schodów, które prowadziły do magazynu. Kawęcki poczęstował Dziwisza papierosem. Obaj zapalili. Magazynier zdążył wypalić swojego, zanim Magda skończyła mu wyjaśniać,

dlaczego chcieli się z nim spotkać. Przeszłoby z nogi na nogę, jak gdyby płonął pod nim asfalt.

– Wiem o tym – powiedział Dziwisz. – Ludzie zostawiali jej znicze na Facebooku.

– Znicze?

– Wirtualne. Taki symbol dla upamiętnienia zmarłej osoby.

Magda spojrzała na Kawęckiego. Wyglądał na równie zaskoczonego jak ona.

– Jak pan poznał Martynę Bułęcką?

Magazynier energicznie podrapał się po głowie. Kiedy skończył, spojrzał na swoje paznokcie, jakby spodziewał się wydrapać z czaszki złoto.

– Na imprezie.

– Może pan być bardziej precyzyjny?

– Raczej nie. Poczęstuje mnie pan jeszcze jednym?

Kawęcki wyciągnął w jego kierunku paczkę. Kiedy przypalał mu papierosa, zbliżył się i z odległości kilkunastu centymetrów spojrzał w wyłupiaste oczy. Miał wrażenie, że stoi przed gigantyczną ropuchą upchniętą w ciele karłowatego kulturysty.

– Co pan ma na myśli?

– Nie pamiętam, gdzie dokładnie ją poznałem.

– Nie potrafi pan sobie przypomnieć?

Dziwisz pokręcił głową i głośno pociągnął nosem.

– Trudno uwierzyć, że nie pamięta pan momentu poznania tak atrakcyjnej dziewczyny – powiedziała Magda.

– Poznaje wiele pięknych i młodych dziewczyn.

Magda w ostatniej chwili powstrzymała się przed zmierzeniem Dziwisza wzrokiem. Wówczas w to, co powiedział, jeszcze trudniej byłoby jej uwierzyć.

– W jakich okolicznościach?

– Mam młodą duszę. Często imprezuję z młodymi ludźmi. Większość osób stąd jest przed trzydziestką – powiedział Dziwisz, wskazując kciukiem halę, która znajdowała się za jego plecami. – Pewnie stało się to na jednej z imprez

w akademiku, ale nie potrafię powiedzieć, na której dokładnie. Dam wam znać, jeśli sobie przypomnę.

– Musimy to wiedzieć – stwierdziła stanowczo Magda.

Spojrzała kątem oka na Kawęckiego. Komisarz w milczeniu gasił papierosa na metalowej pokrywie kosza na śmieci. Robił to tak pieczołowicie, a przy tym dyskretnie, że udało mu się niepostrzeżenie wyjąć ze sterty petów niedopałek, którego Dziwisz pozbył się chwilę wcześniej, i zawinąć go w chusteczkę higieniczną.

– Jak by pan opisał swoją relację z Martyną Bułęcką? – kontynuowała Magda.

– Byliśmy kumplami. Raczej niezbyt bliskimi. W zasadzie nigdy jej bliżej nie poznałem. Wiem ledwie tyle, ile usłyszałem od niej samej na paru imprezach. A nie była szczególnie wylewna.

– Podobała się panu?

Dziwisz spojrzał na Magdę, jakby ta powiedziała coś w niezrozumiałym dla niego języku.

– Pewnie. Była superlaską.

– Jakie miał pan wobec niej intencje?

Mężczyzna parsknął i potrząsnął głową. Wysunął palec serdeczny prawej dłoni i podetknął go Magdzie pod nos.

– Jestem żonaty. Od dwunastu lat – wyjaśnił. – O co wam, kurwa, chodzi?

– Co pan robił w poprzedni czwartek, dwudziestego drugiego lutego?

– A jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć.

Dziwisz zamyślił się. Po chwili sięgnął do tylnej kieszeni drelichowych spodni i wyciągnął złożoną na cztery części kartkę. Przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

– Od dwunastej do dwudziestej byłem w pracy.

– A dzień później?

– Też – odparł, patrząc na kartkę. – Coś jeszcze?

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Dziwisz podał Magdzie wymięty świstek.

– Mój szef. Może go o to pani zapytać nawet teraz. To ten rudzielec z akwarium.

Magda przeleciała wzrokiem dokument. Wynikało z niego, że Dziwisz pracował nie tylko w czwartek i piątek, ale również w sobotę. Dopiero w niedzielę miał wolne.

– Mogę już wrócić do pracy?

Dziwisz i Magda spojrzeli na Kawęckiego, jakby to on miał znać odpowiedź na to pytanie. Tymczasem komisarz patrzył w okna hali magazynowej, z których wydobywał się jednostajny szum taśmy produkcyjnej, przeplatany odgłosami spadających na nią paczek. Kawęcki zatrząsł się z zimna, po czym podniósł kołnierz płaszcza.

– Nie będziemy panu więcej zawracać głowy, ale proszę nie wyjeżdżać z miasta – powiedział Kawęcki. – Na wypadek gdybyśmy musieli wezwać pana na przesłuchanie.

Dziwisz kilkakrotnie przejechał językiem po ustach, jakby zamierzał zaprotestować, ale ostatecznie się nie odezwał. Zaciągnął się papierosem po raz ostatni i wrzucił niedopałek do kosza.

– Czym zajmuje się pana żona? – zapytał Kawęcki.

Dziwisz podrapał się po czarnej czuprynie, a kiedy skończył, naciągnął rękawice na dłonie.

– W tej chwili niczym. Była nauczycielką w szkole podstawowej, ale pół roku temu straciła pracę. Cholerny niż demograficzny.

– Współczuję – powiedział Kawęcki.

Kiedy kilka minut później znaleźli się w samochodzie, na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Ogromna hala magazynowa – wysoka na ponad dziesięć metrów, z kilkunastoma bramami, pod które zjeżdżały się ciężarówki – przypominała hałaśliwe monstrum. Dla jednych pojękiwała odgłosami wycieńczającej pracy, pensji na poziomie wyzysku, kłopotliwego wiązania końca z końcem. Dla innych wybrzmiewała dźwiękami potężnej maszyny biznesowej, zbudowanej z mięśni tysięcy organizmów z dołu łańcucha pokarmowego i umysłów kilkunastu tych, którzy znajdowali się na górze. Odgłosy przymusowego cierpienia i dobrowolnego

szczęścia, zmieniające się w zależności od punktu widzenia.

– Po co ci to? – zapytała Magda.

Kawęcki odwinął z chusteczki niedopałek i włożył go do plastikowej torebki, którą następnie szczelnie zamknął.

– Lepiej go mieć niż nie mieć.

– Facet ma alibi. Był wtedy w pracy. Grafik, który mi pokazał, jest podpisany przez jego szefa. Musimy to oczywiście sprawdzić, ale nie sądzę, żeby nam to cokolwiek dało. – Magda podrapała się po czole, jakby chciała wyrzeźbić w nim dziurę. – Kurwa mać! – warknęła. – Kolejny chybiony strzał.

Kawęcki uśmiechnął się nieznacznie i pociągnął łyk kawy z termosu.

– Co?

– Czasami zastanawiam się, czy jesteś mało spostrzegawcza, czy po prostu bezdennie głupia. – Gwałtownie odwrócił się w kierunku Magdy, spodziewając się, że z tamtej strony może nadejść cios. Nie nadszedł. – Widziałaś jego profil na Facebooku?

– Tak – wycedziła przez zęby.

– I nie dziwi cię, że faceta, który zarabia dwa tysiące złotych miesięcznie i utrzymuje niepracującą żonę, stać na stuningowaną betę, sprzęt muzyczny za kilka patyków i karnet na jedną z droższych siłowni w mieście?

Magda pamiętała jedynie, że na jednym z zamieszczonych na Facebooku zdjęć Eryk Dziwisz miał na szyi potężny złoty łańcuch, przykrywający sporą część jego umięśnionego, włochatego torsu. Przypominał rapera, który tanim lansem próbuje przykryć niedobór dobrego smaku.

– Co podejrzewasz?

Kawęcki opadł na oparcie fotela. Przetarł kłykciami zmęczone oczy i głośno westchnął.

– Jeszcze nie wiem.

Po przeczytaniu ostatniego zdania Marek Bachniarz zsunął z nosa okulary, które i tak w niczym mu nie pomagały, ponieważ spoglądał ponad nimi. Mimo to ponownie je założył, gdy już przetarł zmęczone oczy. Jeszcze raz rzucił okiem na

wydruki, a następnie spojrzął na Alicję Mioduszewską, która zniecierpliwiona czekała na werdykt. Wpatrywała się w milczące usta redaktora naczelnego niczym w cesarski kciuk, który w każdej chwili może powędrować w górę albo w dół. Zafundować jej albo heroinowy zastrzyk satysfakcji, albo heroinowy zjazd.

– Puszczamy to – powiedział w końcu Bachniarz i sięgnął po stojący na biurku telefon. – Kornelio, przyjdź do mnie – rzucił do słuchawki.

Posłał Alicji zdawkowy uśmiech i wrócił do lektury jej tekstu. Przy akompaniamencie stłumionych rozmów dobiegających z sąsiadującej z biurem sali konferencyjnej czekali na Kornelię Lemiesz. Szefowa działu miejskiego, a zarazem zastępczyni Bachniarza, wniosła do gabinetu całą wyniosłość, jaką w sobie magazynowała. Podeszła do biurka szefa, udając, że nie widzi siedzącej naprzeciwko niego Alicji.

– Mamy materiał na jedynekę – powiedział Bachniarz, wskazując kartki, które leżały na skraju biurka.

Lemiesz wzięła je do ręki i usiadła na jedynym wolnym krześle w pomieszczeniu. Wyraz jej chudej twarzy, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i ostentacyjnie wymalowanymi ustami, zdawał się kwaśnieć z każdą przeczytaną linijką artykułu.

– Chcemy pisać o zatajaniu informacji o zabójstwie, powołując się na anonimowe źródło? – zapytała.

– Alicja zapoznała się z policyjnym raportem. To, co napisała, jest prawdą.

– Przytoczmy jakiś jego fragment.

– Nie możemy – odparła Alicja. – Widziałam go tylko przez chwilę.

– Mogłaś zostać zmanipulowana przez kogoś, kto chce zaszkodzić policji.

– Z całą pewnością zostałam zmanipulowana – przyznała Alicja. – Ale raportu nie sfalszowano.

– Skąd wiesz?

– Bo był bardzo precyzyjny i fachowy. To, co opisałam w artykule, widziałam też na zdjęciach. Ręczę za prawdziwość tych informacji.

Lemiesz odwróciła się do redaktora naczelnego i uniosła kartki.



– Możemy sobie zaszkodzić tą publikacją. Będzie dym.

– I dobrze. – Marek Bachniarz uśmiechnął się zawadiacko. – W końcu o to chodzi w naszej pracy, prawda?

– Nie jesteśmy tabloidem. Nie powinniśmy szukać sensacji. Co ten tekst wnosi do sprawy? Jaką niesie ze sobą wartość?

Lemiesz rzuciła szefowi wyzywające spojrzenie. Wiedziała jednak, że nie wpłynie tym na jego osąd. On już podjął decyzję. Spoglądał na dwie atrakcyjne młode kobiety, zacięcie próbujące udowodnić swoje racje, ale tak naprawdę widział schodzący z kiosków nakład. Nie słyszał, o czym rozmawiają, tylko odgłos brzęczących złotych w napełniającej się kabzie wydawnictwa. Nie myślał o tekście, który otworzy kolejne wydanie prowadzonej przez niego gazety, lecz o zgrabnych zdaniach, które będzie nazajutrz recytować wydzwanającym do niego dziennikarzom.

– Nie martw się, artykuł się obroni. Zadbajmy tylko o to, żeby był porządnie napisany. Wstępnie go zredagowałem, ale trzeba jeszcze rzucić na niego okiem. I skrócić co najmniej o szpalte. Zajmij się tym.

Lemiesz zwinęła kartki w rulon. Niechętnie pokiwała głową. Zanim wyszła z gabinetu, rzuciła Alicji spojrzenie bazyliuszka.

– Wyślij mi ten tekst – powiedziała.

Kiedy Lemiesz znalazła się na korytarzu, wystukując w gwarze toczonych rozmów drogę do swojego gabinetu, Bachniarz odwrócił się w stronę Alicji.

– A ty wróć do domu, zrób sobie drinka, a potem porządnie się wyśpij. Jutro twój telefon rozdzwoni się jak nigdy dotąd.

**C**zterdziestoletnie ciało Edyty Ptak, żony Witolda, wyglądało znacznie młodziej, niż sugerowałyby to jej metryka. Przynajmniej w oczach męża, który leżąc obok niej na ich wysłużonym łóżku, z najbliższej odległości przyglądał się jej sylwetce. Choć jego ramię – owłosione, zwaliste i naznaczone kilkunastocentymetrową blizną, pamiątką z pierwszych lat pracy w policji – przy jej efektownym ciele przypominało radioaktywny odpad, Edyta oplotła się nim niczym kołdrą. Wsunęła jego nienaturalnie dużą dłoń pod policzek i zasnęła.

Kiedy się obudziła, Witold już nie spał. Chciał zabrać spod jej delikatnego tułowia swoje masywne łapsko, które zdążyło ścierpnąć przez noc, ale instynktownie zaprotestowała. Ścisnęła jego dłoń i wciągnęła głębiej pod głowę. Witold przysunął się do żony. Całym sobą poczuł ciepło wygrzanej pod kołdrą skóry. Edyta uniosła biodra. Ich ciała były teraz idealnie złączone, oddech nierównomierny, ale zsynchronizowany. Jakby stanowili jeden pobudzony organizm, który oddał się we władanie instynktowi.

Witold położył wolną dłoń na delikatnym ramieniu żony i rozpoczął powolną wędrówkę w dół. Zatrzymał się na biodrach. Jego usta przywarły do karku Edyty,

a chwilę później przesunęły się w stronę ucha. Dłoń znów powędrowała niżej, na wysokość łona. I wędrowała dalej, przesuając się wzdłuż satynowych majtek.

Kiedy znalazła się pomiędzy jej delikatnie rozchylonymi udami, stojący na nocnej szafce budzik przeraźliwie zawył.

Edyta gwałtownie odsunęła się od męża. Wyłączyła budzik, parokrotnie uderzając go na oślep. Podniosła się z łóżka, włożyła szlafrok i wyszła z pokoju. A razem z nią ulotniła się normalność, która po raz pierwszy od wielu tygodni zagościła w ich sypialni.

Kwadrans później Witold wszedł do kuchni. Włączył czajnik i zaczął myć brudne naczynia, które zostały w zlewie po kolacji. Zwykle tego nie robił, ale nie mógł stać beczynnym i czekać, aż woda zacznie bulgotać. Jego myśli miałyby wówczas zbyt dużo swobody. Gdy odkładał na suszarkę ostatni talerz, pojawiła się Edyta, z ręcznikiem owiniętym wokół tułowia i włosami związanymi w prowizoryczny kok. Nadal nie wyglądała na czterdziestolatkę.

– Napijesz się kawy? – zapytał.

– Wypiję w pracy.

Unikając spojrzenia męża, podeszła do lodówki. Wyciągnęła karton soku pomarańczowego, napełniła szklankę i opróżniła ją jednym haustem. Poranny rytuał.

– Zjesz śniadanie?

– Później – odparła lapidarnie. – Przypilnuj, żeby dziewczyny nie zasnęły do szkoły.

Dawniej, zanim ich sporadyczne kłótnie przerodziły się w regularną, tylko odświętnie zawieszoną wojnę, Witold uwielbiał uczestniczyć w porannej krzątaniu żony. Gdy ona wybierała odpowiednie ubrania, malowała się, suszyła włosy i robiła masę innych rzeczy, którymi mężczyźni nie musieli zaprzętać sobie głowy, on szedł do sklepu, parzył kawę, przygotowywał śniadanie dla siebie, Edyty oraz ich córek, a potem pomagał żonie usprawnić czasochłonne przygotowania do wyjścia z domu. Odkąd ich relacje się popsuły, miał zakaz wstępu do jej porannego świata. Przestał być jego częścią. Edyta odizolowała go od siebie całkowicie,

wyciszając nawet rumor, który zwykł towarzyszyć porannym zmaganiom. Dopiero gdy wychodziła z mieszkania, jej obcasy zaczynały głośno i miarowo uderzać o podłogę. A każde stuknięcie boleśnie przypominało Witoldowi, ile szczęścia przez te wszystkie lata przelatywało mu koło nosa.

Jestem kompletnym kretynem, pomyślał. Takim samym kretynem jak on – dodał w myślach, patrząc na nazwisko, które wyświetliło się na ekranie wibrującego telefonu.

– Mam dwie wiadomości – wychrypiał Kawęcki.

– Dobrą i złą?

– Obie są dobre. Choć to może zależeć od punktu widzenia.

Witold usłyszał trzaśnięcie drzwiami, a następnie brzęk klucza przekręcanego w zamku. Stukot obcasów milknął z każdym pokonywanym przez Edytę schodkiem, aż zupełnie zginął w rechocie i przekleństwach robotników wylewających asfalt przed blokiem. Piękno zostało przysypane gównem.

– Słuchasz mnie?

– Mów.

– Mam pewien trop, który chcę sprawdzić. Chciałbym, żebyś mi w tym pomógł.

– Co to za trop?

– Zwierzęcy. Dowiedziałem się, w jaki sposób nielegalnie handluje się w Łodzi psami.

– O czym ty mówisz?

– Głównie agresywnymi. Takimi, które wykorzystuje się do walk. Albo do obrony. Albo w charakterze gwiazd zwierzęcej pornografii.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Opowiem ci, kiedy się spotkamy. Ile czasu potrzebujesz, żeby do mnie przyjechać?

Witold spojrzął na zegarek. Za dziesięć minut powinien obudzić córki.

– Jaka jest druga wiadomość? – zapytał.

– Znalazłem kolejną ofiarę.

– Jak się nazywa?

– Katarzyna Wolańska. Dziewiętnaście lat. Sprawca zadał jej kilkadziesiąt ciosów ostrym narzędziem. Najprawdopodobniej niewielką siekierą albo toporkiem.

– Gdzie ją znaleziono?

– Na obrzeżach Lasu Łagiewnickiego, niedaleko jej domu. Śledczy uznali, że zabił ją niejaki Rafał Turski. Jej chłopak. Pokłóciła się z nim dzień przed śmiercią. Ona się uparła, żeby zostać na studia w Łodzi. On chciał wyjechać. Kilka osób widziało, że niemal doszło do rękoczynów.

– Siedzi? – zapytał Witold, pochylając się na krzesło i podnosząc z biurka plik dokumentów przygotowanych przez Kawęckiego.

– Leży. Powiesił się, zanim został zatrzymany. Zrobił to w mieszkaniu swojej babci. Kiedy ona niczego nieświadoma popijała herbatkę i oglądała jakieś pierdy w telewizji, on dyndał na sznurze w sąsiednim pokoju.

– Uroczo.

Witold sięgnął po papierosa i włożył do ust. Kawęcki bezwiednie go spapugował.

– Śledczy uznali, że Turski jest zabójcą, ponieważ znaleźli jego nasienie w pochwie ofiary. Jej narządy płciowe były poranione, więc doszli do wniosku, że wpadł w szal, zgwałcił ją, a potem zabił. Poza tym znaleźli przy nim fotografię zwłok.

– Dlaczego uważasz, że tego nie zrobił?

Kawęcki odebrał Witoldowi materiały, pospiesznie je przewertował i wyciągnął spomiędzy nich zdjęcie. Znajdowała się na nim młoda brunetka oraz chudy chłopak, który wydawał się od niej nieznacznie starszy. Oboje byli elegancko ubrani i roześmiani. Fotografia prawdopodobnie została zrobiona w dniu, w którym zdawali maturę. Za ich plecami widniała betonowa fasada szkoły.

– Podobna do Martyny Bułeckiej, ale nie tak wyraźnie jak Justyna Kepler – ocenił Witold.

– To spójrz na to. – Kawęcki podniósł się z krzesła, przeszedł na drugi koniec pokoju i ukucnął, aby z rozrzuconej na podłodze sterty papierów wydobyć dwa

zdjęcia. – Co widzisz? – zapytał, podając je koledze.

Witold zestawiał ze sobą fotografie dwóch skąpo odzianych dziewczyn, Justyny Kepler i Katarzyny Wolańskiej.

– Dwie cysate nastolatki. Powiniennem zauważyć coś jeszcze?

– Nogi. Długie i zgrabne.

Witold zgasił papierosa, rozparł się na krześle i głośno westchnął.

– Kiedy ta dziewczyna została zamordowana?

– Jedenaście lat temu.

– Jak ją znalazłeś?

– Miałem sporo wolnego czasu w weekend, więc postanowiłem poszerzyć zakres naszych poszukiwań.

Kawęcki stanął przed Witoldem z rękoma splecionymi na klatce piersiowej i podbródkiem przyklejonym do szyi. Przypominał kucharza, który nie zazna spokoju, dopóki klient nie wchłonie wszystkiego, co dla niego przygotował. Brakowało mu jedynie wałka. I paru kilogramów.

– Ona mogła być pierwsza – powiedział Kawęcki.

Witold przejechał dłonią po twarzy, zostawiając na wysuszonej skórze ślady palców. Rozejrzał się po pokoju, w którym stało tylko kilka mebli: nieduża podniszczona kanapa, mały kwadratowy stół i jedno drewniane krzesło, nie licząc tego, na którym siedział. Najwięcej przestrzeni zajmowały rozrzucone na podłodze materiały. Setki, może nawet tysiące kartek, zawierających raporty, stenogramy, zdjęcia i notatki. Część starannie posegregowana, część pozostawiona w bezkształtnym nieładzie. Gdzieś pomiędzy nimi leżał odłączony od zasilania laptop i brudne kubki po kawie. Nigdzie nie dostrzegł talerzy, okruchów, resztek jedzenia ani niczego, co mogłoby sugerować, że stworzenie zamieszkujące tę jamę żywi się tym samym co ludzie.

– Wiesz, czego się obawiam? – Witold spojrzał na Kawęckiego, który przez cały czas wlepił w niego świdrujące spojrzenie. – Że to wszystko może być twoją nadinterpretacją. A jeżeli tak, to szukamy dziury w całym. Tropimy jakiegoś wyimaginowanego rzeźnika, zamiast skupić się na szukaniu zabójcy Bułeckiej.

Kawęcki chwycił krzesło, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. Ręce złączył przed sobą, złapawszy się za nadgarstek.

– Spotykałem się już z zabójstwami popełnionymi w afekcie przez nastolatków. Sporo też na ten temat czytałem. Zdarzało się, że chłopak stracił nad sobą kontrolę i zbyt mocno uderzył dziewczynę. Ona upadła, uderzyła się w głowę i umarła, a on w akcie rozpaczony skończył ze sobą. Rzadko, ale się zdarzało. Nie słyszałem jednak, żeby ktoś z poczucia winy popełnił samobójstwo po zrobieniu czegoś takiego. – Kawęcki wskazał palcem leżące na biurku zdjęcie zmasakrowanego ciała Katarzyny Wolańskiej. – A jeszcze bardziej mnie zastanawia, po co, zanim się powiesił, miał zostawić w mieszkaniu zdjęcie upamiętniające jego wyczyn. Zupełnie jakby chciał, aby śledczy nie mieli wątpliwości, że to on jest sprawcą. Żeby znanadto nie zagłębili się w tę sprawę. Chłopak, owszem, zabił się z żalu, ale tylko dlatego, że zginęła dziewczyna, którą kochał, a nie dlatego, że posiekał ją w lesie. Zastanów się nad tym – powiedział, podnosząc się z krzesła. – I wskaż błąd w moim rozumowaniu. O ile jesteś w stanie.

Witold przyjrzał się Kawęckiemu. Rany, które zadał sobie ponad tydzień temu, kiedy zamoczony alkoholem przewracał się we własnym mieszkaniu, już się zagoiły. Cienki zarost, nierówno pokrywający jego twarz, znikł. Roztrzepane włosy sięgnął w minimalny kucyk. Dzięki temu wyglądał młodziej, ale jednocześnie poważniej. Godniej. Mimo podkrążonych oczu, świadczących o zmęczeniu, niewyspaniu i cholera wie czym jeszcze, był silnie pobudzony. Jak człowiek, który właśnie przyjął strzał adrenaliny. Jak desperat stojący nad przepaścią.

– Nie potrafię – powiedział Witold. – Nie siedzę w tym tak głęboko jak ty. Poza tym mój ogląd sytuacji został zmanipulowany przez to, co mi powiedziałaś. Ale to nie zmienia faktu, że tego wszystkiego jest za dużo. Bułeczka, Kepler, twoja wizyta w psychiatryku, a teraz jeszcze zabójstwo sprzed jedenastu lat. – Podrapał się po brodzie, a następnie pokręcił głową. – To po prostu zaczyna wyglądać na obsesję.

– Tak uważasz? – zapytał Kawęcki, stając na środku pokoju. – A według mnie brak zainteresowania tymi sprawami wygląda na niekompetencję. I akt złej woli.

Witold podniósł się z krzesła, włożył ręce do kieszeni i zaczął przechadzać się

po pokoju. Przyglądał się dawno nieodświeżanym beżowym ścianom, które kiedyś były białe, i wytartym plamom na podłodze, w miejscach przez lata zajmowanych przez meble. Stał przed oknem. Zaciągnął się wpadającym przez lufcik powietrzem, próbując odseparować je od papierosowego smrodu, którym przesiąkło mieszkanie.

– Kiedy ostatnio piłeś?

Kawęcki parsknął, zanurkował do kieszeni i drżącymi ze zdenerwowania palcami wyciągnął z miękkiej paczki papierosa.

– A więc o to ci, kurwa, chodzi – warknął. – Zamiast zagłębić się w to, spróbować dowiedzieć się, co tu się, kurwa, wyprawia, próbujesz wymigać się od odpowiedzialności, zrzucając winę na mój alkoholizm. Jeżeli nie stać cię na to, żeby rzetelnie wykonać swoją pracę, otwarcie się do tego przyznaj. Najpierw przed sobą. Potem przede mną.

– Odpowiedz.

Kawęcki wycelował w niego palec wskazujący.

– Nie będę się przed tobą spowiadać.

– Nie musisz.

– Spierdalaj.

Witold przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozszerzoną twarz Kawęckiego, a potem wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia. Zanim jednak opuścił mieszkanie, zatrzymał się w przedpokoju. Po chwili namysłu wszedł do kuchni. Otworzył szafkę pod zlewem i zajrzał do kosza. Był prawie pusty. Obok niego stały dwa kilkudziesięciolitrowe worki na śmieci, wypełnione po brzegi i szczelnie zamknięte. Potrząsnął nimi, spodziewając się usłyszeć charakterystyczny odgłos uderzających o siebie butelek. Ale usłyszał jedynie szelest śmieci. Wrócił do pokoju.

– O co chodzi z tym handlem psami? – zapytał Witold.

Kawęcki stał odwrócony do niego tyłem i wpatrywał się w jakieś zdjęcia. Nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął nad głowę środkowy palec. I trzymał go w górze tak długo, aż usłyszał trzaśnięcie drzwiami.



Kilkanaście lat temu uskarżającego się na kryzys twórczy pisarza Jakub Możejko uznałby za idiotę albo darmozjada. A w najlepszym wypadku – za beztalencie. Sam pisarskich blokad nie miewał. Nigdy nie cierpiał na niemożność zlepiania w spójną całość notatek i chaotycznie rozrzuconych w głowie myśli. Uważał, że trudności z budowaniem literackiej rzeczywistości mają jedynie ci pisarze, którzy nigdy nie powinni nimi zostać. Tacy, którzy nie mają prawa wzbić się ponad poziom szmatławych opowiadań i skretyniałych powieści sprzedawanych w dyskontach. Przygłupi blogerzy, domorośli grafomani, pseudoredaktorzy porywający się na zadania przewyższające ich skromny intelekt, znikomą wrażliwość i niewytłumaczalnie duże ego.

Ale kiedy kilkanaście lat temu Jakub Możejko zasiadał do pisania, z tyłu głowy majaczyły mu jedynie przyziemne problemy. Martwiły go błahe rozważania na temat zasadności robienia kariery naukowej i równoległego zaspokajania własnych żądz, które już wtedy uważał za nadmierne i niepokojące, czy poszukiwania dodatkowych środków pieniężnych. Żadne z tych zmartwień nie było w stanie zahamować jego literackich zapędów. Wręcz przeciwnie – wzniecały drzemiące w nim pokłady determinacji i ułatwiały codzienne wypluwanie kilku stron tekstu. Jako początkujący pisarz nie martwił się bezpłodnością twórczą, lecz tym, że nie jest w stanie pisać wystarczająco dobrze; na tyle wnikliwie, by nie zostać posądzonym o brak wiedzy, na tyle czytelnie, żeby nikt nie uznał go za grafomana, na tyle ciekawie, żeby jego wypociny nie stały się alternatywą dla srajtaśmy w podrzędnym wydawnictwie. Wszystkie te obawy udało mu się rozwiązać pierwszą książką, katapultą do literackiej ekstraklasy. Do elity, z którą się nie identyfikował, ale do której zawsze chciał przynależeć.

Gdy Możejko myślał o tych czasach, odnosił wrażenie, że upłynęła od nich cała wieczność. I że człowiek, którego pamiętał z tamtego okresu, przeobraził się w jakąś dziwną kreaturę. W żalosny wybryk genetyki, który osiągnąwszy idealny dla pisarza wiek, zaliczał intelektualny regres. Czuł się jak pianista, który jednocześnie tracił słuch i czucie w palcach, zamieniając się w bezużyteczną kreaturę. Jak piłkarz, który okulał w przeddzień finału mistrzostw świata. Jak

dziecko, które siedząc na środku piaskownicy, zapomniało, do czego służą foremki.

Pociągnął łyk silnie skropionej cytryną herbaty. Wykrzywił usta. Odsunął kubek na bok i przyciągnął do siebie laptopa. Zamiast pliku tekstowego, który powinien przeobrażać się w jego następną powieść, uruchomił odtwarzacz muzyki. Przejrzał listę piosenek. Spośród kilku tysięcy utworów, głównie jazzowych i klasycznych, przez lata skrupulatnie selekcjonowanych, dobieranych na podstawie własnych upodobań muzycznych i nastrojów, nie był w stanie wybrać ani jednego, który miałby ochotę usłyszeć. Ani jednego, którego czułby się godzien. Niemoc literacka ewoluowała i zainfekowała inne obszary jego mózgu. Odebrała mu moc decyzyjną. Do tego stopnia, że w końcu wyłączył odtwarzacz i zdenerwowany odsunął się od biurka.

Rozejrzał się po pokoju. Jego pracownia mieściła się na dziesięciu metrach kwadratowych podłużnego pomieszczenia. Dwa regały wypchane książkami, obrotowe krzesło i proste dębowe biurko, oświetlone promieniami słonecznymi wpadającymi przez potężne nagie okno. Możejko wierzył, że minimalizm wspiera twórczość, bo nie pobudza spowalniających pracę dystraktorów. Tyle że nie był receptą na wszystko. Nie potrafił poskromić destrukcyjnej wyobraźni ani wspomnień. Zwłaszcza tych najświeższych.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł irytujący dźwięk. Cholerny iPhone'owy dzwonek. Kiedy Możejko szedł po telefon, jeszcze nie wiedział, czy go odbierze, czy wyrzuci przez okno.

– Mamy problem, doktorze – oznajmiła przejętym głosem profesor Zofia Grajewska, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego i bezpośrednia przełożona Możejki. – Czy śledzi pan, co się dzieje od rana w mediach?

– Nie, nie oglądam telewizji.

Możejko usłyszał, jak Grajewska nabiera powietrza w płuca i wymownie je wypuszcza.

– Właśnie dostałam telefon od władz uczelni w pana sprawie. A jedna z gazet poprosiła mnie o ustosunkowanie się do tego, co pan powiedział na temat Martyny

Bułeckiej.

– Nie bardzo rozumiem – stwierdził Możejko, czując, jak gigantyczny głąz przygniata jego żołądek. – Tylko raz wypowiedziałem się na temat Martynty, kilka dni temu. Nie wydaje mi się, żebym powiedział coś niestosownego czy kontrowersyjnego.

– Nie chodzi o to, co pan powiedział, lecz o to, w jakiej sprawie zabrał pan głos. Zresztą proszę włączyć telewizor.

– Nie mam telewizora.

– To proszę zajrzeć do internetu.

Możejko wrócił do pokoju i ponownie usiadł przy biurku. Wąskie pomieszczenie wydało mu się nagle chorobliwie klaustrofobiczne. Jak pokój bez klamek wbudowany w przestrzeń pod schodami. Albo szafa, z której wypadają trupy.

– Gdzie mogę to znaleźć? – zapytał.

– Myślę, że o tej porze już wszędzie.

Możejko wszedł na pierwszy lepszy serwis informacyjny i przekonał się, że dziekan Grajewska nie przesadzała. Mieli problem. Większy, niż przypuszczał.

Harmonia. To słowo zabębniło w głowie Mariusza Szczebiota, kiedy zaparkował samochód i spojrzał na znajdujący się po drugiej stronie jezdni budynek Prokuratury Okręgowej w Łodzi. Między prostokątnymi oknami, z drewnianymi okiennicami przypominającymi katolickie krzyże, zachowano równe, niezbyt duże odstępy. Na końcu każdego rzędu okien znajdowały się mało funkcjonalne balkony, pełniące przede wszystkim funkcję wentylacyjną. Fasadę budynku zdobiły skromne, niewyszukane ornamenty, nieodbierające powagi miejscu, które wita przybywających skierowaną na drzwi wejściowe kamerą, czerwonymi tablicami pokrytymi nazwami instytucji państwowych i godłem Polski.

Chaos. To słowo cisnęło się Mariuszowi Szczebiotowi na usta, gdy wspinając się po schodach prowadzących do biura prokuratora Adama Wargi, wspominał to, co przez ostatnie godziny działo się w Komendzie Wojewódzkiej Policji. Nieustannie dzwoniące telefony, pokątne rozmowy zestresowanych i nieufnych

wobec siebie policjantów i wściekle rzucając wulgaryzmy. Dziennikarze osaczyli budynek niczym terroryści zamierzający wystrzelać wszystkich, którzy odważą się z niego wyłonić. Jadąc na spotkanie z prokuratorem, kilkakrotnie próbował skontaktować się z Alicją Mioduszewską, dziennikarką, której artykuł wywołał burzę. Bezskutecznie.

Głupia pizda. Te słowa Mariusz Szczebiot wyszeptywał za każdym razem, kiedy wyobrażał sobie, jak nabija głowę dziennikarki na pal.

Sekretarka wpuściła go do gabinetu Wargi i poprosiła, aby chwilę zaczekał. Stał przed biurkiem prokuratora spięty jak w dniu matury, przestępował z nogi na nogę i rozglądał się po pokoju. Wygląd pomieszczenia był dla niego sporym zaskoczeniem. Wyobrażał sobie Wargę jako zalatanego, niezorganizowanego tłuściocha, stale spóźnionego i nieustannie stąpającego po rozżarzonych węglach. Tymczasem jego biuro było schludne, niemal sterylne, jakby nikt w nim od dawna nie przebywał. Dokumenty znajdowały się w równych, precyzyjnie opisanych regałach z aktami. Na ścianie przyklejone były ogromne, składające się z kilku tysięcy elementów puzzle, przedstawiające bliżej nieokreśloną sielską scenerię. Wzorowy obraz biura mącił jedynie fotel Wargi: brudny i porysowany, z podłokietnikami wygiętymi na zewnątrz i zapadniętym siedzeniem. Przypominał znalezisko ze śmietnika.

Prokurator w końcu pojawił się w gabinecie. Pognieciona koszula wisiała na jego potężnym brzuchu. Górny guzik był rozpięty. Nalaną twarz Wargi oblewał rumieniec, a plecy pokrywała rozległa plama potu, którego smród mieszał się ze słodkim zapachem perfum. Ściskając wyciągniętą dłoń, Szczebiot odniósł wrażenie, że wita się z ciepłym stolcem rozpaćkanym na wierzchołku ręki.

– Wiesz, kto stoi za przeciekiem? – zapytał Wargę, rozlewając cielsko na zdezelowanym fotelu.

– Nie. I obawiam się, że trudno będzie to ustalić – powiedział Szczebiot. – Kilkadziesiąt osób widziało ten raport i słyszało, jak doktor Ronert opisywał, co ten zboczeniec zrobił ofierze. Jeśli dodamy do tej grupy ich kolegów i rodziny, lista podejrzanych wydłuży się do ponad stu osób.

Warga pokiwał głową, równocześnie ścierając chusteczką pot z czoła. Nie wydawał się zły. Raczej wycieńczony. Jak gdyby wysiłek wyssał z niego cały gniew. W przeciwieństwie do Szczebiota, który grubą płachtą stresu przykrył trudy nieprzespanej nocy i nerwowego poranka.

– Może jest ktoś, kto chce ci zaszkodzić? Ktoś, kogo niedawno zwolniłeś albo dla kogo jesteś wyjątkowo upierdliwy?

– Nie sędzę.

– A twoi ludzie? Ptak, Kawęcki albo Waliszewski?

– Jeśli to któryś z nich, to się dowiem – odparł Szczebiot.

– Dowiedz się. To ważne nie tylko dla sprawy, ale i dla naszej reputacji. Przed chwilą widziałem się z rzecznikiem prokuratury. Za pół godziny wyda oświadczenie, w którym poinformuje media, że zatailiśmy te informacje dla dobra śledztwa i z myślą o rodzinie ofiary. Wizerunkowo powinniśmy się trochę po tym odbić.

– Myślisz, że dziennikarze to kupią?

– Nie muszą. Ważne, żeby opinia publiczna uwierzyła, że działaliśmy w dobrej wierze. I że to te żadne sensacji chuje zafundowały matce Bułeckiej jazdę, przed którą chcieliśmy ją ustrzec.

Warga sapnął ciężko, jakby właśnie wszedł w fazę przedzawałową. Położył pulchne dłonie na biurku i zaczął miarowo bębnić palcami w blat. Intensywnie wpatrywał się w Szczebiota, ale raczej ze współczuciem niż ze złością. Wiedział, że za większością tego typu przecieków stali policjanci. Źle wynagradzani, sfrustrowani, pozbawieni wiary w sens wykonywanej pracy. Czasem niewiele różniący się od zbirów, za którymi powinni uganiać się w przerwach pomiędzy fast foodami. A czasem nieróżniący się od nich wcale.

Prokurator wstał od stołu. Podszedł do parapetu i otworzył okno, wpuszczając do środka orzeźwiający powietrze. Szczebiot w tym czasie gapił się na biurko, na którym ręce prokuratora zostawiły dwie podłużne plamy potu.

– Coś drgnęło w śledztwie? – zapytał Warga i ponownie zatopił się w fotelu.

– Sprawdziliśmy jej billingi, transakcje bankowe i maile. Prześledziliśmy

aktywność na Facebooku. Wypytałiśmy ludzi z jej otoczenia. Nie natknęliśmy się na nic kontrowersyjnego. Nie dowiedzieliśmy się nic, co mogłoby nas naprowadzić na jakiś trop. W zasadzie najdziwniejsze jest to, że tak naprawdę nie znaleźliśmy nic, co przykułoby naszą uwagę. Ale szukamy dalej.

– Czyli nie macie żadnych podejrzanych?

– Jeszcze nie. Przynajmniej nie oficjalnie. – Szczebiot spojrział na Wargę, który przyglądał mu się żabim, rozlazłym wzrokiem. – Jest jeden facet, który dobrze ją znał i nie ma alibi na dzień zabójstwa. W dodatku niechętnie z nami współpracuje. Nazywa się Jakub Możejko. Mówi ci to coś?

– Zupełnie nic.

– To znany łódzki pisarz. A przy okazji wykładowca akademicki. Był promotorem Bułeckiej i wiele wskazuje na to, że za jego sprawą zaczęła bardziej przykładać się do nauki. Kiedy go maglowaliśmy, wypowiadał się o niej bardzo pochlebnie. Trochę zbyt pochlebnie. Jest jeszcze za wcześnie, żeby go o cokolwiek podejrzewać, ale na razie to nasz jedyny kandydat – powiedział Szczebiot, nieświadomy tego, że miętosi w palcach swój pstrokaty krawat.

Warga spojrział na chusteczkę, którą kilkakrotnie wytarł czoło. Odsunął się od blatu i wrzucił mokrą białą kulkę do stojącego pod biurkiem kosza. Potem pochylił się w stronę Szczebiota. Jego potężny brzuch wbił się w kant biurka.

– Słyszałeś o Krystianie Bali? Albo o Jacku Unterwegerze?

– Nie.

– Obaj byli pisarzami. I zabójcami. Bala zaplanował, zlecił i kierował zabójstwem, które kilka lat później opisał w swojej książce. Po procesie poszlakowym został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia za morderstwo gościa, z którym jego żona rzekomo miała romans. Ktoś ostatnio nawet nakręcił o nim film. Unterweger natomiast to austriacki pisarz, dziennikarz i celebryta, a przy okazji seryjny zabójca, który koncertowo wykiwał psychiatrów. Najpierw im wmówił, że jest wzorem udanej resocjalizacji, a potem jako dziennikarz zaczął relacjonować własne zabójstwa. – Warga uśmiechnął się szeroko. Cienki strumień potu spłynął z jego pulchnego różowego policzka. – Nie zastanawiaj się, czy to

możliwe, żeby znany pisarz był zabójcą. Zastanów się, dlaczego mógł nim zostać.

Adam Warga odprowadził Szczebiota do wyjścia i zamknął za nim drzwi. Wrócił na swój zdezelowany fotel i wydobyl z szuflady paczkę chusteczek higienicznych. Najpierw starł pot z czoła, a potem plamy, które jego tłuste ręce zostawiły na blacie. Z wąskiej kieszeni spodni, ciasno opinających jego serdelkowate nogi, wyciągnął pęk kluczy. Schylił się i jednym z nich otworzył najniższą szufladę biurka; jedyną, do której dostępu bronił zamek, jedyną, która nie zawierała dokumentów i przewiązanych sznurkiem tekturowych teczek, lecz kable, ładowarki, pendrive'y i telefony, stare, toporne i niezawodne nokie. Oraz filigranowy piórnik wypchany kartami prepaid, zarejestrowanymi na ludzi, których nigdy nie widział na oczy. Wyciągnął pierwszy z brzegu telefon i włożył do niego kartę. Kiedy go uruchomił, drżącymi palcami wystukał esemesa. Przeczytał go parokrotnie. Wpisał numer, który znał na pamięć, i wysłał wiadomość. Kiedy to zrobił, wyciągnął kartę, rzucił ją na podłogę i zmiażdżył obcasem. Jej resztki zawinał w chusteczkę i cisnął do kosza. Na wszelki wypadek.

Westchnął głęboko i rozejrzał się po biurze. Nagle wydało mu się klaustrofobicznie małe. Przypominało pokój, w którym się wychował. Posępna klitka na poddaszu, z wąskimi, pokrytymi szarym osadem oknami, wpuszczającymi ciepło, ale nieprzepuszczającymi światła. Kwadratowe piekło ulokowane nad pokojem jego rodziców. Nad innym piekłem. Położył łokcie na biurku i oparł głowę na dłoniach. Zamknął oczy.

Miał wrażenie, że jego rozpalone do czerwoności ciało w każdej chwili może eksplodować. Jak gigantyczna fabryka potu, w której przepalił się reaktor. Wsłuchiwał się w ciężki oddech studwudziestokilogramowego mężczyzny. W zwiastujący miażdżycę, zawał albo wylew żalorny charkot, który umilkł dopiero pod ciężarem posępnych rozważań o rzeczywistości.

Otworzył oczy i spojrział w stronę okna. Zaczęło padać. Bębniące w parapet krople deszczu zsynchronizowały się z kroplami potu spadającymi z jego skroni na biurko.

Widoczność pogarszała się z każdą sekundą. Tomek Kawęcki przyglądał się kroplom deszczu rozbijającym się o powierzchnię przedniej szyby jego samochodu. Rozkawałkowały się, aby po chwili się gromadzić i przyjmować podłużne, spływające w kierunku ciepłej maski formy, za którymi masowo ciągnęły następne, jak lemingi, powielając ten jednocześnie destrukcyjny i kreacyjny proces.

Upłynęło wiele lat, odkąd Kawęcki był w takiej sytuacji. Schowany w ciepłym wnętrzu samochodu, podczas gdy na zewnątrz panował chłód i szalała ulewa. Z termosem gorącej kawy. Lornetką. Pistoletem. Godzinami wachający smród papierosów, który wgryzał się w tapicerkę. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni prowadził samochód ani kiedy miał przy sobie nabitą broń, ale doskonale pamiętał wszystkie policyjne obserwacje, w których uczestniczył. Był w nich dobry. Cholernie dobry. Cierpliwy, spostrzegawczy i opanowany. Chorobliwie zawzięty. I nienawidzący przegrywać.

Nie miał pojęcia, jak dużo z tamtej osoby w nim zostało.

Na fotelu pasażera rozłożył mapę województwa łódzkiego. Zweryfikował zaznaczony na niej punkt z lokalizacją, którą wskazywał mu GPS. Był tam, gdzie być powinien: w samym sercu Lasu Łagiewnickiego, jednego z największych miejskich kompleksów leśnych w Europie, który od północy obrastał aglomerację łódzką. Znajdował się kilkaset metrów od jedynej w okolicy drogi, uczęszczanej rzadko albo wcale. Zaparkował pomiędzy ogołoconymi drzewami. Wyłączył silnik i czekał. Przez uchylone okno próbował wyłapać dźwięki otoczenia, ale dobiegało do niego jedynie nasilające się rżenie deszczu, które zagłuszało nawet jego burczący brzuch. Raz na jakiś czas sięgał po noktowizyjną lornetkę i spoglądał na oddaloną o jakieś sto metrów drewnianą chatę, wciśniętą w poturbowaną przez zimę leśną głuszę.

Spojrzał na telefon, żeby po raz ostatni się upewnić, że nie popełnił błędu. Kilka godzin wcześniej Marcel Rojek wysłał mu zrzut ekranu z mapy Google. Okraślił go zwięzłą wiadomością.

*Drewniana chata w Łagiewnikach.*



*Agresywne psy: amstaffy, pitbulle, dogi argentyńskie.*

*Poniedziałek. Godz. 18.00.*

Było pięć po osiemnastej. Za szybą coraz bardziej zamazany obraz przebijał się przez coraz intensywniejszy mrok. Kawęcki zapalił światło i spojrzął w lusterko wsteczne, choć obiecywał sobie, że tego nie zrobi. Ani teraz, ani nigdy. Spod cienkich włosów opadających na czoło wyłaniała się szczurza twarz. Gdyby była wolna od bruzd i zmarszczek, mogłaby należeć do kogoś innego, młodszego o dwadzieścia pięć lat. Do wychudzonego nastolatka, głodzącego się z powodu zawodu miłosnego albo właśnie odkrytej dysfunkcji seksualnej. Albo do pogrążonego w depresji gnojka. Tylko oczy, które się nie starzeją, które mają zapisany na tęczęwkach niezmienny obraz swojego właściciela, były dokładnie takie same jak dwadzieścia pięć lat temu. Puste. Pozbawione wyrazu. Pozbawione nadziei.

O osiemnastej piętnaście ciemność ustąpiła. Dwa snopy światła wdarły się w las i na ułamek sekundy oświetliły samochód Kawęckiego. Komisarz sięgnął po lornetkę. Niewielki sedan przedzierał się przez leśną dróżkę – wąską i zarośniętą do tego stopnia, że tylko kierowca, który dobrze ją znał, odważyłby się nią jechać. Kiedy auto wyłoniło się z chaszczki, światła ponownie skierowały się w stronę Kawęckiego. Chwilę później zgasły.

Pojazd zatrzymał się kilkanaście metrów przed chatą. Kierowca wyłączył silnik. W aucie znajdowali się dwaj mężczyźni, o których Kawęcki nie byłby w stanie wiele powiedzieć. Ich twarze skrywały się za głęboko nasuniętymi na czoło czapkami z daszkiem i szczeciniastymi czarnymi brodami. Kimkolwiek byli, na pewno nie chcieli, żeby ktoś ich rozpoznał.

Mżawka w końcu przekształciła się w głośną i rzęsistą ulewę, a widoczność zmalała niemal do zera. Kawęcki zdołał jednak zauważyć kolejne dwa snopy światła, które przebiegły przez ogołoceny las i zniknęły. Otworzył szeroko drzwi, wiedząc, że w tych warunkach i tak nikt go nie zauważy. Wydostał się z pojazdu i zaczął biec po nasiąkającej wodą ziemi, miękkiej, błotnistej i nieprzyjaznej. Dotarł do oddalonego o kilkanaście metrów drzewa i się zatrzymał. Wychylił się

zza pnia i uniósł do oczu lornetkę.

Drugi samochód zaparkował za zbudowaną z drewnianych bali chatą, która przesłaniała Kawęckiemu widok. Na szczęście komisarz wyraźnie widział mężczyzn, którzy w końcu wysiedli z pierwszego auta. Kierowca rozejrzał się na boki i wolno ruszył przed siebie. Był spięty i poruszał się niezgrabnie, tak jak ludzie, którzy mają ponadprzeciętnie krzywe nogi. Albo którzy nie nawykli do trzymania za paskiem spodni pistoletu. Pasażer, który palił papierosa i próbował osłonić żar przed zajadłe zacinającym deszczem, podążył za nim. Zatrzymali się przed wejściem do chaty. Chwilę później zza budynku wyłonił się trzeci mężczyzna, zdecydowanie wyższy i potężniejszy od nich. Miał siwy zarost i długą zimową czapkę z pomponem. Delikatnie kulał. To on przyprowadził psa – atletycznie zbudowaną bestię o białym umaszczeniu. Brytan nie szarpał się na smyczy i nie szczekał, ale nawet z odległości kilkudziesięciu metrów dało się dostrzec nienaturalne napięcie jego ciała. Podskórne pobudzenie, które utrzymywało go w permanentnej gotowości do ataku.

Dog argentyński. Wyhodowany do polowania na siedemdziesięciokilogramowe pumy.

Wytresowany do zabijania. I cholera wie czego jeszcze.

Mężczyźni weszli do chaty. Kawęcki sięgnął do kabury i z pistoletem trzymany w obu dłoniach ruszył w stronę budynku. Posuwał się wolno i z mozolem. Przemoczone ubranie ciągnęło do ziemi jego wątle, odzwyczajone od wysiłku fizycznego ciało. Mokre włosy smagały go po twarzy i wpadały mu do oczu. Co chwila wyrastały przed nim pozbawione koloru zarośla. Z każdym krokiem las stawał się coraz bardziej nieprzystępny.

Gdy dotarł pod chatę, otoczoną płytkim zagłębieniem, które szybko napełniało się wodą, nie usłyszał szczekania, lecz ożywioną wymianę zdań. Dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą w nieznanym mu języku, prawdopodobnie po ormiańsku albo gruzińsku. Byli podekscytowani. Albo przestraszeni. Zapewne z powodu obecności niemej bestii.

Komisarz ostrożnie przywarł plecami do zbudowanej z drewnianych bali chaty.

Próbował zapanować nad szalejącym tętnem i wyrównać oddech. Uniósł głowę i zobaczył dym wydobywający się z niewielkiego niezabudowanego okna. Odpiął przyczepioną do spodni lornetkę i położył ją na ziemi. Zaczął powoli okrążyć chatę. Pochylił się, żeby precyzyjnie się pomiędzy wystającymi z narożników budynku drewnianymi palami, a następnie wyjrzał za róg. Zobaczył drugi samochód – zaparkowanego w niewielkim wyżłobieniu minivana bez tablic rejestracyjnych. Kawęcki podszedł do niego i zajrzał do środka. W samochodzie nie było nikogo. Na siedzeniu leżał tylko rozpięty plecak; wystawała z niego torba z psią karmą.

Komisarz wrócił po swoich śladach na tył budynku i zatrzymał się tuż obok okna, z którego wydobywał się dym. Odgarnął włosy z twarzy i wziął kilka głębokich oddechów. Przyłożył dwa palce do szyi i przez kilkanaście sekund liczył uderzenia tętnicy. Łomotała zbyt intensywnie, aby nad nią zapanować. Zbyt zaciekle, by pozwolić mu opracować plan działania. Musiał improwizować. I za wszelką cenę przestać myśleć, co się stanie, jeżeli dog skoczy mu do gardła, a on nie zdąży pociągnąć za spust.

Przesunął się o pół metra i przez powstałą w spróchniałych balach lukę zajrzał do wnętrza chaty. Wyglądający jak bracia cudzoziemcy stali obok siebie w jednakowych pozach, z rękoma splecionymi na klatce piersiowej, i trwożliwie wpatrywali się w olbrzyma, który trzymał na rękach psa. Gładził bestię po głowie, a ta kornie się na to godziła. Twarz olbrzyma pokrywała sztuczna siwa broda, ledwo odsłaniająca wykrzywione w uśmiechu usta i guzikowate oczy, którymi gapił się na zziębnięty pysk psa. Jakby próbował zahipnotyzować bestię.

Kawęcki usłyszał za plecami chlupnięcie i odruchowo odsunął się od wnęki. Ale zanim zdążył się odwrócić, przed oczami stanęła mu ciemność.

**M**acie ochotę? – zapytał Waldemar Piątek i demonstracyjnie uniósł butelkę. – Nie? Wasza strata.

Pomimo chorobliwie trzęsących się rąk zdołał wypełnić kieliszek po brzegi wódką, nie roniąc ani jednej kropli. Sprawnie chwycił go dwoma brudnymi palcami, które przypominały wysuszone patyki, i uformował usta w dzióbek. Następnie wlał do gardła zawartość kieliszka. Wolno i z gracją. Chrząknął, mocno zaciągnął się papierosem i wytarł usta w rękaw znoszonego swetra.

Witold spojrział na Artura. Dał mu znak, by razem z nim wyszedł z mieszkania. W korytarzu stanęli naprzeciwko siebie.

– Pamiętasz, żeby kiedyś na początku marca tak lało? – zapytał na półpiętrze Artur, wskazując okno, w które łomotał deszcz. – Niedawno kupiłem sobie buty. Już cztery razy zdążyłem je zamoczyć. Po tygodniu noszenia wyglądają, jakbym je wyciągnął psu z dupy.

Witold pokręcił głową. Spojrział na przemoczone nogawki swoich spodni. Potem przeniósł wzrok na mokre buty Artura. I tak wyglądają lepiej od moich adidasów, pomyślał.

– Co o nim sądzisz? – zapytał.

– Sądzę, że tracimy czas – odparł Artur, wciąż gapiąc się w okno. – To chlor. Może nam co najwyżej powiedzieć, gdzie jest najbliższa meta i ile kosztuje w niej połówka.

– Podobno nieźle orientuje się w tym, co dzieje się w klatce. Dwie osoby powiedziały, że jeśli ktoś może wiedzieć, co się tutaj stało, to właśnie on. Mieszka tu od dawna. I nigdy nie wychodzi.

– Pewnie dlatego, że wóda odjęła mu zdolność chodzenia.

– Nie jesteś zbyt sceptyczny?

– W ogóle nie jestem sceptyczny. Jestem pewien, że to kurewska strata czasu.

Policjanci spojrzeli sobie głęboko w oczy. Obaj dostrzegli w nich to samo: wycieńczenie i rezygnację, które widuje się u osób skrajnie zmęczonych albo nienawidzących swojej pracy.

– Dajmy mu szansę – zdecydował Witold. – Zmusimy go, żeby zaczął gadać.

Gdy wrócili do pokoju, siwy mężczyzna o przeoranej bruzdami twarzy i mętym wzroku majstrował przy przestarzałym radioodbiorniku, który nieprzyjemnie trzeszczał. Z ust Piątka zwisał papieros, a właściwie filtr i popiół, które z niego zostały. W powietrzu unosił się drażniący smród moczu, sfermentowanego alkoholu i papierosów.

– Jeśli się dowiemy, że coś pan przed nami ukrywa, czekają pana poważne konsekwencje. To, że miał pan już problemy z prawem, dodatkowo zadziała na pana niekorzyść. – Witold przesunął krzesło i mimo obrzydzenia usiadł tuż obok pijaka. – To co, powie nam pan coś ciekawego czy woli odpowiadać za utrudnianie śledztwa?

Waldemar Piątek zakasłał spazmatycznie, ale już po chwili znowu zaczął się uśmiechać. Jednocześnie stracił zainteresowanie policjantami i powrócił do zabawy radiem. Witold odsunął się od niego i zerknął na Artura, który siedział po drugiej stronie kwadratowego stołu. Młody policjant podniósł się, ruszył w stronę pijaka i zanim ten zdążył zareagować, zabrał mu radio, po czym, odwróciwszy się o sto osiemdziesiąt stopni, cisnął nim o ścianę. Odbiornik rozleciał się na kilkanaście

części i zamilkł. Na dobre.

– Chodźmy. Tracimy tutaj czas – powiedział Artur.

Piątek ponownie się uśmiechnął.

– Temu pijakowi woda wyżarła mózg. Nie mamy tu czego szukać.

Artur nie doczekał się reakcji Witolda, który przez cały czas hipnotycznie wpatrywał się w starca.

– Poczekaj. On coś wie – oznajmił Witold, nie przestając gapić się na Piątka. – A ja zamierzam to z niego wyciągnąć. Albo sprawić, że ostatnie lata swojego nędznego życia spędzi w pierdlu.

Piątek precyzyjnie odmierzył sobie kolejną porcję wódki i powoli wychylił kieliszek. Odchrząknął i zapalił papierosa.

– Co do jednego ma pan rację – oznajmił, wydobywając z siebie przerażająco zachrypnięty głos. – Jestem pijakiem. Ale mózg mam sprawny i wiem, co widziałem. A widziałem w życiu zbyt wiele, żeby bać się przemocy. Zresztą każdy, kto wychowuje się, dorasta i umiera w takim miejscu jak to – zatoczył ramieniem – nie boi się gróźb i agresji.

– A czego ktoś taki się boi? – zapytał Witold.

– Że kiedyś nie będzie miał co tutaj wlać. – Brudnym palcem wskazał kieliszek. Potem spojrzał na Artura. – Usiądź, synku, bo psujesz mi nastrój.

Artur z trudem powstrzymał się przed zrobieniem czegoś, czego mógł później żałować. Wrócił na swoje miejsce, nie odrywając wzroku od rozbawionych oczu starca.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa młodej kobiety – oznajmił Witold. – Każda godzina zwłoki oddala nas od schwytania sprawcy. Dowiedzieliśmy się, że ma pan informacje, które mogą coś wniesić do śledztwa. Niepotrzebnie panu groziliśmy, to prawda, ale proszę pamiętać, że za utrudnianie postępowania karnego grozi od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Mogę doprowadzić do tego, że w pana przypadku będzie to maksymalny wymiar kary.

Piątek uśmiechnął się, ale inaczej niż do tej pory. Nie był w stanie ukryć zwątpienia, które rozlało się na jego opuchniętej i zasuszonej twarzy. Sięgnął po

kieliszek i zajrzał do jego pustego wnętrza.

– Nie chcę spędzić reszty życia w pierdlu – powiedział. – Ale jeszcze bardziej zależy mi na tym, żeby całego życia w więzieniu nie przesiedziała bliska mi osoba. Czy jesteście w stanie to załatwić?

– Nie – prychnął Artur.

– Nie możemy czegoś takiego zagwarantować – potwierdził Witold. – Ale jeśli ta osoba nie zabrnęła za daleko, to możemy jej pomóc.

Piątek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Przez całe życie nie ufałem psom. Dlaczego więc miałbym zaufać im teraz?

– Bo nie ma pan wyboru – stwierdził Witold. – O kogo chodzi?

Starzec przez dłuższą chwilę siedział w bezruchu, jakby czekał, aż zgaśnie tłący się między jego palcami papieros. Tępo wpatrywał się w lepki od brudu stół. W końcu podniósł się ze swojego miejsca i chwytając się kolejnych mebli, doczłapał do stojącej w rogu pokoju komody. Wysunął górną szufladę i wyciągnął związany dwoma sznurkami album. Z trudem wrócił na swoje miejsce i podał album Witoldowi.

– To mój najmłodszy syn, Rafał – powiedział, dysząc tak, jakby znajdował się u kresu sił. – Nie planowaliśmy go, urodził się, jak już byliśmy dobrze po czterdziestce. Zresztą jego braci i sióstr też nie planowaliśmy.

Zaśmiał się i rozkaszłał jednocześnie. Przekręcił głowę na bok i splunął na podłogę.

– Jak możemy mu pomóc? – Witold przeglądał strony albumu, odwracając w ten sposób uwagę od obrzydliwego zachowania starca.

– Przede wszystkim musicie go znaleźć. Nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa. Ale wiem, że nie robi nic dobrego. Spotkałem go jakieś dwa lata temu, kiedy jeszcze mogłem chodzić i nie siedziałem bez przerwy w tym chlewie. Stał niedaleko szkoły i sprzedawał dzieciakom jakieś gównno. Nie wiem, co to było, ale raczej nic legalnego. – Starzec podrapał się po zarośniętym policzku. – Chciałem z nim porozmawiać, ale nie starczyło mi odwagi.

– Ma pan jego aktualne zdjęcie?

– Na ostatniej stronie. Stoi tam razem z żoną i dzieckiem, moim wnukiem. Wtedy jeszcze myślał o tym, by wieść normalne życie. Dopiero parę lat później mu odpierdoliło. – Piątek pokręcił głową. – Nikt nie głupieje od razu. Głupota przychodzi z wiekiem, choć wszystkim się wydaje, że jest odwrotnie.

Witold przesunął otwarty na ostatniej stronie album w stronę Artura. Ten obejrzał fotografię i pokręcił głową.

– Znajdziemy go – zapewnił Witold. – Jeżeli jest jeszcze do odratowania, to spróbujemy mu pomóc. Teraz pana kolej.

Piątek pochylił się nad stołem i odmierzył sobie kolejną porcję wódki. Był zbyt poruszony wspomnieniem syna, żeby tym razem także nic nie rozlać. Podniósł przelewający się kieliszek na wysokość ust, ale zanim go wlał do gardła, powiedział:

– Kredens. Za szklanymi drzwiami. Czarne pudełko.

Artur podniósł się i podążył za instrukcją starca. Zza poplamionych szklanych drzwi kredensu wyciągnął stare pudełko po butach, obklejone niepozdzieranymi do końca cenami z czasów sprzed denominacji złotego. Otworzył je.

– Aparat – powiedział Artur

– Kiedyś lubiłem robić zdjęcia. Lubiłem fotografować ludzi i miejsca. Zresztą nadal to lubię, tylko że nie za bardzo orientuję się w tym nowym sprzęcie. Nie wiem, jak wywołać zdjęcia zrobione tym cholerstwem. – Starzec wskazał podbródkiem aparat. – Ale przez kilka miesięcy siadałem przy oknie i fotografowałem. W zasadzie nie wiem po co. Chyba tylko dla zabicia czasu.

– Co pan fotografował? – zapytał Witold.

– Dziadostwo – odpowiedział Artur za Piątka, pospiesznie przeglądając zdjęcia utrwalone na starym, choć dobrze zachowanym nikonie. – Podwórko, kamienice i łączące po ulicy męty.

– Fotografuję, co się da. Nie robię zdjęć konkretnym ludziom, miejscom czy sytuacjom. Dostałem to cholerstwo od kumpla, który był mi winien pieniądze. Zrobiłem tyle zdjęć, ile mogłem, aż w końcu sprzęt się popsuł.

– Nie popsuł się, tylko zapisałeś kartę, dziadku.



– Dlaczego te zdjęcia mają być dla nas ważne? – zapytał Witold.

Starzec sięgnął po butelkę i spostrzegł, że zostało w niej niewiele alkoholu. Zakołysał nią i odstawił na stół. Zapalił kolejnego papierosa i mocno się zaciągnął. Przez chwilę jego twarz była zupełnie zasłonięta gęstym i przeraźliwie cuchnącym dymem.

– Jest na nich ta wasza Martynka – powiedział.

– Znalazłeś coś? – Witold zwrócił się do Artura, który przerzucał kolejne fotografie.

– Na razie nie. Na większości z nich gównu widać. Tylko jacyś pijacy, rozmowy i kłótnie na podwórku albo dzieciaki grające w piłkę. Poczekaj. Jest!

Artur przybliżył aparat do oczu, a następnie przekazał go Witoldowi.

– W prawym górnym rogu. Brunetka w spódnicy i szpilkach, obok niej jakiś facet w garniturze.

– Stoją tyłem do obiektywu. Trudno będzie zidentyfikować – zauważył Witold.

– Są też takie zdjęcia, na których widać wszystko – powiedział starzec. – Musicie się tylko uważnie przyjrzeć.

Artur stanął za plecami Witolda i przez kilkanaście sekund razem z nim wpatrywał się w zdjęcie. Mimo przeciętnej jakości fotografii, robionej przez częściowo przysłonięte żaluzjami okno i przy zachodzącym słońcu, nie było wątpliwości, że znajduje się na niej Martyna Bułeczka.

– Zadzwoń do naszych. Powiem im, żeby przyjechali na komendę – oznajmił Artur i wyszedł z pokoju, trzymając telefon w ręku.

– A więc jednak przydałem się wam do czegoś – powiedział Piątek.

– To się jeszcze okaże – odparł Witold, przeglądając kolejne zdjęcia. – Co pan o niej wie?

– O Martynce? Jedyne to, co byłem w stanie zobaczyć. Że jest ładna. Ładniejsza od wszystkich kobiet, jakie w życiu miałem. I że nie tylko ja tak uważam.

– Z iloma mężczyznami pan ją widział?

– Z kilkoma. Może kilkunastoma. Wszystko znajdziecie na zdjęciach, jeżeli to,

co ten gnojek powiedział na temat aparatu, jest prawdą. – Starzec przyglądał się Witoldowi i coraz szerzej się uśmiechał. – A więc nie macie bladego pojęcia, kto mógł ją zabić?

– Nie mogę panu powiedzieć nic o śledztwie – odparł Witold, unosząc aparat. – Musimy zarekwirować ten sprzęt. Oddamy go panu, jak tylko zgramy jego zawartość.

– Róbcie z nim, co chcecie. Tylko pamiętajcie o naszej umowie.

Witold wstał i zapakował aparat do pudełka po butach.

– Jeżeli pana syn nie wpakował się w zbyt duże kłopoty, to spróbuję go z nich wyciągnąć. Nawet w policji można znaleźć honorowych ludzi.

– W to akurat wątpię. I jeszcze jedno. – Piątek spojrział w kierunku ściany, na której kilkanaście minut wcześniej powstało niewielkie wgłębienie i plątanina rys. – Załatwicie mi nowe radio?

Bachniarz miał rację, skonstatowała Alicja Mioduszevska. W dziennikarstwie chodzi o to, żeby robić dym: równocześnie zbierać cięgi i otrzymywać pochwały, odpierać zarzuty i wyprowadzać ciosy, słuchać, jak jedni wyzłośliwiają się na nasz temat, a drudzy poklepują po plecach albo przygryzają wargi z zazdrości. Nieważne, co o tobie mówią, ważne, żeby mówili – ta reguła sprawdza się zawsze. I wszędzie.

Redaktor naczelny „Expressu Łódzkiego” rację miał w jeszcze jednej kwestii. Nigdy dotąd Alicja nie była tak rozchwytywana jak po publikacji tekstu o brutalnym zabójstwie, którego drastyczność i okoliczności policja z tylko sobie znanych powodów zataiła przed opinią publiczną. Kilka minut po tym, jak materiał pojawił się w sieci, a najnowsze wydanie „Expressu” wylądowało w kioskach, dziennikarze z całego kraju rzucili się do pisania opracowań. Po kilkunastu minutach powstały pierwsze tekściki dotyczące odkrycia Alicji. Po kilkadziesiąt minutach strony serwisów internetowych wypełniły się materiałami dotyczącymi zatuszowanej przez policję jatki. Po niespełna godzinie pierwsi reporterzy zaczęli dzwonić do redakcji „Expressu”. Po godzinie z okładem Alicja i Bachniarz mieli już zaplanowane na resztę dnia spotkania z przedstawicielami telewizji, radia

i prasy, a zatrudnieni w wydawnictwie informatycy żartowali, że muszą wzmocnić serwery, aby nie padł przeciążony zalewem użytkowników serwis internetowy gazety. W niecałe dwie godziny trud włożony przez Alicję zwrócił się z nawiązką.

Tego dnia nie brała na siebie żadnych zobowiązań redakcyjnych. Gdyby to zrobiła, musiałaby ze wszystkich zrezygnować. Do południa przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych z dziennikarzami, którzy próbowali się dowiedzieć, kto stoi za jej sensacyjnymi odkryciami, dlatego policja zdecydowała się ukryć te informacje przed światem i co o tym wszystkim należy sądzić. Między dwunastą a piętnastą siedziała w biurze Bachniarza, gdzie wraz z redaktorem naczelnym gazety udzielała wywiadów reporterom lokalnych nadawców, a także największych polskich telewizji – TVP, TVN i Polsatu. Opowiadała im o sprawie, którą przedstawiła w artykule, a jej szef tłumaczył, dlaczego „Express” zdecydował się podjąć ten temat. Około szesnastej wróciła do swojego biurka. Wyczerpana, ale zadowolona. Wówczas dowiedziała się, że cały nakład gazety został wyprzedany i zarządzono dodruk, a serwis w ciągu kilku godzin osiągnął wyniki oglądalności na poziomie trzydniowej normy. Pełny sukces.

Dopiero po dziewiętnastej, kiedy redakcja zaczęła pustoszeć, a wrzeszczące nad głowami dziennikarzy telewizory można było wyłączyć, Alicja znalazła chwilę dla siebie. Ekscytacja i stres, które nie odstępowały jej od rana, na moment ucichły. Przyklejona do oparcia krzesła, ze słuchawkami na głowie i atakującymi bębenki ostrymi gitarowymi riffami, które z jakichś powodów działały na nią relaksująco, podsumowała to, co wydarzyło się do tej pory. Była więcej niż usatysfakcjonowana. Wpisała swoje nazwisko w wyszukiwarce Google: z anonimowej dziennikarki łódzkiego oddziału ogólnopolskiego dziennika przekształciła się w jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób w redakcji, cytowaną przez większość liczących się w kraju tytułów. I to dzięki jednemu artykułowi. Materiały wideo z jej wystąpieniami trafiły do sieci i choć nie miała żadnego doświadczenia w pracy przed kamerą, wypadła w nich nad wyraz dobrze. Mówiła płynnie, poprawnie i z sensem, co często nie udaje się nawet telewizyjnym starym wygom.

Alicja nigdy nie dążyła do ekspozycji, nie chciała zostać dziennikarską celebrytką, ale gdy medialna sława nieoczekiwanie na nią spadła, poczuła się z tym zaskakująco dobrze. Zdecydowanie lepiej, niż to sobie wyobrażała.

Kiedy po raz kolejny rozdzwonił się telefon na jej biurku, co poznała po czerwonej lampce mrugającej na aparacie, sięgnęła po słuchawkę. Z entuzjazmem, a nie z obawą. Nic nie mogło naruszyć jej pewności siebie. Była monolitem.

– To znowu ja – oznajmiła Marta, recepcjonistka, która jeszcze wczoraj знаła Alicję wyłącznie z widzenia. – Masz kolejnego gościa. Nazywa się Jakub Możejko. Mówi, że się go spodziewałaś.

To prawda, pomyślała Alicja. Choć miała niewiele czasu, żeby się nad tym zastanowić, była przekonana, że Możejko będzie próbował się z nią skontaktować. Nie sądziła jednak, że pofatyguje się do redakcji. I że zrobi to tak szybko.

– Poproś go, żeby poczekał na mnie na dole – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Rozejrzała się, szukając gazety, w której ukazał się jej tekst. Nie znalazła żadnego egzemplarza. Musiała poprosić o pomoc dwóch kolegów z drugiego końca opustoszałego open space’u, narażając się na ich wymowne spojrzenia, przesycone oskarżeniami o megalomanię. Nie miała jednak czasu się nimi przejmować. Szukając wypowiedzi Możejki, które zamieściła w tekście, szybkim krokiem skierowała się do windy.

Jakub Możejko, ubrany w dżinsy i marynarkę, z szykownym płaszczem złożonym na przegubie, wolną ręką poprawiający fryzurę naruszoną przez deszcz, przyglądał się tytułom prasowym wetkniętym w plastikowy stojak na gazety. Kiedy zobaczył Alicję, rzucił jej zdawkowy uśmiech. Wyciągnął dłoń. Przywitał się z nią jak z kimś, kogo widzi pierwszy raz w życiu.

– Czytałem pani artykuł – powiedział. – Świetny materiał. Domyślałem się, że jego publikacja przysporzyła pani mnóstwa pracy.

– Dobrze się pan orientuje w realiach mediowych – przyznała Alicja. – Zapraszam do sali konferencyjnej. Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Wzięła klucz od rozpromienionej recepcjonistki i ruszyła przodem, wzdłuż ścian ozdobionych oprawionymi w ramki archiwalnymi wycinkami prasowymi i co

ciekawszymi okładkami gazet, które należały do wydawnictwa. Możejko szedł za nią, ze wzrokiem wbitym w jej ukryte pod opiętą spódnicą pośladki i wyrastające z nich zgrabne nogi, zupełnie nie zaprzatając sobie głowy urokami korytarza. Przynajmniej tak to sobie Alicja wyobrażała.

– Chciałem panią przeprosić – powiedział, kiedy znaleźli się w niewielkiej salce, której osiemdziesiąt procent powierzchni zajmował podłużny drewniany stół, zastawiony trzema półlitrowymi butelkami wody i piramidą plastikowych kubków. Usiedli naprzeciwko siebie, zachowując profesjonalny dystans. – Nie okazałem pani wystarczającego zaufania.

– Co pan ma na myśli?

– Kiedy rozmawialiśmy o Martynie Bułeckiej, opisałem ją pani tak, jak zrobiłaby to większość osób, które ledwo ją znały. Był to powierzchowny, mocno stereotypowy opis. Wyłonił się z niego obraz nonkoformistki usilnie idącej pod prąd. Ale to była tylko projekcja, którą wszystkim fundowała. W rzeczywistości była inną osobą. Zupełnie inną. Nie powiedziałem pani tego. Stąd moje szczere przeprosiny.

Alicja była zdezorientowana. Spodziewała się ataku ze strony Możejki, który niczego się nie spodziewając, stał się jednym z bohaterów najbardziej poczytnego tekstu, jaki w ostatnich tygodniach ukazał się w łódzkiej prasie. Zamiast tego otrzymała porcję specyficznych informacji, specyficznie przedstawionych przez specyficznie rezolutnego człowieka.

– Jaką zatem osobą była Martyna Bułecka? – zapytała.

– Chętnie to pani powiem. Ale najpierw chciałbym usłyszeć przeprosiny. Chyba zgodzi się pani, że mnie również się należą.

Alicja napełniła kubek wodą, wytrzymując wyzywające spojrzenie Możejki.

– Nie przeinaczyłam pana słów – powiedziała, a następnie zwilżyła sobie gardło.  
– Mogę pana przeprosić jedynie za to, że nie zadzwoniłam do pana po ukazaniu się tekstu. Umknęło mi to przez zamieszanie, które wywołał materiał, jak pan zresztą słusznie zauważył. A zatem... przepraszam.

Mozejko wolno pokręcił głową.

– Żeby przeprosiny były szczere, musi być pani świadoma krzywdy, jaką wyrządziła. – Pochylił się w stronę dziennikarki, położył ręce na stole i zaczął przyglądać się swoim dłoniom. – O pani tekście dowiedziałem się od swojej przełożonej, profesor Zofii Grajewskiej, która z kolei dowiedziała się o nim od matki Martyny Bułeckiej. Ona natomiast dowiedziała się z telewizji. Nie miała pojęcia, jakie męki przeszła jej córka przed śmiercią.

Alicja pociągnęła kolejny łyk wody. Suchość w gardle nie chciała jednak ustąpić.

– W takim razie przeprosiny należą się nie panu, lecz matce Martyny Bułeckiej.

Możejko uważnie przyjrzał się Alicji, po czym wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

Przez kilka sekund siedział w bezruchu. Następnie podniósł się z krzesła, zapiał guzik marynarki i wyciągnął nad stołem dłoń do Alicji. Po raz pierwszy obdarzył ją jednym z uśmiechów, którymi zonglował podczas ich poprzedniego spotkania, jak gdyby całe nieprzyjemne zajście momentalnie puścił w niepamięć. Odrobinę zbyt długo ścisnął dłoń Alicji. Miała wrażenie, że gdyby jej nie cofnęła, mogłoby to trwać w nieskończoność.

– Dlaczego właściwie pan tutaj przyszedł? – zapytała.

– Z dwóch powodów – odparł po krótkim zastanowieniu. – Domyślam się, że od rana zdążyła spłynąć na panią fala pochwał. Uznałem, że przyda się pani odrobina szarości. Inaczej mówiąc, chciałem pani pomóc w odzyskaniu równowagi.

– Dziękuję. Udało się to panu – rzuciła Alicja, nie kryjąc zdenerwowania. – A jaki jest drugi powód?

– Chciałem panią zaprosić na kolację. – Widząc skonsternowanie na twarzy Alicji, dodał: – Powiedzmy, że byłoby to coś w rodzaju kolacji biznesowej. Opowiedziałbym pani o Martynie. Choć oczywiście nie mogę zagwarantować, że wszystko, co pani ode mnie usłyszy, będzie mogło trafić do druku.

Alicja wpatrywała się w Możejkę tak, jakby właśnie opowiedział jej nieśmieszny dowcip, z którego kurtuazyjnie wypadało się zaśmiać.

– Zgoda – powiedziała. – Jutro wieczorem?

– Ma pani mój numer. Proszę do mnie napisać, a ja w odpowiedzi prześlę pani lokalizację.

Alicja pożegnała Mozejkę kurtuazyjnym uśmiechem i odprowadziła go do wyjścia. Ponownie uściśniła jego dłoń, tym razem formalnie, jakby się bała, że się do niej przyklei, i bez słowa ruszyła do windy. Dopiero tam zaczęła się zastanawiać nad tym, na co się przed chwilą zgodziła.

– I co? – zapytał Witold Ptak, podchodząc do biurka, przy którym siedziała Magda Giętka i wlepiła wzrok w dwudziestodwucalowy monitor.

– Martyna Bułeczka jest na dziewięciu zdjęciach. Na siedmiu z nich w towarzystwie mężczyzn. Niestety, nie wszystkie są na tyle ostre i czytelne, żeby ich rozpoznać.

– Widać twarze?

– Dwóch z nich. U jednego mamy profil, a czterech pokazało nam tylko plecy.

– Kurwa! – zaklął Witold i uderzył pięścią w blat.

Odszedł na kilka kroków od biurka i przejechał dłonią po twarzy. Przez chwilę zastanawiał się, czy ktoś słyszał jego wybuch, ale potem sobie uświadomił, że poza nim i Magdą w budynku zapewne pozostała jedynie garstka znudzonych dyżurnych, przyklejonych do smartfonów lub komputerów, ze słuchawkami w uszach, przez które rap, drum and bass albo dubstep wbijają im się do mózgu. Niemal na pewno odklejonych od rzeczywistości albo przynajmniej próbujących się od niej odkleić. Witold ponownie stanął przed biurkiem. Pochylił się nad ramieniem Magdy.

– Pokaż te zdjęcia.

Magda otworzyła folder zawierający tylko te fotografie, na których widać było Bułeczką w towarzystwie mężczyzn.

– Ostatnie zdjęcie zostało zrobione miesiąc temu. Poznajesz go? – zapytała, powiększając jedną z fotografii.

– Borys Zarzeczny, były chłopak Bułeckiej. Akurat jego twarzy nie musimy oglądać.

– Na jednym ze zdjęć jest ktoś, kto bardzo go przypomina. Ale nie pod

względem wyglądu zewnętrznego – powiedziała Magda, sprawnie przeskakując pomiędzy obrazami. – Obaj są niemal tak samo ubrani. Obstawiam, że to jeden z chłopaków z akademika, o których wspominał Zarzeczny. Albo kolega Bułeckiej ze studiów. W każdym razie ktoś, kto może być jej rówieśnikiem.

– To całkiem możliwe – przyznał Witold. – Wygląda na to, że nasza Martynka rzeczywiście miała niezły przebieg.

Magda próbowała skarcić go wzrokiem za ten seksistowski komentarz, ale Witold jak zaczarowany wpatrywał się w monitor.

– Możemy coś powiedzieć o pozostałych?

– Tylko to, że wyglądają starzej od Bułeckiej.

Witold obejrzał w milczeniu resztę zdjęć. Przy każdym mrużył oczy, jakby miało mu to ułatwić poznanie tożsamości uwiecznionych na nim mężczyzn. W końcu zrezygnowany spuścił głowę i wymownie sapnął.

– Znalazłaś coś jeszcze?

– Tak. – Magda wróciła do folderu ze zdjęciami i wskazała palcem monitor. – Spójrz na daty. Zdjęcia niemal za każdym razem były robione co dwa tygodnie. Zawsze w sobotę. Wyjątek stanowią zdjęcia z Zarzeczny i tym drugim chłopakiem.

– Jej współlokatorka wspominała, że dwa razy w miesiącu jeździ na weekend do domu. Wiemy zatem, co Bułeczka robiła pod jej nieobecność.

Do biura energicznym krokiem wszedł Artur Waliszewski. Przyciskał telefon do ucha i odpowiadał swojemu rozmówcy półsłówkami albo chrząknięciami. Podszedł do biurka, żeby na pierwszym lepszym kawałku papieru zanotować czyjś adres mailowy. Gdy skończył rozmowę, wepchnął telefon do kieszeni i siarczyście zaklął.

– W agencjach nic o niej nie wiedzą, a przynajmniej nie kojarzą jej z nazwiska. Opis raczej do niczego się nie przyda, ponieważ widują setki takich panienek. Ale jest nadzieja. Jeden z alfonsów ma wobec mnie dług wdzięczności. Obiecał, że o nią popyta. Muszę mu tylko przekazać jej zdjęcie.

– Nie będziemy wysługiwać się żadnymi pieprzonymi alfonsami –



zaprotestował ostro Witold. – Wyślemy do burdeli naszych ludzi. Przygotujesz dla nich listę lokali. Mamy jeszcze jakieś inne opcje?

– Serwisy z ogłoszeniami towarzyskimi – powiedział Artur. – Tyle że w nich laski pokazują wszystko z wyjątkiem twarzy.

– Mamy zdjęcia Bułeckiej z wakacji. Jest na nich w bikini, więc niewiele ukrywa. Znajdziemy kogoś, kto przewertuje te serwisy od góry do dołu.

– Byle nie jakiegoś onanistę.

– Dlatego nie proszę o to ciebie.

Kiedy Witold z powrotem pochylił się nad monitorem, Artur wykonał za jego plecami kilka ruchów imitujących kopulację.

– Jedna rzecz mnie zastanawia – oznajmił Witold, wpatrując się w zdjęcia, które przesuwają się w ustawionym przez Magdę pokazie slajdów. – Skoro była dziwką, to dlaczego pokazywała się z tymi wszystkimi mężczyznami? Dlaczego wychodziła z kamienicy w ich towarzystwie?

– Żeby ludzie nie pomyśleli, że jest kurwą – powiedział Artur, skupiając na sobie pytające spojrzenia Magdy i Witolda. – Słyszeliście, żeby kurwa odprowadzała swoich klientów? To się tak nie dzieje. Robiła to, żeby ludzie sądzili, że to jej koledzy, a nie faceci, z którymi rżnie się za kasę. Taki paradoks. Choć przypuszczam, że kogoś takiego nikt nie uznałby za jej kumpla ze studiów.

Wskazał palcem monitor, gdy na ekranie ukazało się zdjęcie Bułeckiej w towarzystwie łysiejącego mężczyzny w szarym prochowcu.

Kilkanaście minut później, kiedy Magda, Witold i Artur każdą fotografię znali już na pamięć, do biura wszedł Mariusz Szczebiot. Naczelnik, zaalarmowany telefonem od Witolda, przyjechał na komendę najszybciej, jak mógł – a przynajmniej tak twierdził. Rozpiął płaszcz i wysłuchał, co Witold i spółka mają mu do powiedzenia. Gdy skończyli, pokiwał z uznaniem głową i pośpiesznie przejrzał wyselekcjonowane przez Magdę zdjęcia.

– Przyjrzymy się uważnie tym mężczyznom – oznajmił Witold. – Może znajdziemy jakieś znaki szczególne, które pomogą nam poznać ich tożsamość. Równocześnie będziemy pytać o Bułecką w łódzkich burdelach i przejrzymy

serwisy z ogłoszeniami towarzyskimi. Wrócimy też do jej billingów i aktywności w internecie. Teraz przynajmniej wiemy, czego powinniśmy szukać.

– Dobrze, ale nie zafiksujcie się na tym punkcie – powiedział Szczebiot. – To, że była dziwką, o ile rzeczywiście nią była, nie musi oznaczać, że zabił ją jeden z jej klientów. Ani że właśnie z tego powodu zginęła. Miejcie oczy i umysły otwarte.

Naczelnik sięgnął po telefon i westchnął. Znowu żona. Mógł odebrać i powiedzieć, że jest zajęty, ale z jakiegoś powodu, którego nie do końca był świadomy, nie chciał z nią rozmawiać. Nie w tej chwili. Zastanawiał się, ile nieodebranych połączeń jest w stanie znieść jej cierpliwość.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniśmy sprawdzić. Ale powiem wam o tym dopiero, gdy będziemy w komplecie. Ktoś wie, gdzie jest Kawęcki?

Jeżeli krwawi, możemy to zabić.

Na czubku wiotkiego, bezwładnego ciała, które w pionie utrzymywały jedynie opięte wokół niego pasy, wymacał napuchnięty wrzód, który zdawał się istnieć wyłącznie po to, aby zadawać mu cierpienie. Każde, nawet najsubtelniejsze drgnięcie gigantycznego ropienia sprawiało, że przeszywał go dojmujący ból. Nie potrafił określić, gdzie jest ani dlaczego się tam znalazł. Uniósł spuszczonej bezwolnie rękę i wymacał przestrzeń wokół wrzodu. Nie był w stanie określić, czy jego czaszka pozostała cała, czy też jest pęknięta. Przesunął rękę tak, by mieć ją przed oczami, i z trudem rozwarł od dawna nieruchome powieki. W otaczającej go mgle dostrzegł jedynie zarys czerwonej dłoni. Chwilę później stracił przytomność.

Jeżeli krwawi, możemy to zabić.

Kiedy się ocknął, zdał sobie sprawę, że siedzi na przednim siedzeniu samochodu. Obrócił głowę w lewo, żeby przyjrzeć się kierowcy, ale ujrzał jedynie bezkształtną plamę, z czymś w rodzaju obrotowej wyblakłej kuli na szpicy. Zarejestrował na niej ruch, ale nie wiedział, co to oznacza. Wyprostował się i spojrzał przed siebie, na coś, co powinno być szybą. Za nią wyrastała droga, którą starał się sobie przypomnieć. Kiedy jednak auto wjechało na nierówność, ponownie stracił przytomność.

Upłynęło kilkanaście godzin, zanim Tomek Kawęcki na dobre odzyskał świadomość. Promienie porannego słońca wlały się do pokoju i przecięły jego twarz. Suchość w ustach i dezorientacja wydały mu się znajome. Jednak gdy poruszył się na łóżku i poczuł ciężar spuchniętej głowy, pojął, że to nie jest kac. A już na pewno nie taki, z jakim miał do czynienia zazwyczaj. Nie potrafił sobie wyobrazić, ile musiałby wypić, żeby czuć się w ten sposób. Kiedy ostrożnie sięgnął ręką do głowy i wyczuł pod palcami bandaż, upewnił się, że ma rację.

– Żyjesz? – zapytał wysoki chłopak z ogoloną głową, który stanął w drzwiach. – Myślałem, że zdechniesz w moim samochodzie. Wyglądałeś jak gówno.

– Co się stało? – wychrypiał Kawęcki, ledwo wydobywając z siebie głos.

Łysol, odziany w czarny dres i luźną bluzę z kapturem, zbliżył się do łóżka i podał policjantowi kubek z wodą. Kawęcki nadludzkim wysiłkiem uniósł się na łokciach.

– Nic nie pamiętasz?

Kawęcki próbował pokręcić głową, ale przeszywający ból dał mu do zrozumienia, że to nie jest najlepszy pomysł. Odpowiedział chłopakowi zaciśniętymi zębami i pełnym cierpienia grymasem.

– Ktoś rozpieprzył ci łeb. Nie jestem ekspertem, ale jak na mój gust miałeś cholernie dużo szczęścia. Kiedy cię znalazłem, leżałeś ryjem w kałuży.

– Jak mnie znalazłeś?

– Zadzwońeś po mnie. Okropnie bełkotałeś. Błagałeś, żebym ci pomógł. Podałeś jakąś dziwną lokalizację w Łagiewnikach. Myślałem, że się naprułeś i nie jesteś w stanie dotrzeć do domu o własnych siłach. Nie byłem pewien, czy jest sens, żeby w ogóle po ciebie wyjeżdżać. Zwłaszcza że lało jak z cebra.

Kawęcki próbował sobie przypomnieć, co się stało, ale przez jego głowę przetaczały się dziesiątki obrazów. Nie potrafił stwierdzić, które z nich są najświeższe. Ani czy wszystkie są prawdziwe.

– Chciałem cię zawieźć do szpitala – kontynuował dresiarz – ale z jakiegoś powodu uznałeś, że to najgorsze rozwiązanie z możliwych. Protestowałeś, jakbym zamierzał zgwałcić ci matkę. Dlatego, zgodnie z wolą jaśnie pana, zawiozłem cię

do domu. A skoro o tym mowa, to jesteś mi winny pranie tapicerki. Przez całą drogę rzygałeś, krwawiłeś, a do tego zlałeś się w gacie. Zresztą własnego łóżka też nie oszczędzałeś.

Kawęcki nie czuł smrodu moczu ani wymiocin. Nie czuł w zasadzie nic, ponieważ zaschnięta krew całkowicie zakorkowała mu nos. Ale zaczynał odzyskiwać pamięć. Przypominał sobie chatę, którą przez kilka godzin obserwował. Pamiętał samochód i jego dwóch podobnych do siebie pasażerów. Pamiętał też, że zakradał się do chaty. I pamiętał, po co to robił. Ale wszystko, co wydarzyło się później, zlewało mu się w mętną papkę.

– Mijałeś kogoś po drodze? – zapytał Kawęcki.

– Nie. Posłuchaj, muszę iść do roboty. Mam dzisiaj popołudniową zmianę.

– Poczekaj.

– Nie mogę. Jak się spóźnię, szef mnie wypieprzy.

– Prędzej czy później i tak to zrobi – wymamrotał Kawęcki. – Zostań, zapłacę ci. Tyle, ile zechcesz. Oczywiście w granicach rozsądku.

Obietnica była dla chłopaka zbyt kusząca, żeby ją odrzucić. Wyszedł do sąsiedniego pokoju i zadzwonił do przełożonego, któremu zapowiedział, że nie będzie go dzisiaj w pracy, ponieważ musi się zająć chorą matką. Równie dobrze mógł telefonicznie złożyć wypowiedzenie. Wrócił do sypialni i rozsiadł się na krześle.

Kawęcki zmierzył go otumanionym wzrokiem.

– Opowiedz mi, najdokładniej jak potrafisz, co zobaczyłeś w miejscu, w którym mnie znalazłeś.

Chłopak ciężko westchnął i włożył papierosa do ust.

– Dobre kilkanaście minut krążyłem po okolicy, szukając chaty, o której wspomniałeś przez telefon. Gdy cię znalazłem, leżałeś kilka metrów od niej. Na boku. Z głową w kałuży. Bałem się, że utonąłeś, ale twój zakrwawiony kinol znajdował się nad powierzchnią wody. Jak wydychałeś powietrze, wydmuchiwałeś krew do kałuży. Wyglądało to dość przerażająco. I obrzydliwie.

– Miałem przy sobie broń?

– Nie, nie miałeś przy sobie nic. Ani pistoletu, ani portfela, ani telefonu.

– A mój samochód?

– Nie widziałem go, ale też specjalnie się za nim nie rozglądałem. Chciałem cię jak najszybciej zawieźć do szpitala. I zrobiłbym to, ale na chwilę odzyskałeś przytomność i zacząłeś drzeć mordę. Uparłeś się, że nie pojedziesz do szpitala. Kazałeś mi odwieźć się do domu. Przez chwilę myślałem, że rzeczywiście nie jest z tobą tak źle. Ale potem zacząłeś się trząść i rzygać. W końcu opadłeś z sił i usnąłeś.

– Mówiłem coś?

– Coś tam mruczałeś, ale nie miało to większego sensu. Brzmiało to trochę tak, jakbyś przesadził z grzybkami halucynogennymi.

– Jesteś w stanie coś z tego powtórzyć?

Chłopak zamyślił się, po czym pokręcił głową.

– To było zupełnie bez sensu. „Bestia”, „biała bestia”... tylko tyle zrozumiałem. Ciągłe to powtarzałeś.

Kawęcki ostrożnie się położył. Obawiał się, że napompowany owrzodziały balon, w jaki zamieniła się jego głowa, pęknie przy zetknięciu z poduszką. Zdziwił się, kiedy tak się nie stało. Nie wiedział tylko, czy powinien się z tego powodu cieszyć.

– Coś jeszcze? – zapytał, widząc zafrasowaną minę chłopaka.

– Ktoś musiał odkazić ci ranę i zszyć głowę. Poprosiłem o pomoc znajomą, która studiuje pielęgniarstwo. Nie przestrasz się tego, co zobaczysz, kiedy ściągniesz opatrunek. Musiała ogolić ci kawał łba.

Kawęcki wymacał palcami kępkę włosów wystającą spod bandaża. Sztywną i lepłą, sklejoną potem i krwią. Gdyby mógł, toby wzruszył ramionami. Kiepska fryzura była w tym momencie jego najmniejszym zmartwieniem.

– Zrobisz coś dla mnie?

Chłopak wymownie westchnął. Zgasił papierosa na szklanej podstawce, która zastępowała popielniczkę, i kręcąc głową, wypuścił ostatnią chmurę dymu.

– Już od kilkunastu godzin robię coś dla ciebie.

- Skończyły mi się papierosy.
- Mnie też. Właśnie wypaliłem ostatniego.
- Przy wjeździe na sąsiednie podwórko jest sklep.
- I oczywiście ja mam za nie zapłacić?
- Sam powiedziałeś, że straciłem portfel.

Chłopak niechętnie podniósł się z krzesła, wrzucił fajki do luźnej kieszeni bluzy i ruszył w stronę przedpokoju.

– Jeszcze jedno – odezwał się Kawęcki. – „Jeżeli krwawi, możemy to zabić”.  
Mówi ci to coś?

– Pewnie, nie znasz tego? – zapytał dresiarz, wyszczerzając nierówne żółte zęby. – To z *Predatora*. Kwestia Schwarzeneggera. *You're one ugly motherfucker*. Tego też pewnie nie kojarzysz? – Dresiarz machnął ręką. – Będziesz miał co nadrabiać w trakcie urlopu.

Kawęcki ostrożnie poprawił się na łóżku. Wtopił się w lepką od potu poduszkę i zamknął oczy, które niechętnie przyjmowały wlewające się do pomieszczenia światło. Próbował wypełnić wspomnieniami luki, jakie podziurawiły jego głowę, ale potworny ból, rodzący się w skroniach i błyskawicznie rozprzestrzeniający po całym ciele, skutecznie mu to utrudniał. Nie był w stanie skoncentrować się na niczym poza mordęgą. Jakby zdolność odczuwania bólu była jedyną umiejętnością, jaką posiadał.

W końcu świat Kawęckiego utonął w czerni. Z czasem wyłoniła się z niej twarz: z guzikowatymi oczami, wielkim nosem i siwą brodą przytroczoną do policzków. Ziarnista i rozedrgana. Rechocząca. Zbliżyła się do jego głowy. Nagle utkwione w niej usta przestały drgać. Gęba przestała rechotać i zaczęła się rozwierać. Kawęcki próbował coś powiedzieć. Krzyknąć. Poruszyć się. Zareagować w jakikolwiek sposób. Ale nie był w stanie. Wielka gęba rozdziawiała się nad jego twarzą, a on nie mógł nic zrobić. I wtedy paszcza się zatrzasnęła. Tuż przed jego nosem.

Kawęcki zamknął oczy. Gdy otworzył je ponownie, zaglądał w głąb lufy swojego pistoletu.

Jeżeli krwawi, możemy to zabić.

Huk wyrwał Kawęckiego ze snu.

– Wyluzuj, to tylko ja – oznajmił dresiarz, który właśnie wszedł do pokoju. – Nie zamierzam się do ciebie dobierać. Przynajmniej dopóki się nie umyjesz.

Kawęcki obmacał głowę, nie do końca wiedząc, czego właściwie na niej szuka. Nie znalazł nic poza gigantycznym guzem.

– Nie wiem, czym żywią się tacy jak ty, ale oprócz fajek kupiłem bułki, szynkę i herbatę, bo widziałem, że ci się skończyła.

– Nie skończyła się. Nie piję herbaty. Zostaw to i pomóż mi wstać. – Mimo przeszywającego bólu Kawęcki zsunął nogi z łóżka i usiadł na brzegu. Zrzucił z siebie kołdrę, odsłaniając kryjące się pod nią wymizerowane nagie ciało. – Musimy tam wrócić.

Gdy to powiedział, rozległ się dzwonek do drzwi, który niemal rozerwał jego głowę.

**W** ciągu zaledwie kilkunastu godzin okolica chaty wybudowanej w sercu Lasu Łagiewnickiego zmieniła się nie do poznania. Stojąc naprzeciwko wejścia do drewnianego budynku, w miejscu, w którym poprzedniego wieczoru zaparkował jeden z samochodów, Tomek Kawęcki przyglądał się śladom opon zostawionym na błotnistej nawierzchni. Po potężnej nawałnicy droga do chaty usłana była powyrywanyymi gałęziami i wypełnionymi wodą koleinami, przez które trudno było przedrzeć się piechotą. Cała okolica przypominała pobojojwisko. Nieśmieszny żart matki natury.

Kawęcki nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał przetrwać tę jatkę.

Poruszał się powoli i niepewnie. Tabletki przeciwbólowe wytłumiły dudnienie w jego głowie i złagodziły ból, ale równocześnie go otumaniały. Czuł się jak osoba dopiero co wybudzona ze snu i usilnie próbująca do niego wrócić. Po raz pierwszy, odkąd odzyskał przytomność, miał wrażenie, że pamięta niemal wszystko, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Nie pamiętał tylko jednego: twarzy człowieka, który przyprowadził psa. Umięśnioną białą bestię.

– Gdzie mnie znalazłeś?



– Tutaj – powiedział łyсы chłopak, który od dłuższego czasu trzymał w ustach papierosa i z tylko sobie znanych powodów nie zdecydował się go zapalić.

Kawęcki poszedł we wskazane przez niego miejsce, oddalone zaledwie o kilka metrów od chaty, i leniwie się rozejrzał. Na rozmiękłym terenie został niewyraźny podłużny ślad ciągnący się od budynku do kałuży. Ślad wleczonego po grząskim gruncie ciała. Obok kałuży widać było liczne, choć ledwo zauważalne odciski butów. Kawęcki podszedł do jednego z nich i postawił obok swoją stopę. Powtórzył to z kilkoma następnymi, które choć nie były identyczne, zdawały się pochodzić z obuwia o zbliżonym rozmiarze. W każdym przypadku Kawęcki mógłby swoim butem przesłonić pozostawioną w ziemi wnękę. Nie było jednak takich śladów, jakie najbardziej chciał znaleźć. Ani w miejscu, w którym leżał, ani na tyłach chaty, gdzie zatrzymał się drugi pojazd, ani we wnętrzu filigranowego budynku.

– Twój samochód wygląda na nietknięty – oznajmiła Magda Giętka, wyłaniając się z lasu. – Sprawcy chyba się nie zorientowali, że w ogóle tam jest. Kluczyki zostały w stacyjce, a na siedzeniu pasażera leży termos. Co sprawdzasz? – zapytała.

Kawęcki przyglądał się miejscu, w którym dzień wcześniej leżał jego bezwładny korpus. Próbował przypomnieć sobie, co się wtedy wydarzyło. Przez większość czasu był nieprzytomny albo znajdował się na granicy utraty świadomości, ale miał nieodparte wrażenie, że słyszy toczony wokół niego rozmowy. Tyle że nic z nich nie rozumiał.

– Co tu się stało? Halo! Słyszysz mnie? – Magda bezskutecznie próbowała wyrwać go z zamyślenia. – Kawęcki!

Dopiero gdy wrzasnęła, komisarz zwrócił na nią uwagę.

– Co tu się stało? – zapytała ponownie.

Flegmatycznie odwrócił się w jej stronę. Obrzucił ją obojętnym spojrzeniem i opuścił głowę.

– Do chaty weszło trzech mężczyzn – wychrypiął z trudem. – Jeden z nich przyprowadził ze sobą psa. Zakradłem się od tyłu. Zajrzałem do środka, żeby zobaczyć, co robią. Wtedy straciłem przytomność.

– Słyszałeś, o czym rozmawiali?

– Tak, ale niewiele z tego rozumiałem, bo nie mówili po polsku. Dwaj z nich byli obcokrajowcami. Ormianami, Gruzinami albo Czeczenami. Nie wiem, kim był ten trzeci. Ten, który przyprowadził psa. Nie odzywał się.

– Jak oni wyglądali?

Zrobiła krok w kierunku Kawęckiego. Jego rachityczne ciało tonęło w przydługiej jesiennej kurtce. Wyglądał przygnębiająco i niepewnie. Jakby mógł się złamać pod naporem silniejszego podmuchu wiatru.

– Był wysoki i potężny. Miał na sobie przebranie. Sztuczną brodę i czapkę, które zakrywały mu większość twarzy. Widziałem tylko jego oczy.

– A ci dwaj?

– Ci dwaj są bez znaczenia.

Komisarz nagle osunął się na ziemię. W ostatniej chwili zdążył podeprzeć się rękoma, dzięki czemu nie wylądował twarzą w błocie. Jego ciało przeszyły skurcze. Zwymiotował, nie wydając z siebie niemal żadnego dźwięku. Potem usiadł na grząskiej ziemi i wytarł usta rękawem kurtki. Gdy już przestał się trząść, popatrzył mętym wzrokiem na swoje ubłocone dłonie, a następnie zamknął powieki.

Magda pomogła mu się podnieść i zaprowadziła go do samochodu, którego wnętrze przezornie wyścieliła papierowymi ręcznikami. Nieprzytomny Kawęcki, z głową bezwładnie zwisającą na wysokości klatki piersiowej, przypominał trupa. Przypięła go pasami, żeby nie wyrznął głową w deskę rozdzielczą, i zatrzasnęła drzwi. Była wściekła. Kilka dni wcześniej jego pijane cielsko zasmrodziło samochód tak, że ledwo była w stanie w nim wysiedzieć. Teraz zanosilo się na powtórkę. W dodatku odegraną w okolicznościach tak dziwnych, że nie potrafiła określić, co właściwie mu się stało ani co powinna o tym sądzić. Nie wiedziała, czy bardziej jest wściekła na niego, czy na siebie – za to, że dziwaczne przygody Kawęckiego wciąż wywołują u niej tak emocjonalne reakcje. Już dawno powinna była do nich przywyknąć i nauczyć się je lekceważyć. Nauczyć się pracować z człowiekiem, który traktuje siebie i innych jak gówno.

Usiłując zapanować nad gniewem, przystawiła czoło do zimnej karoserii.

– Coś znalazłem. Możesz tu podejść?

Magda podniosła głowę i ujrzała łysego chłopaka, który kucał na skraju lasu i machał w jej kierunku. Roztarła zmarznięte czoło i ruszyła w jego stronę.

Dresiarz wpatrywał się w punkt pod swoimi stopami i co chwila spluwał na bok, wydając przy tym obrzydliwy dźwięk, jak gdyby zatarł mu się mózg i próbował się go pozbyć w częściach. Korciło Magdę, aby zdzielić łysola po głowie, skarcić jak niewychowanego chłystka. Zamiast tego głośno westchnęła i ukucnęła obok niego. Przez dłuższą chwilę razem wpatrywali się w znalezisko.

– Pod żadnym pozorem tego nie ruszaj. I przestań charkać gdzie popadnie – powiedziała i pobiegła do auta.

Wróciła z lateksowymi rękawiczkami i plastikową torbą na dowody.

– To Tomka – powiedział dresiarz. – Mówił, że zgubił portfel, telefon i...

– Pistolet.

Magda przyjrzała się broni wystającej z grząskiego kopca. Była zabezpieczona. Ostrożnie zapakowała ją do torby i wstała.

– Dostał niezły wpierdol – powiedział chłopak, drapiąc się brudnym palcem po czubku łysej głowy. – Masz pomysł, kto mógł go tak urządzić?

– Chyba nie sądzisz, że zamierzam z tobą o tym rozmawiać?

Zrobił wielkie oczy.

– A dlaczego nie?

– Bo nie wiem nawet, kim jesteś.

– Kimś, kto ci pomaga. I dlatego mogłabyś być, kurwa, trochę miłsza.

Dresiarz gapił się na Magdę tak, jakby szukał na jej twarzy punktu, w który powinien uderzyć głową.

– Rzeczywiście mogłabym. Ale nie będę. Za to jak zdeptasz ślady na miejscu przestępstwa albo spierdolisz któryś z dowodów, to pokażę ci, jak bardzo potrafię być niemila.

Magda wpatrywała się w chłopaka tak długo, aż ten odwrócił swoją jajowatą głowę, potrząsnął nią i ostentacyjnie charknął. Policjantka nie wiedziała, czy

zniesie ponownie ten dźwięk. Zostawiwszy dresiarza w jego świńskim świecie, wróciła do samochodu.

– To chyba twoje – oznajmiła, pokazując Kawęckiemu torbę. – Portfel, telefon i pistolet. Brakuje tylko lornetki.

Kawęcki odzyskał przytomność i ostrożnie podniósł głowę. Zmrużył oczy, przyglądając się zawartości torby. Potem z wysiłkiem wypuścił powietrze z płuc.

– Widocznie napadli mnie jacyś podglądacze – wymamrotał, z największym wysiłkiem sięgając do pokładów złośliwości.

– Za kilka minut przyjadą technicy. Proponuję, żebyś zachował dla nich swoje poczucie humoru. Z pewnością je docenią.

– Odwołaj ich. Nic tu nie znajdą.

Magda spojrzała na amatorsko zawiązany bandaż wokół jego głowy, spod którego wypływała strużka krwi. Tylko kilka centymetrów dzieliło ją od oka Kawęckiego.

– Zaczynam żałować, że nie oberwałeś mocniej – powiedziała Magda. – Na tyle mocno, żebyś nie mógł otwierać tego zasranego ryja.

Zdjęła rękawiczki, położyła je pomiędzy fotelami i zerknęła w lusterko wsteczne, w którym spodziewała się niebawem dostrzec samochód techników. Potem wyjrzała przez okno, aby upewnić się, czy łysy imbecyl, bezmyślnie szwendający się na zewnątrz, nie zdeptuje śladów. Chłopak przylgnął jednak do drzwi swojego samochodu i przestępując z nogi na nogę, przeglądał coś w telefonie.

– Po co to zrobiłeś? – zapytała Magda, mówiąc bardziej do siebie niż do Kawęckiego. – Dlaczego przyjechałeś tu sam? I po jaką cholere pchałeś się do tej chaty? Co chciałeś w ten sposób osiągnąć, ty autystyczny dupku? – Zamknęła oczy i głośno wypuściła powietrze z płuc. – Nawet ludzie z jednostek specjalnych nie robią takich akcji, a co dopiero zdesperowany pijak, który kilka dni wcześniej babrał się we własnych szczytach!

Otworzyła oczy i odwróciła się do Kawęckiego. Wzdrygnęła się, po czym odruchowo odsunęła głowę. Komisarz, patrząc w jej stronę, przewiercał ją

wzrokiem. Wzrokiem świra.

– Spokojnie – wymamrotał, wycierając kciukiem krew, która spłynęła mu do oka. – Nie zjem cię.

Wtopił się w fotel, parokrotnie cmoknął i zatrzasnął ciężkie powieki.

Magda, nie odrywając od niego wzroku, z coraz większą nerwowością oczekiwała na techników.

Witold Ptak długo drapał się po głowie, pokrytej przeredzoną i nieuczesaną czupryną, próbując uporządkować myśli. Czuł na sobie ponaglące spojrzenia trzech policjantów z Komendy Miejskiej, ściągniętych na odprawę w trybie awaryjnym, oraz kolegów z wydziału, którzy nie do końca wiedzieli, po co zostali wezwani. Położył swoje notatki na stole i spojrzał na Mariusza Szczebiota, który usiadł w kącie sali konferencyjnej, rozłożył laptopa na kolanach i zaczął wściekle stukać w klawiaturę. Nie wydawał się zainteresowany tym, co może za chwilę usłyszeć. Za to można było odnieść wrażenie, że próbuje pobić rekord świata w tempie wysyłania maili.

Obok Szczebiota siedział Adam Warga, który rozlał swoje potężne ciało na krześle i położył splecione przed sobą ręce na prężącym się pod koszulą brzuchu. Prokurator wpatrywał się w zamontowaną na przeciwległej ścianie tablicę korkową, do której przypięte były ziarniste fotografie najbardziej poszukiwanych przestępców w Polsce i Europie. Gapił się na nie tak, jakby próbował wypatrzeć na zdjęciach znajomych.

Witold spojrzał w stronę drzwi wejściowych, w których pojawiła się Magda Giętka. Wymienili się spojrzeniami. Gdy policjantka z rezygnacją pokręciła głową i zajęła miejsce na końcu sali, Witold postukał długopisem w stół, uciszając niosące się po sali szepty.

– Poznaliśmy kilka nowych faktów w sprawie zabójstwa Martyny Bułeckiej – oznajmił, nie siląc się na retoryczną grę wstępną. – Ale najpierw zacznę od złych informacji. Wciąż nie mamy motywu ani narzędzia zbrodni. Nie zdołaliśmy odtworzyć ostatnich godzin życia Bułeckiej. Nie wiemy też, w jaki sposób zabójca dostał się do jej mieszkania ani jak z niego wyszedł. Jeśli ktoś ma coś do

powiedzenia na któryś z tych tematów, niech odezwie się teraz.

Na kilka sekund zaległa cisza, niemal fizycznie bolesna dla policjantów.

– Szkoda – powiedział Witold i podniósł jedną z leżących przed nim kartek. – W takim razie powiem wam, co udało nam się ustalić. – Witold wyłapał z sali kilka par wpatrujących się w niego oczu i zerknął do notatek. – Wczoraj otrzymaliśmy zestaw bardzo interesujących zdjęć. Zrobił je Waldemar Piątek, mieszkaniec kamienicy, w której Martyna Bułeczka wynajmowała mieszkanie. Na dziewięciu fotografiach znajduje się nasza ofiara. Na siedmiu z nich w towarzystwie mężczyzn, w większości starszych od siebie. Do tej pory udało nam się rozpoznać trzech. Czterej pozostają dla nas anonimowi.

Witold odkopał stertę podzielonych na kilka partii wydruków, które trzymał pod swoimi notatkami, i przekazał siedzącemu najbliżej Arturowi Waliszewskiemu. Ten puścił je w obieg.

– Dostaniecie kopie tych zdjęć. Chcę, żebyście przyjrzeni się uważnie wszystkim ludziom, z którymi rozmawialiście w związku z zabójstwem Bułeczkiej, uważnie prześledzili jej facebookowy profil, przypatrzyli się zdjęciom jej kolegów, nauczycieli, członków rodziny i ich znajomym. Każdemu, kto może mieć coś wspólnego z Bułeczką. Musimy się dowiedzieć, kim są ci mężczyźni. Czy to jasne?

Kilku policjantów pokiwało głowami. Pozostali zatopieni byli w wydrukach, których szelest niósł się po sali.

– Kolejne odkrycie zawdzięczamy doktorowi Janowi Ronertowi i wynikom badań laboratoryjnych, które dostarczył nam dzisiaj rano. – Witold zmrużył oczy i uniósł jedną z kartek na wysokość brody. – W trakcie zabójstwa ofiara nie znajdowała się pod wpływem środków odurzających, mimo to w jej krwi wykryto śladowe ilości metabolitów marihuany i kokainy.

– Skąd biedna studentka miała kasę na koks? – zapytał rozparty na krześle Artur, leniwie drapiąc się po ręce.

– Z dawania dupy – rzucił z tyłu sali jeden z policjantów, którego nazwiska Witold nie pamiętał.

– To najprostsze wytłumaczenie. A mając na uwadze zdjęcia Bułeczkiej

w towarzystwie mężczyzn, także najbardziej prawdopodobne. Ofiara oficjalnie nigdzie nie pracowała. Matka nie rozpieszczała jej finansowo. Ojciec, który mieszka w Niemczech, twierdzi, że do Polski wysyłał jedynie alimenty. Mimo to stać ją było na markowe ubrania i kokainę.

– Tylko gdzie podziały się jej pieniądze? – zapytał Szczebiot, odrywając się na chwilę od laptopa. – Trudno uwierzyć, że nie ma po nich śladu ani na jej koncie, ani w mieszkaniu. Chyba że wszystko wydawała na kokę. Ale gdyby tak było, ktoś prędzej czy później by się zorientował, że ma problem z narkotykami, a żaden z jej znajomych nawet nie zasygnalizował takiej możliwości. Macie pomysł, co mogło się z nimi stać?

– Nie rozmawialiśmy jeszcze z jej znajomymi o pieniądzach – zauważył Artur. – Może gdy podsunie im ten trop, zdradzą nam, co Bułeczka robiła z kasą.

– Albo się speszą – wtrącił się Adam Warga, wciąż wpatrzony w tablicę korkową. – Ludzi krępują rozmowy o forsie. Także o cudzej. Jeżeli nie udało wam się wyciągnąć z nich informacji, które pozwoliłyby stworzyć wiarygodny rys psychologiczny Bułeczki, wątpię, byście zdołali się dowiedzieć, co zrobiła z pieniędzmi.

Artur wyprostował się i pochylił w stronę prokuratora.

– Co pan sugeruje? – zapytał.

– Żebyście przestali grzebać w dupie i zaczęli szukać zabójcy.

Warga wyciągnął z aktówki chusteczkę. Starł z czoła krople potu i rzucił Arturowi drwiący uśmiech.

– W każdym razie jest to jedna z wielu rzeczy, których musimy się dowiedzieć. – Witold przerwał niezręczną ciszę. – Jeżeli nie czujecie się wystarczająco zmotywowani, to mam dla was jeszcze jedną informację. Otóż budżet śledztwa zaczyna się niebezpiecznie kurczyć. Dlatego z każdym dniem coraz mniej osób przy nim pracuje. Wkrótce zostanie nas tylko garstka. Miejcie to na uwadze, bo ci, którzy są nad nami, będą mieć to kompletnie w dupie. To wszystko.

Policjanci zaczęli przeciskać się do wyjścia. Witold pozbiierał swoje notatki i założył skuwkę na długopis. Kiedy podniósł głowę, zobaczył dwie pary

wpatrzonych w siebie oczu, przyspawane do twarzy Mariusza Szczebiota i Adama Wargi. Nie był pewien, który z nich chce mu wyrządzić większą krzywdę.

Budynek Komendy Wojewódzkiej Policji odbijał się w nasłonecznionym mokrym asfalcie, na którym ubłocone buty Magdy Giętkiej zostawiały krótkie brązowe ślady. Policjantka wsiadła do samochodu i momentalnie opuściła szybę. Smród wymiocin, papierosów i potu był nie do wytrzymania. Było to jednak jedyne miejsce, w którym mogła być sam na sam ze swoim bólem głowy, ssaniem w żołądku i zmęczeniem.

Wyciągnęła z kieszeni telefon i zobaczywszy parę nieodebranych połączeń, zakłęła. Wybrała numer, z którego ktoś próbował kilkakrotnie się z nią połączyć, kiedy była na odprawie. Wyrzała przez szybę. Gdyby nie dwaj funkcjonariusze, którzy opierali się o radiowóz i zaśmiewali do rozpuku, słuchając sprośnej opowieści trzeciego, stojącego do nich bokiem i wykonującego kopulacyjne gesty, na parkingu panowałaby idealna cisza. Taka, jakiej potrzebowała. Taka, której przez kilka następnych godzin z pewnością nie uświadczy.

– W końcu – wychrypiała Beata Tarka głosem palacza.

– Dopiero teraz skończyła się odprawa.

– Jakież nowości?

– Kilka. Ale jeśli chodzi o sprawcę, nie posunęliśmy się nawet o centymetr.

– Nie jestem zaskoczona – odparła Tarka. – Niestety, też nie mam dla ciebie dobrych wieści.

– Zdążyłam do tego przywyknąć.

Magda głośno westchnęła i zasłoniła oczy dłonią, chroniąc je zarówno przed słońcem, jak i widokiem trzech przygłupów wgapiających się w jakiś filmik na smartfonie. Słyszając ich rechot, miała ochotę zasłonić sobie także uszy. Albo je odciąć, jeżeli było to jedyne wyjście z sytuacji.

– To miejsce to jeden wielki syf – powiedziała Tarka. – Chłopaki są wściekłe. W ciągu ostatnich trzech godzin częściej słyszałam słowo „kurwa” niż jakiegokolwiek inne.

– Nie wierzę, że nie jesteście w stanie nic zrobić.



– Tego przecież nie powiedziałam. Zebraliśmy trochę odcisków z chaty, ale wszystkie są silnie zanieczyszczone. Jeżeli uda się ustalić na ich podstawie czyjaś tożsamość, będzie to wielki sukces. A jeżeli któryś z nich nadawałby się w sądzie, to byłby cud. Zabezpieczyliśmy też ślady opon i butów, ale po nich raczej ciężko będzie wam dojść do tego, kto Kawęckiego tak urządził. A swoją drogą... jak on się ma?

– Trafił do szpitala ze wstrząśnieniem mózgu. Wylize się. Co jeszcze macie?

– Krew, ale prawdopodobnie należy do Kawęckiego. Chłopaki szukają śladów lakieru na krzewach i gałęziach.

– Lakieru?

– Wszystkie ścieżki prowadzące do chaty są wąskie i mocno zarośnięte. Żeby podjechać pod sam budynek, oba samochody musiały w pewnym sensie wdrzeć się w las. Przy wjazdach leży sporo połamanych gałęzi. Miejmy nadzieję, że nie zrobił tego wiatr. Szanse, że uda nam się ustalić, czym ci faceci przyjechali, oceniam na fifty-fifty.

– Zawsze coś.

– Gdyby Kawęcki zwrócił uwagę na marki samochodów albo ich numery rejestracyjne, wszystkim byłoby łatwiej. Ale on jakimś cudem tego nie zrobił.

– Rzeczywiście to dziwne – przyznała Magda. – Możliwe, że jeszcze coś sobie przypomni. W końcu oberwał w głowę.

Odsunęła smartfon od ucha, kiedy w telefonie rozległ się ostry kaszel. Kiedy go przystawiła ponownie, usłyszała syk wypuszczanego dymu.

– Sprawdziliście samochód Kawęckiego?

– Oczywiście.

– I co?

– Zebraliśmy trochę odcisków. Ich lokalizacja sugeruje jednak, że należą do Kawęckiego.

Magda podniosła szybę i osunęła się na oparcie fotela. Nie była w stanie dłużej znosić salw śmiechu troglodytów odstawiających żenującą szopkę na parkingu policyjnym. Spojrzała na zegarek. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni w środku

dnia była tak wycieńczona.

– Posiedzimy tu jeszcze ze dwie godziny, żebyśmy mieli co napisać w raporcie, ale nie oczekuj, że nasza praca bardzo wam pomoże. Chyba że będziemy mieć cholernie dużo szczęścia.

Magda wolno pokiwała głową, przyciskając dłoń do czoła i zamkniętych powiek. Czuła, że jeśli tego nie zrobi, przymocowana do tułowia kula spadnie jej na kolana.

– Sierść – powiedziała głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Kawęcki mówił, że facet, którego widział w chacie, przyprowadził ze sobą psa. Wielkie białe psisko. Sprawdźcie, czy w chacie nie ma sierści.

– Włósów nie ma na pewno. Już to sprawdziliśmy.

– Poszukajcie białej sierści. Jeśli nic nie znajdziecie, spakujcie manatki i wracajcie do domu.

Beata Tarka zachichotała, wydając z siebie dźwięk przeziębionej wiedźmy.

– O niczym innym nie marzymy.

Magda dałaby sobie rękę uciąć, że zanim połączenie się zakończyło, usłyszała zgrzyt zapalniczki.

Dwaj młodzi mężczyźni, zapewne studenci albo jeszcze licealiści, gorączkowo rozmawiali z policjantami, którzy chwilę wcześniej poprosili ich o dokumenty tożsamości. Mężczyźni, a może jeszcze chłopcy, przeszli na drugą stronę jezdni na czerwonym świetle. Prawdopodobnie przekonywali funkcjonariuszy, że to nie miało najmniejszego znaczenia, ponieważ w tym momencie nie jechały żadne samochody, że tysiące osób każdego dnia postępuje dokładnie tak samo i nie ponosi z tego powodu konsekwencji, że to w końcu Piotrkowska, a na niej przecież wszyscy poruszają się jak święte krowy. Policjanci byli jednak nieugięci. Z ich nerwowych odpowiedzi i energicznej gestykulacji wylaniały się kolejne groźby, wypowiedziane mniej lub bardziej wprost: nie awanturujcie się, bo mandat będzie większy, bo sprawimy, że wasz dziekan albo dyrektor się o tym dowie, bo zaciągniemy was do suki i spuścimy wam taki wpierdol, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyliście.

Alicja Mioduszevska przyglądała się tej scenie rodzajowej przez wysoką witrynę restauracji, delikatnie bujając kieliszkiem z winem i dyskretnie zdrapując językiem resztki jedzenia z zębów. Jeszcze kilka lat temu znajdowała się tam, gdzie ci chłopcy. Była zagubioną studentką, utyskującą na nędzną uczelnię i ratującą się przed marazmem udziałem w wyczerpujących weekendowych imprezach. Z niepokojem wypatrywała tego, co może jej przynieść przyszłość. Zakładała, że prędzej czy później zdobędzie pracę w swoim zawodzie, wynajmie mieszkanie, znajdzie jakiegoś faceta i będzie wieść względnie normalne, skromne życie. Weryfikacja jej założeń przyszła bardzo szybko. I choć nie potrafiła się z tego jeszcze cieszyć i być może nigdy się tego nie nauczy, jej życie skręciło w bardzo pozytywnym kierunku. Przynajmniej to zawodowe. Nie przypuszczała, że zaledwie kilka lat po opuszczeniu murów uczelni stanie się jedną z najpopularniejszych łódzkich dziennikarek. Że napisze tekst, który będzie cytowany, omawiany, krytykowany i chwalony we wszystkich mediach w kraju. A tym bardziej że człowiek, który mógł poczuć się dotknięty jej publikacją, zaprosi ją na kolację i będzie robić wszystko, aby sprawić jej przyjemność.

Spotkanie z Jakubem Możejką przebiegało w zaskakująco miłej atmosferze. Zanim zamówione przez nich jedzenie wylądowało na stole, wykładowca zasypywał Alicję zabawnymi uczelnianymi anegdotami, rozpościerał szeroki uśmiech i pilnował, aby jej kieliszek nawet przez chwilę nie był pusty, ciągle dolewając do niego wina. Z czasem także ona, zrazu nastawiona defensywnie i zachowująca rezerwę, zaczęła wydobywać historie z przeszłości – swoje lub osób, z którymi miała kiedyś do czynienia – i ochoczo wymieniała się doświadczeniami. Dziwiła się, że starszy o kilkanaście lat mężczyzna z takim zrozumieniem pochłania jej studenckie opowiadania o młodych ludziach podejmujących zaskakujące życiowe wybory. Pewnie tylko udawał, że podoba mu się to, co słyszy. Ale robił to z klasą. Tak jak powinno się to robić w restauracji, w której pracują uprzejmi kelnerzy w muszkach, z głośników sączy się smooth jazz, przeciętny klient ma około czterdziestu pięciu lat, a cena kolacji dla dwóch osób rzadko zamyka się w pięciuset złotych.

Kiedy Możejko wrócił z toalety, zamieniając po drodze słowo z kelnerem, rozsiadł się wygodnie na krześle i dolał Alicji wina. Dziennikarka przyglądała się przez dłuższą chwilę jego spokojnej, zrelaksowanej twarzy, która zdawała się należeć do człowieka przynajmniej o kilka lat młodszego. Alicja była pewna, że zaliczał się do tych mężczyzn, którzy lepiej wyglądają po czterdzieste, niż gdy mieli dwadzieścia kilka lat.

– Porozmawiamy o Martynie Bułeckiej? – zapytała, poprzedzając i wieńcząc swoją wypowiedź niewielkimi łykami wina.

Możejko sięgnął po kieliszek i pociągnął nosem. Strzepnął kilka paprochów z rękawa marynarki, żeby zająć czymś ręce i dać sobie czas na odpowiedź.

– To zależy. Przede wszystkim od tego, czy przejdziemy na ty.

Alicji nie w smak było zwracać się formalnie do człowieka, z którym pije wino, więc bez namysłu wyciągnęła dłoń nad stołem.

– Alicja.

– Kuba.

Postukał palcami w blat i wbił w nią surowy wzrok.

– Opowiem ci o Martynie, ale pod warunkiem, że wysłuchasz mojej opowieści nie jako Alicja Mioduszewska, dziennikarka „Expressu Łódzkiego”, lecz jako Alicja, dziewczyna ciekawa ludzi i świata. Nie chciałbym, żeby ta historia znalazła się w prasie. Wiele osób mogłoby poczuć się dotkniętych tym, co powiem. Zwłaszcza rodzice Martyny i jej koledzy, którzy jednocześnie są moimi studentami.

– Dopóki się nie dowiem, co chcesz mi powiedzieć, wolałabym niczego nie obiecywać. Mogę natomiast cię zapewnić, że cała ta historia nie interesuje mnie z uwagi na to, kim Martyna była, ale dlatego, że została bestialsko zamordowana. Największą satysfakcją dałoby mi przyczynienie się do schwytania sprawcy.

– Albo obnażenie nieudolności policji.

– To w drugiej kolejności – przyznała Alicja, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

Możejko wymownie westchnął.

– Kim są twoi rodzice?

– Słucham?

– Ciekawi mnie, z jakiego domu się wywodzisz. Dzięki temu będę w stanie określić, jak zareagujesz na to, co ci opowiem. Ostatnio sprawiłaś mi niezbyt przyjemną niespodziankę, kolejnej wolałbym uniknąć.

Alicja spojrzała przez okno na Piotrkowską, na której nie pozostał żaden ślad po niedawnej sprzeczce chłopaków z policjantami. Ulica niemal opustoszała. Resztki zimy wymiotły z niej nielicznych turystów, a studentów usadziły przy barowych stołkach. Między efektownymi witrynami rozbijał się wyłącznie wiatr. Typowy widok dla śródygodniowego łódzkiego wieczoru.

– Moja mama od ponad dwudziestu lat pracuje w niewielkiej bibliotece na Teofilowie. Ojciec to handlowiec. Przez całe życie pracował w rozmaitych firmach jako sprzedawca, a od niedawna prowadzi własny sklep z akcesoriami wędkarskimi.

– A więc bibliotekarka i zapalony wędkarz, mama i ojciec – mówił Możejko, intensywnie wpatrując się w Alicję. – Prawdopodobnie miałaś spokojniejsze dzieciństwo i łatwiejsze wejście w dorosłość niż Martyna. Twój rodzice to pasjonaci, którzy w mniejszym lub większym stopniu realizują się w tym, co sprawia im przyjemność. Nie musieli przez całe życie robić czegoś sprzecznego ze swoją naturą, więc byli szczęśliwsi niż większość Polaków, zawodowo zajmujących się rzeczami, które przyprawiają ich o mdłości. Nie wyładowywali na tobie swoich frustracji. W dużej mierze dzięki temu znajdujesz się u progu wielkiej dziennikarskiej kariery. Choć prawdopodobnie nie dostrzegasz, jak wiele zawdzięczasz ludziom, którzy cię ukształtowali. Zwłaszcza ojcu.

Możejko napił się wina, pociągnął nosem i uśmiechnął się w nienaturalny sposób, jak gdyby samą twarzą próbował Alicji powiedzieć coś niemiłego.

– Bardzo szanuję swoich rodziców i to, co dla mnie zrobili. Nie uważam jednak, żeby mój zawodowy wybór miał jakikolwiek związek z ich pracą. A tym bardziej nie uważam, żebym stała u progu wielkiej kariery. Wyszedł mi jeden tekst. To wszystko.

– Skromność jest cechą ludzi wielkich, ale to pewnie wiesz. Wiesz także, że

silne negatywne doświadczenia z dzieciństwa odciskają się na psychice i często w sposób znaczący kształtują naszą przyszłość. Dlaczego więc te pozytywne nie mogą mieć równie dużej siły oddziaływania?

– Mogą. Po prostu nie uważam, żebym była pod wpływem bardzo pozytywnego oddziaływania ze strony rodziców. Określiłabym je raczej jako umiarkowanie pozytywne. Jaki to ma związek z Martyną Bułecką? – zapytała Alicja, niezbyt umiejętnie ukrywając irytację.

– Taki, że umiarkowanie pozytywne oddziaływanie, któremu zostałam poddana, było nieporównywalnie korzystniejsze od marazmu, w jakim Martyna topiła się w dzieciństwie. Jej matka przez całe życie pracowała w państwowej firmie, a po zmianie ustrojowej straciła posadę i nie potrafiła odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Ojciec był dorywczym robotnikiem. Pracował wtedy, kiedy była hossa w branży. Gdy była bessa, siedział w domu, narzekał i wylewał z siebie frustrację. Aż pewnego razu doszedł do wniosku, że za zachodnią granicą Polski czeka na niego inny świat, lepszy, nieznający pojęcia bezrobocia czy dekonunktury, i zdecydował się na wyjazd, ucieczkę od problemów. Martyna była jedynaczką z rozsądku. Jej rodzice wiedzieli, że drugiego dziecka nie byłiby w stanie utrzymać. Rozpieszczali ją i byli na każde jej skinienie, a jednocześnie nie potrafili zaoferować nic atrakcyjnego. To przez nich, przez ich dojmującą przeciętność, długo kroczyła przez życie bez celu i ambicji.

– A kim są twoi rodzice?

– Niezwykle inteligentnymi ludźmi, którzy żarliwie wierzą w Boga, a jednocześnie gorliwie krytykują otaczającą ich rzeczywistość. Rzadkie okazy w dzisiejszych czasach. Przed laty byli dyskretnymi aktywistami studenckimi, którzy skrycie kontestowali rządy komunistów. Dopiero po upadku żelaznej kurtyny stali się konformistami. Paradoksalnie właśnie wtedy, kiedy w końcu dysponowali wachlarzem rozmaitych możliwości, porzucili swoje ambicje.

– Jakie?

Możejkę zawahał się i zazgrzytał zębami. Nerwowo przeczesał palcami włosy, nieznacznie zmieniając układ swojej czupryny.

– Wolałbym o tym nie mówić. Były to długo skrywane plany, które ich samych krępowwały. Mówiąc o tym komuś, kogo nie mieli okazji poznać, sprawiłbym im przykrość.

Alicja poruszyła się na krześle, opuściła ręce pod stół i dyskretnie zanurkowała do torebki. Próbowwała wymacać palcami kawałek kartki i długopis. Znalazła jednak tylko długopis. Podwinęła nieznacznie rękaw bluzki i napisała na nadgarstku: „rodzina”, „dzieciństwo”, „ambicja”. Z jakiegoś powodu wydało jej się cholernie ważne, żeby to zanotować. Zapiski natychmiast schowała pod rękawem bluzki, a długopis wsunęła do płytkiej kieszeni w spódnicy.

– Martyna próbowała zmienić swoje położenie, swój los – kontynuował Możejko. – Po latach tkwienia w apatii i przeżuwania wciąż tego samego zeschniętego chleba chciała rozsmakować się w delicyjach. Zapragnęła wydostać się z szarości. A ja zamierzałem jej w tym pomóc.

– Czy rzeczywiście była tak zdolną osobą?

– Zdolności Martyny ujawniały się wtedy, kiedy towarzyszyła im determinacja. A ta ma to do siebie, że bywa ulotna. Tak, radziła sobie nieźle z pisaniem. Nie wątpię, że mogła to robić zawodowo, gorsi od niej zarabiają na tym ogromne pieniądze.

– Ale?

– Ale nie byłaby w stanie zrobić kariery naukowej, gdybym jej odrobinę w tym nie pomógł. Miała zbyt duże zaległości z poprzednich lat, nie do nadrobienia w tak krótkim czasie. Tylko nie zrozum mnie źle – powiedział Możejko, pochylając się nad stołem. – Z moralnego punktu widzenia nie robiłem nic niewłaściwego. Próbowiałem pomóc dziewczynie, która zapragnęła zdjąć znoszony sweter i założyć suknię balową. Obawiałem się, że gdyby nie zrealizowała swojego dzikiego pragnienia, stałoby się jej coś złego. Niepowodzenie poniesione przy tak dużych pokładach mobilizacji mogłoby skończyć się dla niej fatalnie. A najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że zostanie zapamiętana jako szara myszka, w której życiu najciekawsze, a zarazem najbardziej przerażające było to, w jaki sposób ktoś je zakończył.

– Kto mógł to zrobić? – Alicja prędko napiła się wina, jakby chciała przepłukać gardło po tym pytaniu.

– Nie mam pojęcia.

Przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Nie uwierzę, jeśli powiesz, że się nad tym nie zastanawiałeś. Chciałeś zostać psychologiem, a od kilkunastu lat piszesz thrillery psychologiczne. Pewnie ciągle się zastanawiasz, kto był sprawcą.

Możejko wbił plecy w twarde oparcie krzesła. Poszukiwanie odpowiednich słów momentalnie go postarzało. Odebrało mu cały urok, jakim emanował.

– Potwór, którego Martyna wcześniej nie знаła albo znała pod innym wcieleniem. Człowiek niewyobrażalnie okrutny, pozbawiony empatii, ogarnięty niepokonaną potrzebą zadawania cierpienia. Ktoś, kto jest świadomy swojej chorobliwej natury i potrafi ją za dnia ukrywać, aby normalnie funkcjonować w społeczeństwie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Ktoś, kto na pierwszy rzut oka może się niczym nie różnić ode mnie.

Jednym haustem opróżnił kieliszek i energicznym gestem ręki przywołał kelnera.

Alicja, uważnie przyglądając się mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie stołu, wysunęła spod bluzki nadgarstek, wyciągnęła długopis i napisała: „chory”, „strach”, „potwór”.

– Chodźmy stąd – powiedział nieoczekiwanie Możejko, a następnie rzucił jej powłóczyście spojrzenie. – Znam ciekawsze miejsca.

Tomek Kawęcki przyglądał się wysuszonej kobiecie z fioletową czupryną, w której przebijały się siwe odrosty, nalewającej do talerza coś, co teoretycznie powinno być zupą jarzynową. Zastanawiał się, czy to świństwo, czymkolwiek ono było, dostarczone przez jakąś godną pożałowania firmę cateringową, nie jest przypadkiem trujące. Jego wątpliwości rozwiął staruszek z sąsiedniego łóżka, jeden z dwóch nowo poznanych kolegów ze szpitalnej sali, który ze smakiem wlał zupę do gardła, osunął się na poduszkę, puścił kilka śmierzących bąków i zasnął. Najwyraźniej musiał w życiu jadać gorsze rzeczy.



Lekarka, która kilkanaście minut później weszła do sali, zerknęła na kartę Kawęckiego, a następnie w ekspresowym tempie przekazała mu dobre wieści. Tomografia komputerowa głowy nie wykazała nic niepokojącego. Doznał jedynie wstrząśnienia mózgu, co wymaga leżenia i odpoczynku. Czaszka oraz mózg, który, o dziwo, ukrywał się w jej wnętrzu, pozostały nietknięte. Za kilka, najwyżej kilkanaście dni wszystkie negatywne skutki ciosu, który otrzymał, powinny ustąpić, z wyjątkiem potężnej, przewiązanej szwami bulwy na głowie i fatalnej fryzury. Wypowiedziawszy kilka zdań w tempie karabinu maszynowego, lekarka rzuciła okiem na karty dwóch pozostałych pacjentów, a następnie w pośpiechu, z obrzydzeniem wymalowanym na twarzy, opuściła salę. Prawdopodobnie zgorszyła ją symfonia smrodu, którą starzec z sąsiedniego łóżka wygrywał nawet przez sen.

Pożółkłe ściany sali, mające wywoływać u pacjentów pozytywne odczucia, kojarzyły się Kawęckiemu ze szczykami i żółcią. Gapiąc się na nie, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jedną z podstawowych przyczyn podupadania na zdrowiu pacjentów są bezmyślnie urządzone i fatalnie prowadzone szpitale, które poza nędznym leczeniem oferują tymczasowym lokatorom przykrą lekcję historii. Sprawiają, że pacjenci nie kurują się z myślą o swoim zdrowiu czy dla lepszego samopoczucia, lecz po to, by wyrwać się z tego przerażającego miejsca. Być może, pomyślał Kawęcki, cały system opieki zdrowotnej w Polsce opiera się na założeniu, że najlepszym sposobem na przywrócenie zdrowia jest umieszczenie chorego w miejscu, które ze wszystkich sił będzie pragnął opuścić. W nieznacznie uwspółcześnionej wersji łągru.

Kawęcki zapadł w niespokojny, krótki sen, nie pierwszy i nie ostatni tego dnia. Kiedy się obudził, spojrzął w kierunku wejścia do sali i rozpoznał znajomą twarz. Witold Ptak stał na korytarzu i rozmawiał szeptem z pielęgniarką. Słuchał jej z uwagą, nie zdradzając oznak zniecierpliwienia ani złości, które na jego zmęczonej twarzy mógł dostrzec jedynie ktoś, kto go dobrze zna. Ktoś taki jak Kawęcki. Kiedy skończyli rozmawiać, energicznie wparował do sali, zapalił światło, ściągnął brudną kurtkę ze stojącego w rogu pokoju wieszaka i cisnął ją na

łóżko Kawęckiego.

– Ubierz się i chodź ze mną – powiedział. A właściwie rozkazał.

Zarzucona na cienką szpitalną koszulę kurtka dawała Kawęckiemu jedynie iluzoryczne poczucie ciepła. Obolały i otumaniony silnymi środkami przeciwbólowymi, wlekł się kilka metrów za Witoldem, który przedzierał się przez cuchnący antyseptycznym środkiem korytarz. Wieczorną ciszę mąciły jedynie ledwo słyszalne dźwięki telewizji dobiegające z sal i odgłosy chrapania starców, którzy z różnych powodów się w nich znaleźli.

Policjanci dotarli do obszernej klatki schodowej. Ziało na niej chłodem z wielkich nieszczelnych okien. Witold postawił na niskim parapecie słoik, który mimo obowiązującego w szpitalu zakazu palenia służył pacjentom za popielniczkę, i wyciągnął paczkę papierosów. Wydłubał z niej dwa szlugi. Jednego włożył do ust, drugiego niechętnie oddał Kawęckiemu.

– Jutro, najpóźniej pojutrze wyjdiesz stąd i pojedziesz do domu. Dostaniesz dwutygodniowy urlop. Potem pójdziesz na kontrolę lekarską i dowiesz się, czy możesz wrócić do pracy. Jeżeli się okaże, że wszystko z tobą w porządku, wrócisz. Jeżeli nie, spędzisz kolejny tydzień w domu. Rozumiesz?

Kawęcki, widząc, że Witold czeka na jego potwierdzenie, nieznacznie skinął głową. Zaciągnął się mocno papierosem i poczuł nieznośną suchość w gardle. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów rozważał wyrzucenie peta, zanim ten wypalił się do samego filtra.

– A teraz najważniejsze: czy wiesz, kto ci to zrobił?

Kawęcki wolno pokręcił głową. Tak wolno, że Witold nie był pewien, czy rzeczywiście nią pokręcił, czy tylko zatrząsł się z zimna.

– Nie wiesz czy nie pamiętasz?

– Nie wiem – odparł Kawęcki, przecierając śródreżem oczy. – Podjechali dwoma samochodami. Mogłem się uważnie przyjrzeć tylko jednemu z nich. W drugim mógł zostać ktoś na czatach. Prawdopodobnie leżał na tylnym siedzeniu i obserwował okolicę. Kiedy zobaczył, że skradam się do chaty, zaczął się na mnie.

– Brzmi, jakby znali się na rzeczy.  
– Na pewno nie robili tego pierwszy raz.  
– Byłbyś w stanie rozpoznać tych facetów?  
– Dwóch na pewno. Trzeciego raczej nie. Był w przebraniu. Nie chciał, żeby go ktokolwiek rozpoznał. – Kawęcki wrzucił niedopałek do słoja. Papieros zasyczał po zetknięciu z taflą wody. – To mógł być on.

– Kto?

– Człowiek, którego szukamy.

– Nie do wiary – parsknął Witold. – Skąd ci to, kurwa, przyszło do głowy?

– Był wielki. Większy od ciebie. Trzymał w rękach ogromne psisko, jakby to była chihuahua. Poza tym on nie sprzedawał tego psa. Przyjechał tam, żeby go zwrócić dwóm Ormianom, Czeczenom czy kimkolwiek byli ci goście. Chciał się go pozbyć.

– Dlaczego więc po prostu go nie zabił? Zakopanie psich zwłok nie jest wielką filozofią.

– Nie miał powodu, żeby go zabijać. To nie psy mu wadzą, lecz ludzie.

Witold podrapał się po pomarszczonym czole.

– Kłopot w tym, że ten twój olbrzym nosi buty w rozmiarze mojej córki. Największy odcisk, jaki znaleźliśmy w chacie, zostawił but numer czterdzieści jeden. Nawet ty nosisz większe.

– Tym lepiej dla nas.

– Niby czemu?

– Trudniej jest znaleźć wielkoluda z wielką płetwą niż wielkoluda ze stopą dziecka.

Kawęcki odwrócił się do Witolda plecami, splótł ręce na piersi i spojrzał na widok rozciągający się za oknem. Z ciemności wynurzały się niskie pofabryczne budynki i bloki, nad którymi górowały kominy jednej z łódzkich elektrociepłowni. Kiedy był dzieckiem, często się zastanawiał, co znajduje się u podnóża kominów, które za dnia wypluwały z siebie szare kłęby dymu, spowijając nimi niebo. Wyobrażał sobie, że mieści się tam gigantyczna podziemna fabryka zatrudniająca

dziesiątki tysięcy ludzi, którzy pracą swoich mięśni, niczym wielkie chomiki wciągnięte na kołowrotek, produkują ciepło. To zaś w jakiś magiczny sposób rozlewa się do łódzkich domów, wsiąkając w podłogi, ściany i sufity. Trzydzieści lat później wciąż nie wiedział, jak wyglądają wiecznie zasłonięte przyległości elektrociepłowni ani jak wytwarza się w nich ciepło. Ale też znacznie mniej go to interesowało.

– Coś nowego w sprawie? – zapytał Kawęcki.

– Jesteś na dwutygodniowym zwolnieniu lekarskim, więc nie powinienes się tym interesować.

Witold zgasił papierosa na ścianie słoika i wrzucił go do masowej mogiły niedopałków. Kątem ust wypuścił przetrzymywany w płucach dym. Prosto w nieruchomą twarz Kawęckiego.

– Jeden z pijaków mieszkających w kamienicy Bułeckiej okazał się zapalonym fotografem. Z okna swojego mieszkania fotografował okolicę. Zrobił dziewięć zdjęć, na których znajduje się Bułeczka. Na siedmiu w towarzystwie mężczyzn. Udało nam się rozpoznać tylko trzech.

Kawęcki odwrócił się do Witolda i podwinął bandaż, który sięgał mu aż do brwi.

– Pokażesz mi te zdjęcia czy będziemy tak stać w nieskończoność?

– Skąd masz pewność, że je ze sobą zabrałem?

– W przeciwnym wypadku by cię tutaj nie było.

Witold uśmiechnął się mimowolnie, ale zaraz potem opamiętał się i sposepniał. Wyciągnął paczkę papierosów, stuknął palcami w jej podstawę i włożył wysuniętego szluga do ust. Wolną ręką zanurkował do kieszeni kurtki i wydobył plik zdjęć. Podał je Kawęckiemu, a następnie zapalił papierosa.

– Nie gaś – powiedział Kawęcki.

Wydobywający się z zapalniczki płomień rozdzierał półmrok i oświetlał fotografie. Kawęcki poświęcił każdej z nich kilka sekund.

– Szukajcie dalej – powiedział. – Na tych zdjęciach go nie ma.

– Masz na myśli wielkoluda z małymi stopami, którego widziałeś w chacie?

Witolda korciło, żeby potrząsnąć Kawęckim. Albo żeby go zepchnąć ze schodów. Zamiast tego zacisnął dłonie na zardzewiałych barierkach. Poczuł, jak rdza kruszy się pod jego palcami.

– Zostałeś napadnięty przez bandę zbirów nielegalnie handlujących psami. Nie przez zabójców, którzy ćwiartują młode kobiety. W przeciwnym wypadku już byś nie żył, a tak doznałeś jedynie silnego wstrząśnienia mózgu, przy którym często występuje krótkotrwała utrata pamięci. To, że przypomniałeś sobie jakiegoś wielkiego skurwysyna w gumiakach, jeszcze nie oznacza, że jest to człowiek, który zabił Bułecką.

Witold wrzucił wypalonego do połowy papierosa do słoika i podciągnął ekspres w kurtce.

– Zostawić ci kilka?

Witold pomachał do Kawęckiego paczką papierosów. Ten wolno pokręcił zabandażowaną głową. Przestał trząść się z zimna, ale nadal wyglądał jak rozbitek wyłowiony z oceanu.

– Mogę cię o coś zapytać? – Kawęcki uformował zdjęcia w prostopadłościan i oddał je Witoldowi. – Ufasz mi?

– Nie rozumiem pytania.

– To proste: czy mi nadal ufasz? Pytam, bo kilkakrotnie wystawiłem twoje zaufanie na próbę.

Witold ciężko sapnął i wsunął dłonie do kieszeni kurtki. Filozofowanie Kawęckiego było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Było dla niego ostatecznym dowodem beznadziei, w której utknął. Zamiast siedzieć w domu, z rodziną, z żoną stęsknioną za jego obecnością i córkami wkraczającymi w kryzysowy wiek, dawał się wkręcić w mędrkowanie z zagubionym alkoholikiem, któremu kilkadziesiąt godzin wcześniej ktoś niemal rozłupał czaszkę.

– Prywatnie? Nie ufam ci za grosz. Już od kilku lat. Ale zawodowo chyba wciąż ci ufam. Wierzę, że mimo wszystko jesteś poważnym człowiekiem, który ma dobre intencje, choć zwykle gównem z tego wynika.

– To mi wystarczy. Musi wystarczyć.

Kawęcki uśmiechnął się półgębkiem. Chwilę później spuścił wzrok i spojrzał na swoje patykowate nogi, jakby nie był pewien, czy utrzymają jego otulone kurtką ciało.

– „Zawsze nadchodzi godzina w historii, kiedy ten, co ośmiela się powiedzieć, że dwa i dwa to cztery, jest karany śmiercią”<sup>3</sup>. – Kawęcki spojrzał na Witolda smutnym wzrokiem. – Albert Camus. *Dżuma*.

– Naprawdę uważasz, że to jest takie oczywiste?

– Nic nie jest oczywiste. Ale dwa i dwa to cztery.

Witold przewrócił oczami i westchnął. Był zmęczony. Zbyt zmęczony, żeby wściekać się na Kawęckiego.

– Idę do domu – oznajmił cicho. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, powiedz to wprost.

Kawęcki przez dłuższą chwilę milczał. Nie było jasne, czy nie ma nic do powiedzenia, czy też nie potrafi sformułować myśli.

– Tylko jedno – odezwał się, gdy Witold znalazł się u progu schodów wiodących w dół. – Musimy poznać jego historię. Historię zabójstw, które popełnił pod naszym nosem. To z nich się dowiemy, z kim mamy do czynienia. Jeżeli rzeczywiście mi ufasz, powinieneś właśnie na tym się skoncentrować. A wiesz dlaczego?

Witold wzruszył ramionami. Odpowiedź interesowała go tak samo jak to, czy Kawęcki ma na sobie bieliznę.

– „Bo kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości”<sup>4</sup>.

– To akurat znam. Piłsudski, prawda?

Witold nie dostał odpowiedzi. Kawęcki pożegnał go krótkim machnięciem ręki, wbił wzrok w podłogę i praktycznie nie unosząc stóp, poczłapał smętnym korytarzem, który cuchnęła śmiercią.

**K**ac może być perwersyjnie przyjemny, pomyślała Alicja Mioduszevska, wpatrując się w ekran laptopa, na który spływały kolejne maile i powiadomienia. Może koić nerwy, wyciszać, zmuszać umysł do czegoś, co przypomina agonalną refleksję. Oczywiście pod warunkiem, że poprzedza go wyrafinowane doprowadzanie organizmu do wycieńczenia, a nie bezmyślne dewastowanie wątroby i mózgu. Różnica między jedną a drugą metodą wtlaczania w siebie alkoholu jest mniej więcej taka jak między buldogiem francuskim a pitbullem. Niezbyt subtelna.

Zanim Alicja wybrała się do redakcji, weszła pod prysznic, żeby letnią wodą spłukać z siebie trudy nocy, wyciszyła dudnienie w głowie dwiema tabletkami przeciwbólowymi i uzupełniła płyny, opróżniając niemal całą półtoralitrową butelkę wody. Niewyspanie ukryła pod grubszym niż zazwyczaj makijażem. Cienkim swetrem, który od niepamiętnych czasów nosiła w torebce, jak amulet przywieziony z dalekiego kraju, przykryła część swojego stroju wieczorowego. W toalecie zmieniła rajstopy z cielistych na czarne, które kilka minut wcześniej kupiła w pierwszym napotkanym kiosku. Poprawiła fryzurę. Weszła do newsroomu

z kubkiem wypełnionym po brzegi czarną kawą, uśmiechnęła się do Piotrka Wochońskiego i usiadła na swoim miejscu. Udając, że przegląda maile, zastanawiała się, ilu kolegów z redakcji się zorientowało, że dotarła do firmy prosto z cudzego mieszkania. Ukradkowe spojrzenia, które jej nieustannie rzucali, jeszcze nie musiały o tym świadczyć.

– Odżyłaś po wczorajszym tajfunie? – zapytał Wochoński, odchylając się na fotelu i splatając ręce za głową.

– Tak jakby – odparła.

Kiedy pociągnęła łyk kawy, poczuła, że ma spuchnięte usta. Jędrne i obolałe niczym piersi świeżo upieczonej matki. Wcześniej, siadając i próbując założyć nogę na nogę, poczuła ból w pachwinach, które przyzwyczajone były do innego rodzaju wysiłku. Bolały ją również lędźwie i kolana. Ale był to przyjemny ból, każdym szarpnięciem przywołujący obrazy z minionej nocy.

Wszystko potoczyło się szybko, sprawnie, z obopólnym zrozumieniem. Bez niepotrzebnego krygowania się, zasłon dymnych, wątpliwości, z których później rodzą się wyrzuty sumienia. Oboje pragnęli jednego i prawdopodobnie w tym samym momencie zdali sobie z tego sprawę. Oboje też podskórnie czuli, że stąpają po cienkiej linii, niemal przy każdym ruchu przekraczając granicę etyki, ale ta świadomość tylko dodatkowo ich nakręcała. Sprawiała, że czuli się jak nastolatki, którzy w każdej chwili mogą zostać nakryci, gdy obmacują się pokątnie w autobusie, parku albo szkolnej toalecie.

Alicja była zdumiona werwą, którą przewyższała wszystkich jej wcześniejszych, znacznie młodszych kochanków. Oboje doszli tej nocy trzykrotnie. Za każdym razem inaczej. Za każdym razem stosunkowo szybko, co po wypiciu dwóch win i kilku drinków nie było takie oczywiste.

– Widziałem filmiki z tobą – powiedział Piotr. – Wypadłaś naprawdę nieźle.

– Dziękuję.

– Nie wiedziałem, że masz doświadczenie w pracy przed kamerą.

– Bo nie mam.

Piotr uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony.



– Może powinnaś spróbować sił w telewizji?

Lekko przekrzywiła głowę i rzuciła koledze drwiące spojrzenie.

– Jako tako znam się na pisaniu, nie na gadaniu i świeceniu ryjem.

Wstał nad ranem, zupełnie jakby w ogóle nie spał albo spał całe wieki. Wykąpał się, zaparzył kawę i wyszedł. Zostawił Alicji kartkę zapisaną niemal kaligraficznym pismem, a na niej klucze. Zapewnił, że to jego zabezpieczenie, na wypadek gdyby postanowiła nigdy więcej się z nim nie zobaczyć. W każdym zakątku jego mieszkania rozchodził się silny aromat męskich perfum, jakby spryskał nimi wszystkie pomieszczenia.

– Przyszło coś do ciebie – odezwał się asystent redaktora naczelnego, filigranowy, uzbrojony w potężne zakola Leszek Młynarski, bez którego redakcja „Expressu Łódzkiego” prawdopodobnie padłaby w jeden dzień. Albo i szybciej. – Coś dużego i pachnącego. Wygląda na prezent od jednego z twoich fanów, więc żeby nie narobić ci wstydu, zostawiłem na dole.

– Obawiam się, że od wczoraj mam więcej wrogów niż fanów.

Młynarski pochylił się, eksponując dwa potężne łyse place, które podbijały jego skronie.

– Uwierz mi, to nie wygląda na upominek od wroga. Aż zacząłem się zastanawiać, co musiałaś zrobić, żeby zdobyć informacje.

Duży łyk kawy pomógł jej wstać i dowlec się do windy. Zjeżdżała na parter, z zamkniętymi oczami, napawając się zawodowo-prywatnym szaleństwem, które spadło na nią w ostatnich dniach. W recepcji czekała Marta, uśmiechając się tak, jakby Alicji wystawały spod kiecki krwistoczerwone stringi.

– Cieszysz się naprawdę dużą popularnością.

– To dobrze czy źle?

– To zależy – powiedziała Marta. – Od tego, czy lubisz mieć święty spokój, czy wolisz być obsypywana podarunkami.

W ciasnym kantorku, który przylegał do recepcji, czekało na Alicję podłużne tekturowe pudło obwiązane ozdobną białą wstążką. Otworzyła je ostrożnie, uważając, aby nie uszkodzić zawartości. Gdy zobaczyła, co jest w środku, osłupiała

ze zdumienia. Kilkanaście średniej długości róż leżało jedna na drugiej, a pomiędzy nimi – cztery wąskie wazony upstrzone arabskimi wzorami. Do jednego przyczepiona była karteczka, którą pokrywało dobrze jej znane kaligraficzne pismo.

*Praktyczny podarunek dla pragmatycznej kobiety. Jeśli będziesz potrzebować pomocy przy transporcie, daj znać. K.*

– Komuś musiał spodobać się twój tekst – powiedziała Marta.

– Na to wygląda.

Alicja uniosła jedną z róż i zaciągnęła się jej zapachem. Uśmiechnęła się.

Kac faktycznie może być przyjemny.

Sztanga, obciążona z obu stron masywnymi talerzami, równomiernie unosiła się i opadała, w idealnej synchronizacji z głębokimi wdechami i wydechami Artura Waliszewskiego. Sto kilogramów. Witold Ptak pamiętał, jak Artur się cieszył, kiedy wreszcie udało mu się tyle wycisnąć. Oczywiście zarzekał się, że jego rekord jest znacznie wyższy, ale euforyczna radość zdemaskowała kłamstwo. Przez cały dzień zachowywał się jak pryszczaty nastolatek, który jakimś cudem pierwszy w klasie zdołał zaliczyć panienkę.

– Dawaj, jeszcze raz! – krzyknął Witold, stojąc za leżącym na ławeczce Arturem i delikatnie pomagając mu wycisnąć sztangę po raz trzeci. – Nieźle – powiedział, kiedy wylądowała na stojakach.

– Chujowo. Powinienem dobić chociaż do sześciu – wysapał Artur. – Gdyby nie te jebane odciski, dałbym radę.

Nie dałby, skonstatował w duchu Witold. Mowa ciała Artura nie pozostawiała złudzeń: dał z siebie wszystko i był bardzo zadowolony z osiągniętego wyniku. Jednak buta nie pozwalała mu się do tego przyznać. Musiał udawać, że nieustannie pragnie więcej, jak gdyby wspinał się po bezkresnym szlaku, na którym każde wypłaszczenie jest jedynie spowalniczem hamującym go w drodze na szczyt. Witold nie rozumiał, skąd bierze się w ludziach potrzeba udawania wiecznie

nienasyconych, niezależnie od tego, czy chodzi o wyniki na siłowni, osiągnięcia zawodowe, czy o seks. Ani dlaczego na tę przypadłość cierpi większość policjantów, których znał.

– Kurwa – zaklął Artur, wpatrując się w ekran telefonu.

– Co się stało?

– Ten onanista od komputerów prześledził całą aktywność internetową Bułeckiej w ciągu ostatniego półrocza. Twierdzi, że nie natknął się na nic interesującego.

– To niemożliwe.

– A jednak. Napisał, że dawno nie miał do czynienia z kimś tak nudnym i do bólu poprawnym. – Artur zaśmiał się pod nosem. – Na końcu maila pyta, czy kazaliśmy mu przeświecić dziewicę konsekrowaną.

– Jeszcze by się zdziwił.

Artur odłożył telefon na parapet i wypił kilka łyków wody. Witold usiadł na ławeczce i zaczął masować ramię. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd staranował dwumetrowego oprycha podejrzewanego – zresztą słusznie – o prowadzenie zorganizowanej grupy przestępczej. Złamana kość ramienna szybko się zrosła, ale wciąż dawała o sobie znać. Nie liczył na to, że kiedyś zamilknie.

– Myślisz, że Bułeczka rzeczywiście była dziwką? – zapytał Artur.

– Nie jest istotne to, co myślę. Liczy się to, co uda nam się w tej kwestii ustalić. Ale tak, myślę, że była dziwką.

– Ja jestem tego pewien – odparł Artur, kładąc sobie ręcznik na szyi. – Z jej billingów wynika, że często kontaktowali się z nią ludzie używający kart prepaid, zanim te zostały objęte obowiązkową rejestracją. Tak robią żonaci faceci, którzy nie chcą, żeby ich żony się dowiedziały, że łążą na kurwy.

– Gdzie w takim razie są jej pieniądze? – zapytał Witold. – Coś tu nie gra.

Poprawił zapięcia rękawiczek i położył się na ławeczce. Mocno chwycił gryf i okręcił sztangę na stojaku.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Artur. – O tej sprawie. Tak ogólnie.

Witold zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć na pytanie przed zrobieniem

serii, czy dopiero potem. Ostatecznie podciągnął się na gryfie i usiadł. Ciężko westchnął, jak gdyby właśnie kilkanaście razy uniósł sztangę nad głowę.

– Sam już nie wiem, co o tym sądzę. Ale obawiam się, że to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy zabójcą nie jest osoba z bliskiego otoczenia ofiary. A to może oznaczać, że nawet jeśli przez kolejne kilka miesięcy będziemy dłużyć w tej sprawie, to nic nam się nie uda ustalić. Tego nie zrobił ktoś, kto ją dobrze znał, ani facet, który za bardzo się podpalił, gdy uprawiali seks. – Pokręcił głową. – Musiał to zrobić ktoś, kto nie miał z nią żadnej relacji. Ktoś, dla kogo była jedynie zbieraniną skóry, mięśni i kości, a nie człowiekiem.

– Może będziemy mieć szczęście i wpadniemy na jego trop.

– Może – odparł z powątpiewaniem Witold. – Mogę cię o coś zapytać?

– Wal.

– Dlaczego za każdym razem, gdy wspominasz o Bułeckiej, nazywasz ją kurwą, dziwką albo inną zdzirą? Dlaczego mówisz o niej w taki sposób, jakby już na samą myśl chciało ci się rzygać? Jakbyś uważał, że jest winna temu, co ją spotkało?

Artur zaśmiał się nerwowo. Odwrócił się w prawo i zawiesił wzrok na stojącej tyłem do niego kobiecie w obcisłych legginsach, która robiła przysiady na suwnicy. Kiedy skończyła serię, ponownie spojrzął na Witolda.

– Bo uważam, że tak jest – odparł, drapiąc się po policzku. – Pochodzę z katolickiej rodziny. Nie jestem osobą wierzącą, ale szanuję katolickie wartości. Kobieta, która pozwala przypadkowym facetom bezczęścić swoje ciało, najcenniejszą rzecz, jaką posiada, jest dla mnie nic niewartą szmatą. Niezależnie od tego, z jakich powodów to robi. – Wzruszył ramionami. – Tak już mam. W niektórych kwestiach podzielam poglądy księży, mimo że uważam ich za zgraję nedorzniętych zwyrodnialców.

Odłożył ręcznik, napił się wody i stanął za Witoldem.

– Dość pierdolenia. Ćwicz, bo mi mięśnie stygną.

Witold ponownie położył się na ławeczce. Naprężył wszystkie mięśnie i podniósł sztangę. Odłożył ją na stojak dopiero, gdy dobił do dziesięciu powtórzeń.

Wnętrze samochodu Magdy Giętkiej przypominało pobożowisko. Niewielką

skórzaną torebkę, którą zawsze wozila ze sobą, choć nigdy nie miała czasu do niej zajrzeć, przykrywała sterta wydruków, papierki po batonach i opróżnione torebki śniadaniowe. Pod fotelem pasażera zalegały kubki po kawie, które od dłuższego czasu zamierzała wyrzucić, i strzępy gazet pokryte wszystkimi możliwymi ludzkimi wydzielinami. Z kolei w schowku ulokowanym pomiędzy fotelami znajdowała się kabura z pistoletem, którego jeszcze nigdy nie miała okazji użyć, oraz dyktafon, nagrywający każde wypowiedziane przez Tomka Kawęckiego słowo.

Przypięła długopis do notatnika i zepchnęła go z kolan, prosto w rozrastający się obok niej bajzel. Włączyła radio i rozparła się w fotelu. Wpatrując się w białe mury szpitala, przed którym rozciągał się przestronny parking, próbowała się odprężyć. Miała dość tego śledztwa, spędzania kilkunastu godzin poza domem i powrotów do mieszkania, gdzie toczyła bezsensowną wojnę z chłopakiem. Miała dość wykonywania poleceń przełożonych, którzy najwyraźniej próbowali doprowadzić ją do kresu wytrzymałości. A przede wszystkim miała dość Kawęckiego. Spisywania jego nieskładnego bełkotu. Rozszyfrowywania, co ma na myśli. Była emocjonalnie i fizycznie wycieńczona. Marzyła wyłącznie o tym, żeby cały świat się od niej odpieprzył.

Przekręciła głowę i spojrzała na notatnik, który w trakcie tego śledztwa zdążyła już w trzech czwartych zapisać. Znajdowały się w nim głównie spostrzeżenia na temat sprawy, cytaty z Kawęckiego oraz luźne interpretacje jego słów. Nie trawiła tego faceta. Jego wyglądu, głosu, zachowania, sposobu bycia, ubioru. Wszystkiego, co miało z nim jakikolwiek związek. Podświadomie pragnęła, aby jego zagadkowe wywody były wyłącznie wytworem zmagającego się z efemeryczną trzeźwością alkoholika, pogubionego samotnego faceta w średnim wieku, do którego coraz dobitniej dociera świadomość, że jego przyszłość to nie rodzina, dom, kominek i wielki kudłaty pies na kanapie, lecz rynsztok i towarzystwo oślizgłych meneli. Tyle że im dłużej przekopywała się przez wypowiedziane przez niego dyrdymały, tym jaśniejszy obraz się z nich wyłaniał.

Kawęcki usnuł teorię, jakoby zabójstwo Martyny Bułeckiej i popełniony przed

kilkoma laty mord na Justynie Kepler, za który został skazany jej upośledzony umysłowo kolega, były ze sobą powiązane. Według niego nie łączyła ich brutalność – dojmująca, lecz w obu przypadkach inna – ale zasadność obu zbrodni. Nie potrafił jej wskazać, mimo to upierał się, że w obu przypadkach za zabójstwem nie stoi zwyczajna, przypadkowo wymierzona chęć wyżycia się, wyładowania tłumionej agresji, tylko jakaś wyższa potrzeba. Być może potrzeba ukarania ofiar. Odebrania im godności. Albo wysłania światu sygnału, który na razie oczywisty był wyłącznie dla sprawcy. Kawęcki uważał, że za oboma zabójstwami może stać ten sam człowiek.

Magda nerwowo drgnęła i momentalnie porzuciła swoje rozważania. Ściszyła radio w połowie jakiejś piosenki i schyliła się tak, że jej głowa ledwo wystawała ponad kierownicę. Ze szpitala wyszedł mężczyzna ubrany w nieco zbyt obszerną kurtkę, w czapce z daszkiem. Ruszył w stronę parkingu. Mimo że szedł powoli, powłócząc nogami, a jego głowa praktycznie się nie ruszała, Magda dopiero z odległości kilkunastu metrów nabrała pewności, że to Kawęcki. Miał na sobie cudze ubranie i poruszał się jeszcze wolniej niż zazwyczaj, niczym otumaniony morfiną starzec. Dotarł na skraj parkingu, rozejrzał się na boki i wszedł do czarnego golfa. Samochód wydał z siebie nieprzyjemny ryk, jakby jego dziurawy tłumik za chwilę miał odpaść, i odjechał ze szpitalnego parkingu.

Magda zdążyła zauważyć znajomą łysą głacę, która siedziała za kierownicą. Należała do Mateusza Pająka, chłopaka, który kilkanaście godzin wcześniej prawdopodobnie uratował Kawęckiemu życie. Krajowy System Informacyjny Policji dobrze znał Pająka oraz jego rodzinę, która miała spore tradycje we wchodzeniu w zatarg z prawem. W policyjnej bazie danych figurowały nazwiska trzech urodzonych w Łodzi Pajaków: Janusza, siedemdziesięcioletniego nestora rodziny, który w latach dziewięćdziesiątych pobił mężczyznę na pocztce, Tadeusza, który musiał odsiedzieć kilka lat za podpalenie sklepu, oraz Mateusza. Najmłodszy z Pajaków po raz pierwszy zameldował się w policyjnej kartotece, kiedy miał czternaście lat. Został wówczas przyłapany na kradzieży papierosów. Od tego czasu jego nazwisko pojawiało się w bazie danych regularnie: brał udział

w kibolskich burdach, okradał sklepy monopolowe, zdarzyło mu się też odjechać ze stacji benzynowej, nie zapłaciwszy za paliwo, oraz grozić komuś nożem. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że za te wszystkie występki nigdy nie został wsadzony do więzienia – zaliczył jedynie kilka krótkich pobytów w areszcie i wyrok w zawieszeniu. Zupełnie jakby miał anioła stróża, który za każdym razem wyciągał go z opresji.

Kiedy godzinę temu Magda zadzwoniła do firmy spedycyjnej, w której Pająk był zatrudniony na pół etatu, i dowiedziała się, że nie przyszedł do pracy, wiedziała, gdzie go szukać.

Zachowując dystans, ruszyła za Kawęckim i Pajakiem. Po kilkunastu minutach przedzierania się przez zakorkowane miasto, osnute lekką poranną mgłą i wypełnione pędzącymi na uczelnie studentami oraz starcami pałętającymi się bez celu, czarny golf zatrzymał się przy bankomacie. Kawęcki dopiero po drugiej próbie wyciągnął z niego pieniądze. Wrócił do samochodu i wręczył je Pajakowi, który, sądząc po nerwowej reakcji, spodziewał się otrzymać więcej. Zapewne co najmniej tyle, ile zarobiłby tego dnia na magazynie. Po krótkiej wymianie argumentów uścisnęli sobie dłonie i ruszyli dalej.

W trakcie podróży komisarz przyciskał telefon do ucha i dyrygował Pajakiem, wskazując mu palcem, gdzie ma jechać. Pierwsze dwie lokalizacje były Magdzie dobrze znane: mieszkanie Marcela Rojka oraz burdel, pod którym przed paroma dniami widziała go po raz pierwszy. Jednak ani w jednym, ani w drugim miejscu go nie zastali.

Potem pojechali na stację benzynową. Komisarz niechętnie wysupłał z portfela banknot i wręczył go Pajakowi. Chłopak zaczął wlewać benzynę do baku, a Kawęcki odsunął się od samochodu na kilka metrów i zdecydowanie zbyt blisko dystrybutora zapalił papierosa. Zaczął się przyglądać stojącym przed nim kamienicom, które prosiły się o rewitalizację. W pewnym momencie uniósł dłonie, ujął budynki w utworzony z palców kadr i lekko przekrzywił głowę. Magda zauważyła, że przechodnie spoglądają na niego podejrzliwie. Próbowali wyczytać z twarzy Kawęckiego, czy grozi im z jego strony niebezpieczeństwo. Kiedy

przechodzili obok niego, spuszczaali głowy i przyspieszali kroku. Traktowali go jak wariata. Budził w nich większy niepokój niż zakapturzeni dresiarze, do których zdążyli już przywyknąć.

Kiedy Pająk zatankował, pojechali we dwóch na róg Kilińskiego i Pomorskiej. Zatrzymali się na chodniku, omal nie najeżdżając na stopę jednego z przechodniów, który po dłuższym wahaniu ostatecznie nie odważył się ich skłąć. Weszli do azjatyckiego baru, obskurnej kwadratowej budy, która niemal wrzeszczała do ludzi, aby omijali ją szerokim łukiem. Kiedy Pająk pospiesznie pożerał sajgonki z ryżem, zalane ogromną ilością słodko-kwaśnego sosu, Kawęcki grzebał w telefonie. Jak zwykle nie jadł. Magda przyglądała się im ze sklepu po drugiej stronie ulicy, udając, że zastanawia się nad wyborem płatków śniadaniowych. Czuła na sobie ponaglące spojrzenie brzuchatego kasjera, który głośnym oddechem sugerował jej, że powinna coś kupić, zamiast tak stać i gapić się przez szybę. Ale nie odważył się jej tego powiedzieć.

W pewnym momencie Kawęcki odebrał telefon i po krótkiej rozmowie poderwał się z krzesła. Powiedział coś do Pajaka i ruszył do wyjścia. Chłopak w pośpiechu wepchnął resztki ryżu do ust i wyrzucił plastikowy talerz do kosza na śmieci. Gdy znaleźli się w samochodzie, komisarz ponownie przystawił smartfon do ucha i zwrócił się do Pajaka, który mozolnie przeżuwał resztki jedzenia. Kiedy z piskiem opon ruszali spod baru, w jego ustach prawdopodobnie nadal dryfowała mięsno-ryżowa papka.

Jechali szybko, często łamiąc przepisy i nie litując się nad podwoziem samochodu, który podskakiwał na wertepach. W kilkanaście minut dotarli na obrzeża miasta i podążając dalej Rzgowską, opuścili Łódź. Po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymali się przy jednym z zajazdów nieopodal gigantycznego Centrum Handlowego Ptak. Magda, która z trudem za nimi nadążała, zjechała z głównej drogi dopiero kilkaset metrów dalej, w miejscu, gdzie stanowczo nie wolno było tego robić. Zatrzymała samochód pomiędzy wąskim poboczem a lasem obrastającym jezdnię z obu stron. Wyłączyła silnik i ruszyła pędem przez suche, zniszczone przez zimę zarośla, które łamały się przy każdym zetknięciu z jej



ciałem.

Kawęcki i Pająk wysiedli z samochodu, wypalili po papierosie i weszli do dwupiętrowego drewnianego budynku, w którym mieściły się restauracja i hotel. Pstrokaty neonowy szyld z nożem, widelcem i łożkiem, umieszczony pomiędzy pierwszym a drugim piętrem, nader wyraźnie wskazywał, że nie jest to dobre miejsce na poranną kawę lub śniadanie. Ani na nocleg. Ani na cokolwiek innego.

Magda zauważyła, że Kawęcki i Pająk usiedli przy oknie. Powiedzieli coś do kelnera, a ten niedługo później przyniósł im dwie filiżanki kawy. Komisarz przez chwilę wpatrywał się w napój, jakby próbował wzrokiem wyssać z niego gorycz. Potem odwrócił się w stronę okna i Magda miała wrażenie, że spojrzał prosto na nią. Przemieściła się na tył parking, gdzie Kawęcki nie mógł jej wypatrzyć. Ani skąd ona nie mogła zobaczyć jego. Wyciągnęła notatnik, który kilka minut wcześniej walał się w jej zagraconym samochodzie, i niemal wywiercając długopisem dziurę w papierze, zanotowała nazwę zajazdu. Tylko tyle mogła zrobić.

Kierując się w stronę swojego samochodu, przeszła obok żółtej toyoty, która nerwowo manewrowała na szutrowym placu. Zatrzymała się, by zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Miała nadzieję, że to nie jest kobieta. Że nie da pretekstu przyglądającej się jej zgrai samców do szowinistycznego śmiechu. Że nie potwierdzi drogowego stereotypu, z którym walczą miliony kobiet doskonale prowadzących auta. Nic z tego. Z niewielkiego żółtego pojazdu wysiadła szczupła rudowłosa dziewczyna, która pospiesznie przemknęła obok Magdy. Nawet nie zwróciła na nią uwagi, ponieważ idąc do hostelu, cały czas grzebała w trzymanej przed sobą torebce.

Mimo to Magda zdołała uważnie przyjrzeć się jej twarzy. Twarzy, którą już kiedyś widziała.

Artur Waliszewski miał dwie drogi życiowe do wyboru: trudną i na skrót. Droga trudna wiodła przez pięć lat studiowania finansów i rachunkowości, uwłaczające praktyki w instytucjach finansowych i przeciętną karierę w bankowości, audycie lub doradztwie finansowym. Pracowałby pięćdziesiąt godzin tygodniowo, codziennie uskarżając się na przymusowe nadgodziny,

korporacyjny reżim i bezcelowość pogoni za pieniędzmi. W weekendy upijałby się do nieprzytomności, próbując wyrwać przypadkowo poznane dziewczyny albo koleżanki z pracy – te, którym w firmowej kuchni opowiadałby świńskie żarty. Droga na skróty wiodła wprost do policji. Musiał jedynie zdać kilka niezbyt wymagających testów sprawnościowych i psychologicznych, przemęczyć się przez okres próbny i załapać na wolny etat. Łatwizna.

I tak jak wszystko co łatwe, droga ta okazała się niewarta wyboru.

– Nazywała się Martyna Bułeczka. – Artur przysunął się do przyszczatej tlenionej blondynki, która opierała się o cienki parapet podwieszony pod brudnym oknem i próbowała wycelować chmurą dymu w ledwie uchylony lufcik. – Kojarzysz ją?

Tleniona blondynka pokręciła głową i odwróciła się w stronę okna, za którym rozciągała się betonowa ściana sąsiedniego bloku.

– Skoncentruj się i spójrz jeszcze raz.

Artur podsunął dziewczynie zdjęcie pod nos.

– Mówiłam, kurwa, że jej nie znam – zachnęła się blondynka.

– Na pewno?

– Daj jej spokój – powiedziała starsza kobieta, która lekko kulejąc, weszła do kuchni. – Odkąd przestałeś nas odwiedzać, zrobiłeś się wyjątkowo upierdliwy.

Dobijająca pięćdziesiątki burdelmama z twarzą schowaną pod grubą warstwą makijażu, odziana w krótką spódnicę odsłaniającą pomarszczone uda, z paznokciami pożółkłymi od nikotyny, zapaliła papierosa i dmuchnęła w lufcik. Pomieszczenie błyskawicznie wypełniło się duszącym smrodem tanich, przemycanych ze wschodu fajek. Artur czuł, że do oczu niemal napłynęły mu łzy. Sam musiał zapalić papierosa, żeby jakoś znieść ten smród.

– Mam teraz ciekawsze zadania. Nie ścigam już zboczeńców i stręczycieli, lecz zabójców. To oni tak na mnie działają.

– W takich przybytkach już nie bywasz? – zapytała kobieta, wystawiając dwa rzędy nierównych zbrązowiałych zębów.

– Prywatnie – nie. Zawodowo, jak widzisz, nadal się to zdarza.

– Musisz coś zrobić z tymi końcówkami – powiedziała burdelmama do swojej

podopiecznej, gładząc ją po włosach i przyglądając się jej jak wystawowemu psu. – A ty chodź ze mną.

Gdyby Artur wybrał drogą trudniejszą, wiodącą przez naukę i pracołłonne wdrażanie młodego człowieka do korporacyjnego świata, wysiadywałby w biurze dupogodziny, nerwowo zerkał na zegarek, podlewał organizm hektolitrami kawy i czekał, aż sowita pensja spłynie na jego konto. Potem rozbijałby wypłatę w miejscu takim jak to, nawet nie pamiętając, w jaki sposób się w nim znalazł. Ale poszedł na łatwiznę. I dlatego w pełni świadomy i uderzająco trzeźwy kroczył pstrokatym korytarzem za kobietą, która wyglądała tak, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce burdelem zarządzać, czy też w nim pracować.

Zaprowadziła Artura do salonu, który łączył funkcje recepcji i biura szefowej. Z zakurzonego kineskopowego telewizora ryczeli bohaterowie jakiegoś sitcomu, a ciężko pracujący komputer akompaniował im głośnym buczeniem. Biurko zavalone było zdjęciami kobiet i mężczyzn oraz kolorowymi krzyżówkami.

– Pokaż mi tę lalunię.

Artur podał kobiecie zdjęcie. Ta najpierw przybliżyła je do twarzy, a potem odsunęła, jakby próbowała złapać ostrość. W końcu się poddała, przytknęła do nosa okulary i uważnie przyjrzała się Martynie Bułeckiej. Pokręciła głową.

– Nie przypominam jej sobie. A wiedz, że mam niezłą pamięć do twarzy. Przewija się tu sporo dziewczyn, ponieważ, jak wiesz, praca nie jest lekka, ale jej nigdy tu nie było. Chcesz, żebym rozpuściła wici?

– Chciałbym, ale mój przełożony woli, żebyśmy posprawdzali wszystko sami.

– Mogę to zrobić tak, że się o tym nie dowie.

– Aż boję się zapytać, czego oczekujesz w zamian.

– Niczego. Mogę to zrobić bezinteresownie.

Artur zaśmiał się, rozdmuchując dym we wszystkie strony.

– Nikt nie robi nic bezinteresownie. A jeśli mówi, że robi, to zaczynam nabierać wobec niego podejrzeń.

Burdelmama przeszła za biurko i usiadła na krześle, które złowrogo zaskrzypiało po starciu z jej pośladkami. Zaniedbaną dłonią wskazała gościowi

fotel i uśmiechnęła się szeroko. Artur obiecał sobie, że nie dotknie niczego, co znajduje się w tym mieszkaniu. A zwłaszcza fotela, który roił się od plam nieznanego pochodzenia. Odpowiedział więc burdelmamie szerokim uśmiechem i stanął przed jej biurkiem. Jakby nigdy nic zaczął przeglądać znajdujące się na nim zdjęcia kobiet, na których liczba sterczących sutków znacząco przewyższała liczbę ubrań. Co chwila przypominał sobie, by po wyjściu stąd porządnie umyć ręce.

Po dniu spędzonym w banku nie musiałbym tego robić, pomyślał.

– Skoro nalegasz, to mam jedną prośbę. – Burdelmama zdjęła okulary i przetarła zmęczone oczy. – Prowadzę tę firmę najlepiej, jak potrafię. I na tyle etycznie, na ile w tym biznesie jest to możliwe. Nie sprzedaję narkotyków i nie zatrudniam zaćpanych kurewek. Moje dziewczyny są czyste, zdrowe, pełnoletnie i uczciwe. Klienci są z nich zadowoleni. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby dzwoniли do nas z reklamacją.

– Możesz przejść do rzeczy? – przerwał jej Artur. – Nie chcę spędzić tu całego popołudnia.

– Zmierzam do tego, że dla każdego byłoby lepiej, gdyby w mieście było mniej chujowych przybytków, a więcej takich jak mój. Gdyby rynek skurczył się do niezbędnego minimum. – Wyszczrzyła zęby. – Znam kilka lokali w Śródmieściu, za którymi nikt by nie zapłakał.

Artur głośno westchnął i odłożył fotografie na biurko. Nie wiedząc, co zrobić z rękoma, wziął się do przeglądania skromnej kupki ze zdjęciami mężczyzn. Ciekawe, pomyślał, ilu jest wśród nich bankierów.

– Mogę szepnąć kolegom z obyczajówki, by uważniej przyjrzeni się miejscom, w których goni się dragi i pracują nieletnie kurwy. Ale to wszystko. Nie mogę ci obiecać, że je zamkną.

– To mi wystarczy – odparła burdelmama, wstała i wyciągnęła do policjanta dłonie.

– A ty do czego się zobowiązujesz?

– Do tego, że zapytam wszystkich znajomych z branży o tę dziewczynę. Potrzebuję tylko jej zdjęcia w wersji elektronicznej.

Artur gwizdnął z uznaniem.

– Proszę, proszę. Czyli dotarła do was cyfryzacja.

– Nie jesteście, kurwa, barbarzyńcami.

Policjant szeroko się uśmiechnął i puścił do burdelmamy oko.

– Zostaw mi swój adres mailowy. Może na fotografii tego ładnego chłopca? – Artur podniósł jedno ze zdjęć. – Co przeszkrobał?

Burdelmama przejęła od niego zdjęcie i zapisała na jego odwrocie swój adres mailowy.

– Był bardzo niegrzeczny. Zgrzeszył nienasyceniem. Chciał potraktować jedną z naszych dziewczyn jak swoją własność, z którą może robić, co mu się żywnie podoba. Zmienił zdanie, kiedy poczęstowała go gazem pieprzowym.

Artur ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Oni wszyscy byli niegrzeczni?

Odłożył zdjęcia na biurko i rozsunął je palcami niczym wachlarz.

– To nasze czarne owce. Pokazuję ich zdjęcia dziewczynom, żeby przypadkiem się na nich nie nacięły. A jeśli już na któregoś się natkną, to żeby wiedziały, jak z nim postępować.

Jedna z fotografii przykuła uwagę Artura. Podniósł ją na wysokość oczu. Na nieostrym, zrobionym z ukrycia zdjęciu widniał nagi mężczyzna z głową skierowaną do podłogi. Przywodził na myśl Adonisa przeżywającego załamanie nerwowe.

– Praca w policji bywa na szczęście ciekawsza niż w banku – powiedział Artur.

– Co?

– Nic. Mówiłem do siebie. – Pokazał burdelmamie zdjęcie. – Opowiesz mi historię tej owieczki?

Z buńczucznej dziewczyny, która opryskliwie odburkiwała nękającemu ją pytaniem policjantowi, nie pozostało wiele. Malwina Cis, ubrana w krótką wiosenną kurtkę, spod której wystawał długi beżowy sweter, ze złączonymi chudymi nogami schowanymi w czarnych rajstopach, zdawała się grzęznąć we własnym ciele. Ujrzawszy przy stoliku Tomka Kawęckiego popijającego kawę

i rzucającego jej ukradkowe spojrzenia, uśmiechnęła się kwaśno. Był to najbardziej nienaturalny i ponury uśmiech, jaki komisarz widział od dawna.

Malwina usiadła na miejscu zajmowanym wcześniej przez faceta, który przypominał kryminalistę na przepustce. Zanim jednak to zrobiła, sięgnęła do stojącego na stole serwetnika i zepchnęła z krzesła okruchy, które tamten zostawił po sobie. Wolała nie wiedzieć, skąd pochodzą.

– Co się panu stało?

Kawęcki lekceważąco machnął ręką, a potem poprawił bandaż.

– Powiedzmy, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Albo we właściwym miejscu i właściwym czasie, ale niewłaściwie przygotowany. Napijesz się czegoś?

Pokręciła głową. Zrobiła to tak oszczędnie, że jej rude loki nawet nie drgnęły.

– Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni kurtki kartkę i podała ją Kawęckiemu.

– Tak jak pan prosił, przygotowałam listę osób, które pamiętam z tamtego lata, kiedy Bernard zabił Justynę. Na tej kartce są imiona i nazwiska. Mam nadzieję, że nikogo nie pominęłam.

Kawęcki bez przesadnego entuzjazmu przeleciał wzrokiem listę.

– Cieszę się, że o mnie pamiętałaś.

Rudowłosa dziewczyna kiwnęła lekko głową i opłótła się ramionami. Albo było jej bardzo zimno, albo czuła się wyjątkowo niekomfortowo w towarzystwie policjanta.

– Czytałam artykuł o Martynie – powiedziała niemal szeptem. – Czy to, co napisali, jest prawdą?

– Obawiam się, że tak.

– Wiecie, kto to zrobił?

– Nie.

Komisarz zaczął przekładać zapalniczkę między palcami. Zmusił kąciki ust, żeby się uniosły. Ktoś z odrobiną wyobraźni mógłby powiedzieć, że wygląda jak klaun, który zapomniał umalować się przed występem, ale uznał, że bandaż na

głowie wystarczy, by rozbawić widownię.

– A zamierzacie się, kurwa, dowiedzieć? – zirytowała się Malwina.

Policjant odłożył zapalniczkę, wyprostował się na krześle i zmierzył dziewczynę surowym wzrokiem.

– Zamierzamy. I byłoby nam zdecydowanie łatwiej, gdybyś powiedziała, dlaczego tak naprawdę chciałaś się ze mną spotkać. Nie musiałaś tu przyjeżdżać, żeby przekazać mi tę listę. A skoro już mnie zmusiłaś, żebym fatygował się na jakieś zadupie, postaraj się, bym tego nie żałował.

Malwina włożyła dłonie pomiędzy uda. Oddychała ciężko, a jej bujny biust falował pod luźnym swetrem. Od początku rozmowy zawzięcie przygryzała wargi, bezwiednie pozbywając się pomadki, którą wysmarowała usta. Na jej czerwieniejącej ze zdenerwowania twarzy coraz wyraźniej widać było piegi, które wyłaniały się spod warstwy pudru.

– Coś panu powiem o Martynie, ale pod warunkiem, że nigdy więcej nie będę musiała o tym mówić.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Kilkunastu policjantów mniej lub bardziej intensywnie poszukuje zabójcy Martyny. Nie mogę ci obiecać, że żaden z nich nie zechce z tobą rozmawiać. Ale mogę sprawić, że stanie się to mało prawdopodobne. Czy to ci wystarczy?

Malwina skinęła głową. Jej wzrok powędrował na drewniane panele ze śladami butów i resztkami jedzenia. Naciągnęła rękawy swetra i ponownie schowała dłonie między udami. Jej ściśnięte smutkiem usta zaczęły niekontrolowanie drżeć.

– Moja siostra Weronika nie była tak blisko z Martyną, jak mogłoby się wydawać. Nie to, żeby się nie lubiły czy coś, po prostu nie opowiadały sobie o wszystkim. Z jakiegoś powodu o tych najskrytszych, najbardziej osobistych rzeczach Martyna chętniej mówiła mnie. – Dziewczyna zawahała się i przygryzła wargę. – Rok temu mi radziła, jak mogę dorobić w wakacje. Pokazała portal [cosymeetings.com](http://cosymeetings.com). Słyszał pan o nim?

Kawęcki pokręcił głową. Jednym haustem opróżnił filiżankę z kawą.

– To taki serwis randkowy. Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie zwyczajnie,

tak jak większość takich serwisów. Jedyna różnica polega na tym, że ogłaszają się w nim wyłącznie kobiety. Każda użytkowniczka podaje na profilu zmyślane imię oraz miejsce zamieszkania. Dołącza do tego zdjęcie, na którym nie ma jej twarzy. Tyle widzi każdy, kto wejdzie na stronę. Zarejestrowani użytkownicy widzą więcej. I mogą więcej.

– Co to znaczy?

Malwina wbiła wzrok w podłogę. Zżerał ją wstyd. I coś więcej. Coś, co zaszyło się tuż pod jej skórą i nieustannie wbijało w nią szpilki od wewnątrz.

– Facet, który się tam zarejestruje, ma dostęp do dodatkowych zdjęć. Nadal nie widzi twarzy, ale za to może sobie obejrzeć całą resztę. Wszystko, od stóp do głów. W różnych strojach, w różnych pozycjach. Następnie wybiera dziewczynę, która mu się podoba, i wysyła do niej wiadomość. Wyjaśnia, jakie są jego zachcianki.

Nieoczekiwanie zamilkła i z trudem zaczerpnęła powietrza. Ta opowieść w ekspresowym tempie wysysała z niej energię.

– Dziewczyna w odpowiedzi określa, czy jest w stanie je spełnić. Pisze, jaka jest jej stawka i kiedy mogą się spotkać. Jeżeli facet się zgodzi, musi przelać pieniądze na rachunek firmy, która niewielką część kwoty zachowuje dla siebie, a resztę automatycznie przekazuje dziewczynie. W chwili gdy pieniądze wpływają na konto, facet otrzymuje adres jej mieszkania. Potem muszą się już tylko spotkać.

Kiedy Malwina podniosła wzrok, ujrzała poharataną gębę Kawęckiego. Komisarz przyglądał się jej beznamiętnie, jak gdyby zupełnie nie był zainteresowany jej historią. Albo jakby nic z niej nie rozumiał.

– Jakie zachcianki mają ci faceci?

– Różne.

– Na przykład?

Dziewczyna przebiegła wzrokiem po pustej sali. Następnie spuściła głowę i ściszyła rozedrgany głos.

– Niektórzy lubią, jak się na nich sra. Albo jak się ich bije. Albo jak wkłada im się różne rzeczy w dupę.

Kawęcki zmarszczył brwi.



– Kontynuuj – powiedział.

– To panu nie wystarczy?

– Lubię szczegóły – odparł, intensywnie wpatrując się w zakłopotaną twarz Malwiny. – A poza tym nie znam się na takich dziwactwach. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób myśli mężczyzna, który za coś takiego płaci. Wprowadź mnie w ich świat.

Zastanawiała się, co ma mu powiedzieć. Miała nadzieję, że jak będzie wystarczająco długo milczeć, to Kawęcki jej odpuści. Ale ten przyglądał się jej z niewzruszonym spokojem, przekładając zapalniczkę między palcami. Było jasne, że nie odpuści. Ani jej, ani nikomu innemu. Rękawem swetra starła łzy, które pociekły jej po policzkach, i przygryzła wargę.

– Myślę, że robią to tylko dlatego, że inaczej nie potrafią osiągnąć orgazmu. Albo dlatego, że zwyczajny seks im się znudził. Wydaje mi się, że tacy byli faceci, z którymi miałam do czynienia. Nie czułam się przy nich w żaden sposób zagrożona. Martyna, o ile się orientuję, również tak miała.

Kawęcki sięgnął po leżące na stole papierosy, włożył jednego do ust i zapalił, nie zrażając się obowiązującym w lokalu zakazem. Wyjrzał przez okno na szutrowy parking, na którym kilkanaście minut wcześniej Malwina Cis nieudolnie manewrowała swoim samochodem.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Uznałam, że powinien pan to wiedzieć. Może człowiek, który zabił Martynę, poznał ją właśnie przez ten serwis.

– Jak długo to robiła?

– Zaczęła wiosną ubiegłego roku. I wytrwała do samego końca.

Kawęcki wydmuchnął dym ponad jej głową.

– A ty?

Głośno pociągnęła nosem.

– Ponad pół roku. Zaczęłam w wakacje, a skończyłam dwa miesiące temu. Nie robiłam tego zbyt często, najwyżej raz w tygodniu. Ale to wystarczyło, żebym zarabiała więcej niż własna matka. A poza tym – ponownie rozejrzała się po sali –

wbrew temu, co pan zapewne o tym sądzi, czasami było całkiem przyjemnie. Ekscytująco. Czułam, że to jest chore, że nie powinno mi się podobać, ale nie zawsze tak było.

– Dlaczego więc z tym skończyłaś?

– Zaczęło mnie to przytłaczać. Miałam na głowie kurs na prawo jazdy i maturę. Poznałam kogoś. Nie chciałam go oszukiwać. Nie powiedziałam mu o serwisie, ale skończyłam z tym. Po paru tygodniach znajomości zlikwidowałam swój profil.

Kawęcki poczuł na plecach czyjąś dłoń i odwrócił się w stronę mężczyzny w białej koszuli.

– Przykro mi, ale tu nie wolno palić. Muszę pana poprosić o wyjście z lokalu. Na zewnątrz znajdzie pan kosz i popielniczkę.

– To ja już pójdę – oznajmiła Malwina i zerwała się z krzesła.

Kawęcki odprowadził ją do wyjścia. Nerwowo bawiąc się kluczykami od samochodu, Malwina czekała, aż policjant wypali papierosa. Starła się nie patrzeć na jego zabandażowaną głowę. A tym bardziej w oczy, którymi przewiercał ją na wskroś.

– Domyślam się, że nie było to dla ciebie łatwe – odezwał się Kawęcki. – Czy jestem jedyną osobą, która o tym wie?

Pokiwała głową. Rude loki, rozrzucone na wszystkie strony przez ostry wiatr, na moment przykleiły się jej do twarzy.

– Dobrze zrobiłaś. Mam na myśli to, że mi o tym powiedziałaś, a nie to, że... przez pół roku robiłaś, co robiłaś. – Kawęcki zgasił papierosa w popielnicy. – Możliwe, że jeszcze będę potrzebować twojej pomocy.

– Nie wiem, czy jestem jeszcze w stanie jakoś pomóc.

– Na razie nigdzie nie wyjeżdżaj. Skontaktuję się z tobą – odparł i stanął do niej bokiem. – A teraz jedź do szkoły. Nie mogę przecież wystawić ci usprawiedliwienia.

Malwina wróciła do samochodu, pogimnastykowała się przy wyjeździe z parkingu i pojechała na południe, oddalając się od miasta. Kawęcki odprowadził jej samochód wzrokiem i usiadł na drewnianych schodach prowadzących do

budynku.

– Niezła dupa, ale chyba trochę za młoda dla ciebie – oznajmił Mateusz Pająk, jak tylko do niego podszedł. – Co teraz?

– Zawieź mnie do domu – wymamrotał Kawęcki.

Poczuł się zupełnie wypruty z energii. Opuścił głowę i zamknął oczy. Starał się przez chwilę o niczym nie myśleć. Bezskutecznie.

**P**odobno nieźle przeczyścił jej gardło.  
Artur Waliszewski powiedział to tak głośno, że Witold Ptak musiał na chwilę odsunąć telefon od ucha. Kiedy go ponownie przystawił, usłyszał syk palącego się papierosa.

– Co jej zrobił?

– Przeczyścił gardło. Nieco nadgorliwie zmusił do zrobienia loda. Sprawił, że się zakrztusiła fiutem – wyjaśnił Artur. – Oglądasz czasem pornole?

Witold nie pamiętał, kiedy po raz ostatni to robił. Miał wrażenie, że jest na to za stary i zbyt zapracowany. A poza tym świadomość, że już prawie nie uprawia seksu z żoną, była dla niego tak dołująca, że wzdrygał się na samą myśl o rekompensowaniu sobie tego ręką.

– Czasami – skłamał.

– To następnym razem wpisz w wyszukiwarce na stronie porno *gagging*. Przekonasz się, o co chodzi.

– Wiem, o co chodzi. Obejdzie się. Masz to zdjęcie?

– Mam. Niewiele na nim widać, ale Możejkę da się rozpoznać. Ma niezłą

sylwetkę jak na profesorka.

– Tylko się w nim nie zakochaj – rzucił kąśliwie Witold i zapalił papierosa. – Czego się dowiedziałeś?

Usłyszał w słuchawce pisk opon. W tym samym momencie Artur na kilka sekund zamilkł. Witold łatwo mógł sobie wyobrazić, jak jego młodszy kolega z zazdrością obserwuje rozpędzający się pojazd, obracając w palcach kluczyki od własnego samochodu. Trzystukonnej bestii, w której na szczęście on nigdy nie siedział jako pasażer.

– Co?

– Kiedy to się stało?

– Dokładnie nie wiem, ale prawdopodobnie kilka dni po zabójstwie Bułeckiej. To jego pierwsza wpadka. Rozmawiałem z kurewką, która z nim wtedy była. Mówi, że wszystko odbywało się normalnie aż do momentu, gdy miał dojść. Chwytał ją wtedy za włosy i brutalnie przyciągnął do siebie. Dziewczyna mówi, że niewiele brakowało, by mu odgryzła fiuta.

– Co się wydarzyło potem?

– Nic. Przeprosił ją i zaoferował, że jakoś jej to zrekompensuje. Zwyczywała go i wyszła. To była jego pierwsza wpadka, ale nie pierwszy raz, kiedy sprowadził sobie kurewkę. W burdelu, w którym byłem, znają go od lat. I sporo mu zawdzięczają. Podobno dzięki niemu kilka dziewczyn pierwszy raz w życiu sięgnęło po książkę.

Witold zgasił papierosa. Spoglądając na ponure szare niebo, wypuścił ostatni kłęb dymu.

– Szczebiot się ucieszy, kiedy się o tym dowie. Podejrzewa, że Możejko jest gościem, którego szukamy.

– Wiem. Szkoda tylko, że to jeszcze o niczym nie świadczy. – Witold popatrzył na zegarek. Dobiegała siedemnasta. Zaczynało ciemnieć. – Dowiedziałeś się czegoś o Bułeckiej?

– Nie. W lokalach, które odwiedziłem, jej nie znają.

Witold machinalnie pokiwał głową. Próbował wyobrazić sobie Martynę

Bułęcką, elegancką młodą kobietę, którą widział na zdjęciach, w obskurnym burdelu, obsługującą każdego dnia zgraję mężczyzn: jakiegoś nudziarza z urzędu, niewyżytego nastolatka, napalonego dziada z kilkoma słowami odłożonymi na flaszkę i wizytę u kurwy. Całą armię wracających z imprez facetów w średnim wieku, którym nie wyszedł podryw. Nauczycieli, sędziów, księży. Nie pasował mu ten obraz. Nie był realny.

– Pytaj dalej – powiedział. – A ja rozejrzę się za czymś innym.

– Napije się pan czegoś?

Wysoka kobieta, ubrana zbyt sztywnie jak na dzień przesiedziany w domu, posłała mu wystudiowany uśmiech.

– Poproszę wodę, dziękuję. To pana dzieło czy żony? – Witold zwrócił się do łysiego mężczyzny po pięćdziesiątce, który z prześmiewczym spojrzeniem przekrzywił głowę.

– Myśli pan, że moje szpony byłyby w stanie namalować coś takiego? – zapytał łysielec, z nieskrywaną satysfakcją patrząc na wiszący na ścianie abstrakcyjny obraz. – To sprawa żony. Nie dość, że pięknie śpiewa i występuje w teatrze, to jeszcze potrafi malować takie cuda. Ja zakończyłem karierę artysty na brzydkich rysunkach w zeszytach kolegów.

Witold zaśmiał się kurtuazyjnie i rozejrzał po schludnym salonie. Wygodna kanapa i kilka skórzanych foteli, lakierowany stolik kawowy, gigantyczna plazma podwieszona do ściany i dziwaczny obraz. Nic do siebie nie pasowało. Dom Stanisława i Danuty Dziewulskich przypominał typowe mieszkanie nowobogackich, którzy jeszcze nie nauczyli się obchodzić z odziedziczonymi w spadku pieniędzmi. Aktorka i księgowy zapewne nigdy nie sprostali oczekiwaniom rodziców – z jednej strony lekarzy, z drugiej prawników – ale odziedziczyli po nich cały majątek i wszystko, co się z nim wiąże: podskórny wymóg chwalenia się statusem finansowym i słabość do nieroztropnego wydawania pieniędzy, które im się nigdy nie należały. Witold zastanawiał się, czy brak elementarnego wyczucia smaku również był w pakiecie.

– Czemu zawdzięczam to, że udało mi się państwa zastać w domu o tej porze,

w środku tygodnia?

Stanisław Dziewulski, rozparty na kanapie niczym bonzo, uniósł dłonie.

– Tak naprawdę to szczęściu. Od dzisiaj mamy wolne, ale już jutro wylatujemy na urlop. Za kilkanaście minut mieliśmy zacząć szykować się do podróży.

– Dokąd państwo lecą?

– Na Malte – odparła Danuta Dziewulska, która weszła do salonu, niosąc tacę z kilkoma filiżankami upstrzonymi niezbyt zachęcającym wzorem, grubym imbrykiem i wodą mineralną w fikuśnej butelce. – Lubimy po zimie rozgrzać kości. Nie jesteśmy narciarzami, więc Boże Narodzenie i początek roku spędzamy w mieście, ale kiedy wszystko topnieje i zaczyna się plucha, wolimy tego nie oglądać. Od trzech lat na przełomie lutego i marca jeździmy do ciepłych krajów. Był pan kiedyś na Malcie?

– Nie byłem.

– My też nie. Kiedyś wysłaliśmy Monikę do Valletty i bardzo sobie chwaliła ten wyjazd. Wybawiła się po wsze czasy.

Oczywiście za pieniądze dziadków, dopowiedział Witold w myślach.

– Czy mają państwo kontakt z córką?

– Prawdę mówiąc, sądziliśmy, że panu albo pana kolegom udało się do niej dotrzeć – odparł Stanisław, nalewając sobie herbaty do filiżanki. – Nie mamy z nią kontaktu, odkąd wyjechała do Anglii. Gdyby nie przeszkrobała paru rzeczy przed wyjazdem, nawet byśmy nie wiedzieli, dokąd się udała.

– Co dokładnie zrobiła?

– To pan nie wie? – zdziwiła się Danuta, która rozsiadła się w fotelu naprzeciwko Witolda.

– Wiem tylko, że ukradła przyjaciółce pieniądze i wyleciała do Anglii. Tyle udało mi się dowiedzieć z policyjnego raportu, który został sporządzony kilka lat temu.

– To prawda – potwierdził Stanisław. – Zabrała też kilka rzeczy z domu, o łącznej wartości około dziesięciu tysięcy złotych, i zniknęła. Ale skoro pan nie wie, gdzie jest nasza córka, to właściwie po co pan do nas przyszedł?

Witold sięgnął po dziwną butelkę, odkręcił ją lekko, lecz widząc kotłujący się w niej gaz, szybko zakręcił z powrotem. Odstawił ją na tacę, pochylił się i splótł przed sobą dłonie.

– Przyglądam się sprawie sprzed lat, którą prowadził prokurator Andrzej Pszoniak. Monika była wówczas jego stażystką. Niedługo później wyjechała z kraju. Nie będę ukrywał, że przede wszystkim interesuje mnie tamta sprawa. Monika mogłaby mi pomóc ją rozwiązać, więc siłą rzeczy interesuję się również nią.

Dziewulscy równocześnie osunęli się na oparcia, jakby przed przyjściem Witolda ćwiczili ten numer. Wymienili się smutnymi spojrzeniami. W tym samym momencie z obojga ulotniła się nadzieja na odnalezienie córki. Żeby przerwać niezręczną ciszę, Witold stoczył kolejny pojedynek z butelką. Tym razem zwycięski.

– Co dokładnie pana interesuje? – zapytała Danuta.

Witold spojrzał na jej stanowczą, pełną goryczy twarz. Zrozumiał, że to ona nosi w tym domu spodnie.

– Interesuje mnie, co Monika robiła na kilka miesięcy przed zniknięciem. Czy mieli państwo dobry kontakt z córką?

– Taki, jaki mają zapracowani rodzice z zapracowanym i ambitnym dzieckiem – wyjaśniła Danuta. – Widywaliśmy się mniej więcej raz na dwa tygodnie, ale w miarę regularnie rozmawialiśmy przez telefon. Monika bardzo cieszyła się z tego stażu. Zawsze chciała pracować w prokuraturze, tak jak jej dziadek, więc zależało jej, żeby dobrze wypaść.

– Rozmawiali z nią państwo o pracy, prokuratorze Pszoniaku albo o sprawach, którymi się wtedy zajmowali?

– Niezbyt często. Moi rodzice byli prawnikami, więc wiem, czym grozi rozmowa z ludźmi wykonującymi ten zawód na temat pracy. Bardzo łatwo może przerodzić się w kłótnię, zwłaszcza że Monia odziedziczyła po dziadku nie tylko zamiłowanie do prawa, ale i temperament. Pamiętam jedynie, że... – zawahała się, błędząc wzrokiem po pokoju, jakby w poszukiwaniu właściwych słów – że tam



była jakaś zła energia.

– Co pani ma na myśli?

Stanisław Dziewulski pochylił się i położył dłoń na kolanie żony. Ledwo zauważalnie pokręcił głową.

– Monika bardzo angażowała się w pracę i mocno przeżywała to, co tam się działo. Nie była sobą przez te ostatnie tygodnie. Pamiętam, że zajmowała się sprawą jakiejś dziewczyny, która została zamordowana przez niepełnosprawnego chłopaka. – Danuta chwyciła dłoń męża i zsunęła ją z kolana. – Tak, to na pewno bardzo jej ciążyło.

– Pamiętają państwo, co mówiła na temat tego zabójstwa?

– Niewiele – odparł Stanisław. – Zajmowała się w pracy przykrymi rzeczami, więc nie wypytywaliśmy jej o to, kiedy się z nami spotykała. Nie chcieliśmy jej dodatkowo obciążać psychicznie.

– Myślę, że było jej szkoda tego chłopaka.

– Danusiu, bój się Boga! Przecież on zgwałcił i zabił dziewczynę.

– Tak, ale... nieważne.

– Co chciała pani powiedzieć?

Kobieta podniosła na Witolda smutne szare oczy. Zbliżyła do ust filiżankę z herbatą i drżącymi rękoma odstawiła ją na tacę.

– To ta sprawa pana interesuje?

– Tak.

– Dlaczego?

– Próbuję uzupełnić kilka luk, które wtedy powstały. Połączyć ze sobą fakty.

– Nie powinnam się wypowiadać, bo nie wiem, co tam się wydarzyło – odparła kobieta i splotła dłonie na brzuchu.

– Ale pani córka wie.

Danuta Dziewulska nie odpowiedziała na zachętę Witolda, puszczając jego słowa mimo uszu. Policjant od razu zaczął żałować, że nie spróbował zagrać z nią w otwarte karty. Nawet jeżeli sam nie wierzył w teorię Kawęckiego, mógł sprawdzić, czy ktoś inny gotów jest w nią uwierzyć.

– Monika była jedną z najlepszych studentek na roku. Dostała się na staż do prokuratury i trafiła pod opiekę powszechnie szanowanego prokuratora Pszoniaka. Koleżanki określają ją jako ambitną i pracowitą dziewczynę, ale także wesołą i umiejącą się bawić. Niczego, jak sądzę, nie można zarzucić jej relacjom z rodzicami. Dlaczego więc uciekła?

– Też byśmy chcieli to wiedzieć – odparł smutno mężczyzna.

– Czy to mogło mieć związek z jej pracą?

– Musiało – odparła Danuta bez namysłu. – Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej.

Kobieta długo wpatrywała się w Witolda. Na jej twarzy malowała się rezygnacja.

– Czy w jakiś sposób Monika próbowała się z państwem skontaktować?

– Nie – odparł stanowczo Stanisław. – To od policji się dowiedzieliśmy, że wyjechała do Anglii. Szkoda tylko, że żaden z pana kolegów nie pofatygował się jej tam szukać.

– Czy Monika miała znajomych na Wyspach?

– Jak chyba każdy młody Polak – prychnęła Danuta. – Myśli pan, że nie próbowaliśmy porozmawiać z jej kolegami? Próbowaliśmy. Dzwoniliśmy do nich. Twierdzą, że nic o Monice nie wiedzą. Jakby byli w jakiejś cholernej zмовie.

– Jeśli to wszystko, panie komisarzu, to chcielibyśmy zacząć się pakować – powiedział Stanisław, z mozołem podnosząc się z kanapy, na której odcisnął się ciężar jego ciała.

Kiedy Witold wyszedł z domu Dziewulskich, na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Stanął na ganku i włożył papierosa do ust. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że małżonkowie stoją w oknie i gapią się na jego plecy. Był tego pewien. Tak samo jak tego, że nie byli z nim do końca szczerzy.

Kąciki ust Romana nieznacznie wędrowały w górę za każdym razem, kiedy Szota i Lewan pojawiali się w jego gabinecie. Wyglądali identycznie i przeważnie mieli na sobie jednakowe ubranie: dżinsowe kurtki i znoszone czarne spodnie. Ale najbardziej bawiło go to, że zachowywali się w ten sam sposób. Jakby zostali

zaprogramowani przez niezbyt rozgarniętego informatyka. W tym samym momencie wykonywali ukłon głową, tak samo spłoszeni podchodzili do jego biurka, a gdy wyciągali w jego stronę dłonie, niepewność i strach przydawały im jednakowego garbu. Ich głosy drżały w doskonałej harmonii. Jakby przed wejściem do jego gabinetu uzgodnili, jak bardzo mają trząść portkami.

Rzadko pozwalał im siadać na krzesłach ustawionych naprzeciwko jego biurka. Wolał, żeby stali, zgarbieni, z pocącymi się dłońmi splecionymi za plecami. Twierdzili, że pochodzą z miasta, ale wyglądali jak ludzie gór. Korpulentni, mocno zbici, z twarzami obrośniętymi gęstą brodą. Ich czoła przecinała siatka pęknięć, które zawdzięczali latom spędzonym w ringu. Podobno zawsze wygrywali i przegrywali razem. Nierozłączni, w szczęściu i bólu. Dwa jednakowe karakany. Trzęsące portkami na widok faceta bez dłoni.

– Który z was zacznie?

Roman wrzucił aspirynę do ust, popił ją wodą, a następnie wycelował butelką najpierw w Szotę, a potem w Lewana. Albo odwrotnie.

– A co chce pan wiedzieć, szefie? – zapytał jeden z braci.

– Nie lubię, kiedy ktoś odpowiada mi pytaniem na pytanie.

Bracia byli przygotowani do tej rozmowy, mimo to nie wiedzieli, jak ją zacząć. Kiedy Roman przestał przewiercać ich wzrokiem i zabrał się za przeglądanie gazety, która leżała na jego biurku, Lewan uciekł spojrzeniem w stronę zasłaniającego ścianę regału, wypełnionego dokumentami, częściami samochodowymi i jakimiś bezwartościowymi akcesoriami. Szota gapił się na swoje buty, nerwowo szukając języka w gębie.

Roman głośno westchnął. Odłożył gazetę na biurko, pochylił się w stronę braci i ponownie zmierzył ich gniewnym wzrokiem.

– Skąd się wziął ten policjant?

Lewan chrząknął i spojrział na Romana.

– Nie wiemy – powiedział. – Ktoś musiał puścić parę z ust.

– Kto?

– Oprócz nas tylko kilka osób wiedziało o tej wymianie. Problem w tym, że

kilka dni wcześniej mieliśmy dużą imprezę w klubie.

Lewan spojrzął na Szotę, który przygotowywał się do zabrania głosu, jakby za moment miał wystąpić na szkolnym apelu.

– Naprawdę dużą. Przyszło kilkadziesiąt osób. Było mnóstwo wódki, koksu i dziwek. Podejrzewamy, że ktoś się wtedy wygadał.

Roman pokręcił głową.

– Pomyślcie – nakazał. – Ten pies wiedział, gdzie to się stanie i o której. Czekał na was. Był przygotowany. Tak szczegółowych informacji nie zdobywa się od zaćpanej dziwki albo jakiegoś moczymordy, który coś usłyszał na imprezie. Ta informacja musiała wyjść od któregoś z waszych ludzi.

Bracia pochyłili głowy. Przyjęli krytykę, która jeszcze nie została wypowiedziana. A przynajmniej nie głośno.

– Dowiedzcie się, kto się wygadał. I odpowiednio go za to ukarżcie. – Roman, nie spuszczać wzroku z braci, podrapał się po kikucie. – Kim jest ten pies?

– Nazywa się Kawęcki. Pracuje w Wydziale Kryminalnym. O ile nam wiadomo, do tej pory się nami nie interesował.

– Ale nagle się zainteresował. Domyślcie się dlaczego?

Bracia ponownie wbili wzrok w podłogę. To znaczyło „nie”.

– Facet z kryminalnego, który do tej pory nie interesował się naszymi sprawami, nagle pojawia się w miejscu wymiany. To zastanawiające. – Roman otworzył szufladę, wyciągnął z niej notatnik, wyrwał jedną kartkę, coś na niej napisał i podał ją braciom. – Zadzwońcie do tego gościa i powiedzcie mu wszystko, czego udało wam się dowiedzieć o tym policjancie. I nie zadawajcie zbyt wielu pytań.

Lewan pospiesznie złożył kartkę i wepchnął ją do kieszeni dzinsowej kurtki. Szota wspierał go energicznym kiwaniem głową.

– A teraz najważniejsze – powiedział Roman, odchylając się na oparcie krzesła. – Dlaczego byliście tam we trzech?

Bracia w tym samym momencie zaczęli drapać się po skroni. Obaj po prawej, prawą ręką, z ustami wykrzywionymi też po prawej stronie. Roman zastanawiał się, czy potrafią drapać się nawzajem.

– Ze względów bezpieczeństwa, szefie.

– Bezpieczeństwa? Myślałem, że wy się niczego nie boicie. Z wyjątkiem mnie.

Szota i Lewan spojrzeli po sobie.

– To przez tego faceta, który wziął od nas psa, a potem postanowił go zwrócić.

To wielki skurwiel, szefie.

– Nie dalibyście mu rady we dwóch?

– Trudno powiedzieć.

– Jesteście byłymi bokserami. – Roman parsknął, a następnie napił się wody z butelki. – Dwoma jebanymi karakanami, które złamały w swoim życiu dziesiątki szczęk i kończyn. Musieliście zabierać ze sobą trzeciego gościa?

– Nie chcieliśmy zostać sami w chacie z tym facetem.

Roman zasepił się. Obrócił się na krześle o dziewięćdziesiąt stopni, przygryzł pięść i wyjrzał przez okno. Zza przyciemnionych szyb gabinetu widział magazyn, przed którym jego pracownicy uwijali się jak w ukropie, przekładając towar z ciężarówek do samochodów dostawczych.

– Dobrze go znacie?

– Dobrze – odparł Lewan bez wahania. – To nasz najbardziej zaufany człowiek.

– Ręczycie za to, że po pijaku nie będzie się przechwalać pobiciem policjanta.

– Ręczymy.

– Ręczymy – potwierdził Szota, kiedy Roman przeniósł na niego wzrok.

– Wiecie, że niektóre deklaracje traktuję dosłownie?

Roman uniósł kikut nad stół. Bracia wbili w niego wzrok.

– Jeśli wasz koleś da ciała, pójdzie do piachu. A wy stracie ręce.

Bracia czekali na dalszy ciąg, ale Roman tylko się w nich wpatrywał. Z uśmiechem, który z każdą sekundą stawał się coraz szerszy. W końcu machnął na nich ręką i sięgnął po gazetę.

– Ten facet od psa – podjął Roman, zanim bracia wyszli z gabinetu. – Jest straszniejszy ode mnie?

Bracia zawahali się. Ich skronie były już całe czerwone od drapania.

– Jest inny.

– To znaczy?

– To wielkolud – powiedział Szota. – Porusza się, jakby był kulawy, ale ma w oczach coś, co wzbudza strach. Kogoś takiego jeszcze w Polsce nie widziałem.

– To świr – odezwał się Lewan. – Chory pojeb.

– Jak się nazywa?

– Nie wiemy. Podał nam fałszywe nazwisko.

Roman zamyslił się, przygryzając pięść. Po dłuższym milczeniu wyjął ją z ust i jeszcze raz machnął ręką na braci. Ci, jak zwykle przygarbieni i poruszający się w idealnie zsynchronizowany sposób, wyszli z jego gabinetu.

Kąciki ust Romana znowu powędrowały w górę. Przypomniawszy sobie dzień, w którym doszedł do wniosku, że bracia muszą się jednak czymś różnić. Czymkolwiek. Szota i Lewan długo się w niego wpatrywali, kiedy przedstawił im swój pomysł. Nie byli pewni, czy mówi poważnie, czy żartuje. A kiedy już się zorientowali, że nie żartuje, wpatrywali się w niego nadal, bo nie wiedzieli, czy nie postradał zmysłów.

Roman dał im wybór. Tyle że oni nie wiedzieli, co z nim zrobić. Nie podeszli do sprawy racjonalnie. Nie zrozumieli, co im oferuje. I nie mieli pojęcia, że już nigdy nie da im takiej okazji.

Kiedy Roman wysunął szufladę i wyciągnął z niej nóż, bracia struchleli. Kiedy w odpowiedzi na ich milczenie sięgnął po monetę i wyrzucił ją nad głowę, byli bladzi. Kiedy przesunął nóż w ich stronę i kazał go podnieść Szocie, zalali się łzami. Łzy spływały im po twarzach także wtedy, kiedy Lewan wył z bólu. I kiedy Szota przyciskał ręcznik do jego twarzy, próbując zatamować krwawienie. I kiedy następnego dnia kucali nad drewnopodobną terakotą w gabinecie Romana i zdrapywali z niej czarne strupy krwi.

Plakaliby zapewne jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, że Roman zapomniał, czyje ucho wylądowało na jego biurku. I że wciąż ich nie rozróżnia.

Wypił kilka łyków gorzkiej, wykręcającej usta kawy, po czym zaciągnął się mocno papierosem. Popiół strzepnął do wygrzebanej spod kanapy puszki, którą przeciął w połowie i zaaranżował na popielniczkę, bo ta właściwa była przepełniona i nie

chciało mu się jej opróżnić. Pochylił się na krzesło – powoli, wiedząc, że jeden niewłaściwy ruch może wywołać eksplozję w jego głowie – i do rzędu rozłożonych na podłodze zdjęć dorzucił następne, inne niż wszystkie – zrobione telefonem i zamieszczone na Facebooku, ukazujące rudą dziewczynę z obfitym biustem, który nie pasował do jej drobnej sylwetki. Jakby został dorobiony w Photoshopie.

Tomek Kawęcki ponownie napił się kawy i jeszcze raz zaciągnął papierosem. Ponownie się pochylił i wsunął pod zdjęcia niewielkie karteczki, na których zapisał te same informacje: imię i nazwisko, wiek, miejsce urodzenia, ostatni adres zamieszkania, nazwę i numer szkoły. Rozstawił nogi tak, aby wszystkie fotografie wraz z karteczkami mieściły się pomiędzy jednym jego kolaniem a drugim. Wpadł na pewien pomysł, ale nie czuł się na siłach, żeby go zrealizować. Może później, pomyślał. Może jutro.

Zaciągnął się po raz ostatni, zgasił papierosa w puszcze i rozmasował obolałe skronie, nieznacznie przesuwając bandaż. Położył głowę na oparciu krzesła. W jego polu widzenia znalazł się sufit, zabarwiony na żółto przez rozstawione w kątach pokoju lampki i błagający o odświeżenie. Zamknął powieki, żeby go nie widzieć. Żeby nic nie czuć. Żeby nie żyć.

Gdy otworzył oczy, poczuł lejący się z nieba żar, który przenikał przez szyby samochodu i rozgrzewał jego tapicerkę do czerwoności. Ściszył radio. Ściągnął z szyi krawat i cisnął go na fotel pasażera, pomiędzy niedojedzonego hamburgera a teczkę z dokumentami, których potrzebował w sądzie. Pochylił się, aby przykręcić nawiew, który zamiast schładzać wewnątrz samochodu, buchał mu w twarz gorącym powietrzem.

Wtedy ją zobaczył.

Drżała, jak gdyby ocknęła się w środku mroźnej zimowej nocy. Oplatała ciało chudymi rękoma, a jej twarz co rusz przeszywał grymas bólu. Z wargi kapała krew, a pod zaczerwienionym okiem zaczynał się malować purpurowy siniak. Ledwo trzymała się na nogach.

Kawęcki wysiadł i błyskawicznie do niej doskoczył. Próbował jej dotknąć, ale odtrąciła jego rękę. Spojrzała na niego i zaczęła przeraźliwie wyć. Przyjrzał się

uważnie jej ciału. Nie dostrzegł ran, które mogłyby zagrażać życiu, tylko siniaki i zadrapania. Próbował się dowiedzieć, co się stało, lecz ona krzyczała jeszcze głośniejsze. Jakby jego słowa paliły ją żywcem. Wreszcie zupełnie opadła z sił i osunęła się na chodnik. Jej wrzaski przerodziły się w niemy jęk rozpacz.

– Ona tam jest – wymamrotała przez łzy.

– Kto?

– Ona tam jest, ona tam jest, ona tam jest – powtarzała.

Pomógł jej wstać. Otworzył tylne drzwi i wsadził ją do samochodu.

– Ona tam jest – wyszeptała, łapiąc Kawęckiego za koszulę i zostawiając na niej krwiste ślady palców. – Pomóż jej. Pomóż.

– Proszę tu poczekać.

Sięgnął po kaburę i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. Wszedł do kamienicy, z której wytoczyła się kobieta. Panujący w środku chłód sprawiał, że momentalnie zapominało się o ponadtrzydziestostopniowym upale na zewnątrz. Pod butami rozlegał się trzask niestabilnych drewnianych stopni. Klatka schodowa była wąska. Do Kawęckiego dobiegały dźwięki ze wszystkich mijanych mieszkań: podniesione męskie głosy, brzęk naczyń przygotowywanych do obiadu, rozmowy telefoniczne prowadzone tak głośno, jakby ludzie chcieli dokrzyczeć się do osób po drugiej stronie linii. W jego płuca wgrzyzał się smród gotowanej kapusty.

Kawęcki szedł powoli, od mieszkania do mieszkania, uważnie przyglądając się drzwiom i próbując usłyszeć coś, co odbiegałoby od standardowych odgłosów na klatce: płacz albo ciszę. Skradał się, a jego powolnym krokiem towarzyszyły przeciągłe chrupnięcia spróchniałego drewna; miał wrażenie, że równie dobrze mógłby łomotać w każde napotkane drzwi. W końcu dotarł na ostatnie piętro kamienicy. Zobaczył uchylone drzwi. Popchnął je lekko i wszedł do środka.

W mieszkaniu panowała cisza. W powietrzu unosił się zapach kurzu, starych skarpet i czegoś słodkiego. Przejrzałych jabłek. Albo krwi. Nie był pewien. Uważnie stawiając krok po kroku, ścisnął w spoczonej dłoni odbezpieczony pistolet. Przeszedł przez lepący się od brudu przedpokój i stanął przed drzwiami prowadzącymi na koniec zagraconej klatki. Próbował usłyszeć, co się dzieje



w środku.

Kiedy pociągnął za klamkę i wszedł do pokoju, powietrze przeszył stłumiony jęk, który podzielił jego świat na pół.

Kawęcki gwałtownie podniósł powieki i zaczął nerwowo łapać powietrze. Przez dłuższą chwilę siedział beczynnie, próbując zapanować nad świszczącym oddechem. Wsłuchany w dźwięki dobiegające z płuc, gapił się na poźółkły sufit. Kiedy się w końcu poruszył, poczuł, że spocona koszula przylgnęła nie tylko do jego ciała, ale również do krzesła. Czuł suchość w ustach i marzył o kilku kroplach wody. Albo wódy. Czegokolwiek. Omiótł wzrokiem stół zagracony szklankami, z których kiedyś ktoś pił kawę, i sięgnął po leżące luzem papierosa. Potarł obolałą głowę i uruchomił uspionego laptopa. Nie mógł znieść ciszy, więc włączył radio. Rockowa stacja, rockowy kawałek. *Sympathy for the Devil* Stonesów. Utwór, który znał aż za dobrze.

Ponownie opadł na krzesło, odchylił głowę i wydmuchnął w sufit dym. Zamknął oczy. Głośno westchnął. Pozwolił słowom Jaggera brzęczeć w swoich uszach. *Please allow me to introduce myself. I'm a man of wealth and taste. I've been around for a long, long year. Stole many a man's soul to waste.*

**N**ie powinno cię tu być – stwierdził zdecydowanie Mariusz Szczebiot. Tomek Kawęcki wszedł do jego biura, wnosząc do pomieszczenia kwaśny zapach mazideł, którymi wysmarował swoje rany. Zamknął za sobą drzwi, a następnie oparł o nie plecy i owinięta bandażem głowę. W środku byli już Magda Giętka, Witold Ptak i Artur Waliszewski.

– Nikogo z nas nie powinno tu być – odparł flegmatycznie Kawęcki. – Gdyby ludzie nie popełniali przestępstw, nasz zawód w ogóle by nie istniał.

Szczebiot położył ręce na biurku, ale wytrzymał w tej pozycji tylko kilka sekund, zanim zaczął nerwowo stukać długopisem o blat.

– Chcesz nam coś powiedzieć? – zapytał. – Na przykład dlaczego tak wyglądasz? Albo dlaczego jesteś tutaj, a nie w szpitalu?

Kawęcki milczał. Delikatnie przekrzywił głowę i wpatrywał się w Szczebiota, dopóki ten nie odwrócił wzroku.

– Podaj mu teczkę – polecił naczelnik Magdzie. – Mamy przełom. Artur dowiedział się, że Jakub Możejko jest regularnym bywalcem jednego z burdeli. I że nie zawsze zachowuje się w zgodzie z burdelowym savoir-vivre'em. – Uśmiechnął

się do Kawęckiego, wyraźnie zadowolony ze swojego żartu. – Jedna z prostytutek powiedziała, że zdarza mu się przesadzić. Zmusić kobietę do czegoś, na co ta nie ma ochoty.

– Ale fiut pewnie stoi mu jak sosna? – zapytał Kawęcki.

Szczebiot spojrzął na pozostałych. Uśmiechali się. On nie.

– Czy na pewno dobrze się czujesz?

Kawęcki otworzył teczkę. Przyjrzał się zgromadzonym w niej zdjęciom, oglądając je pod różnymi kątami, i rzucił ją na biurko Szczebiota. Naczelnik obiecał sobie w duchu, że kiedyś mu za to odpłaci. Dotkliwie i nieodwołalnie. Ale jeszcze nie teraz.

– Jeżeli staje mu bez problemów, to nie jest osobą, której szukamy.

Policjanci długo wpatrywali się w Kawęckiego. Nie byli pewni, czy powinni jego słowa traktować serio. Czy w ogóle powinni traktować go serio. Przypominał zwłoki, które ktoś dla żartu postawił pod drzwiami.

– Macie coś dla mnie? – zapytał Szczebiot, odwracając się bokiem do Kawęckiego.

Policjanci milczeli. Nie wiedzieli, od czego zacząć. I czy w ogóle warto zaczynać.

– Ja mam coś dla ciebie – odparł Kawęcki i na teczce, którą wcześniej rzucił na biurko, położył kawałek wydartej z zeszytu kartki.

– Co to jest?

– Adres strony internetowej.

– I co mam z nim zrobić?

– Wpisać w wyszukiwarce – odparł Kawęcki. – Chyba że cię nie interesuje, co Bułeczka porabiała w weekendy.

Naczelnik najpierw rzucił okiem na świstek, potem zerknął na Kawęckiego, a następnie wstukał na klawiaturze adres strony.

– Skąd to masz?

– Znalazłem. Miałem sporo czasu na research.

Naczelnik odwrócił monitor o dziewięćdziesiąt stopni, żeby policjanci widzieli,

co wyświetla się na ekranie.

– Co dalej?

– Przesuń kursor powyżej tej cysatej blondynki w lateksowym stroju. Najedź na słowo *Laski* – powiedział Kawęcki, nie patrząc na ekran, lecz przed siebie, w wychodzące na policyjny parking okno, za którym wylaniał się smętny poranek.

– Z rozwijanej listy miast wybierz *Łódź*, a wtedy w lewej kolumnie pojawi się okienko z napisem *Szukaj*. Wpisz w tym polu *Selma*. Za chwilę wyświetli ci się kilkanaście miniaturowych zdjęć półnagich dziewczyn. Kliknij siódme.

Wszyscy, z wyjątkiem Kawęckiego, pochyłili się nad biurkiem. Nagie fragmenty powyginanego w rozmaitych pozycjach ciała i kruczoczarne włosy opadające na niemal odsłonięty biust nie pozostawiały wątpliwości.

– To ona – zawyrokował Szczebiot.

– Jakbyś się zarejestrował na stronie, zobaczyłbyś więcej.

Policjanci synchronicznie oderwali wzrok od ekranu i popatrzyli na Kawęckiego. Komisarz ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

– To dlatego w burdelach nic o niej wiedzieli – stwierdził Artur.

– Co oznacza ta liczba: dziewięć koma trzydzieści pięć? – zapytał Szczebiot.

– To ocena, jaką wystawili jej użytkownicy strony – wyjaśnił Kawęcki. – Są tu informacje, jak można było się z nią umówić, jakie oferowała usługi i na ile je wyceniała. Choć to jeszcze nie musi oznaczać, że nie podejmowała się innych wyzwań.

Szczebiot przywrócił monitor do pierwotnej pozycji i wydał kilka poleceń podwładnym, którzy zaraz potem zaczęli wychodzić z jego biura.

– Ty zostajesz – powiedział, zwracając się do Kawęckiego.

Kiedy zostali sami, naczelnik wskazał jedno z krzeseł stojących naprzeciwko jego biurka. Kawęcki popatrzył na wyciągniętą dłoń, potem na to, co wskazywała, i ponownie oparł się o drzwi.

– Jak głowa?

– W dalszym ciągu jest tam, gdzie być powinna.

– Co ci powiedzieli lekarze?

- Że będę żyć.
- Zdaje się, że kazali ci zrobić sobie przerwę. Co najmniej dwutygodniową.
- Nie mam na to czasu. Trwa śledztwo.
- A gdybym ci powiedział, że już w nim nie uczestniczysz?

Kawęcki zanurkował do kieszeni spodni, które zdawały się bardziej niż zazwyczaj zwisać z jego kościstego ciała. Wyciągnął paczkę papierosów i pomachał nią naczelnikowi. Szczebiot z dezaprobatą pokręcił głową, pilnując przy tym, by nie zsunął mu się z twarzy złośliwy uśmiezek, który przygotował specjalnie dla Kawęckiego.

– Nie uwierzyłbym. – Komisarz oderwał się od drzwi i skierował powoli w stronę okna. – Cały czas zapominasz, że dobrze cię znam. Wiem, na co sobie możesz pozwolić, a co by cię zniszczyło. Jeśli odsunąłbyś mnie od sprawy, w ciągu kilku dni straciłbyś pracę. Po paru tygodniach zostawiłaby cię żona. A po kilku miesiącach wyglądałbyś mniej więcej tak jak ja. – Uśmiechnął się i włożył papierosa do ust. Otworzył okno. – A co najzabawniejsze, prawdopodobnie wciąż byśmy się widywali. Tyle że nie na komendzie, lecz w rynsztoku. Waląc wodę z mety i ruchając najtańsze kurwy. Możliwe, że te same w tym samym czasie. Możliwe, że nawet mielibyśmy z tego frajdę.

Zapalił papierosa. Wypuścił chmurę dymu przez okno, a następnie usiadł naprzeciwko Szczebiota. Z wysiłkiem założył nogę na nogę. Uśmiechnął się chytrze.

- Teraz ja chciałbym z tobą porozmawiać.

Szczebiot wciąż wyciskał z twarzy wystudiowany uśmiech. Ze sporym opóźnieniem dotarło do niego, że to zupełnie bez sensu.

Witold Ptak spojrzął na wiszący na ścianie plastikowy zegar, który wskazywał jedenastą. Czekał, aż policjanci zbiorą się w sali konferencyjnej, próbował policzyć, ile godzin minęło od rozpoczęcia śledztwa. I ile z nich stracili na pierdzenie w stołek, rozmowy z niewłaściwymi ludźmi, przyglądanie się wątkom, których w ogóle nie warto było tykać, czy na dzielenie się bezwartościowymi spostrzeżeniami. Prawdopodobnie większość.

Kiedy Tomek Kawęcki i Mariusz Szczebiot weszli do pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi, opuścił żaluzje i uruchomił stojący na stole projektor. Chwilę później na jednej ze ścian zaciemnionego pokoju wyświetliło się zdjęcie półnagiej Martyny Bułeckiej z komputerowo zamazaną twarzą.

– To Bułecka i jej profil w serwisie cosymeetings.com – zaczął Witold, nie siląc się na jakiegokolwiek wprowadzenie. – Za jego pośrednictwem umawiała się z mężczyznami, którzy mieli ochotę na coś więcej, niż dostają w domu. I niekoniecznie na to, o czym myślicie. – Witold włączył następny slajd, na którym widniał wykaz usług świadczonych przez Bułecką: ciąg niezrozumiałych akronimów i angielskich słów, za którymi kryły się mniej lub bardziej wyuzdane praktyki sadomasochistyczne. – Wygląda na to, że przez ostatnie miesiące Bułecka spotykała się z ludźmi, którym zwyczajny seks nie wystarcza. Być może nie wystarcza im także to, co znajduje się na tej liście.

– Znam parę osób, które lubią sado-maso – odezwał się Artur Waliszewski. – Poza tym wydają się zupełnie normalne.

– To dobrze trafiłeś, bo większość ludzi, którzy zamiast po prostu uprawiać seks, lubią być bici, ma nierówno pod sufitem. I nie jest to moja prywatna opinia. Właśnie rozmawiałem na ten temat z seksuologiem. Prawdopodobieństwo, że któryś z klientów Bułeckiej to psychopata, jest co najmniej spore.

Witold spojrział na Kawęckiego, grzebiącego w telefonie i sprawiającego wrażenie osoby nieszczególnie zainteresowanej jego słowami. Ani tym, co działo się wokół. Przeniósł więc wzrok na Magdę.

– Pogadaj z naszymi informatykami – powiedział. – Dowiedz się, z kim umawiała się Bułecka. Niech wejdą na jej konto i sprawdzą. A jeżeli nie będą w stanie, zorientuj się, kto jest właścicielem tego serwisu, i go przyciśnij. To w tej chwili nasz priorytet.

Magda skinęła głową. Kawęcki w dalszym ciągu wpatrywał się w ekran telefonu. Witold przebiegł wzrokiem po biurku i podniósł długopis. Cisnął nim w Kawęckiego, który nagle oderwał się od smartfona i zasyczał z bólu. Gwałtowne ruchy głową wciąż zadawały mu cierpienie.

– Jeśli chcesz, weź ze sobą Kawęckiego. O ile naczelnik wyrazi na to zgodę.

Szczebiot przymknął laptopa, którego trzymał na kolanach, i bezradnie rozłożył ręce.

– W normalnych okolicznościach bym na to nie pozwolił, ale okoliczności są dalekie od normalnych – powiedział.

– Jak się czegoś dowiecie, dajcie mi znać. Chcę być na bieżąco. Wy dwoje – zwrócił się Witold do pary młodych funkcjonariuszy, którzy niedawno dołączyli do zespołu i pilnie notowali każde jego słowo – porozmawiacie ze znajomymi ofiary. Sprawdźcie, czy coś wiedzą na temat tego serwisu lub seksualnych upodobań Bułeckiej. Dowiedzcie się, czy ktoś o czymś słyszał albo cokolwiek podejrzewał. Tylko bądźcie dyskretni. Nie chcemy, żeby informacja o tym serwisie wyciekła do mediów. Jeden podły wyciek na sprawę nam wystarczy.

Witold zerknął na Szczebiota, ale ten nawet nie uniósł głowy znad komputera. Pod pewnymi względami niewiele różnił się od Kawęckiego. Szkoda, że tylko pod tymi negatywnymi.

– Drugi wątek, którym musimy się zająć, dotyczy Jakuba Możejki. – Witold przeskoczył na kolejny slajd prezentacji. – Kiedy próbowaliśmy się dowiedzieć, czy Bułeczka ma jakiś związek z łódzkimi burdelami, okazało się, że jej promotor jest amatorem seksu za pieniądze. I to takim, za którym prostytutki nie przepadają. Ale żeby mieć pewność, że tak jest, musimy zebrać jeszcze trochę informacji. Najlepiej z więcej niż jednego źródła. – Spojrzał na Artura. – To twoja działka.

– Będziemy musieli przesłuchać tych ludzi – zauważył Artur. – Z serwisu Klientów Bułeckiej. To mnóstwo roboty. Na razie nie wiemy nawet, kim oni są.

Witold złożył swoje notatki i trzasnął nimi o blat.

– Czy przejażdżka po burdelach ze zdjęciem Możejki jest dla ciebie uwłaczająca? To jakiś kłopot?

Artur przewrócił oczami i zapatrzył się w dno swojego kubka, na którym leżała wymięta torebka herbaty.

– Nie.

– W takim razie zajmiesz się tym. Jednocześnie wypytaj wszystkich o Bułeczka.

Na wszelki wypadek.

Witold wycelował palcem w młodych funkcjonariuszy, którzy siedzieli najbliżej niego, a następnie wskazał wyświetlające się na ścianie zdjęcie Możejki.

– Spróbujcie też się dowiedzieć, jakie relacje łączyły Bułęcką i Możejkę. To w tej chwili nasze dwa najważniejsze tropy: serwis dla fetyszystów i promotor. Zrozumiano?

Młodzi policjanci – chłopak z potężnym trądzikiem, który wyglądał na wyrośniętego nastolatka, i ciemnowłosa dziewczyna przypominająca wokalistkę punkrockową – zgodnie pokiwali głowami. Następnie oboje przebiegli wzrokiem po rosłej sylwetce przełożonego. Witold odruchowo przesunął rękę w kierunku uda. Miał brudne spodnie, odkąd kilka dni temu upuścił na nie pomidora, który wysunął się z jego nieudolnie zmontowanej kanapki. Nie znalazł czasu ani motywacji, żeby wymienić je na czyste. A po chwili stracił też ochotę, żeby się z tym kryć. Cofnął rękę i przerzucił slajd.

– Wy trzej – warknął, spoglądając na siedzących w kącie sali funkcjonariuszy z Komendy Miejskiej – sprawdźcie, czy czegoś nie pominęliśmy. Przejrzyjcie dotychczasowe raporty ze śledztwa. Wyciągnijcie z nich wszystko, co ma związek z seksem, Jakubem Możejką i starszymi mężczyznami z otoczenia Bułęckiej.

Policjanci, znużeni faceci po trzydziestce, z krótko ostrzyżonymi włosami i parodniowym zarostem, popatrzyli na siebie.

– Ale my tu jesteśmy tylko do końca tygodnia. Potem wracamy do siebie.

Witold przyjrzał im się uważnie, jakby próbował z ich sfatygowanych twarzy wyczytać, czy są skończonymi leserami, czy po prostu mają dość pracy przy tej sprawie. Dość wykonywania poleceń poobijanych przez życie ponuraków. Takich jak on. Ale nic nie wyczytał. Przeszedł w kąt pomieszczenia, zapalił światło, a następnie wrócił na swoje miejsce. Wyłączył projektor i zamknął komputer.

– Do końca tygodnia, czyli do niedzieli?

– Właściwie do piątku. Czyli do dzisiaj.

Witold spojrzął na zegar.

– W takim razie czeka was kilka godzin intensywnej pracy. Odwołajcie



wszystko, co zaplanowaliście na wieczór. Do roboty.

– A ty? – odezwał się Artur.

– Co ja?

– Pomożesz mi z tymi burdelami?

– Nie.

Witold chciał dodać coś jeszcze, ale zamiast tego zgarnął z biurka notatki i ruszył do wyjścia. Za nim podążyło dwoje młodych funkcjonariuszy z wydziału i policjanci z Komendy Miejskiej. Po nich miał wyjść Szczebiot, który z pewnym opóźnieniem się zorientował, że odprawa dobiegła końca, ale gdy dotarł do drzwi, zatrzymał się i odwrócił.

– Porozmawiam z Witoldem – powiedział, patrząc na Magdę i Artura. – Przekonam go, że powinniśmy zrobić sobie wolny weekend. Przyda nam się. Wszystkim to cholerne śledztwo zaczyna się dawać we znaki. Jemu też.

Naczelnik wyszedł i przymknął za sobą drzwi. W sali konferencyjnej zostali tylko Magda, Artur i Kawęcki.

– Co mu się stało? – zapytała Magda.

– Może boi się, że będzie nam musiał zapłacić za nadgodziny – odparł Artur.

– Miałam na myśli Witka.

– Żona przestała mu dawać.

– Znasz odpowiedź na każde pytanie?

Artur wzruszył ramionami.

– Pewnie wyżywa się na nas, bo mu się w domu nie układa. To akurat wiem, bo mi o tym wspominał.

– Chyba że wydarzyło się coś, o czym nie mamy pojęcia – powiedziała Magda.

Oboje spojrzeli na Kawęckiego, który popijał kawę i przeglądał wiadomości w telefonie. Odczekali kilkanaście sekund – bardzo cichych sekund – ale nic się nie wydarzyło, więc ruszyli do wyjścia, zostawiając go w towarzystwie własnych pokręconych myśli.

Witold Ptak podrapał się po głowie i zmusił mięśnie twarzy do uśmiechu. Nie wiedzieć czemu, spodziewał się spotkania z podstarzałą kobietą, zgorzkniałą

i posępną, z której ciężko będzie cokolwiek wyciągnąć. Tymczasem miał przed sobą pełną wigoru, dobrze ubraną wdowę, dziarskim krokiem przemierzającą korytarz, w którym roznosił się ciężki zapach jej perfum.

– Dlaczego policjant z Wydziału Kryminalnego interesuje się Andrzejem?

Maria Pszoniak zgarnęła z salonowego bufetu popielniczkę i postawiła ją na lekkim drewnianym stole, przy którym usiadła razem z Witoldem. Założyła nogę na nogę i zapaliła cienkiego aromatyzowanego papierosa. Jego waniliowy zapach błyskawicznie wypełnił gustownie urządzone pomieszczenie, z którego skandynawska lekkość wypierała socjalistyczny przepych. Ręka Witolda zatrzymała się w kieszeni kurtki. Nie był pewien, czy dym jego tanich papierosów powinien się wgryzać w białe drewno.

– Nie tyle nim, ile sprawą, którą prowadził.

– Trochę ich było.

– Interesuje mnie tylko jedna.

Maria Pszoniak poruszyła się na krześle i odwróciła w stronę korytarza, jak gdyby chciała pokazać Witoldowi swój lepszy profil. Miała zaskakująco gładką i jędrną cerę, rzadko spotykaną u osób po sześćdziesiątce. Dzięki temu jej długie, ściśle upięte blond włosy, noszone zazwyczaj przez kobiety co najmniej dwa razy młodsze, zupełnie nie raziły. Wręcz przeciwnie.

– Jeżeli interesuje pana konkretna sprawa, powinien pan się udać do Prokuratury Okręgowej. Z tego, co mi wiadomo, archiwizuje wszystkie sprawy. Także te z dawnych lat.

– Już to zrobiłem – stwierdził Witold usprawiedliwiającym tonem. – Problem polega na tym, że nie archiwizuje wszystkich informacji, które mnie interesują. A ja chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o ludziach, z którymi pracował pani mąż. O jego współpracownikach, asystentach, stażystach.

Zaśmiała się, wystawiając rząd równych wybielonych zębów. Zaciągnęła się papierosem mocniej niż zazwyczaj. Szybko wypuściła dym.

– Albo nie przyłożył się pan do swojego zadania, albo próbuje być miły. Andrzej nie miał asystentów i stażystów, tylko asystentki i stażystki. To, jaką

funkcję pełniły, było tajemnicą poliszynela. Obawiam się, że u jego boku nie mogły się wiele nauczyć, choć nauczycielem z pewnością był dobrym. Tyle że niekoniecznie prawa.

Sięgnęła po stojący na środku stołu dzban z wodą. Wypełniła nią do połowy dwie wysokie szklanki. Jedną podała Witoldowi. W drugą długo się wpatrywała.

– Kłopotczy pana to, że z taką swobodą o tym mówię? Nie powinno. Już wiele lat temu doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu nosić kagańca wierności, jaki nakłada na ludzi małżeństwo. Owszem, na początku nie byłam zadowolona, kiedy posuwał studentki, próbując to przede mną ukryć. Ale z czasem go zrozumiałam. Zaakceptowałam to. I postanowiłam postępować tak samo. Protestował, jak każdy samiec, któremu próbuje się odebrać coś, co uważał, że ma na wyłączność, ale w końcu przestał. Dzięki temu nasze blisko czterdziestoletnie małżeństwo można uznać za niezwykle udane.

– Jak się państwo poznali?

– Na studiach. Andrzej kończył prawo, ja byłam w połowie nauki. Poznaliśmy się na imprezie, na prywatce, jak to się dawniej mówiło. Oboje byliśmy do siebie pozytywnie nastawieni, więc sprawy potoczyły się szybko. Nawet za szybko. Zaledwie trzy miesiące po tym, jak się poznaliśmy, musiałam rzucić naukę z powodu ciąży. – Zgasiła papierosa i od razu sięgnęła po następnego. – Jakiś czas później uświadomiłam sobie, że Andrzej upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie tylko zdobył kobietę, której pragnął, ale też wyeliminował swoją główną konkurentkę. Do momentu zakończenia nauki miałam lepsze wyniki niż on.

– Nie chciała pani wrócić na uczelnię?

– Chciałam, ale z czasem zrobiłam się zbyt wygodna. Andrzej świetnie sobie radził, błyskawicznie budował swoją pozycję w palestrze. Ja natomiast zaskakująco dobrze odnajdywałam się w roli matki. Szybko urodziłam dwoje dzieci i miałam przy nich mnóstwo pracy. Kiedy w końcu zyskałam trochę spokoju, byłam już zbyt leniwa, żeby wrócić do nauki. Poza tym Andrzej mi to odradzał. I miał rację. Czułabym się nieswojo, spotykając na uczelni jego stażystki lub asystentki.

Witold odkleił się od oparcia krzesła i z tylnej kieszeni spodni wydobycił pomietą

fotografię.

– Czy poznaje pani tę dziewczynę?

Maria Pszoniak podniosła fotografię i przyjrzała jej się z pewnej odległości. Ewidentnie potrzebowała okularów albo soczewek, ale z jakichś powodów nie chciała nosić ani jednych, ani drugich.

– Nie wydaje mi się. Jak się nazywa?

– Monika Dziewulska. Niespełna dziesięć lat temu była stażystką pani męża. Pomagała mu przy sprawie Justyny Kepler, nastolatki, która została zgwałcona i zamordowana w swojej rodzinnej wsi. Zabójcą okazał się niepełnosprawny chłopak. Pamięta pani tę sprawę?

Odłożyła fotografię na stół.

– Obawiam się, że nie jestem w stanie panu pomóc. Nie przypominam sobie ani tej sprawy, ani tej dziewczyny. Choć nie dziwi mnie, że akurat ona praktykowała u Andrzeja. Wpisuje się w schemat: wysoka blondynka o niebieskich oczach, z zaciętym wyrazem twarzy. Germański typ urody. W jej wieku wyglądałam podobnie.

Czując na sobie przenikliwe spojrzenie, Witold sięgnął po szklanę z wodą.

– A czy pamięta pani, z kim w tamtym czasie zadawał się mąż? Interesuje mnie przede wszystkim jego środowisko zawodowe.

Zaśmiała się. Oszczędnie. Cicho.

– Mąż był bardzo towarzyskim człowiekiem i miał wielu znajomych, w większości ze środowiska prawniczego. Można powiedzieć, że zadawał się z wpływowymi ludźmi i tylko takich zapraszał do domu. Pamiętam, że tylko raz zrobił wyjątek, przyprowadzając jakiegoś chłopaka o dziwnie brzmiącym nazwisku. Chyba ugrofińskim, ale nie jestem pewna. – Zmarszczyła brwi i ponownie zapatrzyła się w swoją szklanę. – Funkcja, którą pełnił Andrzej, wymagała trzymania się w ściśle określonym gronie i nie pozwalała na schodzenie poniżej pewnego poziomu, zwłaszcza na stopie towarzyskiej. Mogłabym godzinami opowiadać, z kim się wtedy zadawaliśmy, ale nie sądzę, żeby miał pan na to ochotę.

– Chętnie posłucham.

Uśmiechnęła się z wdziękiem.

– Nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości – powiedziała.

– No cóż, w takim razie nie będę pani zabierał więcej czasu.

Maria Pszoniak odprowadziła Witolda do wyjścia. Gdy ten powoli zapinał kurtkę, posłała mu badawcze spojrzenie.

– Widzę, że chce pan zapytać o coś jeszcze.

– Nie chciałbym pani urazić.

Uśmiechnęła się.

– Nie sędzę, żeby był pan w stanie.

Witold zrozumiał, że wdowa zalicza się do osób, które uwielbiają robić na innych wrażenie, ale jednocześnie nie chcą być lubiane. Uważają, że sympatia ludzi z niższych sfer urąga ich godności.

– Czy pani zdaniem mąż zawsze postępował w pracy etycznie?

– Nie – odparła bez namysłu. – Prywatnie nie postępował etycznie, więc nie sędzę, żeby kurczowo trzymał się jakichkolwiek zasad w pracy. Nie podejrzewałabym go jednak o żadne poważne przestępstwo. Był zbyt sprytny i zbyt inteligentny, żeby podjąć takie ryzyko. Gdyby się dopuścił czegoś nielegalnego, byłoby to dla mnie bardzo niemiłe zaskoczenie.

Witold pochwycił jej ostatni oszczędny uśmiech, podziękował za rozmowę i wyszedł. Pożegnał go huk masywnych drzwi, które się za nim zatrzasnęły.

Założenie, że ludzie odziani w garnitury to ci, którzy najwytrwalej i najlepiej pracują i za swój wkład w rozwój gospodarczy kraju zasłużenie otrzymują najbardziej prestiżowe stanowiska i najwyższe wynagrodzenie, straciło aktualność. Biznesowe standardy rozciągnęły się na wszystkie obszary życia zawodowego. Paradoxem epoki gigantycznej różnorodności odzieżowej, pielęgnowanej przez hipsterów i setki innych subkultur, stało się to, że w świecie pełnym garniturowców nie da się niewprawionym okiem odróżnić prezesa wartego kilkaset milionów złotych firmy od jej szeregowego pracownika, który ciuła pieniądze na spłatę kredytu. Marynarki spowszedniały niczym dzinsy. Widok eleganckiego mężczyzny

w odstręczającej budzie z jedzeniem niezidentyfikowanego pochodzenia przestał kogokolwiek dziwić.

Dlatego gdy Magda Giętka weszła z Mariuszem Szczebiotem do baru z kebabem, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na odzianego w garnitur, gładko ogolonego mężczyznę, który za pomocą zbyt drogiego jak na jego zarobki stroju próbował pokazać, że zamierza wspiąć się na szczyt drabiny zawodowej. Osób zaliczających się do tej grupy nie poznaje się już po ubiorze, tylko po sposobie jedzenia: zachłannym i asekuracyjnym. Przepelnionym wstydem, że żywią się takim badziewiem, i lękiem, że mogą się nim upaprać.

Magda popatrzyła na wbity na pionowy rożen kebab, na śniadą cerę odcinającego plastry kucharza, na wściekle rechoczących w rogu pomieszczenia nastolatków i na twarz naczelnika, który żarł swoje wyszukane danie z zawziętością wygłodniałego psa. Straciła resztki apetytu.

– Przepraszam – wymamrotał Szczebiot, przeżuwając bułkę. – Nic nie jadłem od rana. Z głodu przestawałem już logicznie myśleć.

– Nie szkodzi. Widywałam gorsze rzeczy. I bywałam w gorszych miejscach.

Magda wytrzymała spojrzenie śniadego kucharza, który wprawdzie ledwo mówił po polsku, ale najwyraźniej wszystko rozumiał.

– Chodźmy stąd – powiedział Szczebiot i ruszył do wyjścia.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Magda łapczywie zaczerpnęła powietrza. Pochyliła głowę i powąchała kołnierz kurtki. Nie śmierdział starym olejem ani smażonym mięsem, mimo to czuła ten zapach. Wrył jej się w mózg. I nie zamierzał szybko go opuścić.

– Rozmawialiście z informatykami? – zapytał Szczebiot.

Wyciągnęła notes z kieszeni.

– Wiemy, że Bułeczka była aktywna w tym serwisie blisko rok. Zaczęła w marcu. W tym czasie umówiła się z dwunastoma facetami. Z niektórymi niejedną raz.

– Znamy ich nazwiska?

– Nie, wszyscy posługują się pseudonimami, a ich dane kontaktowe zna jedynie administrator serwisu. Jego właściciel to jakaś cypryjska spółka, której prezesem

jest Polak. Właśnie ustalamy, gdzie mieszka.

Szczebiot stanął w szerokim rozkroku, pochylił się do przodu i wgryzł w kebab. Ten na znak protestu trysnął sosem na chodnik.

– Żeby dokonać transakcji w tym serwisie – kontynuowała Magda – trzeba mieć kartę kredytową. To oznacza, że klientami Buleckiej byli raczej zamożni faceci. Zresztą świadczą o tym również ich ubrania, jeżeli przyjmiemy, że to ich widzieliśmy na zdjęciach zrobionych przez Waldemara Piątka. Ale co do tego chyba nie mamy wątpliwości.

Szczebiot pokręcił głową.

– Dopóki ich nie poznamy, musimy wątpić. Ale to nie o nich mieliśmy rozmawiać, prawda?

Magda nic nie powiedziała. Nie patrzyła na Szczebiota, tylko na samochody, które zatrzymały się na światłach.

– Czym zajmuje się Kawęcki? – zapytał Szczebiot.

Wytańkował kąciki ust chusteczką i na moment przestał jeść, jakby się obawiał, że szelest folii aluminiowej, w którą zawinięty był kebab, zagłuszy Magdę bardziej niż rżące silniki samochodów.

– Spotyka się z różnymi ludźmi. Przygląda się sprawom z dawnych lat. Uważa, że szukamy człowieka, który ma na koncie kilka zabójstw.

Szczebiot ponownie zatopił zęby w kebab. Żuł jedzenie w tempie błyskawicy.

– Czyli seryjnego zabójcy.

– Nie powiedział tego wprost, zresztą w ogóle rzadko mówi wprost, ale tak.

– Przecież w Polsce praktycznie nie ma seryjnych zabójców. Ilu ich mieliśmy? Kilkunastu?

– Ponad dwudziestu. Może trochę więcej. Sprawdziłam.

– A w Łodzi?

– Czytałam tylko o facecie, który ponad dwadzieścia lat temu zabijał gejów. Nigdy go nie złapali.

– Niedziwne. Komu by się chciało szukać zabójcy pedałów?

Szczebiot uśmiechnął się szeroko, ale Magda nie podchwyciła żartu.

– Domyślasz się, co zamierza?

– Podejrzewam, że nie odpuści. Zafiksował się na tym punkcie. Będzie tak długo grzebał w starych zbrodniach, aż przestanie dostrzegać, że inne rozwiązanie jest możliwe.

– Świetnie – powiedział Szczebiot z pełnymi ustami. – Czyli zamiast pomagać w śledztwie, będzie nam je utrudniał, doszukując się nieistniejącego związku między zabójstwami.

– Niekoniecznie.

Szczebiot wyrzucił resztkę kebabu do kosza i wytarł dłonie w serwetkę. Młóćąc jedzenie zębami, intensywnie wpatrywał się w Magdę.

– Być może Kawęcki ma rację – kontynuowała. – Mnie też trudno jest uwierzyć, że tak okrutnej zbrodni mógł się dopuścić ktoś, kto wcześniej nikogo nie zabił.

Naczelnik energicznie pomachał palcem.

– Nie daj się wkręcić w te jego psychologiczne dyrdymały. Owszem, Bułęcką z pewnością zabił chory człowiek. Ktoś, kto w przeszłości mógł mieć zatarg z prawem. Może jakiś zakompleksiony zboczeniec. Może gwałciciel, który tym razem poszedł o krok dalej. Albo po prostu kompletny świr z chorymi wizjami w głowie. Ale nie potwór, który od lat zabija ludzi.

– Kawęcki uważa, że za jedno z jego dawnych zabójstw mógł zostać skazany ktoś inny.

– Bzdura! Posłuchaj – powiedział Szczebiot, przesuwając się w stronę Magdy. – Nie szukamy jakiegoś superinteligentnego zabijaki, tylko chorego człowieka, który tak jak wszyscy popełnia błędy. Musimy go wytropić, badając zabójstwo Buleckiej, a nie rozgrzebując jakieś rany z przeszłości.

Magda rozłożyła ręce.

– Mnie nie musisz tego mówić. Powiedz to Kawęckiemu.

– Kawęcki nikogo nie słucha. Uważa, że wszyscy ludzie są od niego głupsi.

– Zawsze tak było?

– Nie zawsze. Przynajmniej tego nie okazywał.

– Kiedy to się zmieniło?



Szczebiot, wspierając się pod boki, popatrzył z ukosa na Magdę. Przez cały czas wodził językiem wzdłuż szczęki, wygrzebując z zębów resztki jedzenia.

– Kiedy zaczął pić. Skończmy już gadać o przeszłości. Skupmy się na tym, co jest teraz.

Szczebiot wyciągnął z kieszeni nić dentystyczną, urwał kawałek, odwrócił się w stronę ulicy i parokrotnie przeciągnął go między zębami. Robiąc to, bezmyślnie wpatrywał się w stojącego na światłach faceta, który rozmawiał przez telefon, bezmyślnie wpatrując się w Szczebiota.

– Czy Kawęcki spotyka się z kimś jeszcze? – zapytał naczelnik, stojąc do Magdy bokiem i przyglądając się drobinom mięsa, które przykleiły się do nici. – Z kimś, kto nie ma żadnego związku ze sprawą?

– Nie sędzę. Zachowuje się dziwnie, ale wydaje się w stu procentach oddany śledztwu.

Szczebiot cisnął do kosza kawałek nici dentystycznej i odwrócił się do Magdy.

– Przyglądaj mu się uważnie. Cały czas. To bardzo ważne.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, po co to robię.

Szczebiot zaśmiał się pod nosem. Potem kilka razy cmoknął i znów zaczął wędrować językiem wzdłuż szczęki.

– Dla jego dobra. Wyłącznie dla jego dobra.

Papierosy już im nie wystarczały. Grupa dzieciaków w bluzach, cienkich kurtkach i dresach popijała piwo i bekała na zawołanie. Za każdym razem coraz głośniej, kwitując każde beknięcie salwą śmiechu i bezsensownie rzucanych wulgaryzmów. Pobudzeni alkoholem zstępowali i wskakiwali na niskie betonowe schody, które prowadziły do wnęki za szkołą. Nieustannie spluwali pod nogi i na boki, jakby piwo zupełnie im nie smakowało. Co zapewne było zgodne z prawdą.

Kiedy zobaczyli Tomka Kawęckiego, na chwilę zamilkli. Ale gdy tylko ich minął, znowu zaczęli rechotać, przeklinać i bekać. Zimne wieczorne powietrze przeszywały wysokie głosy przed mutacją. Niektóre już lekko ochrypnięte, zdradzające, jak mogą brzmieć za piętnaście czy dwadzieścia lat, kiedy chude ciała zamienią się w blade szkielety poukrywane pod podartymi dresami, kiedy łyse

głowy będą bały się wychylić spod kaptura, kiedy nogi zaczną odmawiać posłuszeństwa, a mózgi zastąpi nasiąknięta gorzałą papka.

Kawęcki zatrzymał się przed sflaczałą pomarańczową piłką, która leżała na środku betonowego boiska. Przez chwilę się zastanawiał, czy pękła, zanim zaczęli pić, czy później, gdy po pijaku uznali, że fajnie będzie rozkroić ją kawałkiem szkła. Ale potem doszedł do wniosku, że nie ma to żadnego znaczenia. Ani dla niego, ani dla nich.

– Chujowo wyglądasz – odezwał się przypominający wyrośniętego elfa mężczyzna, który siedział na ławce i nerwowo potrząsał nogami. – Kto ci to zrobił?

Kawęcki nic nie odpowiedział. Stał przed elfem i zapalił papierosa.

– Zresztą głównie mnie to obchodzi. Nie powinienes do mnie dzwonić.

– Ale zadzwoniłem.

– Czego chcesz?

– Przysługi.

Elf zaśmiał się chrapliwie, pociągnął nosem i splunął za siebie.

– A dokładnie kilku informacji.

Kawęcki wyjął z kieszeni kartkę i podał ją elfowi.

– Co to ma być?

– Nie umiesz czytać?

Elf zmierzył Kawęckiego wzrokiem, jakby się zastanawiał, którą kończyne powinien złamać mu najpierw.

– Daj to Mariuszowi. Muszę się dowiedzieć, gdzie znajdę tego gościa.

– Nie rozumiem cię, człowieku. – Elf pokręcił głową. – Najpierw płaczesz, żebyśmy dali ci spokój, i grozisz, że nas wsypiesz, jeśli będziemy naciskać. A po tygodniu sam się do nas odzywasz, bo masz jakiś problem. Kim ty w ogóle, kurwa, jesteś?

Elf wyciągnął telefon i podświetlił kartkę, którą dostał od Kawęckiego.

– Kto to?

Kawęcki głośno westchnął.

– Zresztą nieważne, Mariusz zna wszystkich. Co dostaniemy w zamian?

Kawęcki znów zanurkował do kieszeni. Wyciągnął z niej pendrive'a.

– Co to jest?

– Daj to Mariuszowi.

– Pytam się, kurwa, co to jest!

Kawęcki rzucił niedopałek na beton i przydepnął go butem. Rozejrzył się na boki.

– Coś, czym uszczęśliwisz Mariusza bardziej, niż gdybyś zrobił mu laskę.

Elf podniósł się z ławki i stanął twarzą w twarz z Kawęckim. Cuchnął potem i strawionym alkoholem. Miał rozszerzone źrenice, a szczękoscisk tak silny, jakby ćpał od tygodnia. Kołysał się z boku na bok, wpatrując się w Kawęckiego pod różnymi kątami.

– Masz jaja – powiedział i zarechotał. – Niech będzie. Dam to Mariuszowi. Ale jeśli uzna, że to gówno jest nic niewarte, to nic od nas nie dostaniesz.

Kawęcki zapalił kolejnego papierosa.

– Po prostu mu to zanieś. I powiedz, że potrzebne jest mi aktualne miejsce pobytu tego gościa, a nie jego adres zamieszkania.

– Nic nie obiecuję.

Policjant minął osiłka i usiadł na ławce.

– Jak będę miał dla Mariusza coś nowego, dam ci znać.

– A jeśli to my będziemy czegoś od ciebie chcieli?

Elf czekał na odpowiedź, ale Kawęcki przestał zwracać na niego uwagę. Przyglądał się hałaśliwej grupce dzieciaków w nieustannym ruchu. Kilku jaskrawym kurtkom, które wyłaniały się z mroku i zaczynały wirować. Przypominało mu to nieskładny taniec liści targanych wiatrem w pierwszych dniach jesieni, kiedy zieleń zaczyna zlewać się z żółcią i czerwienią. Melancholijny i usypiający. Niewinny. I bezsensownie powtarzalny.

**J**akuba Możejke przeszył dreszcz, gdy zobaczył przez wizjer wygolonego na łyso draba z pokancerowaną głową, który wyglądał jak narkoman na głodzie. Nie przyszłoby mu na myśl, żeby przed kimś takim kiedykolwiek otworzyć drzwi. Wahał się nawet wtedy, kiedy mężczyzna wyciągnął legitymację policyjną i przystawił ją do drzwi. Człowiek ze zdjęcia w niczym nie przypominał tego, który stał za progiem. Ale Możejko skojarzył jego nazwisko z charakterystyczną chrypą. W końcu otworzył.

– Co się panu stało? – zapytał zaspanym głosem.

– Poślizgnąłem się. I wpadłem na kij bejsbolowy – powiedział Tomek Kawęcki, uśmiechając się nieznacznie i ostrożnie dotykając świeżo ogolonej głowy. – Chciałem z panem porozmawiać. Mogę wejść?

– Proszę – powiedział Możejko, niechętnie przepuszczając policjanta przez próg.

– Nie zajmę panu dużo czasu – stwierdził Kawęcki, rozsuwając ekspres zbyt obszernej kurtki, w której tonęło jego ciało.

Możejko był zdezorientowany. Nie wiedział, czy niespodziewanemu gościowi

powinien zaproponować kawę, czy raczej bandaż i morfinę. Czy może czapkę. Ze względów estetycznych.

– Czego się pan napije?

– Poproszę kawę. Słodką i mocną.

Możejko zniknął w kuchni, zostawiając Kawęckiego w salonie. Komisarz zrobił obchód po przestronnym, nowocześnie umeblowanym pomieszczeniu. Jego czystość zdradzała, że albo Możejko jest pedantem, albo zatrudnia sprzątaczkę. Jedynie potężny szklany stół, pokryty okruchami i śladami palców, nie był idealnie wysprzątany.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytał Możejko z kuchni.

Zanim usłyszał odpowiedź, wszedł do salonu z filiżanką kawy i cukierniczką. Postawił je na stole, wskazał Kawęckiemu sofę, a sam usiadł w fotelu. Był potargany i nieogolony. Miał na sobie szare spodnie dresowe i cienką bawełnianą koszulę, w której prawdopodobnie spał. Musiał niedawno wstać, zapewne zbudzony dzwonkiem Kawęckiego, ponieważ w mieszkaniu wciąż unosił się nocny zaduch.

Komisarz wsypał do kawy trzy łyżeczki cukru i nieelegancko, ostukując ściany filiżanki, zamieszał napój.

– Może pan pomyśleć, że jesteśmy jak zdarta płyta, bo ciągle pytamy o to samo. I w zasadzie będzie pan miał rację. Nasza praca nie jest szczególnie pociągająca ani kreatywna. Często chodzi o wałkowanie tego samego materiału. Do bólu. Aż zacznie wydawać z siebie jakieś inne dźwięki. Niekoniecznie ładne.

– A więc chce pan porozmawiać o Martynie.

– Właściwie chciałbym zadać panu jedno pytanie. – Kawęcki głośno siorbnął kawę, przez cały czas uważnie przyglądając się gospodarzowi. – Czy to pan zabił Martynę Bułęcką?

Możejko potrzebował kilku sekund, aby oswoić się z ciężarem tego pytania.

– Oczywiście, że nie.

– Czy jest pan tego pewien?

– Tak, jestem tego pewien. Co panu strzeliło do głowy?

– I nigdy pana nie kusiło, żeby ją zabić?

– Nie. – Możejko nerwowo przebierał rękoma. – Pana pytania są niedorzeczne.

Mozejko wstał, ale gdy zobaczył, że Kawęcki odstawił filiżankę i energicznie sięgnął za siebie, opadł na fotel.

– Tak pan sądzi? – zapytał komisarz, wyciągając z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów. – Ma pan coś przeciwno?

Mozejko nie odpowiedział. Nie był w stanie wydobyć z siebie dźwięku.

– Zauważyłem, że nie pali pan w mieszkaniu, więc ja też się powstrzymam. Zapalę, jak wyjdę. W końcu nie zamierzam tu siedzieć długo. – Kawęcki położył paczkę na stole. – Wie pan, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat wydałem ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych na papierosy? Mógłbym za to kupić niezły samochód.

– Dlaczego uważa pan, że mogę mieć coś wspólnego z zabójstwem Martynty?

Mozejko poruszył się w fotelu. Odrętwienie minęło, zaczął w nim wzbierać gniew.

– Bo tak jest. To jest fakt, nie opinia. Chcę tylko ustalić, w jakim stopniu przyczynił się pan do jej śmierci.

– W żadnym. Wygaduje pan kompletne bzdury.

– Wie pan co? Chyba jednak zapalę.

Kawęcki zapalił papierosa i schował zapalniczkę do kieszeni. Sięgnął po filiżankę. Bawił się nią, wkładając kolejne palce prawej dłoni w jej wąskie ucho. Przypominał wychowanka poprawczaka z poważnymi zaburzeniami osobowości. Albo boksera wagi piórkowej, który przyjął w swojej karierze o kilka ciosów za dużo.

– Muszę panu powiedzieć, że znajduje się pan w kiepskim położeniu. Nawet jeśli uwierzę, że jest pan niewinny, to dla mojego przełożonego nadal będzie pan głównym podejrzanym. A co gorsza, mój szef ma pełne prawo tak sądzić. W końcu jest pan ostatnią osobą, która widziała Martynę żywą. Nie chciał nam pan powiedzieć, co robił w dniu, w którym została zamordowana. A do tego jest jeszcze kilka innych rzeczy, które działają na pana niekorzyść.

Mozejko zaśmiał się nerwowo.

– To kompletne bzdury, ale z ciekawości zapytam: jakie rzeczy ma pan na myśli?

– Choćby to, że regularnie korzysta pan z usług prostytutek. I nie zawsze zachowuje się wobec nich odpowiednio. – Kawęcki zostawił w spokoju filiżankę i osunął się na oparcie kanapy. – Wiem też o kilku innych rzeczach. Na przykład o tym, że Martyna wielokrotnie była w pana mieszkaniu. Proszę nie udawać zdziwienia. Rozmawiałem z pana sąsiadami. Kilku z nich ją rozpoznało, kiedy pokazałem im zdjęcia. Zresztą nie można im się dziwić. Była śliczna. Zapadała w pamięć zarówno mężczyznom, jak i kobietom. – Pochylił się do przodu i przejechał palcem po krawędzi stołu. – Wiem też, dlaczego ten stół jest brudny, mimo że kilka razy w tygodniu zagląda do pana sprzątaczką. I wiem, dlaczego pan raz po raz pociąga nosem.

Możejko, jakby na potwierdzenie słów Kawęckiego, pociągnął nosem.

– Może się panu wydawać, że robi to anonimowo, ponieważ pana koledzy z pracy, rodzina, ludzie, którzy czytają pana książki, o tym nie wiedzą, a ci, z którymi pan to robi, nie znają pańskiego nazwiska, nie wiedzą, czym się pan zajmuje ani gdzie mieszka. Pewnie pan sądzi, że skoro nigdy nie miał z tego powodu nieprzyjemności, to nikt o tym nie wie. Że to pana słodka tajemnica. Myli się pan. Wystarczy raz wejść do tej rzeki, żeby zostawić po sobie ślad, którego nic nie jest w stanie zmasać. – Kawęcki sięgnął po filiżankę i siorbnął kawę. – Proszę pamiętać, że ludzie lubią mówić. Niektórym gęba się nie zamyka. A najwięcej mówią wtedy, kiedy ktoś ich do tego zmusi. Wykazał się pan ogromną naiwnością, sądząc, że się o tym nie dowiemy.

Możejko zazgrzytał zębami. Jego niespokojne dłonie tarły o siebie coraz mocniej, wydając przy tym coraz więcej dźwięków. Wzrok, którego nie był w stanie skupić w jednym punkcie, skakał po całym stole.

– Mam problem.

– Nie da się ukryć.

– Z narkotykami. Taki sam, jak pan ma z alkoholem.

Kawęcki uniósł brwi, które wyróżniały się na tle jego łysej czaszki. Zaciągnął

się mocno i strzepnął popiół na podłogę.

– Przyglądałem się panu, kiedy przyszedł pan z kolegami na uczelnię. Widziałem pana drżące dłonie. Wyglądał pan wtedy jeszcze gorzej niż teraz.

– Jest pan spostrzegawczy.

– Każdy pisarz jest spostrzegawczy. – Możejko przejechał dłońmi po twarzy. – Skoro już obnażył pan wszystkie moje sekrety, to mogę panu powiedzieć, że w dniu, w którym zginęła Martyna, byłem naćpany jak stodoła. Kilka osób może potwierdzić, że piątkowa impreza skończyła się dla mnie w sobotę po południu, kiedy wróciłem do domu i usilnie próbowałem zasnąć. A teraz proszę stąd wypierdalać.

Mozejko podniósł się z fotela i wymownym ruchem ręki wskazał policjantowi wyjście. Ten tylko się uśmiechnął i sięgnął po papierosy.

– Uspokój się. Usiądź – powiedział i flegmatycznie się zaciągnął.

– Nie. Zgaś to gówno i wypierdalaj.

– Usiądź albo cię zastrzelę – powiedział. – Czy jest jakiś powód, dla którego mógłbyś pomyśleć, że tego nie zrobię?

Mozejko znów to poczuł. Odrętwienie. Brak jakiegokolwiek kontroli nad ciałem, które stało przed fotelem z wyciągniętą ręką i palcem wycelowanym w przedpokój. Nie wiedział, że jego wolna dłoń machinalnie zacisnęła się w pięść, a zęby zaczęły trzeć o siebie ze zdwojoną mocą. Nie wiedział, że z jego otwartych ust wydobyły się słowa:

– Otworzę okno. Przydałoby się wpuścić tutaj trochę powietrza.

– Coraz trudniej będzie ci to ukryć. Gdy tylko zrobi się cieplej, zaczniesz tracić masę. Zanim się spostrzeżesz, te wszystkie szykowne ciuszki będą na tobie wisieć. Twoja skóra stanie się przezroczysta, a na ciele pojawią się pierwsze przebarwienia. Stracisz odporność. Będziesz nieustannie zmęczony. Erozja szkliwa sprawi, że twoje śnieżnobiałe zęby zamienią się w poźółkłe cienkie kołki. Proces rozpocznie się pewnie za dwa, najwyżej trzy miesiące. W ciągu kwartału zaczniesz stawać się wrakiem.

– Takim jak ty?



- Innym. Prawdopodobnie gorszym.
- Całkiem wysoko zawiesiłeś poprzeczkę.

Po raz pierwszy w trakcie tego spotkania obaj zaśmiali się na głos. Ale był to śmiech w pełni kontrolowany. Przez cały czas wodzili za sobą wzrokiem. Niczym dwa wygłodniałe psy czekające na ochłap.

- Nie przyszedłeś tu, żeby rozmawiać o moim nałogu. Ani o swoim.

Tomek Kawęcki wolno pokiwał głową. Popatrzył na stół i pochylił się do przodu. Przyłożył palec wskazujący do leżącej na nim paczki papierosów i kciukiem zaczął ją obracać wokół własnej osi.

– Jestem gotów uwierzyć, że jej nie zabiłeś. Dla kogoś takiego jak ty zabicie człowieka byłoby czynem poniżej godności. Mam rację?

Jakub Możejko milczał.

– Wiem jednak, że okłamujesz nas od początku śledztwa. Nie mówisz nam wielu rzeczy. Przede wszystkim nie opowiedziałeś nam o swojej jakże ciekawej relacji z Bułecką.

Możejko powoli, bardzo powoli oswajał się z sytuacją. Wiedział, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, i próbował stworzyć dla niej alternatywny scenariusz. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Pytania policjanta uderzały w jego potylicę i dopiero po kilku sekundach lądowały w mózgu, który je topornie przetwarzał.

– Byłem jej promotorem. Już wam to mówiłem.

– Promotorem czy sponsorem? – Kawęcki zapalił papierosa, wstał z kanapy i zaczął się przechadzać po salonie. – Nie kupowałeś jej ubrań, torebek albo towaru w zamian za to, że dawała ci dupy i nikomu o tym nie mówiła?

– Oczywiście, że nie. Dostała ode mnie jedynie kilka książek, które wręczyłem jej zupełnie bezinteresownie. Skąd w ogóle ten pomysł?

Kawęcki podszedł do stołu i strzepnął popiół do pustej filiżanki. Potem zabrał ją ze sobą w obchód po salonie.

– Badanie toksykologiczne wykazało, że niedługo przed śmiercią Martyna zażywała kokainę.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Nigdy nie ćpaliście razem?

Możejko długo się zastanawiał.

– Możesz odpowiedzieć na to pytanie teraz, siedząc wygodnie w fotelu, popijając kawę, drapiąc się po jajach i pilnując, żebym ci nie kiepował na podłogę, albo w poniedziałek, kiedy moi koledzy wezwą cię na przesłuchanie i będą próbowali uczynić z ciebie zabójcę Bułeckiej. Jeszcze do ciebie nie dzwoniли? – Kawęcki spojrzał na zegarek. – Najwyraźniej postanowili dłużej pospać w sobotę.

– Nie zabiłem jej. Nie wrobiecie mnie w to.

– W to nie. Ale z wmanewrowaniem cię w utrudnianie śledztwa nie będziemy mieć żadnych problemów. Sędzia się ucieszy, jeżeli w tej sprawie będzie mógł skazać więcej niż jedną osobę.

Możejko wodził wzrokiem za Kawęckim, który snuł się po salonie, paląc papierosa. Dotykał mebli i stojących na nich przedmiotów, jakby dokonywał kontroli czystości. Wszędzie zostawiał ślady swoich oślizgłych, cuchnących tanimi papierosami paluchów.

– Zdarzyło nam się to kilka razy – powiedział Możejko. – Po raz ostatni kilka miesięcy temu, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Byliśmy razem na paru imprezach. W klubach tak nędznych, że trzeba było być porządnie nawąchanym, żeby w nich wytrzymać.

– A kiedy zaczęliście się pieprzyć?

Możejko głęboko westchnął. Patrzył na Kawęckiego z politowaniem, jak dobrotliwy nauczyciel na przygłupiego ucznia, który właśnie wydał najbardziej idiotyczny osąd na świecie.

– To nie takie proste.

– Prostsze już być nie może. Kiedy zaczęliście się pieprzyć?

– Nigdy się nie pieprzyliśmy.

Komisarz podszedł do stołu i zgniótł niedopałek w filiżance. Popatrzył na Możejkę.

– Naprawdę. Nigdy się nie pieprzyliśmy. I tak jak mówiłem, nie mam nic

wspólnego z jej śmiercią.

Możejko wzdrygnął się na dźwięk telefonu, który rozległ się w kuchni. Chciał po niego pójść, ale Kawęcki zatrzymał go ruchem ręki.

– To bardziej skomplikowane, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Nie jestem w stanie wytłumaczyć ci tego w kilka minut.

Kawęcki spojrział na zegarek.

– Mam jeszcze trochę czasu.

– Ale ja nie mam.

Możejko przygryzł pięść, gorączkowo szukając jakiegoś rozwiązania. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i splótł przed sobą dłonie.

– Zawrzyjmy układ – powiedział. – Opowiem ci wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, ale nie dzisiaj. A przynajmniej nie teraz. – Wskazał palcem kuchnię. – Przed sekundą zapewne nie dzwonił żaden z twoich kolegów, lecz mój wydawca. Jestem z nim umówiony za godzinę. Do tego czasu muszę wymyślić, co mu powiedzieć, kiedy mnie zapyta, dlaczego nie chcę mu pokazać pierwszych rozdziałów nowej powieści. Nie mogę przecież powiedzieć, że koks w roli muzy sprawdza się co najwyżej średnio.

Kawęcki uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jaką mam gwarancję, że nie będziesz przede mną uciekał i powiesz mi prawdę?

– Nie masz żadnej, ale nie zamierzam z tobą w nic pogrywać. Wymyśl sobie jakieś zabezpieczenie.

Kawęcki omiótł wzrokiem salon. Coś mu w nim nie pasowało. Był zbyt nowoczesny, zbyt funkcjonalny, sterylny, miał się nijak do mieszkania inteligenta, który zarabia na życie umysłem i wyobraźnią. Nie wyglądał na salon pisarza, tylko raczej aspirującego przedsiębiorcy lub menedżera, który dowartościowuje się przepychem, meblami robionymi na zamówienie, elektroniką i efektownym oświetleniem.

– Jesteś jedynym pisarzem, jakiego znam, który nie trzyma w salonie książek.

– Wielu pisarzy znasz?

Kawęcki podrapał się po brodzie.

– Kilku – skłamał.

– To wiedz, że salonami pełnymi książek jedynie legitymizują to, kim są. Nie robią tego ze względów estetycznych, lecz dla uwydatnienia swojej pozycji zawodowej. Stwarzają literacki mikroświat, zupełnie zapominając o funkcjonalności. Ja natomiast stawiam na estetykę i wygodę.

– A gdzie trzymasz książki?

– Tam, gdzie być powinny. W pracowni.

Możejko zaprowadził Kawęckiego do wąskiego pokoju, który wypełniały głównie książki poupychane w regałach przylegających do przeciwległych ścian. Stojące na jego końcu proste biurko, oświetlone wlewającymi się do wnętrza promieniami słonecznymi, wyglądało tak, jakby wyrosło wprost z podłogi albo zostało tam wciśnięte siłą. Pomieszczenie dawno nie było wietrzone. Pachniało w nim starym papierem i kurzem, prawie jak w bibliotece.

– Niezła kolekcja – stwierdził Kawęcki, przyglądając się szeregowi ułożonych alfabetycznie książek. – Liczyłeś kiedyś, ile ich tu jest?

– Trzy lata temu doliczyłem się tysiąca siedmiuset. Teraz jest ich pewnie ponad dwa tysiące.

– Czy znajdę wśród nich dzieła Jakuba Możejki?

– Tak, pod literą „M”. Nie wyznaczyłem dla nich żadnego specjalnego miejsca.

– Co nie zmienia faktu, że całą twoją gadkę o legitymizowaniu można wsadzić między bajki.

Kawęcki wziął do ręki jedną z książek, otworzył ją na przypadkowej stronie i powąchał. Przypomniawszy sobie, dlaczego nie znosi e-booków.

– Wyciągnij wszystkie swoje książki. Znalazłem pomysł na zabezpieczenie.

– I co teraz?

– Teraz będziesz podnosił każdą książkę tak, aby jej okładka była dobrze widoczna na filmie. Zaprezentujesz je, wyraźnie wymawiając tytuł i nazwisko autora. Potem ułożysz tomy w równym rzędzie na stole, uśmiechniesz się do kamery i przedstawiś. A na koniec zrobisz to, co potrafisz najlepiej.

- Czyli?
- Wciągniesz kreskę ze swojego ulubionego dzieła.
- Mam nadzieję, że żartujesz.

– Jeżeli chcesz, możesz przeczytać fragment którejś powieści. Byle nie za długi.

Jakub Możejko się zasepił. Czekał, aż Tomek Kawęcki zacznie zwijać się ze śmiechu i z trudem łapiąc oddech, oznajmi, że żartował. Że robi sobie z niego jaja. Ale nic takiego się nie stało. Na poważnej twarzy policjanta nie drgnął ani jeden mięsień.

- To chore.
- Raczej praktyczne.
- A poza tym nie mam w domu towaru. Nic mi nie zostało.

Kawęcki popatrzył na niego z politowaniem.

– Oczywiście nie wierzę w ani jedno twoje słowo, ale nawet jeśli to prawda, to z resztek, które zebrałbyś ze stołu, karty kredytowej i banknotów, pewnie uzbierałbyś kilka ścieżek.

- Okej, założmy, że nakręcimy ten film. Co zamierzasz z nim zrobić?
- Nic, jeżeli dotrzymasz słowa.

Możejko z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Zaczynamy – powiedział Kawęcki i wyciągnął z kieszeni telefon. – Podobno się spieszysz, więc załatwmy to szybko. Odegraj swoją rolę dobrze, to nie będziemy musieli kręcić dubli.

Tomek Kawęcki przybliżył telefon do oczu i nacisnął na ekranie przycisk Play. Sprawdzał, czy film dobrze się zapisał.

- Zadowolony?
- Nie jestem znawcą, ale wydaje mi się, że wyszedłeś całkiem naturalnie. W twoim głosie pobrzmiwa duma, kiedy wypowiadasz tytuły swoich książek.

Jakub Możejko złapał nos dwoma palcami i delikatnie nim potrząsnął. Zerwał się z fotela, po czym energicznie podszedł do drzwi. Kawęcki ruszył za nim, tyle że dwukrotnie wolniej.

- Jak tylko się wywiążę ze swojej części umowy, skasujesz ten film, tak?

Kawęcki leniwie pokiwał głową. Włożył kurtkę i wetknął papierosa do ust. Już go miał zapalić, ale w ostatniej chwili cofnął zapalniczkę.

– Zdradzić ci pewien sekret?

– Wolałbym, żebyś już stąd wyszedł.

Komisarz zbliżył się do Możejki, który był odwrócony do niego bokiem, i wspiął się na palce, żeby szepnąć mu do ucha:

– Nigdy nie strzeliłbym do faceta w piżamie. A poza tym nie mam przy sobie broni.

Głupkowaty uśmiech, który pojawił się wtedy na twarzy Kawęckiego, miał jeszcze długo prześladować Możejkę.

Światło na klatce schodowej zapalało się automatycznie, z chwilą gdy ktoś się pojawił w zasięgu czujnika ruchu. Kiedy je zobaczył, wysiadł z samochodu i przeszedł na drugą stronę spokojnej śródmiejskiej ulicy zamieszkaną głównie przez żądnych wrażeń przedstawicieli wyższej klasy średniej. Po obu stronach jezdni, na wyraźnie namalowanych skośnych miejscach parkingowych, ciągnęły się sznury samochodów. Przepisnął się pomiędzy dwoma jednakowymi SUV-ami i przystanął na chodniku. Po raz ostatni poprawił czapkę z daszkiem, mocno nasuwając ją na czoło, i ciasno zawiązał wokół szyi szalik, który do tej pory luźno zwisał z jego ramion. Poczul ukłucie podniecenia.

Wiedział, że nie powinien tego robić, że to nieprofesjonalne, że sporo w ten sposób ryzykuje. Ale zżerała go ciekawość. Musiał się dowiedzieć, czy tamten go rozpozna. Czy choćby na chwilę zawiesi na nim wzrok, zastanawiając się, skąd kojarzy tego człowieka. Czy widok jego zmarzniętych, popękanych ust, przylegającej do szala brody i ciemnych oczu wyłaniających się spod czapki spowoduje u niego jakąkolwiek reakcję. Wzbudzi wspomnienie, którego nie pamiętał. Wywoła *déjà vu*. Był chorobliwie ciekawy, co wykiełkowało z ziarna, które kilka dni wcześniej zasiał w jego umyśle.

I wiedział, że za swoją ciekawość będzie musiał odpokutować.

Drzwi do klatki schodowej się otworzyły. Z budynku wyłoniła się poharatana łysa głowa przytwierdzona do patykowatego ciała, które chowało się pod zbyt

obszerną kurtką. Wyglądał i był ubrany inaczej. Poruszał się ospale. Ćmił papierosa jak ktoś, kto wyszedł na parominutowy spacer z psem. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego. Nie dostrzegano się w nim policjanta ani człowieka, który kilka dni wcześniej otarł się o śmierć. Człowieka, któremu przyłożył jego własny pistolet do twarzy.

Zanim mężczyzna z poharataną głową ruszył w jego stronę, on podszedł do kiosku. Poprosił o bilet i batona. Kiedy kioskarsz schylił się, aby zobaczyć jego schowaną za poprzeczną belką twarz, chudzielec był oddalony o jakieś dwadzieścia metrów. Dojście na wysokość kiosku, nawet przy jego ślamazarnym tempie, powinno mu zająć najwyżej piętnaście sekund. Wyciągnął pięciozłotową monetę i bez słowa wręczył ją sprzedawcy. Dziesięć sekund. Odebrał resztę. Cztery sekundy. Chwycił bilet w usta i odwrócił się. Sekunda.

Spojrzenie mężczyzny było krótkie. Prawdopodobnie zbyt krótkie, żeby był w stanie rozpoznać nawet dobrze mu znaną osobę: członka rodziny, szefa, człowieka, którego codziennie widzi w telewizji. Ale zapewne wystarczająco długie, żeby wzbudzić opóźnioną reakcję umysłu. I zasiać w nim kolejne ziarno – niepewności.

Wiedział, że kiedyś ten człowiek zda sobie sprawę, że go widział. I będzie na siebie wściekły, ponieważ zrozumie, że jest już za późno.

Kiedy minął mężczyznę z poharataną głową, przeszedł jeszcze kilkanaście metrów. Zatrzymał się na wysokości skrzyżowania. Wrzucił do kosza bilet oraz ledwo nadgryzionego batona, odwrócił się i skierował w stronę samochodu.

Pięć słów. Magda Giętka próbowała napisać Filipowi esemesa, ale nie była w stanie sklecić pełnego zdania. Za każdym razem zacięła się na piątym słowie, ciskała pod nosem siarczystą kurwę i wracała do początku. Nie potrafiła w kilku zgrabnych zdaniach wyjaśnić Filipowi, dlaczego w sobotę rano, w pierwszy weekend, odkąd postanowili dać swojemu związkowi jeszcze jedną szansę, wyszła z mieszkania. Nieumalowana, bez śniadania, bez zapowiedzi. A co gorsza, nie tylko nie potrafiła tego zręcznie wytłumaczyć jemu, ale też sama do końca nie rozumiała. Miała problem ze zracjonalizowaniem tej decyzji. Co właściwie

sprawilo, że od kilkudziesięciu minut tkwi w samochodzie, marznąc, słuchając jakiejś dennej audycji radiowej i gapiąc się na wypełzających z klatek schodowych emerytów lub skacowanych japiszonów? Przecież mogłaby teraz jeść jajecznicę, pić kawę i oglądać telewizję w towarzystwie faceta, który jako tako akceptował jej dziwactwa. Jedyne, który do tej pory odważył się spróbować z nią wytrzymać.

*Musiałam pojechać do pracy. Prawdopodobnie...*

Skasowała kolejną niedokończoną wiadomość. Jednak tym razem, zamiast przez kolejne kilka minut gapić się na pusty ekran smartfona, rzuciła telefon na fotel pasażera i odruchowo się pochyliła. Z klatki schodowej wyszedł Tomek Kawęcki. Zapalił papierosa i ruszył wzdłuż bloku. Nie spieszył się, jak zwykle. Gdyby zobaczył, że ucieka mu tramwaj, prawdopodobnie nawet nie mrugnąłby okiem.

Kawęcki minął kiosk i skręcił między przedzielonymi chodnikiem blokami, kierując się na przystanek. Magda wyprostowała się na fotelu i spojrzała w drugą stronę. Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który chwilę wcześniej minął Kawęckiego. Postawny facet, mierzący około dwóch metrów wzrostu, z torbą przewieszoną przez ramię, przystanął tuż przed skrzyżowaniem. Wyrzucił coś do kosza na śmieci, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył przed siebie. Zerknął we wnękę pomiędzy blokami, w którą skręcił Kawęcki, i przyspieszył kroku. Chwilę później przeszedł na drugą stronę ulicy, wsiadł do samochodu i odjechał.

Magda podrapała się po policzku. Zastanowiła się, dlaczego ten facet tak ją zaniepokoił. I w końcu to zrozumiała. Przypomniała sobie rozmowę z Kawęckim sprzed kilku dni. Wspomnił mężczyznę, którego zobaczył w chacie, zanim stracił przytomność. Gościa w przebraniu. Wielkoluda chowającego twarz za sztuczną brodą. Człowieka, który przyprowadził psa.

To nie może być przypadek, pomyślała, po czym zapaliła silnik, wrzuciła lewy kierunkowskaz, włączyła się do ruchu i pojechała za czarną toyotą.

Samochód posuwał się wolno, poniżej dozwolonej prędkości. Jadąc w odstępie dwóch lub trzech pojazdów od niego, próbowała przyjrzeć się kierowcy. Ciało



barczystego mężczyzny wylewało się poza fotel. Miał czarne, krótkie i raczej rzadkie włosy. Mogła to stwierdzić, ponieważ w samochodzie ściągnął czapkę oraz szalik, które wcześniej niemal całkowicie zakrywały jego głowę. Prowadził spokojnie. Nie wiercił się w fotelu, nie gestykulował, nie przełączał nerwowo stacji radiowych, nie grzebał w kieszeniach ani nie stukał w telefon. Magda zauważyła, że kierowcy, którzy go wyprzedzali, spoglądali w jego kierunku, zapewne spodziewając się zobaczyć za kierownicą zniedołężniałego dziadka. Albo kobietę. Starą zniedołężniałą kobietę.

Po kilkunastu minutach spokojnej jazdy przez miasto, które w sobotnie poranki było wyjątkowo łatwo przejezdne, przedostali się ze Śródmieścia na Janów, jedno z najbardziej wysuniętych na wschód łódzkich osiedli. Zjechali z Rokicińskiej i zaczęli krążyć pomiędzy bliźniaczo podobnymi blokami, poprzedzielanymi parkingami, pasami zieleni i domkami szeregowymi. Skręciwszy w jedną z kolejnych wąskich osiedlowych uliczek, straciła toyotę z oczu. Szukała jej przez kilka minut, nerwowo reagując na widok każdego czarnego samochodu. Kiedy dojechała do końca ślepej uliczki, wiodącej pomiędzy jednym z bloków a przylegającym do osiedla lasem, poddała się. Zatrzymała się na środku jezdni, zaciągnęła hamulec ręczny i uderzyła w kierownicę. A potem jeszcze raz. I jeszcze parokrotnie.

Była wściekła na Kawęckiego. Na Szczebiota. Na swój rozklekotany samochód. Na stację radiową, która właśnie postanowiła uraczyć ją utworem Kombi. Ale najbardziej była wściekła na siebie. Na żalostną, naiwną, bezużyteczną istotę, która nie potrafiła ani wypełnić zadania powierzonego jej przez szefa, ani dopełnić swojej samowoli, ani napisać esemesa do chłopaka. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że tylko gniew ratuje ją przed płaczem.

Kiedy zapanowała nad wściekłością, otworzyła notatnik i zapisała numer rejestracyjny toyoty. Zwolniła hamulec ręczny. Zawróciła, omal nie wjeżdżając do czyjś ogródka. Klucząc pomiędzy jednakowymi asfaltowymi uliczkami okalającymi jednakowe niewysokie bloki, z których wypełzali jednakowo wyglądający ludzie, jakby wszyscy zostali wycięci z tego samego szablonu, zaczęła

szukać wyjazdu z osiedla. Obiecała sobie, że spróbuje zapomnieć o tym poranku. A jeśli się uda, to także o ostatnich kilku tygodniach.

Gdy skręciła w ulicę, którą już wcześniej jechała, w jednym z okien poruszyły się zasłony. Para ciemnych oczu, która z ogromnym zaciekawieniem przyglądała się, jak samochód Magdy podskakuje na spowalniaczach, zniknęła w głębi mieszkania.

**Z**astanawiałeś się kiedyś, jak by wyglądało ludzkie życie, gdybyśmy byli wolni od autosugestii i wizualizacji? O ile uboższe, a zarazem prawdziwsze by było? Trudno nawet sobie wyobrazić, jak byśmy funkcjonowali, nieustannie tkwiąc w jednorodnym świecie i nie dając naszej wyobraźni żadnej pożywki. Nie budując wokół siebie alternatywnej rzeczywistości i nie rozgrywając w głowie alternatywnego życia, wolnego od zahamowań, ograniczeń i konwenansów. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego o tym mówię.

Tomek Kawęcki podniósł wzrok znad stołu, na którym oprócz dwóch filiżanek kawy stała elegancka szara teczka przewiązana czarnym sznurkiem. Jakub Możejko, siedzący bokiem do niego, z nogą założoną na nogę i prawą ręką spoczywającą na blacie, wpatrywał się w jakiś punkt usytuowany po drugiej stronie tonącej w półmroku kawiarni. W jej najgłębiej ukrytej części, do której można było dostać się jedynie po wykonaniu slalomu między stołami i sofami, nikogo oprócz nich nie było.

– Jak często i w jaki sposób myślisz o kobietach, które spotykasz? – zapytał Możejko. I dodał: – O tych, które widzisz jedynie przelotnie, być może tylko raz

w życiu, i o tych, na które natrafiasz okazjonalnie, w pracy albo podczas wizyt w barze?

Kawęcki, zamiast odpowiedzieć na pytanie, spojrział na telefon. Zresztą Możejko wcale nie oczekiwał od niego odpowiedzi. Rzucanymi od czasu do czasu pytaniami jedynie stawiał akcenty w odpowiednich miejscach monologu, którego Kawęcki miał być biernym słuchaczem.

– Ja myślę o każdej napotkanej kobiecie. Zazwyczaj dość intensywnie. Z typowo samczej perspektywy. Tym brzydszym doradzam, które ze swoich walorów powinny wyeksponować, które ukryć, a nad którymi popracować, ponieważ dobrze rokują. Te ładniejsze obłaskawiam, pieścę, podziwiam, ale najczęściej po prostu gwałcę w myślach. Nie mogę się powstrzymać. Rozbieram je, układam w wyuzdanych pozach, nakłaniam do robienia rzeczy, które najbardziej mnie pociągają. To silniejsze ode mnie. Robię to instynktownie. Przeciętny mężczyzna myśli o seksie od kilkudziesięciu do kilkuset razy dziennie. Mnie zajmuje to większość dnia. Jest jak oddychanie. Na każdy wdech przypada jeden gwałt na kobiecie, którą widziałem na uczelni, ulicy, w bibliotece albo na jakiejś stronie internetowej. Teoretycznie jestem seryjnym gwałcicielem, którego w żaden sposób nie da się powstrzymać.

Słowa wypadały z ust Możejki płynnie, bezszelestnie, niesione idealną dykcją, ale gdy zbliżały się do Kawęckiego, rozbijały się na drobne kawałki o kanciastych kształtach. Wpadając do jego uszu i przegryzając się przez wyobraźnię, zadawały mu ból. Pobrmiewające w głosie Możejki emocje były jednoznaczne, niczym przyspieszony oddech osoby, którą pożera ekscytacja. Jego wzrok, skupiony na rozmówcy, ale od czasu do czasu łypiący w przypadkowe miejsca, zdawał się szukać czegoś, czego dałoby się dotknąć. Co można by szturchnąć. Uszczypnąć.

Kawęcki wiedział, że Możejko nie kłamie. I że prawdopodobnie jest pierwszą osobą, której opowiada swoją historię.

– A teraz wyobraź sobie, że jesteś mną, dobrze wyglądającym i powszechnie szanowanym mężczyzną, w rzeczywistości zaś, o czym nikt nie wie, teoretycznym seryjnym gwałcicielem. I widzisz dziewczynę, jedną z wielu studentek, które

czasem z większą, czasem z mniejszą uwagą słuchają, co masz im do powiedzenia, ale za to zawsze z ogromną żarliwością myślą o tym, co nosisz w spodniach. Atrakcyjną, zmysłową, z pięknym biustem, bardziej efektowną niż większość jej koleżanek. I nagle uzmysławiasz sobie, że po tych kilku latach ona już nie tylko myśli o tym, co masz w spodniach, ale też szczerze pragnie to zobaczyć. Dotknąć tego. Zasmakować. Poczuć to w sobie.

Kiedy Możejko zrobił pauzę, żeby napić się kawy, Kawęcki zaczął się zastanawiać, jak kilka kreskokokainy może diametralnie zmienić człowieka. Przeobrazić zblazowanego, wycieńczonego nieprzespaną nocą mężczyznę, którego widział dzień wcześniej, w nafaszerowanego energią filozofa, chętnie ujawniającego swoje najgłębiej skrywane sekrety. Przypomniawszy sobie Możejko w wydaniu sobotnim, schowanego w żenującej piżamie, skulonego, złkniętego. Zawieszzonego między dwoma skrajnymi stanami świadomości. Tkwiącego w kokainowym zjeździe, który przygnębiał go wielokrotnie bardziej niż trzeźwa rzeczywistość. I popatrzył na siedzącego przed sobą mężczyznę, który nie tylko czuł się panem świata, ale też sprawiał, że inni mogli go za takiego uważać. Gdyby Kawęcki nie wiedział, że to czysta biologia, pomyślałby, że Możejko ma rozdwojenie jaźni.

– Skąd to wiesz? Bo jesteś przeczulony na tym punkcie. Widzisz to w spojrzeniu, jakie chciałbyś ujrzeć pod sobą. W spojrzeniu klęczącej dziewczyny, która nieśmiało podnosi na ciebie wzrok. Widzisz tę sytuację, jakbyś oglądał film. Masz świadomość, że możesz go kontrolować, zwalniać, przyspieszać, a kiedy ci się znudzi – wyłączyć. Ale nie chcesz go wyłączyć. Bo wiesz, że nie zrobisz nic zdrożnego, skoro oboje jesteście dorośli, a jedyną stojącą przed wami przeszkodą są uczelniane normy. A to tylko wywołuje u ciebie niezdrową ekscytację. Jak u dzieciaka, który trzyma pod łóżkiem świerszczyka, naiwnie licząc, że pedantyczna matka nigdy go nie znajdzie. Właściwie nie masz wyboru. Musisz w to wejść. Musisz tego spróbować.

Kawęcki położył dłonie na stole i głęboko westchnął, niczym człowiek nie do końca rozbudzony po popołudniowej drzemce.

- A więc ją wyruchałeś – powiedział ochryplym, dawno nieużywanym głosem.
- A mnie nagadałeś kłamstw.

Możejko upił tak maleńki łyk kawy, że niejednej osobie nawet nie chciałoby się sięgać po filiżankę.

– Nie wyruchałem jej. A tobie nie nakłamałem. Nigdy nie uprawiałem z Martyną seksu w tradycyjny sposób.

– Czyli jaki?

– Taki, że gdybym przed nią i po niej nie miał żadnych kobiet, to nadal byłbym prawiczkim. Słyszałeś kiedyś o seksie tantrycznym?

Kawęcki z wahaniem kiwnął głową.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby uprawiać seks tantryczny – kontynuował Możejko. – Za bardzo szanuję swój czas i swoje przyrodzenie. Ale to nie oznacza, że nie lubię wykorzystywać jego elementów, oczywiście w formie dostosowanej do własnych potrzeb. Inaczej mówiąc: to, że mój penis nigdy nie znalazł się w pochwie Martyny, nie znaczy, że nie miałem przy niej wielu orgazmów.

Kawęcki dał swojej wyobraźni kilka sekund.

– Jak długo i gdzie to robiliście?

– Przez kilka miesięcy. Najczęściej u mnie. Czasem w sypialni, czasem na kanapie, na której siedziałeś, czasem na stojąco, na klęcząco, na...

– Wystarczy – przerwał mu Kawęcki. – Ty nie musisz się chwalić, a ja na razie nie muszę znać szczegółów. Dlaczego przestaliście?

Możejko upił kolejny miniaturowy łyk kawy.

– Nasz nietypowy związek zaczął się wymykać spod kontroli. Nie widziałem nic złego w tym, żeby ciągnąć go w niezmiennym kształcie, ale Martyna oczekiwała czegoś innego. Oczekiwała wyłączności. I bardzo silnie to manifestowała. A im wyraźniej dawałem jej do zrozumienia, że o wyłączności nie ma mowy, że nie jestem mężczyzną, którego można mieć na wyłączność, tym dotkliwiej się raniła.

– W jaki sposób?

Możejko ciężko westchnął i rozejrzał się po kawiarni.

– Wiem o portalu sado-maso – powiedział Kawęcki, wyczuwając wahanie Możejki. – To masz na myśli?

– Nie robiła tego dla pieniędzy. Pieniądze były tylko dodatkiem. Robiła to, żeby mnie skrzywdzić.

– Wybrała dość oryginalny sposób.

– Jedyne, który jej zdaniem mógł mnie zabość. Była jednak w błędzie. To, że oddawała się przypadkowym mężczyznom, pozwalając im na te wszystkie dziwactwa, oczywiście było mi nie w smak, ale nie ze względu na zazdrość, tylko dlatego, że wiem, jakie traumy noszą w sobie dziewczyny, które sprzedają swoje ciało. Martyna żadnych traum nie przeżywała. I nie musiała przeżywać.

– Może miała problemy finansowe?

– Nie miała.

– Tak dobrze ją znałeś?

– Wystarczająco, żeby wiedzieć o jej problemach. Pieniądze nimi nie były.

– Na koncie Martyny nie znaleźliśmy żadnych przelewów z tego serwisu. Żadnych śladów, jakoby za swoje usługi dostawała pieniądze. Wiesz coś na ten temat?

– Matka miała dostęp do jej konta bankowego. Martyna nie chciała, by nabrała jakichkolwiek podejrzeń.

– Gdzie w takim razie lądowały pieniądze?

Możejko nieznacznie rozchylił usta i spojrzał Kawęckiemu głęboko w oczy. Komisarz parsknął i mimo bólu pokręcił głową.

– Nie wierzę, że się na to zgodziłeś.

– Nie zgodziłem się. Prawdę mówiąc, dość długo nawet o tym nie wiedziałem. Pewnie któregoś dnia, kiedy brałem prysznic, Martyna zobaczyła w moim komputerze otwartą stronę rachunku bankowego albo natknęła się na jakieś dokumenty z banku. Spisała mój numer konta i podała go podczas rejestracji w tamtym serwisie. Nie miałem na to żadnego wpływu.

– I co, wypłacałeś jej te pieniądze co tydzień, jak kieszonkowe? Kupowałeś jej za to kokainę, którą później razem wciągaliście?

– Nie będę rozmawiać z tobą w ten sposób.

Możejko podniósł się z fotela i wyszedł do toalety. Kiedy wrócił, zamówił u kelnera wodę, usiadł na swoim miejscu i pociągnął nosem. Kawęcki zauważył, że ma suche dłonie. Albo nie mył dłoni po sikaniu, albo wcale nie sikał. Raczej to drugie.

– Nie chciała tych pieniędzy. Wypłacałem je co do grosza i potajemnie wkładałem do jej torebki albo zostawiałem u niej w mieszkaniu. Czasem kupowałem za nie coś, co było jej potrzebne.

– Na przykład?

– Na przykład książki. Książki zawsze się przydają.

Kelner przyniósł wodę z cytryną. Możejko podziękował i od razu opróżnił ją do połowy.

– Groziła ci?

– Kiedy była na mnie wściekła, groziła, że opowie o nas na uczelni. Tyle że okoliczności były dla niej niesprzyjające i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że za to mogliby nas oboje wyrzucić. Byłem pewien, że tego nie zrobi.

– Skąd ta pewność?

– Była we mnie zadurzona. Mogłaby skrzywdzić siebie, ale nie mnie. I mimo wszystko była osobą zrównoważoną. Przynajmniej jak na standardy dwudziestoparolatek.

Kawęcki próbował się uśmiechnąć, ale dopadły go zawroty głowy. Zamknął oczy. Odczekał, aż miną, i ponownie uniósł powieki. Potrzebował paru sekund, aby się upewnić, że wszystko słyszy wyraźnie, że obraz wyświetlany na siatkówce jego oka przypomina ten, który widział chwilę wcześniej, i że nie zwymiotuje. A przynajmniej nie na stół.

– Wszystko w porządku?

Kawęcki zlekceważył pytanie Możejki.

– Czy ktoś wiedział o tobie i Bułeckiej?

– Nie sądzę. Martyna potrafiła być dyskretna.

– A Weronika, jej współlokatorka?



– Nie wydaje mi się.

Możejko dynamicznym ruchem podciągnął rękaw marynarki, po czym zerknął na zegarek. Pochylił się do przodu i położył dłonie na stole. Przyglądał się Kawęckiemu, którego zagubiony wzrok powędrował w głąb lokalu, w kierunku kontuaru, barmana i wysokiego regału z winami.

– Odnoszę wrażenie, że mówię to wszystko na marne – stwierdził Możejko. – Wiem, że mnie słuchasz, ale zadajesz mi pytania, które wydają się wycięte z podręcznika dla początkujących policjantów. Nawet nie robisz notatek. Chyba obaj tracimy tu czas.

Kawęcki ledwo zauważalnie poruszył mięśniami twarzy. Nadal spoglądał w kierunku baru.

– Marnowanie czasu jest głównym budulcem każdego śledztwa – odparł spokojnie. – A nie notuję tylko dlatego, że mam dobrą pamięć. Szkoda, że nie wybrałeś lokalu, w którym można palić.

– Nie lubię siedzieć w zadymionym pomieszczeniu.

Kawęcki odwrócił się w stronę rozmówcy. Możejko zauważył, że jego napięta twarz niczym tama przytrzymuje frustrację, która w każdej chwili może się wylać.

– Dzwonili już do ciebie?

– Dzisiaj rano.

– I co?

– Mam stawić się jutro na komendzie. Blefowałeś, mówiąc, że mnie podejrzewacie, prawda?

Kawęcki włożył papierosa do ust i zaczął wpatrywać się w paczkę, z której go wyciągnął.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie zgarnęliście mnie na przesłuchanie od razu. Mogliście to zrobić już w piątek.

– To kwestia priorytetów. Ja bym cię zgarnął od razu. Ale inni wolą czasem wrócić do domu, wypić piwo przed telewizorem, pobyć z rodziną albo pójść na imprezę. Robota nie pali im się w rękach.

– A ty tego nie wolisz?

Niezapalony papieros falował w ustach Kawęckiego.

– Przede wszystkim nie lubię o tym rozmawiać. Co im zamierzasz powiedzieć?

– A co powinienem?

– Prawdę. Chyba że chcesz wylądować w areszcie.

Komisarz wstał. Wyciągnął z portfela dziesięciozłotowy banknot i rzucił go na stół.

– To za kawę. Powinno wystarczyć.

– Poczekaj. – Możejko chwycił go za przedramię. – Jesteś mi winien wyjaśnienie. Musisz powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Kawęcki przeszył wzrokiem przytrzymującą go rękę i Możejko natychmiast ją cofnął.

– Czy powinienem się bać?

Komisarz wyciągnął papierosa z ust i westchnął.

– Tak, powinieneś.

– Czego?

– Nie czego, tylko kogo.

– Kogo?

Kawęcki leniwie mu zasalutował i ruszył w kierunku wyjścia. Zapalił papierosa, jeszcze zanim opuścił lokal.

Witoldowi zajęło dłuższą chwilę, zanim go zlokalizował. A kiedy już to zrobił, zaczął kręcić głową, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Podszedł do baru, mijając po drodze kilku stałych bywalców Soboty, których sfatygowane twarze powoli zaczynał kojarzyć, i otwartą dłonią uderzył w blat. Wypełniony po brzegi kufel podskoczył, rozlewając trochę piwa, a wraz z nim podskoczyła łysa czaszka Kawęckiego, która spoczywała na skrzyżowanych na stole rękach.

– Ej! – wrzasnęła cycata barmanka. – Co to ma być?

– Przepraszam – odparł Witold. – Chciałem tylko obudzić kolegę.

Wycelował palcem w kufel i posłał Kawęckiemu karcące spojrzenie.

– To dla ciebie – powiedział Tomek zasnym głosem. – Która jest godzina?

Witold westchnął głęboko i spojrział na zegar wciśnięty w rząd kolorowych wódek. Czwarta piętnaście. Problem w tym, że żadna ze wskazówek się nie poruszała. Prawdopodobnie od bardzo dawna.

– Późna. Jest niedziela. Wieczór. Nie wiem, co tu robię, ale mam nadzieję, że jesteś w stanie mi to wyjaśnić.

Kawęcki poklepał się po kieszeniach w kurtce, potem po kieszonce w koszuli, a na koniec po kieszeniach spodni. Wyciągnął paczkę papierosów. Ale bez zapalniczki. Wrócił do klepania się po kieszeniach. Kurtka, koszula, spodnie.

– Chciałem ci coś pokazać – oznajmił, zapalając papierosa. – I coś powiedzieć.

– I jest to tak ważne, że nie mogło poczekać do jutra?

Kawęcki popatrzył na Witolda zupełnie bezmyślnie, jakby patrzył nie na niego, tylko na odrapaną ścianę za jego plecami.

– Co chciałeś mi pokazać?

Kawęcki wydmuchnął dym nad głowę.

– Nie mam tego przy sobie.

– Powiedz, proszę, że żartujesz.

– To coś, czego nie jestem w stanie zabrać ze sobą.

Witold zaczął bezwiednie stukać palcami lewej ręki o blat. Prawa zacisnęła się w pięść.

– Dlaczego tu jestem?

– Bo ten bar znajduje się w pół drogi pomiędzy twoim mieszkaniem a moim. No, może trochę bliżej mojego. Pomyślałem, że zgarniesz mnie po drodze. W zamian za piwo.

Witold uśmiechnął się półgębkiem. Wziął niewielki łyk piwa, energicznie odstawił je na blat i zasunął ekspres w kurtce.

– Dzięki za piwo. I miło spędzony czas. Wracam do domu.

– Tak? A sądziłem, że robisz wszystko, żeby się z niego wyrwać. Żeby nie tkwić w piekle, które fundujecie sobie z Edytą.

Kawęcki trafił w czuły punkt. Dostrzegł to w oczach Witolda, które prawie zapaliły się ze złości. Przesunął kufel w jego stronę.

– Jutrzejsze przesłuchanie Możejki jest stratą czasu – powiedział. – Usiądź i wypij piwo.

– O czym ty mówisz? – zapytał Witold, wciąż stojąc.

– Rozmawiałem z nim.

Witold wyciągnął ręce z kieszeni. Zastanawiał się, czy ma nimi udusić, czy zatłuc Kawęckiego. Obie opcje były jednakowo kuszące.

– Nie ma nic wspólnego ze śmiercią Bułeckiej. Przynajmniej nie bezpośrednio. Byli jedynie kochankami, którzy nie do końca się dogadywali, co stworzyło kilka problemów, ale nie doprowadziło do śmierci Bułeckiej.

Witold zbliżył się do Kawęckiego tak, że niemal zetknęli się nosami. Wbił palec wskazujący pod jego obojczyk.

– Posłuchaj, jeżeli to wszystko...

– Nie, to ty posłuchaj, bo nie będę się powtarzać. – Kawęcki zgasił papierosa, po czym ponownie spojrzał we wściekłą twarz, która wyrosła tuż przed jego nosem. – Możejko to kokainista i seksoholik, który nieroztropnie wdał się w romans z jedną ze swoich studentek. Chciał to zakończyć, ale ona nie zamierzała do tego dopuścić. W ramach dziwnie rozumianego szantażu regularnie dawała dupy jakimś zbokom z internetu, a żeby mieć pewność, że on o tym wie, przelewała wszystkie zarobione w ten sposób pieniądze na jego konto.

Witold odwrócił się i przeszedł kilka kroków, masując się po twarzy. Kiedy ponownie podszedł do Kawęckiego, ten trzymał już w ustach kolejnego papierosa.

– Na pewno tego nie wymyśliłeś?

– Niestety, nie mam zbyt bujnej wyobraźni.

– On ci to wszystko powiedział?

Kawęcki kiwnął głową.

– Dlaczego?

– Bo go do tego zmusiłem. Chcesz wiedzieć jak? To usiądź i wypij to jebane piwo.

Witold w końcu się ugiął. Podczas gdy w pośpiechu opróżniał kufel, Kawęcki streszczał mu swoje spotkanie z Możejką. Kiedy skończył, Witold przez pół minuty

tkwił w odrętwieniu, paląc papierosa, cichymi beknieniami wyrzucając gaz z żołądka i gapiąc się na lepki od piwa blat.

– A więc jednak masz bujną wyobraźnię – powiedział.

Kawęcki uśmiechnął się zdawkowo.

– Chcesz jeszcze jedno?

Witold pokręcił głową i beknął. Tym razem na tyle głośno, że zainteresował siedzących przy barze facetów, którzy jakby na znak uznania unieśli swoje kufle.

– To dobrze. Chodźmy stąd.

– Poznałeś kogoś?

Kawęcki popatrzył na Witolda ze zdziwieniem, a potem bez słowa zaczął zdejmować buty.

– Masz nową kurtkę i w miarę czyste ubranie. Zmieniłeś fryzurę, choć nie wygląda to na robotę zawodowca. Wysprzątałeś mieszkanie. Tak robią ludzie, którzy próbują coś zmienić w swoim życiu. Albo ci, którzy właśnie kogoś poznali.

– Podwójne pudło.

– To o co chodzi?

– O higienę umysłu. – Kawęcki przykucnął, wstawił buty do szafki, a następnie wyprostował pozwijaną wycieraczkę i przesunął ją pod drzwi. – Żeby utrzymać ostrość umysłu, jedni grają w szachy, drudzy uczą się języków obcych, a jeszcze inni rozwiązują krzyżówki. Ja natomiast stawiam na symetrię, czystość i porządek. Dlatego w moim przypadku najlepiej sprawdza się sprzątanie.

– Od kiedy?

Kawęcki zamyślił się.

– Od wczoraj.

– Jesteś pewien, że to nie jest efekt wstrząśnienia mózgu?

– Nie, nie jestem. – Kawęcki podrapał się po łysej czaszce. – Ale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

Wszedł do salonu i zapalił światło. Witold, który podążał za nim, rozglądając się na boki i szukając między wypolerowanymi meblami śladów mieszkania, które zapamiętał, zatrzymał się w progu pokoju. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się

w korkową tablicę przytwierdzoną do ściany, a potem przeniósł wzrok na to, co zajmowało mniej więcej połowę podłogi. Kilkadziesiąt kolorowych zdjęć kobiet, mężczyzn oraz miejsc, setki przypiętych do nich żółtych karteczek samoprzylepnych, tysiące słów, akronimów, liczb i dat wypisanych czarnym, czerwonym i niebieskim markerem. Rysunki, symbole, podkreślenia, strzałki, znaki zapytania i wykrzykniki.

Witold widział wiele tablic korkowych, do których poprzypinane były zdjęcia ofiar, przestępców czy świadków. Widział różne pokoje operacyjne, gdzie roilo się od materiałów dowodowych, notatek czy grafów, które łączyły ze sobą ludzi i fakty. Ale z czymś takim jeszcze się nie spotkał. Kawęcki zbudował własną mapę śledztwa, składającą się z kilkuset dziwacznych i niezrozumiałych elementów. Witoldowi przypominała własnoręcznie zrobione puzzle. Tyle że nie przez policjanta z dwudziestoletnim doświadczeniem, lecz przez dziecko z zespołem Aspergera.

– Odpowiem na kilka twoich pytań, zanim zaczniesz je zadawać – powiedział Kawęcki, który chwilę wcześniej otworzył okno i podał Witoldowi małą szklaną popielniczkę. – Tak, to jest to, o czym myślisz. Tak, kiepsko ostatnio sypiam, więc mam dużo wolnego czasu, który próbuję spożytkować w konstruktywny sposób. Tak, zrobiłem to sam, zajęło mi to łącznie około trzydziestu sześciu godzin. I nie, nie wyniosłem kanapy do piwnicy. Tam by się nie zmieściła, więc przy pomocy jednego z sąsiadów wyrzuciłem ją do śmietnika.

Witold spojrział na ciemne prostokątne obramowanie na podłodze, które pozostawiła po sobie kanapa. Potem ponownie przeniósł wzrok na dzieło Kawęckiego. Najpierw na podłogę, potem na tablicę korkową.

– Masz do tego jakąś instrukcję? – zapytał.

Ostrożnie stąpając pomiędzy plikami dokumentów i zdjęć, rozłożonymi na podłodze w równych odstępach, połączonymi ze sobą kolorowymi liniami wymalowanymi na kartkach z bloku rysunkowego albo bezpośrednio na drewnianych panelach podłogowych, Kawęcki zbliżył się do tablicy. Postukał palcem w przyczepioną na samej górze ramę, którą wypełniała niezbyt udanie

narysowana ludzka twarz i trzy znaki zapytania.

– To człowiek, którego szukamy. Po lewej stronie znajdują się informacje, które mamy na jego temat, czyli że jest wysokim i silnym mężczyzną, prawdopodobnie zna podstawy anatomii i policyjne realia, jest doskonale zorganizowany, ma więcej niż trzydzieści lat i tak dalej. Po prawej umieściłem informacje, których się na jego temat domyślam, czyli że ma około czterdziestu lat, jest dobrze sytuowany i w jakiś sposób powiązany z półświatkiem, najprawdopodobniej z handlarzami psów, jest impotentem i mizoginem albo miał trudne relacje z rodzicami. A pod spodem znajdują się moje skojarzenia z tym człowiekiem. Słowa, które przychodzą mi do głowy, kiedy o nim myślę, oraz obrazki, które im towarzyszą.

Witold zapalił papierosa i z popielniczką w ręku podszedł do Kawęckiego. Przyjrzał się jego rysunkowi.

– Mówiłeś, że facet, którego widziałeś w chacie, miał brodę. Dlaczego uważasz, że ma bliznę na policzku?

– Wyobrażam sobie, że może mieć różne defekty fizyczne. Pod sztuczną brodą mógł chcieć ukryć bliznę albo zaawansowany trądzik, coś, po czym łatwo można by go poznać.

– Nie mógł po prostu zapuścić brody?

– Nie wydaje mi się, żeby to był człowiek, który nosi brodę.

Witold z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami spoglądał to na Kawęckiego, to na jego wątpliwej jakości rysunek. Potem odwrócił się i spojrział pod nogi.

– Martyna Bułeczka, Justyna Kepler i Katarzyna Wolańska obok siebie – powiedział, pochylając się nad jedną z kupek. – A więc jesteś pewien, że każda z nich jest jego ofiarą?

– Zdjęcia denatek, co do których nie mam pewności, znajdują się tutaj – powiedział Kawęcki, wskazując ręką drugą część pokoju.

Witold przemieścił się w tamtym kierunku, przykucnął i podniósł jedną z fotografii.

– Iwona Ciastoń. Dwadzieścia lat. W dwa tysiące pierwszym roku nieznanymi sprawcami napadł ją w centrum Zgierza, kiedy wracała z uczelni do domu. Udusił ją

paskiem od spodni. – Odłożył zdjęcie i podniósł się z wysiłkiem. – Dlaczego umieściłeś ją tutaj?

– Zgadza się wiek i wygląd ofiary, miejsce ataku i do pewnego stopnia również sposób działania sprawcy.

– Jak to?

– Została uduszona, ale nie zgwałcona. Te dwie czynności rzadko nie chodzą w parze.

– I już? To wszystko?

– Wszystko, co można łatwo skwantyfikować.

– Myśląc w ten sposób, możesz tu umieścić praktycznie każdą kobietę, która w ciągu ostatnich dwudziestu lat została zamordowana, ale nie zgwałcona.

– Nie każdą. Tylko te, które były ofiarami precyzyjnie zaplanowanych ataków, a nie przypadkowych napaści.

Witold ze złością wycelował palcem w podłogę.

– Za kilka dni będziesz tu miał dwa razy więcej zdjęć – wysyczał.

– Całkiem możliwe.

Witold zgasił papierosa i odstawił popielniczkę na biurko. Jeszcze raz popatrzył na to, co stworzył Kawęcki, a następnie pochylił się nad zbiorem fotografii dobrze mu znanych osób.

– A to kto, potencjalni zabójcy?

– To są ludzie, którzy nas okłamali albo nie powiedzieli nam wszystkiego, co wiedzą.

Kawęcki wyciągnął ze wskazanego zbioru fotografię Jakuba Możejki wraz z całym przyporządkowanym jej inwentarzem – plikiem informacji, symboli i miniaturowym rysunkiem. Całość umieścił obok innego konglomeratu artystycznych dziwactw, który zdobiła fotografia znajomo wyglądającej rudej dziewczyny.

– A to ci, którzy nas okłamali, ale z czasem udało nam się wydobyć z nich prawdę. Na razie nie ma ich zbyt wielu. – Kawęcki podparł się rękoma pod boki. – Masz jakieś pytania?



Witold rytmicznie pokiwał głową.

– Tylko jedno: co to, kurwa, jest? Zapisales się ostatnio na kurs rysunku?

– Słyszałeś kiedyś o mapowaniu myśli?

Witold nie musiał odpowiadać na to pytanie. Usiadł na drewnianym krześle, które zaprotestowało pod jego ciężarem, wbił łokcie w kolana i oparł brodę na dłoniach. Wyglądał na przygnębionego, jak faworyzowany bokser po przegranej walce. Kawęcki zbliżył się do niego i oparł o sąsiadujące z krzesłem biurko.

– Zastanawiales się kiedyś, dlaczego wszyscy robią notatki w taki sam sposób? Dlaczego wypisują najistotniejsze hasła, podkreślają je albo wyróżniają innym kolorem, a potem dopisują do nich definicje, opisy lub rozwinięcia? Otóż dzieje się tak, ponieważ wbrew pozorom ludzie postępują zgodnie z logiką. Z natury jesteśmy logiczni, linearni, przewidywalni i nudni. Prostota, która ma nam ułatwiać życie, jednocześnie zawęża nasze horyzonty, odbierając nam kreatywność i blokując dopływ idei. Nadążasz?

Zniecierpliwione westchnienie oznaczało, że tak.

– Jak wiesz, mam świetną pamięć. Zapamiętuję większość rzeczy, które przeczytam lub usłyszę, niezależnie od tego, czy chcę je zapamiętać, czy nie. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale tak już jest. Mogę więc robić notatki automatycznie, w głowie, ale w taki sam sposób, w jaki robią to wszyscy: linearnie, nudno i nieefektywnie. Jest mi łatwiej niż tobie, niż większości śledczym, ponieważ dobre zapamiętywanie pozwala szybciej wyciągać wnioski, ale nie jestem w stanie dojść dzięki niemu do konkluzji innych od tych, które narzuca mi logika. – Kawęcki wycelował palcem w swoją dziwaczną mapę. – Mapowanie myśli to technika notowania, która pobudza półkulę mózgu odpowiedzialną za kreatywność i wyobraźnię. Oprócz słów i prostych symboli wykorzystuje się w niej rysunki, kolory i skojarzenia. Dzięki temu można zamienić się z nudnego rzemieślnika, posiłkującego się jedynie wyświechtaną analizą, w niekonwencjonalnego artystę.

Witold parsknął śmiechem i śmiał się tak długo, aż jego rechot przeszedł w kaszel. Wówczas wyprostował się na krześle i splótł ręce na klatce piersiowej.

– Naprawdę wierzysz, że te szlaczki, malowanki i bużki w czymkolwiek ci pomogą?

– Uważam, że człowiek, którego szukamy, nie postępuje logicznie, choć bardzo byśmy chcieli, żeby tak było. Czymś z pewnością się kieruje, ale nie wiemy, czy jest to chęć zemsty, przekonania religijne, światopogląd, czy może czysta nienawiść. Nawet jeśli mamy do czynienia ze złem w niezmaconej postaci, to musi ono podejmować decyzje na jakiejś podstawie. Tyle że myśląc w sposób szablonowy, nigdy do tego nie dojdziemy.

Witold pokręcił głową i od niechcienia machnął ręką.

– To zbyt pochrzanione. Nawet jak na ciebie.

Kawęcki wyciągnął z paczki papierosa, zapalił i podszedł do okna. Spojrzał na pogrążone w mroku osiedle: na kierowców manewrujących na parkingu, żegnających się członków rodzin i samotnych ludzi przyglądających się im z zazdrością. Zadrżał z zimna.

– Postanowiłem skorzystać z przysługującego mi urlopu.

Powiedział to, nie odwracając się, jakby chciał to oznajmić tej garstce ludzi pałętającej się pod oknem. Wszystkim samotnikom tego świata. Tylko nie Witoldowi, który zaczął nerwowo drapać się po twarzy. Jego policzek momentalnie poczerwieniał.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie jestem pewien. Ale raczej nic przyjemnego.

– Będziesz miał przez to problemy?

– Niewykluczone.

– A ja?

– To zależy. Ale zakładam, że nie zamierzasz się wycofywać, więc pewnie tak.

Witold podniósł się z krzesła i stanął przed mapą Kawęckiego. Miał ochotę polać ją benzyną i podpalić. Razem z jej chorym autorem.

– Chciałem, żebyś to zobaczył. Żebyś miał świadomość, że kobiet, które ten człowiek skrzywdził, może być znacznie więcej.

– „Może być” to jeszcze nie znaczy „jest”.

– Oczywiście, że nie. – Kawęcki wystrzelił peta przez okno i odwrócił się do Witolda. – Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedział. Bo jeśli byś się wycofał, a potem okazałoby się, że miałem rację, to wyrzuty sumienia nie dałyby ci żyć. Wiem, że takiego ryzyka nie jesteś w stanie podjąć. – Zatoczył okrąg nad mapą. – Sam sobie z tym wszystkim nie poradzę.

Witold wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Dwudziesta. Niedziela. Dzień rodzinny. Jeden z niewielu, kiedy teoretycznie nie powinien myśleć o pracy. Schował telefon z powrotem. W jego kieszeni zabrzęczały kluczyki od samochodu.

– Dlaczego taki jesteś? – zapytał.

– Jaki?

– Trudny. Robisz co w twojej mocy, żeby nie dało się ciebie polubić.

Kawęcki przez dłuższą chwilę beznamyślnie przyglądał się Witoldowi. Potem przykucnął nad zdjęciem Możejki. Na przypiętej do niego kartce namalował symbol Wenus.

– Może nie chcę, żeby mnie ktokolwiek lubił.

– Nie da się żyć, mając wyłącznie wrogów. Po prostu się nie da.

Witold nie doczekał się riposty. Po raz kolejny spojrzał na telefon, pokręcił ze złością głową i ignorując Kawęckiego, który zaczął skakać wzrokiem po podłodze, bez słowa wyszedł z mieszkania. Kawęcki z pewnym opóźnieniem podążył za nim i przekręcił zamek w drzwiach. Potem wrócił do salonu, stanął w miejscu, w którym do niedawna była kanapa, i zapalił papierosa.

– To się dopiero okaże – powiedział, patrząc z góry na swoją mapę.

**M**arcel Rojek, owinięty brązowym kocem, rytmicznie bujał się w przód i w tył, wpatrując się w szramę na głowie Tomka Kawęckiego, jakby nie był pewien, czy rzeczywiście tam jest. Nie wyglądał zresztą na człowieka, który by wiedział, gdzie przebywa, jak się tu znalazł i co robił przez ostatnie kilkanaście godzin. I prawdopodobnie nie za bardzo go to interesowało. Dopiero gdy Kawęcki zapalił papierosa, mocno się nim zaciągnął i wypuścił mu dym prosto w twarz, dało się na niej dostrzec jakąś reakcję. Zdziwienie.

– Nie pytaj, jak cię znalazłem, bo to nieistotne. Zapytaj, skąd wiedziałem, że powinienem cię spotkać w takim miejscu jak to.

– Skąd wiedziałeś? – wymamrotał Marcel Rojek.

– Bo nawyki trudno jest zmienić. A jeszcze trudniej jest wyzbyć się nałogów. Było jedynie kwestią czasu, kiedy trafię na odpowiedni burdel.

– Ale to nie jest burdel. A ona – rozdygotaną ręką Rojek wskazał odzianą wyłącznie w szlafrok młodą kobietę, która krzątała się w sąsiednim pokoju – nie jest kurwą, tylko moją dziewczyną.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby spierać się o nazewnictwo. Ile wypileś?

Kawęcki obszedł materac, na którym siedział Rojek, i policzył stojące za nim butelki po winie. Siedem.

– Musisz sprecyzować pytanie.

– Ile wypięś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Rojek przytknął jedną dłoń do twarzy, a drugą wyciągnął w kierunku Kawęckiego. Policjant wręczył mu swojego papierosa i rozejrzał się po pokoju. Niewielkie kwadratowe pomieszczenie było urządzone skromnie, ale ze smakiem. Proste meble z Ikei poprzetykane były instalacjami artystycznymi: z podłogi wyrastały chude drągi, których wierzchołki zdobiły rozmaite bryły geometryczne, a na ścianach widniały czarno-białe zdjęcia secesyjnych kamienic i własnoręczne szkice budynków. Wystrój pokoju wskazywał na to, że mieszkanie należy do artystki albo chociaż studentki architektury, ale obezwładniający fetor moczu i strawionego alkoholu niweczył to wrażenie.

– Nie mam pojęcia. Cztery, może pięć butelek.

– Ona piła z tobą?

– Trochę.

– Co to znaczy trochę?

– Wypiła może z pół butelki. Natalia jest prawie abstynentką.

Kawęcki pochylił się i spojrzał głęboko w oczy Rojka, które wyłaniały się zza opadających na jego twarz przetłuszczonych i posklejanych włosów. Wyszedł do kuchni. Chwilę później wrócił ze szklanką mętnej wody, w której wirowały drobiny soli. Chwycił Rojka za ramię i pomógł mu wstać, wyciągając jego nagie ciało spod koca.

– Wypij to – powiedział, prowadząc go do łazienki. – Dzięki temu będziesz mógł się wyrzygać.

– Dzięki.

– Ćpałeś coś?

– Nie.

– Dobrze. Jak już skończysz, wejdź pod prysznic i postój kilka minut pod zimną wodą. Potem twoja dziewczyna zrobi ci coś do jedzenia i porozmawiamy.

Pół godziny później Marcel Rojek siedział naprzeciwko Kawęckiego, okryty dwoma świeżymi kocami, przeżuając jajecznicę i trzęsąc się z zimna.

– Jak się czujesz?

– Lepiej – oznajmił, nie mogąc zapanować nad drżeniem podbródka.

Kawęcki zapalił papierosa i podał go Rojkowi, który łapczywie otworzył usta. Policjant odgarnął z jego twarzy mokre włosy, a następnie wytarł dłoni w koc.

– Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?

Rojek energicznie pokiwał głową.

– Czy byłeś ze mną szczery?

– Tak.

– Teraz oczekuję od ciebie tego samego. Możesz na chwilę wyjść? – Kawęcki zwrócił się do kobiety, która z rękoma splecionymi na klatce piersiowej opierała się o futrynę w przejściu łączącym pokój z kuchnią.

– To moje mieszkanie – odparła Natalia.

Kawęcki nic nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrzał. Nie musiał. Natalia bez skamlania włożyła kurtkę na szlafrok, wsunęła telefon do kieszeni i wyszła z mieszkania. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, pochylił się w stronę Rojka i wskazał palcem szramę na głowie.

– Zawdzięczam to po części ludziom, którzy mi to zrobili, po części swojej głupocie, a po części tobie. Dlatego muszę wiedzieć, kim są handlarze psów, których mi wystawiłeś, dla kogo pracują i gdzie mogę ich spotkać.

Rojek wbił wzrok we fragment podłogi pomiędzy butami Kawęckiego, na co ten gwałtownie złączył stopy.

– Czy wiesz o wszystkich moich nałogach?

– Na pewno o dwóch.

– Mam też problem z hazardem. Nie jest to duży problem, ale jednak. Przegrałem w życiu co najmniej kilkanaście tysięcy złotych. Kilka też wygrałem. – Rojek uniósł na chwilę głowę, jak gdyby liczył, że na twarzy Kawęckiego dostrzeże aprobatę. Ujrzał jedynie skamieniałą maskę. – Jest taki lokal na Kościuszki. Nazywa się Hydra. Na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia:

kontuar, kilka stolików, jakiś automat w rogu, śmierdzi frytkami i piwem. Ale ci, którzy znają się z właścicielem albo którymś z jego kumpli, mogą wejść do sali ukrytej za barem. Tam działa kasyno. I to ono sprawia, że właściciele lokalu są nad kreską, mimo że w raportach finansowych pewnie tego nie widać.

– Co to za jedni?

– Sam dokładnie nie wiem. Znam tylko Wietnamczyka, któremu kiedyś doradziłem, jak ma leczyć psa. Na pewno jest jeszcze jeden Azjata i jacyś Polacy, ale nie mam pojęcia, kim oni są ani jakie zachodzą między nimi relacje. Zresztą nie to jest ważne.

Rojkiem przestały wstrząsać dreszcze. Mimo to nadal chował się pod kocem i bujał w przód i w tył, jakby cierpiał na chorobę sierocą.

– W tej sąsiedniej sali znajdują się dwa stoły do pokera, czasem dostawiają trzeci. Przy każdym z nich gra się na wysokie stawki, wpisowe wynosi co najmniej tysiąc złotych. Ale rzadko się zdarza, żeby ktoś przychodził do Hydry jedynie z tysiakiem. Większość osób trzyma w zanadrzu kilka tysięcy, żeby w razie porażki wkupić się do gry, i kilkaset złotych na alkohol. Zwykle piwo po drugiej stronie baru kosztuje czterdzieści złotych. Właściciele żyją ze sprzedaży alkoholu i otrzymują dziesięć procent od każdej wygranej. Podejrzewam, że w ciągu jednego dnia wyciągają z kasyna więcej, niż przez cały tydzień zarabiają w barze.

– Często tam bywasz?

Rojek pokręcił głową.

– Nie stać mnie na to. Byłem tam kilka razy. Ale to mi wystarczyło, żeby poznać klientelę Hydry.

Kawęcki wyjął z jego drżącej dłoni papierosa, strzepnął słup popiołu do jednej z butelek po winie i oddał mu fajkę. Albo mu się wydawało, albo na zmarnowanej twarzy Rojka dostrzegł wdzięczność.

– Czy spotkałeś tam jakiegoś starego znajomego?

– Na szczęście nie. Ale jeden facet był tam zawsze, kiedy przychodziłem. Siedział przy stole, na którym gra toczyła się o wyższe stawki. Nie mam pojęcia, kim on jest, ale ze sposobu, w jaki się na mnie gapił, domyśliłem się, że wie, kim ja

jestem. A przynajmniej skądś mnie kojarzy.

– Wiesz, jak się nazywa ten facet?

Rojek ponownie pokręcił głową.

– Mówią na niego Quentin. Może dlatego, że jest trochę podobny do Quentina Tarantino. Ma mocno wysuniętą brodę i raczej nieprzyjemną gębę. Nie wyróżnia się jednak niczym szczególnym spośród ludzi, którzy tam bywają.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie, ale parę razy słyszałem, o czym rozmawiał z kumplami przy stole. Posługiwał się określeniami, jakich dawno nie słyszałem. Slangiem, którego wolałbym nie znać.

Rojek wysunął rękę spod koca i przejechał dłonią po twarzy, jakby chciał się upewnić, że nadal tam jest.

– Dzień po tym, jak się spotkaliśmy, poszedłem do Hydry. Przez dwie godziny siedziałem przy barze, słuchając wulgarnych opowieści barmana i sącząc chrzczone piwo, które smakowało jak szczyny. Czekałem na Quentina. Mógł oczywiście wejść do lokalu od tyłu, przez nikogo niezauważony, ale nie stroił mi na faceta, który próbuje unikać rozgłosu. I miałem rację. Pojawił się tego dnia w Hydrze. Jak zwykle grał na duże stawki, pił wódkę i wciągał koks. Jednocześnie robił interesy. Kiedy wspomniał o tym spotkaniu w Łagiewnikach, byłem już blisko tysiąc złotych w plecy. Niedługo później przegrałem ostatnie żetony, dopiłem piwo i wyszedłem.

Kawęcki szurnął krzesłem po podłodze i przysunął się bliżej Rojka. Delikatnie złapał go za uszy i uniósł mu głowę. Pomiedzy posklejanyimi włosami próbował wychwycić jego spojrzenie.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby ten człowiek, Quentin, wspominał o jakimś potężnym facecie albo używał pseudonimu, który mógłby się odnosić do kogoś takiego?

Rojek wziął głęboki wdech. Myślał.

– Nie mam bladego pojęcia.

– A czy rozmawiał z kimś w taki sposób, jakby to był cudzoziemiec, ktoś słabo mówiący po polsku?



– Większość tych ludzi słabo mówi po polsku. Ich rozmowy przypominają wymianę zdań pomiędzy gorylami.

– Zapamiętałeś jakieś pseudonimy, którymi się posługiwał?

– Niestety, nie. Wychwyciłem jedynie określenia, które jednoznacznie wskazywały na to, czym Quentin się zajmuje.

Kawęcki głośno westchnął. Puścił głowę Rojka i osunął się na oparcie krzesła. Zapalił papierosa.

– Jakiś olbrzym ci to zrobił? – zapytał Rojek, celując drżącym palcem w czoło policjanta.

– Niewykluczone. – Kawęcki odruchowo uniósł dłoń w kierunku rany. – Byłem świadkiem spotkania wielkiego faceta z dwoma cudzoziemcami, którzy mieli otrzymać od niego psa. Chciałem ich złapać na gorącym uczynku. Zamiast tego oberwałem w łeb, zanim czegokolwiek się dowiedziałem.

– Czy jesteś pewien, że to olbrzym sprzedawał im psa?

– Nie, nie jestem. Ale to on go przyprowadził.

– Mógł im go oddawać – powiedział Rojek z głową wiszącą pomiędzy chudymi ramionami i twarzą skierowaną do podłogi. – Niektórzy nie kupują tego typu psów. Wypożyczają je do konkretnych celów, a następnie zwracają handlarzom. Nie potrzebują wielkich wściekłych bydlaków w mieszkaniu. A handlarzom bardziej się to opłaca, ponieważ jedno zwierzę mogą wykorzystywać wielokrotnie. Zwiększają w ten sposób efektywność swojego biznesu. Czy coś się stało? – zapytał, gdy Kawęcki podniósł się z krzesła i zrobił kilka nerwowych kroków w głąb pokoju.

– Gdzie dokładnie znajduje się ten lokal?

Rojek odpowiedział i zamknął oczy. Nie miał siły patrzeć na oddalającą się sylwetkę policjanta.

– Gdzie to postawić? – zapytał kurier, wychylając się zza pralki owiniętej folią bąbelkową.

– Obojętne – odparła Magda Giętka.

– Teraz pani mówi, że obojętne, a później będzie marudzić, że sama musi to

targać.

Magda uśmiechnęła się kwaśno. Zdarzało jej się to od wielu dni, tygodni, a może nawet od zawsze, tyle że dopiero niedawno zaczęła zdawać sobie z tego sprawę. Kwaśnym uśmiechem odpowiadała na stresujące i przykre sytuacje, w których nie wypadało jej histeryzować i zanosić się płaczem. Reagowała w ten sposób również na zdarzenia, z których nie miała prawa cieszyć się w pełni, ponieważ to by oznaczało, że uszczęśliwia ją coś sprzecznego z jej poczuciem sprawiedliwości lub dobrego smaku. Kwaśnym uśmiechem kwitowała sprośne seksistowskie żarty kolegów, które mimo wszystko w duchu ją bawiły, miłosne zawody koleżanek, którym nie wróżyła sukcesu na polu damsko-męskim, czy wszelkie dziwne zbiegi okoliczności, które okazywały się dla niej nieoczekiwanie korzystne. Za taki uznała natknięcie się na komputer Filipa podczas gorączkowych poszukiwań własnego laptopa.

MacBook Filipa nie tylko działał szybciej niż firmowy szmelc, z jakiego korzystała na co dzień, ale też pamiętał niektóre dawno nieużywane loginy i hasła. Również te służące do logowania się na stronę Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców.

– Proszę się tu podpisać – powiedział kurier, wyciągając w jej kierunku kilka druków.

Magda podniosła się z kanapy i podeszła do brzuchatego mężczyzny, który stał zziębnięty w przedpokoju.

– Muszę przyznać, że ma pan parę. Ta pralka waży pewnie z pięćdziesiąt kilogramów.

Kurier uniósł daszek czapki, podrapał się po spoconej skroni i wzruszył ramionami. Uśmiechnął się. Również kwaśno.

– Jednym bozia daje rozum, innym mięśnie. Ja dostałem jedno i drugie.

Magda podpisała się pod dokumentami, odprawiła kuriera i wróciła do salonu. Odgrzebała z pamięci numer rejestracyjny samochodu i wpisała go do CEPiK-u. Mężczyzna, którego szukała, miał wyjątkowo pospolitą historię drogowych podbojów. Prawo jazdy zdobył blisko ćwierć wieku temu. Jego uprawnienia do

kierowania samochodem nigdy nie zostały cofnięte. Nigdy nie zgubił prawa jazdy. Od wielu lat poruszał się tym samym autem: wyprodukowaną pod koniec lat dziewięćdziesiątych toyotą avensis. I to był chyba jego największy grzech.

Wiedziała, że nie ma po co zaglądać do policyjnej bazy danych. Zamiast tego informacji na temat kierowcy poszukała w internecie. Nie miał konta na Facebooku, Snapchacie ani Instagramie, ale znalazła jego profil na LinkedInie, a potem w jednym z portali branżowych. Był profesjonalistą. Nie zamieszczał w sieci głupkowatych zdjęć z wakacji i imprez ani fotografii swoich dzieci czy psów, za to sporządził precyzyjny spis firm, w których do tej pory pracował. Użytkownicy jednego z serwisów zamieścili pod jego profilem kilka pozytywnych komentarzy: „wysokiej klasy fachowiec”, „specjalista, ma świetne podejście do zawodu”, „klasa sama w sobie”. Ani jednej negatywnej opinii.

Czy to może być facet, o którym wspominał Kawęcki?

Spojrzała na telefon. Dzwonił Szczebiot. Zdecydowała, że do niego oddzwoni, i wyciszyła smartfona. Nie chciało jej się wyjaśniać, że choć to Filip pracuje w firmie, w której szanuje się pracowników, nie zmusza ich do katorżniczej pracy, pozwala im się wychodzić na lunch, a żeby przypadkiem im nie podpaść, świadczy się na ich rzecz wszelkie możliwe benefity pozapłacowe, to akurat w dniu dostawy pralki nie mógł wyrwać się z biura. Złośliwość losu. Nie chciała, żeby Szczebiot postrzegał ją jako życiową pokrakę. Wystarczyło, że sama się nią czuła.

Zapisała adres zamieszkania kierowcy, mimo że jeszcze nie wiedziała, czy do czegokolwiek jej się przyda. Zaczęła zamykać karty przeglądarki. Zatrzymała się na stronie Facebooka. Filip nie wylogował się ze swojego konta. Wzrok Magdy przykuła półnaga kobieta wypinająca się do aparatu, jakby chciała go przykryć pupą. Strona *Dupy, dupcie, duperki* była jedną z kilku tego typu, które Filip polubił w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nie wiedziała, czy powinno ją to jedynie brzydzić, czy również niepokoić. Ale nie zamierzała żyć w niepewności.

Pierwsza facebookowa konwersacja, na którą się natknęła, toczyła się pomiędzy nią a Filipem. Pochodziła sprzed godziny. Porażała lapidarnością. Przypominała rozmowę dwóch nieprzepadających za sobą starców, którzy z trudem trafiają

w klawiaturę. Znacznie ciekawsza była druga, prowadzona w grupie kolegów relacjonujących swoje alkoholowe przygody z weekendu. Ale najwięcej o swoim chłopaku dowiedziała się z trzeciej – z Weroniką Szewczyk, upierdliwą koleżanką z pracy, którą poznała na jednej z firmowych imprez. Z trudem przedzierała się przez kolejne linijki bezwartościowego bełkotu na temat spraw niewartych uwagi. Puste zdania przecinały fale emotikonów, z których sączyła się gówniarska radość. Pojawiające się w dialogach słowa zdawały się nie mieć żadnego znaczenia. Nie sądziła, że Filip może z kimkolwiek prowadzić tak infantylny dialog.

Przesuwała kursor, bez większego zainteresowania docierając do coraz starszych wiadomości. Zatrzymała się na pierwszym fragmencie, którego nie zaśmiewały szczerzące się żółte gęby. Spojrzała na datę. Dzień po tym, jak spoliczkowała Filipa. Pochyliła się i przeczytała kilka następujących po sobie wiadomości. A potem zrobiła to ponownie. I jeszcze raz.

Odłożyła komputer na kanapę. Spojrzała na pralkę, która stała w przedpokoju, gapiąc się na nią przez potężny bęben. Nie wiedzieć czemu Magda pomyślała, że na wszelki wypadek nie powinna ściągać z niej folii.

W chwili gdy zamknęła za sobą drzwi, jej radość się ulotniła. Zgasił ją widok pary czarnych butów o rozmiarze 47. Karolina, starsza z dwóch córek Witolda Ptaka, ściszyła głos i szybko pożegnała się z koleżanką, z którą rozmawiała przez telefon. Nie ściągając kurtki, poszła do salonu.

– Nie powinienes być w pracy? – zapytała, spoglądając na ojca, który siedział przy ławie zawalonej papierami.

– Wróciłem pół godziny temu. Zabrałem ze sobą papierkową robotę.

Witold uśmiechnął się do córki, ale ta jedynie wzruszyła ramionami i udała się do swojego pokoju. Jej obojętność przestała go dziwić, odkąd uświadomił sobie, że nie zna planu lekcji Karoliny, nie wie, kto jest jej wychowawcą ani jakim autobusem córka jeździ do szkoły, nie odróżnia jej koleżanek i nie ma pojęcia o chłopakach, z którymi się spotyka. Ledwo ją znał. Nie miał więc prawa oczekiwać, że ona zechce poznać go lepiej.

Poderwał się z krzesła i w kilku susach znalazł się przy drzwiach Karoliny.

Zapukał. Czekając na odpowiedź, patrzył na stojące w korytarzu buty. Lśniące baletki córki przy jego ubłoconych buciorach wyglądały jak wytwór z bajki.

Po kilku sekundach dziewczyna odburknęła coś, co równie dobrze mogło znaczyć „wejdz” jak i „idź stąd”. Wszedł do jej pokoju. Z dziecka, które panicznie bało się owadów, niechętnie po sobie sprzątało i upierało się, że nigdy nie będzie się uczyć, niewiele zostało. Karolina wyrosła na dojrzałą, pedantyczną dziewczynę przejawiającą zainteresowanie literaturą i modą. Większość jej pokoju zajmowały regał z książkami i szafa. Łóżko, biurko z komputerem, dwa fotele oraz trenażer wydawały się jedynie dodatkami. Karolina leżała bokiem na łóżku, z głową opartą na ręce, włosami zwisającymi wzdłuż przedramienia i wzrokiem utkwionym w książce. Witold zauważył, że z wiekiem coraz bardziej przypomina matkę. Coraz mniej jego. Całe szczęście.

– Nie jesteś głodna?

Przekręciła głowę i wbiła w ojca pełne zdziwienia spojrzenie. Chyba nie wierzyła, że ją o to zapytał.

– Nie, dziękuję.

– Jak było w szkole?

– W porządku.

– Tylko tyle?

– Tak, to był zwyczajny dzień, niczym nie różnił się od wczorajszego, przedwczorajszego ani przedprzedwczorajszego – wyjaśniła z irytacją w głosie. – Muszę zadzwonić do koleżanki.

Przytknęła smartfon do ucha i wbiła wyprasający wzrok w faceta, który sterczał w progu jej pokoju. Patrzyła na Witolda nie jak na denerwującego ojca, lecz jak na upierdliwego młodszego brata, który nie potrafi uszanować jej prywatności. Poczekała, aż wyjdzie, i odłożyła telefon.

Witold wrócił do salonu i spojrzał z góry na stos dokumentów, które leżały na ławie. Pociągnął łyk wystygłej kawy, wyjął laptopa i niechętnie wziął się do ich przeglądania. Miał przed sobą obszerny wykaz spraw, które prowadził prokurator Andrzej Pszoniak. Szukał w nich jakichś nieprawidłowości, odstępstw od normy,

zaskakujących wyroków. Sprawdzał, kto został skazany i co się z nim później stało. Szukał informacji o sędziach, prokuratorach, adwokatach i policjantach, których Pszoniak spotykał na swojej drodze. Próbował znaleźć nić, w jakikolwiek sposób łączącą go z zabójstwami, o których opowiadał Kawęcki. Cokolwiek, co dałoby mu nadzieję, że to, co robi, w ogóle ma sens.

Po blisko dwóch godzinach bezowocnej grzebaniny zamknął komputer. Wstał i podszedł do okna. Na parkingu przed blokiem ktoś wyciągał zakupy z bagażnika – dwie torby wyładowane żywnością i zgrzewkę wody mineralnej. Witold miał ochotę zamienić się z nim miejscami. Przeistoczyć się w faceta, który po spędzeniu ośmiu nudnych godzin w biurze wraca do domu i puszcza wszystko w niepamięć. Kładzie się na kanapie, otwiera piwo i włącza niewymagający film, oglądany już kilkanaście razy. W faceta, którego zmartwienia ograniczają się do napiętej relacji z teściami, nienadążania za pomysłami dzieci czy niezrozumienia dla pewnych decyzji żony. Nie miał pojęcia, czy po ponad dwudziestu latach ciągłego stresu, pompowania adrenaliny i obcowania z kryminalistami takie życie sprawiałoby mu przyjemność. Ale też nie miał nic przeciwko, żeby się o tym przekonać.

Uchylił okno i rozsiadł się w fotelu. Ściągnął popielniczkę z parapetu i włączył telewizor. Na jednym z kanałów sportowych transmitowany był mecz piłkarski, który w ogóle go nie interesował – pojedynek młodzieżowych reprezentacji Czech i Węgier. Zapalił papierosa. Gapiąc się bezmyślnie na piłkarzy, o których nigdy wcześniej nie słyszał, zastanawiał się, czy zdąży przewietrzyć mieszkanie przed powrotem Edyty.

W czasie pierwszego papierosa żadna z reprezentacji nie zrobiła nic, co mogłoby go zainteresować. Na boisku nie było następców Messiego ani Ronaldo, lecz marne atrapy ich następców: naželowane, napinające niewykształcone jeszcze mięśnie, przesadnie gestykulujące i strojące głupie miny. W czasie drugiego papierosa natarli Czesi. Popędzili prawym skrzydłem i dośrodkowali piłkę w pole karne rywali, ale jeden z napastników zapomniał, że jeszcze trzeba ją wbić do bramki. Przy trzecim papierosie do ataku ruszyli Węgrzy. Po strzale zza pola karnego jednego z piłkarzy futbolówka uderzyła w słupek, co wyraźnie ożywiło

znudzonego komentatora. Przez kilkanaście sekund gorączkowo wymieniał nazwiska węgierskich zawodników uczestniczących w akcji, która niemal przyniosła im bramkę.

Witold nagle poderwał się z kanapy. Wyłączył telewizor i wybiegł z mieszkania. Kiedy pędził po schodach, spod jego gargantuicznych butów wydobywały się dźwięki, jakich nie powstydziliby się stado rozwścieczonych słoni.

Poznał takie miejsca na wskroś. Pstrokaty szyld z lat dziewięćdziesiątych umieszczony nad ciężkimi drzwiami z kratą, do której przytknięto zardzewiałą kłódkę. Okna wystarczająco brudne i zadymione, by z ulicy nie dało się dostrzec, co się dzieje w środku. Drewniane stoliki ustawione w równych odstępach, oświetlone pożółkłym światłem z tandetnych plastikowych lamp. Smród papierosów i przetrawionego alkoholu wgrzający się w oplakatowane heavymetalowymi zespołami ściany. Kontuar wydrapany i zniszczony, podobnie jak stojący za nim znudzony wąsaty barman.

Kawęcki zastanawiał się, czy kiedykolwiek tutaj był. Adres, wystrój, stopień zdewastowania wnętrza i klienteli się zgadzały. Z tego typu miejsc nie miał zbyt wielu wspomnień. Te, które mu zostały, których nie posiekały czarne dziury, były do siebie bliźniaczo podobne. Tworzyły nieskomplikowany ciąg przedmiotów, miejsc i obrazków. Ludzie stanowili jedynie ledwo zauważalne tło. Bar, papieros, kieliszek, stół, piwo, sklep, setka, kibel, podłoga, pustka. Dziesięć słów wystarczyło, aby precyzyjnie opisać jego styl życia.

Komisarz zapalił papierosa i wydmuchnął dym w twarz wrzeszczącego do mikrofonu Bruce'a Dickinsona, który patrzył na niego z pogniecionego plakatu. Jak wielu ludzi robiło to wcześniej? Ilu facetów przed nim tkwiło godzinami w tej zapyziałej norze, popijając chrzczone piwo i licząc papierosy pozostałe im do końca paczki? Zanurzonych w muzeum samotności, w którym zdezelowane eksponaty jeszcze za życia zjeżdżają kilka metrów pod ziemię.

– Coś podać?

Obok Kawęckiego wyrósł wąsaty barman. Kiedy się pochylił, żeby wymienić popielniczkę, jego pękaty brzuch wypełził spod koszulki i rozpląszczył się na stole.

Komisarz pokręcił głową.

– Z tobą jest coś nie tak – powiedział barman, poruszając szczękami w zwolnionym tempie, jakby wetknął do ust pół kilograma tytoniu.

– Co takiego?

– Nie pijesz. Nie znam ludzi, którzy przychodzą tu, żeby nie pić.

– Wypiłem wodę.

– Wiesz, co się dzieje w wodzie?

– Wiem.

– No to nie rób mnie w chuja. Kim jesteś i czego chcesz?

Kawęcki zmierzył barmana wzrokiem, przeskakując od jego gigantycznych wąsów do równie imponującego bebecha. Wychylił się na krzesło, żeby sprawdzić, kto oprócz nich znajduje się w lokalu. Jakiś staruszek popijał piwo i grał w jednorękiego bandytę, a mężczyzna w skórzanej kurtce nerwowo spoglądał na telefon i bawił się drobniakami rozsypanymi na stole. Żadnego ruchu za kontuarem ani przy ukrytych za nim drzwiach, obserwowanych przez ostatnie pół godziny. Kawęcki odwrócił się do barmana.

– Jesteś psem? – zapytał wąsacz, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Wyglądasz jak pies.

– Pytasz czy stwierdzasz?

– Co?

Barman szerzej rozstawił nogi i obrócił się lewym barkiem w stronę Kawęckiego. Był praworęczny. Gdyby wyprowadził cios wystarczająco szybko, trafiłby go z dużą siłą w skroń. Bez trudu mógłby znokautować. Ale ręka miała do pokonania sporą odległość. Znacznie dłuższą niż przy szybkim prawym prostym Kawęckiego.

– Nie jestem psem. Przynajmniej nie teraz. Nie mam przy sobie broni, odznaki ani legitymacji policyjnej. Ale to akurat dla ciebie zła wiadomość.

– Spierdalaj stąd.

– Chętnie, ale najpierw zajrzę do pomieszczenia za barem.

Wąsacz widział oczami wyobraźni odskakującą łysą głowę, za którą podąża



spadające z krzesła bezwładne ciało. Widział, jak wykonuje dwa kroki przed siebie, rzuca się na zamroczonego gościa i zasypuje go gradem ciosów. Potem podnosi, prowadzi przez cały lokal i wyrzuca za drzwi. Był pewien, że tak właśnie się stanie. I dlatego przez dłuższą chwilę nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób znalazł się na podłodze. Pojął to, kiedy dotarł do niego obezwładniający ból, a jego ręce odruchowo powędrowały w kierunku krocza. Do miejsca, które chwilę wcześniej zdruzgotała uzbrojona w kastet pięść.

– Mówiłem – przypomniał Kawęcki, pochylając się nad wyjąłym z bólu barmanem. – To, że nie jestem teraz policjantem, to dla ciebie zła wiadomość.

Rozejrzał się po barze. Mężczyzna, który bawił się drobnymi, uniósł wzrok i przeciągle cmoknął, jak gdyby chciał pokazać, że takie sceny w ogóle go nie ruszają. Staruszek zaśmiał się pod nosem i wziął potężny łyk piwa. Chwilę później spochmurniał i dorzucił pieniądze do automatu.

Komisarz powlókł spasionego barmana po podłodze. Oparł go o kontuar i przeszukał jego kieszenie. Dopiero wtedy poczuł ból w nadgarstku i zrozumiał, co musi czuć wąsacz.

– Który z nich otwiera tamte drzwi?

– Moje jaja – wymamrotał barman.

– Im szybciej to załatwimy, tym szybciej przyjedzie karetka. Sam po nią zadzwonię. Który?

Wąsacz wskazał komisarzowi jeden z kilku niemal jednakowych metalowych kluczy. Potem ponownie skupił się na ściskaniu swoich genitaliów. Kątem oka widział, jak Kawęcki wyciąga broń i wchodzi do pokoju.

W pośpiechu napił się kawy i zakręcił termos. Zsunął się na fotel tak, że tylko głowa wystawała znad kierownicy. Zapalił papierosa. Przyłożył do oczu oblepioną zaschniętym błotem lornetkę noktowizyjną. Potrzebował parę razy zaczerpnąć głęboko powietrza, aby opanować drżenie rąk i nierówny oddech.

Kilkadziesiąt metrów przed nim dwaj ratownicy medyczni wynosili z lokalu barmana, który trzymał dłonie na kroczu. Kawęcki nie słyszał ich słów, ale domyślał się, że muszą mówić podniesionymi głosami, żeby przebić się przez

wycie wąsacza, które wywoływało grymasy na twarzach zebranych przed Hydrą gapiów. W drzwiach knajpy dwaj skonfundowani policjanci rozmawiali ze starcem i facetem od drobniaków. Notowali ich zeznania, co rusz spoglądając na siebie, jakby słyszeli jakąś fantastyczną opowieść. Kiedy ich puścili, starzec stanął pośród gapiów i zaczął liczyć przegrane na automacie pieniądze. Gość od drobniaków zapalił papierosa, splunął pod nogi i ruszył w kierunku Piotrkowskiej.

Zanim odjechała karetka, Kawęcki po raz ostatni zobaczył wygiętą z bólu twarz barmana. Nie miał wątpliwości, że postąpił słusznie. To była sytuacja typu albo-albo. Albo wstrząśnienie mózgu, albo pęknięte jądro. Albo rzyganie wodą i żółcią, albo piwem i azjatyckim żarciem. Albo on, albo barman. *Swim or sink. Live or die.* Wybór był prosty.

Kiedy kilkanaście minut wcześniej Kawęcki, ściskając w dłoni odbezpieczony pistolet, wszedł do pomieszczenia za barem, od razu zrozumiał, co się stało. Pokój był pusty. Na dwóch okrągłych stołach, przy których spokojnie mogłoby zasiąść dwanaście osób, znajdowało się kilkanaście szklanek, butelki po piwie i wódce oraz popielniczki wypchane niedopałkami i ledwo napoczętymi papierosami. Na środku obu stołów rozrzucone były karty i żetony. W powietrzu unosił się zapach perfum i potu.

Ktoś zarządził ewakuację, ale nie zdążył posprzątać.

Kawęcki wrócił więc do baru. Wąsacz zaklinał się, że o niczym nie wie, ale gdy komisarz zagroził, że ściśnie jego jaja w imadle, wyśpiewał wszystko. Powiedział mu o dwóch Wietnamczykach, którzy są właścicielami lokalu, i o trzech Polakach ściągających od nich haracz. Zarzekał się, że nie ma z nimi nic wspólnego i nawet nie wie, jak ci ludzie się nazywają, ale wtedy Kawęcki znów wspomniął o jego jajach. Barman nie pamiętał nazwisk Azjatów, a Polaków znał tylko z pseudonimów. Nie wyglądał na człowieka, który kłamałby, żeby kogoś kryć. Nie w takich okolicznościach.

Korzystając z telefonu, który znajdował się w barze, komisarz wezwał pogotowie i policję, po czym wyszedł z lokalu i ruszył w stronę swojego samochodu. Rozsiadł się za kierownicą.

Pół godziny później się doczekał. Kiedy gapiom znudziło się sterczenie przed Hydrą, w której już nic się nie działo, a policjanci przenieśli się do radiowozu, na miejsce przybyli właściciele. Dwaj Azjaci, do których szybko dołączyło trzech białych mężczyzn w skórzanych kurtkach. Jeden był niski. Drugi łyсы. Trzeci miał wysuniętą brodę, przerzedzone włosy i wściekłość przyklejoną do twarzy. Twarzy wyjętej z czarnej komedii.

Mężczyzna, który bez wzbudzania podejrzeń mógłby wejść do Dolby Theatre, szybko się ulotnił. Wsiadł do czarnego bmw i odjechał z piskiem opon, pozostawiając po sobie jedynie smród palonej gumy. Przemknął obok samochodu Kawęckiego. Komisarz wiedział, że nie ma sensu za nim jechać. Nie kiedy siedzi się za kierownicą zdezelowanego fordka fiesty. Zamiast tego odebrał telefon, który od kilkunastu minut z drobnymi przerwami trząsł się na sąsiednim fotelu.

– Gdzie jesteś? – zapytał Witold.

– Na mieście – odparł Kawęcki, spoglądając w zieloną poświatę bijącą z witryny jakiegoś baru.

– Musimy pogadać.

– Nie teraz.

– Teraz. Od kilku godzin próbuję cię złapać.

– Powtarzam: nie teraz.

Witold głośno zaklął.

– A gdybym ci powiedział, że wiem, kto zabił te dziewczyny, tobyś się ze mną spotkał?

– Wówczas bym ci nie uwierzył. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, powiedz to teraz.

– To nie jest rozmowa na telefon.

– W takim razie musi poczekać do rana.

Słuchając przeplatanki westchnień i przekleństw Witolda, Kawęcki zerknął w stronę chodnika. Starzec z twarzą pomarszczoną jak shar pei i dziwnym, nieschodzącym uśmiechem wciśniętym między fałdy skórne zatrzymał się na wysokości jego samochodu, żeby wytrzeć nos. Zanim ruszył w dalszą drogę, na

chwilę wlepił w Kawęckiego bystre, niepasujące do reszty ciała oczy.

– Często miewasz paranoje? – zapytał Kawęcki Witolda.

– To nie paranoja, tylko ostrożność.

– Nie mam na myśli naszej rozmowy.

Usłyszał charakterystyczne stuknięcie zapalniczki i cichutki syk rozżarzonego papierosa. Witold niemal odruchowo sięgał po szluga, gdy tylko ktoś zmuszał go do wytężonego myślenia.

– Czasami tak. Ale to normalne w naszym zawodzie. Skoro sami obserwujemy ludzi, wężymy, kombinujemy, składamy do kupy porozrzucane puzzle, to wydaje nam się, że inni robią to samo. I dobrze. Dzięki temu jesteśmy ostrożniejsi. Trudniej nas podejść.

– Czyli uważasz, że wzmożona czujność i podejrzliwość nie są oznakami paranoi, tylko zdrowego rozsądku?

– Mam nadzieję, że tak.

– Jak w takim razie odróżnić zdrowy rozsądek od paranoi?

– Trzeba albo złapać kogoś za rękę, albo ostatecznie się przekonać, że nie ma kogo ani za co złapać. Bez dowodu się nie da. Podejrzewasz, że ktoś cię śledzi?

– Na razie wolę sądzić, że mam paranoję.

– Kogo podejrzewasz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– A co z transparentnością, na którą się umówiliśmy?

– Transparentność to słowo polityków. Ja wolę czystość intencji.

Kawęcki rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Zapalił kolejnego papierosa i spojrzał na odjeżdżający spod Hydry patrol.

Wiedział, co się teraz stanie. Wiedział, że przerzucając się niewybrednymi żartami, policjanci pojedą do McDonalda. Tam, opychając się hamburgerami i frytkami, ustalą, co należy napisać w raporcie, który zostawią na biurku przełożonego. On rzuci na raport okiem, upewni się, że dobrze kojarzy nazwę lokalu i adres, i zadzwoni do znajomego z innego wydziału. Zapyta go o barmana i poprosi, żeby popytał o niego także swoich znajomych, ponieważ chce mieć

absolutną pewność, że dobrze rozeznał się w sytuacji. Potem rozpocznie iluzoryczne śledztwo. Potrwa wystarczająco długo, żeby bez wzbudzania niczyjego zainteresowania można je było zamknąć. Być może otrzyma za to premię od kolegów kolegi, który udzielił mu informacji o lokalu i barmanie. Być może podzieli się nią z dwoma funkcjonariuszami, którzy nie wygłupili się i nie wezwali na miejsce techników. Być może coś skapnie nawet barmanowi, który mimo bólu i wściekłości zachował trzeźwość umysłu i stwierdził, że nie ma pojęcia, dlaczego jakiś przypadkowy facet rozkwaślił mu jaja. Może nawet coś skapnie starcowi i facetowi od drobniaków. W ciągu kilku tygodni krąg się zamknie.

Kawęcki przekręcił kluczyk w stacyjce. W towarzystwie migających żółtych świateł, przygarbionych żuli wałęsających się pomiędzy śmietnikami, dziwek łapiących ostatnie zlecenia, par tulących się na zimnie i ludzi snujących się bez celu ruszył w stronę swojego mieszkania. Do prywatnego muzeum samotności.

**T**o był dziwny poranek. Być może najdziwniejszy w jej życiu.

Alicja Mioduszevska umyła się w pośpiechu, tak jak ludzie przeważnie myją się w nieznanych sobie łazienkach, szybko się umalowała i przygotowała dwa tosty z dżemem oraz kawę. Przeżywając niezrozumiałą wewnętrzną dreptaninę, nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do kuchni. Nieumyty, ale odświeżony, pachnący płynem do płukania ust i wyrazistymi perfumami, których zapach utrzymywał się na jego ciele od wczoraj. Miał na sobie jedynie szare spodnie, przypominające coś między dressem a piżamą, i luźny bawełniany sweter. Włączył radio. Dwójkę. Muzyka klasyczna. Wybrzmiewająca jak wspomnienie ich niedokończonej wieczornej rozmowy.

Zacząła obserwować jego ruchy. I nagle całe to dziwaczne napięcie, towarzyszące jej od chwili przebudzenia, ustąpiło. Nieznana moc, która kazała jej się spieszyć, nie mówiąc, dlaczego ma to robić, wyparowała. Zupełnie jakby Jakub Możejko swoimi dostojnymi ruchami usunął ją z drogi. Przypominał czarnego kota, z pozoru wałęsającego się bez celu, lecz roztaczającego wokół siebie niezrozumiałą dla ludzi magię.

– Dzień dobry – powiedziała.

Odwrócił się. Trzymał w ręku kubek, w którym parowała gorąca kawa. Z jego twarzy, pokrytej krótkim siwiejącym zarostem, trudno było cokolwiek wyczytać.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Dobrze ci się spało?

– Dobrze. Choć trochę za krótko.

Możejko usiadł ze swoim kubkiem po drugiej stronie prostokątnego drewnianego stołu, przylegającego do ściany i ustawionego naprzeciwko blatu, który ciągnął się niemal na całej długości kuchni. Położył na stole gazetę. Dzisiejsze wydanie „Expressu Łódzkiego”. Kiedy była w łazience, musiał się cichaczem wymknąć do kiosku.

– Jesteś stałym czytelnikiem czy chcesz mi sprawić przyjemność?

Możejko uniósł brwi i spojrzał na Alicję.

– Ani jedno, ani drugie. Chciałem zobaczyć, co wczoraj robiłaś.

– Równie dobrze mogłeś mnie o to zapytać. – Strzepnęła okruchy z bluzy. – Chciałeś zobaczyć, w jaki sposób piszę.

Alicja uśmiechnęła się nieznacznie. Możejko również.

– Zboczenie zawodowe. „AM” to ty?

Kiwnęła głową, przełykając kawę.

– Dlaczego podpisujesz się inicjałami?

– Nie ma sensu podpisywać się nazwiskiem pod newsami liczącymi po dwa tysiące znaków. To nie są teksty, które mogą przynieść mi chlubę. Nie napawają mnie dumą. Napisałam je, bo musiałam, bo do tego zobowiązuje mnie umowa z wydawnictwem. Nie wypromuję nimi swojego nazwiska. Zresztą wszyscy tak robią.

– Czyli jednymi tekstami budujesz nazwisko, a inne traktujesz jak chałturę?

– Mniej więcej.

Pochylił się nad stołem i zatopił w lekturze gazety. Alicja przyglądała się, jak jego wzrok skacze po papierze, połykając kolejne akapity. Nie znała się na muzyce klasycznej, nie miała pojęcia, czy w radiu leci koncert Vivaldiego, sonata Bacha czy może opera Mozarta, nie odróżniała symfonii od suity, ale nie potrafiła sobie

wyobrazić, aby Możejce mogła towarzyszyć jakakolwiek inna muzyka. Miała wrażenie, że cała reszta – kawa, tosty, nowocześnie urządzona kuchnia, promienie słońca wpadające przez okno, jej teksty, a nawet ona sama – są dla niego nieistotne. Stanowią jedynie niezauważalne tło dla wzniosłych dźwięków fortepianu, skrzypiec, fletu, klawesynu czy harfy.

– Jaką ocenę byś mi wystawił?

Upłynęło kilka sekund, zanim Możejko podniósł głowę i spojrzał na Alicję.

– Uważasz, że powinienem oceniać teksty, które mają po dwa tysiące znaków?

– Każdy tekst można ocenić.

Zamknął gazetę i wsunął ją pod kubek.

– Są poprawne. Tylko tyle mogę powiedzieć. – Odwrócił się do niej bokiem, wyciągnął spod stołu nogi i założył jedną na drugą. – Dlaczego piszesz o sprawach kryminalnych?

Wielokrotnie słyszała to pytanie. Z czasem zaczęła udzielać na nie różnych odpowiedzi. Ale jemu postanowiła powiedzieć prawdę.

– Chciałam się wyróżnić. Moi koledzy ze studiów pragnęli zajmować się kulturą, polityką, sportem albo biznesem. Tym, czym zajmują się wszyscy. Kiedy zaczęli szukać pracy, okazało się, że każda redakcja ma specjalistów od tych dziedzin, więc albo upychali ich za głodowe pensje w działach miejskich, albo uprzejmiem kazali im spieprzać i szukać szansy gdzie indziej. Natomiast sprawami kryminalnymi mało kto się zajmuje. Niewiele osób się na nich zna, a jeszcze mniej ma ochotę się w nie zagłębić. To był mój pomysł na wejście na rynek pracy. Zadziałał.

– Sprawia ci to frajdę?

– Na pewno większą, niż sprawiłoby mi relacjonowanie meczu piłkarskiego czy posiedzenia Rady Miejskiej w Łodzi. To trudniejsze niż pisanie o polityce czy modzie. Tu się nie rozmawia z ekspertami, analitykami czy mądralami gotowymi wypowiedzieć się na każdy temat, ale z ludźmi, których bezpośrednio dotyka poważny problem. Często z osobami cierpiącymi, przeżywającymi najtrudniejsze chwile w życiu.



– Długo chcesz się tym zajmować?

Alicja zaśmiała się nerwowo.

– To przesłuchanie?

Możejko nie odpowiedział, jedynie napił się kawy.

– Dopóki nie znajdę czegoś bardziej interesującego albo lepiej płatnego. Albo czegoś, w czym zabłysnę. Na razie w tym, co robię, jestem naprawdę niezła. Nie mam na myśli samego pisania, ale umiejętność zdobywania informacji, nawiązywania kontaktów, docierania do ludzi, którzy z początku nie chcą rozmawiać z dziennikarzami. Reporter kryminalny musi znać podstawy prawa, metody pracy organów ścigania, lokalnych policjantów i prokuratorów, musi wiedzieć, co wolno mu napisać, a czego nie, za co można dostać nagrodę, a za co powinien spodziewać się pozwu. A poza tym musi mieć grubą skórę, ponieważ rzadko zdarza mu się mieć do czynienia z czymś przyjemnym.

Alicja podniosła wzrok i spojrzała na Możejkę, który z przymkniętymi oczami wpatrywał się w ścianę. Jego bose stopy poruszały się w rytm muzyki.

– Do tej pory nie interesowałeś się moją pracą. Co się zmieniło od wczoraj?

– Nic – odparł, wciąż patrząc przed siebie. – A może uznałem, że masz ciekawą pracę.

– Może nie tak ciekawą jak twoja, bo nie grzebię w umysłach wyimaginowanych psychopatów, ale za to całkiem wartościową.

– Tak myślisz?

– Tak. Wielu ludzi może to potwierdzić.

– I równie wielu może temu zaprzeczyć. Ale o nich chyba nie chcemy rozmawiać. – Zmroził Alicję wzrokiem.

Przełknęła ostatni kęs tostów, który już dawno stracił smak, popiła go chłodną kawą i wstała od stołu.

– Wychodzę do pracy – oznajmiła, wkładając talerz do zlewu. – Rozumiem, że ty zostajesz?

Możejko leniwie kiwnął głową.

– Będiesz pisać?

– Być może.

– Nad czym teraz pracujesz?

Długo zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu wstał, podszedł do Alicji, która zmywała po sobie talerz, objął ją od tyłu i pocałował w odsłonięty obojczyk. Jego dłonie szybko przeniosły się z jej ramion na piersi. Ścisnął je i przyłgął do niej całym ciałem.

– To nieistotne.

Zamknęła oczy. Westchnęła.

– Też chciałabym się czegoś o tobie dowiedzieć.

Możejko pieścił piersi Alicji, a na szyi zostawiał subtelne pocałunki. Jego przyspieszony oddech falował na jej karku, a wzwód wbijał się w schowane pod opiętymi dzinsami pośladki. Lewa ręka powędrowała w stronę podbrzusza Alicji.

– Nie zajmuję się niczym, co mogłoby interesować poważną dziennikarkę – wyszeptał jej do ucha, jednocześnie zsuwając swoje spodnie.

Alicja wyrwała się z jego objęć. Odwróciła się. Zniesmaczona spojrzała w dół.

– Nie jestem małolată, którą możesz posuwać, kiedy tylko ci się podoba.

– Nie? – Uśmiechnął się wyzywająco. – W takim razie kim jesteś?

Wytarła dłonie w zawieszoną na ścianie ścierkę, odrzuciła ją na blat i omijając Możejkę, wyszła z kuchni. W kilka sekund dostała się do przedpokoju. Dopiero gdy wkładała buty, poczuła, że ze złości trzęsą jej się ręce. Wyszła z przedpokoju i wycelowała palcem w Możejkę.

– Nie życzę sobie, żebyś odzywał się do mnie w ten sposób. Rozumiesz?

Możejko stał w progu kuchni, podciągając spodnie. Z szelmowskim uśmiechem przyklejonym do twarzy obejrzał Alicję od stóp do głów, jakby próbował oszacować jej wartość.

– Makijaż ci się rozmazał – powiedział.

Ponownie zniknęła w przedpokoju. Włożyła kurtkę, a następnie zawiązała szal wokół szyi. W kieszeni wymacała klucze, które zostawił jej Możejko. Zastanawiała się, czy ich nie położyć na komodzie. Zamiast tego wepchnęła je głębiej, jakby się bała, że ktoś może je odkryć w jej kieszeni, i wyszła z mieszkania.

Schodząc po schodach, spojrzała na telefon. Kwadrans po ósmej. Od piętnastu minut powinna być w redakcji. Zakłęła pod nosem i zadzwoniła po taksówkę.

– Halo?

Witold Ptak podczas jazdy wybierał kilka numerów telefonów i nie był już pewien, do kogo się dodzwonił. Odsunął telefon od ucha i zerknął na wyświetlacz. Artur.

– Możesz coś dla mnie sprawdzić?

– Z uprzejmości w głosie wnioskuję, że chodzi o coś ponadprogramowego.

– W tej chwili na to wygląda, ale być może po twoim odkryciu będzie inaczej.

– O co chodzi?

– O burdele. I prawników, którzy w nich bywają.

– Z pewnością jest ich wielu.

– Czy jesteś w stanie popytać i przygotować dla mnie listę nazwisk?

Milczenie po drugiej stronie można było tłumaczyć dwojako: albo Artur zastanawiał się, czy jest w stanie spełnić prośbę Witolda i ile potrzebuje na to czasu, albo bezdźwięcznie posyłał pod jego adresem najgorsze przekleństwa, jakie znał.

– Wiesz, dlaczego opuściłem obyczajówkę i przeszedłem do kryminalnego? – odezwał się w końcu. – Między innymi dlatego, że miałem dość krążenia od burdelu do burdelu, ciągłego wysłuchiwania narzekań alfonsów, dziwek i ich niezadowolonych klientów. Z pewnością nie po to, żeby stać się waszym specjalistą od ruchania za pieniądze.

– Powiedzmy, że jest to bardziej prywatna niż zawodowa prośba – odparł Witold, który bardziej niż na słowach Artura koncentrował się na przebijaniu przez korek na wysokości Manufaktury. – Czy to coś zmienia?

– To, że nie dostanę za to żadnych pieniędzy.

– Dostaniesz. Pamiętaj, że choć premiami zajmuje się Szczebiot, to ustala je na podstawie moich rekomendacji.

Witold zatrzymał się na światłach w pobliżu przystanku tramwajowego przy Limanowskiego. Po lewej stronie jakiś mężczyzna w średnim wieku, z twarzą

napuchniętą od wódki, jedną ręką trzymał się barierki, a drugą majstrował przy rozporoku. Próbował oddać mocz na jezdnię, ale był zbyt nawalony, żeby wyciągnąć fiuta. Kiedy jego druga ręka powędrowała na barierki, stało się jasne, czym to się skończy.

– Potrzebuję informacji na temat adwokatów, sędziów, prokuratorów i prawników wszelkiej maści, którzy mieli lub mają w zwyczaju chadzać do burdeli, od lat dziewięćdziesiątych do teraz. Tak, wiem, nie będzie to proste, bo przecież nie zostawiają tam swoich wizytówek. Ale wiem też, że ludzie wiedzą takie rzeczy. A prawnicy mają okropny zwyczaj dawania ludziom do zrozumienia, czym się zajmują.

Witold nie widział Artura, ale dałby sobie rękę uciąć, że właśnie kiwnął głową. Dotarł do parku Julianowskiego, wysforował się na czoło niewielkiej grupy aut i przyspieszył.

– To co, pomożesz mi?

– A jak myślisz?

– Myślę, że jesteś rozsądnym człowiekiem.

– Na kiedy to potrzebujesz?

– Jak najszybciej. Nie muszę otrzymać całej listy, wystarczy, że co jakiś czas będziesz mi podrzucać kolejne nazwiska.

– Rozumiem. Czy mam pytać o kogoś konkretnego?

– Nie.

– To by ułatwiło sprawę.

– Na razie nie. Jeśli coś się w tej kwestii zmieni, dam ci znać. A co słyhać na komendzie? – zapytał, głośno wypuszczając powietrze, jak gdyby właśnie pozbył się z pleców garbu.

– Po staremu. Szczebiot łązi od rana wkurwiony i próbuje nas motywować do pracy.

– Dlaczego?

– Żeby wycisnąć nas jak cytryny.

– Dlaczego jest wkurwiony?

– Pewnie wścieka się, że w dwa tygodnie wydaliśmy miesięczny budżet. Albo że to nie Możejko zajeżdżał Bułęcką. A bardzo by chciał, żeby to był on.

– A ty nie?

Witold był pewny, że Artur właśnie się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Ja chciałbym złapać faceta, który to zrobił. Wali mnie, czy okaże się nim Możejko, czy Jezus Chrystus.

– Słuszne podejście – powiedział Witold. – Szukaj dalej. I nie daj się poznać Szczebiotowi.

Kiedy się rozłączał, właśnie przejeżdżał przez rondo Biłyka. Kremowe bloki Radogoszcza spoglądały na niego z obu stron ulicy.

– Nie możemy porozmawiać u ciebie?

Tomek Kawęcki zapalił papierosa. Włożył paczkę z powrotem do kieszeni, a zapalniczką zaczął stukać w betonową szachownicę, jak gdyby zbijał niewidzialne pionki podczas gry w warcaby. Witold Ptak wpatrywał się w jego kościstą dłoń i zastanawiał, czy kiedykolwiek ktoś się pokusił, żeby zagrać w warcaby czymś innym niż kapsle od piwa. Prawdopodobnie nie.

– Nie możemy.

– Bo?

– Chcę zmienić perspektywę.

– Ma to jakiś związek z mapowaniem myśli czy jak to się tam nazywa?

Kawęcki pokręcił głową, jednocześnie wypuszczając kącik ust chmurę dymu.

– Dobrze jest czasem spojrzeć na jakiś problem z innego punktu widzenia. To pobudza kreatywność. Tak samo jak wracanie do domu różnymi drogami.

Witold przyjrzał mu się uważnie. Jak podczas większości rozmów z Kawęckim wahał się, czy powinien brnąć w jego dziwactwa i próbować go rozgryźć, czy odpuścić, oszczędzając czas i nerwy.

– Nie wierzę, że codziennie wracasz do domu inną drogą.

– Tego nie powiedziałem.

– Co ci się stało w rękę?

Witold skinął na jego zabandażowany prawy nadgarstek. Kawęcki trzymał go poniżej szachownicy, wyraźnie próbując ukryć.

– Miałem bliskie spotkanie z męskością.

– Z czym?

Kawęcki wyprowadził w powietrze prawy prosty.

– Jezu – westchnął Witold. – Co dokładnie zrobiłeś?

– Chyba nie przyjechałeś tutaj, żeby rozmawiać o mojej ręce.

Witold zacisnął pięści. Potrzebował kilkunastu sekund, żeby stłumić gniew. Odwrócił się bokiem do Kawęckiego i przyjrzał czteropiętrowym blokom wyrastającym wokół skweru, na którym siedzieli. Budynki nie były po oczach pstrokacizną i komunistyczną tandetą jak na większości łódzkich blokowisk, a ich beżowe ściany, odświeżone i nieoszpecone bazgrołami, uspokajały Witolda. Uświadomił sobie, że Radogoszcz jest ładniejszy, niż przypuszczał. Ale przez to, że przyjeżdżał tu wyłącznie do Kawęckiego, przeważnie wbrew własnej woli, przeważnie wściekły lub rozdrażniony, trudno było mu dostrzec w tej dzielnicy coś pozytywnego.

– Chcę, żebyś mnie wprowadził – powiedział Witold, nie patrząc na Kawęckiego.

– W co?

– We wszystko. We wszystko, co wiesz na temat tych zabójstw, co podpowiada ci instynkt, co zamierzasz zrobić.

Kawęcki zaśmiał się cicho, obnażając szereg pożółkłych zębów.

– Sądziłem, że nie wierzysz w moją teorię. Że mi nie ufasz. Skąd ta nagła zmiana?

– To nie ma nic wspólnego z wiarą. Uważam, że balansujesz na granicy zdrowego rozsądku i szaleństwa i zdecydowanie zbyt często ją przekraczasz. Ale poza tym możesz mieć rację.

Kawęcki popatrzył na Witolda, który także sięgnął po papierosa.

– Dlaczego chciałeś, żebym przyjrzał się działaniom prokuratury i policji w sprawie Justyny Kepler?

Kawęcki oparł łokcie na krawędzi szachownicy i podrapał się po czole.

– To proste. Żeby dojść do wniosku, że Bernard Lubera nie zabił Justyny Kepler, potrzebowałem zaledwie kilku rozmów i przejrzenia paru raportów. Nie było na to dowodów. Mimo to chłopak został w ekspresowym tempie skazany, a następnie wsadzony do zakładu psychiatrycznego, gdzie nafaszerowano go lekami, które zrobiły z niego warzywo. Nie wyobrażam sobie, żeby do takiej hucpy mogło dojść bez wiedzy prokuratury.

– A jaki z tego wniosek?

– Ktoś miałby wiele do stracenia, gdyby się okazało, że to nie Lubera zabił tę dziewczynę.

Witold bezwiednie pokiwał głową.

– Twoja kolej – oznajmił Kawęcki. – O czym chciałeś mi powiedzieć?

– Znasz się trochę na językach ugrofińskich?

– Ile dla ciebie oznacza „trochę”?

– Czy potrafisz wymienić kilka z nich?

– Fiński, węgierski, estoński.

– Świetnie. A czy wiesz, jakie jest jedno z najpopularniejszych węgierskich nazwisk?

– Oświeć mnie.

– Varga. Czyli Szewc lub Szewczyk. – Witold uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił.

– I co w związku z tym?

– Kilka dni temu widziałem się z Marią Pszoniak. Wspomniała, że któregoś dnia jej mąż przyprowadził do domu jakiegoś chłopaka o ugrofińskim nazwisku. Tym kimś mógł być Adam Varga. Sprawdziłem to. Varga był zatrudniony w Prokuraturze Okręgowej w czasach, kiedy szefował jej Pszoniak, a więc z pewnością się znali. Oficjalnie nie pracowali razem przy żadnej sprawie, ale Pszoniak był na tyle wpływowym człowiekiem, że bez trudu mógł zadbać o to, by nazwisko Varga nie pojawiło się w aktach. Pytanie tylko: po co miałyby to robić?

Kawęcki się zasepił, zawieszając wzrok na młodej matce, która człapała po

chodniku za wyrywającym się do przodu berbeciem. Stukanie zapalniczką o szachownicę nabrało tempa.

– Czy jesteśmy w stanie potwierdzić, że Warga pracował z Pszoniakiem przy sprawie Kepler?

– Już to zrobiłem. Zadzwoiłem do Marii Pszoniak. Przypomniała go sobie, kiedy podałem jego nazwisko.

Kawęcki wbił wzrok w szachownicę, jakby zastanawiał się nad kolejnym ruchem wyimaginowanego pionka.

– To co, powiesz mi wszystko, co powinienem wiedzieć? – nie ustępował Witold.

Kawęcki zapalił kolejnego papierosa. Dopiero po kilku potężnych machach pokiwał głową. Wstał od szachownicy i w milczeniu ruszył w stronę swojego podwórka. Witold z uśmiechem przyklejonym do twarzy podążył za nim.

Jakub Możejko przycisnął ramieniem telefon do ucha. Odpiął ładowarkę laptopa, umieścił go na kolanach i obrócił się na krześle o sto osiemdziesiąt stopni.

– Słucham – powiedział.

Włączył tryb głośnomówiący i odłożył telefon na stół. Słuchał.

– Dewiant, skrzywdzony w dzieciństwie albo naznaczony traumą w młodości. Mężczyzna po trzydziestce, raczej przed pięćdziesiątką. Impotent albo osoba zmagająca się z rzadkim, choć znanym i piętnowanym przez społeczeństwo problemem seksualnym, być może okaleczona fizycznie. Nadaża pan?

Możejko widział oczami wyobraźni, jak profesor Wiesław Wasilewski przygryza oprawki okularów i ze skrzyżowanymi nogami wymachuje stopą w skórzanym czerwonym bucie. Jak z okien swojego gabinetu spogląda na warszawski park Szcześliwicki, gdzie o tej porze kręcą się jedynie staruszkowie, matki z dziećmi i wagarowicze. Jak krótkim gestem odsyła asystentkę, która weszła do jego gabinetu, żeby poinformować go o kolejnym pacjencie. Jak uśmiecha się na myśl o tym, że swoją nieocenioną wiedzą na temat zaburzeń psychologicznych może podzielić się z kimś, kogo to rzeczywiście interesuje, a nie ze znudzonymi studentami bezmyślnie robiącymi notatki.



– Tak, proszę mówić.

– Z całą pewnością paranoik, introwertyk, samotnik. Rzucający się w oczy, a zarazem pozostający w cieniu niczym duch. Prawdopodobnie oddający się indywidualistycznej pasji. Dawniej bezskutecznie poszukujący akceptacji, dziś dążący jedynie do osiągnięcia uznania. Gotowy oddać życie w zamian za złężnione spojrzenia ludzi.

– Mhm – mruknął Możejko, ekspresowo uderzając w klawiaturę. – Miejsce zamieszkania, zawód?

– Duże miasto, ono daje mu najwięcej możliwości. Ale nie czuje się w nim dobrze, dlatego wybiera jego obrzeża. Prawdopodobnie mieszka w wolno stojącym domu, raczej nie w bliźniaku. Ewentualnie w bloku, otoczony emerytami, którzy zapytani przez policję powiedzą, że był wyjątkowo spokojnym i bezproblemowym sąsiadem, miłym młodym człowiekiem. Zawód? Dobrze płatny i niewymagający interakcji z ludźmi albo taki, w którym interakcje mają bardzo jednostronny charakter, a on zajmuje dominującą pozycję. Programista, analityk finansowy, księgowy, naukowiec. Ale równie dobrze może być lekarzem, wojskowym, duchownym lub windykatorem.

– Ma pan coś jeszcze?

– Na podstawie informacji, które dostałem od pana, trudno o dalej idące wnioski albo bardziej precyzyjne sądy. Właściwie powinien pan potraktować to, co panu powiedziałem, jako zabawę, zgadywanke. Ludzie są zbyt skomplikowanymi istotami, żeby na podstawie krótkiego opisu, bez co najmniej kilkudziesięciu godzin rozmów, trafnie ich scharakteryzować. A tym bardziej gdy mamy do czynienia z osobowością dyssocjalną. Ale tego nie muszę panu tłumaczyć.

– Oczywiście – przyznał Możejko.

– To ma być do książki, tak?

– Zgadza się.

– Już chyba zawsze będzie mnie dziwić, dlaczego ludzie chętniej sięgają po beletrystykę kryminalną niż po fachowe opracowania psychologiczne. Przecież one są o niebo ciekawsze!

– Nieprzerwanie z tego samego powodu, panie profesorze. Lubimy bać się na niby. Najbrutalniejsza fikcja jest łagodniejsza od delikatnej prawdy.

Możejko zakończył rozmowę i przejrzał przygotowaną przez profesora listę. Zestawił ją z kilkoma sąsiednimi listami, pogrubiał wybrane fragmenty i zapisał dokument na dysku. Odłożył laptopa na biurko. Sięgnął po telefon i wybrał kolejny numer.

Za oknem było już ciemno, kiedy Alicja zapisała plik z tekstem i ziewając, przeciągnęła się na krześle. Rozejrzała się po redakcji, w której oprócz niej znajdował się jedynie wieczorny dyżurant, naprzemiennie wrzucający depeche agencji informacyjnych na stronę „Expressu Łódzkiego” i kompulsywnie przeglądający Facebooka i Allegro. Jeszcze niedawno robiła to samo co on, zastanawiając się, kiedy – o ile w ogóle – zacznie zajmować się czymś poważniejszym i bardziej ambitnym, czymś kreatywnym i przynoszącym wyzwanie, a nie wymagającym jedynie sprawnych palców. Zmiany nadeszły szybciej, niż się spodziewała.

Zamknęła laptopa, chwyciła kubek i poszła z nim do kuchni. Uruchomiła ekspres do kawy i jego warkot wypełnił pomieszczenie. Czekając na cappuccino, opierała się o żółtą ścianę i z rękoma schowanymi w kieszeniach wpatrywała się w zaostrome czubki swoich butów.

Próbowała myśleć o zabójstwie Martyny Bułeckiej, o policji, która w dziwny i tajemniczy sposób prowadziła śledztwo, o matce Bułeckiej, która zrugła ją przez telefon, o tekście, który musiała dokończyć, oraz o zbliżającym się deadline. Ale wszystkie jej pytania i zmartwienia schodziły na dalszy plan, ponieważ nie potrafiła przestać myśleć o Możejce. O jego osobliwym zachowaniu, zaskakującej mieszance elegancji, wyniosłości i chamstwa, z której był ulepiony. O jego uwodzicielskim spojrzeniu i uśmiechu, który widziała już w kilkunastu odsłonach. Fascynowało ją to, że nie potrafi go rozgryźć. Jakby był jedną wielką pociągającą zagadką, która wkradła się w jej życie i być może zamierza w nim zostać na dłużej.

– Dobrze, że jesteś. – Najpierw usłyszała głos, potem zobaczyła twarz, odwrotnie niż przy uderzeniu pioruna. – Masz chwilę?

Marek Bachniarz stanął w progu kuchni i spojrzał na Alicję znad opuszczonych na czubek nosa okularów. Miał na sobie koszulę z rozpiętym górnym guzikiem i podwiniętymi rękawami. Po raz pierwszy widziała go w biurze bez marynarki.

– Właśnie robię kawę – odparła, przekrzykując dławiący się ekspres. – Potem muszę skończyć tekst.

Bachniarz spojrzał na zegarek.

– Dużo ci jeszcze zostało?

– Już kończę. Potrzebuję kilkunastu minut.

– To dobrze. Weź kawę i chodź do mojego gabinetu.

Alicja wsypała cukier do kawy, dokładnie zamieszała i ruszyła do pokoju szefa.

– Zamknij drzwi – powiedział Bachniarz. – Usiądź.

Zdjął okulary i położył je na biurku. Przetarł oczy, robiąc przy tym minę, jakby niechcący je wydrapał. Popatrzył na Alicję i wydusił z siebie sztuczny uśmiech.

– Powiedz mi coś o sobie.

– A co chciałbyś wiedzieć?

– Wszystko. Skąd pochodzisz? Gdzie mieszkasz? Czy masz partnera? Albo partnerkę. Czy ciąży ci kredyt? Co zamierzasz robić za dziesięć lat?

Alicja przyglądała się szefowi coraz bardziej zmieszanym wzrokiem.

– Czy ma to jakiś związek z pracą?

– Wyłącznie z pracą.

– Dobrze – odparła po chwili wahania. – Pochodzę z Łodzi. Mieszkam na Teofilowie w wynajętym mieszkaniu. Kończę spłacać kredyt studencki. Za dziesięć lat chciałabym nadal pracować w mediach, tyle że już na redaktorskim stanowisku. I nie, nie mam partnera. Ani partnerki.

Bachniarz pokiwał głową, jak gdyby właśnie potwierdziła wszystko, co o niej wiedział. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju ulgi.

– Dlaczego o to pytasz?

Naczelny głośno westchnął i ponownie założył okulary. Przez dobre kilkanaście sekund wpatrywał się w milczeniu w ekran komputera. Pomieszczenie wypełnił odgłos klikania myszki i jego chrapliwego oddechu.

– Spójrz na to – powiedział, przekrzywiając monitor tak, by Alicja mogła zobaczyć, co się na nim znajduje. – Poznajesz tych ludzi?

Ujrzała zdjęcie trzech mężczyzn, zapewne niewiele starszych od niej. Ubrani w garnitury, pozowali do fotografii, która prawdopodobnie została potem przesłana do wszystkich mediów biznesowych w kraju wraz z informacją o dokonaniu jakiejś ważnej transakcji.

– Nie, choć ten z lewej wygląda znajomo – powiedziała.

– Masz dobre oko. To Ksawery Woźniak, syn Zygmunta, prezesa naszego wydawnictwa. Poznałeś go kiedyś?

– Parokrotnie słuchałam jego przemówień na imprezach firmowych.

– Ciekawy człowiek. Zaskakująco skromny i wesoły jak na kogoś zajmującego takie stanowisko. Jest chyba pierwszym prezesem, który przyjmując mnie do pracy, nie podkreślał na każdym kroku, jak ważna jest dla niego jakość gazety, lecz powiedział uczciwie, że liczą się jedynie wyniki finansowe. Uznałem jego szczerłość za dobrą monetę.

Bachniarz wskazał palcem mężczyznę po prawej stronie.

– Tego faceta pewnie nie kojarzysz.

Alicja pokręciła głową.

– Nazywa się Adam Dębiec. W zasadzie wiem o nim tylko to, że wraz z młodym Woźniakiem studiował ekonomię na Uniwersytecie Łódzkim i że zaraz po studiach założyli firmę. Tworzą jakieś aplikacje dla niewidomych lub coś w tym stylu. – Bachniarz wyprostował się w fotelu i spojrzał na Alicję. – Wiem również, kim jest jego ojciec Janusz.

Organizm Alicji zareagował szybciej niż jej umysł. Zanim uświadomiła sobie, kim jest Janusz Dębiec, przeszył ją paralizujący chłód.

– Inspektor Janusz Dębiec jest komendantem wojewódzkim policji w Łodzi – kontynuował Bachniarz. – To oficjalnie i nieoficjalnie najważniejsza osoba w łódzkiej policji, a przy okazji człowiek o rozległych koneksjach w świecie polityki, biznesu i jak się okazuje – również mediów. Kilkadziesiąt minut temu dowiedziałem się, że co sobotę grywa w squasha z Zygmuntem Woźniakiem.

Poznali się poprzez swoich synów i najwyraźniej się zakumplowali.

Spojrzał na ściągniętą przerażeniem twarz Alicji, zastanawiając się, czy ona już wie, co się za chwilę wydarzy.

– Żałuję, że nie wiedziałem o znajomości Woźniaka z Dębciem wcześniej. Wówczas nie musiałbym się z nim dzisiaj spotykać i oglądać jego wybielonych zębów. I nie przekonałbym się, że jednak nie tylko wynik finansowy się dla niego liczy. A teraz bym się nie martwił, czy będziesz miała co ze sobą zrobić.

Alicja trawiła słowa Bachniarza, wpatrując się w zdjęcie trzech odzianych w drogie garnitury mężczyzn, nienaturalnie szczerzących się do obiektywu. Redaktor naczelny przyglądał się swojej podwładnej i czekał, aż kolejne informacje – spadające na nią znikąd, zaskakujące, nokautujące – osiądą w jej umyśle.

– Wiesz, co to oznacza?

Wiedziała, ale nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku. Pokiwała nerwowo głową i przyssała się do kubka z kawą. Jakby to kofeina była jej w tym momencie najbardziej potrzebna.

– W ciągu kilkadziesiąt lat pracy wyrobiłem sobie sporo kontaktów. Popytam w różnych miejscach. Rynek jest trudny i w większości redakcji są cięcia, ale dla młodej i ambitnej dziewczyny, której nazwisko pewnie obięło się o uszy ludziom z branży, powinno znaleźć się miejsce. Zrobię co w mojej mocy, żebyś nie została na lodzie.

– Mój tekst był bez zarzutu – odparła Alicja, z trudem wypychając słowa z gardła i przyjmując chłodne spojrzenie szefa. – Wszystkie informacje, które się w nim znalazły, były prawdziwe. Nawet rzecznik policji to później potwierdził.

Bachniarz, przygryzając wargi, wolno pokręcił głową.

– To nie ma żadnego znaczenia. Mógłby to być nawet materiał na Pulitzera. Jednak żeby coś takiego opublikować, trzeba mieć albo silne plecy, albo czysty horyzont. My, jak się okazuje, nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego.

Alicja się nie poddawała.

– Jeśli zostanę teraz zwolniona, ludzie skojarzą, że ma to związek z artykułem.

– Zgadza się. Będzie to zupełnie oczywiste, ponieważ w jutrzejszym numerze

zamieścimy sprostowanie i przeprosiny.

– Za co? Za prawdę?

Bachniarz znów zdjął okulary i ponownie wetknął paluchy w oczy, głośno przy tym wzdychając.

– Woźniak bardzo wyraźnie dał mi do zrozumienia, że mam się ciebie pozbyć. Jeśli cię to pocieszy, to mnie prawdopodobnie także zamierza wyrzucić.

– A jeśli pójdę z tym do telewizji albo do innych gazet?

– Nie pójdziesz. A jeżeli to zrobisz, to już nigdy nie znajdziesz pracy w branży. To mogę ci zagwarantować.

Wbił w Alicję zimne spojrzenie. Po chwili wydobył z kieszeni wibrujący telefon i mrużąc oczy, spojrzał na wyświetlacz.

– Muszę odebrać. Dzwoni prezes – oznajmił Bachniarz. – Nie zapomnij o kawie.

Pozbawionym wyrazu wzrokiem odprowadził Alicję do wyjścia.

Wiedział, że ta chwila w końcu nadejdzie. Wielokrotnie ją sobie wyobrażał. Myślał, co wtedy powie, jak się zachowa, jaką przybierze pozę, co zrobi z rękoma. Często stawał przed lustrem i obserwował swoją mimikę. Ćwiczył. Wiedział, że jest świetnie przygotowany do roli. Mimo to czekał na swój występ z ekscytacją dziecka, któremu obiecało się coś, w co nie do końca wierzy.

Kobieta przedstawiła się jako sierżant Magdalena Giętka. Miała zaniedbane włosy z wyraźnymi ciemnymi odrostami, chudą twarz i wyłupiaste oczy. Wyglądała na osobę skrajnie zmęczoną. Albo przesadzającą z alkoholem. Albo taką, która płakała zbyt długo, by zwyczajny makijaż był w stanie zatuszować obrzęk powiek.

Nie powiedziała, w jakim wydziale pracuje. Być może celowo, być może z roztargnienia. Nie od razu wyjaśniła, w jakiej sprawie przyszła, ale krótkimi, urywanymi uśmiechami, przywodzącymi na myśl tiki nerwowe, zdradziła, że jest zakłopotana obecnością w jego mieszkaniu.

– Czy coś się stało? – zapytał, opierając dłonie na biodrach i nieznacznie otwierając usta.

– Mam nadzieję, że nie. Muszę jednak zadać panu kilka pytań w związku ze

śledztwem, które prowadzimy.

Zabawne, że choć obcowanie z ludźmi traktował jako przykrą konieczność, nauczył się dogłębnie ich analizować. Wyławiając drobne ruchy, ledwo zauważalne gesty, tembr głosu i dobór słów, potrafił stworzyć całkiem precyzyjny obraz człowieka. W tym przypadku był to portret kobiety, która szczerze przeprosza go za najście, nie sądząc, by miało ono jakikolwiek sens. I nie czuje wystarczająco mocnego związku z prowadzonym śledztwem, aby mogła mówić o nim jak o swoim własnym, albo jest zbyt przejęta innymi sprawami, by w pełni mu się poświęcić.

– Ależ oczywiście – odparł lekko drżącym głosem. – Zapraszam.

Poprowadził ją przez długi przedpokój, który w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin zmienił się nie do poznania. Nagie parapety wypełniły orientalne zdobienia, pomiędzy dwoma nagimi fotelami pojawił się stolik kawowy, z uchylonej szafy wystawał odkurzacz, a w rogu korytarza stanęła potężna difenbachia z imponującymi dwukolorowymi liśćmi. W salonie, do którego prawie nie zaglądał, znalazł się laptop, sterta książek i kilka specjalistycznych magazynów. Na ścianie zawisała nieużywana na co dzień pięćdziesięciocalowa plazma, od której większe wrażenie robiła jedynie designerska lampa, będąca jednym wielkim zawijaszem zwieńczonym żarówką i abażurem. Pomieszczenie zaczęło wybrzmiewać nieznanym sobie przepychem.

Wskazał policjantce krzesło. Chciał, żeby na nim usiadła, ale ta w roztargnieniu wybrała okryty kocem fotel. Sam zatem, nieznacznie kulejąc, doczłapał do krzesła. Policjantka położyła torebkę na szklanej ławie, która ich oddzielała, i wyjęła notatnik z wystającymi kilkunastoma kolorowymi karteczkami. Otworzyła go na ostatniej stronie.

– Kawy? Herbaty?

Magda pokręciła głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza długo zabawić.

– W takim razie jak mogę pani pomóc?

– Jak pan być może słyszał, niedawno została w Łodzi zamordowana młoda

dziewczyna. Nazywała się Martyna Bułeczka. Policja prowadzi szeroko zakrojone śledztwo w tej sprawie. W związku z nim chciałabym zadać panu kilka pytań.

Przybrał maskę. Zdziwionego, zaniepokojonego człowieka z szeroko otwartymi, niedowierzającymi oczami. Jedną z wielu, które przygotował na jej wizytę. Kilkukrotnie poruszył nerwowo ustami. Jak człowiek, który nie potrafi ubrać myśli w słowa.

– Nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek ze mną.

– Wyjaśnię to panu, ale najpierw chciałabym zadać panu kilka pytań.

Wzruszył ramionami.

– Proszę pytać. Może jakoś pomogę.

Magda ściągnęła skuwkę z długopisu.

– Gdzie pan był w ostatnią sobotę około południa?

Zamyślił się i spojrzał w punkt, w który zamierzał patrzeć po każdym pytaniu policjantki. Chciał jej zasugerować, że szuka odpowiedzi w zakamarkach swojej pamięci, zamiast wyteżać wyobraźnię i próbować oszukiwać. W gruncie rzeczy tak robił. Był przygotowany na każde jej pytanie. Musiał jedynie odgrzebać jedną z kilkudziesięciu spreparowanych wcześniej odpowiedzi.

– Wydaje mi się, że byłem wtedy w centrum miasta. Na Jaracza.

– Co pan tam robił?

– Byłem w antykwariacie. Kupiłem dwie książki o filozofii współczesnej.

– Gdzie dokładnie znajduje się ten antykwariat?

– Na rogu Jaracza i Piotrkowskiej. Tylko proszę nie pytać o jego nazwę, bo jej nie pamiętam.

– Czy może pan to udowodnić?

– To, że byłem w antykwariacie? – zdziwił się. – Pewnie nie znajdę paragonu, ale mogę pani pokazać książki, które kupiłem. Poza tym sprzedawca powinien mnie pamiętać. Raczej nie ma zbyt wielu klientów. A do tego łatwo mnie zapamiętać – stwierdził, klepiąc się po brzuchu, który nie tyle odstawał od reszty ciała, ile uzupełniał jego zwalistą sylwetkę.

– Rozumiem. Jakie książki pan czyta?



Dostrzegł, że dopiero teraz policjantka zaczęła mu się przyglądać z wyteżoną uwagą, niemal wbijając w niego wzrok.

– Różne. Chyba najwięcej filozoficznych. Lubię Hume’a, Schopenhauera, Kotarbińskiego. Mogę pani pokazać, co czytam.

– Nie trzeba.

Magda dała mu znak ręką, żeby nie wstawał. Wpatrywała się w regał z książkami, próbując dojrzeć jakieś tytuły. Jej wzrok przykuł *Księżę Machiavellego*.

– A psychologiczne? Czyta pan książki psychologiczne?

– Tylko jeśli psychologia jest elementem filozofii.

– A kryminały lub thrillery?

– Raz na jakiś czas, jeżeli akurat coś mi wpadnie w rękę.

– Czy pochodzi pan z Łodzi?

– Nie, urodziłem się w Częstochowie.

– A słyszał pan o Jakubie Możejce?

Długo wpatrywał się w niewidzialny punkt na ścianie, dziwnie przy tym wyginając usta.

– Nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę go z nikim skojarzyć.

– To pisarz. Pochodzi z Łodzi i specjalizuje się w kryminałach i thrillerach, często o mocno psychologicznym zabarwieniu. A pytam o niego, ponieważ widzieliśmy pana pod jego mieszkaniem.

Wywinął dolną wargę i pokręcił głową.

– Przykro mi, nawet nie wiem, gdzie mieszka ten człowiek.

Policjantka przyglądała mu się długo i nachalnie. Przerwa między zębami trochę odbierała jej powagi. W końcu chrząknęła i zanurkowała do kieszeni. Wydobyła z niej zdjęcie.

– Czy widział pan kiedyś tę osobę?

Wziął do ręki fotografię. Spojrzał na nią, żeby zyskać trochę czasu, po czym podniósł się z krzesła. Podszedł do regału i spomiędzy książek wyciągnął etui z okularami, których do niczego nie potrzebował. Założył je i ponownie usiadł na

krzesła. Zerknął na zdjęcie mężczyzny, którego fotografie zajmowały kilkanaście stron w jego własnym notatniku.

– Obawiam się, że nie. Czy to ten pisarz?

Podniósł głowę i napotkał jej oczy: jeszcze czujniejsze niż wcześniej, zaciekawione, poszukujące odpowiedzi. Zdradzające, że gra i że z jej gry na razie niewiele wynika. Z takimi oczami nie powinna siadać przy pokerowym stole.

– Nie, to nie on.

Zabrała mu zdjęcie i schowała je z powrotem.

– Czy tamtego dnia widział pan coś dziwnego?

– Wtedy, kiedy byłem w antykwariacie?

Kiwnęła głową. Jej oczy zdradzały rezygnację. Zadawała mu pytania wyłącznie po to, żeby nie musieć milczeć. Zdjął okulary i głośno westchnął. Chwilę później pochylił się w stronę policjantki.

– Czy mają państwo podejrzanego? – zapytał, ścisząc głos.

– Dlaczego to pana interesuje?

– Bo tamtego dnia, zaraz po wyjściu z antykwariatu, widziałem kogoś dziwnego. – Zamilkł z otwartymi ustami, jak gdyby miał problem ze złapaniem oddechu. – To był mężczyzna, chyba dość młody. Zwróciłem na niego uwagę, bo miał strasznie pokancerowaną głowę. Był łysy jak kolano, a przez to jego rany bardzo rzucały się w oczy.

Odsunął się. Zamilkł. Udawał, że łąpie powietrze.

– Czy to mógł być on? – zapytał.

– Nie sądzę.

Widział, jak jej chwilowy entuzjazm gaśnie. Jak zaczyna do niej docierać, że się wygłupiła. Nawet nie próbowała udawać zainteresowanej jego spostrzeżeniem.

– Ten facet wyglądał niebezpiecznie. Jak ćpun, który gotów jest zrobić wszystko, byleby dostać działkę. Zapomniałem o nim, ale gdy pani zapytała, czy widziałem coś dziwnego...

– Rozumiem. Bez obaw. To na pewno nie jest człowiek, którego szukamy.

Osunął się na oparcie krzesła. Głośno wypuścił powietrze.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziała Magda. – A właściwie dwa. Czy ma pan psa?

Zawiesił wzrok na wybranym wcześniej punkcie, ale kątem oka dostrzegł, że zamknęła notatnik. Niezapisany. Nietknięty.

– Niestety, nie. Bardzo bym chciał, ale mam alergię na sierść. Kiedy byłem dzieckiem, miałem psa. Moje oczy nieustannie łzawiły, a rodzice się zastanawiali, dlaczego tak się dzieje. Dopiero jako dorosły zrobiłem sobie testy alergiczne i odkryłem, co mi dolega.

Policjantka już go nie słuchała. Patrzyła na niego, ale myślami była gdzie indziej.

– A drugie pytanie?

Wyglądała na zaskoczoną. Chyba zapomniała o pytaniu.

– Co się panu stało w nogę?

Westchnął. Uśmiechnął się krzywo.

– Chce pani usłyszeć długą czy krótką wersję?

– Krótka w zupełności wystarczy.

– Wiele lat temu złamałem nogę, a pewien niekompetentny lekarz źle mi ją złożył.

Policjantka chwyciła notatnik obiema dłońmi. Przyciągnęła go do piersi. Uśmiechnęła się tak, jakby poruszanie mięśniami twarzy zadawało jej ból.

– Współczuję – powiedziała. – No cóż, domyślam się, że to spotkanie mogło wydawać się panu dziwne. Pozostawię pana z wieloma pytaniami i niewieloma odpowiedziami, ale na tym etapie śledztwa nie możemy nikomu zdradzać zbyt dużo. Musimy natomiast sprawdzać wszystko, co odbiega od normy. Pana obecność w tamtym miejscu była dla nas czymś nietypowym.

Kiedy mówiła, energicznie kiwał głową. Gdy skończyła, bezradnie rozłożył ręce.

– Rozumiem, choć nie ukrywam, że napędziła mi pani stracha. – Zaśmiał się nerwowo. – Nie spodziewałem się, że policja kiedyś zapuka do moich drzwi.

Policjantka wstała i po raz ostatni przyjrzała się pokojowi. Z pewnością

wyczuwała w nim zgrzyt, ale nie potrafiła go wskazać.

– Mieszkam tu od ponad dziesięciu lat i jeszcze się nie zdarzyło, żeby policja o coś mnie pytała. Okolica jest spokojna, sąsiedzi mili, a młodzież imprezuje na tyle cicho, że emeryci nie mają powodu was wzywać.

Zaśmiał się, głośno i chrapliwie, jak ktoś, kto nie nawykł do śmiechu. W jego rechocie zniknęły kroki policjantki idącej przez przedpokój.

– Żałuję, że nie jestem w stanie pomóc.

Magda westchnęła i przekrzywiła głowę.

– A ja przepraszam pana za najście.

Uścisnęła jego dłoń. Wyszła. Z zadowoleniem odnotował, że tylko raz użyła jego nazwiska. Zapewne gdy tylko skończy się dzień, wyrzuci je z pamięci obciążonej stertą bezużytecznych informacji. Wypluje jak paproch, który przykleił się jej do mózgu. I nie będzie się nikomu chwalić, kogo odwiedziła poza godzinami pracy.

Zamknął za policjantką drzwi. Spojrzał na zegarek. Piętnaście minut. Podeszedł do okna i odprowadził ją wzrokiem do samochodu. Począł, aż odjedzie. Potem sięgnął po telefon.

**J**ak mogę panu pomóc?

Uwielbiał zadawać to pytanie. Uwielbiał świadomość, że ludzie, którzy musieli na nie odpowiedzieć, dostrzegali w nim nadzieję. Zupełnie jakby powodowała nim szczerą chęć niesienia pomocy. U większości jego klientów to niewinne pytanie wywoływało niczym nieuzasadnioną radość. Uwielbiał czuć, że ci wszyscy naiwni ludzie – czasem przypominający śródmiejskich łachmaniarzy, których widywał w drodze do pracy, a czasem noszący garnitury Brioni i zegarki Tissota – gotowi są wręczyć mu worek z pieniędzmi wyłącznie za to, że w ich mniemaniu chce im pomóc.

Uwielbiał ludzką głupotę.

– Zostałem pobity – odparł mężczyzna. – Przez policjantów.

Mariusz Zakrzewski pochylił się na fotelu, zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się człowiekowi, który siedział po drugiej stronie biurka. Przyjął go w swoim gabinecie, wyrywając kilkanaście minut z napiętego grafiku, ponieważ zaufał przecuciu. Coś mu podpowiadało, że ten człowiek opowie mu ciekawą historię. Taką, którą dwie skłócone ze sobą strony przedstawiają zupełnie inaczej. I to nie

dlatego, że kłamią lub próbują coś ukryć, ale z powodu emocji, jakie mieszają im w głowie. Sprawiają, że wypływane przez ich umysły obrazy stają się hybrydą wspomnień i wyobrażeń, rzeczywistości i fantastyki. Jak w realizmie magicznym.

A on uwielbiał prozę Márqueza.

– Jak do tego doszło?

– Stało się to trzy dni temu przed wejściem do hotelu Andel's. Byłem na spotkaniu z inwestorem, które przeciągnęło się do wieczora. W pewnym momencie wyszedłem przed budynek, żeby się przewietrzyć. Żeby zapalić papierosa i zebrać myśli. Obok mnie przechodzili dwaj policjanci. Zapytałem ich o godzinę, ponieważ telefon i zegarek zostawiłem w hotelu. Okazało się, że tyle wystarczy, żeby te zwierzęta rozwścieczyć. – Mężczyzna ściągnął czapkę, spod której wyłoniła się łyśa głowa z potężną szramą. – Samo pobicie nie jest jednak najgorsze. Najgorsze jest to, że doszło do niego na oczach człowieka, z którym prowadziłem bardzo zaawansowane rozmowy biznesowe. Przyglądał się całemu zajściu z hotelowego okna. Zanim wyszedłem na papierosa, zgodził się wesprzeć mój projekt. Ale po tym zajściu stracił entuzjazm. Wczoraj rano wycofał swoją deklarację.

Zakrzewski zanotował kilka informacji w eleganckim skórzanym zeszycie. Uważnie przyjrzał się mężczyźnie.

– Czy dobrze rozumiem, że większym problemem jest dla pana zerwanie rozmów z inwestorem niż samo pobicie?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Jaką kwotę pan stracił?

– Inwestor zgodził się na trzysta tysięcy złotych, za które miał objąć dwadzieścia pięć procent udziałów w mojej firmie.

– I zależy panu na tym, żeby uzyskać odszkodowanie, które przynajmniej częściowo zrekompensuje panu tę stratę?

– Cieszę się, że nie muszę tego panu tłumaczyć.

Mariusz Zakrzewski próbował się nie uśmiechać i nie okazywać ekscytacji, ale czuł, że jego oczy się śmieją.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Co pan ma na myśli?

– Jeżeli inwestor widział całe zajście, będzie mógł potwierdzić w sądzie pańską wersję wydarzeń. Zakładam, że jest to człowiek o uznanym autorytecie.

– Naturalnie. To osoba często pojawiająca się w prasie ekonomicznej.

– Świetnie. – Mariusz Zakrzewski usłyszał w swoim głosie podniecenie. – Jak przebiegało to spotkanie?

– Spokojnie, w dobrej atmosferze. Od siedemnastej do dwudziestej pierwszej rozmawialiśmy o projekcie, ustalając zakres współpracy i wysokość finansowania, które miałem uzyskać. Potem rozluźniliśmy się i zeszliśmy na prywatny grunt. Odrobinę sobie pofolgowaliśmy.

– Dużo panowie wypili?

Zakrzewski odgarnął z czoła przeredzoną grzywkę. Utrwalił sobie ten nawyk wiele lat temu, kiedy jeszcze uważał, że odmienność jest czymś nieocenionym w jego zawodzie. Wyróżnikiem, który przyćmiewa kompetencje. Długie włosy miały być jego znakiem rozpoznawczym. Wizytówką, którą wyciąga do klientów. Wabikiem na naiwniaków. Ale gdy sobie uświadomił, że jedynie przysporzyły mu kilku osobliwych pseudonimów w środowisku adwokackim, postanowił je ściąć. Pozostał mu po nich tylko ten nawyk.

– Wypiliśmy dwie butelki wina. Kiedy zakończyliśmy oficjalną część spotkania, mój niedoszły partner biznesowy poczęstował mnie kokainą. Czy to problem?

– To zależy. Jeżeli policjanci rzeczywiście zaatakowali pana bez powodu, to nie.

– Tak właśnie było.

– W takim razie nie, to żaden problem. Coś panu opowiem.

Adwokat pochylił się do przodu, przesunął zeszyt na bok i położył splecione dłonie na biurku. Wiara, perswazja, pewność siebie. Te trzy elementy składały się na sukces. Najpierw musiał sprawić, by klient uwierzył, że jest w stanie mu pomóc. Potem wystarczyło przekonać sędziego, że komuś takiemu jak on warto zaufać. A do tego potrzebował pewności siebie. Tę na szczęście wyssał z mlekiem matki.

– Kilka lat temu spotkałem się ze znajomymi, których dawno nie widziałem. Żeby nie marnować czasu na small talk, wciągnęliśmy kilka kresek kokainy

i wypiliśmy parę kolejek wódki. Może paręnaście. Jakiś czas później odwiedziliśmy przybytek, do których tacy ludzie jak my, prawnicy i biznesmeni, nie powinni chadzać. Przynajmniej tak uważa większość społeczeństwa. I tak uważają policjanci. Wynikła z tego dość nieprzyjemna sytuacja, przez co znalazłem się na sali sądowej w roli innej niż zazwyczaj. – Zakrzewski uśmiechnął się chytrze, próbując wywołać jakąkolwiek zmianę na nieruchomej, nieprzeniknionej twarzy mężczyzny. – Myśli pan, że opowiadam o zdarzeniu, które mnie dyskredytuje jako adwokata? Otóż nie. A wie pan dlaczego?

Mężczyzna wciąż milczał i nie poruszał mięśniami twarzy.

– Ponieważ sprawa zakończyła się oczyszczeniem mnie ze wszystkich zarzutów i przyznaniem mi sowitego odszkodowania. A to najlepszy dowód na to, że wiem, jak wychodzić z takich opresji. Wiem, jak naprawiać błędy, które przytrafiają się ludziom naszego pokroju.

– Nie wątpię, panie mecenasie. – Mężczyzna odchylił się na krześle i założył nogę na nogę. – Mogę się do pana zwracać po imieniu? Mariuszu? Albo Mario?

Zakrzewskiemu nie podobał się sposób, w jaki facet wymówił jego imię. Ani to, że je zdrobnił. Ani w ogóle to, że je wymienił. Mimo to się roześmiał.

– Wolałbym utrzymać formalną relację. To lepsze dla biznesu.

– Ale przecież nie zawsze wolisz formalne określenia. – Mężczyzna w końcu się uśmiechnął, ukazując rząd zniszczonych zębów. – Czasem lubisz, gdy mówi się do ciebie Mario. I gdy ciągle się powtarza, że masz wielkiego kutasa.

Zakrzewski odsunął się od biurka. Jego dłonie odruchowo przywarły do oparcia fotela.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wiem też, że tak samo jak kutasem lubisz wywijać rękoma. Szczególnie gdy jesteś nawąchany, a jakaś nastoletnia laseczka nie chce zrobić wszystkiego, na co masz ochotę.

Prawnik zacisnął zęby i z trudem przełknął ślinę. Czuł, że zaczyna się pocić. A mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka nie przestawał się uśmiechać. Wyglądał tak, jakby dopiero się rozkręcał.



– Kim jesteś?

Mężczyzna zanurkował do kieszeni. Położył na biurku legitymację policyjną i przesunął ją w kierunku Zakrzewskiego.

– Człowiekiem, który chce ci pomóc.

Kiedy Witold Ptak pojawił się w Sobocie, Tomek Kawęcki już na niego czekał. Ale nie siedział przy barze jak zazwyczaj, lecz krył się w głębi pomieszczenia – w jego najciemniejszym kącie, do którego ledwo docierało światło dyndającej u sufitu żarówki. Witold zatrzymał się w progu, otrzepał buty z błota i rozejrzał się po wnętrzu. Zlokalizował Kawęckiego i ruszył w stronę jego stolika. Po drodze machnięciem ręki przywitał się z barmanką, która zdążyła się już przyzwyczać do jego obecności. Choć nie na tyle, żeby mu odmachnąć.

– Zamów coś – oznajmił Kawęcki, zanim uścisnął dłoń Witolda. – Cokolwiek, ale najlepiej piwo.

– Bo?

– Gdy tu jesteśmy, zawsze pijesz piwo. Dzięki temu nasze spotkania wyglądają bardziej naturalnie.

– Obawiasz się, że ktoś nas obserwuje?

– Zdziwiłbyś się.

– Dlatego usiadłeś w kącie, z dala od cywilizacji? A może wstydzisz się tego, jak wyglądasz?

– Po prostu zamów piwo.

Witold przyjrzał się Kawęckiemu. Po raz ostatni widział go w garniturze kilka lat temu, na pogrzebie jednego z kolegów. Już wtedy prezentował się w nim dziwnie, jakby ktoś oblekł go nie jego skórą. Ale wówczas garnitur przynajmniej nie zwisał z wymizerowanego ciała.

Chwilę później Witold wrócił do stolika z kuflem zimnego piwa, które niczym magnes przyciągało wzrok Kawęckiego. Usiadł naprzeciw kolegi i splótł ręce na klatce piersiowej.

– Opowiadaj – zakomenderował.

Kawęcki streścił mu przebieg spotkania z Mariuszem Zakrzewskim. Mówiąc,

wyciągnął z kieszeni pogniecioną kartkę, na której wypisał trzy hasła: *Monika Dziewulska, Andrzej Pszoniak i Adam Warga*. Każde z nich otoczył kręgiem, a następnie połączył ze sobą strzałkami.

– Sytuacja robi się zagmatwana, ale to dobrze. Wiemy już, że musimy szukać powiązań nie tylko pomiędzy Dziewulską i Pszoniakiem, lecz również między Pszoniakiem i Wargą oraz Dziewulską i Wargą. Zakrzewski dostał ode mnie dwadzieścia cztery godziny na zebranie informacji na temat tej trójki.

– Czy może się domyślić, dlaczego się nimi interesujemy?

– Nie sędzę. Pewnie myśli, że zamierzamy rozpocząć krucjatę przeciwko łódzkim prokuratorom. Albo że chcemy odnaleźć Dziewulską. W najgorszym wypadku zauważy, że sprawa Justyny Kepler została fatalnie poprowadzona. Wątpię jednak, żeby znalazł jakąś nić łączącą ją z zabójstwem Martyny Bułeckiej.

Witold zmarszczył brwi. Przełknął duży łyk piwa i odchrząknął.

– Wybacz, trudno jest mi ekscytować się tym, że możemy mieć do czynienia z seryjnym zabójcą. W dodatku wywodzącym się ze środowiska prawniczego.

– Tego nie wiemy. Podejrzewamy jedynie, że Pszoniak nie poprowadził z należytą starannością śledztwa w sprawie zabójstwa młodej kobiety, pochopnie przypisując je chłopakowi, którego pewnie oskarżyłoby dziewięciu na dziesięciu prokuratorów. Zakładamy, że ma to jakiś związek ze zniknięciem Dziewulskiej. I że w to wszystko zamieszany jest Warga, co uświadomiłeś sobie, kiedy oglądałeś jakieś dzieciaki biegające po boisku. – Kawęcki zapalił papierosa, wypuścił dym kątem ust i rozejrzał się po lokalu. – Zakrzewski albo wyciągnie dla nas informacje, do których sami byśmy nie dotarli, albo rzuci nam ochłap, żebyśmy się od niego odpieprzyli.

Witold przesunął kufel z lewej na prawą stronę stolika i z powrotem. Zauważył, że Kawęcki chciwie podąża za nim wzrokiem. Przypomniał mu się kot z domu rodziców. Czarny, tajemniczy, zawsze czujny. Uważnie obserwował każdy poruszający się przedmiot. Ale rzucał się na niego dopiero wtedy, kiedy nikt nie patrzył.

– Jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego wciskałeś Zakrzewskiemu te głodne

kawałki o inwestorze i zatrzymaniu przez policję? Przecież jak już zostałeś wpuszczony do jego biura, mogłeś mu od razu powiedzieć, co na niego mamy, i nakłonić go do współpracy. Nie musiałeś odstawiać szopki.

– Chciałem zobaczyć, jak spada z wysokiego konia. Jak jego euforia zamienia się w rozpacz. Nie zrobiłem tego dla dobra sprawy, lecz dla siebie. Dla frajdy. To, że ścigam złych ludzi, nie znaczy, że jestem dobrym człowiekiem.

Kawęcki uśmiechnął się pod nosem. Przekrzywił się na krześle, żeby dojrzeć, co się dzieje za szerokimi plecami Witolda. W lokalu pojawili się dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach. Wysoki i niski. Zamówili po piwie. Usiedli niedaleko drzwi i w milczeniu zaczęli opróżniać kufle.

– Co teraz? – zapytał Witold.

Kawęcki wyprostował się i mocno zaciągnął papierosem.

– Dalej będę szukać związku pomiędzy tymi zabójstwami. A ty zajmiesz się wątkiem prawniczym. Będzie ci łatwiej dogadać się z Zakrzewskim. Mnie chyba nie polubił. À propos ludzi, którzy mnie nie lubią: co słyhać u Szczebiota?

Witold wzruszył ramionami.

– Poza tym, że łązi po komendzie zasmarkany i zakichany, zostawiając wszędzie zarazki, i usilnie próbuje znaleźć coś na Możejkę, to nic nowego.

– Nie zastanawia cię, dlaczego tak się uczeplił Możejki?

– Pewnie go nie lubi.

Kawęcki pokręcił głową.

– Szczebiot to karierowicz. Potrafi się zdystansować od swoich sympatii i antypatii. A to oznacza, że albo wie coś, czego my nie wiemy, w co akurat wątpię, albo ktoś skutecznie mu wmawia, że powinien skupić się na Możejce.

– Nie sądzisz, że to trochę naciągane?

– To, że ktoś steruje Szczebiotem? – zdziwił się Kawęcki. – Ani odrobinę. A co słyhać u Magdy? Tęskni za moim towarzystwem?

– Wątpię. Wspólnie ze mną i Arturem przesłuchuje facetów, którzy korzystali z usług Bułeckiej. Wszyscy mamy mnóstwo pracy i widzimy się głównie na odprawach. Szukanie zabójcy najwyraźniej idzie Magdzie równie nędznie jak nam.

– Nie dziwię się.

Witold nie wiedział, co Kawęcki ma na myśli. Ale też nie chciał tego wiedzieć.

Kawęcki sięgnął po elegancką skózaną aktówkę, którą wygrzebał z szafy specjalnie na spotkanie z Mariuszem Zakrzewskim, i położył ją na kolanach. Przez kilka sekund męczył się z zapięciami. W końcu wyciągnął fotografię i położył ją na stole.

– Kurwa, nie pokazuj takich rzeczy bez ostrzeżenia. – Witold rozejrzał się na boki, żeby się upewnić, czy tylko jego spotkała ta niemiła niespodzianka. – Byłem na miejscu zbrodni. Widziałem to. Po co mi to pokazujesz?

– Nie przypomina ci to układanki?

Witold nie patrzył na zdjęcie. Patrzył na Kawęckiego, który hipnotycznie wpatrywał się w fotografię rozrzuconych po pokoju części ciała Martynty Bułeckiej.

– Nie, to mi przypomina wyłącznie rzeźnię. Czy ty naprawdę widzisz tu puzzle?

– Sam nie wiem. Chociaż chyba bardziej sobie wmawiam, że coś tu widzę, niż rzeczywiście to widzę. – Kawęcki pokręcił głową. – Ale nie wierzę, że jesteśmy geniuszami, którzy zauważyli coś, co wszyscy nasi poprzednicy przeoczyli. Prędzej uwierzę w to, że zabójca chciał się komuś pochwalić tym, co zrobił. Albo podświadomie szuka kogoś, kto pomoże mu przestać. Padło na nas. Traf chciał, że od lat śledzę wszystkie chore zbrodnie w okolicy i skojarzyłem Bułecką z innymi przypadkami. A może to wcale nie był przypadek?

Kawęcki przekrzywił głowę. Potem podniósł fotografię na wysokość oczu.

– Czasem gdy patrzę na to zdjęcie, dostrzegam w nim harmonię. Efekt precyzyjnych cięć człowieka, który próbuje nam coś przekazać. Wtedy zastanawiam się, co autor miał na myśli. Ale gdy nie mogę nic wykombinować, dochodzę do wniosku, że to zwyczajna makabra, którą stworzył dla własnej przyjemności. Żeby sobie zwalić konia na widok rozcłonkowanego ciała. A potem powtórzyć to w domu, oglądając je na zdjęciach lub filmie. – Kawęcki schował fotografię do aktówki. – Sam już nie wiem, czy wolałbym, żebyśmy ścigali psychopatę, który wyruszył na jakąś chorą misję, czy zwyczajnego świra, który zabija dla przyjemności. Ale Bułeckiej jest to pewnie obojętne.

Kawęcki uśmiechnął się kwaśno. Zgniół niedopałek w popielniczce i potarł o siebie brudne opuszki palców. Wstał. Ściągnął kurtkę z oparcia krzesła i założył ją na garnitur.

– A ty? – zapytał Witolda. – Co byś wolał?

Witold wygiął usta i apatycznie pokręcił głową.

– Wolałbym wypić piwo i wrócić do domu.

Jedynie, czego obawiała się Magda Giętka, to płacz. Nie przerażała jej gigantyczna kłótnia, do której mogło doprowadzić spotkanie z Filipem. Nie lękała się, że wszystkiego się wyprze i będzie się upierać, że do niczego nie doszło. Nie bała się nawet, że nie będzie w stanie powiedzieć mu wszystkiego, co zaplanowała i wielokrotnie przećwiczyła w myślach. Bała się wyłącznie tego, że się rozryczy. Pozwoli mu się przytulić. Wysłucha jego tłumaczeń. Sprawí wrażenie, że jest w stanie mu wszystko wybaczyć.

Wyłączyła radio i spojrzała na zegarek. Minęło pięć minut, odkąd je włączyła, i piętnaście od chwili, gdy wyłączyła je po raz pierwszy. Zapamiętała to, bo zamiast pojechać do mieszkania i zrobić, co do niej należy, zaśmiecała sobie głowę nieprzydatnymi liczbami i wiadomościami, które oddalały ją od problemu. Wiatr, jakby na zachętę, dmuchał w szyby samochodu, wydając przy tym przykre dla uszu dźwięki. Magda wyobrażała sobie, że próbuje jej w ten sposób dodać odwagi. A przynajmniej wytrząsnąć z niej marazm, który na ponad godzinę przyspawał ją do fotela.

Ale otrzeźwił ją nie wiatr, tylko huk, tak głośny i niespodziewany, że niemal wypluła własne serce.

Odruchowo sięgnęła po broń. Zamiast jednak ją wyciągnąć, zrzuciła kaburę pod siedzenie pasażera. Wtedy otworzyły się drzwi. Człowiek, który chwilę wcześniej uderzył w dach jej samochodu, usiadł na fotelu i powoli schylił się po pistolet.

– Chciałaś mnie zastrzelić? – zdziwił się. – Chyba powinienem się do tego przyzwyczaić.

Magda potrzebowała kilku sekund, żeby dopasować kształt głowy i rysy twarzy do nazwiska. Gdy jej się to udało, zadziałała instynktownie. Złapała zalegające

między fotelami papierki i puszki i przerzuciła je do tyłu. Przynajmniej częściowo udało jej się przykryć dokumenty, które leżały na tylnym siedzeniu.

– Płakałaś – stwierdził Tomek Kawęcki, pochylił się w stronę Magdy i wskazał palcem jej zaczerwienione oczy. – Dawno się nie widzieliśmy, więc zakładam, że nie z mojego powodu.

Wyjął pistolet z kabury, zdjął blokadę i wycelował przed siebie. Z glockiem w dłoni, pokierszowaną łysą głową i twarzą przeoraną bruzdami przypominał Magdzie zbira z polskiego filmu gangsterskiego. Bez pistoletu zresztą też.

– Nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni do kogoś celowałem. Ciekawe, czy jeszcze potrafię strzelać.

– Na pewno nie powinienes. Nie jesteś w pracy.

Kawęcki opuścił pistolet. Zablokował broń i schował do kabury, którą następnie oddał Magdzie. Pospiesznie włożyła ją do kieszeni w drzwiach.

– To prawda, jestem na zwolnieniu. I jest mi źle z tego powodu. Czuję, że zamiast snuć się po mieście, powinienem szukać człowieka, który dokonał brutalnego zabójstwa. Ty także powinnaś się na tym skupić, zamiast wysiadywać pod moim domem.

Magda spojrzała na Kawęckiego, który uśmiechał się do niej kpiąco. Próbował ją sprowokować. Sprawić, by pękła.

– Czego chcesz? – zapytała drżącym głosem.

– Żebyś przekazała coś Szczebiotowi. Wiem, że masz w tym pewne doświadczenie.

Odwrócił się. Popatrzył na rozrzucone na fotelach dokumenty, przykryte papierkami po batonach, hamburgerach i hot dogach oraz pozgniatanymi puszkami po energetykach i coli. Spod góry śmieci wysunął przypadkową kartkę. Przeskanował ją wzrokiem.

– Przekaż Szczebiotowi – powiedział z uśmiechem – że o wszystkim wiem. I że zamierzam coś z tym zrobić.

Wysiadł z auta. Wiatr zasyczał, wpuszczając do samochodu podmuch świeżości, a potem zamilkł, gdy rozległo się trzaśnięcie, które niemal wyrwało drzwi

z zawiasów.

Prokurator Adam Warga zjechał na porośniętą trawą pobocze. Zgasił światła i wyłączył silnik. Korzystając jedynie z nędznego oświetlenia, jakie dawał mu wyświetlacz telefonu, obmacał fotel pasażera i podniósł z niego teczkę. Otworzył ją i upewnił się, że znajduje się w niej wszystko, co powinno. Wszystko, czego on sobie zażyczył.

Nabrał powietrza w płuca. Potem wolno je wypuścił.

Podróż na skraj Lasu Ruda-Popioły, niewielkiego kompleksu leśnego na wysokości Rudy Pabianickiej, który sąsiadował z ogródkami działkowymi, zajęła mu ponad godzinę. Jechał przechodzącą w krajową jedynekę ulicą Rzgowską oraz Stawami Stefańskiego, kilkakrotnie zmieniając kierunek jazdy i za każdym razem sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Dwukrotnie zatrzymywał się na przypadkowych wąskich uliczkach, a następnie okrężną trasą wracał do głównej drogi. Nie musiał tego robić. Wiedział, że nie jest obserwowany. Nie było żadnego powodu, aby miano go obserwować. Ale chciał to zrobić. Czuł, że powinien. Żeby móc powiedzieć prawdę, kiedy on go o to zapyta. Wolał nie dać mu okazji do wyczytania kłamstwa z jego twarzy.

Spoglądał na ogrodzenie, za którym zaczynały się działki. Szukał jakiegokolwiek ruchu, zapalonych świateł, dymu wydobywającego się z komina. Nie znalazł jednak żadnych oznak życia. Było jeszcze za zimno, żeby nawet najbardziej zdeterminowani działkowcy zostawali na noc w letniskowych domkach i altanach, które nawet latem nie chroniły wystarczająco przed chłodem. Uchylił okno i usłyszał dobiegające z głębi ogrodu śmiechy chłopców, którzy raczyli się piwem albo nalewką. Byli zbyt daleko, aby zauważyć przejeżdżające wzdłuż lasu samochody.

Nie musiał na niego długo czekać. Jak zwykle. Mężczyzna wyłonił się z mroku, zupełnie jakby wypęłzył z lasu. Albo spod ziemi. Albo jakby narodził się kilkanaście metrów przed maską jego samochodu.

Adam Warga wyszedł z auta i stawiając powoli kroki, zaczął się zbliżać do potężnej plamy z wyraźnie obrysowanymi konturami, która wyróżniała się na tle

nieprzeniknionej ciemności. Zatrzymał się trzy metry przed nią, jak gdyby się bał, że dwumetrowe cielsko na niego runie, jeśli on podejdzie bliżej. W rzeczywistości bał się jednak czegoś zupełnie innego. Czegoś nieporównywalnie gorszego.

Zrobił krok do przodu i podał mu teczkę, spoglądając w przestrzeń wyłaniającą się zza pleców olbrzyma. Podskórnie czuł, że nie powinien patrzeć na jego twarz. Widział się z nim wielokrotnie, ale wciąż nie miał pojęcia, jak on wygląda. Jedynie dzięki peryferyjnemu widzeniu mógł stwierdzić, że ma na sobie przebranie, potężną, obrastającą policzki brodę, za którą skrywa się jego prawdziwe oblicze. Nie był nawet pewien, czy ta potężna, nieco przygarbiona postura nie jest jedynie wytworem jego złęknionej wyobraźni, która wynaturzyła się po ich pierwszym spotkaniu. Na tyle dziwnym i traumatycznym, że z tamtego obrazu człowieka niewiele zostało. Zlepek ziaren, które składały się na delikatną twarz o niemal dziewczęcych rysach, wywołującą trwogę swoją niewinnością.

– Czy jest tutaj wszystko, o co prosiłem?

Miękki, przyjazny głos, pasujący do zaspanego olbrzyma, który nigdy nie okazuje złości. Głos maskujący, oddalający podejrzenia, usypiający czujność, o czym wiele osób zdążyło się już przekonać. Jak wiele? Tego Warga nie wiedział. I nie chciał wiedzieć.

– Tak – wychrypiał prokurator, ledwo przepychając słowa przez zaschnięty przełyk. – Wszystko.

Za każdym razem, kiedy się z nim spotykał, brał ze sobą nóż. Właściwie nie wiedział, po co to robi, ponieważ zdjęty strachem, z usztywnionymi rękoma i sparaliżowanym mózgiem, nawet nie zdążyłby wyciągnąć go z kieszeni, gdyby zaszła taka konieczność. Był pewien, że ten nóż wyłącznie go kompromituje. Obnaża jego słabości i uwydatnia przerażenie. Czyni go w oczach tamtego jeszcze mniejszym, jeszcze bardziej żalonym. Z jakiegoś powodu bowiem czuł, że on wie o nożu, jak gdyby potrafił dostrzec go przez poły płaszcza.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej kopertę.

– Przeczytaj list, który jest w środku. A potem go spal.

– Teraz?



– Tak. Zrób to przy mnie.

Warga odebrał od niego kopertę i zajrzał do środka. Wyciągnął z niej plik banknotów i wepchnął je do kieszeni płaszcza. Potem oświetlił telefonem rozłożoną kartkę A4, która znajdowała się w kopercie, i przeczytał, co jest na niej napisane. Z trudem przełknął ślinę.

– Do czego ci to potrzebne? – wymamrotał.

Mężczyzna wyprostował się, momentalnie zyskując jeszcze kilka centymetrów wzrostu. Warga mógł się jedynie domyślać, że nabrał w płuca potężny haust powietrza, ponieważ nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Nie powinieneś zadawać tego pytania. A ja nie powinienem był go usłyszeć – stwierdził olbrzym i zbliżył się do Wargi. – Spal tę kartkę.

Prokurator zanurkował do kieszeni, rozpaczliwie szukając w niej zapalniczki. W końcu ją znalazł. Kartkę błyskawicznie pochłonął ogień, który na kilka sekund rozświetlił mrok.

– Dobrze. A teraz wróć do samochodu i jedź prosto do domu. Znajdź te informacje i dostarcz mi je najszybciej, jak to możliwe.

Warga posłusznie zastosował się do polecenia. Kiedy się odwrócił, żeby wsiąść do auta, tamtego już nie było. Mężczyzna w kompletnej ciszy zanurzył się w ciemność.

**T**omek Kawęcki zrobił kilka kroków do tyłu, żeby objąć wzrokiem piętrowy segment. Tak jak kilka przyklejonych do niego budynków miał on drewniane drzwi, spadzisty dach, dwa duże okna na parterze i jedno niewielkie na piętrze oraz garaż tak wąski, że prawdopodobnie ledwo dało się do niego wjechać samochodem.

– Ładny dom. Myślałem, że na Retkini stawia się wyłącznie wieżowce. Kiedy się przeprowadziliście? – zapytał. – Miesiąc temu?

– Trzy i pół. – Mariusz Szczebiot odpowiedział tonem dziecka, którego posądzono o zbyt młody wiek. – Co ty tu robisz?

– Minął zaledwie kwartał, a ty już zdążyłeś zaniedbać trawnik. Albo z ciebie kiepski gospodarz, albo masz za dużo pracy. Podejrzewam to pierwsze, skoro siedzisz rano w domu, zamiast zarządzać wydziałem.

Szczebiot wyraźnie nie był w humorze. Zamiast się uśmiechnąć, choćby sztucznie, pociągnął nosem i poprawił kołnierz swetra.

– Gdybyś się nie wygłupił i nie pozwolił sobie obić mordy, wiedziałbyś, że pracuję dzisiaj zdalnie. Jestem chory. Nie chciałem nikogo zarazić, więc zostałem

w domu. Tak robią odpowiedzialni ludzie.

Szczebiot włożył rękę do głębokiej kieszeni w dresie i wydobył z niej chusteczkę. Na potwierdzenie swoich słów wytarł zaczerwieniony nos.

– Masz dziesięć sekund, żeby wyjaśnić, co tu robisz. Potem zamknę ci drzwi przed nosem.

– Wiem, że mnie śledzisz – powiedział Kawęcki i wyciągnął z paczki papierosa.

– Musiałeś to od dawna planować, skoro sprowadziłeś tu Magdę. Wiedziałeś, że potrafi być lojalna i dyskretna. I że w poprzedniej pracy często zajmowała się prowadzeniem obserwacji. Nie wiedziałeś tylko, że nie jest wystarczająco sprytna. Podobnie jak ty.

Szczebiot nie wyglądał na zaskoczonego. Widocznie poprzedniego wieczoru rozmawiał z policjantką, która przyznała, że dała się wykiwać alkoholikowi.

– Ale nie dlatego tu przyszedłem. Znasz historię Tima Cole’a?

Szczebiot zakasłał w dłoń. Potem uchylił szerzej drzwi i zrobił miejsce Kawęckiemu.

– Coś mi podpowiada, że będzie to długa opowieść, a ja nie powinienem przebywać na zewnątrz. Wejdiesz?

Kawęcki nie odpowiedział. Zamiast tego zapalił papierosa. Wydmuchnął przed siebie dym.

– W osiemdziesiątym piątym roku Tim Cole został skazany na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności za gwałt na Michele Mallin. Ofiara go rozpoznała, a ława przysięgłych jej uwierzyła. Nie miała powodu, by nie wierzyć. Cole trafił za kratki. Po czternastu latach odsiadki zmarł. Udusił się w trakcie ostrego ataku astmy. I na tym historia mogłaby się zakończyć. Ale osiem lat później niejaki Jerry Wayne Johnson, seryjny gwałciciel, przyznał się do zaatakowania Michele Mallin. Cole został pośmiertnie uniewinniony.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał Szczebiot, rozmasowując marznące ramiona i pociągając nosem.

– Ostatecznym dowodem świadczącym o tym, że Tim Cole nie zgwałcił Michele Mallin, była analiza DNA. Ale dało się to stwierdzić znacznie wcześniej.

Mallin w swoich zeznaniach utrzymywała, że człowiek, który ją dopadł w samochodzie, palił papierosa, kiedy ją gwałcił. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie zapamiętała z ataku. Cole ze względu na astmę nigdy nie palił.

Szczebiot zmusił się do uśmiechu.

– A więc trochę interesujesz się tym, co słychać w śledztwie – stwierdził. – Wiesz, że Możejko w dalszym ciągu znajduje się w kręgu podejrzanych. I chcesz mi uświadomić tą historią, że dopóki nie będziemy mieć stuprocentowej pewności, że to on zabił Bułęcką, dopóty nie możemy nikogo wsadzić za kratki.

– Nie. – Kawęcki zaciągnął się po raz ostatni i rzucił wypalonego do połowy papierosa na trawnik. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie masz bladego pojęcia, o co chodzi w tym śledztwie. Więc lepiej przestań uzalać się nad sobą i wróć do roboty.

Wydobył z kieszeni kartkę i podał ją naczelnikowi.

– To mój dzisiejszy harmonogram. Przekaż go Magdzie. Łatwiej jej będzie za mną nadążyć.

– To jest zastraszanie – oznajmił Mariusz Zakrzewski, rzucając zza biurka wyzywające spojrzenie Witoldowi Ptakowi. – Artykuł sto dziewięćdziesiąty pierwszy Kodeksu karnego. Grozi wam za to do trzech lat pozbawienia wolności.

– Nam?

– Tobie i twojemu kumplowi.

Witold zamierzał usiąść na krześle, ale gdy spojrzął z góry na siedzenie i wyobraził sobie, jacy ludzie siadali na nim wcześniej, zrezygnował. Obszedł pomieszczenie dookoła, przyglądając się regałom z dokumentami i książkami prawniczymi, na których osiadł kurz. Zatrzymał się przy oknie, skąd rozciągał się widok na typowe śródmiejskie podwórko: z przepelnionym kontenerem na śmieci, zdezelowanymi samochodami i odrapanymi ścianami budynków, które kiedyś musiały być perełkami architektonicznymi, choć nikt już tego nie pamiętał.

– Szybko dochodzisz do zaskakujących wniosków. Odkąd cię poznałem, wypowiedziałem zaledwie kilka zdań, a ty już zdążyłeś uznać, że ci grozę.

– Uwierz, że w sądzie byłbym w stanie bardzo łatwo to udowodnić.

– Ale nie jesteśmy w sądzie. I nie znajdziemy się tam, jeżeli okażesz się rozsądnym facetem.

Zakrzewski próbował się zaśmiać, żeby się trochę rozluźnić i dodać sobie animuszu, ale przeszkodził mu kaszel. Suchy, najwyraźniej niedawno nabyty. Zmęczona twarz prawnika wyglądała tak, jakby żądała, aby ją ściągnął i przynajmniej na kilka godzin schował w szufladzie. Obficie spryskał się perfumami, których zapach dało się wyczuć już w korytarzu prowadzącym do biura. Prawdopodobnie próbował za ich pomocą ukryć inną woń. Na przykład strawionej wódki. Albo strachu. Albo wstydu.

– Czy odrobiłeś pracę domową, którą ci zadaliśmy?

Witold usiadł na niskim parapecie, uchylił nieznacznie okno i zapalił papierosa.

Zakrzewski westchnął z dezaprobatą. Po chwili otworzył jedną z szuflad i wyciągnął z niej dwie kartki formatu A4, na których zapisał coś odręcznie.

– Miałem niewiele czasu. Nie zdążyłem potwierdzić zdobytych informacji. Jeżeli więc coś okaże się nieprawdą, nie miejcie do mnie pretensji.

Witold obojętnie wzruszył ramionami.

Zakrzewski podniósł kartkę i zaczął rozszyfrowywać swoje bazgroły.

– Zdecydowanie najwięcej informacji znalazłem na temat Andrzeja Pszoniaka. Poza tym, że był znanym kurwiarzem, o czym wszyscy wiedzieli, słynął też z tego, że nie odmawiał, kiedy ktoś oferował mu dodatkowe wynagrodzenie. Pewnie nauczył się tego jeszcze za komuny, kiedy przekupywanie urzędników państwowych było czymś zupełnie normalnym, a przynajmniej akceptowalnym. Zdaje się, że nawet szczególnie się z tym nie krył. Wiódł dostatnie i niehigieniczne życie, w którym ludzie ze społecznego szczytu, czyli cenieni prawnicy, znani lekarze lub przedsiębiorcy, mieszały się z najgorszymi mętami: dziwkami, alfonsami czy zwyczajnymi pijakami. Podobno do samego końca spotykał się z kolegą ze szkolnych lat, niejakim Marianem Borskim, który był typowym alkoholikiem i pieniaczem. Wielokrotnie musiał wyciągać go z tarapatów. Był to przykład dziwnej relacji, w jakiej jedna strona daje drugiej niemal wszystko, nie otrzymując nic w zamian. Mniej więcej tak jak u nas.

Witold uśmiechnął się pod nosem. Nie patrząc na Zakrzewskiego, dał mu ręką znak, że ma kontynuować.

– Z Adamem Wargą i Moniką Dziewulską jest pewien problem. O nim nikt nie chce rozmawiać, a o niej niewiele osób w ogóle słyszało. O Wardze mówi się źle albo wcale. Wiem tylko, że to zamknięty w sobie człowiek, który nie ma zbyt wielu znajomych w prokuraturze ani w ogóle w prawniczym świecie. Jest to o tyle zaskakujące, że nie wydaje się szczególnym bystrzaczą. A gdy nie jesteś wystarczająco mądry, to bez znajomości za daleko nie zajdziesz. On zaszedł już znacznie dalej, niż wskazywałyby na to jego wyniki na studiach czy wykaz spraw, którymi się do tej pory zajmował. Wprawdzie nikt mi tego nie powiedział, ale wygląda na to, że jedynym jego sprzymierzeńcem był Pszoniak. Tyle że ani on, ani Warga nie chwalili się za bardzo tą znajomością. Młodszy pracownicy prokuratury pewnie o niej nawet nie wiedzą.

Zakrzewski odłożył kartki na stół. Splótł ręce na brzuchu.

– A co z Dziewulską?

– Wiem tylko, że była stażystką u Pszoniaka. Potem zapadła się pod ziemię. Zakładam, że nie przypadło jej do gustu, jak Pszoniak traktuje swoje podwładne.

– Nie wiesz, co się z nią później działo?

– Próbowałem się dowiedzieć, ale trop bardzo szybko się urywa. Rodzice zgłosili jej zaginięcie, a ślady wskazują na to, że wyjechała do Anglii. Właściwie mnie to nie dziwi. Gdybym się dowiedział, że jedyna droga do sukcesu wiedzie w tym kraju przez łóżko oblesnego dziada, który od kilkunastu lat pompuje się viagrą, prawdopodobnie też postawiłbym na emigrację.

– Czy ty nikogo nie wypromowałeś w ten sposób?

– Nie. Ja za seks płacę w złotych, bartery mnie nie interesują.

Witold dostrzegł w spojrzeniu Zakrzewskiego dumę. I nawet go to rozbawiło.

– A co z Wargą i Dziewulską? Znalazłeś jakiś związek między nimi?

– Tylko taki, że prawdopodobnie kręcili się wokół Pszoniaka w tym samym okresie. Żadnych oficjalnych powiązań nie ma, a o nieoficjalnych nie słyszałem. I prawdę mówiąc, nie wiem, co w tym przypadku jest dziwniejsze.

Witold wyciągnął z kieszeni telefon. Dostał wiadomość od Artura Waliszewskiego.

*Mam dwóch nowych. Obłeśne typy. Po południu prześlę Ci ich dane.*

Witold uśmiechnął się pod nosem. Gdy się dowiedział, że Warga może mieć związek ze sprawą Justyny Kepler, poprosił Artura o pomoc w znalezieniu prawników, za którymi ciągnie się jakiś smród. Jakikolwiek, ale najlepiej kojarzący się z prostytutką. Efekty pobieżnych poszukiwań przerosły oczekiwania. Dwójka, o której Artur wspomniał w esemesie, dołączy do listy złożonej już z kilkunastu nazwisk.

– Podejrzewam, że Pszoniak i Warga obrócili tę dziewczynę wspólnie, być może więcej niż raz, prawdopodobnie bez jej zgody. Być może błędnie uznali, że ma na to ochotę. Później albo zaczęła się stawiać i ich szantażować, a oni zmusili ją do wyjazdu z kraju, albo zapadła się pod ziemię z własnej woli, nie mogąc poradzić sobie z hańbą, jaką się okryła. To moja teoria. A ty co o tym myślisz?

– Nie mam zdania.

– No tak. Zapomniałem, że wy tylko szukacie informacji.

– Informacji i opinii. Twoja jest mało oryginalna.

Zakrzewski zakasłał, kręcąc przy tym głową. Wypił łyk zimnej kawy i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Nie jestem zwolennikiem skomplikowanych rozwiązań, ponieważ w większości przypadków ludzie kierują się pierwotnymi instynktami. Nie planują swojego życia z kilkuletnim wyprzedzeniem, a nawet jeśli to robią, to koniec końców i tak o wszystkim decyduje popęd, nad którym nie mają kontroli. Czasem warto uwierzyć stereotypom. Popatrz na Wargę. Co w nim widzisz? – Zakrzewski dał Witoldowi czas do namysłu. – Ja w nim widzę prześladowanego w dzieciństwie przemądrzałego gnojka. Dziewczyny się go brzydziły, bo był gruby i cuchnął, a na dodatek pożerał glutę, kiedy sądził, że nikt na niego nie patrzy. Koledzy z klasy siadali mu na głowie i okładali fiutami po twarzy. Co drugi dzień jego dzieciństwa kończył się kompromitacją i traumą, a każdy zaczynał się strachem. Takie rzeczy

trzeba sobie później jakoś zrekompensować.

Zakrzewski rozlał się na fotelu i podłożył ręce pod głowę. Jego zbyt duży brzuch się napiął i wymięta koszula wylazła z poplamionych spodni. Witold patrzył na niego z obrzydzeniem. Na jego bebecach, zaskakująco szczupłą twarz, która wydawała się przeszczepiona z cudzej głowy, i złośliwe, świdrujące oczy. Na jego gabinecie, który lepił się od potu, kurzu i rozlanych kaw, nie przystając nawet takiemu zgniłkowi jak on.

Jedno Witold musiał mu przyznać: teoria na temat Wargi mogła być słuszna. A przynajmniej nie wzięła się znikąd.

– Potrzebny jest mi wykaz ludzi, z którymi wszyscy troje pracowali. A także spraw, którymi się zajmowali.

Prawnik kiwnął głową, niechętnie, ale ze zrozumieniem.

– Chciałbym także wiedzieć, skąd bierzesz te informacje.

– Tego akurat nie mogę ci powiedzieć. Muszę chronić swoje źródła. – Uśmiechnął się kwaśno, ukazując szereg wybielonych, nienaturalnie wyglądających zębów. – Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. I z kim wódkę pić.

Podniósł z biurka kartkę, na której spisał wyrecytowane wcześniej informacje, i podał Witoldowi. Ale nie puścił jej, kiedy ten ją chwycił.

– Zanim zrobię dla was coś, za co normalnie powinniście słono zapłacić, musisz mi zagwarantować jedno.

– Co konkretnie?

– Nigdy więcej nie chcę tu widzieć Kawęckiego.

– To pewnie trochę skomplikuje nam życie, ale da się załatwić – odparł Witold.

– Nie zaiskrzyło między wami?

Zakrzewski opadł na fotel. Spojrzał na biurko i przejechał dłonią po blacie. Potem zerknął na Witolda.

– Twój koleżka jest zdrowo popierdolony. Wolałbym nie zostawać z nim sam na sam w pokoju.

– Jak to smakuje? – zapytał Tomek Kawęcki, patrząc barmanowi głęboko w oczy.

– Dlaczego pan myśli, że kiedykolwiek to piłem?



– Wygląda pan na takiego. Takiego, który pił to, bo nie mógł się napić niczego innego.

Barman, potężny mężczyzna o wysokim czole i z niewielką szramą pod okiem, zaśmiał się krótko. Opuścił głowę i włożył dwa kufle do cylindrów zmywarki. Umył je i postawił na zapelnionej naczyniami tacy.

– Tomek – powiedział Kawęcki, wyciągając rękę.

– Kacper. – Barman uściśnął jego dłoń, odsłaniając bliznę między kciukiem a palcem wskazującym, którą skrywał pod długim rękawem bluzy.

– Ryby.

– Słucham?

– Masz wytatuowane ryby na dłoni – wyjaśnił Kawęcki. – A pod okiem miałeś kiedyś wytatuowane łyzy. Nie pytaj, jak na to wpadłem.

– Jak na to... Czy my się znamy?

– Nie. – Kawęcki wskazał palcem kufel, na którym osłupiały barman zaciskał dłoń. – Należysz mi to, co zamówiłem?

Kacper przycisnął nalewak do wewnętrznej ściany kufła. Podał Kawęckiemu piwo ze zdecydowanie zbyt grubą warstwą piany, oparł się na wyprostowanych rękach o blat i nerwowo rozejrzał się na boki.

– Spokojnie, nie jestem tu dlatego, że siedziałeś. Nie znam cię. Nie mam pojęcia, co zrobiłeś, i w ogóle mnie to nie interesuje. Jestem po prostu spostrzegawczy. Widzę różne rzeczy i wyciągam wnioski. – Kawęcki pochylił się nad blatem i ściszył głos. – Mam dla ciebie propozycję. Nic dzięki niej nie zyskasz i nic nie stracisz, ale możesz mi pomóc. Jesteś zdenerwowany, więc zanim ci ją przedstawię, wyjdź na papierosa. Jak wrócisz, stań za barem i rób to, co robiłeś do tej pory.

– Czyli?

– Czyli nic. Widzisz tu jakichś klientów poza mną?

Kacper postać jeszcze przez pół minuty, po czym obmacał wszystkie kieszenie, jakie miał w spodniach, z jednej z nich wy dobył paczkę papierosów i wyszedł przed lokal. Kawęcki został sam na sam z kuflem. Przyciągnął go do siebie,

powąchał i odsunął. Włożył do kufła palce, zgarnął kilkucentymetrową warstwę piany i strząsnął ją na podłogę. Wziął kilka głębokich wdechów, jakby przygotowywał się do zejścia pod wodę, i przystawił kufel do ust.

Pierwszy łyk był najgorszy. Kawęcki nie czuł smaku ani zapachu, nie rejestrował konsystencji napoju ani jego temperatury, nie potrafił określić czasu, w jakim płyn przemierzał przewód pokarmowy. Ale każdy mililitr postrzegany był przez umysł, który bombardował go sprzecznymi sygnałami: zachwytem i obrzydzeniem, euforią i depresją, nadzieją i głębokim zawodem. Robił to jeszcze długo po tym, jak Tomek odstawił na blat opróżniony do połowy kufel.

Kacper wrócił do knajpy. Przyniósł ze sobą smród papierosów, jak gdyby wydmuchiwał dym pod koszulkę. Próbował udawać wyluzowanego, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Kawęcki postanowił mu ulżyć. Pospiesznie opróżnił kufel i stuknął nim o blat.

– Podać coś jeszcze? – zapytał barman, wycierając od dawna już suchą szklanekę.

– To samo.

– Smakuje ci?

– Nie, jest ohydne. Ale nie mam wyboru. Czy zawsze jest tu tak pusto?

– Nie, za chwilę zaczną schodzić się ludzie.

– To dobrze. Chciałbym, żebyś się im przyglądał. Tylko nie rób tego nachalnie. Nie gap się na nich tak, jak gapiłeś się na mnie, kiedy wyszedłeś na papierosa. Nie pytaj, skąd o tym wiem.

Barman stał w bezruchu, ale jego oczy nie zatrzymywały się nawet na chwilę. Albo podróżowały po lokalu, raz po raz pokonując trasę między wejściem a stolikami na końcu przyciemnionej sali, albo skakały po pustej twarzy nieznanego, który nieustannie się w niego wpatrywał. Jakby próbował zważyć jego mózg na podstawie bruzd na czole.

– Wkrótce pojawią się tu dwaj faceci, którzy będą się mną interesować. Raczej niezbyt przyjemni. I raczej zaliczający się do tych, którym warto dać to, czego pragną. Nie kiwaj do mnie głową. Odwróć się. Sięgnij po jakąś butelkę. Może być

Jack Daniel's. Zobacz, ile go zostało. Potem zrób tak samo z pozostałymi naruszonymi butelkami.

Barman posłuchał Kawęckiego. Poruszał się w ślimaczym tempie, co dawało nadzieję, że mimo stresu nie stłucze żadnej butelki. Komisarz w tym czasie przyciągnął do siebie kolejny kufel i uważnie przyjrzał się jego zawartości.

– Za chwilę pójdziesz na zaplecze. Wrócisz za pięć minut. A kiedy wrócisz, mnie już tu nie będzie. Ubrudziłem blat, więc posprzątasz po mnie, żeby się nie lepił. Zrobisz to dokładnie. Potem zgarniesz z blatu pieniądze. A gdy przyjdą tu ci faceci i zaczną o mnie wypytywać, powiesz im, że bełkotałem. Że byłem chamski. I że długo się zastanawiałeś, czy powinieneś podać mi alkohol. A jak się zapytają, co piłem, powiesz im, że dałeś mi najmocniejsze piwo w lokalu. – Kawęcki wyciągnął portfel i zaczął szukać w nim banknotów. – Miło było cię poznać, Kacprze. Dbaj o siebie i swoich bliskich.

Kiedy barman zniknął na zapleczu, Kawęcki opróżnił drugi kufel i wyszedł z lokalu. Zapalił papierosa i się rozejrzał. Wsiadł do samochodu i odjechał.

*Phalaenopsis* Royal Blue. Niebieska orchidea. Z kwiatami o barwie tak żywej i intensywnej, jakby znajdowały się w zaawansowanej fazie rozkwitu. Wyróżniająca się na tle kwiaciarnianych kolegów energią i klasą. Kwiatowy kawior klasy średniej.

Witold Ptak przez całą drogę zerkał na kwiat, a na zakrętach przytrzymywał doniczkę, żeby z efektownego storczyka nie został jedynie nieefektowny połamany badył. Kilkukrotnie niewiele brakowało, by stracił przez to przedni zderzak. Ale nawet wtedy nie wątpił, że warto. Że Edyta jest warta tego kwiatu. Jak zresztą każdego innego.

W mieszkaniu nikogo nie zastał. Zabrał się do gotowania, czyli czegoś, czego nie robił od dobrych kilkunastu lat, jeśli nie liczyć przyrządzanych naprędce makaronów czy jajecznic. Wiedział, że zapiekanka ziemniaczana z serem i pieczarkami nie jest szczytem wykwintności ani szczególnie romantyczną potrawą, ale przynajmniej potrafił jej nie spieprzyć. W połączeniu z winem – drogim, choć nie miał pojęcia, czy dobrym – powinna wystarczyć, aby udobruchać

Edytę. Przynajmniej na chwilę. A już na pewno powinna udowodnić, że mu na niej zależy.

Kiedy wstawił zapiekankę do piekarnika, jego telefon zatelepał na stole. Dostał wiadomość. Od Edyty.

*Nie będzie mnie dzisiaj w domu. Jutro prawdopodobnie też. Muszę odpocząć i przemyśleć kilka spraw. Powiedz dziewczynom, że wyjechałam w delegację. Nie dzwoń.*

Witold odwrócił się, oparł o krawędź stołu i popatrzył na orchideę. Na jej piękne kwiaty. Intensywnie niebieskie. W kolorze świeżości, kreatywności, uduchowienia i spokoju. A także przyjaźni. Ale też w kolorze chłodu, dystansu i smutku.

Otworzył okno. Spojrzał w dół.

Kilkanaście sekund później zaczął rozmyślać, ile orchidea zachowała ze swojego piękna, gdy jej doniczka gruchnęła o chodnik.

Kiedy fala gniewu minęła, zorientował się, że jego telefon znów się trzęsie. Dzwonił Kawęcki.

Odebrał. A potem długo się zastanawiał, o czym właściwie rozmawiali.

Tomek Kawęcki schował telefon do kieszeni. Wszedł do przedpokoju i powiesił kurtkę na lekko ułamanym kołku. Ściągnął buty. Zapalił światło w łazience. Podniósł deskę sedesową. Przykucnął przed nią i wetknął palce do ust. Głęboko.

Kilka szarpnięć, stęknięć, chrząknięć i splunięć później osuszył ręcznikiem załzawione oczy. Wytarł usta wierzchem dłoni, a następnie przepłukał je płynem. Przez kilka sekund przyglądał się twarzy, którą napotkał w lustrze. A przez kilka następnych próbował zapomnieć o tym, co zobaczył.

Poszedł do pokoju i stanął nad stworzoną przez siebie mapą. Było mu żal ją niszczyć, ale wiedział, że nie ma wyboru. Uważnie zebrał wszystkie materiały, starając się ich ze sobą nie mieszać, i położył je na dnie tekturowego pudła. Potem przykrył ubraniami i wstawił do szafy.

Kiedy skończył, podszedł do okna i wyciągnął telefon.

– Co masz?

– Poczekaj – warknął Mateusz Pająk. – Właśnie parkuję.

– Mam nadzieję, że nie pod moim blokiem.

– Nie. Kazałeś mi jechać do domu, więc pojechałem. A teraz nie mogę znaleźć ani jednego wolnego miejsca na tym jebanym parkingu.

Kawęcki odchylił poźółkłą firankę i wyjrzał przez okno. Chodniki oraz wąskie osiedlowe uliczki zastawione były samochodami w taki sposób, że ledwo dało się obok nich przecisnąć pieszo, a co dopiero autem! Przeszedł do kuchni. Na betonowym parkingu po drugiej stronie ulicy było zdecydowanie więcej miejsca, mimo to i tak był niemal cały zapełniony. Ale tylko w jednym aucie siedzieli ludzie.

– Okej, zaparkowałem. Słuchasz mnie?

– Mów.

– Zanotowałem dwa numery, które za każdym razem pojawiały się za tobą. Być może było ich więcej, ale śledzenie cię i wyłapywanie numerów rejestracyjnych to nie jest taka prosta robota.

– Nie mam czasu – warknął Kawęcki. – Mów.

– EL czterysta osiemdziesiąt osiem osiemdziesiąt pięć i EL osiemset dziewięćdziesiąt trzynaście. Ten pierwszy to...

– Niebieski ford. Drugi należy do czarnego audi.

– Focus i A4. Skąd wiedziałeś?

– Bo jestem jasnowidzem.

– To pewnie też wiesz, kto jechał tymi samochodami.

– W fordzie siedziała blondynka, którą miałeś okazję poznać kilka dni temu, a w audi dwóch nakoksowanych przygłupów.

– Nieźle. Do czego w zasadzie byłem ci potrzebny?

– Mnie? Do niczego. Ale może się kiedyś okazać, że ktoś będzie miał z ciebie pociechę. Zapamiętaj numer tego audi. O fordzie możesz zapomnieć.

Kawęcki rozłączył się i ponownie wyjrzał przez okno. Tym razem zerknął na niebo. Zaczynało ciemnieć. Demony szykowały się do wyjścia.

– Pij – powiedział, podając jej kieliszek.

Magda Giętka podniosła zmęczone, przekrwione oczy i ujrzała nagi tors mężczyzny w rozpiętej koszuli. Na gęste czarne owłosienie opadał złoty łańcuszek z krzyżykiem. Była pewna, że choć zakładał go zaraz po przebudzeniu i zdejmował tuż przed zaśnięciem, nie miał pojęcia, dlaczego to robi. Wierzył w Boga z przyzwyczajenia. I to nawet nie swojego, lecz swoich rodziców, dziadków i ich przodków. Wierzył, bo nie chciało mu się nigdy poważniej nad tym zastanowić. Bo wolał szczerze wierzyć jedynie w sprawczą moc wódki.

Wyciągnęła telefon z kieszeni džinsów i spojrzała na rozmazany wyświetlacz. Dwudziesta trzecia. Nie miała pojęcia, że jest już tak późno. Ale w zasadzie nie miało to znaczenia. Żadna pora nie jest dobra na to, co planowała. Żadna pora nie jest dobra na zemstę.

Opróżniła kieliszek i pospiesznie popiła wódkę wygazowaną colą.

Mężczyzna w rozpiętej koszuli podszedł do laptopa, włączył jakiś utwór na YouTube i zaczął poruszać biodrami. W końcu odwrócił się do Magdy i wyciągnął dłonie w jej stronę. Zachęcał ją uśmiechem, święcie przekonany o sile swojego uroku osobistego, ale ona pokręciła głową i opadła na kanapę. Nie chciała tańczyć. A tym bardziej iść z nim do łóżka. Chciała to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Na trzeźwo. Żałowała, że kolejną okazję będzie miała dopiero za kilka godzin. Albo kilkanaście, jeżeli pomoże mu opróżnić butelkę.

– Mówiłaś, że gdzie pracujesz?

Usiadł obok niej, znacznie przekraczając dopuszczalny dystans. Poczula jego tanie perfumy i ciepły, przesiąknięty alkoholem oddech.

– Jestem dietetyczką – wymamrotała.

– No proszę. – W przypiływie entuzjazmu aż podskoczył na kanapie. – To mamy wiele wspólnego. Ja jestem instruktorem fitnessu.

– Świetnie.

– Przez wiele lat uprawiałem sporty walki, a teraz pracuję z ludźmi na siłowni. Prowadzę zajęcia, układam plany treningowe i wymyślam diety dla tych wszystkich nieudolnych grubasów, którzy sądzą, że w kilka tygodni są w stanie pozbyć się hodowanych przez lata bębnów. – Zaśmiał się krótko, nie spuszczać

Magdy z oczu. – Czyli z grubsza zajmujemy się tym samym.

– Z grubsza.

– Nawet nie wiesz, jak mnie bolało, kiedy żarliśmy tego burgera. Domyślam się, że dla ciebie to musiał być koszmar.

Magda nie pamiętała, żeby cokolwiek jadła. Kiedy skończyła pracę, rozciągnęła się przed nią mgła, przez którą brnęła po omacku, chwytając się przypadkowo napotykanym przedmiotów i ludzi. Nie potrafiła stwierdzić, dokąd zmierza. Nawet nie chciała tego wiedzieć.

– Co chcesz robić? – zapytał mężczyzna, uśmiechem sugerując odpowiedź.

– Nie wiem.

– Napijmy się jeszcze po jednym. Może to ci rozjaśni umysł.

Magda opróżniła kolejny kieliszek i grymas wykręcił jej twarz. Niewiele brakowało, żeby zwymiotowała. Kilkukrotnie przełknęła napływającą do ust ślinę, starając się unikać rozentuzjasmowanego spojrzenia mężczyzny. Usłyszała przez uchylone okno turkot ostatnich tramwajów zjeżdżających do zajezdni. Piski pokrzywionego torowiska przypominały te, które od kilku godzin rozlegały się w jej głowie.

Mężczyzna jeszcze bardziej się do niej zbliżył. Powąchał jej skórę i włosy. Następnie złożył pocałunek na jej policzku. Jego wymuszona czułość wzbudzała w niej obrzydzenie. Wiedziała jednak, że musi wygrać ze wstrętem, aby zrobić to, po co tu przyszła.

Odwróciła się do mężczyzny w rozpiętej koszuli i położyła dłoń na jego udzie.

Muzyka musiała być głośna, wyraźnie słyszalna na korytarzu, ale jednocześnie nie na tyle uciążliwa, by sąsiedzi wezwali policję. John Coltrane. *Blue Train*. Dynamiczny, dominujący saksofon. Znakomity jako podkład do pracy, do rozbrzmiewania w tle podczas ćwiczeń fizycznych lub wieczoru z winem w gronie starych znajomych. I do wyciszenia odgłosów skrzypiącej podłogi.

Kwadrans przed drugą w nocy Tomek Kawęcki zgasił światło w pokoju. Następnie cisnął szklanką o podłogę i siarczyście zaklął. Butelkę po wódce, którą kupił w drodze do domu, a następnie opróżnił w toalecie, przeturlał po wykładzinie

w przedpokoju. Buty – ubłocone, nieużywane od czasu przykrego incydentu w lesie – rozrzucił po mieszkaniu. Otworzył zapomniane pudło z rupieciami. Nie potrafił sobie przypomnieć, co nim kierowało, kiedy targał ze sobą te wszystkie graty, zamiast je wynieść do śmietnika, ale teraz cieszył się, że to zrobił. Bo pomiędzy bezużytecznymi szpargałami znajdowała się stara tonfa – policyjna pałka z charakterystycznym uchwytem i metalową gazrurką w środku.

Jego pistolet został zarekwirowany, więc musiała mu wystarczyć.

Wepchnął pudło pod ścianę i spojrział w kierunku drzwi. Przypomniawszy sobie, jak wiele lat temu radził dziadkowi, aby zamontował w nich zamki patentowe i zabezpieczenie przeciwwyważeniowe. Tłumaczył mu, że w czasach gdy przestępcy coraz chętniej obierają za cel starców, jest to absolutna konieczność. Wtedy jeszcze zdarzało mu się wymądrzać i doradzać innym. Mówić, kiedy nie było to absolutnie konieczne, wchodzić w interakcje, stwarzać pozory zainteresowania cudzymi problemami. Ale dziadek miał już ten etap za sobą. Nigdy go nie posłuchał. A kiedy umarł, zostawił mu mieszkanie z drzwiami wejściowymi, które dałoby się wyważyć kopnięciem.

Kawęcki schował się w potężnej dębowej szafie, która znajdowała się na końcu przedpokoju, tuż obok wejścia do salonu. Po raz ostatni sprawdził, czy jej drzwi nie skrzypią podczas otwierania. I czy potrafi wydostać się z niej bezszelestnie.

Zaczął wsłuchiwać się w dźwięki swojego organizmu. Burczenie w brzuchu ustało, jakby gazy w jelitach nagle zapomniały o jadłowstręciu i nietolerancji pokarmowej, która panoszyła się w jego bebeczach. Próbował oddychać swobodnie, przez nos. Mimo to czuł, że jego nozdrza zwężają się i rozszerzają niczym u sprintera, który za chwilę wystąpi w biegu na sto metrów. Przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej. Liczył. Sto dwadzieścia uderzeń na minutę. Tachykardia. Na razie niegroźna. W tej formie nie powinna wywołać objawów często towarzyszących kołataniu serca: nadmiernej potliwości, zawrotów głowy, duszności czy utraty przytomności.

Wiedział jednak, że może się to szybko zmienić.

Kiedy saksofon Coltrane'a na chwilę ucichł, jakby jazzman sam był ciekaw, co



się za chwilę wydarzy, Kawęcki usłyszał odgłos majstrowania przy zamku w drzwiach. Odruchowo zacisnął dłoń na uchwycie pałki. Jednak zanim zamek puścił, upłynęło przynajmniej kilkadziesiąt sekund, a Coltrane zdążył się na nowo rozszaleć.

Włamywacze nie weszli do mieszkania od razu. Czekali przed drzwiami, szepcząc coś do siebie. Zapewne wymieniali się ostatnimi instrukcjami. Przypominali sobie, co ustalili przed akcją. Powtarzali scenariusz niczym para szkolnych półgłówków, którzy przed sprawdzianem wykuli materiał na blachę. Oczywiście nie cały, lecz tylko tyle, ile potrzeba, żeby zdać. A to oznaczało, że każde potknięcie może doprowadzić do katastrofy.

W końcu drzwi się uchyliły. Schowana pod kominiarką głowa wsunęła się do środka. A za nią ciało oraz druga głowa, również w kominiarce, ale przypięta do znacznie potężniejszego tułowia. Mózg i Pinky. Centrum operacyjne oraz góra mięcha. Kawęcki przyglądał im się przez szparę w szafie. Różnili się posturą, ale nie wyposażeniem. Obaj mieli krótkie pałki bejsbolowe, pistolety wsunięte w dresy oraz latarki, których jeszcze nie zdecydowali się użyć. Zamknęli za sobą drzwi i stanęli obok siebie. Zajmowali całą szerokość korytarza.

Lekko pochyleni ruszyli przed siebie. Zaglądali do kolejnych pomieszczeń – łazienki, kuchni i wreszcie sypialni, w której jarzyła się niewielka lampka stanowiąca jedyne źródło światła w mieszkaniu. Z ich ruchów emanował niepokój. Nie znali mieszkania. Nie wiedzieli, dokąd mają iść. Ani tym bardziej gdzie mogą znaleźć Kawęckiego. Próbowali zlokalizować go po odgłosach, ale docierały do nich jedynie ekspresyjne hardbopowe dźwięki muzyki, której nie rozumieli. Być może przeczuwali, że coś jest nie w porządku, ale i tak musieli realizować przyjęty przed akcją scenariusz. Było już za późno, żeby się wycofać.

Mniejszy z mężczyzn, naśladując zachowania podpatrzone w filmach akcji, dał znać większemu, żeby poszedł przodem. Do ostatniego pomieszczenia. Wielkolud kiwnął głową i ruszył, miażdżąc stopami odłamki szkła leżące na podłodze. Kawęcki przestał mieć wątpliwości, który z tych dwóch stanowi dla niego większe zagrożenie. Który może zdobyć się na coś nieprzewidywalnego. Na przykład na

sięgnięcie po broń.

W końcu obaj mężczyźni weszli do ciemnego pokoju. Włączyli latarki i zaczęli strzelać snopami światła we wszystkie strony. Gdy nikogo w ten sposób nie znaleźli, zaczęli obmacywać ścianę, na której znajdował się włącznik światła. Przez chwilę przyzwyczajali się do jasności, nie mając pojęcia, że drzwi szafy za ich plecami właśnie otworzyły się na oścież.

Niższy z włamywaczy jako pierwszy się zorientował, że coś jest nie tak. Ale kiedy się odwrócił, było już za późno. Zdążył jedynie zakląć i zamknąć oczy. W nadziei, że to zagłuszy huk.

Kawęcki usłyszał trzask, kiedy jego pałka wylądowała na głowie włamywacza, zapewne łamiąc mu kość skroniową. Gdy bezwładne ciało osunęło się na ziemię, zrobił krok do przodu i wziął następny zamach. Pałka z sykiem przecięła powietrze i pomknęła w kierunku twarzy wielkoluda, który zdążył jedynie rozdziawić gębę.

Ale tym razem huk był mniejszy, a ręka Kawęckiego nie zatrzymała się w chwili zetknięcia tonfy z czołem. Komisarz powędrował wzrokiem za czubkiem policyjnej pałki, która zsunęła się z twarzy draba i wylądowała na futrynie.

Kolejnego ciosu nie zdążył już wyprowadzić.

Wielkolud tylko przez ułamek sekundy stał zgięty wpół, nie pojmując, co się stało. Potem, wydając z siebie zwierzęcy okrzyk, ruszył przed siebie. Kawęcki poczuł, że jego stopy tracą kontakt z podłożem. Masywne cielsko chwyciło go w pasie i wyrznęło o ścianę. Kawęcki miał wrażenie, że właśnie zderzył się z ciężarówką. Kiedy osunęli się na podłogę, bardziej niż rozwścieczonym bydlakiem czy zgubioną pałką martwił się tym, czy ma jeszcze czucie w nogach. Dopiero gdy zobaczył nad sobą unoszącą się pięść, zrozumiał, że to nie jest w tej chwili jego największe zmartwienie.

Pierwsze uderzenie wylądowało tuż obok ucha. Ale przy kolejnym nie miał już tyle szczęścia. Wielkolud, siedząc na nim okrakiem, jedną rękę trzymał na jego klatce piersiowej, a drugą wyprowadzał ciosy. W pewnym momencie głowa Kawęckiego zaczęła poruszać się w rytm uderzeń. Policjant wyciągnął ręce, aby choć częściowo zasłonić napastnikowi cel, ale na niewiele się to zdało. Drągał

zasypywał go uderzeniami, nie zważając na to, że co jakiś czas jego wielka pięść łąduje na podłodze. Ogarnięty furją nie miał pojęcia, że przy każdym niecelnym ciosie łamie kości w palcach.

Kawęcki czekał, aż pojawi się sędzia ringowy, który przerwie tę jatkę. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy zaczął się krztusić napływającą do ust krwią, zrozumiał, że sytuacja robi się beznadziejna.

W pewnym momencie wielkolud przestał wyprowadzać ciosy. Zakrwawioną dłonią ściągnął kominiarkę. Kawęcki widział go jak przez mgłę, ale zauważył, że wygląda bardzo młodo. Jak wyrośnięty niemowlak. Z gigantyczną głową i czerwoną bulwą na czole, którą zawdzięczał niedawnemu spotkaniu z pałką. Choćby z tego powodu miał prawo być wściekły.

Sięgnął dłonią za plecy, jak gdyby macał się po korzonkach. Wydobył zza ściągacza w dresie broń. Pozwolił Kawęckiemu spojrzeć w lufę pistoletu z odległości kilku centymetrów.

– Zajebię cię, kurwo! – warknął, tryskając śliną we wszystkie strony. – Zajebię cię!

Kawęcki miał wrażenie, że minęła cała wieczność od chwili, gdy wielkolud pociągnął za spust, do momentu, w którym zdziwiony uniósł broń na wysokość swojej niemowlęcej głowy. Przynajmniej kilka epok upłynęło, zanim po przestudiowaniu konstrukcji pistoletu pojął, że wystarczy go odbezpieczyć, by zadziałał. I pewnie niejedno stulecie, nim Kawęcki się zorientował, że ustrojstwo, które uwiera go w plecy, odkąd wielkolud na nim wylądował, to tonfa.

Ale w ułamku sekundy zrozumiał, że tym razem musi trafić.

Wyciągnął spod siebie pałkę i z całej siły pchnął wielkoluda pod bok. Z lekcji biologii pamiętał, że czubek tonfy powinien wylądować pomiędzy dziewiątym a dziesiątym zębem. Centralnie na śledzionie.

Reakcja wielkoluda przyszła z opóźnieniem. Zanim zdążył zawyć z bólu, Kawęcki nadludzkim wysiłkiem oderwał się od podłogi i wyrzucił w górę kolano, które zatopiło się w luźnym dresie mężczyzny. Napastnik przewrócił się na bok i spuścił ręce wzdłuż ciała. Nie mógł się zdecydować, czy powinien uciskać zębra,

czy genitalia.

Kawęcki wstał, wspierając się na tonfie. Gdy tylko odzyskał równowagę i doszedł do siebie, z całej siły kopnął olbrzyma w twarz. Następnie wziął obszerny zamach i wyprowadził uderzenie pałką. Potem następne. I kolejne. Skończył, gdy po jednym z ciosów rozległo się charakterystyczne chlupnięcie.

Podniósł pistolet z podłogi, zabezpieczył go i wsunął za pasek spodni. Chwiejąc się na nogach, przeszedł nad bezwładnym ciałem mniejszego z mężczyzn, który nie poruszył się od chwili nieoczekiwanego spotkania z pałką, i z najwyższym trudem usiadł na krześle. Czuł przeszywający ból w plecach, przez co ledwo mógł złapać oddech.

Splunął krwistą zawiesiną, która nagromadziła się w jego ustach, i policzył językiem zęby. O dziwo, doszukał się wszystkich, choć nie w idealnym stanie. Trzy z nich się poruszały. Dwa na tyle wyraźnie, że prawdopodobnie bez trudu mógłby je wyjąć. Kolejne dwa miały nietypową, zaostrzoną końcówkę, jak kiepsko zatemperowany ołówek. Kawęcki spojrzał na wielkoluda. Na jego zakrwawioną dłoń, w którą powbijały się fragmenty uzębienia.

Głośno westchnął. Drżącą ręką włożył papierosa do ust. Odchylił głowę na tyle, na ile był w stanie, i zamknął oczy. Próbował wsłuchać się w muzykę. Ale nie słyszał nic poza piskiem, który rozbrzmiewał mu pod czaszką.

**M**ariusz Szczebiot mocno pociągnął nosem. Ze spuszczoną głową wczytywał się w treść wiadomości mailowej, którą wyświetlił w telefonie. Niewiele z niej rozumiał. A właściwie rozumiał wszystko, ale trudno było mu uwierzyć, że to prawda. Kiedy skończył, wyprostował się i wysmarkał. Robiąc to, miał wrażenie, że właśnie detonuje własny mózg. Z oczyszczonymi zatokami spojrzął ponad dachem samochodu na ludzi krzątających się wokół bloku. Policjanci i technicy kryminalistyki wymieszali się z emerytami, którzy usilnie próbowali się dowiedzieć, co spowodowało całe to zamieszanie.

Zresztą podobnie jak on.

Wszedł do klatki schodowej, wdrapał się na pierwsze piętro i minął policyjną taśmę, która broniła dostępu do mieszkania Tomka Kawęckiego.

- Co tu się stało? – rzucił w eter, wymachując legitymacją.
- Kurewsko krwawa jatka – odparł jeden z funkcjonariuszy.
- Przyjechałeś tu jako pierwszy?

Policjant kiwnął głową. Przedstawił się i uściśnął wyciągniętą dłoń Szczebiota.

Potem stanął na szeroko rozstawionych nogach, z lekkim uśmiechem na twarzy, jakby właśnie zamierzał opowiedzieć dowcip.

– Dwóch facetów włamało się do mieszkania. Raczej nie w celu rabunkowym. Nie mieli przy sobie nic, w co mogliby zapakować łupy. Mieli natomiast pecha. – Pokazał Szczebiotowi zdjęcia dwóch mężczyzn leżących w bezruchu na podłodze. Ich łyse głowy przypominały niezbyt udane rzeźby zaprezentowane na czerwonym tle. – Pana człowiek w porę się zorientował, że coś jest nie tak. Zaczaił się na nich z pałką. Poradził sobie, choć trzeba przyznać, że miał sporo szczęścia. Obaj byli uzbrojeni.

Młody policjant pokazał Szczebiotowi plastikową torbę, w której znajdowały się dwa pistolety. Naczelnik odpowiedział mu krótkim pociągnięciem nosem.

– Gdzie oni teraz są?

– W szpitalu. Przeżyli tę jatkę, ale trudno powiedzieć, w jakim stanie z tego wyjdą.

– A on?

– Pański człowiek? – Szczebiot kiwnął głową. – Uparł się, że nie pojedzie do szpitala. Gdy tylko złożył zeznania, zabrał go stąd jego kolega z wydziału. Nadkomisarz Witold Jakiśtam.

Zerknął do notatek, żeby przypomnieć sobie nazwisko Witolda, ale Szczebiot stracił zainteresowanie relacją. Minał nieco zdezorientowanego policjanta i wszedł w głąb mieszkania.

Nie tego się spodziewał. Sądził, że Kawęcki żyje w zapuszczonej ruderze, w której wszędzie walają się śmieci, kubki i talerze pełne resztek jedzenia oraz petów, gdzie ze zlewu wystaje kilkupiętrowa sarta naczyń, a łazienka cuchnie jak toi toi. Tymczasem w mieszkaniu panował jedynie pozorny nieład. Pod porzrzuconymi i potłuczonymi butelkami, zniszczonymi meblami i plamami krwi, które znaczyły podłogę i wykładzinę, dało się dostrzec porządek. Trzeba było tylko uważnie się rozejrzeć.

– Znalazłaś coś? – zapytał Szczebiot, stając obok Beaty Tarki, która pobierała próbki krwi z krzesła.

– To się dopiero okaże po badaniu.

– Podobno się na nich zaczął.

– Na to wygląda. – Technik kryminalistyki wyprostowała się, odwróciła i ruszyła w stronę Szczebiota. Zatrzymała się w progu pokoju. – Znajdowali się tutaj. Byli skierowani twarzą do okna. Kawęcki prawdopodobnie przyczał się w szafie i zaszedł ich od tyłu. Najpierw uderzył niższego, trafiając go w skroń i roztrzaskując mu czaszkę. Potem zamierzył się na wyższego, ale nie trafił. A przynajmniej nie tak, jak planował. – Wskazała pęknięcie na futrynie. – Tamten rzucił się na niego, przewrócił i rozpętała się bijatyka. Ilość krwi oraz jej rozmieszczenie wskazują na to, że obrywali równo. Ale to Kawęcki ostatecznie był górą.

– Powiedziałaś, że zaatakował ich od tyłu. Wygląda na to, że dobrze to przemyślał.

Beata Tarka wzruszyła ramionami. Nie ukrywała, że nie przepada za Szczebiotem. Ani za swoją pracą. Wolno poruszała ustami przytwierdzonymi do apatycznej i zmęczonej twarzy o ziemistej cerze, jak gdyby miała nadzieję, że tempo jej odpowiedzi zniechęci naczelnika do zadawania kolejnych pytań.

– Sposób, w jaki otworzyli drzwi, wskazuje na to, że wiedzieli, co robią. Ale z pewnością trochę to trwało. Kawęcki miał więc czas, by się zorientować, że próbują się włamać, i wymyślić, jak ich załatwić.

– I twoim zdaniem w ciągu kilkunastu sekund podjął decyzję, aby chwycić pałkę i schować się w szafie?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie jestem w stanie odtworzyć zachowania Kawęckiego sprzed zajścia. Ale walka prawdopodobnie przebiegała tak, jak to opisał w zeznaniach.

Szczebiot rozejrzał się po mieszkaniu. Im dłużej w nim przebywał, tym silniejsze miał wrażenie, że trafił na plan filmu Roberta Rodrigueza. Produkcji, w której wściekli Meksykanie wchodzą do speluny, żeby rozpętać piekło. Wystrzelać lub zasztyletować wszystkich, których zastaną w środku. Tyle że to nie

była meksykańska speluna. I piekła nie rozpętali ci, którzy tam wtargnęli, lecz ten, który na nich czekał.

– Nie wydaje ci się, że w tym mieszkaniu panuje zbyt duży porządek? Oczywiście pomijając zniszczenia, które powstały w trakcie walki.

Tarka od pewnego czasu stała beczynnie i przyglądała się Szczebiotowi. Kiedy usłyszała jego pytanie, przewróciła oczami.

– To zależy od tego, co spodziewałeś się tu zastać.

Szczebiot przykucnął nad plamą krwi na podłodze. Założył jednorazowe rękawiczki i podniósł kawałek szkła pochodzący z roztrzaskanej butelki.

– Widzę, że w ogóle cię to nie rusza.

– Nieszczególnie.

– A co by cię poruszyło? – Spojrzał na Tarkę. – Kawałki mózgu wbite w ścianę?

– Nie byłabym tego taka pewna.

Uśmiechnęła się. Albo skrzywiła. Trudno jednoznacznie stwierdzić. Wyciągnęła paczkę papierosów i pomachała nią Szczebiotowi.

– Idę zająć. Jak będziesz czegoś potrzebować, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Przez kolejną godzinę naczelnik rozmawiał z obecnymi na miejscu policjantami oraz sąsiadami Kawęckiego i przeglądał dopiero powstającą dokumentację z oględzin miejsca przestępstwa. Kiedy uznał, że przepytał wszystkich, którzy mogli dysponować jakąkolwiek wiedzą na temat tego, co się stało – nie licząc Kawęckiego i zbirów – wyszedł przed budynek. Krążył wokół bloku i wydzwaniał do swoich ludzi.

Artur Waliszewski i Magda Giętka dotarli na miejsce dopiero po dziewiątej. Kiedy przyjechali, Szczebiot stał oparty o swój samochód, z nosem czerwonym jak u renifera Rudolfa, i przeglądał pocztę na telefonie. Mimo choroby nie odczuwał zimna. Jedyne, co czuł, to wściekłość.

– Może zaczniemy umawiać się w porze obiadowej? Albo lepiej wieczorami, przy świecach i winie. Co się z wami, kurwa, dzieje?

Artur, jak zwykle arogancki, splótł ręce na klatce piersiowej i złośliwie się uśmiechnął. Chciał złapać kontakt wzrokowy z Magdą, ale ta stała ze spuszczoną



głową, pokornie przyjmując krytykę. Wyglądała tak, jakby miała się za chwilę zdematerializować.

– Czego się dowiedziałeś? – warknął Szczebiot.

– Ten większy to Zenon Trzaskowski, a mniejszy nazywa się Marcin Banaś – wyjaśnił Artur, zerkając do notatek. – Mają odpowiednio dwadzieścia sześć i trzydzieści trzy lata. Obaj edukację zakończyli na podstawówce, wraz z pierwszą wizytą w poprawczaku. Mają na koncie kilka rozbojów. Prawdopodobnie poznali się podczas odsiadki na Smutnej.

– Czym się teraz zajmują?

– Są zwykłymi twardogłowymi głębami, jakich w mieście na pęczki. Robią to, co ktoś każe im zrobić lub za co im zapłaci. Mój informator twierdzi, że tego typu akcja z pewnością nie była ich autorskim pomysłem.

– A czym?

– Próbuję to ustalić.

– Zrób to szybko. A co z Kawęckim i Ptakiem?

Magda drgnęła nerwowo, kiedy Szczebiot skierował na nią wzrok. Odsunęła się od samochodu i odchrząknęła.

– Nie mam pojęcia. Nie odbierają telefonów i nie odpisują na wiadomości.

– Byłaś u Witolda w mieszkaniu?

– Tak.

– I co?

– Pusto. A przynajmniej nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi.

– A widziałaś jego samochód?

– Nie, pod blokiem go nie było.

Szczebiot zacisnął pięści i zrobił kilka kroków w stronę budynku. Zatrzymał się i wsparł pod boki. Wziął parę głębokich wdechów, po czym wysmarkał się w wymiętą chusteczkę. Przez moment się zastanawiał, czy schować ją z powrotem do kieszeni. W końcu wyrzucił na chodnik.

– Zrobimy tak – powiedział, kiedy ponownie podszedł do Artura i Magdy. – Dowiesz się, dla kogo pracują ci ludzie i co mogli chcieć od Kawęckiego. A ty –

wycelował palcem w Magdę – znajdziesz ten świński duet. Choćby skały srały. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Masz ich znaleźć, nawet jeśli ukryli się w schronie atomowym. A teraz chodź ze mną.

Energicznym krokiem zaczął się oddalać od samochodu. Magda poczłapała za nim. Artur zaklął pod nosem, zapalił papierosa i ruszył w przeciwną stronę.

– Jak ty wyglądasz? – odezwał się Szczebiot.

Magda odruchowo spuściła głowę i przyjrzała się swojemu ubraniu, choć wiedziała, że to nie w nim tkwi problem, lecz w jej trupio bladej twarzy, napuchniętych oczach i cuchnącym oddechu. Kilka godzin wcześniej ocknęła się w nie swoim mieszkaniu, nie mając pojęcia, gdzie jest ani co robiła wieczorem. Sięgnęła po telefon wyłącznie po to, aby poinformować Witolda, że musi wziąć urlop na żądanie. Ale kiedy zobaczyła, że ma kilkanaście nieodebranych połączeń i parę nieprzeczytanych wiadomości, zrozumiała, że jej się to nie uda. Szybko wciągnęła na siebie ubranie, które z jakiegoś powodu cuchnęło papierosami, zaliczyła głośną i wyjątkowo nieprzyjemną wizytę w toalecie, wygrzebała z szafki nad zlewem opakowanie tabletek przeciwbólowych i wyszła. Nie zdążyła nawet przeczytać kartki, którą właściciel mieszkania zostawił na stole.

Dopiero gdy wsiadła do taksówki i próbowała sobie przypomnieć, gdzie zaparkowała samochód, zaczęły do niej wracać wspomnienia z wieczoru. Jedno po drugim. Niczym bomby z opóźnionym zapłonem.

– Przeżywam trudny okres – wychrypiała. – Rozstaję się z chłopakiem i...

– Gównu mnie to obchodzi – warknął Szczebiot, pochylając się w stronę Magdy. – W tak posranych okolicznościach twoje życie prywatne mnie nie interesuje. Nie widzisz, co się dzieje? Kawęcki uskuteczni samowolkę, a Witold mu w tym pomaga. To, co się wydarzyło w jego mieszkaniu, pokazuje, że nic dobrego z tego nie wynika. – Przejechał dłonią po nosie, a następnie wytarł ją w spodnie. – Śledziłaś go wczoraj?

– Tak.

– I co?

– Rano był u ciebie. Widziałam, jak rozmawialiście.

Naczelnik pokiwał głową. Chciał coś dodać, ale się powstrzymał.

– A potem?

– Potem jeździł po mieście bez celu. Zatrzymywał się w kawiarniach i rozmawiał przez telefon. W połowie dnia wstąpił do knajpy w Śródmieściu. Pękl.

Szczebiot nieznacznie otworzył usta.

– Jak to „pękl”?

– Wrócił do chłania.

Wpatrywał się w Magdę, jakby chciał ją przewiercić wzrokiem.

– Co dokładnie widziałaś?

– Usiadł przy barze i zamówił piwo. Potem następne. Pił i rozmawiał z barmanem. Potem wsiadł do samochodu i odjechał. Zanim wrócił do domu, wstąpił jeszcze do monopolowego po połówkę czystej. Wtedy uznałam, że nie ma sensu go dalej obserwować.

Szczebiot zamilkł. Przez kilkanaście sekund, wodząc językiem po górnych zębach, wpatrywał się w chodnik. W końcu pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– Mówię, co widziałam.

– Niemożliwe, żeby wrócił do picia.

– Dlaczego?

– Bo po tej jatce został zbadany alkomatem. – Szczebiot spojrzał na Magdę. – Wydmuchał okrągłe zero.

Obudziło go ukłucie zimna na policzku. Ocknął się, wyrzucając w górę głowę oraz rękę, które odruchowo uformowały gardę. Utkwił wzrok w potężnych dłoniach na wprost jego twarzy. Jedna zaciskała się na oszronionej butelce Old Smugglera, taniej whisky z hipermarketu. Druga trzymała opakowanie ibuprofenu. Zawahał się. Szukał powodu, dla którego miałby nie sięgnąć po jedno i drugie.

– Długo mam tak stać? – zapytał Witold Ptak.

Tomek Kawęcki wziął od Witolda opakowanie leku i od razu połknął dwie tabletki. Ponownie zatopił się w fotelu i zamknął oczy, licząc, że dzięki temu szybciej ustanie niosący się przez jego głowę tętent. Witold zajął sąsiedni fotel.

Sięgnął po stojącą na końcu ławy szklanę i odmierzył sobie potężną porcję whisky. Potem kolejną. Alkohol wpadał do jego krwiobiegu w lawinowym tempie. W końcu odstawił szklanę na ławę, zapalił papierosa, mocno się nim zaciągając, i przesunął paczkę w stronę Kawęckiego.

– Gdzie twoja żona? – zapytał Kawęcki, nie otwierając oczu.

– Wyjechała. Do matki. Musi przemyśleć kilka spraw.

– A córki?

– Jest piątek. Trzynasta. Więc jak myślisz?

– Nie pytałem o to, gdzie są.

– Powiedziałem im, że się pokłóciliśmy.

– Edyta ci kazała?

– Nie, Edyta chciała, żebym je okłamał. Żebym powiedział, że wyjechała w delegację.

– Jak to przyjęły?

– Chyba nie najgorzej. Mimo to wolały spędzić tę noc u koleżanek niż w domu.

Chcesz coś zjeść?

Kawęcki nie odpowiedział. Powoli otworzył usta, jakby się obawiał, że po rozwarciu szczęki wypadną mu zęby. Potem delikatnie obmacał twarz, którą pokrywały rozcięcia i opuchlizna. Jego posiniaczona głowa przypominała globus, który kilka razy spadł z biurka. O kilka razy za dużo.

– Myślisz, że Edyta cię zostawi?

Witold wydmuchnął dym w sufit i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ja na jej miejscu bym się nie wahał. I tak wytrzymała ze mną długo, dłużej, niż wytrzymuje większość żon policjantów. Ale Edyta bardziej przejmuje się innymi niż sobą. Martwi się, jak zareagowałyby dzieci. Poza tym jest osobą głęboko wierzącą. Myślę, że rozwód byłby dla niej większym ciosem niż życie u boku faceta, który notorycznie ją zawodzi.

– Dlaczego sam tego nie zaproponujesz?

– Czego?

– Rozvodu. Jeżeli ją kochasz i ci na niej zależy, powinieneś się z nią rozstać.

Witold odmierzył kolejną porcję alkoholu, nerwowo wytrząsając whisky przez dozownik. Zanim się napił, popatrzył przed siebie. Na zrobione przed mniej więcej dziesięcioma laty zdjęcie, na którym przytula żonę i dwie małe córki. Było z niego rodzinne szczęście.

– Byłoby to wbrew mojej naturze. Jestem tym typem faceta, który do końca będzie walczyć o żonę i dzieci, nawet jeśli wyrządza im w ten sposób krzywdę. Będę wydzwaniać do nich po pijaku i mówić, że ich kocham. Ciągłe obiecywać poprawę i wciąż zawodzić. Podobnie jak większość ludzi jestem egoistą. A egoiście poproszenie o rozwód żony, z którą nie chce się rozstawać, wydaje się czymś kurewsko głupim.

Kawęcki otworzył oczy. Głównie po to, by zlokalizować na ławie paczkę papierosów. Przy okazji dostrzegł, że mieszkanie Witolda wygląda inaczej, niż je zapamiętał. Z jego dawno niemalowanych ścian bił smutek i zaniedbanie, a meble przypominały eksponaty z minionej epoki. Czasem wystarczy się rozejrzeć, aby zrozumieć, że w jakiejś rodzinie nie dzieje się najlepiej. Gdy pedantyczna kobieta pozwala sobie na życie w zapuszczonym domu, to znaczy, że przestaje jej na nim zależeć albo ma dość zajmowania się nim w pojedynkę. Albo że jej umysł wypełniają myśli związane z czymś zupełnie innym. Czymś, o czym mąż wolałby się nie dowiedzieć.

– Myślisz jeszcze o tym, aby spróbować zejść się z Teresą? – zapytał Witold.

– Codziennie.

– Jest na to jakaś szansa?

Kawęcki bardzo wolno pokręcił głową.

– Coraz częściej dochodzę do wniosku, że byłoby to bez sensu.

– Dlaczego?

– Bo przez te wszystkie lata, które spędziliśmy razem, nie byłem szczęśliwy. Do tej pory sądziłem, że to moja wina. Że zatraciłem się w pracy. Zamiast żyć, być obecnym, dawać coś z siebie, cieszyć się małymi rzeczami, chłonałem całe zło tego świata. Ale to nieprawda. Nie dlatego byłem nieszczęśliwy.

Kawęcki pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Zawiesił wzrok na butelce,

która ponownie zatoczyła łuk w powietrzu i zatrzymała się nad szklanką Witolda.

– To właśnie z powodu Teresy byłem nieszczęśliwy – stwierdził. – Nie zrobiła nic, by odciągnąć mnie od pracy. Wyrwać ze świata przemocy. Nie motywowała mnie. A ja, uwięziony w tej aberracji, nie zrobiłem nic, żeby umilić jej życie. Decydując się na bycie razem, popełniliśmy błąd. A potem tylko w nim tkwiliśmy, bojąc się cokolwiek zmienić. Jakbyśmy bali się zepsuć coś, czego nawet nie zdołaliśmy zbudować.

Zapalił papierosa. Ostrożnie się zaciągnął i opadł na oparcie fotela.

Witold wstał i poszedł do łazienki. Wysikał się przy otwartych drzwiach. Po powrocie do salonu sięgnął po butelkę. Potem też zapalił papierosa. Na koniec usiadł. Wygrzebał z kieszeni wibrujący telefon i lekko zamglonym wzrokiem wczytał się w wiadomość.

– Twoi nowi koledzy prawdopodobnie przeżyją – oznajmił. – Leżą na OIOM-ie. Mniejszemu grozi niedowład mięśni twarzy, a większego prawdopodobnie czeka rekonstrukcja ryja.

Kawęcki przypomniał sobie widok, który ujrzał w swoim domu, gdy odzyskał przytomność. Siedząc na krześle – i nie mając siły się z niego podnieść – sądził, że nie żyją. Ale jakiś czas później zauważył, że obaj próbują doczołgać się do wyjścia. Wtedy podniósł się nadludzkim wysiłkiem. Wyciągnął pistolet i poczłapał do przedpokoju.

– Zasłużyli na to.

– Nie twierdzą, że nie. Mam tylko nadzieję, że było warto.

– Nie miałem wyboru.

Witold zaśmiał się chrapliwie.

– Oby tylko nasi koledzy po fachu, którzy właśnie przetrząsają twoje mieszkanie, również doszli do takiego wniosku. Dowiedziałeś się chociaż czegoś wartościowego?

– Czegoś się dowiedziałem. Czy wartościowego, to się dopiero okaże.

– To dobrze. Bardzo dobrze – odparł Witold bełkotliwie. – Jutro się tym zajmujemy.

Witold sięgnął po pilota i włączył telewizor. Przerzucił kilka kanałów i zatrzymał się na sitcomie, w którym śmiech publiczności pojawiał się znacznie częściej niż zabawne gagi. Przez kilka kolejnych minut tępo uśmiechał się do telewizora i regularnie sięgał po szklanę z whisky. Popijał ją jak gorącą herbatę, głośno siorbiąc przy każdym łyku.

– Dużo zamierzasz wypić? – zapytał Kawęcki.

– Tyle, ile zdołam.

Kawęcki wstał, odpychając się od poręczy fotela. Potrzebował kilku sekund, aby wyrównać ciśnienie i złapać równowagę. Wyciągnął z paczki trzy papierosy i włożył je do kieszeni luźnej koszuli, którą otrzymał od Witolda.

– O osiemnastej powinniśmy stąd wyjść. Postaraj się skończyć do tego czasu.

Słyszała, że niektóre kobiety tak robią. Ale sama myśl, że miałyby do nich dołączyć, napawała ją wstrętem. Do niej samej. Do Filipa. I do wynaturzonego świata, który ją do tego zmusił.

Magda Giętka spojrzała na zdjęcie, które zrobiła minionej nocy. Kiedy się wybudziła z popołudniowej kacowej drzemki, miała nadzieję, że to wszystko tylko się jej przyśniło. Długo wpatrywała się w utrwalony na smartfonie obraz – niewyraźny, zrobiony trzęsącą się ręką i przy fatalnym oświetleniu – zanim uwierzyła, że jest realny. A kiedy już to się stało, zrozumiała, że ma moc większą od tysiąca słów. Większą niż każdy inny czyn, jaki była w stanie sobie wyobrazić. Gdy gwałtowne skurcze żołądka wyciągnęły ją z łóżka, wiedziała, że zawdzięcza je właśnie tej fotografii, a nie alkoholowi. Chociaż zdjęcie, paradoksalnie, zawdzięczała głównie wódce.

Wyszła z domu z zamiarem usunięcia fotografii. Wymazania minionych kilkunastu godzin z pamięci i zatarcia wszelkich dowodów, że je przeżyła. Wróciła do knajpy, przed którą poprzedniego wieczoru zostawiła samochód. Zamówiła kawę. Długo mieszała wsypany do filiżanki cukier, aż przyciągnęła wzrok barmana. Zastanawiała się, czy ją pamięta. I czy to on widział, jak łąsi się do jakiegoś nażelowanego gogusia, który usiadł obok niej. I czy dostrzegł, że robiła to wbrew sobie, nie z pożądania, lecz z gniewu. Szukając zemsty i sprawiedliwości.

I że je znalazła. Musiała tylko postawić ostatni krok.

Wyczyściła umysł. Przez kilkanaście sekund udało jej się nie myśleć zupełnie o niczym. Tyle wystarczyło, aby podpisać zdjęcie, wysłać je i wyjść z lokalu. Z nadzieją, że już nigdy się w nim nie pojawi.

Rozwiedziony. Ma dwoje dzieci i troje wnucząt. Absolwent prawa na Uniwersytecie Łódzkim. Na początku lat osiemdziesiątych wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Po upadku komuny wyjechał do Stanów Zjednoczonych i wziął udział w organizowanym przez FBI rocznym kursie wykrywania przestępstw finansowych w sektorze prywatnym. Złośliwi twierdzili, że przez dwanaście miesięcy bimbał i pił z biznesmenami, którzy traktowali go jak egzotyczną maskotkę. W każdym razie po powrocie do Polski zrobił błyskawiczną karierę. Kiedyś uprawiał dzudo, ale dziś chętniej grywa w tenisa i golfa. Raczej z przedsiębiorcami i politykami niż z kolegami po fachu.

Mariusz Szczebiot przypominał sobie wszystko, co wie o inspektorze Januszu Dębca. Nie sądził, żeby było mu to do czegokolwiek potrzebne, ale w ten sposób mniej się stresował. Choć okno w biurze komendanta wojewódzkiego policji w Łodzi było uchylone, Szczebiot miał wrażenie, że spływa potem i że nie jest to skutek działania leków przeciwgorączkowych, którymi przez cały dzień się faszerował. Rozluźnił nieco krawat pod szyją i położył dłonie na idealnie wyprasowanych spodniach. Czuł się jak uczeń czekający na powrót ojca z wywiadówki.

Zanim zdążył powtórzyć sobie w pamięci przebieg kariery Janusza Dębca, drzwi się otworzyły. Wysoki, wysportowany, z uśmiechem przyklejonym do opalonej, chirurgicznie odmłodzonej twarzy, inspektor, szczerząc pobielane zęby, przepuścił przed sobą dwie młodsze osoby. Szczebiot nerwowo poderwał się z krzesła i wyciągnął dłoń w kierunku nowo przybyłych.

– Nadkomisarz Mariusz Szczebiot, naczelnik Wydziału Kryminalnego w naszej komendzie – przedstawił go Dębiec. – Komisarz Anna Stelmach z Biura Spraw Wewnętrznych. Właśnie przyjechała z Warszawy.

Szczebiot uściśnął dłoń kobiety, która przeszyła go zimnym spojrzeniem. Była



niemal jego wzrostu i patrzyła na niego tak, jakby chciała zrobić mu krzywdę. Albo przynajmniej sprawdzić, czy jej się to uda. Szczebiot nie był pewien, czy ze szczupłej twarzy z wyrazistymi kośćmi policzkowymi, której surowość uwydatniały spięte w kucyk blond włosy, w ogóle dałoby się wycisnąć uśmiech. Przypominała Skandynawkę, która nigdy nie widziała słońca i nie zaznała rodzinnego ciepła. Ciągnęła za sobą elegancką czarną walizkę na kółkach, która mogła służyć za dodatek do garsonki.

– A to młodszy inspektor Marcin Kaczmarek, naczelnik łódzkiego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych. Sądziłem, że się znacie, ale najwyraźniej byłem w błędzie.

– Jeszcze nie mieliśmy przyjemności. Albo nieprzyjemności – powiedział Marcin Kaczmarek, uśmiechając się szeroko.

Stanowił przeciwieństwo Anny Stelmach. Był wyraźnie od niej niższy, miał lekko zaokrągloną jowialną twarz, niewielką nadwagę, której nie próbował ukryć, oraz marynarkę wyglądającą tak, jakby wyszarpał ją psu z gardła.

– Siadajcie – nakazał Dębiec.

Komendant okazał się mistrzem small talku. Zapewniając gości, że nie zamierza użyć wobec nich kijów golfowych zajmujących połowę jednej ze ścian jego gabinetu, bardziej przypominającego plac zabaw niż poważne policyjne biuro, opowiedział im o polach golfowych, na których grywał, ludziach, których miał okazję ograć, i o kilku zabawnych epizodach z udziałem starszych panów, już nie bardzo wiedzących, co mają zrobić ze swoimi pieniędzmi. W tym czasie jego asystentka przyniosła do biura tacę z napojami, a goście nieco rozluźnili spięte mięśnie twarzy. Nawet Anna Stelmach zdobyła się na uśmiech.

– Przejdźmy do konkretów – powiedział Dębiec, teatralnie klaszcząc w dłonie. – Jak się czuje Tomek Kawęcki?

Szczebiot rozłożył ręce i głośno wypuścił powietrze. Jeszcze kilka godzin temu zamierzał łąć. Wciskać komendantowi głodne kawałki na temat człowieka, który od paru lat stanowił jego główne źródło stresu. Ale kiedy po nieprzyjemnym poranku spędzonym w mieszkaniu Kawęckiego wrócił do domu, wykąpał się

i włożył swój najlepszy garnitur, zmienił zdanie. Nie wiedział, czy stało się to pod wpływem leków, czy wskutek nagłego olśnienia, ale postanowił, że nie będzie kłamał. Dla własnego dobra.

– Nie wiem – powiedział. – Tomek Kawęcki to skomplikowany człowiek. Ma trudną i złożoną osobowość. A do tego sporo osobistych problemów. Pewnie wiecie, co mam na myśli. – Wyczytał z ich twarzy, że wiedzą. – Po nocnym zajściu odmówił wizyty w szpitalu. A potem zniknął. Nie znaleźliśmy ani jego, ani policjanta, z którym odjechał z miejsca zdarzenia.

– Witolda? – zapytał komendant.

Szczebiot pokiwał głową. W milczeniu przyglądał się Stelmach, która przesunęła suwak walizki i wyciągnęła z niej notatnik.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał Dębiec.

– Najpierw dowiem się, dlaczego ci dwaj go napadli. A potem postawię Kawęckiego i Witolda do pionu.

Komendant zaśmiał się krótko. Odchylił się na fotelu i z niedowierzaniem popatrzył na Szczebiota.

– Myślisz, że to możliwe?

– Nie wiem. Ale wiem, że nikt nie jest niezastąpiony. Także Kawęcki.

– Mógłby pan zwolnić swojego najlepszego śledczego? – odezwała się po raz pierwszy Stelmach.

Szczebiot spojrział na nią, lekko rozdziawiając usta.

– Jeżeli to będzie jedyne wyjście, to tak. – Starał się być rzeczowy, ale drwiąca mina Dębca i beznamienne spojrzenie Stelmach wytrącały go z równowagi. – A skąd pani wie, że to mój najlepszy śledczy?

– Ze statystyk.

Szczebiot popatrzył na Dębca, który odchylony na fotelu przyglądał się swoim kijom golfowym.

– Skąd ma pani dostęp do tych danych?

– Mam dostęp do wielu informacji związanych z kierowanym przez pana wydziałem.

Szczebiot poczuł, jak kropla potu spływa mu za kołnierz.

– Nie wiedziałem, że Wydział Kontroli tak ściśle współpracuje z Biurem Spraw Wewnętrznych.

– Bo nie współpracuje – odparła Stelmach.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Nie denerwuj się – powiedział pojednawczo Dębiec.

Już nie przyglądał się kijom golfowym, lecz własnym dłoniom, które pokrywały liczne plamy wątrobowe. Konsekwentnie unikał nawiązywania kontaktu wzrokowego z którymkolwiek z gości, przez co mogli odnieść wrażenie, że ich lekceważy. Ale najwyraźniej to był jego sposób radzenia sobie ze stresem. Albo z gniewem.

– Źle zaczęliśmy to spotkanie. Powinniśmy najpierw ustalić pewne reguły. – Przeniósł wzrok na Szczebiota. – A reguły są takie, że nie zadajesz żadnych pytań. Odpowiadasz, kiedy ktoś cię o coś pyta, i milczysz, gdy nie jesteś o nic pytany. Serią chujowych incydentów z udziałem swojego wydziału straciłeś prawo do dobrowolnego otwierania mordy. Czy to jasne?

Szczebiot miał wrażenie, że właśnie dostał gołą dupą w pysk. W dodatku zamiast rozmasować obolałe miejsce, bezmyślnie rozdziawił gębę. Zasłużył sobie. Nie wiedział tylko, co najbardziej rozsierdziło komendanta: przeciągająca się sprawa zabójstwa młodej kobiety, seria dziwnych wypadków z udziałem jego ludzi czy wyciek informacji, po którym Dębiec musiał interweniować u swojego kolegi z wydawnictwa. A może kompletny brak kontroli nad zespołem, co faceta przyzwyczajonego do dyrygowania ludźmi musiało wręcz palić w oczy.

Niechętnie skinął głową.

– Jeszcze o tym pomówimy – powiedział komendant, przeszywając Szczebiota wzrokiem. – A teraz – zwrócił się do Kaczmarskiego i Stelmach – opowiedzcie mu, czym się zajmujecie.

Marcin Kaczmarski przesunął się na skraj krzesła. Pochylił się i oparł ręce na kolanach. Przez cały czas nieznacznie się uśmiechał, ujawniając niewielkie dołeczki w okrągłych policzkach.

– Wie pan, czym zajmuje się Biuro Spraw Wewnętrznych?

– Studiowałem w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie. Jak pan myśli?

Kaczmarek zaśmiał się i wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze Stelmachem.

– Bez obrazy, ale myślę, że gównie pan wie. – Kaczmarek wyprostował się na chwilę, naciągnął rękawy marynarki i ponownie się pochylił. – Widzi pan, dla różnych osób różne rzeczy są jasne. Dla was, czyli dla większości policjantów, jasne jest to, że jesteśmy gnojami, zakałą rodu, ponieważ ścigamy swoich i próbujemy narobić do własnego gniazda. Ale dla nas, wewnętrzniaków, jasne jest to, że ścigamy nie policjantów, tylko gangusów, którzy ich udają. Niektórym wychodzi to tak dobrze, że dostają mundury z pięknymi pagonami. Nawet takimi z trzema gwiazdkami i dwiema belkami. Bez obrazy, panie komendancie.

Dębiec machnął ręką.

– Krótko mówiąc – ciągnął Kaczmarek – ścigamy tych, którzy podają się za swoich, chociaż nimi nie są. Choć „ścigamy” to trochę za dużo powiedziane. Do porzygu przekopujemy się przez dokumenty, grzebiemy w archiwach, a od pewnego czasu przepuszczamy też dane przez różne fajne programy komputerowe, które mamy do dyspozycji.

– Do rzeczy – rzucił komendant. – Nie mamy na to całego dnia.

Kaczmarek jeszcze raz wyprostował się na krześle i tym razem z pełną powagą przyjrzał się Szczebiotowi. Naczelnik z każdą sekundą wydawał się coraz bardziej zmieszany.

– Najczęściej mamy do czynienia z fałszowaniem mandatów, kradzieżą pieniędzy, tworzeniem fałszywych dowodów czy nadużywaniem władzy. Ale czasem trafiają nam się poważniejsze sprawy. Prawdziwe perełki. Nad jedną z nich pracujemy już od kilku miesięcy. Ma związek z przestępczością zorganizowaną. I z pańskim wydziałem.

Zanim dotarło do Szczebiota, co właśnie usłyszał, Stelmach zdążyła wyciągnąć z walizki teczkę i podetknęła mu ją pod nos. Wpatrywał się to w policjantkę, to w tekturowy skoroszyt, na którym wypisanych było kilka dobrze mu znanych nazwisk.

– Co tak naprawdę pan wie o Tomaszu Kawęckim? – zapytała.

Adwokat Mariusz Zakrzewski poderwał się jak poparzony. Paroma niezgrabnymi skokami dopadł do okna i otworzył je na oścież.

– Co to ma być? – zapytał, nerwowo wymachując rękoma. – Co wy tu robicie?

– Przyszliśmy pogadać – odparł Tomek Kawęcki.

Prawnik wpatrywał się w niego z rozchyłonymi ustami. Potem przeniósł wzrok na Witolda Ptaka, który chwiejąc się na nogach, uśmiechał się głupkowato. Kawęcki otoczył kolegę ramieniem.

– Witold jest dzisiaj trochę niedysponowany. Ale uznaliśmy, że skoro wolisz spotykać się z nim niż ze mną, będzie ci raźniej, jeśli będzie mi towarzyszył.

– Kurwa! – warknął Zakrzewski przez zęby. – Tu przychodzą poważni ludzie, przedsiębiorcy i menedżerowie. Załatwiamy bardzo trudne sprawy. Tu się gra o miliony. Wchodząc do mojego biura, ci poważni ludzie nie mogą czuć smrodu żuła.

– Nie żuła, tylko policjanta z problemami.

– Właśnie – wybełkotał Witold. – Z dużymi problemami.

– I nie mogą siadać na krześle poplamionym krwią.

Zakrzewski wycelował palec w poharataną twarz Kawęckiego. Ten w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami.

– Im szybciej powiesz nam to, co nas interesuje, tym szybciej stąd wyjdziemy. Jakość powietrza w twoim biurze zależy wyłącznie od ciebie. Czystość krzesła także.

Kawęcki widział, że w Zakrzewskim mieszają się różne negatywne uczucia: gniew, zażenowanie, obrzydzenie i strach. Niemal momentalnie prawnik zaczął się pocić. Zdjął marynarkę, powiesił ją na wieszaku i rozpiął dwa górne guziki koszuli. Usiadł na krześle i przyglądał się Witoldowi, przy pomocy Kawęckiego człapiącemu do okna. Parokrotnie upuścił papierosa na podłogę, zanim ostatecznie włożył go do ust i zapalił.

– Widziałem wiadomość, którą wysłałeś Witoldowi – powiedział Kawęcki. – Słucham.

– Mam coś bardzo mocnego. Przełomowego. Ale powiem wam o tym pod warunkiem, że nie będziecie już mnie nachodzić, szantażować ani bezcześcić mojego gabinetu swoimi zasranymi cielskami. Zgoda?

Kawęcki również zapalił papierosa. Wypuścił dym przed siebie, a następnie rozsiadł się na krześle i położył nogi na biurku.

– Jeśli jest to naprawdę mocne i nie wyssałeś tego z palca, to zgoda.

Zakrzewski otworzył górną szufladę i wyciągnął z niej kilka złożonych na pół kartek. Popatrzył najpierw na Witolda, który przysypiał na parapecie, a potem na Kawęckiego, obmacującego jedną z wielu ran na twarzy.

– Co ci się stało? – zapytał.

– Zaciąłem się przy goleniu.

– Czoła?

Witold tak się zatrząsł ze śmiechu, że o mało nie spadł z parapetu.

– Oglądałeś film *Chłopaki nie płaczą*? Na pewno oglądałeś – powiedział Zakrzewski, nie czekając na odpowiedź Kawęckiego. – Pamiętasz, jak wyglądał Grucha, gdy pewien stary bokser spuścił mu wpierdol? Ty wyglądasz o wiele gorzej.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo boli mnie głowa. A powinieneś wiedzieć, że jak mnie boli głowa, to robię się nerwowy – powiedział Kawęcki. – Na twoim miejscu bym się streszczał.

Zakrzewski wziął głęboki oddech i odgarnął grzywkę z czoła.

– Historia sprzed ośmiu lat. Piętnastoletnia Maja Zielińska poszła po szkole do galerii handlowej. Był luty, dni krótkie, zmierzch zapadał około siedemnastej. Maja mieszkała na Polesiu, niedaleko Parku na Zdrowiu. Odprowadziła koleżanki, a potem ruszyła przez park do domu. Dotarła do niego dopiero kilka dni później. Wprost ze szpitala, do którego trafiła po brutalnym gwałcie.

Zakrzewski podążył wzrokiem za ręką Kawęckiego, która zanurkowała do kieszeni, wydobyla z niej paczkę chusteczek, a następnie przytknęła jedną z nich do czoła. Potem głowa policjanta zniknęła za chmurą dymu.

– Dziewczyna nie potrafiła opisać mężczyzny, który jej to zrobił. Mówiła, że był

ubrany na czarno i nosił czapkę. Zapamiętała, że miał łagodny i ciepły głos. Niemal kobiecy. Jakiś czas później śledczy ustalili, że człowiek, który ją napadł, nie chciał jej zrobić krzywdy. To znaczy nie chciał jej pobić ani zabić. Uderzył ją wyłącznie po to, aby ją obezwładnić i zgwałcić. Doszli więc do wniosku, że mają do czynienia wyłącznie z pedofilem, a nie dodatkowo z potencjalnym zabójcą.

– Niekoniecznie – powiedział Kawęcki. – Mógł to być zwykły gwałciciel. Piętnastolatki często wyglądają na sporo starsze.

– Nie w tym przypadku.

Zakrzewski podał Kawęckiemu zdjęcie niewinnej, uśmiechniętej blondynki, która równie dobrze mogłaby być uczennicą szkoły podstawowej. Chwilę później wręczył mu fotografię tej samej blondynki, tyle że z podbitym okiem, przerażonej, kulącej się na szpitalnym łóżku.

– Niestety, śledztwo do niczego nie doprowadziło. Zboczeniec użył prezerwatywy. Po wszystkim prawdopodobnie przeniósł ofiarę w inne miejsce, ponieważ policjanci nie byli w stanie ustalić, gdzie dokładnie doszło do gwałtu. Po kilku miesiącach sprawa straciła dla nich priorytet, ponieważ w okolicy nie odnotowano żadnego podobnego ataku. Rodzice dziewczynki byli bardziej zdeterminowani. Próbowali się dowiedzieć, kto to zrobił. Wynajęli nawet prywatnego detektywa. Ale po pół roku powiedział im, że nic nie wskórał, a ich nie było stać na to, aby dalej go opłacać. W końcu sprawa została w zasadzie zamknięta.

– Słyszałem setki takich historii – burknął Kawęcki. – Jaki to ma związek z tym, co nas interesuje?

Zakrzewski uspokoił go gestem ręki.

– Facet, który dopadł Maję Zielińską w parku, nie tylko ją skrzywdził, brutalnie odbierając jej niewinność, ale też przestawił o sto osiemdziesiąt stopni. Rozpieprzył jej percepcję i system wartości. Maja nie wyrosła na grzeczną dziewczynkę. Nie skończyła liceum, uciekła z domu, wprowadziła się do jakiegoś trzydziestoletniego gacha. W wieku siedemnastu lat zaszła z nim w ciążę. Kilka lat i parę facetów później ojciec jej dziecka został oskarżony o dziesionę. Maja dostała wezwanie do

sądu. I wtedy koszmar z parku powrócił.

Zakrzewski spojrział na Kawęckiego, który mrozącym spojrzeniem zmył mu z twarzy uśmiech ekscytacji. Adwokat zagłębił się w notatki i przeczytał na głos:

– „Kiedy prokurator odezwał się do świadka, ten zaczął krzyczeć. Rozhisteryzowana kobieta nie była w stanie zeznawać. Zamiast odpowiedzieć na zadane przez oskarżyciela pytanie, rzuciła kilka przekleństw i niezrozumiałych zdań, a następnie wybiegła z sali”. Tyle zdołała zanotować stenotypistka. Świadcowie tego zdarzenia byli jednak czujniejsi. A zwłaszcza prawnik, który bronił tego fagasa. Wyraźnie słyszał, że Maja wyzwala prokuratora od pedofili. – Zakrzewski uporządkował notatki i odłożył je na biurko. – Wspomniany prawnik próbował się dowiedzieć, czy prokurator miał coś wspólnego z tym, co przytrafiło się Mai, ale okazał się za cienki w uszach. Kilka lat później wyleciał zresztą z palestry. Prawdopodobnie za to, że zaczął grzebać w życiorysach kolegów.

Kawęcki zerknął na Witolda. Z pijanego mężczyzny, którego zwaliste cielsko parę minut wcześniej niemal wypadło przez okno, nic nie zostało. Byстрыm wzrokiem skanował pokój, lepiąc ze sobą fakty, które wnikały do jego pijanego umysłu.

Zakrzewski przesunął kartki w stronę Kawęckiego.

– Tutaj znajdziecie informacje o sprawie Mai Zielińskiej, jej zeznania oraz historię prawnika, który próbował się dowiedzieć, kto ją napadł. Jest też kilka słów o tamtym oskarżycielu. Ale jego zdążyliście już poznać. Jest gruby, brzydki i wygląda tak, jakby w dzieciństwie ktoś wrzucił go do beczki z gównem.

Zakrzewski położył dłoń na dokumentach.

– To co, mamy umowę?

Kawęcki wyszarpnął spod jego dłoni notatki i ruszył do wyjścia. Witold wycelował palcem w Zakrzewskiego, jakby chciał coś powiedzieć. Ale zamiast tego wyrzucił peta przez okno i chwiejnym krokiem ruszył za Kawęckim.

Czerwona bluzka ze sporym dekoltem. Miała ją na sobie, kiedy spotkali się po raz trzeci. Pierwsze spotkanie miało charakter zapoznawczy. Drugie było drętwe i nie spełniło oczekiwań, jakie oboje w nim pokładali. Dopiero trzecie wyzwoliło w nich



swobodę, a wraz z nią namiętność. Pokonawszy barierę z cienkiej bawełnianej tkaniny, która opinała ciało, jego dłoń pierwszy raz wylądowała na jej piersiach. Była ciepła i drżąca. Dłoń uczeniaka rozpaczliwie szukającego wyjścia z kłopotliwej sytuacji.

Cienki czarny sweter. Była w nim, gdy poznała jego rodziców. Wpatrywali się w nią jak w obrazek, jakby była ucieleśnieniem ich marzeń o przyszłości syna, który może i radził sobie zawodowo, ale w życiu prywatnym był nieudacznikiem, niezdolnym do zwabienia jakiegokolwiek kobiety. Często się zastanawiała, czy była pierwszą, którą zaprezentował rodzicom. Tą, która uwolniła go od samotności i permanentnego poczucia wstydu. Która pomogła mu zrzucić kajdany.

Sukienki nosiła rzadko, bo nie lubiła eksponować swoich muskularnych nóg, ale jednej nie potrafiła się oprzeć: szmaragdowej w orientalne wzory, które były dla niej zupełnie niezrozumiałe. Cekinowy dół był lekko postrzępiony, odkąd spędziła w niej dwadzieścia cztery godziny, włócząc się po lasach, łąkach i mokradłach. Z nim. Zabrał ją na wieś, aby pokazać jej miejsce, w którym przed laty odwiedzał jedną ze swoich licznych ciotek. Okazało się, że nie pamiętał zbyt dobrze okolicy. Kiedy zapadł zmrok, przekreślając ich szanse na znalezienie wyjścia z lasu, położyli się na wyściółce z liści i okryli jego kurtką. Chciał się z nią kochać, ale była zbyt wściekła, żeby się na to zgodzić.

Uznała, że nie wepchnie sukienki na dno torby. Nosiła ją wyłącznie wiosną. A podobno miało nadejść ocieplenie.

Układała swoje rzeczy pedantycznie, jakby chciała w ten sposób uporządkować historie, które się z nimi wiązały. Pojedyncze sztuki wyjmowała z szafy, pieczołowicie składała i w równych kwadratach rozmieszczała w obszernej torbie z Ikei, która miała pomóc jej w przeprowadzce. Nie wiedziała jeszcze, jak ją stąd wyniesie. Była jedynie pewna, że nie poprosi o pomoc Filipa. Zresztą i tak by się nie zgodził. Nie po wiadomości, którą mu wysłała.

Skończywszy z szafą, wzięła się do szuflad, komód i szafek. Gdy już opróżniła wszystkie meble ze swoich ubrań, usiadła na skraju kanapy i ogarnęła pokój wzrokiem. Mieli mnóstwo teoretycznie wspólnych rzeczy, ale nie zamierzała ich

zabierać, ponieważ praktycznie większość z nich była jego. Za pieniądze Filipa kupili szafkę nocną, lampkę, budzik, biurko i komplet krzeseł. Jego korporacja płaciła lepiej niż policja. Szanowała pracownika bardziej niż policja. Bardziej niż policja zabiegała o to, by ludzie nie zapalali nienawiścią do miejsca pracy. Ale nie wyrabiała charakteru. Choć o policji nie dało się powiedzieć wiele dobrego, trzeba jej oddać, że z obleczonej skórą szkieletów czyniła ludzi, dobrych lub złych, ale ludzi. Nie wypluwała tworów człekopodobnych, masowo produkowanych przez korporacje.

Magda wstała i poczuła, że jest potwornie głodna. Brzuch zasygnalizował jej to przeciągłym burknięciem. Podjęła decyzję, że gdy już spakuje do końca swoje rzeczy, pójdzie coś zjeść. Może także czegoś się napije, choć z pewnością nie wódki. Przy okazji zastanowi się, kto może pomóc jej przy przeprowadzce. Odruchowo pomyślała o facecie poznanym poprzedniego wieczoru, którego imię wydawało jej się równie mało istotne jak jego wygląd, ale na samo wspomnienie minionej nocy ponownie zachciało jej się rzygać.

Z oparcia krzesła ściągnęła dzinsy. Były brudne, choć nie pamiętała dlaczego. Położyła je na łóżku i zaczęła oskubywać z krótkich białych włosków, które przykleiły się do tylnych kieszeni. Spodnie były nowe, więc nawet nie próbowała przypominać sobie żadnej historii, która by się z nimi wiązała. Po prostu oczyściła je i włożyła do torby.

Gdy już spakowała pozostałe rzeczy, przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni miała te dzinsy na sobie. Wyciągnęła je z torby i popatrzyła na zabrudzenia, których nie zdołała do końca zeskrobać. Uniosła jeden z włosków i uważnie mu się przyjrzała pod żyrandolem.

To była sierść. Krótka biała sierść.

Przez kilkadziesiąt sekund stała w bezruchu i usilnie odtwarzała przebieg paru ostatnich dni, aby się upewnić, czy nic jej się nie pomyliło. Nie, nie mogła się mylić. Nie w tej sprawie. Wyciągnęła z kieszeni telefon i wybrała numer Szczebiota. Czekaając, aż odbierze, maszerowała po mieszkaniu i przypominała sobie szczegóły tamtego spotkania. Wszystko do siebie pasowało. Wszystko nagle

wydawało się tak dziecinnie proste. Chciało jej się krzyczeć ze szczęścia. I wrzeszczeć ze złości na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żeby dalej tkwili w niewiedzy. Nieświadomi, że potwór, którego szukają, jest tak blisko nich.

Szczebiot nie odbierał. Zgarnęła z komody klucze i wybiegła z mieszkania. Schody okazały się nagle nieskończenie długie. Kiedy w końcu znalazła się na dole, popchnęła ciężkie drzwi wejściowe i pomknęła w kierunku samochodu, który zaparkowała na tyłach bloku. Zanim do niego wsiadła, wydrapała lakier wokół klamki, nie mogąc z podniecenia wcelować kluczem do zamka. Gdy wreszcie dostała się do środka, ciężko opadła na fotel i zaczęła po omacku szukać stacyjki. Po kilku sekundach znalazła otwór, przekręciła kluczyki, a samochód odpowiedział jej zduszonym warknięciem.

Zanim ruszyła, postanowiła jeszcze raz spróbować dodzwonić się do Szczebiota. Nieznacznie uniosła się z fotela, żeby wyciągnąć telefon z wąskiej kieszeni spodni.

Wtedy się zorientowała, że nie jest sama.

**W**itold Ptak i Tomek Kawęcki siedzieli na niewygodnych plastikowych krzesłach ustawionych pod ścianą, czując na sobie ukradkowe spojrzenia kolegów z wydziału, którzy nie tylko dowiedzieli się o ich dziwnym zachowaniu, ale też zdążyli je przez weekend przetrwać. I sądząc po kwaśnych minach, najwyraźniej doszli do niekorzystnych dla nich wniosków. Być może uznali, że są dwoma cwaniakami, którzy mają coś na sumieniu i starają się to ukryć. Albo przemądrzałymi bucami, którzy sprawą napaści na jednego z nich wolą zająć się sami, bo uważają innych za skończonych idiotów. Albo dziwakami, od których po prostu należy trzymać się z daleka. W każdym razie nie oceniali ich najlepiej i nie zanosilo się na to, żeby mieli szybko zmienić zdanie.

Choć akurat to było w tym momencie najmniejszym zmartwieniem.

Mariusz Szczebiot uchylił drzwi do swojego gabinetu. Nie wyszedł jednak na korytarz, jakby nie chciał, by ktokolwiek widział go w towarzystwie tej parki.

– Ja mówię, ty milczysz – zarządził Witold, celując palcem w Kawęckiego.

Weszli do pokoju naczelnika. Zamknęli za sobą drzwi i rozsiedli się na krzesłach naprzeciwko Szczebiota, który z rękoma splecionymi na klatce

piersiowej przyglądał się Kawęckiemu. Na biurku leżały pogniecione kartki, które Tomek i Witold otrzymali od Mariusza Zakrzewskiego.

– Nie kupuję tego – powiedział Szczebiot.

Witold pokręcił głową i pochylił się w jego stronę.

– Ale my niczego ci nie sprzedajemy. Chcieliśmy tylko, żebyś zerknął na dane, które uzyskaliśmy od jednego z informatorów.

– Od kogo?

– To nieistotne.

– Wręcz przeciwnie. Ten człowiek musi być absolutnie wiarygodny, jeżeli w ogóle mamy się nad tym pochylić.

– Załóżmy, że jest.

Szczebiot przygryzł wargi. Przez kilkanaście sekund zastanawiał się nad czymś w ciszy. Potem pokręcił głową.

– To nie są fakty, lecz zbiegi okoliczności z jakimś mętym tłem. Zestawione ze sobą na zasadzie manipulacji, żebyście wyciągnęli z nich konkretne wnioski.

– Zapewniam cię, że człowiek, który przekazał nam te informacje, nie miał złych intencji.

Szczebiot podniósł kubek i wlał jego zawartość do ust. Skrzywił się, gdy letnia kawa rozeszła się w jego przelyku. Skrzywił się jeszcze bardziej, kiedy sięgnął po materiały, które leżały na biurku. Szczególnie długo wpatrywał się w zdjęcie dziewczynki.

– Nic mu nie udowodniono – oznajmił.

– Bo prawnik, który chciał to zrobić, został zgnojony przez swoje środowisko. Potraktowali go tak, jak w pierdłu traktuje się konfidentów.

– To tylko domysły.

– Nie, to słowa tego prawnika. Rozmawiałem z nim wczoraj.

Witold poczuł na sobie spojrzenie Kawęckiego, ale udawał, że nic nie zauważył. Blefował. Próbował skontaktować się z Jarosławem Muzajem, prawnikiem, który chciał po latach rozgryźć sprawę gwałtu na piętnastoletniej Mai Zielińskiej, ale ślad po nim zaginął. Zupełnie jakby rozpląnął się w powietrzu. Podobnie jak Maja

Zielińska. I Monika Dziewulska.

– Twoja córka ma dwanaście lat, prawda? – odezwał się Kawęcki.

Najpierw wzrokiem zgromił go Witold, potem zrobił to Szczebiot.

– Nawet, kurwa, nie próbuj się na nią powoływać.

– Nie zamierzam. Ale na twoim miejscu nie przyprowadzałbym jej do pracy.

A już na pewno nie na spotkania z Wargą.

Kawęcki wstał, włożył papierosa do ust i bez słowa wyszedł z gabinetu.

– Skurwiel! – syknął Szczebiot, werbalizując to, co Witold powiedział w duchu.

Naczelnik podniósł się z fotela i trzasnął drzwiami. Potem ponownie usiadł przy biurku, podniósł zdjęcie dziewczynki i pokazał je Witoldowi.

– Wierysz w to? – zapytał. – Wierysz, że prokurator, nasz współpracownik, jest pedofilem?

Witold przekrzywił lekko głowę, żeby nie widzieć zdjęcia, tylko twarz człowieka, który mu je pokazywał.

– Myślę, że wiara nie ma tu nic do rzeczy. Ale żeby za kilka lat nie patrzeć na siebie w lustrze z obrzydzeniem, powinniśmy to sprawdzić.

Szczebiot odłożył fotografię na biurko. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ścianę. W końcu odwrócił się do Witolda i pokręcił głową.

– Ostatnio dzieje się tu tyle zdumiewających rzeczy, że już chyba nic nie jest w stanie mnie zdziwić. Nawet to.

– Rzeczywiście. Nie wyglądasz na zdziwionego. – Witold wstał i włożył ręce do kieszeni. Spojrzał na Szczebiota z góry.

– Sugerujesz, że o tym wiedziałem?

– A wiedziałeś?

Zacięta twarz Szczebiota nie rozstrzygała, czy wiedział, czy nie. Ale bardzo wyraźnie mówiła, że ma ogromną ochotę uderzyć Witolda.

– Nie wiedziałem. I obrażasz mnie, sugerując, że mogło być inaczej.

– Niczego nie sugeruję. Oprócz tego, że znasz Wargę lepiej od nas i być może wiesz coś, czego my nie wiemy.

Naczelnik parsknął i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– „My”. Zawsze „my”, nigdy „ja”. Masz świadomość, że stworzyliście z Kawęckim świński duet, w którym tylko jeden z was próbuje samodzielnie myśleć? W dodatku nie ten, który powinien?

Witold nic nie odpowiedział. Jedynie wepchnął głębiej dłonie do kieszeni, jakby planował wywiercić tunel do kolan.

Szczebiot podciągnął rękaw marynarki i spojrzął na zegarek.

– Za chwilę mam spotkanie. A potem kolejne. Ale kiedy wrócę, czyli za jakieś dwie godziny, przyjdiesz tu i opowiesz mi o tym, co wyprawiacie z Kawęckim.

– Czyli o czym?

– Nie zgrywaj się – burknął Szczebiot. – O wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilkunastu dni, zaczynając od zabójstwa Bułeckiej, a kończąc na waszym tajemniczym zniknięciu po tym, jak Kawęcki omal nie został zamordowany we własnym domu. I masz mi wyśpiewać absolutnie wszystko. Rozumiesz?

– A co z Wargą?

Szczebiot ze zdenerwowania uniósł ręce. Chciał uderzyć w stół, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Skupcie się na tym pieprzonym zabójstwie. Ja zajmę się Wargą.

Witold przyjrzał mu się uważnie. Potem uśmiechnął się kwaśno i wyszedł.

Kawęcki czekał na niego przed budynkiem, odpalając jednego papierosa od drugiego.

– Urodziłeś się z taką niewyparzoną gębą czy nabyłeś ją w toku rozwoju? – zapytał Witold, a następnie wyciągnął papierosa z paczki, którą Tomek podstawił mu pod nos.

– O to należałoby zapytać moją matkę.

– Szczebiot powiedział, że zajmie się Wargą.

Kawęcki parsknął. Gdyby poruszanie twarzą nie sprawiało mu takiego bólu, zapewne jeszcze by się uśmiechnął.

– Czyli nadal wszystkim musimy zajmować się sami.

– Bardziej martwi mnie coś innego.

Kawęcki przyjrzał się Witoldowi. Drapał się po czole, jakby próbował ściągnąć

z niego skórę.

– Szczebiot nie wydawał się szczególnie przejęty ani historią z Wargą, ani naszym zniknięciem.

Kawęcki skinął głową.

– O czym to według ciebie świadczy?

– Albo o tym, że wie o Wardze, albo o czymś jeszcze gorszym, co nie daje mu spokoju. W każdym razie o niczym, z czego moglibyśmy się cieszyć.

Kawęcki rzucił peta na chodnik i bez słowa zaczął się oddalać.

– Dokąd idziesz?

– Dowiedzieć się, czym powinniśmy się martwić.

Prokurator Adam Warga powoli wbijał widelec w kielbasę, patrząc, jak sączy się z niej tłuszcz. Odkroił kawałek, przytknął do niego gruby plaster cebuli, a następnie zamoczył w rozlanej na talerzu wydzielinie, która była połączeniem musztardy, chrzanu oraz wszystkiego, co zdołało wyciec z mięsa. Wkładając kielbasę do ust, przypomniał sobie słowa lekarza. Cukrzyca, nadciśnienie, choroba wieńcowa, zaburzenia oddychania, udar, nowotwór. Gówno prawda, pomyślał. Niedouczony konował pewnie wymienił wszystkie choroby, jakie przyszły mu do głowy. Chciał go nastraszyć, że jeżeli nie zmieni diety i nie zrzuci wagi, któraś z tych dolegliwości niechybnie go dopadnie. Ale zamiast tego tylko go rozśmieszył.

Wiele lat temu Adam Warga zrozumiał, że różni się od większości ludzi. Zdał sobie sprawę, że jest nie tyle pozbawiony empatii, ile nie odczuwa potrzeby przejmowania się losem ani zdaniem innych ludzi. Uświadomił sobie, że dzięki temu może być całkowicie niezależny. I postanowił tę swoją niezależność pielęgnować. Walczyć o to, by nikt – lekarz, żona czy przełożony – go sobie nie podporządkował, nie narzucił mu swojej woli, nie zmusił do czegoś, na co nie ma ochoty.

I przez wiele lat tę walkę wygrywał.

W połowie posiłku prokurator odłożył sztućce, wytarł usta serwetką, a następnie wychylił duszkiem szklanekę coli. Stłumił beknięcie i osunął się na oparcie krzesła, które ugięło się pod jego ciężarem.



– Czy wszystko w porządku?

Michał, właściciel lokalu, który miał wobec Wargi dług wdzięczności, wyglądał na zaniepokojonego. Potrafił zgrabnie udawać strapionego restauratora, choć w głębi duszy liczył na to, że klient się zadławi serwowanym przez niego żarciem. Przypominał uprzejmego Hindusa, który udawaną troską odwdzięcza się za okazaną mu tolerancję. Byłby znakomitym aktorem, pomyślał prokurator, rzucając mu przyjacielskie spojrzenie.

– W jak najlepszym – odparł, klepiąc się po wydętym brzuchu.

– Jedzenie ci smakuje?

– Jak zawsze. – Warga z uśmiechem podał Michałowi szklanę. – Dolejesz mi coli?

– Z przyjemnością.

Zanim się zorientował, wyśladowała przed nim świeżutka szklanka coli z cytryną i lodem.

Prokurator zastanawiał się nad swoim życiem. Nad kłamstwami, które zaczynały je wypełniać. I nad czynami, które jeszcze kilkanaście lat temu uznałby za niemoralne, a dziś w pełni je akceptował. Jednak to nie one go martwiły, tylko to, że jego świat, składający się z setek kanciastych klocków, zaczynał pękać. Doskonale widział miejsca pęknięć, ale nie mógł nic z nimi zrobić. Ani ich zakleić, ani usunąć. Często się zastanawiał, czy jest w stanie cokolwiek zmienić w swoim życiu, subtelnie odwracając bieg wydarzeń, ale za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: jedyne, co może zrobić, to zniszczyć swój świat i spróbować zbudować go na nowo. W jakimś innym uniwersum, w którym nikt go nie zna. I gdzie nikt nie będzie mógł go osądzić.

Opróżnił szklanę coli i zdał sobie sprawę, że jego wypchany po brzegi brzuch ledwo mieści się pod stołem. Musiał się porządnie nagimnastykować, żeby przy wstawaniu nie strącić stojących na nim nakryć. Rzucił Michałowi zdawkowy uśmiech i ruszył do toalety.

Kiedy stanął nad pisuarem, najpierw rozpiął koszulę, a dopiero potem rozporek. Spojrzał w dół i zaklął w myślach. Widział strumień moczu, ale nie widział, skąd

się wydobywa. Ponownie przypomniał sobie wizytę w przychodni i smętny monolog lekarza. Nawet jeśli konował miał rację, to zapomniał o jednym istotnym skutku nadwagi, być może najgorszym ze wszystkich – utracie kontaktu wzrokowego z fiutem.

Drzwi do łazienki otworzyły się w chwili, kiedy próbował dopiąć spodnie. Miał wrażenie, że z każdą wizytą w kiblu przychodzi mu to coraz trudniej. Kiedy w końcu uporał się z suwakiem, odwrócił się i zamarł.

Ujrzał monstrum z twarzą przypominającą tarkę.

Kiedy zatrzymali się na światłach, Artur Waliszewski ściszył radio, a następnie wyjął telefon, żeby zająć czymś ręce. Ukradkiem zerkał jednak na Witolda Ptaka, który przez całą drogę patrzył przed siebie, połykając wzrokiem rozlewający się przed nim asfalt, wlokące się po rozkopanych drogach samochody i pieszych w pośpiechu przechodzących przez jezdnię. Wydawał się tak skupiony, że gdyby mógł, toby pożarł wyrastającą przed nim rzeczywistość. Może dlatego, że po raz pierwszy miał okazję jechać trzystukonnym bmw Artura. Nie każdy dobrze to znosił.

– Nie mogę pojąć jednego – wypalił Artur niespodziewanie, jakby znajdowali się w środku wartkiej rozmowy. – Dlaczego mu pomagasz?

Witold nerwowo poruszył się w fotelu.

– Kawęckiemu? – zapytał, dając sobie czas na zastanowienie. – Nie wiem. W zasadzie nigdy o tym nie myślałem. Może z sentymentu? A jak to wygląda z twojej perspektywy?

– Dziwnie. Żle. Jakbyś zaraził się jego wariactwem. Jakby miał na ciebie fatalny wpływ. – Gdy światła zrobiły się zielone, Artur gwałtownie ruszył. – Wierzysz w jego teorię? O tych powiązanych zabójstwach?

– A skąd ty o niej wiesz?

– Proszę cię... – Artur uśmiechnął się pobłaźliwie. – Wszyscy o niej wiedzą. Wieści szybko się rozchodzą. Poza tym nie jesteście zbyt dyskretni. Szczebiot już ładnych kilka dni temu wziął mnie na stronę i zapytał, co wiem na ten temat.

Witold znów zapatrzył się na drogę. Jednak tym razem wyraźnie go nie

interesowała.

– Nie przekonał mnie w stu procentach – odparł w końcu. – Ale też nie jestem w stanie obalić jego teorii. W dodatku im bardziej się zagłębiam w tę sprawę, tym bardziej mi się wydaje, że coś jest na rzeczy. Choć wciąż podskórnie czuję, że to wszystko jest jednym wielkim szaleństwem.

Artur, nie zważając na ograniczenie prędkości, rozpoczął slalom pomiędzy samochodami.

– Wiesz, czego najbardziej się obawiam? – zapytał, rozpędziwszy auto do stu kilometrów. – Że wszyscy będziemy mieć przez niego przejebane.

Witold uśmiechnął się pod nosem.

– To akurat nie ulega żadnej wątpliwości.

Dzięki brawurowej jeździe Artura po kilku minutach znaleźli się na miejscu. Wysiedli i ruszyli w stronę klatki schodowej. Zanim wdrapali się na górę, Witold zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał na Artura.

– Przypomnisz mi, dlaczego tu jesteśmy?

– Żartujesz?

– Mówię serio – stwierdził Witold. – Czy ostatnio działo się z Magdą coś, co powinno nas zaniepokoić, czy jesteśmy tu tylko z powodu nieracjonalnych obaw Szczebiota?

Artur wzruszył ramionami.

– Ostrożności nigdy za wiele. Ostatnio dzieje się wokół nas sporo popieprzonych rzeczy.

– Już to dzisiaj słyszałem.

Weszli do mieszkania, w którym przywitał ich chudy mężczyzna w okularach. Filip Gonciarz miał potargane włosy, rzadki zarost, którego stanowczo powinien się pozbyć, oraz czarną koszulkę z wyrytym dziwną czcionką czerwonym napisem Slayer. Nawet jakby się bardzo starał, ciężko byłoby mu ukryć, że jest informatykiem.

– Kiedy wszedłem do mieszkania, wszystko było już spakowane. Ubrania starannie złożyła i schowała do toreb. Nie ruszyła jedynie naszych wspólnych

rzeczy. Pewnie chciała najpierw ustalić, kto co zabierze.

– Czy zdarzało jej się wcześniej tak zachowywać? – Artur uważnie przyglądał się mężczyźnie, który mógł być w jego wieku, ale wyglądał o kilka lat młodziej. – Czy odgrażała się, że cię zostawi?

Filip nerwowo podrapał się po głowie.

– Wydaje mi się, że tu nie chodzi o groźby. My naprawdę mieliśmy się rozstać. Już nic nie dało się zrobić.

– Z różnych opresji pary wychodziły.

– Ale nie z takich.

Zaczął drapać się po twarzy. Spod rzadkiej brody wyłoniły się zaczerwienienia.

– Co masz na myśli?

– Czy naprawdę muszę o tym mówić?

– Prędzej czy później i tak się dowiemy. Jeśli powiesz od razu, to ułatwisz nam robotę.

Informatyk był wyraźnie zakłopotany sytuacją, w której się znalazł. Nie miał ochoty opowiadać o swoim związku z Magdą, a już szczególnie jej kolegom z pracy, których ledwo znał i z którymi raczej nie zamierzał się zaprzyjaźnić. Włożył ręce pod koszulkę i zaczął drapać się po brzuchu.

– Magda dowiedziała się, że ją zdradziłem. I zrewanżowała się tym samym.

– Powiedziała ci to?

– Pokazała. Dostałem od niej bardzo wymowne zdjęcie. – Gonciarz zaczerwienił się, tym razem ze wstydu. – Zrobiła to w piątek wieczorem. Próbowałem się z nią później skontaktować, ale miała wyłączony telefon.

Artur odsunął się o krok i spojrzał na Filipa jak na egzotyczne zwierzę.

– O co chodzi z tym twoim drapaniem?

– To przez egzemę. Kiedy się stresuję, wszystko mnie cholernie swędzi.

Kiedy Artur rozmawiał z Filipem Gonciarzem, Witold rozglądał się po mieszkaniu. Nie znalazł żadnych śladów wskazujących na to, że doszło w nim do jakiegoś spięcia. Ubrania Magdy były starannie ułożone w obszernych niebieskich torbach, których sama z pewnością by nie wyniosła. Wyjątek stanowiły dzinsy

niedbale rzucone na łóżko.

– Może jest u tego faceta – zasugerował Artur.

– I od trzech dni nie daje znaku życia?

– Zraniłeś ją.

– Ona mnie również. Ale ja w przeciwieństwie do niej poszedłem do pracy.

– To fakt.

– Dzwoniłem do jej koleżanek. Nie mają pojęcia, gdzie może być. Nawet nie wiedzą, że ze sobą zerwaliśmy.

– Jej samochód stoi na parkingu – powiedział Witold, odchyliwszy firankę w oknie. – Zostawiła w domu kluczyki?

– Nigdzie ich nie widziałem. Ale wiem, gdzie trzyma zapasowe.

– Kim jesteś? – zapytał Adam Warga.

– Dobrze wiesz, kim jestem.

Prokurator sięgnął do rozporoka, jakby nie był pewien, czy zdążył schować fiuta. Potem szybko wepchnął ręce do kieszeni. Wyprostował się. Próbował dumnie wypiąć pierś, ale udało mu się jedynie wypchnąć przed siebie gargantuiczny bebecch, który wyrywał się spod koszuli.

– Rzeczywiście. Wiem, kim jesteś. Ale nie mam pojęcia, dlaczego mnie nachodzisz.

Tomek Kawęcki usiadł na wyłączonym grzejniku i zapalił papierosa. Dym błyskawicznie wypełnił niewielkie pomieszczenie, rozlewając się na poźółkłych kafelkach, jednakowych na podłodze i ścianach.

– To też wiesz. Wiesz zresztą znacznie więcej, niż się do tego przyznajesz. Zapewne więcej niż my wszyscy.

Warga uważnie obejrzał pokiereszowaną twarz Kawęckiego. Nędzny bokser? Niewyrośnięty Frankenstein? Zastanawiał się, czy z facetem, który tak wygląda, ktokolwiek zgodziłby się rozmawiać. Wątpliwe. Nawet legitymacja policyjna i pistolet niewiele mogłyby tu wskórać.

– Pamiętasz Maję Zielińską?

Kawęcki zawiesił spojrzenie na okrągłej twarzy Wargi. Uważnie obserwował

jego reakcję.

– Oczywiście, że ją pamiętam. Miałem przez nią sporo nieprzyjemności. Takich rzeczy się nie zapomina. – Prokurator odsunął się od pisuaru i splótł ręce na klatce piersiowej. – Choć naturalnie nie mam do niej żalu. Byłem jedną z pierwszych osób, które spotkała po tym, jak została napadnięta. Widziałem ją, gdy została przewieziona do szpitala. Zamieniłem w jej obecności parę słów z lekarzem. Może nawet powiedziałem coś bezpośrednio do niej, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie to wystarczyło, by jej poturbowana psychika stworzyła błędny cykl skojarzeń, który ostatecznie doprowadził do tego, że uznała mnie za sprawcę swojej tragedii.

– Cieszę się, że mi to mówisz – odparł Kawęcki, gasząc papierosa na ścianie. – Opowiem jej o tym, kiedy się z nią spotkam. Bo ona, czego być może nie wiesz, nadal mieszka w Polsce. W Łodzi. Okazała się twardsza niż Monika Dziewulska.

Warga podrapał się po czubku głowy. Potem zaczął masować dłonie, jakby próbował rozsmarować na nich krem.

– Pozwalasz sobie na bardzo nieprzyzwoite insynuacje. Masz świadomość, że stąpasz po kruchym lodzie?

– Dziwię się, że nie próbowałeś rozegrać tego inaczej – kontynuował Kawęcki.  
– Wbrew pozorom Wielkiej Brytanii i Polski nie dzieli tak wiele. Słowa, które są tam wypowiedane, błyskawicznie docierają do nas. A emigranci lubią mówić. Zwłaszcza o innych emigrantach. Mogłeś załatwić tę sprawę raz na zawsze, a tymczasem tylko oddaliłeś problem. Popeliłeś błąd.

Prokurator pokręcił głową.

– Kopiesz pod sobą dołek. I to bardzo głęboki.

– Już dawno go wykopałem. Teraz kopię pod tobą.

Warga zmierzył Kawęckiego wzrokiem od stóp do głów. Pokręcił z niedowierzaniem głową, a następnie zmusił się do uśmiechu.

– Sporo o tobie słyszałem – powiedział, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa.  
– Kiedy byłeś dzieckiem, lekarze podejrzewali u ciebie autyzm. Potem się okazało, że jesteś po prostu inteligentnym introwertykiem. Miałeś studiować prawo, ale ostatecznie wolałeś zostać policjantem. Byłeś niezły, może nawet najlepszy. Ale

nie wytrzymałeś tempa. Rozsypałeś się. Jedyna osoba, która była ci bliska, zostawiła cię, bo za dużo chlałeś. A teraz nie masz nic. Jesteś życiową pokraką i możesz nie tylko stracić pracę, ale też zostać oskarżony o stalking. I to przez człowieka, który potrafi narobić innym nieprzyjemności.

Kawęcki podniósł się z kaloryfera. Zbliżył się do Wargi na tyle blisko, że poczuł smród jego spoconego ciała. Prokurator uśmiechał się złośliwie. Próbował sprowokować przeciwnika.

– Niewykluczone, że lekarze tak bardzo się nie pomylili – powiedział Kawęcki.

– W jakiej kwestii?

– Mojego autyzmu. Mam ponadprzeciętną pamięć. Doskonale kojarzę fakty. I nie jestem mistrzem nawiązywania relacji międzyludzkich.

Wyciągnął z kieszeni wymiętą chusteczkę i najdelikatniej, jak potrafił, przyłożył ją do spoconego czoła Wargi. Kiedy je wytarł, poprawił kołnierz jego koszuli, podciągnął krawat pod samą grdykę i poklepał prokuratora po czerwonym policzku.

– A teraz umyj ręce, wróć na salę i dojedź to ścierwo, które zostawiłeś na talerzu. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Trzej mężczyźni zeszli na dół. Okrążyli granatowego forda focusa i zaczęli uważnie mu się przyglądać.

– Jeździłeś nim kiedyś? – zapytał Witold Ptak.

– Tylko parę razy – odparł Filip Gonciarz, który wyszedł z domu w samej koszulce i trząśł się z zimna. – Mam własny samochód, więc nie musiałem go pożyczać.

– Pamiętasz te zadrapania? – Witold wskazał palcem krótkie białe bruzdy wokół klamki.

Filip pokręcił głową.

– Wygląda na to, że nie mogła trafić kluczykiem do zamka – dokończył Witold.

– Spieszyła się. Może ktoś ją gonił? – zasugerował Artur Waliszewski, wpatrując się w przerażoną twarz Filipa.

Witold wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki, naciągnął je na dłonie i wziął od

Filipa zapasowe klucze. Otworzył drzwi i zajrzał do samochodu.

Wnętrze wydawało się nietknięte. Papiery, paragony, puszki i torebki po jedzeniu były w nim zawsze. Witolda dziwiło jedynie to, że ktoś, kto ma porządek w domu, może doprowadzić auto do takiego stanu. Inna sprawa, że często gościł w nim Kawęcki. Może Magda uznała, że nie warto dbać o czystość samochodu, jeśli regularnie przewozi się tak kłopotliwego pasażera.

– Wygląda normalnie – stwierdził Artur, otworzywszy drzwi po stronie pasażera i wetknąwszy głowę do środka. – Czy takim go zapamiętałeś?

Filip przytaknął.

– Ale syf – westchnął Artur. – Nie sądziłem, że można tak zapuścić samochód.

– Kiedyś bardziej o niego dbała – powiedział Filip.

– Dlaczego przestała?

Chudy mężczyzna zamyślił się, a jego palce rozbiegły się po ciele, jakby miał owsiki.

– Nie mam pojęcia. Jak już mówiłem, ostatnio nie byliśmy ze sobą zbyt blisko.

Witold schylił się. Uważając, aby niczego nie dotknąć, wsunął głowę i przyjrzał się wnętrzu auta. Coś mu w nim nie pasowało. Nie wiedział tylko, czy chodzi o jego wygląd, czy o zapach, który tam panował. Wycofał się i spojrzał na samochód z odległości kilku metrów.

– Fotel kierowcy jest wygięty – zauważył. – Wcześniej też taki był?

– Nie sądzę.

Artur podszedł do Witolda i spojrzał na pojazd z jego perspektywy.

– Rzeczywiście – powiedział. – Wygląda tak, jakby ktoś wyjątkowo ciężki próbował się na nim rozłożyć

– Albo jakby ktoś chciał go wyrwać.

– O czym wy mówicie?

Filip nerwowo skakał wzrokiem po twarzach policjantów, którzy niczym hipnotyzerzy wpatrywali się we wnętrze samochodu.

– Na razie trudno powiedzieć. Ale raczej o niczym dobrym.

Artur poklepał Filipa po plecach, ale nie dało to żadnego efektu. Informatyk



nadal stał jak wryty, nie mogąc zrozumieć, co się właściwie dzieje, i drapał się po całym ciele.

Witold ponownie zbliżył się do pojazdu od strony kierowcy. Przystawił twarz do oparcia fotela. Powąchał je.

– Jakich perfum używa Magda? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Filip.

– Nie mam na myśli marki. Chodzi mi o ich zapach. Czy jest słodki?

– Nie, chyba nie. Powiedziałbym, że raczej ostry, trochę męski.

Witold podniósł wzrok na Artura, który już się domyślał, co za chwilę usłyszy.

– To może być chloroform. Dzwon do Szczebiota. Musimy zebrać ludzi.

– Po co? – zapytał Filip, prawie płacząc.

Witold i Artur popatrzyli na siebie. Żadnemu z nich odpowiedź nie chciała przejść przez gardło.

– W mieszkaniu nie ma śladów włamania ani walki – powiedział Witold Ptak, ściskając w dłoni notatnik. – Z relacji jej chłopaka, Filipa Gonciarza, wynika, że zniknęła trzy dni temu. Wtedy otrzymał od niej esemesa ze zdjęciem.

– Jakim zdjęciem? – zapytał Mariusz Szczebiot.

– Zrobiła sobie fotkę, gdy pieprzyła się z innym facetem – pospieszył z wyjaśnieniem Artur Waliszewski.

– Wybrała dość osobliwy sposób, aby powiedzieć, że z nim zrywa.

– Ale coraz popularniejszy – odparł Artur. – Świat skręca w popieprzonym kierunku.

Kiedy Witold i Tomek Kawęcki zaczęli się zastanawiać, czy to spostrzeżenie wynika z autopsji, Szczebiot głośno westchnął i oparł się o parapet, z którego wyrastało szerokie okno jednej z sal konferencyjnych w budynku Komendy Wojewódzkiej Policji. Wiadomości o tym, co mogło spotkać Magdę, wprawiły go w odrętwienie. Nie potrafił ich przetrwać. Ani zmobilizować mózgu do konstruktywnej reakcji. Wbijał dłonie w kant betonowego parapetu i tępo wpatrywał się w Kawęckiego, który siedział po drugiej stronie pokoju i rytmicznie ostukiwał palcami termos. Naczelnik pomyślał, czy nie powinien go stąd wyprosić.

Kazać mu wypierdalać. A najlepiej dożywotnio zabronić mu wstępu na teren budynku. Zamiast tego powiedział:

– Dzwoniła do mnie w piątek po południu.

Policjanci przenieśli na niego wzrok.

– Co powiedziała? – spytał Witold.

– Nie wiem, dopiero po jakimś czasie się zorientowałem, że próbowała się ze mną skontaktować.

– O której to było?

Szczebiot wyciągnął z kieszeni telefon, przejrzał rejestr połączeń i podał Witoldowi godzinę.

– Wiecie, kim jest facet, z którym się przespala? – zapytał.

– Ustalamy to – odparł Witold. – Niestety, na zdjęciu nie widać jego twarzy. Filip Gonciarz mówi, że nie ma pojęcia, kto to mógł być. Podejrzewa, że to jakiś przypadkowy facet, którego poderwała wyłącznie po to, żeby go zdradzić.

– Pewnie tak mówi, bo się wstydzi, że baba przyprawiła mu rogi – zasugerował Artur.

– To oczywiście możliwe, ale Gonciarz nie wygląda mi na faceta, który unosi się dumą. Jest szczerze przerażony. Moim zdaniem może mieć rację.

– Czy ktoś oprócz nas wie o zniknięciu Magdy? – spytał Szczebiot.

– Beata Tarka. Od kilkunastu minut sprawdza jej samochód.

Szczebiot pomasaował się po czole i zamknął oczy. Przypomniawszy sobie książkę o przywództwie, którą niedawno czytał. Jeden z rozdziałów poświęcono zarządzaniu kryzysowemu. Zapamiętał, że był to zwykły korporacyjny bełkot. Mimo to dałby wiele, żeby przypomnieć sobie choćby kilka dennyh rad, które tam wyczytał.

– To się stało dzień po tym, jak cię napadnięto. – Szczebiot zwrócił się do Kawęckiego. – Przyjechała do twojego mieszkania w fatalnym stanie. Była brudna i zmęczona. Ledwo trzymała się na nogach. Wyglądała przygnębiająco.

Przez chwilę Szczebiot i Kawęcki wpatrywali się w siebie w taki sposób, w jaki od lat tego nie robili: bez pogardy, gniewu i drwiny. Za to z obopólną trwogą.

Artur nerwowo poruszył się na krześle.

– Tego dnia spędziłem z Magdą trochę czasu – powiedział. – Nie chciałbym jej podpierdalać, ale cuchnęła wódką na kilometr. Była jeszcze nieźle nawalona.

– Czyli mamy jasność, że zdrada nie przyszła jej łatwo – stwierdził Szczebiot.

Witold i Artur pokiwali głowami.

– Czy jesteśmy w stanie namierzyć jej telefon?

– Możemy sprawdzić, do których stacji bazowych logowała się jej komórka. Ale skoro już w piątek wieczorem była wyłączona, pewnie niewiele się dowiemy.

– Mimo to sprawdzmy. Jak najszybciej załatwmy też jej billingi. Musimy się dowiedzieć, z kim się kontaktowała przed zniknięciem.

Szczebiot przeszedł się od ściany do ściany, a potem zawrócił, deptając po własnych śladach. Zrobił jeszcze dwie takie rundy, aż w końcu ponownie oparł się o parapet i bezradnie zwiesił głowę.

– Potrzebujemy ludzi do poszukiwań – stwierdził Witold. – Trzeba obdzwonić jej znajomych i rodzinę, sprawdzić hotele i szpitale, przeanalizować zawartość komputera, dowiedzieć się, co dokładnie Magda robiła w dniu zniknięcia. Musimy odkryć, kim jest facet, z którym się przespała. To nie jest robota dla trzech osób.

– Trzech?

– Tomek włączy się do poszukiwań.

– A nadaje się do pracy? – zapytał Szczebiot i spojrzał na Kawęckiego. – Nadajesz się?

Ten wzruszył ramionami.

– Nadaje się czy nie, nieważne. Nie mamy wyboru – odparł Witold. – Potrzebujemy ludzi. Dobrych ludzi.

Szczebiot niechętnie skinął głową, wciąż patrząc na Kawęckiego, który od początku spotkania ani razu się nie odezwał. Jego milczenie zwykle nie zwiastowało nic dobrego.

Witold odebrał telefon. Przez kilkadziesiąt sekund słuchał rozmówcy, po czym bez słowa się rozłączył.

– To Beata. Potwierdziła, że w samochodzie Magdy śmierdzi chloroformem.

Wygląda więc na to, że możemy oficjalnie rozpocząć poszukiwania.

– Do dzieła – powiedział Szczebiot i bojaźliwie, niemal bezdźwięcznie klasnął w dłonie. – Znajdźmy ją.

W sali rozległ się dźwięk szurających po podłodze krzesel.

– Powinniśmy zmienić tryb poszukiwań – powiedział Kawęcki, który jako jedyny nie ruszył się z miejsca.

– Co masz na myśli? – zapytał Szczebiot.

– Nie powinniśmy szukać Magdy. To bez sensu.

– A niby kogo? – parsknął Artur.

– Nie kogo, tylko czego. Powinniśmy zacząć szukać zwłok.

**A**licja zanurzyła łyżeczkę miodu w kubku mocnej, aromatycznej herbaty. Wymieszała ją, bezdźwięcznie szurając po dnie. Gdy skończyła, odkręciła zimną wodę i podetknęła pod jej strumień rozgrzaną łyżeczkę. Następnie odłożyła ją na suszarkę i oparła się na wyprostowanych rękach rozstawionych po obu stronach zlewu, chowając głowę pomiędzy ramionami. Była wściekła. Na swoją naiwność oraz na człowieka, który ją w to wszystko wplątał. Ale w jeszcze większym stopniu była przerażona, ponieważ nie do końca wiedziała, z czym się mierzy. Ani czy jest w stanie sobie z tym poradzić. Miała wrażenie, że w ciągu kilku dni znalazła się w najgorszym położeniu z możliwych, zawieszona między ósmym a dziewiątym kręgiem piekła.

Jakub Możejko zaprosił ją do swojego mieszkania i opowiedział o wszystkim. O sobie i o Martynie Bułeckiej. O ich dziwnej relacji. O serwisie, za pomocą którego zarabiała na życie. O pieniądzach, które mu wysyłała. O kokainie i seksoholizmie. I o Tomaszu Kawęckim, policjancie, który według niego był jedyną osobą gotową rozwiązać tę sprawę. O ile wcześniej się nie zapije.

Alicja wzięła ze sobą herbatę i wróciła do salonu.

– Gdzie go widziałeś? – zapytała.

Jakub Możejko odłożył na stół stary numer „Expressu Łódzkiego”. Zresztą nie czytał gazety, tylko wpatrywał się w pierwszą stronę, ze zdjęciem kamienicy i tłoczących się pod nią ludzi. Był to jedyny numer „Expressu”, jaki zachował w mieszkaniu. A zarazem ten, który najbardziej go intrygował.

– Na klatce schodowej – odrzekł z opóźnieniem. – Nie chcesz do tego cytryny?

Postawiła kubek na stole i usiadła na brzegu kanapy. Odpowiedź na pytanie Możejki zostawiła na poduszce, którą agresywnie zgmiotła w rękach, a następnie wetknęła sobie pod plecy.

– Mówisz o klatce w kamienicy Bułeckiej?

Skinął głową i wskazał palcem gazetę. Następnie położył rękę na oparciu fotela. Drugą przejechał po zmęczonej twarzy.

– Nie wiem, czybym go poznał. Nie widziałem jego twarzy. Ale jestem pewien, że minęliśmy się na piętrze, może nawet więcej niż raz. Pamiętam potężnego zgarbionego faceta wciśniętego w jakiś bezbarwny kombinezon, krzątającego się po budynku. Nie odznaczał się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć jego nienaturalnego wzrostu. Był jedną wielką nijakością.

– Skąd wiesz, że to on?

– Od znajomego inżyniera budowlanego, który kilkanaście lat temu nadzorował remont kamienicy Martyńki. Natknąłem się na niego przypadkiem.

– Pod tą kamienicą?

– Miałem zaskakująco dużo szczęścia. – Możejko nerwowo się uśmiechnął. – Ten inżynier, Marian Stasiak, jest święcie przekonany, że zabójca wiedział, w jaki sposób są rozplanowane mieszkania w tej kamienicy. To oznacza, że musiał w nich bywać. Mógł udawać pracownika spółdzielni mieszkaniowej, kontrolera instalacji gazowych albo kuriera.

– I uważasz, że policja mogłaby coś takiego przeoczyć?

– Rozmawiałem o tym z Kawęckim. Wypytywali o to mieszkańców kamienicy i sprawdzali w rozmaitych firmach, ale do niczego nie doszli. Może szukali niewystarczająco dokładnie, a może zabójca umiejętnie podszył się pod pracownika

któreś z miejskich spółek. Zresztą żeby to zrobić, wystarczy włożyć odpowiedni uniform i pomachać legitymacją kupioną na rynku. Ludzie w takich osobach dostrzegają jedynie pracowników technicznych, bezwartościowych nudziarzy, którzy snują się po klatkach. Nawet jeśli mają ponadprogramowe gabaryty, nie wzbudzają niczyich podejrzeń i nie robią wrażenia. Człowiek, którego szukamy, doskonale o tym wie. Dzięki temu mógł wyznaczyć miejsce i czas na dokonanie rytuału.

– Rytuału?

– A jak inaczej określiłabyś to, co zrobił?

– To była rzeź. Zwyczajna rzeź.

– Nie zwyczajna. Rytualna. Gdyby chciał po prostu porąbać ciało, nie spędziłby w jej mieszkaniu kilkudziesięciu godzin. Nie wiedziałaś o tym?

Nie wiedziała. W raporcie, który przeglądała, nie było na ten temat ani słowa. Nie sądziła, że ta zbrodnia może się okazać jeszcze bardziej spaczona. Zapatrzyła się w powierzchnię gorącej herbaty i zaczęła w nią powoli dmuchać.

– Prawdopodobnie przebywał w jej mieszkaniu od piątkowego popołudnia do sobotniej nocy. Może nawet do niedzielnego poranka. Tego dowiedziałem się od Kawęckiego, nie od inżyniera.

– Domyśliłam się. Czy Kawęcki już wie, że prawdopodobnie widział zabójcę?

Możejkę podniósł się z fotela. Przeszedł się wzdłuż stołu, bezdźwięcznie sunąc po drewnianych panelach podłogowych. Wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i sięgnął po połówkę cytryny leżącą na talerzu. Wyciągnął ją i położył na plastikowej desce do krojenia. Sięgnął po nóż.

– Dowie się! – zawołał z kuchni. – W odpowiednim czasie.

Wrócił z plastrem cytryny w palcach i ostrożnie włożył go do kubka Alicji.

– Będzie smaczniejsza – powiedział.

Ponownie usiadł na fotelu. Pochylił się i potarł dłonie.

– Czy dostałaś jakąś propozycję pracy?

– Rozpuściłam wici, ale na razie nie widać na horyzoncie nawet mgiełki nadziei.

Zresztą nie spodziewałam się, że zostanę zasypana ofertami.

– Nie? – zdziwił się Możejko. – Sądziłem, że stałaś się znana po swojej publikacji.

– Tylko na chwilę. Straciłam popularność jeszcze szybciej, niż ją zdobyłam. Już nikt nie pamięta, że napisałam coś wartościowego. Naczelnny zapewniał, że nie zostawi mnie na lodzie, ale na razie dał mi tylko namiary na dwóch swoich dawnych pracowników, którzy nie odbierają telefonu. Jedyna poważna rozmowa, którą do tej pory przeprowadziłam, dotyczyła pracy w lokalnej gadzinówce. – Alicja bezradnie wzruszyła ramionami. – To nie jest dobry czas dla dziennikarzy. A tym bardziej dla takich jak ja: naiwniaków z niewyparzoną gębą.

– To dobrze – powiedział Możejko, a gdy Alicja spiorunowała go wzrokiem, dodał: – Mam dla ciebie propozycję.

Roześmiała się. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Po tym, co usłyszałam, nie wiem, czy chcę mieć z tobą coś wspólnego.

– Chciałbym, żebyś pomogła mi w szukaniu zabójcy Martyny – powiedział Możejko, zupełnie niezrażony jej słowami. – Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił i dlaczego zrobił to tak, żeby cała uwaga skupiła się na mnie.

Alicja zamyśliła się, energicznie stukając palcami w blat. Możejko wychylił się nad stołem i próbował dotknąć jej dłoni, ale cofnęła ją, zanim ją dosięgnął.

– Udało ci się zdobyć szczegółowe informacje na temat zabójstwa. Tylko tobie. Masz dobre źródło w policji i dostęp do szczegółów, których nie posiada żaden dziennikarz. Ja natomiast wiem o Martynie więcej niż ktokolwiek inny.

– To nie takie proste – odparła Alicja. – Ze swoim cudownym informatorem kontaktowałam się tylko raz. I to on do mnie dotarł. Mogę oczywiście spróbować odświeżyć ten kontakt, ale nie mam żadnej gwarancji, że się uda.

– Nie mamy gwarancji, że cokolwiek uda nam się ustalić. Ale nie zaszkodzi spróbować. Z tego, co widzę, policja jest daleka od złapania sprawcy. Daleka od czegokolwiek, co popchnęłoby śledztwo do przodu. Jedyne człowiek, który próbuje coś zrobić, snuje się po mieście z rozbitą głową i nęka ludzi. Sam na pewno nie rozwiąże tej sprawy. Potrzebuje czyjejs pomocy.

Alicja pokiwała głową. Możejko mógł kierować się różnymi powodami,



o których nie raczył jej wspomnieć, ale akurat w tej kwestii miał rację. Policja prowadziła to śledztwo tak, jakby nie chciała rozwiązać zagadki.

– Co będę z tego mieć?

– Książkę. Reportaż kryminalny. Napiżemy go wspólnie, ale tylko ty się pod nim podpiszesz. Mam dobre relacje z dwoma wydawnictwami. Jestem w stanie zapewnić ci publikację i niezłą promocję materiału.

– A co z książką, nad którą pracujesz?

– Nie ma żadnej książki. Od wielu tygodni nic nie napisałem. Zwodzę wydawcę, mówiąc mu, że prace są w toku, a tak naprawdę nie zacząłem jeszcze zbierać materiałów do powieści.

– Jeżeli mielibyśmy pisać książkę wspólnie, to również musiałbyś się pod nią podpisać. A wpływami podzielilibyśmy się po równo.

Możejko przygryzł wargę. Widać było, że rozwiązanie Alicji mu nie odpowiada, mimo to pokiwał głową. On również był w sytuacji podbramkowej.

– Zgoda. Zrobimy to po twojemu.

– A jeśli to wszystko okaże się bzdurą? Wytworem spaczony wyobraźni policjanta pijaka?

– Wtedy zamienimy reportaż na beletrystykę. Zmodyfikujemy kilka wątków, wymyślimy bohaterów, dobudujemy zaplecze do historii i sprzedamy książkę jako kryminał. Tak czy inaczej, nie będziesz na tym stratna. – Możejko osunął się na oparcie. – Chciałbym, żebyś podjęła decyzję dzisiaj. A najlepiej teraz.

Alicja parsknęła.

– Mówisz poważnie?

– A czy wyglądam, jakbym żartował?

– Nie, wyglądasz na przemądrzałego fiuta.

Wyciągnęła spod pleców poduszkę i przerzuciła ją na drugą stronę kanapy. Splotła ręce na klatce piersiowej i wbiła wzrok w podłogę.

– Możliwe, że nim jestem.

Możejko podniósł się, otworzył stojącego na stole laptopa i odwrócił go przodem do Alicji.

– Co to jest? – zapytała.

– Konspekt książki. Właściwie zarys konspektu. I kilka informacji dotyczących zabójstwa, które rozpisałem w powieściowej formie.

Niechętnie pochyliła się nad stołem i przyjrzała tekstowi.

– Kilka informacji? Tu jest ponad pięćdziesiąt stron. Ile czasu ci to zajęło?

– To nie ma znaczenia. Ważne jest, czy chcesz się podpisać pod tą próbką, zanim wyślę ją wydawcy na zachętę. A zamierzam to zrobić jutro.

Alicja podniosła wzrok znad laptopa i spojrzała na Możejkę. Dostrzegła w jego oczach strach kogoś, kto nie chce zostać sam ze swoim problemem. Rozbitka na środku oceanu. To nie była twarz człowieka sukcesu, lecz desperata, który błaga o pomoc.

Przyciągnęła do siebie komputer i zaczęła czytać.

Tomek Kawęcki dobre kilkadziesiąt sekund stał za plecami Beaty Tarki, próbując dojrzeć w odbiciu monitora, czy ona śpi, czy tylko potwornie się nudzi, z łokciem wbitym w blat i brodą spoczywającą na dłoni. Na skraju biurka piętrzyła się sęta wypchanych raportami teczek, które już dawno powinny były wylądować w archiwum.

– Pan Problem – powiedziała Tarka, nie odwracając się.

– Tak jeszcze mnie nie nazywano.

– W takim razie ja będę tak na ciebie mówić. To jest zresztą chyba najbardziej adekwatne określenie.

Wyprostowała się, a następnie odwróciła na obrotowym krześle o sto osiemdziesiąt stopni. Popatrzyła na Kawęckiego z taką samą mieszaniną niechęci i pustki, z jaką wpatrywała się w swój monitor. Gdy ziewnęła, miał wrażenie, że właśnie ożył manekin, którego ktoś wstawił do biura wyłącznie po to, żeby sztucznie zwiększyć stan zatrudnienia.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

– Zawsze coś znajduję.

Znów odwróciła się w stronę monitora i zaczęła poruszać myszką. Kawęcki przyjrzał się schowanej w głębi biura dziupli, którą stworzyła. Było to jedyne

miejsce w pomieszczeniu, dokąd niemal nie docierało światło. Oprócz sterty raportów, które Tarka wykorzystywała jako fosę odgradzającą ją od świata zewnętrznego, na biurku wałało się mnóstwo śmieci: obgryzione długopisy i niepasujące do nich skuwki, powydzierane kawałki papieru, folia śniadaniowa i paczka po papierosach. Ekran monitora prawdopodobnie nigdy nie widział środka czyszczącego. Z boku blatu leżały dwie śrubki, które zapewne wypadły z krzesła. Całość przypominała squat zaaranżowany na miejsce pracy. Albo odwrotnie.

Technik kryminalistyki niespiesznie skakała pomiędzy kartami przeglądarki, każąc Kawęckiemu czekać. Nie był pewien, czy próbuje go sprowokować, czy jest wypraną z emocji kukłą, której już kompletnie na niczym nie zależy – nawet na znalezieniu uprowadzonej policjantki.

– Potwierdziłam, że ten człowiek użył chloroformu – powiedziała w końcu, gapiąc się w jakiś dokument tekstowy. – Ale ta wiedza raczej w niczym ci nie pomoże.

– Raczej nie. Jesteś w stanie powiedzieć coś o sprawcy?

– Całkiem sporo. Niemal na pewno był to facet. Kobieta prawdopodobnie nie byłaby w stanie w taki sposób wygiąć fotela. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że uszkodził jej przy tym kręgi szyjne.

Kawęcki próbował sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać szamotanina w samochodzie. Jeżeli sprawca użył do tego dużej siły, wszystko trwało najwyżej kilkanaście sekund. W tym czasie nikt nie musiał zauważyć samochodu trzęsącego się na parkingu. O ile w ogóle się trząśł.

– Szukajcie kogoś, kto jest dobrym planistą i kiepskim włamywaczem – kontynuowała Tarka. – Dostał się do samochodu, używając jakiegoś wytrychu albo dłuta. Poważnie uszkodził zamek. Prawdopodobnie jednak wiedział, że tak się stanie, dlatego zrobił to od strony pasażera. Uszkodzony zamek zapewne spłoszyłby Magdę.

– Czyli jakiś wielki facet przez kilka minut stał przy samochodzie od strony pasażera i majstrował przy zamku?

Tarka pokiwała głową.

– Ktoś mógł go zauważyć. I to jest chyba wasza jedyna nadzieja, bo poza tym był bardzo ostrożny. Nie zostawił wewnątrz włosów ani odcisków palców. Niczego, z czego moglibyśmy pobrać jego DNA.

– I upewnił się, że samochód stoi na niestrzeżonym parkingu, na którym nie ma kamer. Czyli znów szukamy wyjątkowo sprytnego dwumetrowego ducha.

– Na to wygląda.

– Jest szansa, że jeszcze na coś wpadniesz?

Tarka odwróciła się w stronę Kawęckiego i popatrzyła na niego z politowaniem.

– Tak – powiedziała. – Jeśli znajdziecie jej ciało.

Była pierwszą osobą, która podzielała pesymizm Kawęckiego. A przynajmniej pierwszą, która nie bała się otwarcie go wyrazić.

– Ciągłe zakładamy, że jeszcze żyje – nie ustępował.

Pokręciła głową.

– Czarno to widzę. I prawdę mówiąc, bardziej ciekawi mnie ta druga sprawa, dla której tu przyszedłeś.

Uśmiechnęła się. Potem sięgnęła ręką za siebie po paczkę papierosów. Zajrzała do środka, zobaczyła, że jest pusta, i odrzuciła ją na biurko.

– Od dawna znacie się ze Szczebiotem?

– Od dwudziestu lat. Można powiedzieć, że razem zaczynaliśmy pracę w policji.

– A od ilu lat Szczebiot jest gryzipiórkim?

– Od niedawna. Dlaczego pytasz?

– Facet wypadł z wprawy. W twoim mieszkaniu zachowywał się jak dziecko we mgle. Zaglądał w każdy kąt, ale niczego nie widział.

– Nigdy nie był w tym dobry. Dlatego awansował.

– Nie domyśla się, że to ty zaaranżowałeś tę jatkę. I raczej się tego nie dowie, jeżeli mu o tym nie powiem.

Odwróciła się od Kawęckiego i zrobiła przegląd szuflady. Potem zaczęła zaglądać pod dokumenty i papiery leżące na biurku.

– Nie martw się. Nie powiem, czego się dowiedziałam z oględzin. Nie dlatego, że cię lubię. Po prostu Szczebiota nie lubię bardziej.

– Co chcesz w zamian?

Zamyśliła się. Rozejrzała się po biurze.

– Na razie papierosa. Nad resztą zastanowię się później.

Czarne bmw skręciło z Jaracza w Kilińskiego i zaczęło nabierać prędkości. Siedzący za kierownicą łysy mężczyzna, którego nienaturalnie umięśnione cielsko niemal rozlewało się na sąsiedni fotel, ściszył radio. Zaczął się rozglądać. Po jego lewej stronie, w miejscu, które przez kilka lat było jednym wielkim placem budowy, ukazał się dworzec Łódź Fabryczna.

– Ale to jest, kurwa, wielkie! – powiedział kierowca. – Przeczytałem gdzieś, że to trzeci największy dworzec kolejowy w Europie. Wyjebali na niego prawie dwa miliardy złotych. Byłeś już w środku?

Mężczyzna, który siedział na tylnym siedzeniu, nie interesował się ani dworcem, ani tym, co miał mu do powiedzenia kierowca. Co chwila podwijał rękaw marynarki i zerkał na swój złoty zegarek, jakby był w stanie przestawić wzrokiem czas. Za każdym razem poruszał przy tym szczęką. A miał czym poruszać. To przez tę wysuniętą szczękę ludzie mówili na niego Quentin. Kilka osób zdążyło za to oberwać, zanim po raz pierwszy obejrzał *Pulp Fiction*. Potem zobaczył jeszcze *Wściekłe psy*, *Kill Billa* oraz kilka innych filmów Tarantina i doszedł do wniosku, że w zasadzie nie ma się o co złościć. Że w zasadzie ma z Tarantinem więcej wspólnego niż z jakimkolwiek znanym mu reżyserem. Że w zasadzie miło jest być porównywanym – nawet tylko pod kątem wyglądu – do kogoś, kto ma podobne poczucie estetyki jak on.

Z czasem zaczął przedstawiać się jako Quentin.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział.

Osilek zaparkował na chodniku i wyłączył silnik. Obrócił się, z trudem manewrując swoim wielkim tułowiem, i spojrzał na Quentina. Przyglądał mu się maślanym wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy jest w stanie połknąć go w całości.

– Gównu mnie obchodzi dworzec. Nie jestem jebanym turystą, żeby podniecać się dworcem.

– Co cię ugryzło?

– Gówno – warknął Quentin. – Powinniśmy tu być kwadrans temu. Gdyby nie twój jebany trening, bylibyśmy na czas.

– Przecież jeszcze go nie ma.

– Ile razy mam ci, kurwa, tłumaczyć, że to nieistotne?

Wielkolud wzruszył ramionami, którymi mógłby spokojnie zasłonić słońce. Przypominał zawodnika futbolu amerykańskiego z padami wciśniętymi pod bluzę. Przerzucając tony żelastwa na siłowni, żrąc odżywkę i pompując się sterydami, wyhodował sobie naturalne ochraniacze.

Zatrzymali się na wysokości kilkupiętrowego szklanego budynku, przed którym znajdował się niewielki okrągły skwer z dwoma ławkami i drzewem pośrodku. Kobiety w szarych garsonkach i mężczyźni w ciemnych garniturach mijali się na środku korporacyjnego zieleńca, nie zwracając na siebie uwagi. Kilka metrów dalej z podziemnego parkingu wyjeżdżały samochody, których ceny raczej nie spadały poniżej stu tysięcy złotych, a rok produkcji nie przekraczał 2015.

– Staje ci jeszcze? – zapytał Quentin.

– Co?

– Pytam się, czy ci jeszcze staje. Pyta. Pała. Twój kutas.

Wielkolud ponownie się odwrócił, poruszając przy tym całym samochodem.

– Pytam nie dlatego, że interesuje mnie twoje życie seksualne, ale dlatego, że ciekawią mnie ludzie tacy jak ty.

– Czyli jacy?

– Nafaszerowani sterydami debile.

Quentin wyciągnął spod nóg czarny neseser. Położył go na kolanach i zanurkował do kieszeni. Wyjął z niej tytkę z białym proszkiem i wymięty banknot stułotowy. Za pomocą karty do gry uformował dwie ścieżki i rozejrzał się na boki. Dwoma wprawnymi niuchami wchłonął proszek. Wyprostował się i kilkakrotnie pociągnął nosem.

– Podaj mi wodę – powiedział.

Upił kilka łyków z butelki, a następnie strzepnął resztkę proszku z neseseru.

– Co bierzesz?

– Prawie nic – parsknął wielkolud. – Metkę i hormon wzrostu.

– I?

– Kiedyś brałem jeszcze omkę.

– Skoro jesteś taki oczytany, to może czytałeś kiedyś, jakie są efekty uboczne brania tego gówna?

– Nie, ale znam ludzi, którzy biorą metkę i hormon wzrostu od lat. Na nic nie narzekają.

– A mają dziewczyny?

– Co?

– Czy ruchają się z kimś?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Domyślasz się może, dlaczego tego nie robią?

Wielkolud wzruszył ramionami.

– Kwestia priorytetów. Pewnie nie mają na to czasu.

Quentin uchylił szybę i splunął przez okno.

– Nie, kretynie. Nie ruchają się, bo nie mogą. – Podciągnął się na oparciu fotela i przybliżył do mięśniaka. – Branie anabolików w najlepszym wypadku prowadzi do obniżenia libido i pogorszenia się jakości plemników. W najgorszym – do zaniku jąder i całkowitej impotencji. A najśmieszniejsze jest to, że takim napompowanym świniom jak ty dodatkowo rosną cyce.

Spróbował złapać go za sutek, ale zdołał jedynie zatopić palce w górze mięsa, zanim wielkolud odtrącił jego rękę.

– Rozmawiałem o tym kiedyś z pewną dziwką. Powiedziała, że kurwy nienawidzą koksów. A wiesz czemu? Bo nie potraficie ich wyruchać. Zmuszacie je, by zupełnie bezproduktywnie memlały wasze smutne fiuty. W ten sposób obniżacie im morale. Myślą, że są nieatrakcyjne, bo nie mogą postawić waszych pytań na bacność, choć im za to zapłaciliście.

Mięśniak przez chwilę zastanawiał się nad słowami Quentina. Potem machnął ręką.

Milczeli przez następne kilka minut, przyglądając się ludziom wychodzącym

z budynku. Pierwszy odezwał się Quentin.

– To on – powiedział. – Od teraz masz się zamknąć i odzywać tylko wtedy, kiedy bezpośrednio cię o coś zapyta.

Strzepnął okruchy z sąsiedniego siedzenia i mocno pociągnął nosem. Wychylił się, żeby otworzyć drzwi ubranemu w garnitur mężczyźnie, który leniwym krokiem zmierzał w stronę samochodu.

– Jak poszło?

– Mogło pójść lepiej – odparł Roman. – Ale to nie moje zmartwienie, lecz faceta, który do tego doprowadził.

– Będzie coś z tego?

– To już zależy od nas. Daj mi neseser.

Quentin podał Romanowi czarną aktówkę, a ten otworzył ją i włożył do środka kilka zwiniętych w rulon dokumentów, które trzymał w dłoni. Później wyciągnął z etui okulary i zaczął przeglądać smartfona. Kiedy skończył, spojrzął w lusterku wstecznym na kierowcę, a potem popatrzył na Quentina.

– Kim jest to wielkie łyse gówno, które siedzi za kierownicą?

– To mój człowiek. Nie wygląda najlepiej, to fakt, ale można mu zaufać.

– Nie wygląda najlepiej? – Roman zaśmiał się cicho, rzucając kierowcy drwiące spojrzenie. – Wybacz, kolego, ale takich jak ty raczej nie widuje się pod instytucjami finansowymi. Dlatego mam gorącą prośbę: wysiądź z samochodu i spierdalaj stąd. A ty – zwrócił się do Quentina – przesiądź się na jego miejsce.

Roman nie musiał powtarzać polecenia. Wielkolud wytoczył się z samochodu i ruszył w stronę dworca. Quentin natychmiast zajął jego miejsce.

– Co robimy? – zapytał.

– Czekamy.

Kilkanaście minut później Roman pochylił się do przodu i wskazał palcem wyjeżdżające z garażu porsche cayenne.

– Tak jak myślałem – powiedział. – Jedź za nim.

– Nie jedziemy do banku?

– Później. Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie ten chujek mieszka.



Quentin poczekał, aż samochód oddali się na kilkadziesiąt metrów, a następnie uruchomił silnik. Włączył się do ruchu i podążył za wskazanym autem. W zupełnej ciszy dojechali za nim do Zgierza. Zatrzymali się na jednej z wąskich szutrowych uliczek na osiedlu domów jednorodzinnych. Odczekali kilka minut i przejechali obok budynku z garażem, w którym chwilę wcześniej zniknęło porsche cayenne. Roman ponownie założył okulary i zanotował na kartce adres.

– Są tylko dwie rzeczy, które wkurwiają mnie bardziej niż goście jeżdżący porsche cayenne – odezwał się Roman. – Faceci, którzy mieszają whisky z colą. Oraz ci, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy.

Quentin pokiwał głową. Wyprowadził samochód z szutrowej drogi na asfalt i zaczął się rozpędzać.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego o tym psie? – zapytał Roman, kiedy stanęli na światłach.

– Praktycznie nic mu się nie stało, jeśli nie liczyć dość mocno obitej gęby. Nie ma ani jednego złamania. Nawet zębów mu nie wybili. A to oznacza, że albo potrafi się świetnie bić, albo nas rozegrał.

Roman przejechał dłonią po zmęczonej twarzy.

– Nie wygląda na karatekę – powiedział. – Ale niewątpliwie ma jaja.

– Tak słyszałem. Ma też spory problem. Pije. A niektórzy jego koledzy sądzą, że postradał zmysły.

– Tacy jak on są najgorsi. Zwykle nie można ich kupić.

Roman schował okulary do etui. Odłożył neseser na siedzenie, po czym poluzował krawat. Odwrócił się w stronę okna. Zanurkował do kieszeni, wyciągnął z niej dwie aspiryny i wrzucił je do ust, jakby to były cukierki. Połknął je bez popijania, przyglądając się tramwajowi, który na chwilę zrównał się z ich samochodem.

– Szkoda. W takim razie musimy zrobić coś innego.

Granatowy sedan sunął asfaltową szosą, mijając stojące w równych odstępach latarnie. Ich słabe żółtawe światło przecinało mrok i rozświetlało skraj lasu rosnącego po obu stronach jezdni. Mężczyzna pochylił się nad kierownicą. Spojrzał

w górę na wylaniającą się zza chmur srebrną ćwiartkę księżyca. Potem zerknął na wyświetlacz samochodowego radia, które umilało mu podróż starymi polskimi szlagierami.

Miał jeszcze mnóstwo czasu.

Jechał z prędkością minimalnie wyższą od dozwolonej. Wsłuchiwał się w równomierne odgłosy silnika, który miłym pomrukiem odwdzięczał mu się za szacunek, z jakim go traktował. Kiedy znalazł się jakieś dwieście metrów przed skretem, zaczął zwalniać. Włączył kierunkowskaz i prawie zatrzymał samochód, żeby łagodnie zjechać na szutrową drogę, która prowadziła w głąb zagajnika. Przejechał nią kilkadziesiąt metrów i wyłączył światła. Resztę drogi znał na pamięć. Nie musiał jej widzieć.

Pierwsze stłumione uderzenia dobiegające z bagażnika usłyszał dopiero wtedy, kiedy zaparkował samochód i wyłączył silnik. Wywołały uśmiech na jego twarzy, ponieważ pojawiły się dokładnie wtedy, kiedy spodziewał się je usłyszeć. Wsiadł z samochodu i wyciągnął ręce w górę, żeby rozprostować swoje potężne ciało. Gdy tylko przypomniał sobie, że nie wypił w domu kawy, głośno ziewnął. Choć nikogo nie było w pobliżu, zasłonił usta. Zawsze je zasłaniał.

Obszedł samochód i otworzył bagażnik. Zaświecił latarką do środka. Kobieta, ubrana jedynie w białą koszulkę i czarne majtki, w przypadkowy sposób poruszała powykręcanyymi kończynami. Jej ciałem wstrząsały ledwo zauważalne dreszcze. Uśmiechnął się do niej serdecznie, a następnie zerwał taśmę zaklejającą jej usta. Usta Magdaleny. Próbowwała coś powiedzieć, ale tylko się poplula, bełkocząc pod nosem. Nawet nie przypominało to ludzkiej mowy.

Pochylił się nad nią, żeby się jej uważnie przyjrzeć. W szklistych oczach, ledwo wylaniających się spod powiek, nie dostrzegał żadnych emocji. A szkoda. Miał nadzieję, że zastanie ją szczęśliwą. Albo przynajmniej wdzięczną. W końcu wyświadczał jej niemałą przysługę.

Wrócił do samochodu. Z tylnego siedzenia wytaszczył potężny metalowy kufer. Postawił go na ziemi, otworzył i skierował na niego światło latarki. Na wierzchu znajdowała się apteczka. Wyciągnął ją i położył na siedzeniu. To samo zrobił

z lateksowymi białymi rękawiczkami, białym polietylenowym czepkiem, białymi butami sanitarnymi i potężnym białym kombinezonem, który zajmował większość kufra. Na samym dnie pojemnika leżał gruby kilkumetrowy sznur.

Od czasu gdy Magda Giętka odwiedziła go w mieszkaniu, sporo zastanawiał się nad tym, co z nią zrobić. Rozważał kilka wariantów. I niemal do ostatniej chwili wszystkie uznawał za równie niedorzeczne. Miał poważny problem z oceną jej postępowania. Traktował ją jak niegroźną zjawę, która nieszkodliwie krząta się po świecie, niewiele do niego wnosząc i niewiele z niego biorąc. Jej największym grzechem było wścibstwo. Nie pasowała do schematu. Nie nadawała się do jego misji. Nie zasługiwała na to, na co tak ciężko pracowały inne.

Zanurkował do skrytki z tyłu fotela kierowcy i wyciągnął z niej okrągłe pudełko. Otworzył je, zanurzył w nim palce i nałożył na dłonie grubą warstwę kremu. Dokładnie wtarł go w miejsca, w których jego skóra była najbardziej wysuszona, co powodowało bolesne pęknięcia. Począł, aż krem się wchłonie, i założył lateksowe rękawiczki. Kiedy się przebierał, z otwartego bagażnika zaczął wydobywać się niezrozumiały pomruk. Z czasem przeszedł w cichy skowyt. A na koniec w rozpaczliwe pojękiwanie.

Zrobiło mu się jej żal, kiedy zobaczył ją w taksówce w towarzystwie niezbyt urodziwego mężczyzny, pijanego niemal tak samo jak ona. Widział jedynie zarys dwóch sylwetek, z których jedna, mniejsza, w ogóle się nie poruszała, a druga, większa, przesuwała się w stronę mniejszej, kradnąc jej przestrzeń życiową. Biedna Magdalena. Wszyscy z wyjątkiem tego mężczyzny musieli widzieć, że nie ma na niego ochoty. Że robi to z jakiegoś niezrozumiałego dla nich powodu. Ale jemu najwyraźniej jej motywacje były obojętne. Zachowywał się niczym wygłodniały pies. Jak więzień po długiej odsiadce. Pragnął tylko jednego. Nie miało dla niego znaczenia, z jakiego powodu ani w jakich okolicznościach do tego dojdzie.

Otworzył apteczkę. Wyjął ze środka strzykawkę. Napełnił ją, wbijając igłę w niewielką buteleczkę oklejoną białymi plastrami. Kiedy poczuł, że samochód się porusza, podszedł do bagażnika. Magda próbowała się wydostać. Podpierając się rękoma, starała się wypchnąć ciało na zewnątrz. Chwycił ją za głowę, która

momentalnie zniknęła w jego potężnej ręce niczym piłka palantowa. Choć popchnął ją najdelikatniej, jak potrafił, jej ciało momentalnie wylądowało na dnie bagażnika.

– Spokojnie – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Za chwilę stąd wyjdiesz.

Doskonale ją rozumiał. Kiedy kilka dni wcześniej znalazł się w klaustrofobicznym wnętrzu jej samochodu, również chciał się z niego jak najszybciej wydostać. Ale zamiast tego skulił się i z największym wysiłkiem wcisnął swoje masywne cielsko za fotel. Zanim schował głowę między kolanami, upewnił się, że żadna z jego kończyn nie jest widoczna z zewnątrz. Potem sprawdził, jakie ruchy jest w stanie wykonać, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Przez półtorej godziny tkwił skulony za fotelem kierowcy, nieprzerwanie i bardzo intensywnie myśląc o swojej misji. Stresował się. Bardziej niż poprzednim razem. Bardziej niż wtedy, kiedy wchodził do domu tej małej dziwki.

Ale gdy po zmroku drzwi samochodu zaskrzypiały i Magda weszła do środka, stres go nie sparaliżował. Zamiast tego nastąpił skok adrenaliny. Gwałtowny przypływ ekscytacji. I niewyobrażalnej mocy, która tkwiła w jego wnętrzu.

Magda broniła się przed zastrzykiem. Wymachiwała rękoma i nogami, jak tylko pozwalało jej na to niemal bezwładne ciało. Zdołała jednak tylko nieznacznie opóźnić wbicie igły. Kiedy zrobił jej zastrzyk, zostawił ją w bagażniku i rozświetlając sobie ścieżkę latarką, skierował się w głąb lasu. Wykorzystała ten moment. Nadludzkim wysiłkiem udało jej się wydostać z bagażnika. Stoczyła się na miękką nawierzchnię, lądując kolanami w błocie. Próbowała wstać, ale nie starczyło jej sił. Zamiast iść, pełzła przed siebie, niezdarnie odpychając się kończynami.

Powtarzała w myślach, że nie może się poddać. Wmawiała sobie, że człowiek w stanie zagrożenia potrafi przenosić góry. Przekonywała czołgającą się w błocie kobietę, że z tego wyjdzie. Że to ją tylko wzmocni. Że któregoś dnia, siedząc na bujanym fotelu, z kolanami przykrytymi kocem i kubkiem gorącej herbaty w dłoni, zapomni o tym, co przeszła. Że kiedyś znów poczuje, że żyje.

Nawet nie zauważyła, że uziemiła ją bezsilność. Jej rachityczne ręce się ugięły,

a głowa, nie mogąc uchronić się przed upadkiem, wylądowała na ziemi. Organizm pozwalał jej już tylko oddychać, wolno i miarowo, i snuć niestworzone wizje. Gdy uniosła ciężkie powieki, ujrzała niewielkie białe buty, który wyrosły tuż przed jej twarzą.

Ostatnią rzeczą, jaką poczuła, było ciepłe światło latarki na policzku.

**C**hoć trudno było mu to przyznać, dostrzegał w niej coś pociągającego. Być może chodziło o szczupłą sylwetkę ukrytą pod idealnie wyprasowanym szarym kostiumem. A być może o skandynawski chłód bijący z błękitnych oczu, rzadko i raczej niechętnie unoszących się znad grubego raportu, który dla niej przygotował. Albo o pewność siebie, jaką emanowała, mimo że pracowała w policji z dziesięć lat krócej od niego, przebywała w obcym dla siebie mieście i nie mogła liczyć na to, że okaże jej choćby krztę sympatii.

Mariusz Szczebiot przyglądał się Annie Stelmach z największą intensywnością, mając jednocześnie nadzieję, że ona tego nie zauważy. Siedział po drugiej stronie kwadratowego stolika kawowego, na którym oprócz dokumentów zmieściły się jedynie dwie filiżanki do espresso. Spotkali się w holu czterogwiazdkowego hotelu DoubleTree by Hilton, wiedząc, że nie natkną się tam na żadnego policjanta. Potrzebowali dyskrecji. Bardziej niż ciszy, którą nieustannie mąciły głośne rozmowy telefoniczne krzątających się po westybulu biznesmenów.

– Dobrze ci się pracuje w BSW? – zapytał Szczebiot.

Przez moment myślał, że Stelmach zlekceważyła to pytanie, ponieważ nawet nie

drgnęła na dźwięk jego głosu. Ale jakiś czas później westchnęła i odparła:

– „Dobrze” to pojęcie względne. Pytasz, czy jestem zadowolona ze swojej pracy? – Na ułamek sekundy oderwała wzrok od raportu i rzuciła Szczebiotowi krótkie spojrzenie. – Tak. Mam satysfakcję z tego, co robię.

– Pochodzisz z Warszawy?

– Z Konstancina. To pod Warszawą.

Wiem, powiedział w myślach Szczebiot i uśmiechnął się do Stelmach.

– Czy to nie tam mieszkają najbogatsi Polacy? Starak, Walter, Urban?

– Kiedyś mieszkali. Nie wiem, czy nadal mieszkają. Dawno tam nie byłam.

– Poznałem kiedyś gościa, który chodził do Szkoły Amerykańskiej w Konstancinie. Straszny palant.

Stelmach na dłuższą chwilę zawiesiła spojrzenie na Szczebiocie, a następnie odłożyła na stół dokumenty, które ledwo się mieściły w tekturowej teczce.

– Ten raport jest niekompletny.

– Jak to?

– Brakuje w nim kilku informacji.

Szczebiot zmarszczył brwi, a następnie pociągnął łyk kawy. Czekał na rozwinięcie wątku, ale Stelmach najwyraźniej nie miała na to ochoty. Sięgnęła po leżący obok niej notatnik, gruby zeszyt formatu A4, i coś w nim pośpiesznie zapisała.

– Czy na pewno wydrukowałeś wszystkie dokumenty, o które prosiłam?

– Dostałaś wszystkie oficjalne informacje z ostatniego roku dotyczące Tomasza Kawęckiego. Są tam jego raporty, notatki służbowe, protokoły z przesłuchań, informacje o urlopach, chorobach i karach dyscyplinarnych. Łącznie grubo ponad tysiąc podwójnie zadrukowanych stron. Times New Roman dziesiątka. Jeżeli czegoś twoim zdaniem brakuje, to znaczy, że to coś prawdopodobnie się nie wydarzyło.

– Albo zostało zatajone – odparła Stelmach. – Przez niego, ciebie albo kogoś, kto ma wgląd do dokumentów.

Popchnęła papiery w stronę Szczebiota. Poczekała, aż je odwróci o sto

osiemdziesiąt stopni, i zajrzała do notatnika.

– Dwudziesty trzeci listopada. Czwartek. Kawęcki od rana był na komendzie. Potem pojechał do Szpitala imienia Kopernika. Przesłuchiwał tam Ormianina, który dzień wcześniej został dźgnięty nożem na targowisku Górniak. Zajęło mu to godzinę. Przez dwie kolejne przeprowadzał wywiad środowiskowy na miejscu zdarzenia. Do biura wrócił jednak dopiero ponad trzy godziny później.

Szczebiot długo wertował papiery, zanim dotarł do dnia, o którym mówiła Stelmach. Przeczytał to, co się w nich znajdowało, i wolno pokiwał głową.

– Dwudziesty ósmy listopada. Wtorek. Do godziny dwunastej Kawęcki przebywał na komendzie. Analizował materiał dowodowy zgromadzony w sprawie podpalenia sklepu monopolowego na ulicy Próchnika. Potem pojechał przesłuchać świadka na ulicy Limanowskiego. Z dokumentów wynika, że trwało to ponad trzy godziny. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przesłuchiwała świadka tak długo, a Limanowskiego od Lutomierskiej dzieli zaledwie kilka minut. Wiem, sprawdziłam to na mapie. Mam mówić dalej?

Szczebiot przewrócił oczami i głośno wypuścił powietrze.

– Dwudziesty drugi grudnia. Piątek. Mieliście wtedy wigilię wydziałową. Kawęcki powinien dotrzeć na nią prosto z komendy. Ale wyszedł z pracy dwie godziny przed czasem i dotarł na imprezę spóźniony o godzinę.

– I czego to twoim zdaniem dowodzi? – zapytał Szczebiot. – Bo według mnie w najgorszym wypadku tego, że mamy burdel w papierach. Albo... i to powinno bardziej martwić mnie niż ciebie... że Kawęcki olewa papierkową robotę. A prawda jest taka, że zajmujemy się istotniejszymi sprawami niż prowadzenie szczegółowej dokumentacji. Nie jesteśmy biurokratami, tylko policjantami. Mamy strzec prawa, a nie tabelki w Excelu.

– Trudno mi uwierzyć, że mówi to szef wydziału.

Szczebiot przejechał dłońmi po twarzy. Potem złożył je w trójkąt i wycelował jego wierzchołkiem w Stelmach.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie zamierzam utrudniać ci pracy. Jeżeli doszło do nieprawidłowości w moim wydziale, to chcę się o tym dowiedzieć. Dlatego nie



skamlałem, tylko przygotowałem dla ciebie te wszystkie dokumenty. Ale jeżeli zamierzasz szukać dziury w całym, to nie będę ci w tym pomagać. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Poszukujemy policjantki z naszego wydziału, która najprawdopodobniej została porwana. Nie wiemy, co się z nią stało ani gdzie może przebywać. A to oznacza, że przed nami cholernie dużo pracy. Więc jeśli nie zamierzasz przedstawić mi żadnego konkretnego, to uznaję nasze spotkanie za zakończone.

Stelmach długo wpatrywała się w Szczebiota, próbując wyczytać coś z jego oczu. Potem odsunęła się na miękkie oparcie sofy i sięgnęła po leżącą obok torebkę. Wyjęła z niej koszulkę na dokumenty i podała ją Szczebiotowi. W środku znajdowały się zrobione z ukrycia zdjęcia, na których Kawęcki rozmawiał z jakimś wytatuowanym mężczyzną w sportowej bluzie, wyższym od niego o głowę i cięższym o co najmniej trzydzieści kilogramów, z krótko ostrzyżonymi włosami oraz odstającymi i zadziwiająco spiczastymi uszami. Palili papierosy. A kiedy skończyli, Kawęcki przekazał mu jakąś notatkę.

Kiedy Szczebiot widział je po raz pierwszy, siedząc w biurze komendanta wojewódzkiej policji w Łodzi, pocąc się jak świnia, gapiąc na nieruchomą gębę Janusza Dębca lub permanentnie rozweseloną gębę Marcina Kaczmarzkiego i zastanawiając się, co właściwie robi w pokoju z kijami golfowymi przywieszonymi do ściany, miał wrażenie, że w zawodowym życiu już nic gorszego go nie spotka. To był nokaut. Nawet nie trzeba było go liczyć. Ale potem zniknęła Magda. I wszystko, co wydawało mu się ważne, stało się nagle cholernie błahe.

– Marnujesz mój czas – powiedział.

– Udało ci się dowiedzieć, kim jest ten człowiek?

– Nie. Nie znam go. Nie miałem czasu, żeby się dowiedzieć.

– To Jacek „Procent” Sito. Gangus z Mokotowa. A w zasadzie były gangus. Jakieś dziesięć lat temu zniknął z policyjnych radarów. Jedni mówili, że wycofał się z branży, inni – że nie żyje. Ale najwięcej osób twierdziło, że wyjechał.

– Do Łodzi?

– Możliwe. Nie wysilił się.

Szczebiot wyciągnął zdjęcia z koszulki i jeszcze raz uważnie im się przyjrzał. Potem schował twarz w dłoniach. Próbował uporządkować myśli.

– Nie wiem nawet, o co podejrzewacie Kawęckiego. Powiedzieliście jedynie, że ma to jakiś związek z przestępczością zorganizowaną.

– Wiele na to wskazuje. Skuteczność Kawęckiego w rozbijaniu grup wymuszających haracze jest zadziwiająca. Tymczasem w Łodzi jest to nadal duży problem, z którym wiele jednostek policyjnych sobie nie radzi. Statystyki bardzo wyraźnie na to wskazują. To może sugerować, że Kawęcki rozbija kolejne grupy tylko dlatego, że ich konkurenci mu na nie donoszą. Albo gorzej. Może sam jest członkiem którejś z grup.

Szczebiot podniósł głowę i spojrzał na Stelmach.

– Powiedzieliście też, że ktoś podrzucił te zdjęcia do łódzkiego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych.

– Bo to prawda.

– Skoro to warszawski gangus, jaki miałyby to sens?

– Najwyraźniej komuś, kto je zrobił, nie chodziło o Procenta, lecz o Kawęckiego.

Szczebiot pokręcił głową.

– Kawęcki to przemądrzały gnojek, pijak i prawdopodobnie najbardziej irytujący człowiek, jakiego znam. Ale to także świetny śledczy. Nie uwierzę, że jest powiązany z mafią.

Anna Stelmach przesunęła swoją filiżankę na skraj stołu i przyciągnęła do siebie papiery. Z największym trudem włożyła je do skórzanej torby. Szczebiot przyglądał się jej w milczeniu.

– Co teraz? – zapytał, widząc, że Stelmach zbiera się do wyjścia.

– Ja zajmę się swoją pracą, a ty swoją. – Podniosła się, zarzuciła torebkę na ramię i wyciągnęła do Szczebiota dłoń. – Powodzenia w poszukiwaniach policjantki.

Uśmiechnęła się. Nienaturalnie. Najwyraźniej brakowało jej w tym wprawy.

– Wierzysz w Boga?

Tomek Kawęcki zgasił papierosa w popielniczce. Wypuścił dym kątem ust, nieznacznie przechylając przy tym głowę.

– Dlaczego nagle cię to zainteresowało? – zapytał, uśmiechając się ponuro.

Witold Ptak wzruszył ramionami. Odchylił firankę i wyjrzał przez okno. Jeden z jego sąsiadów stał pod blokiem i wycierał but o trawnik. Przeklinał. Było już ciemno, miał prawo nie zauważyć gówna. Nawet jeśli uformował je któryś z jego dwóch wielkich dogów, po których nigdy nie chciało mu się sprzątać.

– Ani razu nie rozmawialiśmy o wierze. Nie wiem nawet, czy jesteś osobą religijną. Podejrzewam, że nie.

– Nie jestem i nie byłem. Jediną pozytywną wartością, jaką lekcje religii wniosły do mojego życia, jest ateizm.

Witold odkręcił stojącą na stole dwulitrową colę. A właściwie tani napój o smaku coli. Napełnił wysoką chudą szklankę i opróżnił ją jednym haustem. Cicho beknął, pozbywając się gazu z wnętrzości.

– A nie chciałbyś w coś wierzyć? W cokolwiek.

– Kiedyś chciałem. Uważałem, że ludziom wierzącym żyje się łatwiej. Mogą spierdolić sobie życie, a potem liczyć na kolejne, które z jakiegoś powodu miałyby być lepsze. Sądziłem, że są dzięki temu szczęśliwsi. Spokojniejsi. Ale dziś wiem, że wiara ich jedynie otumania. Pozwala im bezrefleksyjnie akceptować gówno, które codzienne się do nich przykleja. Demotywuje ich. Sprawia, że nie chce im się nic zrobić ze swoim życiem.

Kawęcki przeszedł wzrokiem umocowaną nad głową Witolda kuchenną szafkę, na której stały filigranowe słoiki z przyprawami oraz artystyczna miska pełna muszelek i pamiątek znad morza. Potem spojrział na prostą, siermiężną twarz policjanta, naznaczoną zmęczeniem, żalem i bezsilnością. Jego ziemistą cerę przykrywał dwudniowy zarost oraz siatki popękanych naczyń i ciemnych przebarwień. Kontrast między jego wyglądem a przedmiotami na półce był zbyt uderzający, aby przypuszczać, że kiedykolwiek mogli mieć ze sobą styczność.

– Wierzę w coś – powiedział Kawęcki, wydobywając z paczki kolejnego

papierosa. – W odpowiedzialność za czyny.

– I czym ta twoja wiara się objawia?

Kawęcki odwrócił się w stronę zadymionego okna, za którym wyłaniał się wieczór. Patrzył na wracających z pracy niedobitków, trwożliwie zerkających w stronę swoich mieszkań. Z niepokojem wyczekujących spotkania z rozwydrzonymi bachorami, upierdliwymi współmałżonkami i domowymi torturami, które otrzymywali w pakiecie. Przekonanych o regeneracyjnej mocy gnicia przed telewizorem i bezmyślnego łykania programów sformatowanych pod idiotów. Marzących o gorącej kąpieli, szybkiej masturbacji i względnie czystym łóżku. Planujących dotrwanie do kolejnych ośmiu godzin, które przesiedzą w biurze lub wystoją przy taśmie na magazynie. Bez ambicji, pomysłu, nadziei. Za to z bezgraniczną wiarą, że jakoś to będzie.

– Niczym szczególnym. Po prostu mam świadomość, że ponoszę wyłączną odpowiedzialność za swoje czyny. Nie czuję się zależny od zjawisk zewnętrznych. Nie usprawiedliwiam się nimi. Nie racjonalizuję za ich pomocą swoich zachowań. Nie tłumaczę nimi motywacji. Żyję tak, jakby wszystko, co mnie otacza, było tylko planszą, po której muszę się poruszać. Torem przeszkód z kolorowymi ludzikami w śmiesznych strojach, wypowiadającymi śmieszne rzeczy. Jak w grze komputerowej. Jej twórcy już swoje zrobili. Stworzyli silnik gry i zaprojektowali jej świat. Reszta zależy wyłącznie od gracza.

Witold, który słuchał tego z lekko rozchylonymi ustami, westchnął.

– To cholernie smutne.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Ale nie wmówisz mi, że to jakoś wpływa na twoje życie – powiedział Witold.

– Jestem dzięki temu mniej nerwowy.

Witold bezwiednie pokiwał głową.

– A ja dzięki temu.

Otworzył zamrażalnik. Włożył rękę pomiędzy mrożone warzywa oraz pudełko po lodach i wyciągnął butelkę czystej wódki. Kiedy stawiał ją na stole, o mało nie przewrócił wszystkiego, co się na nim znajdowało: coli, szklanki, dwóch paczek

papierosów i popękanej popielniczki. Jego ręce drżały ze zmęczenia, a umysł działał na zwolnionych obrotach. Był wycieńczony kilkudziesięcioma godzinami poszukiwań Magdy Giętkiej. A w zasadzie tym, że nie przyniosły żadnych efektów.

– Wiele lat temu dostałem tę butelkę od teścia na urodziny. Wiesz, co powiedział, kiedy mi ją wręczał?

Kawęcki zmierzył wzrokiem litrową butelkę.

– Że ma nadzieję, że jej nigdy nie otworzysz?

– Coś w tym stylu. Powiedział, że jeśli przez nią jego córkę spotka kiedyś krzywda, to wepchnie mi tę butelkę w dupę. – Witold obejrzał litrówkę z każdej strony. – „Dupa” to jedyne brzydkie słowo, jakie kiedykolwiek usłyszałem z jego ust.

– Udało mu się? – zapytał Kawęcki. – Wepchnąć ci butelkę w dupę?

– Nie zdążył. Zmarł chwilę przed tym, jak na to zasłużyłem.

Witold zaśmiał się nerwowo, nienaturalnie wysuwając dolną szczękę i odsłaniając rząd nadgryzionych próchnicą zębów. Jego niekształną czaszkę, z czołem sięgającym niemal do czubka głowy, pokrywały rzadkie kępy krótkich włosów. Kawęcki wpatrywał się w przegrane oblicze tego brzydkiego człowieka i machinalnie potakiwał.

– Co?

– Nie rozsypałeś się dlatego, że twoja żona pojechała do matki. Ani dlatego, że zapewne wkrótce się z tobą rozwiedzie. Rozsypałeś się już dawno temu. Na własne życzenie. Odejście Edyty jest jedynie emanacją beznadziejnego życia, które sobie zbudowałeś.

Witold nastroszył brwi i położył swoje masywne ręce na stole.

– Zacząłeś przegrywać życie już w szkole policyjnej – kontynuował Kawęcki – kiedy wlewałeś w siebie hektolitry wody, wypalałeś wagony fajek i kombinowałeś, jak w przyszłości nie zostać zwykłym krawężnikiem. Albo jeszcze wcześniej, kiedy uwierzyłeś, że człowiek o twoich predyspozycjach, intelektualnych i emocjonalnych, jest w stanie spędzić życie z jedną kobietą. Zaczęliście spotykać się jeszcze w liceum, prawda? Wyobraź sobie, jakim musiałeś być wtedy kretynem,

skoro sądziłeś, że z kobietą formatu Edyty uda ci się żyć przez kolejne kilkadziesiąt lat. To nie twoja liga. Nawet nie jesteś na jej zapleczu. Wasz związek od początku był anomalią, która prędzej czy później musiała zostać skorygowana.

Witold zacisnął zęby, spinając wszystkie mięśnie upchnięte w jego zwalistym cielsku.

– Nie nadymaj się. – Kawęcki rzucił mu chłodne spojrzenie. – Gdybyś mnie uderzył, satysfakcję odczuwałbyś znacznie krócej niż smutek z powodu pobicia niedojdy, któremu wiedzie się jeszcze gorzej niż tobie. Lepiej się zastanów, czy masz prawo oczekiwać od życia więcej, niż dostałeś do tej pory. – Pociągnął nosem i podrapał się po swędzącej, pokrytej strupami twarzy. – Uważasz, że dałeś z siebie wystarczająco dużo, żeby oczekiwać czegoś więcej?

– Nie wiem.

– Nie dałeś. Jedyne, na co powinieneś od tej pory liczyć, to względnie bezbolesna starość. Oraz to, że nie spędzisz jej w zupełnej samotności. Na nic więcej.

Witold trawił słowa Kawęckiego w milczeniu, gapiąc się na swoje owłosione ręce. Próbował nie myśleć o żonie i córkach, ponieważ ich wspomnienie wzmagało wszystkie negatywne emocje: ból, smutek, złość i strach. Wszystkie uczucia, które niechybnie prowadziły do płaczu. Pociągnął dużym zaczerwienionym nosem, uśmiechnął się kwaśno i zerknął na zegar naścienny wskazujący dziewiętnastą.

– Ile czasu już minęło?

– Jeżeli przyjmiemy, że zniknęła w piątek, to prawie sto dwadzieścia godzin.

Wymienili wiele mówiące spojrzenia. Spojrzenia ludzi, którzy zbyt dobrze znają policyjne statystyki.

– Napijesz się?

Kawęcki popatrzył na butelkę. Przylegający do niej lód zaczynał się topić, odsłaniając nazwę marki i przezroczystą ciecz w środku. Nie musiał pić, żeby czuć w ustach jej smak.

– A mam wybór?

Bobby był w swoim żywiole. Kiedy tylko wbiegli do lasu, trzyletni bokser

przyspieszył, niemal zrywając się ze smyczy. Wytrzymała jego tempo jedynie przez dwie minuty. Potem szalejący oddech dał jej do zrozumienia, że jest zupełnie pozbawiona sił i przy każdym kolejnym kroku naraża się na upadek prosto w błoto. Albo na zawał. Zatrzymała się, pochyliła przed siebie i trwała w tej pozycji tak długo, aż uznała, że jednak nie umrze.

Natalia Szulc odznaczała się kiedyś lepszą kondycją. Szczyciła się tym, że gdy inni dopiero zaczynali biegać, wskakując na falę biegowego boomu w Polsce, ona miała już na koncie dwa zaliczone maratony, w tym jeden w niespełna trzy i pół godziny. Ale to się działo osiem lat, piętnaście kilogramów i dwie cięższe temu. Była wtedy młodsza o setki nieprzespanych godzin. Nie była jeszcze pulchną trzydziestoosmioletnią mamuszką, której raczej nikt nie ośmieliłby się nazwać milfem.

Próbując opanować oddech, rozejrzała się wokół. Chciała się upewnić, że nikt nie widzi jej żalosnej agonii. Na szczęście w sercu Lasu Łagiewnickiego, obrośniętego ogołoconymi drzewami i z przyrodą wolno otrząsającą się po zimie, panowała idealna cisza. Natalia była przekonana, że nikogo tu nie spotka. Poklepała Bobby'ego po umięśnionym tułowiu, odpięła smycz z jego grzbietu i pozwoliła mu wyrwać do przodu. A gdy odzyskała kontrolę nad organizmem, powoli ruszyła za nim.

Po przetruchtaniu kilkudziesięciu metrów dotarła na skraj polany zanurzonej w resztkach porannej mgły. Na dystansie około stu metrów rozciągał się wąski pas ubitej szarej ziemi. Zastanawiała się, ile czasu zajęłoby jej pokonanie tej odległości. Dawniej pewnie około piętnastu sekund. Dziś – prawdopodobnie ponad dwadzieścia. Spojrzała na swoje nogi, drżące pod cienkimi legginsami, i uznała, że nie powinna się nad tym zastanawiać. Szkoda nerwów. Nawet nie wiedziała, jak długo te niezgrabne patyki będą jej jeszcze służyć. Kobiety w jej rodzinie zaczynały męczyć się z żylakami zazwyczaj jeszcze przed czterdziestką. Coś jej podpowiadało, że nie będzie wyjątkiem.

Bobby zatrzymał się na końcu polany, w miejscu, w którym ponownie przechodziła w las. Zaczął szczekać. Potem usiadł na kępie trawy, która jakimś

cudem przetrwała zimę, i odwrócił się w stronę człapiącej z oddali Natalii. Z wyciągniętym językiem czekał na swoją panią.

– Co się stało, piesku?! – zawołała Natalia, podchodząc do zwierzęcia.

Bokser milczał, gapiąc się przed siebie. Kiedy w końcu Natalia zbliżyła się do niego i przykucnęła, żeby go pogłaskać, wydał z siebie trwożliwy skowyt. Spróbowała podążyć za psim wzrokiem. A potem podniosła głowę.

W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś zrobił komuś głupi kawał i zawiesił jego ubranie na dwóch grubych gałęziach sterczących wysoko ponad ludzkimi głowami. Dopiero po kilku sekundach się zorientowała, że to nie tylko ubranie. Że jest tam jeszcze jego właścicielka. Przecięta na pół.

Natalia osunęła się na ziemię. Klęcząc obok psa, wyrzuciła z siebie resztki śniadania.



# Przypisy końcowe

1. Cytat z powieści *Pod Mocnym Aniołem* Jerzego Pilcha. [\[wróć\]](#)
2. Biblia Warszawska, List św. Jakuba 5, 7. [\[wróć\]](#)
3. W przekładzie Joanny Guze. [\[wróć\]](#)
4. *Mowy, myśli i rozkazy*. [\[wróć\]](#)